

BESTSELLER

„THE NEW YORK TIMES”

Blisko domu

LISA

JACKSON

AUTORKA 30 MILIONÓW
SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY!

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

LISA
JACKSON

Blisko
domu

Tłumaczenie: Agnieszka Kalus



Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Epilog

Tytuł oryginału:
CLOSE TO HOME

Redakcja
Monika Orłowska

Tłumaczenie
Agnieszka Kalus

Korekta
Bożena Sigismund, Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Marcin Labus

Copyright © 2014 by Lisa Jackson, LLC
First published by Kensington Publishing Corp. All rights reserved
Polish edition copyright © 2023 Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o. o.
Polish translation copyright © 2023 Agnieszka Kalus

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-10-3



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

PROLOG

31 października 1924 roku

Posiadłość pod Niebieskim Pawiem

Pomocy! Boże Wszchemogący, proszę!

Serce Angelique dudniło w piersi, wraz z krwią w jej żyłach płynął strach, gdy bosko biegła po szerokich schodach. Musiała znaleźć sposób, aby ocalić siebie i dzieci. Na miłość boską, musiała je ratować.

Spanikowana, jedną ręką uniosła podartą, zazielenioną od trawy spódnicę. Miała mokre, zabłocone nogi.

Splywała po nich sperma.

Dowód, że ten sukinkot ją zgwałcił.

Ścisnęło ją w żołądku na samą myśl, ale cały czas biegła w górę. Na dole, w korytarzu stary zegar po babci odliczał sekundy jej życia. Chwytając za balustradę, podciągała się do góry. Minęła pierwsze piętro wciąż skąpane w świetle lampy, z długimi dywanami ciągnącymi się wzdłuż korytarza aż na schody prowadzące na wyższe piętra olbrzymiego domu. Domu, który dawniej był dla niej powodem do dumy.

Idiotka!

Biegnij! Biegnij! Biegnij!

Nie pozwól, żeby znowu cię złapał!

Odciągnij go od dzieci.

Oddech jej się rwał, płuca płonęły, a ciało ciążyło ściśnięte tasiemkami gorsetu. Dotarła do półpiętra i wydało jej się, że słyszy poniżej ciężkie kroki.

Czy to któreś z dzieci?

A może on?

O Boże!

Po plecach spływał jej pot, weszła na drugie piętro, gdzie dysząc, znalazła się na zaciemnionym korytarzu. Przed oczami stanęły jej obrazy jej niewinnych dzieci.

Pomóż im! Mon Dieu, proszę... POMÓŻ MI!

Jeśli miała umrzeć, to niech tak będzie. Ale nie jej maluchy. W oczach stanęły jej łzy na myśl o słodkiej Monique i pyzatyim małym Jacques'u oraz pozostałych, starszych, a mimo to równie cierpiących. Dzielnej Ruth, uroczej Helen i Louisie ze smutnymi oczami... Ścisnęło ją w gardle. To wszystko jej wina, a ucierpią na tym niewiniątka, spotka ich ohydna śmierć z jej powodu.

Kobiety, która przyrzekła, że będzie je chronić.

Spojrzała w dół przyprawiającej o zawroty głowy wysokiej, kręconej klatki schodowej. Na każdym półpiętrze mrugająca lampa dawała odrobinę migoczącego światła, ale schody pomiędzy nimi były zupełnie ciemne, co mroziło jej krew w żyłach.

Nie mogła jednak poddać się strachowi. Jeszcze nie.

No, chodź, sukinkocie. Chodź za mną. Zostaw je w spokoju! W tej samej chwili jednak dotarło do niej, że nie puści ich wolno. Wiedziała o tym równie dobrze jak wszyscy inni, prawda? On tak nie postępował. Czyż nie miała blizn na dowód tego, jak okrutny potrafił być ten mężczyzna, którego niegdyś kochała?

Usłyszała skrzypienie frontowych drzwi, następnie głośny trzask, gdy się zamknęły. Ze strachu prawie potknęła się o spódnicę. *Spokojnie. Możesz go wywieść w pole. Musisz to zrobić. Och... Boże...*

Jego buty głośno uderzały o drewnianą podłogę korytarza i pierwsze stopnie schodów. Drżała i mocno przygryzła wargę.

Le monstre hideux nadchodził.

Wiedziała, że tak będzie.

Ścisnęła srebrny krzyżyk zwisający z cienkiego łańcuszka, który nosiła na szyi, i zebrała się na odwagę, żeby wyjrzeć ponad barierkę. Jego duży cień sięgał sufitu i powoli zmniejszał odległość do niej. Niósł coś w ręce. Rozpoznała, że to siekiera.

Cała zadrżała na myśl, że zamachnie się na nią ostrym, ciężkim narzędziem. Wiedziała, co zamierza, chciał ją zabić. Jakie miała szanse w konfrontacji z jego brutalną siłą?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że powinna była uciekać do stodoły. Odrzuciła jednak tę myśl, jako że pora nie była właściwa na podróż kłaczą do oddalonego o osiem kilometrów miasta, we mgle, deszczu i w błocie zalegającym na drodze, przez pola i lasy, żeby dotrzeć do oświetlonych lampami gazowymi ulic Stewart's Crossing. Nawet gdyby dotarła do miasta i zdołała przekonać szeryfa, że wyjechała z domu, szalejąc z niepokoju i wrócić na czas, żeby ich wszystkich ocalić. Niemożliwe. Bezmyślnie wbiegła do domu, a teraz żałowała, że nie skre-

ciła do stajni, gdzie nie tylko trzymali konie, lecz także mieli dobudówkę z różnymi narzędziami: maczetami, młotkami, sierpami.

Czekała.

Miała jedynie nadzieję, że kiedy on dotrze za nią na dach, zyska nad nim pewną przewagę – niewielką, co prawda – ale zaryzykuje, żeby zwiększyć swoje szanse. Jeśli nie ocali siebie, to przynajmniej zabierze łajdaka ze sobą.

A co z maluszkiem? Czy poświęcisz również życie nienarodzonego dziecka?

Łzy zapiekły ją w oczy.

Ponownie spojrzała ponad barierką. Zobaczyła, że jest już na pierwszym piętrze i zmierza ku drugiemu.

TERAZ!

Wychyliła się ponad balustradą i z całych sił krzyknęła:

– Uciekajcie!

– Co, do cholery? – warknął, posyłając jej zdziwione spojrzenie. Jego niebieskie oczy lśniły podłością ponad bujnym zarostem.

– Ruth! Helen! – krzyczała desperacko, mając nadzieję, że ostrzeże dzieci. – Zabierzcie maluchy i uciekajcie, ile sił w nogach!

– Nigdy się nie wymkną – rzucił, wykrzywiając usta, które niegdyś całowała z takim uwielbieniem. Jak mogła być taką idiotką? Znowu się rozeźbiał, a do jej nozdrzy doleciał kwaśny zapach alkoholu. Był już tak blisko!

Odwróciła się na pięcie i rzuciła biegiem wzdłuż chodnika do schodów prowadzących na strych, znajdujących się na końcu korytarza. Drzwi były zamknięte na klucz, jak zawsze.

– Ladacznica! – wrzeszczał za nią. – Ty podła kurwo, wracaj tutaj!

Nigdy!

Pomodliła się w duchu za niewinne dusze najmłodszych.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Zegar w korytarzu na dole zaczął wybijać godzinę.

Święć się imię Twoje.

Przyspieszył kroku, a ona sięgnęła do kieszeni obszernej spódnicy, żeby wyjąć klucze. Miotła się w ciemności, szukając tego właściwego na dużym kółku. Metal uderzał o metal, gdy próbowała znaleźć ten pasujący do drzwi strychu.

Szybciej!

Słyszała swój puls w mózgu, palce miała śliskie od potu. Klucze postukiwały o siebie. Upuściła je na podłogę, ale szybko podniosła.

Przyjdź królestwo Twoje.

Bądź wola Twoja.

Jako w niebie, tak i na ziemi.

Zegar dalej wybijał godzinę, a wraz z głośnymi, znajomymi uderzeniami dochodził do niej tupot jego kroków. Miała już pewność, że jest blisko.

Prawie stanęło jej serce. Na ułamek sekundy zamarła w bezruchu. Potem wsadziła do zamka kolejny klucz.

Nic!

– Sądzisz, że uda ci się uciec?! – wrzeszczał, a jego słowa odbijały się echem od stropu, mroząc krew w żyłach. – Naprawdę sądzisz, że zwiejesz?

Zaśmiał się lubieżnie.

Ze strachu odjęło jej mowę.

Trzęsącymi się rękami wsadziła kolejny klucz do zamka i gorączkowo go przekręciła. Zerknęła przez ramię i tylko utwierdziła się w przekonaniu, że wszedł już na górę i teraz, szedł niespiesznie z uśmiechem, rozkoszując się tymi ostatnimi minutami, kiedy mógł ją terroryzować po raz ostatni.

Klik!

Zamek odskoczył!

Pchnęła drzwi ramieniem.

Niech podejdzie.

Była mądrą kobietą i wciąż jeszcze żyła.

Jeszcze.

Może w jakiś sposób, przy odrobinie szczęścia, ocali swoje dzieci, nawet jeśli nie ocali siebie. Powietrze było gęste i zatęchłe, pachniało kurzem. Zatrzasnęła za sobą drzwi, przekręciła zamek, a następnie w całkowitej ciemności weszła na wąskie, strome schody. Usłyszała charakterystyczny pisk nietoperza oraz trzepot skrzydeł obudzonego zwierzęcia. Ale nie zwracała na to uwagi, bo właśnie dotarła na strych.

Myśl, Angelique, myśl. Nie pozwól, by miał nad tobą przewagę! Trybiki w jej głowie obracały się tak szybko, jak szybko poruszała nogami po zimnej podłodze. To była jej szansa na wyrównanie szans, na znalezienie czegoś do obrony. Nie miała zbyt wiele czasu. Była już na ostatnim stopniu wijącej się klatki schodowej i wbiegła do małej, oszklonej wieżyczki.

Deszcz sphywał po oknach niewielkiego pomieszczenia. Jej drżące palce gorączkowo próbowały otworzyć zasuwę zabezpieczającą drzwi. *Proszę! Proszę! Proszę!* Zamek puścił po chwili, ale małe drzwi na dach dalej nie chciały się otworzyć.

Drewno napuchło od wilgoci i zablokowało wyjście. Zgrzytając zębami, spróbowała ponownie. Napała ramieniem, czując, że wypaczone drewno mocno trzyma. On był coraz bliżej. Słyszała go na dole schodów prowadzących na strych. Szarpał za klamkę.

Nie!

Desperacko rzuciła się z całej siły na drzwi, które w końcu puściły. Otworzyły się i natychmiast zostały porwane przez wiatr wyjący w dole płynącej poniżej rzeki.

Z nieba padał lodowaty deszcz, chmury zasłoniły księżyc, ale nie miała czasu się rozglądać. Szybko wróciła na strych. Gdyby udało jej się jakoś wyprowadzić go na dach samego i zamknąć za nim drzwi, znalazłby się w pułapce.

Tylko że on ma siekiere. Będzie mógł wdrzeć się z powrotem do środka.

Do licha!

Trzaaaask! Łup!

Drzwi na drugim piętrze puściły, pękły deski i wrota głośno huknęły w ścianę. Stłumiła krzyk.

Bezszelestnie weszła głębiej w ciemność północnego skrzydła. Przez cały czas poruszała się po omacku.

Schody prowadzące na strych jęczały pod jego ciężarem. Nie spieszył się. Albo obawiał się ataku z jej strony, albo rozkoszował się każdą chwilą swojego polowania.

W panice zrobiła znak krzyża i zamknęła usta, żeby nie usłyszał jej wystraszonego oddechu. *Uspokój się. Możesz go oszukać. To dureń. Nie poddawaj się!*

Cofała się, palcami dotykała chropowatych drewnianych ścian i gołych krokwi. Pod paznokcie wbijały jej się drzazgi, ale mocno przygryzła dolną wargę, żeby nie wydać żadnego dźwięku, nawet gdy ostre końcówki gwoździ przytrzymujących gonty na dachu drapały ją po głowie.

Uważaj, żeby cię nie usłyszał.

Pochylona szła do tyłu przez lodowate kałuże wody w miejscach, gdzie przeciekał dach. Szeroko rozkładała ręce, szukając czegoś do obrony. Ale nie znalazła niczego, co mogłoby jej pomóc.

Czuła teraz bijący od niego odór alkoholu. Uklękała i panicznie macała podłogę i zgromadzone na niej skrzynki. Dotknęła starej ramy do obrazu, zapomnianego kosza z przyborami do haftowania i spleśniałych skrzyń, ale nie było tam niczego twardego ani ostrego. Nawet zwykłego kamienia. Macając wokół, modliła się o jakąkolwiek broń.

Musiało tu coś być! Chociażby mały odłamek szkła, gwóźdź, wieszak, stare żelazko. Cokolwiek!

Łup!

Krokwie się zatrzęśły.

– Ja pierdołę! – szcęknała, jakby uderzył głową o nisko wiszące belki. Zmieniła się w posąg, nie drgnął jej ani jeden mięsień.

Przełknęła ślinę, wciąż trzymając się blisko podłogi, zataczała szerokie koła. Opużkami palców dotknęła zimnego metalu, jakiegoś pręta. Ucieszyła się. Może to jakiś zapomniany pogrzebacz do kominka albo... nie! Lichtarz. Niemal krzyknęła z zaskoczenia i ulgi.

– Gdzie jesteś? – zapytał cicho. Przymilnie. – Wyjdź, wyjdź. Pokaż się.

Zacisnęła palce wokół chłodnego metalu. To nie było wiele w porównaniu z siekierą, ale lichtarz był twardy i ciężki. Ujęła górną część, żeby móc zamachnąć się i uderzyć go masywną podstawą na tyle mocno, aby roztrzaskać mu czaszkę. Słyszała, że zbliża się do schodów prowadzących na wieżyczkę. *Proszę*, pomyślała, pewna, że uda jej się zamknąć go na dachu, po czym zbiec na dół, pozbiierać dzieci i zabrać się z nimi do miasta, zostawiając go tam na górze.

Raczej wyczuła, niż zobaczyła, że wszedł na schody prowadzące przez wieżyczkę na zewnętrzny taras. Nie śmiała oddychać.

On jednak się zawahał, jakby wyczuł pułapkę.

Nie! Nie! Nie! Idź dalej. Jeszcze troszkę, proszę, jeszcze trzy, cztery kroki i znajdziesz się na dachu!

Ale on zawrócił. Usłyszała, że drzwi na taras się zamykają. Następnie wyczuła wibracje podłogi strychu, gdy ponownie wszedł do wieżyczki.

– Angélique! – zawołał łagodnie, przekrzykując wiatr gwizdzący wokół ściany szczytowej. – Wiem, że tutaj jesteś. Wyjdź. Nie uda ci się uciec.

Z przejęciem uświadomiła sobie, że jest tylko jeden pewny sposób, żeby wyciągnąć go na dach. Musiała zostać przynęta.

Wyteżając słuch, usłyszała jego kroki, na szczęście oddalające się od niej. Poszedł na przeciwległy koniec strychu. Podnosząc lichtarz, wybiła się i wbiegła po krętych schodach do przekłetej wieżyczki. Tym razem drzwi otworzyły się z łatwością. Wskoczyła na zewnątrz, potykając się o własną spódnicę i prawie upuszczając swoją broń, gdy poślizgnęła się na śliskim płaskim dachu. Porywisty wiatr szarpał jej włosami. Deszcz chłostał ją po twarzy, ale tutaj przynajmniej miała jakąś szansę.

W dole burzyła się woda rzeki Kolumbii, płynącej raźnie na zachód, dzika ciemna wstęga przecinająca ścianę kanionu, na której zbudowano ten wielki dom. Dawniej była to jej duma i radość, teraz więzienie.

W swojej naiwności nazwała górujący budynek Posiadłością pod Niebieskim Pawiem ze względu na ptaki, które tak bardzo kochała, ale teraz dom był jedynie śmiertelną pułapką wznoszącą się wysoko nad wzburzoną wodą. Jej ukochane ptaki zostały już zarżnięte. Nawet dzisiaj po południu natknęła się na truchło jednego z nich, który nazywał się Royal. Jego lśniące szafirowe pióra skąpane były we krwi, a z jego piersi wystawała strzała.

Teraz jednak nie mogła myśleć o tej bezsensownej ofierze... nie kiedy stawką było życie dzieci.

Wyprostowała się i czekała w pobliżu drzwi. Planowała, że zamknie go tutaj i ucieknie z dziećmi.

To za mało. Musisz puścić ten dom z dymem. Uwięzić go na dachu i podpalić dom. To odrażające więzienie już i tak nic dla ciebie nie znaczy.

– Panie, przebac mi – wyszeptwała, unosząc wysoko lichtarz, bo w wejściu pokazał się czubek jego głowy. Nie zastanawiała się dwa razy. Włożyła całą siłę w uderzenie.

Trzaaaask!

Chrupnęły kości jego policzka, cofnął się lekko, wyjąc jak zraniony wilk.

Zamachnęła się ponownie, ale się przesunął i zahaczyła tylko o jego ramię.

Złapał jej broń i wyrwał z jej mokrych dłoni, po czym wszedł na dach.

Cofała się, podczas gdy on wymachiwał siekierą trzymaną w jednej ręce i cholernym lichtarzem w drugiej.

– Ty kurwo – powiedział, zbliżając się z nieskończoną cierpliwością zabójcy, który wiedział, że zapędził ofiarę w kozi róg. – Chciałaś mnie zranić? A może zabić? – pytał, mrużąc oczy, jakby nie mógł uwierzyć, że miała odwagę, by zwrócić się przeciwko niemu.

– *Maman?* – zawołał wystraszony, ledwie słyszalny głos, w blasku pioruna Angelique ujrzała dziesięcioletnią Helen, drżącą w drzwiach i kryjącą się pod daszkiem. – Co się...? – Zabiedzona Helen zwróciła swoje okrągłe oczy na potwora. – Nie, czekaj!

– Wracaj na dół, Helen! – rozkazała Angelique.

– Ale, *maman*...

– Idź stąd! – Angelique na ułamek sekundy spojrzała w wystraszone oczy dziewczynki. – I zamknij drzwi na klucz.

– Nie! – Odwrócił się w stronę Helen. – Niczego nie zamykaj!

Angelique była zdesperowana.

– Uciekaj stąd! I to już! – Rzuciła się całym ciężarem ciała na niego, wbiła mu paznokcie w twarz i próbowała wyrwać siekiere.

– Ty kurwo! – wrzasnął.

Gdzieś za nimi krzyknęła Helen.

Siekiera błysnęła.

Jego buty poślizgnęły się na mokrym dachu.

– Uciekaj! – krzyczała Angelique, choć już zaczęła tracić równowagę. Z całej siły wymierzyła kopniaka w jego krocze. Zawył i zachwiał się, siekiera zniknęła gdzieś w ciemności. Wyjął z bólu, zacisnął twarde palce na jej szyi, a ona ponownie go kopnęła.

Zachwiali się morderczym uścisku i nie odrywając od siebie oczu, wpadli w ciemność nocy.

ROZDZIAŁ 1

15 października 2014 roku

Posiadłość pod Niebieskim Pawiem

– Boże, mammo, chyba sobie żartujesz! – jęknęła Jade z miejsca obok kierowcy explorera, gdy Sarah wjechała na wysypaną niegdyś żwirem ścieżkę.

– Nie żartuję – odpowiedziała Sarah. – Wiesz o tym.

Ścieżka, która wiła się pomiędzy grubymi pniami sosen, jodeł i cedrów, zarosła chwastami i zrobiła się wyboista, w zagłębieniach stała woda po ostatnich opadach.

– Chyba nie sądzisz, że możemy tutaj zamieszkać? – Siedemnastoletnia Jade była ewidentnie zszokowana, gdy ujrzała ogromny dom wyłaniający się zza drzew. I jak zwykle nie bała się wyrazić na głos swojej opinii.

– Mama mówi poważnie – skomentowała Gracie z tylnego siedzenia, na którym cisnęła się pomiędzy stosami koców, górami kołder, śpiworów i wszelkiej pościeli, którą zabrały ze sobą z Vancouver.

Jade zerknęła na nią przez ramię.

– Wiem, ale jest gorzej, niż sądziłam.

– To niemożliwe – odparła Gracie.

– A ciebie nikt o zdanie nie pytał!

Sarah zacisnęła dłonie na kierownicy. Już wcześniej słyszała, że rujnuje życie swoich dzieci, pakując je i wracając do rodzinnej posiadłości, gdzie się urodziła i wychowała. Słyszac, jak to mówią, czuła się jak najgorsza matka na świecie. Swobodnie przerzucano się słowem „nienawidzę”, celowano nim prosto w nią, w przeprowadzkę i ogólnie w ich żalodne życie.

Samotne macierzyństwo nie było dla słabych duchem, jak uznała wiele lat temu. Dzieci wciąż były na nią złe. Trudno. Sarah musiała zrestartować swoje życie.

I chociaż Jade i Gracie jeszcze o tym nie wiedziały, one także.

– Mam wrażenie, że znajdujemy się w alternatywnym układzie słonecznym – rzuciła Jade, gdy wyjechały z zarośli na dużą polanę wznoszącą się wysoko nad

rzeką Kolumbią.

– W odległej galaktyce – zgodziła się Gracie.

– Och przestańcie, nie jest aż tak źle – uspokajała je Sarah. Jej córki przeżyły większość życia w Vancouver w stanie Waszyngton tuż za rzeką dzielącą go od Portland w Oregonie. Prowadziły miejskie życie. Tutaj, w Stewart's Crossing, żyło się inaczej. A jeszcze inaczej w domu z dzieciństwa Sarah, znanego jako Posiadłość Pod Niebieskim Pawiem.

Ogromny dom, w którym dorastała Sarah, wzniesiony wysoko na klifie z widokiem na rzekę, miał trzy piętra zbudowane z cedru i kamienia. Zaprojektowano go w stylu królowej Anny i przypominał dom wiktoriański. Jego wieżyczki i kominy sięgały wysoko w szare, ponure niebo. Z tego miejsca Sarah widziała szklaną kopułę, która otwierała się na zewnętrzny taras. Momentalnie obleciał ją strach, ale odepchnęła go od siebie.

– O mój Boże. – Jade aż rozdziawiła usta, patrząc na budynek. – Wygląda jak żywcem wyjęty z rodziny Addamsów.

– Też chcę zobaczyć! – Gracie rozpięła pas na tylnym siedzeniu i pochyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć. – Racja. – Chociaż raz zgadzała się ze swoją starszą siostrą.

– Och, dajcie spokój – powiedziała Sarah, ale opinia Jade wcale nie była daleka od prawdy. Dom miał szeroki, zapadający się ganek i kruszące się kominy. Niegdyś wspaniały budynek, który w przeszłości nazywano klejnotem Kolumbii, był w gorszym stanie, niż go zapamiętała.

– Ślepa jesteś? To miejsce to katastrofa! – Jade przypatrywała mu się przez przednią szybę i powoli kręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, jaki obrót przybrało jej życie. Podjechawszy bliżej garażu, minęły kolejny budynek, który zupełnie się rozpadał. – Mamo. Naprawdę nie jesteśmy w stanie tu zamieszkać. – Zwróciła na matkę swoje duże oczy, pomalowane wieloma warstwami tuszu do rzęs, jakby podejrzewała, że Sarah zupełnie straciła głowę.

– Możemy i zamieszkamy. Kiedyś. – Sarah poruszyła kierownicą, żeby zaparkować koło głównego wejścia do domu. Kuta, zardzewiała brama wisiała smętnie na zawiasach, oplatająca ją roślinność już dawno zniknęła, nic nie pozostało po różach rosnących wzdłuż ścieżki. – Tymczasowo zamieszkamy w głównym domu, dopóki nie doprowadzimy do użytku domu gościnnego, co prawdopodobnie stanie się w przyszłym tygodniu. Tam się zatrzymamy, dopóki nie skończymy napraw w głównym domu, a to może nam zająć... kilka miesięcy, może nawet rok.

– Gościnnym... O Boże, czyli w tym? – Jade wskazała pomalowanym na czarno paznokciem mniejszy budynek stojący po drugiej stronie dużego kamiennego podwórza. Dom gościnny miał zbliżony kształt do głównego budynku i zabudowań gospodarczych. Na jego dachu brakowało gontów, rynny były zardzewiałe, widniały w nich dziury lub brakowało całych kawałków. Wiele okien zabito deskami, a nieliczne znajdujące się na miejscu szyby były popękane i pożółkłe.

– Uroczy. – Jade się skrzywiła. – Nie mogę się doczekać.

– Takiej reakcji się po tobie spodziewałam – powiedziała Sarah.

– Bardzo śmieszne – odpysknęła Jade.

– Przestań. Wyluzuj. To tylko na chwilę. Ostatecznie na dobre przeprowadzimy się do dużego domu, jeśli wcześniej go nie sprzedamy.

– Powinnaś sprzedać go od razu! – podpowiedziała Gracie.

– Nie należy tylko do mnie, pamiętasz? Moi bracia i siostra są współwłaścicielami. Razem musimy podjąć decyzję co do jego dalszego losu.

– Czy ktoś ma zapalniczkę? – zapytała Jade. – Można go spalić i odebrać pieniądze z ubezpieczenia.

– Skąd wiesz...? – Ale nie dokończyła pytania, tylko zgasiła silnik samochodu. Jade, która niedawno odkryła w sobie miłość do makabry, oglądała wszystkie kryminalne i detektywistyczne programy wyświetlane w telewizji. Ostatnio odkryła również true crime, w których aktorzy klasy B odtwarzali ponure morderstwa i tym podobne. Zainteresowania Jade, które dziwnym trafem pokrywały się z zainteresowaniami jej obecnego chłopaka, niepokoiły Sarah, ale starała się nie wypytywać córki o tę sprawę. W tym przypadku mniej znaczyło więcej.

– Powinnaś odsprzedać swoją część. Zostawić dom cici Dee Linn i wujkom Joe i Jackowi, żeby go sobie wyremontowali – poradziła Jade. – Uciekaj stąd, skoro jeszcze możesz. Boże, mam, to szalone, że naprawdę tu jesteśmy. Ten dom nie tylko wygląda jak żywcem wyjęty ze złego horroru, ale na dodatek znajduje się na zupełnym odludziu.

Aż tak bardzo nie przesadzała. Dom i teren, na którym stał, znajdowały się co najmniej osiem kilometrów od najbliższego miasta o nazwie Stewart's Crossing. Otaczające go farmy kryły się za gajami z jodeł i cedrów. Sarah uruchomiła silnik i zerknęła w stronę Willow Creek, naturalnej granicy pomiędzy tą posiadłością a sąsiednią, która od ponad stu lat należała do rodziny Welshów. Pomyślała o Clincie, ostatnim z rodziny Welshów, który według Dee Linn i ciotki Marge ciągle mieszkał w swoim domu. Przypomniała sobie z powagą, że nie był powodem, dla którego tak bardzo dążyła do przeprowadzki do Stewart's Crossing.

– Może byś mnie zawiozła z powrotem, żebym odebrała swój samochód – zaproponowała Jade, gdy Sarah zaparkowała explorera w pobliżu garażu.

– Będzie gotowy dopiero za kilka dni. Słyszałaś Hala.

Zostawili hondę civic Jade u mechanika w mieście, gdzie miała mieć wymienione opony oraz szwankujące hamulce. Hal miał także sprawdzić, co i dlaczego kapie z auta.

– No jasne, Hal to fachowiec nad fachowców – zakpiła Jade.

– Najlepszy w mieście – rzuciła Sarah, wkładając kluczyki do torebki. – Mój tata korzystał z jego usług.

– Jedyne w mieście. A dziadek już dawno nie żyje, więc to musiało być wieki temu!

Sarah aż się uśmiechnęła.

– Okej, masz rację. Ale jego warsztat bardzo się zmienił od ostatniego razu, gdy tam byłam. Pojawiło się dużo elektronicznego sprzętu i kilku nowych pracowników.

Ku jej zaskoczeniu usta Jade również uniosły się w górę, co przypomniało Sarah o młodszej, niewinnej dziewczynce, którą była jeszcze niedawno.

– I wielu klientów.

– Krąży nad nimi jakaś zła karma – zgodziła się Sarah. W warsztacie była starsza kobieta z małym pieskiem i dwóch mężczyzn. Wszyscy mieli problemy z jazdami. Ta niewielka grupa wypełniała całą recepcję.

– Czy jest w ogóle coś takiego jak dobra karma samochodowa? – zapytała Jade, ale chyba już pogodziła się z losem, który skazywał ją na tymczasowe życie bez auta. No i dobrze.

Do niedawna Jade była wzorową uczennicą. Miała wysoki iloraz inteligencji i interesowała się szkołą. W zasadzie w przyspieszonym tempie przechodziła z klasy do klasy. A potem, jakiś rok temu, odkryła chłopaków i jej oceny zaczęły się pogarszać. Obecnie, mimo że wydawało się to nieco przestarzałe, zafascynowała się kulturą gotów i zakochała się w starszym od siebie chłopaku, któremu z ledwością udało się ukończyć liceum i miał wywalone na wszystko, co nie było muzyką, marihuaną i najprawdopodobniej również seksem. Ten pseudointelektualista wyleciał z college'u i uwielbiał kłócić się o politykę.

Cody Russel był dla Jade wyrocznią.

Sarah była przekonana, że daleko mu do tego.

– Chodźcie, wysiadamy – zachęciła córki.

Jade nawet nie drgnęła. Wyjęła komórkę z torebki.

– Muszę?

– Tak.

– Ale jest upierdliwa – wyszeptała Gracie. Miała dwanaście lat i zaczynała przejawiać pewne zainteresowanie chłopcami, ale wciąż wołała zwierzątka, książki i rzeczy związane ze światem nadprzyrodzonym od płci przeciwnej, przynajmniej na razie. Gracie była obdarzona bujną wyobraźnią oraz wysoką inteligencją, więc także wyprzedzała swoich rówieśników.

– Słyszałam to. – Jade wciąż bawiła się telefonem.

– Ale jest tu trochę strasznie – przyznała Gracie, pochylając się, ponieważ na przednią szybę auta spadły pierwsze krople deszczu.

– Gorzej niż strasznie! – Jade nie ustępowała ani na krok. – O Boże, nie mówcie mi, że nie ma tutaj zasięgu. – Na jej twarzy pojawił się wyraz całkowitej rozpacz.

– Pojawia się – wyjaśniła Sarah.

– Boże, mamó, co to jest? Jakieś średniowiecze? To miejsce jest... okropne. Dupna Posiadłość pod Niebieskim Pawiem.

– Hej! – upomniała ją ostro. – Żadnego przeklinania, pamiętasz?

– Ale, Jezu, mamó...

– Znowu? – warknęła Sarah. – Dopiero zwracałam ci uwagę.

– Okej! – warknęła Jade, po czym spokojniej dodała: – Ale mamó, przyznaj sama. Niebieski Paw to durne imię. Nawet brzmi jakoś tak brudno?

– Skąd ci się to wzięło? – zapytała.

– Tak tylko mówię. – Jade wrzuciła telefon do torby. – Becky powiedziała mi, że dom jest nawiedzony.

– Więc teraz słuchasz Becky? – Sarah zaciągnęła hamulec ręczny i sięgnęła do klamki. Dzień szybko przybierał coraz gorszy obrót. – Wydawało mi się, że jej nie lubisz.

– To prawda. – Westchnęła teatralnie. – Powtórzyłam tylko, co od niej usłyszałam. – Becky była kuzynką Jade, córką starszej siostry Sarah, Dee Linn. – Ale przecież nie mam tu miliarda przyjaciół, co nie?

– Okej, rozumiem. – Według Sarah, Becky nie można było ufać. To była jedna z tych nastolatek, które uwielbiały plotki i podkręcanie sytuacji. Z przyjemnością pakowała innych w kłopoty i ostentacyjnie zwracała na siebie uwagę w towarzystwie. Podobnie jak jej matka. Nic dziwnego, że Becky usłyszała od Dee Linn, że Posiadłość pod Niebieskim Pawiem ma swojego ducha. Tego rodzaju plotki

luźno związane z domem, ale niedotykające jej bezpośrednio i nierujnujące jej życia były typowe dla Dee Linn.

– Według mnie dom wygląda fajnie – zawyrokowała Gracie. – Strasznie fajnie. Jade prychnęła.

– A jakie ty masz pojęcie o tym, co fajne?

– Hej... – Sarah ostrzegła starszą córkę.

Przyzwyczajona do przytyków starszej siostry, Gracie przybrała postawę pasywno-agresywną i zachowywała się, jakby nie usłyszała złośliwości w pytaniu Jade, ale zmieniła temat rozmowy na swój ostatnio ulubiony. – Możemy mieć psa, mamó? – Zanim Sarah odpowiedziała, dodała szybko: – Powiedziałaś, że tak. Pamiętasz? Mówiłaś, że jak się tutaj przeprowadzimy, to poszukamy psa.

– Wydaje mi się, że powiedziałam, że się nad tym zastanowię.

– Jade dostała samochód – zauważyła Gracie.

– To coś innego – warknęła Jade z przedniego siedzenia.

– Nie, nieprawda. – Do matki Gracie zwróciła się jej własnymi słowami. – Obietnica to obietnica, zawsze tak mówisz. – Spojrzała uważnie na matkę i zaczęła gramolić się z tylnego siedzenia.

– Wiem. – Jak mogła zapomnieć o argumencie, który pojawił się, gdy jej młodsza córka skończyła pięć lat. Gracie miała świra na punkcie wszystkich zwierząt. I od zawsze chciała mieć swoje zwierzątko.

Gdy młodsza córka znalazła się poza zasięgiem słuchu, Sarah zwróciła się do Jade.

– Nic by ci się nie stało, gdybyś była miłsza dla siostry.

Jade posłała matce niedowierzające spojrzenie i oświadczyła:

– To będzie do kitu!

– Jeśli tylko na to pozwolisz. – Sarah miała dość niekończącej się kłótni, która zaczęła się w chwili, gdy dwa tygodnie temu oświadczyła, że się przeprowadzają. Oczekała, aż umowa z rodzeństwem dotycząca nieruchomości zostanie zatwierdzona, i wynajęła ekipę, żeby rozpoczęła prace, zanim przekazała wieści dzieciom. – To szansa na nowy początek.

– Mam gdzieś „nowe początki”. To przez ciebie. I dla ciebie. I może dla niej – dodała, wskazując głową coś przed samochodem.

Sarah podążyła wzrokiem w tamto miejsce i zobaczyła, że Gracie podeszła do wybrukowanej ścieżki, gdzie lata temu mlecz i mech zastąpiły łączącą kamienie zaprawę murarską. Zmarniałe krzaki róż przypominały tylko o tym, że dom od lat stał zaniedbany. Niegdyś matka Sarah zajmowała się ogrodami i sadem, na

punkcie których przejawiała obsesję, ale to było lata temu. Teraz na wyschniętym drzewie czereśni w pobliżu domu gościnnego przysiadła wrona i skuliła głowę, chroniąc się przed deszczem.

– Oduść, Jade. Daj mi spokój – westchnęła Sarah.

– Ty mnie też. – Jade przewróciła oczami. Rozpięła pas, a następnie wyjęła komórki i próbowała napisać esemesa. – Niby smartfon, ale do dupy, yy... w sensie do niczego.

– Nie przeklinaj. – Sarah włożyła kluczyki do kieszeni i starała się nie dać wytrącić z równowagi. – Zabieraj swoje rzeczy, Jade. Czy ci się podoba, czy nie, jesteśmy w domu.

– Po prostu nie wierzę, że to moje życie.

Sarah otworzyła drzwi od strony kierowcy, następnie podeszła na tył pojazdu, żeby wyjąć komputer i walizkę z bagażnika.

Ona oczywiście również miała wrażliwości związane z przeprowadzką. Projekt, którego zamierzała się podjąć, czyli odnowienie miejsca i przywrócenie mu dawnej świetności przed sprzedażą, był onieśmielający, być może nawet niemożliwy do przeprowadzenia. Nawet kiedy mieszkała tu ze swoim rodzeństwem, ogromny dom potrzebował wielu napraw. Od śmierci ojca wszystko naprawdę zaczęło się sypać. Farba łuszczyła się z zachodzących na siebie desek, wiele z nich się wypaczyło. Szeroki ganek, który ciągnął się przez cały przód domu, zdawał się przechylać w jedną stronę, brakowało niektórych barierek. W dachu były dziury w miejscach, skąd spadały dachówki.

– Wygląda na nawiedzony – rzuciła Jade przez ramię, po czym wyjęła z bagażnika swoją walizkę na kółkach i niechętnie ruszyła za siostrą. – Zawsze go nienawidziłam.

Sarah powstrzymała się od złośliwego komentarza. Ostatnio, gdy przywiozła tu dzieci, wdała się w kłótnię z własną matką, Arlene. Zawzięta bitwa na słowa stała się przyczynkiem do ich ostatecznego, bolesnego rozstania. Chociaż Gracie była prawdopodobnie zbyt mała, żeby to zapamiętać, Jade z pewnością miała zdarzenie w pamięci.

Gracie doszła już prawie do schodów, ale nagle się zatrzymała, żeby spojrzeć na dom.

– Co do...

– Chodź – rzuciła Jade do młodszej siostry, ale Gracie, ani nie drgnęła, nawet kiedy Sarah dołączyła do córek, a duża, czarna wrona wylądowała na jednej z zardzewiałych rynien.

– Coś się stało? – zapytała matka.

Jade odpowiedziała ochoczo:

– Och, nie, mamo. Wszystko jest doskonale. Pokłóciłaś się z tym zbokiem w pracy i uznałaś, że wszystkie musimy się przeprowadzić. – Pstryknęła palcami. – I ta dam! Stało się. Tak po prostu wynajęłaś komuś nasze mieszkanie w Vancouver i powiedziałaś, że mamy się przeprowadzić na rozpadającą się starą farmę z groteskowym domem, który wygląda, jakby wymyślił go sam Stephen King. Tak, wszystko super. – Jade znowu sięgnęła po telefon. – Musi być tutaj jakiś zasięg, bo jak nie, to ja się wypisuję, mamo. Bez zasięgu jest tu tak... archaiczne i... nieludzko.

– Jakoś przeżyjesz.

Gracie wyszeptała:

– Ktoś tam jest.

– Słucham? Nie, dom stoi pusty od lat.

Gracie zamrugnęła.

– Ale... ale ja ją widziałam.

– Kogo widziałaś? – zapytała Sarah, próbując zignorować maleńki supełek strachu, który zaczął się formować w jej brzuchu.

Jedną ręką wciąż trzymając walizkę, wzruszyła ramionami.

– Dziewczynkę.

Starsza córka posłała Sarah spojrzenie w stylu „mówiłam ci”.

– Dziewczynkę? Gdzie? – rzuciła Jade.

– Tam stała. – Gracie wskazała na górę, na drugie piętro i pokój w północno-zachodniej części domu, tuż pod wieżyczką. – W oknie.

W pokoju Theresy, który znajdował się poza zasięgiem Sarah, gdy była dzieckiem. Supeł w jej żołądku się zacisnął. Jade ponownie spojrzała na matkę, a jej wzrok przywrócił Sarah do teraźniejszości.

– Może to duch? – zakpiła Jade. – Słyszałam, że kręci się ich tutaj sporo. – Podeszła do siostry i pochyliła się nad nią. – I to nie tylko od Becky. Sama mi mówiłaś, że przeprowadziłaś pewne „badania” i odkryłaś, że pierwsza kobieta, która tu mieszkała, została zabita. Jej ciało nigdy nie zostało znalezione, a jej dusza zawsze będzie błąkać się po korytarzach Posiadłości pod Niebieskim Pawiem.

Gracie posłała mamie niepewne spojrzenie.

– No... cóż...

– Och, proszę – parsknęła Jade. – I w chwili, gdy się tu zjawiasz, pojawia się duch.

– Angelique Le Duc naprawdę tu umarła! – wypaliła Gracie.

– Masz na myśli Angelique Stewart – poprawiła ją Jade. – Była żoną naszego szalonego, zabójczego praprapradziadka czy kogoś tam. Sama to mówiłaś.

– Przeczytałam o tym w Internecie – odpowiedziała Gracie, zaciskając usta z niezadowolenia, że została poprawiona.

– Wobec tego to musi być prawda – skwitowała Jade, po czym zwróciła się do matki. – W chwili gdy powiedziałaś nam, że się przeprowadzamy, zaczęła gadać o tych duchach. Wypożyczyła książki z biblioteki, surfowała w sieci, rozmawiała z innymi ludźmi, którzy sądzą, że widzą duchy. Znalazła informacje nie tylko o Angelique Le Duc. O, nie. Byli też tu inni. W tym miejscu – wskazała na dom i jego otoczenie – wprost roi się od duchów, które spotkał żalony koniec w Posiadłości pod Niebieskim Pawiem! – Wiatr rozwiewał włosy Jade, deszcz również się wzmógł. – Widzisz, jakie to niedorzeczne, mamó? Ona teraz wierzy w całe te paranormalne gó... rzeczy i myśli, że będziemy mieszkały z jakimiś nieumarłymi pod jednym dachem!

– Jade... – zaczęła Sarah.

– Zamknii się! – ostrzegła ją Gracie.

– Zachowujesz się jak wariatka – ciągnęła Jade, po czym żarliwie zwróciła się do matki. – Musisz położyć temu kres, mamó. Dla jej dobra. Jeśli zaczniesz bredzić o duchach, duszach i demonach...

– Demonach! – parsknęła Gracie z niesmakiem. – Kto mówił coś o...

– To jedno i to samo gówno – oświadczyła Jade. – Będą się z niej nabijać w szkole.

– Dość! – wrzasnęła Sarah, bo chociaż tym razem zdawało się, że Jade jest naprawdę zaniepokojona swoją siostrą, ona jednak miała już dość nieustannego przekomarzania się córek. Zmuszając się do spokoju, którego nie czuła, powiedziała: – Teraz wchodzimy do środka.

– Nie wierzysz mi? – zapytała urażona Gracie i ponownie spojrzała w górę na okno.

Sarah już zdążyła popatrzeć na okno pokoju, o którym wiedziała, że doszło w nim do haniebných czynów. Ale za brudną, popękaną szybą nie pojawiła się żadna postać. Nikt tam nie stał. Nie było żadnej nadprzyrodzonej zjawy. Żadna „dziewczynka” nie chowała się za zakurzonym szkłem. Jedynie stare zasłony lekko falowały na wietrze.

– Widziałam ją – upierała się Gracie. Między jej brwiami zrobiła się zmarszczka.

– To mogło być jakieś odbicie albo cień – wytłumaczyła Sarah. Wrona głośno zakrakawała, a ona głęboko w sercu wiedziała, że kłamie.

Gracie odwróciła się do Jade.

– Ty ją przestraszyłaś!

– Jasne. Oczywiście, to moja wina. Odwal się ode mnie!

– Ona cię ukarze. – Gracie zmrużyła oczy. – Ta kobieta z okna. Wyrówna rachunki.

– Gracie! – Sarah aż opadła szczęka.

– Wtedy się przekonasz – stwierdziła Gracie, odwracając się do drzwi wejściowych i kończąc rozmowę.

– Masz tu najnowszy – oświadczyła Rhea Clintowi, wchodząc do zagraconego biura znajdującego się w ratuszu w Stewart's Crossing, gdzie Welsh jako inspektor budowlany nadzorował wszystkie budowy i renowacje mające miejsce w mieście i poza jego granicami. Czasem podpisywał umowy z hrabstwem i nadzorował prace na położonych dalej terenach. – To może cię szczególnie zainteresować. – Uniosła cienko wyskubaną brew na tyle wysoko, że znalazła się ponad oprawką jej okularów. – W twoim sąsiedztwie.

– No nie mów. U Stewartów.

– Klejnot Kolumbii – potwierdziła z przekąsem, kręcąc głową, ale jej krótkie, rude włosy ani drgnęły.

Ścisnęło go w żołądku.

– Może Doug chciałby się tym zająć.

– Sądziłam, że nie cierpisz Douga?

– To zbyt mocne słowo – odparł Clint. – Po prostu nie wybrałbym go w pierwszej kolejności na swojego zastępcę. – Nie był pewien, dlaczego nie ufał Dougowi Knowlesowi, ale facet, którego szkolili, aby mógł kiedyś przejąć jego stanowisko, wydał mu się zbyt zielony, zbyt nachalny i cholernie pazerny, by był w stanie poświęcić wystarczającą uwagę każdemu kontrolowanemu miejscu. Było w nim też coś tajemniczego. Clint podejrzewał, że Doug wybrałby drogę na skróty, być może zaniedbałby pewne szczegóły. – Po przemyśleniu, jednak sam zajmę się projektem Stewartów.

– Tak sądziłam – powiedziała, krzywiąc lekko czerwone wargi. – Oj, czekaj! – Wybiegła z pomieszczenia i wróciła po chwili z miseczką z cukierkami, którą postawiła na skraju jego biurka. – Cukierki na Halloween dla klientów, którzy lubią słodkie.

– Nie potrzebuję ich.

- Oczywiście, że potrzebujesz. To ta pora roku. Nie bądź takim Grinchem.
- Wydawało mi się, że to postać związana z Bożym Narodzeniem.
- Z jakimkolwiek świętem. W tym przypadku z Halloween. – Rozpakowała mały batonik o nazwie Trzej Muszkieterowie i wsadziła go do ust.
- No dobrze, wobec tego jestem Grinchem. Ale nie musisz mnie nienawidzić.

Śmiejąc się, puściła do niego oko, odwróciła się i wyszła do recepcji budynku, w którym mieściły się wszystkie biura miejskie. Powstał w połowie zeszłego wieku, został zbudowany ze szkła i wąskich, jasnych cegieł. Miał płaski dach i mieścił sześć różnych biur, których drzwi wychodziły na centralnie położoną recepcję. Pomieszczenia były niskie, wyłożone na sufitach dźwiękoszczelnymi płytkami, oświetlone jarzeniówkami, a na podłogach leżało linoleum, które było popularne w latach sześćdziesiątych. Było po nim widać całe dekady użytkowania.

– Tylko spójrz. – Rhea oddaliła się na wysokich obcasach, bo rozdzwonił się telefon. Pochyliła się nad biurkiem i podniosła słuchawkę, zanim zadzwonił po raz drugi. Zrobiła to celowo, jak podejrzewał, wiedząc, że wciąż na nią patrzy. Dzięki temu mógł zobaczyć, jak spódnica opina się na jej tyłku. – Ratusz w Stewart's Crossing – odezwała się uroczym tonem. – Mówi Rhea Hernandez.

Miała ładny tyłek, musiał jej to oddać, ale nie był zainteresowany.

Była atrakcyjna i bystra. Trzy razy wychodziła za mąż i trzy razy się rozwodziła. Teraz szukała męża numer cztery, będąc w dojrzałym wieku czterdziestu dwóch lat. To nie będzie Clint. Podejrzewał, że już o tym wie. Rhea jednak bardziej flirtowała z nawyku niż z przekonania.

– Przykro mi, pani burmistrz nie ma. Czy mam coś przekazać? Można też napisać bezpośrednio do pani burmistrz – mówiła Rhea, rozprostowując kabel i obchodząc biurko, żeby zająć swoje miejsce. Zniknęła mu z oczu, ale usłyszał, jak podaje adres mailowy burmistrz Leslie Imholt.

Podniósł stos papierów, który położyła na jego biurku. Były tam plany kompletnej renowacji Posiadłości pod Niebieskim Pawiem, historycznego budynku stojącego na posesji sąsiadującej z jego własnym ranczem. Nie zdziwił się, bo zdążył usłyszeć, że Sarah wraca, żeby wykonać remont generalny rodzinnego domu Stewartów. Wstępne plany trafiły już do inżyniera miejskiego i czekały na zatwierdzenie. Te tutaj musiały być poprawkami do wstępnych planów. Roboty od cholery, miał tego świadomość. Ale że Sarah się tego podjęła i wróciła do miejsca, które tak bardzo chciała opuścić? Zerknął w dokumentację i uznał, że będzie musiał sprawdzić, jakie prace zostały już wykonane w mniejszym budynku znaj-

dującym się na tamtej nieruchomości – w domu gościnnym, jak nazywali go Stewartowie.

Dopóki burmistrzynie nie zatrudniła Douga Knowlesa, Clint był jedynym inspektorem w tej części hrabstwa i sam doglądał wszystkich prac. Teraz mógł przydzielać robotę Dougowi, jeśli tylko chciał. Clint uznał jednak, że to nie byłby najlepszy pomysł. Na pewno nie w tym przypadku.

Ale jeśli sam zajmie się Posiadłością pod Niebieskim Pawiem, bez wątplenia ponownie spotka się z Sarah.

Marszcząc brwi, wziął cholernego cukierka, rozwinął malutki batonik Kit Kat i rozparł się na krześle. Nie widział się z Sarah od lat. Jeśli miał być szczerzy ze sobą, wiedział, że ich rozstanie nie przebiegło w najlepszej atmosferze. Włożył cukierka do ust, po czym zgniótł paperek i wrzucił go do kosza.

Szkolny romans, pomyślał. Tak intensywny, a jednocześnie nic nieznaczący.

Dlaczego więc wspomnienie zdawało się tak świeże, jakby nie upłynęło od niego pół życia?

Zadzwoił telefon na jego biurku. Ochoczo sięgnął po słuchawkę i odgonił myśli o Sarah Stewart i ich nieudanym romansie w najdalsze zakamarki swojego umysłu.

ROZDZIAŁ 2

– Wystarczy, spadam stąd – powiedziała Rosalie, zdejmując fartuch i rzucając go do kosza, gdzie leżały inne zabrudzone ręczniki, fartuchy, bluzki i ścierki, które miały zostać wyprane w nocy i przygotowane na poranną zmianę w trzygwiazdkowej restauracji. Zdjęła buty, które nosiła w pracy, odstawiła je na półkę i zasznurowała nowe i lśniące najki, w których miała udać się do domu. – Do zobaczenia.

Położona kilka przecznic od rzeki restauracja została nazwana Columbia Diner dobre milion lat temu przez jakiegoś prostaka bez wyobraźni. Znajdowała się przy parkingu dla ciężarówek mniej więcej pół kilometra za Stewart's Crossing. Rosalie spędziła ostatnie sześć miesięcy, pracując tam jako kelnerka. Obsługiwała stałych klientów i tych, którzy tylko zatrzymywali się w drodze. Nienawidziła swoich godzin pracy oraz zapachu tłuszczu i przypraw, którymi śmierdziała jej skóra. Musiała spędzić pod prysznicem co najmniej dwadzieścia minut, żeby się ich pozbyć. Ale zawsze była to jakaś praca, jedna z niewielu w tym beznadziejnym, prowincjonalnym mieście.

Jak na razie musiała wystarczyć, dopóki nie odłoży dość pieniędzy, żeby wyjechać ze Stewart's Crossing na zawsze. Nie mogła się tego doczekać.

– Czeka! – Gloria, kobieta po pięćdziesiątce, zawsze cuchnąca papierosami, dogoniła Rosalie, zanim ta zdążyła wyjść, i włożyła jej do ręki kilka dolarów i jakieś drobniaki. – Nigdy nie zapominaj o swojej doli z napiwków – nauczyła dziewczynę, puszczając do niej oko. – Dzięki nim mam te wszystkie diamenty i futra – dodała.

– No racja. – Rosalie musiała się uśmiechnąć. Gloria była fajna, nawet jeśli bez przerwy narzekała, ile czasu musi pracować, zanim uzbiera dość pieniędzy na składkę zdrowotną i ubezpieczenie społeczne i wszystkie te inne nudne rzeczy. Ta sfrustrowana fryzjerka zmieniała kolor włosów i fryzurę mniej więcej co miesiąc i wzięła Rosalie pod swoje skrzydła, kiedy do restauracji przyszło kilku chłopaków z miejscowej szkoły i zaczęło napastować ją obscenicznymi komentarzami i gestami. Gloria powiedziała, że ich nie obsłuzi, i wyrzuciła ich z podkulonymi ogonami za drzwi. Cała ta sytuacja sprawiła, że w szkole zrobiło się jeszcze

gorzej, ale Rosalie rozwiązała ten problem przez opuszczanie niektórych zajęć lub nieprzychodzenie w ogóle na lekcje.

– Jeśli poczekaś z pół godziny, podwożę cię do domu – zaproponowała Gloria, wyjmując z paczki nowego papierosa i zerkając w ciemność za drzwiami. – Muszę tylko trochę posprzątać.

Rosalie się zawahała. Wiedziała, że droga do domu zajmie jej co najmniej dwadzieścia minut marszu boczną drogą ciągnącą się równolegle do międzystanowej. Jednak pół godziny Glorii zwykle przeciągało się do godziny lub dwóch, a Rosalie chciała już wrócić do siebie, wejść na górę, rzucić się na łóżko i obejrzeć kolejny odcinek *Big Brothera*, reality o Kardashianach lub jakiś inny film na swoim beznadziejnym, małym telewizorze. Poza tym Gloria zawsze zapalała papierosa, w chwili gdy siadała za kółkiem, a było zbyt zimno, żeby opuszczać szybę w jej starym dodge'u.

– Jednak już pójdę, dzięki.

Gloria zmarszczyła brwi.

– Nie lubię, jak chodzisz sama w ciemności.

– Już niedługo – przypomniała jej Rosalie, wkładając gotówkę do kieszeni kurtki, którą zdjęła z haczyka wbitego obok otwartych tylnych drzwi. – Zamierzam odkupić toyotę od wujka. Trzyma ją dla mnie. Potrzebuję jeszcze trzystu dolców.

– Zaczyna padać.

– Nic nie szkodzi, naprawdę.

– Uważaj na siebie. – Gloria ściągnęła brwi pod grzywką w kolorze słomy. – Nie lubię, jak tak łazisz po zmroku.

– Nic mi nie będzie. – Rosalie zasunęła suwak kurtki i wyszła w ciemność, zanim Gloria wytoczyła kolejne argumenty. Gdy drzwi restauracji się za nią zamknęły, usłyszała, jak Gloria mówi do kucharza, Barry'ego:

– Nie wiem, co jej mama sobie myśli, skoro pozwala dziewczynie chodzić samej o tej porze.

Sharon nic nie myślała. Na tym polegał problem. Jej mama w ogóle nie myślała o Rosalie przez gównianego Mela, swojego obecnego męża, przysadzystego, gburowatego mężczyznę, o którym Rosalie myślała jako o Numerze Cztery. Był przegrywem podobnie jak pozostali mężowie jej matki, ale Sharon jak zwykle uważała, że Mel jest „tym jedynym”, i widziała w nim swoją bratnią duszę, co było wierutną bzdurą. Nikt zdrowy na umyśle nie uznałby Mela Updike'a, otyłego piwosza siedzącego przed telewizorem, za swoją bratnią duszę. No chyba że jakiś bezmózg. Mel miał całkiem fajny motocykl, na którym nigdy nie mogła jeździć,

i to była jedyna fajna rzecz z nim związana. Sytuacji nie poprawiał fakt, że Mel patrzył na Rosalie z lubieżnym błyskiem w oczach. Facet był już ojcem pięciorga dzieci, które miał z byłymi żonami i dziewczynami rozsianymi od Los Angeles po Seattle. Rosalie doświadczyła wątpliwej przyjemności poznania większości z nich i natychmiast ich zniecierzyła. Wszyscy byli „małymi Melami”, przegrywami takimi samymi jak ich rozlaży ojciec z owłosionym, obleśnym brzuchem. Rany, czy ten facet nie miał pojęcia o depilacji? I o tym, że nie beka się przy stole?

Bratnia dusza. Co za cholerny idiotyzm!

Sharon chyba na głowę upadła.

Rosalie wsadziła ręce głęboko w kieszenie i wymacała inny plik gotówki, który zachomikowała w podszewce kurtki z kapturem podarowanej jej przez prawdziwego ojca. Nigdy nie spuszczała tej kurtki z oczu, bo schowała w niej prawie dziewięćset dolarów. Musiała uważać, żeby Mel albo jeden z jego dzieciaków o lepkich paluszkach nie zwinął jej pieniędzy, które odkładała na auto. Zabroniono jej kupna samochodu, dopóki nie będzie mogła zapłacić za toyotę z góry i pokryć kosztów rejestracji oraz ubezpieczenia na pół roku.

To wszystko było do dupy.

Całe jej życie było do dupy.

Deszcz padał dużymi kroplami, uderzał ją w policzki, rozpryskiwał kałuże, moczył drobne kamienie chrześzczące pod jej stopami. Aż zaczęła żałować, że nie poczekała na Glorię. Lepiej było wdychać dym papierosowy niż maszerować w zimnym deszczu.

Nie mogła się doczekać wyjazdu z tej dziury, do której zaciągnęła ją matka w pogoni za śliskim Melem. Kopiąc kamyki na poboczu, zazdrościła ludziom jadącym w samochodach po międzystanowej. Ich światła rozświetlały ciemność, ich opony szumiały na mokrym asfalcie, ich życie toczyło się pełną parą, podczas gdy jej stało w miejscu.

Ale wszystko się zmieni, gdy już będzie miała swój samochód. Skończy osiemnaście lat i opuści Sharon i owłosionego Mela. Wyruszy do Denver, gdzie mieszka jej tata i chłopak, którego poznała przez Internet.

Trzysta dolarów i pięć miesięcy.

Tyle jej było potrzeba.

Uderzył w nią powiew wiatru, aż się wzdrygnęła. Może powinna zawrócić i wsiąść do auta Glorii. Obejrzała się przez ramię, ale neonowe światła restauracji były już niewidoczne. Znajdowała się w połowie drogi do domu.

Ruszyła truchtem.

Jakiś samochód zjechał na boczną drogę i zaczął ją doganiać. Wyraźnie widziała jego przednie światła. Zeszła na pobocze, lekko ślizgając się w swoich nakach. Pomimo deszczu usłyszała warkot dużego silnika i uświadomiła sobie, że to nie samochód osobowy, lecz ciężarówka. W pobliżu Stewart's Crossing jeździły ich setki. Spodziewała się, że pickup przejedzie obok niej i opryska ją wodą, ale zwolnił, gdy ją mijal.

Jedź sobie, pomyślała. Zwolniła do marszu i szła, dopóki nie zobaczyła, że jego światła hamowania robią się czerwone.

I co teraz?

Szła dalej, zamierzając wyminąć ciemną ciężarówkę. Maszerowała równym krokiem, mając nadzieję, że to, iż facet się zatrzymał, jest tylko zbiegiem okoliczności. Ale nie było tak dobrze. Szyba od strony pasażera zjechała w dół.

– Rosie? – Z kabiny dobiegł znajomy głos. – Czy to ty?

Idź dalej.

Nie podniosła wzroku.

– Hej, to ja. – W kabinie zapaliło się światło i rozpoznała kierowcę, wysokiego mężczyznę, który często przychodził do restauracji. Teraz przechylił się w jej stronę, żeby zagadać. – Podwieźć cię?

– Nie, mieszkam niedaleko.

– Przemokłaś do suchej nitki – zauważył z troską.

– Nie jest tak źle.

– Och, wskakuj. Podwiozę cię. – Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi.

– Ja nie...

– Jak chcesz, ale jadę obok twojego domu.

– Wiesz, gdzie mieszkam? – To było dziwne.

– Mówiłaś, że przy Umpqua.

Naprawdę mu powiedziała? Może.

– Sama nie wiem. – Pokręciła głową i poczuła zimny deszcz spływający po policzku. Zerknęła na otwarte drzwi pickupa. Czysto. Ciepło. Sucho. Z radia cicho sączyła się jakaś piosenka.

– Będiesz w domu za trzy minuty.

Nie rób tego!

Znowu uderzył w nią wiatr, więc odepchnęła od siebie wszelkie wątpliwości. Znała tego faceta. Obsługiwała go, odkąd zaczęła pracę. Był jednym z przystoj-

niejszych stałych klientów. Zawsze miał dla niej komplement i uśmiech i zostawił niezłe napiwki.

– Dobrze.

– Mądra dziewczyna.

Wsiadając do ciężarówki, poczuła na skórze ciepło z nawiewu i rozpoznała piosenkę Randy'ego Tralisa płynącą z głośników. Chciała zatrzaskać drzwi, ale zamek nie zaskoczył.

– Czekaj, ja to zrobię – zaproponował. – Co za cholerstwo. – Pochylając się nad nią, pociągnął drzwi. – Szarpnij, dobrze? – W chwili gdy pociągnęła za klamkę, poczuła coś zimnego i metalicznego zaciskającego się na jej nadgarstku.

– Hej, co, do cholery, robisz? – zapytała. W jej żyłach popłynął strach. Szarpnęła ręką i uświadomiła sobie, że została przykuta do drzwi. – Co to jest?

– Uspokój się.

– Co to jest, do cholery? – Była wściekła i wystraszona. Próbowwała otworzyć drzwi, ale były zamknięte. – Wypuść mnie, skurwysynu!

Wtedy ją uderzył, szybko i mocno, wierzchem dłoni zdzielił ją prosto w usta.

Krzyknęła stłumionym głosem.

– Żadnego przeklinania – ostrzegł ją.

– Słucham? Żadnego czego? – Zamachnęła się na niego wolną ręką, ale złapał ją za nadgarstek.

– O-ho-ho, skarbie. Jeszcze dużo się musisz nauczyć. – Wciąż trzymając jej nadgarstek jedną ręką, wrzucił bieg i ruszył w stronę wjazdu na międzystanową.

– Wypuść mnie! – krzyczała, kopiąc deskę rozdzielczą, rzucając się w przód i w tył i krzycząc ile sił w płucach. Podeszwą buta trafiła w jakiś przycisk w radiu i w kabinie rozległa się reklama.

Boże drogi, co to to znaczy? Co zamierzał z nią zrobić?

Spanikowana, próbowała wymyślić jakiś sposób, by wydostać się z tej sytuacji. Jakikolwiek sposób.

– Mam pieniądze – powiedziała, myśląc o gotówce w kieszeni. Cały czas jednak walczyła i się szarpała. Niestety, bezskutecznie. Trzymał ją cholernie mocno.

– Nie chodzi mi o twoje pieniądze – odpowiedział spokojnym, pewnym siebie tonem, który teraz wydał jej się całkowicie przerażający. Jego uśmiech był równie zimny jak wiatr wiejący w wąwozie rzeki Kolumbii. – Chodzi o ciebie.

– Mamo! – Krzyk Gracie słyszeć było w całym domu. – Mamo!

Sarah otworzyła oczy, serce jej dudniło.

– Gracie? – krzyknęła, zrywając się z podłogi, na której spała w śpiworze. W pokoju było ciemno. Wygasający w kominku żar rzucał krwistoczerwony blask na ściany. – Gracie? – zapytała, jedną ręką macając leżący obok śpiwór, a drugą sięgając po latarkę. – Gdzie jesteś?

Śpiwór był pusty.

Po plecach przeszedł jej dreszcz.

– Grace? – Zabrała latarkę i w jednej chwili stanęła na nogi. – Grace? – zawołała ponownie. Serce wyrywało się z jej piersi.

– Tutaj! – usłyszała spanikowany krzyk i udała się w jego stronę, oświetlając latarką podłogę w korytarzu przed sobą. Serce jej dudniło ze strachu.

– Już idę!

– Pospiesz się, mamó! – krzyczała Gracie. – Jestem tutaj, na górze!

Sarah dotarła do schodów, włączyła kinkiety dające słabe, przytłumione światło i spowijające schody miękką, złocistą poświatą. Wspinała się po dwa stopnie naraz.

– Gracie! Gdzie jesteś?

– Na schodach – odpowiedziała jej córka, brzmiąc spokojniej, jakby bardziej się kontrolowała.

Sarah dotarła na półpiętro i znalazła córkę leżącą na schodach prowadzących na drugie piętro. Była biała, drżała, szeroko otwierała oczy i kulila się przy ścianie, która wciąż była pokryta wypłowiałą, łuszczącą się tapetą. Prawą ręką ścisnęła barierkę nad głową, jakby potrzebowała podpory przed upadkiem z wydeptanych, drewnianych schodów.

– Wszystko w porządku? – zapytała Sarah, obejmując swoje dziecko i przyciągając je do siebie. – Co się stało?

– Widziałam ją.

– Kogo?

– Widziałam ducha.

– Ducha? – powtórzyła Sarah.

– Tak! – Gracie nie miała wątpliwości. Jej drobne ciało drżało w objęciach matki. – Wstałam, żeby pójść do łazienki. Coś zobaczyłam na górze i poszłam tam.

– To był duch?

– Tak, przecież już powiedziałam. – W głosie Gracie słychać było desperację, której Sarah wcześniej nie słyszała. – Była ubrana na białą, miała długą sukienkę

i biegła. Wyglądała, jakby leciała. I ja... ja poszłam za nią, ale ona zniknęła i... – Wtuliła się w matkę – Spanikowałam.

– Już dobrze – uspokoiła ją Sarah, spoglądając w górę na drugie piętro domu, którego unikała przez większość swojego życia. Rozumiała panikę, strach i wiarę w duchy w tej posiadłości.

– Nie wierzysz mi?

– Oczywiście, że ci wierzę, kochanie. Wiem, że coś widziałaś, ale nie wiem, co to było. Miewasz koszmary – przypomniała Gracie łagodnie. – I czasami lunatykujesz.

– To było coś innego.

– Zawsze tak mówisz. Chodź, zejdziemy na dół. – Sarah pomogła córce wstać, a Gracie odważyła się spojrzeć ponad ramieniem matki na wyższe piętro. – Ona jest prawdziwa, mamó – powiedziała, teraz już swoim zwykłym głosem. Normalnie w dziennym świetle, była dzieckiem, które prawie niczego się nie bało. Była chłopczycą, z pasją uprawiała sporty i zaciekle broniła swoich racji w każdej kłótni, czasami sprzecząc się nawet z nauczycielami. „Trzyma się trochę na uboczu”, „jest indywidualistką” i „zawsze stawia na swoim” – tak określali ją nauczyciele. Ponadto mówili o niej, że jest uparta i że odmawia wykonywania poleceń. Gdyby Gracie nie była taką dobrą uczennicą, która pochłaniała książki, niektóre z tych cech mogłyby jej przysporzyć kłopotów w szkole.

Nocami jednak Grace nawiedzały niepokoje i obawy, które sprawiały, że wydawała się młodsza, niż była w rzeczywistości. Jej koszmary jeszcze się wzmożyły od rozvodu Sarah i Noela i jego wyprowadzki w inną część świata, do Savannah.

Oświetlając sobie drogę latarką, zeszyły do salonu, gdzie ulokowały się na noc. Gdy Gracie weszła do swojego sypialni, Sarah dodała do ognia kilka kawałków drewna dębowego, które wraz z podpalką znalazła w drewnutni stojącej w pobliżu tylnego ganku. Drewno na opał składowano w niej od lat. Prawdopodobnie pochodziło jeszcze sprzed śmierci taty. Klocki dębu i jodły były zakurzone i pokryte pajęczynami, więc szybko się paliły.

– Co się stało? – zapytała Jade, unosząc rozczochraną głowę i zerkając na trzaskający ogień. Jego głośne płomienie zachłannie pochłaniały kawałki drewna, oświetlając pomieszczenie.

– Nic – odpowiedziała Grace.

– Słyszałam, że krzyczysz. – Jade usiadła na posłaniu.

– Nie krzyczałam. Tylko zawołałam mamę.

– Kolejny koszmar? – domyśliła się Jade, ziewając.

– Nie. – Gracie wysunęła brodę do przodu.

– Boże, która jest godzina? – Jade zerknęła na telefon i przewróciła oczami. – Wpół do drugiej. Naprawdę nie wierzę, że zasnąłam. Co się stało?

– Gracie zgubiła się w drodze do łazienki – wyjaśniła Sarah.

– Zgubiła się? Jak mogła się... – Jade zmarszczyła brwi. – O, Boże, nie mów! Niech zgadnę. Znowu wydawało ci się, że widzisz ducha, prawda?

Gracie otworzyła usta, ale szybko je zamknęła.

– Na miłość boską. To miejsce jest dziwne, to prawda, ale nie ma tu duchów. To oczywiste, że ktoś mógł tu kiedyś umrzeć, może wiąże się z tym domem jakaś tajemnica, ale nie ma żadnych cholernych duchów.

– Nie mówmy już o tym – zaproponowała Sarah.

– Tak, zamieć to pod dywan – marudziła Jade. – Udawaj, że to nie jest problem. Świetny pomysł, mamo. – Posłała siostrze jeszcze jedno spojrzenie. – Tylko nie gadaj o tym, kiedy będziesz chciała się z kimś zaprzyjaźnić w szkole, bo pomyślą, że jesteś walnięta.

– Dość, Jade – uciszyła ją Sarah. – Wracaj do spania.

– Taka jest prawda – wymamrotała Jade, ale odwróciła się plecami do matki i zakopała w swoim śpiworze.

– Śpimy, jest późno, a my musimy wcześniej wstać – zaordynowała Sarah.

– Dlaczego? – zapytała Gracie podejrzliwie.

– Bo mamy dużo do zrobienia.

– Ale nie ma szkoły – upewniła się młodsza córka.

– Jutro nie – zgodziła się. – Ale jeśli będziesz chciała porozmawiać z tatą, zanim pójdzie do pracy, to musisz wcześniej wstać.

– W Savannach jest trzy godziny później – wyrecytowała Gracie. zanim Sarah wypowiedziała te słowa.

– No właśnie – potaknęła.

– Okej. – Gracie poprawiła poduszkę, po czym położyła się i zamknęła oczy. Sarah przysunęła swój śpiwór bliżej starej kanapy i oparła się o nią plecami, patrząc na ogień. Miała wrażenie, że dom się do niej zbliża. Przychodzą wspomnienia, te dobre i te złe. Na jej rękach pojawiła się gęsia skórka. Cienie w kątach pokoju, w miejscach, do których nie docierało światło rzucane przez ogień, przypomniały jej o własnych strachach z dzieciństwa. Doszło wtedy do tego „zdarzenia” na tarasie. Zdarzenia wciąż tkwiącego w zakazanej części jej pamięci, nad którym nie miała zamiaru się zastanawiać. Przynajmniej nie tej nocy.

Przesuwając się tak, żeby widzieć obie córki, zbesztala się w myślach za to, że nie była szczerą z Gracie. Powinna była przyznać, że ona także widziała coś, co można by opisać jako ducha. Było to na tych samych schodach. Przez lata sądziła, że traci rozum. Tym bardziej że reszta rodziny się z niej naśmiewała i mówiła, że to tylko złe sny albo głupie wymysły. Najgorszy był głośny szept jej własnej matki, Arlene, która wyznała Dee Linn, że według niej Sarah wymyśla sobie różne historie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Właśnie tak robi, wiesz? A najsmutniejsze jest to, że to działa na waszego ojca – wyszeptala na tyle głośno, żeby Sarah mogła ją usłyszeć. Niestety, oskarżenie trafiło w czuły punkt, a Sarah wysnuła z tego wniosek, żeby już więcej nie mówić o tym, co zobaczyła. Tak jak chciała tego Arlene.

Modliła się, aby nie popełnić tego samego błędu ze swoimi dziećmi. Od czasu do czasu słyszała, że wypowiada te same słowa, co Arlene, i aż się kuliła w środku.

Nie jesteś taka jak ona. Wiesz o tym. W końcu uda ci się wyjaśnić wszystko córkom. Uda ci się. Ale musi nadejść właściwa pora...

Skrzywiła się. Przypominała Arlene bardziej, niż chciała się do tego przyznać.

ROZDZIAŁ 3

Na szczęście Gracie przespaa resztę nocy i nawet Sarah zasnęła w końcu koło drugiej. Obudził ją dźwięk leżącej na podłodze wibrującej komórki. Nie odebrała jednak, gdy zobaczyła, że dzwoni Evan Tolliver.

Evan był jednym z powodów, dla których wyjechała z Vancouver.

Poważnym powodem.

Był jej szefem i naciskał, żeby się z nim umówiła. Tak zrobiła, a potem tego żałowała. Praktycznie od samego początku chciał, jak to ujął, „przenieść ich związek na kolejny poziom”. Sarah zauważyła, że nie są w żadnym związku i kolejnych poziomów nie będzie. Ale on nigdy nie pojął jej aluzji, a czas spędzany przez nią w biurze Tolliver Construction stał się bardzo niekomfortowy. Oglądnie mówiąc, jako syn i namaszczony dziedzic firmy, Evan sądził, że jest dla niej partią nie do odrzucenia. Mylił się. Ale ona także. Błędem było już samo pójście z nim na randkę, a ona idiotycznie powtórzyła swój błąd, przyjmując zaproszenie na kolejną kolację.

Na trzeciej randce poruszył temat małżeństwa, ale znacząco puścił do niej oko i powiedział, że chciałby się „z nią związać”. W jego oczach dojrzała na wpół poważny błysk, więc odpowiedziała, że to się nie uda. Następnie oświadczyła wprost, że nie chce się z nim więcej spotykać. Uznał to za wyzwanie. Próbował pozyskać jej względy, nie wierząc, że naprawdę mu odmówiła. Wobec tego, po miesiącu rozważania różnych opcji, dogadała się z rodzeństwem i przeprowadziła się z powrotem do miasta, o którym zawsze mówiła, że go nienawidzi i nigdy w nim więcej nie zamieszka.

– Nigdy nie mów nigdy – powiedziała sobie teraz, wkładając dzinsy i sweter. Następnie obeszła kartony, stare meble oraz zbyt wiele wspomnień i ruszyła do kuchni.

Pomieszczenie było w katastrofalnym stanie, jak reszta domu. Ale udało jej się namierzyć ekspres do kawy, który zabrała ze swojego mieszkania. Na kilka minut puściła wodę w poplamionym zlewie i odszukała torbę mielonej kawy oraz zakupione filtry. Gdy już je miała pod ręką, włączyła ekspres do prądu. Na szczęście w domu wciąż był prąd i bieżąca woda. Chociaż stary piec wyzionął ducha,

więc były skazane na kominek, dopóki w przyszłym tygodniu nie przeprowadzą się do domu gościnnego.

Gdy kawa się parzyła, Sarah poszła umyć zęby. Przemysła też twarz zimną wodą i szybko związała włosy w kucyk. Następnie spojrzała na siebie w lustrze wiszącym nad popękana umywalką wspartą na cokole. Nie wyglądała korzystnie, pomyślała, zauważając cienie pod oczami i bladość skóry po kiepsko przespanej nocy. W dziennym świetle przypominała bardzo swoją matkę. Co, jak sądziła, nie było aż tak straszną rzeczą. Arlene Bennett w młodości była zachwycającą kobietą. A geny Bennettów były tak silne, że każde z jej dzieci zrodzone z obu mężów, wdało się w matkę. Sarah mylono ze starszą siostrą Dee Linn i mówiono jej, że jest sobowtórem swojej przyrodniej siostry Theresy, najstarszej z rodzeństwa. Sarah miała silną szczękę, wysokie kości policzkowe i dzikie, brązowe loki, które zwykle poskramiała, wiążąc je w kok. Podслуchała kiedyś, że ma „nawiedzone” oczy, ale się tym nie przejęła. Były duże i szare, podczas gdy jej rodzeństwo miało bardziej niebieskie tęczęwki. Ale żeby od razu nawiedzone? Nie-dorzeczne.

Powietrze przesycił zapach kawy. Gdy Sarah nalała jej sobie do kubka, uznała, że główny dom jest w jeszcze gorszym stanie, niż sądziła. Ze smutkiem musiała przyznać, że uwaga Jade, iż Posiadłość pod Niebieskim Pawiem wygląda jak żywcem wyjęta z hollywoodzkiej wersji nawiedzonego domu, nie mijała się z prawdą.

Chociaż udało jej się znaleźć główny zawór i przywrócić bieżącą wodę, rury trzeszczały i jęczały, a ciepła woda w najlepszym razie była letnia. Dom, co prawda, był podłączony do prądu, a stara pompa działała, ale nic nie dało się zrobić w sprawie zasięgu, co doprowadzało Jade i Gracie do szału. Mogły korzystać z iPhone'a i iPada jedynie w niektórych miejscach w domu, ale dopóki lokalna firma telekomunikacyjna nie podłączy Internetu, linii telefonicznej oraz telewizji, na którą czekały z utęsknieniem, były w ciemnej dupie, jak elokwentnie wyraziła się Jade, opisując swoje życie w tym domu.

– Nie ma wi-fi? Nie ma światłowodu? Chyba sobie żartujesz? – rzuciła, kiedy uświadomiła sobie, że stara posiadłość nie ma dostępu do tych usług. – Spodziewasz się, że będę mieszkała w takim mauzoleum i chodziła do jakiejś głupiej szkoły parafialnej, nie mając w domu dostępu do Internetu? – Oskarżycielsko spojrzała na matkę dużymi, orzechowymi oczami. – To jakieś szaleństwo. To naprawdę jest nie do pomyślenia!

– Musimy jakoś przetrzymać kilka dni – powiedziała Sarah, krzyżując palce na wypadek, gdyby ją okłamywała. – Postaram się, żeby podłączono wszystkie usługi. Jestem pewna, że komórki tu działają. – Wykonała przy tym ruch ręką su-

gerujący, że zasięg nie jest zbyt dobry. – A jeśli chodzi o szkołę, to już o tym rozmawialiśmy.

– W sensie, że przekazałaś mi swoją decyzję – poprawiła ją Jade.

– No cóż, szkoła państwowa nie do końca ci pasowała, prawda?

Jade chciała zaoponować i już otworzyła usta, ale po chwili je zamknęła. Odechnąwszy głęboko, oświadczyła:

– Dobrze, jak chcesz. Mam to gdzieś. – Po czym wybiegła i ukryła się w jedynym nadającym się do zamieszkania pokoju na pierwszym piętrze. Potem i tak zeszła na dół do siostry i matki pozostających w salonie, gdzie mogła rozkoszować się ciepłem bijącym od kominka.

Tak było wczoraj.

– Nowy dzień, nowe możliwości – powiedziała sobie Sarah, sącząc czarną kawę i żałując, że nie kupiła żadnego zabielaacza. Rozejrzała się po kuchni. Szary świt przenikał przez okna w kąciaku śniadaniowym. Postanowiła, że później zajmie się sprzątaniami, na razie zamierzała szybko przejść się po domu, żeby zorientować się, w jakim stanie są wszystkie pomieszczenia. A gdy już wyrobi sobie wstępną opinię, będzie mogła podjąć decyzję, w jakiej kolejności zająć się naprawami. Wtedy przejdzie przez każde piętro ponownie i zrobi dokładne notatki. Zapisze, co trzeba wyczyścić, naprawić, ulepszyć, zamontować, żeby móc zdać raport rodzeństwu, swoim nie aż tak biernym partnerom w tym projekcie.

Jacob i Joseph, identyczni bliźniacy, którzy mieli zupełnie odmienne charaktery, popierali pomysł renowacji. Jednakże Dee Linn nie była zbyt chętna do wykładania pieniędzy na naprawę starego domu.

– Walter dostanie zawału, jeśli przeznaczę na to choćby jednego centa – oznajmiła żarliwie, kiedy Sarah zadzwoniła do niej pod koniec lata. Walter od prawie dwudziestu lat był mężem Dee Linn i to on rządził w domu. – Ja... po prostu nie mogę.

– Wobec tego pokryję twój udział, ale będziesz moją dłużniczką – stwierdziła Sarah.

– Nie widzę sensu w naprawianiu tej rudery.

– To inwestycja. Jesteś właścicielką jednej czwartej. – To była prawda. W testamencie Franklina stało czarno na białym, że po jego śmierci dom i nieruchomości przypadają jego dzieciom. I chociaż Arlene była zde gustowana tym rozwiązaniem, nie miała prawnej możliwości sprzeciwienia się jego woli. Mimo to mieszkała w domu po śmierci męża. Żadne z dzieci nie chciało zmuszać jej do wyprowadzki, dopóki jej zdrowie się nie pogorszyło do takiego stopnia, że nie mogła już sama mieszkać.

Niestety nie była w stanie lub też nie chciała dbać o stan domu.

– Wiem, wiem – zgodziła się Dee Linn. – Nie chciałabym zachowywać się nierozsądnie, serio, ale Walter zabije mnie, jeśli dam ci jakieś pieniądze.

– W porządku. Wobec tego podpiszemy umowę. Oddasz mi swoją część domu.

Zawahała się. Cisza przeciągała się po obu stronach połączenia. W końcu starsza siostra ustąpiła.

– Zgadzam się, Sarah. Ale niech to zostanie pomiędzy tobą i mną, dobrze? Nie mów chłopakom ani nikomu innemu. Gdyby Walter się dowiedział...

– Rozumiem. – Sarah jej przerwała, bo miała już dość słuchania o swoim kontrolującym szwagrze. Wzdrygała się na myśl, że Dee Linn obawia się mężczyzny, którego miała „kochać tak bardzo jak własne życie” czy jak to szło. Walter Bigelow, chirurg stomatolog, był w domu takim samym tyranem, jak w swoim gabinecie dentystycznym. Wszystko musiało być po jego myśli albo fora ze dwóra, a Sarah wiele razy żywiła nadzieję, że Dee Linn w końcu przejrzy na oczy i wybierze życie bez niego, dzięki czemu wreszcie odzyska uśmiech i poczucie własnej wartości. Ta kobieta była dyplomowaną pielęgniarką, na miłość boską!

Ale jakie prawo miała Sarah, żeby ją osądzać? Jej własne związki z mężczyznami również pozostawiały wiele do życzenia.

Dee Linn przeciągle westchnęła, jakby odczuła wielką ulgę.

– No to umowa stoi. A więc kiedy już na dobre wprowadzisz się z dziewczynkami, zrobimy tam małą imprezkę.

– Chyba nie będę miała czasu...

– Oczywiście, że będziesz miała – stwierdziła Dee Linn, przerywając jej i przejmując kontrolę nad rozmową, która teraz dotyczyła znajomych i wygodnych tematów. – Wiesz, zaproszę rodzinę i może kilkoro przyjaciół.

– Całą rodzinę?

– Oczywiście.

– Rogera też?

– Cóż, jego nie. Chyba nawet kurator sądowy nie wie, gdzie podziewa się nasz drogi braciszek, ale zaproszę bliźniaków i ich żony, i mamę, jeśli da radę się zjawić.

– Rany.

– Nie martw się, nie da rady – rzuciła Dee Linn. – Ale jeśli zaproszę ciotkę Marge z rodziną, muszę też pamiętać o mamie.

– Wiem. Ale to za dużo jak na jeden raz – zauważyła. Ta „imprezka” zaczynała przeradzać się w duże przyjęcie, ekstrawagancję na miarę Dee Linn, która na

pewno nie spodoba się ani jej, ani jej dzieciom. – Dee, nie jestem do tego przekonana.

Ale Dee Linn już się rozkręciła.

– Ustaliłam termin na sobotę przed Halloween. Będziesz miała jakieś dziesięć dni na rozpakowanie się i rozgoszczenie na miejscu.

– To za mało czasu. Z tego, co słyszałam od Jacoba, w domu jest bajzel, nie da się tam zamieszkać. Więc chyba będziemy musiały wprowadzić się do domu gościnnego, ale doprowadzenie go do używalności zajmie dużo czasu. – Sarah bywała na przyjęciach u Dee Linn; zwykle były wystawne i przesadne, zapraszała na nie znacznie więcej osób, niż „grupkę przyjaciół”.

– Będzie fajnie! Dziewczynkom się spodoba! – zawyrokowała Dee Linn. – Wiem, że Becky już nie może się doczekać.

– Słucham? Moment. Już nie może się doczekać? Więc już to rozgłosiłaś?

– Och, przepraszam, Sarah. Dzwoni mi tu drugi telefon. Muszę lecieć. Do zobaczenia! I pamiętaj, ani słowa Walterowi i innym o pieniądzech.

Połączenie zostało zakończone, zanim Sarah zdążyła zaprotestować, więc odłożyła słuchawkę z poczuciem, że została zmanipulowana przez starszą siostrę. Teraz ponownie pojawiło się to samo uczucie, gdy spojrzała przez brudne okna w jadalni na rząd drzew rosnących wzdłuż brzegu strumienia Willow Creek, który wił się pod linią płotu oddzielającą ziemię należącą do Stewartów od tej będącej w posiadaniu rodziny Walshów.

Sząc kawę, zignorowała znajome kołatanie serca, które pojawiało się, ilekroć pomyślała o Clincie mieszkającym w sąsiedztwie.

– Było, minęło – przypomniała sobie. – I to minęło dawno temu. – Oczywiście ponowne spotkanie było nieuniknione. Sprawa została przesądzona, ponieważ Clint był lokalnym inspektorem budowlanym.

Prawdę mówiąc, między nią a Clintem były niedokończone sprawy. I właśnie dlatego obawiała się kolejnego spotkania. Ich rozgrzany do białości nastoletni romans dawno się skończył, schłodziły go rozsądek, czas i odległość. Jej złamane serce już się posklejało, dzięki Bogu. Przysięgła sobie kiedyś, że nie chce już nigdy oglądać jego przystojnej twarzy. Podtrzymywała tę decyzję.

– Dość – powiedziała na głos, po czym przelknęła ostatni łyk kawy i odstawiła kubek do wyszczerbionego zlewu, tak wielkiego, że można by wykąpać w nim czteroletnie dziecko. W kuchni był też duży piec z lat czterdziestych, kuchenna wyspa i popękane linoleum na podłodze. Pomieszczenie było olbrzymie. Brakowało tu lodówki i zmywarki, ale pomiędzy szafkami pozostały puste miejsca, w których niegdyś stały. Sarah wypróbowała parę włączników i okazało się, że

kilka świateł wciąż działa. Niewiele rzeczy dało się tutaj ocalić, podobnie sprawa miała się z łazienką, gdzie na popękanych, odchodzących od podłogi płytkach stała zakamieniona toaleta i popękana umywalka na cokole.

Pozostałe pomieszczenia na parterze były w lepszym stanie, więc to ją trochę pocieszyło. Musnęła palcami kolumny oddzielające część mieszkalną od korytarza.

Obie jej córki wciąż smacznie spały w swoich śpiworach leżących przed prawie wygasłym kominkiem, więc Sarah przeszła do dużej jadalni oraz pojedynczej sypialni dla gości. W korytarzu była szeroka, ręcznie rzeźbiona klatka schodowa, ciągnąca się do góry przez dwa piętra. Pod schodami w pobliżu spiżarni i wiatrołapu przy wyjściu na tylny ganek znajdowały się zamknięte drzwi prowadzące do piwnicy, która nigdy nie została wykończona i prawdopodobnie załęgły się tam różne żyjątka.

Jako dziecko Sarah unikała piwnicy. I sama myśl, że miałyby zejść po rozchwianych schodach do podziemia i pomieszczenia wykorzystywanego kiedyś jako pralnia, przyprawiała ją o palpacje serca.

– Idiotka – powiedziała. Zadzwonił jej telefon i zauważyła miejscowy numer na wyświetlaczu.

– Sarah? – zapytał poważny głos. – Tu Hal z warsztatu.

– Cześć, Hal. Co tam?

– Obawiam się, że mam złe wiadomości – oznajmł mechanik. – Wygląda na to, że twoja córka potrzebuje nowej skrzyni biegów.

Sarah poczuła, że opadają jej ramiona.

– Ile to będzie kosztować?

Podał jakąś szacunkową sumę, która zależała od tego, co znajdzie w środku i ceny części, ale Sarah aż zatkało. Obecnie nie miała stałych dochodów i zamierzała przeznaczyć każdego centa na dom, więc nie potrzebowała żadnych niespodziewanych, dużych wydatków. Ostatnie, czego jej było potrzeba, to kolejne inwestycje.

– Dam ci znać, kiedy się do tego zabiorę – obiecał Hal, a Sarah się rozłączyła, mając nadzieję, że samochód Jade nie będzie kolejną skarbonką. Wystarczał jej ten dom.

– Rosalie nie wróciła na noc do domu. – Sharon Updike była bardziej wkurzona niż zmartwiona. Poszła na górę do tego chlewu, który Rosalie nazywała pokojem, ale nie było tam ani śladu jej córki. Nie znalazła też żadnej wiadomości ani nie dostała esemesa, w którym Rosalie wyjaśniłaby, gdzie się podziewa. Co za dziewczucha! Dlaczego nie mogła się dobrze zachowywać, zastanawiała się, trzy-

mając w jednej ręce kubek z kawą i stając w drzwiach sypialni. – Słyszałeś mnie? – zwróciła się do ciała na łóżku należącego do jej męża, który, pomimo że słońce wstało kilka godzin temu, nadal próbował spać.

– Co? – zapytał i odchrząknął.

– Powiedziałaś, że Rosalie nie wróciła do domu na noc.

– Aha. I co? – Zamrugał zaspanym okiem, prychnął i wytarł nos wierzchem dłoni. Podciągnął się trochę na łóżku, znalazł okulary na szafce nocnej, zrzucając jednocześnie poduszkę na podłogę.

– Nie zadzwoniła ani nic nie napisała.

Wyglądał tak, jakby chciał znowu zapaść w sen, ale widząc minę żony, zmienił zdanie i odrzucił kołdrę.

– Pewnie poszła gdzieś z przyjaciółką.

– Może.

– Martwisz się?

– Tak... trochę. – Martwiła się bardziej niż trochę, ale próbowała powściągnąć swój niepokój.

– Dzwoniłaś do tej dziewczyny od Dixonów? Jak jej na imię?

– Debbie. Tak, zostawiłam wiadomości dla niej i dla jej matki. – Miranda Dixon nawet nie kiwnęłaby palcem w sprawie Rosalie, która, jak wyczuwała Sharon, nie była dostarczająco dobra, by móc przyjaźnić się z jej małą, „niewinną” księżniczką. Co za snobka! Miranda zadzierała nosa tylko dlatego, że od zawsze była żoną swojego męża i posiadała ładny dom. Wielkie mi meczyje! Sharon słyszała, że Miranda zaciążyła jeszcze przed ślubem. Sharon miała to w nosie. Nie interesowały ją stare historie. Nie jej było osądzać. Ale wkurzało ją świętoszkowate zachowanie Mirandy.

Teraz jednak nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Musiała zyskać pewność, że Rosalie jest bezpieczna.

– A ten chłopak, z którym się zadawała? Ten, którego nie lubisz?

– Bobby Morris? – Sharon się skrzywiła i napiła się kawy. Nie tylko go nie lubiła, ale wprost nienawidziła tego śmiecia. Rosalie mogła mieć przez niego klopoty. – Skończyli ze sobą jakiś miesiąc czy dwa temu.

– Ach, jasne.

– Nie wierzysz?

– Nie wiem.

– Powinniśmy byli zgodzić się na kupno tego samochodu – stwierdziła, sącząc kawę i próbując myśleć racjonalnie. Dokąd poszła? Z kim mogłaby pójść? Czy coś

jej się stało? Nie, wszystko w porządku. Musi być w porządku.

– Uwierz mi, toyota z lat siedemdziesiątych z takim przebiegiem nic by nie zmieniła. Może jedynie to, że wyprowadziłaby się jeszcze szybciej. – Mel posłał jej porozumiewawcze spojrzenie.

– Myślisz, że uciekła? – zapytała, powątpiewając w tę teorię. Rosalie nigdy by tego nie zrobiła, nigdy nie odeszłaby bez pożegnania. Nie wierzyła w to, co sugerował Mel.

– To co? Sądzisz, że została porwana?

– Dobry Boże, mam nadzieję, że nie – wyszeptała, ale mąż dotknął jej najbardziej pierwotnych lęków.

– Prawdopodobnie imprezuje gdzieś z przyjaciółmi i przespała się u kogoś w domu.

Sharon zmówiła cichą modlitwę, by przewidywania jej męża okazały się prawdą.

– Nie odbiera telefonu.

– Może jeszcze odsypia.

Spojrzała na niego ze złością.

– Nie pomagasz.

– Kochanie, sama byłaś kiedyś nastolatką i też nieźle wywijalaś. A przynajmniej tak mówi twój brat.

– Tak, ale to coś innego. Czuję to.

– Chcesz, żebym coś zrobił? O to ci chodzi?

– Tak!

– Co mam zrobić?

– Nie wiem! – Usłyszała panikę w swoim głosie i aż się wzdrygnęła.

– Do diabła. – Mel przejechał dłonią po nieogolonej szczęce, po czym zestawił nogi na podłogę, znalazł wczorajsze dżinsy, włożył je, nie wstając, a następnie podciągnął i zapiął pod wydatnym brzuchem. Sharon zauważyła, że jeszcze bardziej przytył, ale przecież to nic dziwnego, skoro potrafił zjeść dwa cheeseburgery z bekonem, porcję frytek i popić wszystko piwem za jednym zamachem. Ugryzła się w język, żeby nie komentować jego wagi, jako że on w zeszłe święta nie omieszkał jej wytknąć, że przytyła kilka kilogramów.

– No to co mam zrobić?

Zainteresować się, pomyślała cicho, ale powiedziała:

– Nie wiem. Może zacznij jej szukać.

– Sama przyjdzie.

– Skąd wiesz?

– Bo pamiętam, jak to jest być nastolatkiem, nawet jeśli ty już zapomniałaś. – Włożył koszulkę przez głowę i naciągnął ją na brzuch. – Daj mi najpierw się wyszczać i wypić kawę, a potem zrobię, co będziesz chciała – westchnął, widząc, jaka jest zdenerwowana i wyszeptał: – Och na miłość boską, Sharon. – Obszedł łóżko i dotarł do drzwi sypialni, po czym wziął ją w ramiona. Próbowwała nie zwracać uwagi na zapach z jego ust. – Znajdziemy ją.

Prawie się rozplakała. Ugięły się pod nią nogi.

– Wszystko będzie dobrze.

Gdyby tylko mogła zaufać jego słowom.

– Słuchaj, weźmiemy harleya i razem pojedziemy jej poszukać. Ale gdy ją znajdziemy, to będzie miała przechłapanę, okej?

– W porządku – wyszeptała, wdzięczna, że wziął jej stronę. Miała nadzieję, że Mel ma rację, a ona panikuje bez powodu. Ale chociaż się starała, gdy wypuścił ją z objęć i swawolnie poklepał po tyłku, ruszając w stronę kuchni, nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak.

Bardzo, bardzo nie tak.

ROZDZIAŁ 4

Sarah spojrzała na zegarek. Było już po dziesiątej, a dziewczyny wciąż spały. Pomyślała, że je obudzi, ale zaraz zmieniła zdanie. Wczorajsza przeprowadzka była dla nich wystarczająco stresująca, a potem jeszcze zostały wyrwane ze snu przez koszmar Gracie czy też spotkanie z duchem.

Wchodząc po schodach, zatrzymała się w miejscu, gdzie znalazła Gracie kurczowo trzymającą się barierki. W świetle dnia klatka schodowa wyglądała zupełnie normalnie. Nie było tam żadnych śladów zjawisk paranormalnych.

– Bo niczego tu nie było – powiedziała na głos. Odnotowała, że jeden czy dwa stopnie schodów prowadzących z parteru prawdopodobnie wymagają naprawy, ale stara barierka, po której codziennie zjeżdżali jej bracia, wciąż wyglądała solidnie. Sprawdziła ją, z całej siły próbując oderwać ze ściany, ale ta ani drgnęła.

Dobrze, zamierzała bowiem zachować jak najwięcej urokliwych elementów dodających domowi charakteru.

Na piętrze sypialnie oczywiście były brudne i prawdopodobnie należało je ocieplić, ale nie wymagały większych nakładów pracy. Wystarczy, że je posprząta, pomaluje i odnowi drewniane podłogi. Dee Linn i ona miały oddzielne sypialnie, a Roger miał własny pokój, gdy jeszcze tu mieszkał. Bliźniaki natomiast dzieliły największy z nich. Łazienka na tym piętrze także wymagała generalnego remontu, ale tego Sarah się spodziewała.

Na drugim piętrze wiele się zmieniło. Znajdowała się tam główna sypialnia z łazienką wyposażoną w marmurową wannę i prysznic we względnie dobrym stanie. Roztaczał się stamtąd widok na rzekę. Pokój zajmował połowę piętra. Łazienka w korytarzu także działała, armatura była zaśniedziała, ale wciąż płynęła z niej woda. Plamy w wannie i umywalce pewnie dadzą się doczyścić.

– Dzięki Bogu za te małe dary – powiedziała.

Był tam jeszcze jeden pokój do przejrzenia. Sypialnia znajdująca się w rogu należąca do Theresy. Gracie zarzekała się, że właśnie tam po raz pierwszy ujrzała ducha. W pokoju nikt nie mieszkał od jakichś trzydziestu lat, odkąd dziewczyna zniknęła, a nawet teraz, gdy Sarah skierowała się do niego i szła po starym, wozzystym chodniku ciągnącym się do samych drzwi, poczuła chłód w powietrzu, nieznaczną zmianę atmosfery.

To wszystko dzieje się tylko w twojej głowie.

Położyła dłoń na klamce, a kiedy ją przekręciła, doznała wrażenia, że spowija ją chłód, lodowate tchnienie objęło jej dłoń i rękę. Wraz z chłodem pojawiło się wspomnienie.

– *Masz tu nie wchodzić! Sarah Jane, słyszysz mnie? Trzymaj się z dala od pokoju siostry!*

Głos Arlene odbijał się echem po pustym korytarzu. Jej ostry, rozkazujący ton wciąż rozbrzmiewał w głowie Sarah, chociaż ostrzeżenie zostało wypowiedziane, kiedy Sarah miała nie więcej niż sześć czy siedem lat.

Theresa zniknęła wiele lat wcześniej, więc Sarah nie pamiętała swojej najstarszej siostry i znała ją tylko ze zdjęć zrobionych wiele lat przed swoim urodzeniem. Fotografie urywały się nagle, gdy Theresa miała szesnaście lat i zniknęła na zawsze.

Ostrzeżenie Arlene wciąż wisiało w powietrzu. Wizerunek jej skrzywionej, zdętej bólem twarzy wypalił się w mózgu Sarah. *Lepiej, żebyś nie wchodziła do tamtego pokoju, ani się waż!*

Sarah wtedy zrezygnowała, jakby szklana klamka była rozpalona do białości. Gniew matki był wręcz namacalny, chociaż ona była tylko ciekawskim dzieckiem, które chciało zerknąć w prywatne życie swojej siostry, żeby lepiej zrozumieć dziewczynę, która, w mniemaniu matki, stała się świętą.

– Ona wróci. Poczekaj, a się przekonasz – upierała się Arlene przez cały czas, stając się aniołem zemsty, który chronił własnym życiem sanktuarium oraz późniejszą miejscę pamięci swojej najstarszej córki.

I wierzbową witką.

Arlene korzystała z tej witki rzadko, ale skutecznie. Chłostała tyłki Jacoba i Josepha oraz dłonie Sarah, kiedy uznawała, że zachodzi potrzeba ostrzejszej kary.

Jedynie Dee Linn uchroniła się przed furią matki. I prawdopodobnie Theresa, chociaż Sarah nie wiedziała tego na pewno. Theresa była dla niej tajemnicą, duchem w takim sensie, że istniała jedynie w jej umyśle. A Sarah i tak nie miała pewności, czy obrazy są prawdziwe czy tylko wytworzone przez jej podświadomość. Roger z pewnością był bardziej realny, pojawiał się i znikał z domu. I z więzienia.

– Przeżywa trudności – mawiała Arlene. – Jest taki niespokojny. Jednakże Sarah często zastanawiała się, czy matczyne wyjaśnianie problemów najstarszego syna nie było przypadkiem wymówką, sposobem na ukrycie czegoś bardziej ponurego, czego nie dało się podsumować prostym wytłumaczeniem.

Stojąc w korytarzu, Sarah przypomniała sobie wysoki, piskliwy, głos matki, kiedy ta dawała jej reprimendę. Zatrzymała się na sekundę, zamknęła oczy i oczyściła umysł.

Weź się w garść. Arlene nie ma w tym domu. Nie było jej tu od lat, a Theresa nigdy nie wróciła, prawda? Uciekła z tego więzienia. A jeśli chodzi o duchy, nigdy nie istniały. To wytwór twojej słabej psychiki. Wiesz o tym i wiesz też, kiedy się to zaczęło, prawda? Pamiętajsz ten „incydent”, który miał miejsce na dachu podczas deszczu? Pamiętajsz?

– Nie – wyszeptala na głos i uświadomiła sobie, że zaciska pięści, mięśnie karku miała tak napięte, że aż ją bolały.

Mama cię teraz nie widzi, Sarah. A fakt, że Gracie uważa, że widziała coś w tym pokoju, nie jest powodem byś myślała, że widziała ducha.

– Przestań – ostrzegła samą siebie. Nie mogła pozwolić, by lęki i obawy, które czuła będąc dzieckiem, znowu zaśmiecwały jej świadomość. Wysunęła do przodu szczękę i pchnęła drzwi do sypialni Theresy.

Ani drgnęły.

– Och, ruszcie się. – Pchnęła ponownie, ale drzwi napuchły i się zaklinowały. Szarpała za klamkę, a następnie napała na nie ramieniem. Drzwi nagle się otworzyły z jękiem, a ona prawie straciła równowagę i wpadła do pokoju.

Zimnego pokoju.

Zimniejszego o co najmniej pięć stopni.

Najzimniejszego miejsca w domu.

Nie wchodź tam.

Zauważyła okno w północnej ścianie w pobliżu kominka i przekonała się, że nie jest domknięte. To oczywiste, że w pokoju było chłodniej. Ponadto uznała, że szyber w kanale kominowym musiał zostać otwarty i być może zardzewiał. Choć marmurowe obramowanie skrzyni paleniskowej było nietknięte, drewniane elementy i półka nad kominkiem miały pęknięcia. Biała farba stała się niemal przezroczysta, a wąską półkę pokrywała gruba warstwa kurzu. Sarah uklękła na jednym kolanie i sięgnęła do ciemnego wnętrza kominka. Wymacała i pociągnęła rączkę szybra, który zamknął się ze zgrzytem.

Pokój wydawał się bardziej pozbawiony życia niż reszta domu. Odsunęła od siebie to uczucie i podeszła do okna wychodzącego na front starego budynku. Wyjrzała na zewnątrz w miejscu, gdzie Gracie upierała się, że kogoś zobaczyła. Nie było żadnych śladów wskazujących na to, że ktoś stał w tym miejscu. Zszarzałe, tiulowe firany były całe w pajęczynach oraz uwieczonych w nich martwych owadach. Wyglądały tak, jakby nikt ich nie dotykał od ćwierć wieku. Na parapete

cie leżał kurz, podobnie jak na podłodze i nie było widać na nich żadnych śladów stóp. Także na brudnych szybach nie było żadnych odcisków rąk.

Próbowała zamknąć okno, ale ono także było wypaczone.

– I taka to tajemnica – powiedziała sobie, rozglądając się po pokoju starszej siostry i patrząc na niego okiem dorosłego. Wydawał się starszy i widać w nim było działanie czasu. Na ciemnej drewnianej podłodze leżał poszarpany, nadpleśniały i wypłowiwały dywanik w kwiaty. Łóżko z kolumnami przykryte było zakurzoną pościelą. Obok stał niewielki stolik nocny. W niszy tkwiła toaletka, z której opadło do połowy przykrywające ją prześcieradło i zsunęło się na podłogę koło niewielkiej szafki. Sarah zobaczyła upstrzone muszymi odchodami lustro.

Azyl Theresy.

Miejsce pamięci Arlene.

– Mamo! – rozległ się głośny krzyk Gracie. – Mamo, dzwoni twoja komórka!

Wraz z głosem córki Sarah usłyszała o wiele cichszy dźwięk melodyjki wydobywającej się z jej telefonu.

– Już idę! – krzyknęła i wyszła z pokoju. Zbiegła po schodach i znalazła najmłodszą córkę na parterze z komórką w wyciągniętej ręce.

– Evan.

– Och.

– Nie odebrałam.

– I dobrze. – Zrzuciła połączenie i wsadziła komórkę do przedniej kieszeni dżinsów. – Głodna jesteś? – zapytała, kierując Gracie w stronę kuchni.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Dobrze spałaś?

– Tak.

– Nie miałaś więcej koszmarów? – zapytała Sarah.

– To nie był... – Gracie westchnęła. – Nie.

– Dobrze.

– Co tam robiłaś na górze? – Gracie wycelowała kciukiem w sufit.

– Inwentaryzację. Albo rekonesans.

Sarah przejrzała różne torebki, które wstawiła do kuchni zeszłego wieczora.

– Pomyślałam, że szybko się rozejrzę i sprawdzę, co trzeba naprawić, zanim zaczniemy poważniejsze remonty. Jade wstała?

Gracie spojrzała na Sarah, jakby uznała, że to pytanie jest głupie jak but.

– Oczywiście, że nie.

Sarah pokiwała głową. *No i dobrze. Przynajmniej wojna rozpocznie się na nowo dopiero za kilka godzin.* Na razie nie miała nic przeciwko temu, żeby pozwolić córce przespać cały ranek. To wszystko oczywiście zmieni się w poniedziałkowy poranek, kiedy dziewczyny zaczną chodzić do szkoły. Sarah nie mogła sobie wyobrazić bitwy, jaką będzie musiała wtedy stoczyć. Na razie jednak rozkoszowała się zawieszeniem broni.

– Nie budźmy śpiącego smoka, dobra? Zjesz masło orzechowe z dżemem albo dżem z... masłem orzechowym? Mamy jedno i drugie.

– Mamo... – westchnęła Gracie na wpół rozbawiona, na wpół zażenowana jej żartem.

Sarah uśmiechnęła się do młodszej córki. Może wszystko się jakoś ułoży.

ROZDZIAŁ 5

– Domyślałam się, że słyszałeś, że Sarah wróciła do miasta – zagaiła Holly Collins, gdy Clint przeciągał kartą przez terminal w wielobranżowym sklepie Collins Lumber znajdującym się w magazynie, który przetrwał dwie wojny światowe i trzy pokolenia właścicieli z rodu Collinsów i nieprzerwanie działał przy Main Street.

– Słyszałem – odparł, wkładając kartę do portfela.

– No jasne, przecież planuje remont tego starego, zrujnowanego domu. – Holly czekała, aż się paragon wydrukuje. – Jest teraz singielką, wiesz?

– No i co?

– Nie udawaj głupiego, Clint. Założę się, że cały czas miałaś na nią oko. Kiedyś na siebie lecieliście i byliście niezłe napaleni. – Oderwała paragon i podała mu go.

– Kiedyś było dawno temu. – Podpisał się pod transakcją i włożył portfel do tylnej kieszeni dżinsów.

– Aż trudno sobie wyobrazić, że do tego starego, ogromnego domu może wrócić życie. Do Niebieskiego Gołębia czy jak mu tam.

– Pawia.

– Klejnotu Kolumbii, jak dawno, dawno temu nazywał go mój ojciec. Nikt oprócz staruszków już go nie pamięta i nikogo już nie obchodzi. No może oprócz Sarah. Wygląda na to, że znowu będziecie sąsiadami.

– Tak wygląda.

– Według mnie remont tego domu będzie kosztował majątek. Gdyby miała choć trochę oleju w głowie, wiedziałaby, że najlepiej byłoby zburzyć tę gnijącą rudere, pozbyć się wszystkich złych wspomnień i być może przy okazji przepędzić kilka duchów. – Aż się uśmiechnęła na samą myśl. – Ze wzgórza rozciąga się niesamowity widok na rzekę, więc byłoby wspaniale, gdyby stanął tam nowy dom. Może jakiś ośrodek wypoczynkowy z polem golfowym i spa. Wyobrażasz sobie? To byłoby warte fortunę. – Wystawiła palec w stronę Clintą. – To dopiero byłby prawdziwy klejnot, co nie? Szkoda tylko, że nikt mnie nie zapytał o zdanie.

– Szkoda.

– No cóż... cała Sarah. – Spojrzała mu w oczy i jakby znali sekret, do którego nikt inny nie miał dostępu. – Zawsze szła pod prąd, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wiedział, ale nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

– Zawsze ciągnęło ją w inną stronę – dodała Holly, a on poczuł niedorzeczne pragnienie, aby jej bronić.

– Oczywiście. – Nie potrafił ukryć sarkazmu w swoim głosie, ale jego rozmówczyni go nie zauważyła.

– Po prostu sądzę, że to dziwne, że się teraz przeprowadza, kiedy jej dzieci wciąż chodzą do szkoły. Wykorzenia je niecałe sześć tygodni przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Kto tak robi?

– Jak widać, Sarah.

– Jak mówiłam, zawsze pod prąd. Jakby urwała się z choinki. No cóż! – Posłała mu uśmiech, jak gdyby chciała powiedzieć: „ale co zrobisz?”. – Raczej nie powinienam rozwodzić się nad tym, jak dziwni są Stewartowie, jako że Cam jest z nimi spokrewniony – wyznała, wspominając swojego męża. Pochyliła się nad ladą i zbliżyła do niego. – Ale wydaje mi się, że to wszystko zaczęło się od Maxima, tego, który zbudował ten cholerny dom. Dziadek Cama opowiadał, że Maxim był prawdziwym łajdakiem. Tłukł obie swoje żony i wszystkie dzieci. Chory zjeb. Dziadek Cama był wtedy oczywiście tylko małym chłopcem.

– Jak mógł znać Maxima, skoro ten zniknął jakieś sto lat temu? – zdziwił się Clint.

– Bo ten stary dureń miał prawie sześćdziesiąt lat, kiedy urodził się tata Cama. Dziadek znalazł sobie o wiele młodszą żonę.

Clint miał tego dość. Zerknął na zegarek.

– Muszę lecieć – rzucił, mając nadzieję, że to przerwie zalew plotek na temat rodziny Stewartów. – Mam teraz przerwę na lunch.

– Oczywiście.

Clint uśmiechnął się do Holly i zauważył, że kobieta się rozplywa. Wiedział, że w przeszłości miała do niego słabość i że mogło jej do końca nie przejść, nawet po ponad piętnastu latach małżeństwa z Cameronem, właścicielem sklepu, i urodzeniu czterech synów.

Holly przycisnęła guzik na starutkim walkie talkie.

– Clint Walsh idzie odebrać swoje zamówienie. Przygotowałeś je? – niemal krzyknęła do słuchawki, po czym puściła przycisk. Z głośnika rozległ się trzeszczący głos, który potwierdził, że zamówienie czeka na odbiór. Wobec czego zwróciła się do Clinty: – Cam czeka z twoim zamówieniem z tyłu, na niższym

parkingu. Tak jak zawsze. – Puściła do niego oko, a jemu przypomniała się dziewczyna, którą była w liceum: pyskata, bystra, szybka i uśmiechnięta, pełniąca funkcje kapitaniki grupy cheerleaderek.

– Dzięki. – Clint znajdował się już przy drzwiach. Jego buty załomotały ciężko na podłodze, która nosiła ślady użytkowania przez ponad wiek. Deptali ją farmerzy, drwale, ranczerzy i budowlańcy. W tym sklepie można było kupić niemal wszystko, od bali drewna po małe gwoźdźki, od paszy dla zwierząt po narzędzia i tym podobne. Wiosną w specjalnej zagrodzie trzymano małe kurczaczki, gdzie miały paszę i wodę oraz specjalne lampy. Przez kilka tygodni popiskiwały tak głośno, że zagłuszały muzykę country sączącą się z niewielkich głośników ukrytych w pobliżu wyeksponowanych krokwi dachowych.

Na zewnątrz zasunął suwak kurtki, ponieważ pogoda się zepsuła, po czym wszedł do ciężarówki. Przywitał go Tex, jego na wpół wyrosnięty pies o nieustalonym rodowodzie. Miał czarno-białą sierść i długi nos. Pewnego dnia przyplątał się, będąc szczeniakiem, i już tak został. Clint nie miał nic przeciwko.

– Ja też za tobą tęskniłem – powiedział. – Siadaj – rozkazał, a pies posłusznie wykonał polecenie, następnie wystawił głowę przez uchyloną szybę od strony pasażera. Pick-up, którego nazwał Bestią, zapalił za trzecim razem. Silnik zaskoczył i zakaszłał, po czym auto ruszyło.

Zjeżdżając ze stromego wzgórza, oddalił od siebie wszelkie myśli na temat Sarah Stewart, czy jak tam się teraz nazywała. Im mniej o niej myślał, tym lepiej było dla wszystkich, włącznie z Sarah. Uczęszczała do lokalnej szkoły katolickiej, a on do szkoły państwowej, ale tak jak powiedziała Holly, byli sąsiadami i znali się od dzieciństwa. Kiedy podrośli, Sarah zmieniła się z zamkniętej w sobie chłopczycy we wspaniałą kobietę, która mogła dać tyle samo, ile dostawała. Wówczas spojrzął na nią w inny sposób. Mocno na siebie działali. Okazało się jednak, że to był błąd.

Wjeżdżając na pokryty żwirem parking, ustawił się tak, aby paka furgonetki znajdowała się tuż obok platformy, na którą wychodził magazyn sklepu.

Cam i jego najstarszy chłopak, Eric, czekali już z jego zamówieniem – dziesięcioma workami paszy, nowym szpadlem i pięcioma słupkami ogrodzeniowymi, którymi chciał zastąpić te, które przegniły koło szopy, w której trzymał maszyny.

– Zostań tu – zwrócił się Clint do Texa. Pies patrzył przez otwarte okno, gdy jego pan wyszedł z auta.

We trzech wspólnie załadowali towar na przyczepę GMC, po czym odjechali, machając do na tyle odważnego mężczyzny, że poślubił Holly Spangler, która zasłynęła jako największa flirciara w hrabstwie Wasco.

Z parkingu wyjechał na ostro wznoszące się wzgórze miasta, które dostało nazwę po przodkach Sarah, ale żartobliwie nazywano je „biedakiem z Seattle” ze względu na górzysty teren. Silnik Bestii zazgrzytał, gdy Clint wjechał na boczną, większą drogę, prowadzącą na siedemdziesiąt hektarów należącej do niego ziemi i lasów, które odziedziczył po swoim ojcu. Ranczo ciągnęło się od wzgórz Gór Kaskadowych, z trzech stron graniczyło z ziemią państwową, a około kilometr w dół drogi stykało się z Posiadłością pod Niebieskim Pawiem, którą on razem z większością mieszkańców nazywał domem Stewartów.

Zacisnął palce na kierownicy. Chociaż powtarzał sobie, że to już się skończyło, że wszystko minęło wiele lat temu, wciąż myślał o Sarah. Jak wygląda? Kim są jej przyjaciele? Czy naprawdę jest singielką...?

– Tarapaty, wpakujemy się przez nią w tarapaty – zwierzył się psu, gdy przypomniał sobie tajemniczy uśmiech Sarah, błysk w jej oczach i nie aż tak niewinny śmiech: niski, seksowny i niczym nieograniczony. Wmawiał sobie, że wtedy był napalonym chłopakiem, a ona była przelotną miłością, jednakże odnosił wrażenie, że raczej była ogniem, który dostał się pod jego skórę, kiedy miał dwadzieścia lat i który, jak sądził, nigdy do końca nie wygasł.

– Sukinsyn – wymamrotał pod nosem. Chociaż ich romans skończył się wiele lat temu, od czasu do czasu wciąż o niej myślał. Cóż, jeśli miał być ze sobą zupełnie szczery, myślał o niej o wiele częściej niż od czasu do czasu. Ale już porzucił fantazję, że kiedyś znowu się z nią zejdzie.

– Było, minęło – powiedział, skręcając z wiejskiej drogi i wjeżdżając w długą, wijącą się aleję prowadzącą do domu, w którym dorastał. Jechał przez zagajniki sosnowe i jodłowe, przejechał przez krótki most rozciągnięty nad strumieniem. Ciężarówka podskakiwała na kamienistych koleinach, którym przydałoby się porcja żwiru. Ścieżka skręcała w miejscu, gdzie kończył się las, który przechodził w suche pastwisko dla koni i bydła. Dalej przed nim wyrastał dom. Dodatkowe zabudowania okalały duży parking, na którym dostrzegł kilkanaście głębokich dziur. Tak, naprawdę będzie musiał zamówić żwir, zanim nadejdzie zima.

Zaparkował przy stodole.

– Chodź – rzucił i zagwizdał na psa. Tex ochoczo wyskoczył z kabiny i podbiegł do najbliższego słupka przy płocie, powąchał go i uniósł łapę. – Tak, dobry piesek. – Zaniósł worki z paszą na rampę w stodole i zostawił je koło stogu siana, gdzie zwykle trzymał je przy starych, otwartych skrzyniach.

O tej porze dnia bydło i konie były na zewnątrz. Poczował jednak ich silny zapach, kwaśny odór odchodów i uryny wymieszany z aromatem zakurzonego, suchego siana i natłuszczonej skóry. Zapachami, z którymi się wychował.

Zerkając na stóg siana, przypomniał sobie letnie noce, kiedy wraz z Sarah wspinali się po starej, metalowej drabinie, by rozłożyć na górze stary koc i pieścić się przez wiele godzin. Stóg nie był żadnym szczególnym miejscem, spędzali też godziny na brzegu stawu znajdującego się na terenie posiadłości należącej do jej rodziców. A także na wysokim stoku nad rzeką. Bez żadnego powodu wspiął się na górę i stanął na drewnianej podłodze przed balami siana sięgającymi do wysokiego spadzistego dachu. Wyglądało to mniej więcej tak samo jak lata temu. Małe okrągłe okno na szczycie dachu było lekko uchylone. Przypomniał sobie przyspieszony oddech, nagość jej ciała, zmieszane zapachy potu i seksu oraz swoje dłonie zaplątane w jej włosy. Wyrżał wtedy przez to samo okrągłe okienko i zobaczył setki gwiazd na nocnym niebie. Pokręcił głową i skarcił się za te myśli, po czym zszedł na dół. W tej chwili nie potrzebował żadnej nostalgii związanej z Sarah czy też nie.

Z nikim.

– Hej, śpiąca królewno! Zapraszamy na imprezę – powiedziała matka Jade. Dziewczyna otworzyła zaspane oko i ujrzała stojącą nad nią Sarah. – Już popołudnie. Pozwoliłam ci się dzisiaj wyspać, ale najwyższy czas wstawać i zabrać się do roboty. Mamy dużo rzeczy do zrobienia.

Jade jęknęła i odwróciła się na drugi bok w śpiworze, naciągając go po czubek głowy.

– Możesz zacząć od wyniesienia worków ze śmieciami, które napełniłyśmy razem z Gracie. – Głos matki był stłumiony, ale stanowczy. – Mówię serio, Jade.

– Super – wymamrotała, ale wiedziała, że nie może się kłócić z mamą, kiedy ta przyjmuje taki rozkazujący ton.

Nadludzkiem wysiłkiem Jade wyswobodziła się ze śpiwora i zobaczyła, że Sarah już wyszła i sądząc po hałasie dochodzącym z kuchni, wzięła się ostro do roboty. Wzdychając, Jade wstała i znalazła swoje klapki obok paleniska. Podreptała do oblesnej łazienki, wysikała się, ochlapała twarz wodą i próbowała się rozbudzić. Po tym, jak Gracie narobiła zamieszania, twierdząc, że zobaczyła cholernego ducha, i ją obudziła, Jade była zbyt nakręcona, żeby od razu zasnąć, chociaż naprawdę się starała. W końcu się poddała i odkryła, że matka i siostra są już martwe dla świata, więc zaczęła wysyłać wiadomości do Cody'ego, błagając go, żeby przyjechał i ją ocalił, jako że wciąż nie miała swojego samochodu.

Nie spała przez większość nocy. Udało jej się zasnąć jakoś koło piątej, więc w ogóle nie była zainteresowana projektami, które wymyśliła matka. Odkąd Sarah wpadła na szalony pomysł, by tu powrócić, życie Jade znalazło się na równi pochyłej, która, jak była przekonana, prowadziła prosto do piekła. Wynoszenie

śmieciami było kolejną rzeczą, która utwierdzała ją w przekonaniu, że jakaś większa siła ją karze i sprawia, że jej życie zrobiło się nieznośne.

– Do roboty! – krzyknęła ponownie Sarah. – Musimy tu posprzątać najlepiej, jak się da.

– My? – zapytała Jade i wzdrygnęła się, ponieważ matka znajdująca się w sąsiednim pomieszczeniu z pewnością ją usłyszała.

– Tak, my. Czy ci się podoba czy nie, jesteśmy w tym razem.

– Ja nie. Trudno.

– Ale dzisiaj twój głos się nie liczy.

– To niesprawiedliwe! – krzyknęła, ale wiedziała, że ta bitwa jest przegrana.

– Zapewne masz rację.

Mamrocząc pod nosem, Jade w jednej z koszulek Cody'ego i spodniach od piżamy weszła do kuchni, gdzie uwijały się Gracie i Sarah. Próbowały doprowadzić do porządku to zaświnione pomieszczenie. Na starych szafkach stały słoiki, pudełko, przybory kuchenne i różnego rodzaju śmieci.

Jade opadła na stare krzesło stojące przy stole.

Matka już zamiatała nierówne, popękane linoleum, czy jak się nazywało to, co leżało na podłodze.

– Zaczniemy od kuchni i wyniesiemy wszystko, czego nie chcemy, nie potrzebujemy i czego nie da się odnowić. – Gracie, ta lizuska, wypełniała worki rzeczami, które matka wyjmowała z ohydnych kredensów. Te były wysokie i wąskie i ciągnęły się do samego sufitu. Wyglądało na to, że kiedyś były pomalowane na zielony kolor, ale teraz drzwi i boki szafek były brudne i zszarzałe, zawiasy pokryły się rdzą, a szklane szybki stały się prawie nieprzejryste, bo pokrywała je warstwa brudnego tłuszczu.

Wciąż zmęczona Jade w ogóle nie była tym zainteresowana, ale gdy otworzyła usta, żeby zasugerować, że lepiej podłożyć ogień, zauważyła ostrzegawcze spojrzenie ze strony matki i wiedziała, że powinna przestać się kłócić.

– O... fuj... – Gracie zmarszczyła nos, czytając etykietę na pudełku z proszkiem do pieczenia. – Z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego.

– Babcia nigdy niczego nie wyrzucała. Nie marnuj, a nie będziesz w potrzebie, powtarzała – wyjaśniła Sarah z przekąsem.

– Dobry sposób na salmonellę, jad trupi czy inne zarazy – zauważyła Jade.

– Racja. – Gracie szybko wrzuciła pudełko do worka.

– A gdzie ona w ogóle jest? – zapytała Jade, podnosząc ze stołu jeden z pełnych worków i zawiązując plastikowe sznurki. Zauważyła, że matka lekko się spina.

– Babcia mieszka w Sosnowym Zakątku, pamiętasz?

– Sosnowym Zakątku, Boże. Czy nie można by tego nazwać jakoś inaczej niż dom pogrzebowy? – wymamrotała Jade.

– Spotkamy się z nią? – zapytała Gracie i chociaż raz Jade i jej matka wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Jade przypomniała sobie ostatni raz, kiedy widziała babcię, i nie było to ani miłe, ani przyjemne doświadczenie, które chciałoby się zatrzymać w pamięci. Jade nigdy wcześniej nie widziała, żeby mama się tak wkurzyła i straciła nad sobą panowanie, jak wtedy, gdy przebywała w pobliżu babci Arlene.

– Jasne, możemy tam pojechać – powiedziała Sarah, ale w jej oczach nie było przekonania.

Gracie zapytała, ciekawsko:

– Nie chcesz tam jechać?

Ten nerd niczego nie rozumiał. Czas na wyjaśnienia.

– Mama i babcia się nienawidzą. – Koniec, kropka.

Sarah przestała zamiatać.

– To nieprawda. Nienawiść jest zbyt silnym słowem. – Posłała starszej córce ostrzegawcze spojrzenie. – Po prostu nie nadajemy na tych samych falach i nigdy nie nadawałyśmy, więc nigdy nie byliśmy blisko siebie, ale nikt nikogo nie nienawidzi.

Gracie zdjęła kolejny stoik z kredensu. Dokładnie go obejrzała.

– To smutne.

– Chyba tak. – Sarah ponownie złapała za miotłę i zmiotła kupkę piasku na szufelkę z większą siłą, niż to było konieczne. – Jest jak jest.

Jade ziewnęła.

– Babcia potrafi być suką.

Sarah odwróciła się do córki.

– Przestań, Jade.

– To, że mieszka w jakimś domu starców, nie oznacza, że nagle stała się miła – odpyskowała.

– To dom opieki – rzuciła Sarah. – Wspomagają tam ludzi w potrzebie.

– Mimo to wciąż jest tą samą osobą, co zawsze. – Jade rozejrzała się po kuchni. – Dlaczego w ogóle to robimy? Sądziłam, że mamy zamieszkać w domu gościnnym. Czy sprzątanie tutaj nie jest stratą czasu?

– Weź się do roboty. – Sarah wskazała pełne worki oparte o szafki.

Nadašana Jade wstała i zarzuciła sobie na plecy pierwszy, ciężki, plastikowy worek.

– Gdzie mam je zanieść?

– Na tylny ganek. Jutro przywiozą kontener, więc tam je przełożymy – wyjaśniła.

– Super – powiedziała Jade bez grama entuzjazmu.

– Będzie fajnie.

No jasne.

Ruszyła z workiem na tylny ganek, kiedy usłyszała odgłos silnika samochodu i wyjrzała przez okno. Ujrzała srebrny pojazd zatrzymujący się w pobliżu domu gościnnego. Zanim kierowca wyłączył silnik, otworzyły się drzwi od strony pasażera i z sedana wysiadł wujek Jake. Ruszył w stronę domu, a chwilę później pojawił się wujek Joe. Włożył kluczyki do kieszeni i podążył truchtem za swoim bratem bliźniakiem.

– Mamy towarzystwo! – krzyknęła. I żałowała z całych sił, że to nie Cody w swoim starym jeepie, tylko jej wujkowie. Gdyby tylko mógł przyjechać i ją stąd zabrać, zanim zacznie się szkoła w Our Lady of the River.

Wzdrygała się na samą myśl, że będzie „tą nową” i cała szkoła bacznie będzie się jej przyglądać. To ją przerażało, praktycznie czuła się jak sparaliżowana. Do oczu napłynęły jej łzy, ale udało jej się je powstrzymać.

Nikt nie mógł się dowiedzieć, jak naprawdę się czuje, jak bardzo się boi.

Nawet Cody.

– Co mamy? – zapytał szeryf J.D. Cooke, podnosząc głowę znad stosu papierów zakrywających jego biurko. Jego najnowsza detektyw, Lucy Bellisario, weszła do jego biura w stuletnim budynku mieszczącym wydział szeryfa. Kiedy się zjawiała, zwykle oznaczało to kłopoty. Miała sylwetkę tancerki i charakter, który szedł w parze z jej ognistorudymi włosami, była także jedną z najmądrzejszych kobiet, które kiedykolwiek poznał. Lucy podniosła rękę, żeby zapukać w matową szybę, chociaż drzwi były uchylone. – Nawet mi nie mów – powiedział, odchylając się na krzesło, zanim wyartykułowała choćby słowo. – Kolejne złe wiadomości.

– A więc teraz czytasz w myślach? – zapytała, otwierając szerzej drzwi.

– Nie trzeba być obdarzonym percepcją pozazmysłową, żeby wyczytać kłopoty na twojej twarzy.

– Nie dzieje się nic oprócz tego, że grożą nam cięcia budżetowe, kilka osób przebywa na zwolnieniu lekarskim, wśród bydła szerzy się zaraza, w okolicy

osiedliła się grupa antyrządowców, która podburza mieszkańców, prognoza pogody zapowiada straszną burzę zdmierzającą w naszą stronę. Prosto z Kanady. Ale to nie wszystko...

J.D. mruknął coś pod nosem.

Uniósł jednak kącik ust, gdy weszła do środka.

– Mnie też miło cię widzieć. Rany, wyglądasz, jakbyś wstał lewą nogą.

Lekko się skrzywił. Odkąd Sammi-Jo zostawiła go dwa miesiące temu, trudno było z nim wytrzymać w pracy, wiedział o tym, ale nie potrafił otrząsnąć się z przygnębienia. Podparł się łokciami na biurku, które odziedziczył razem z tą beznadziejną robotą, i zaproponował:

– Zacznijmy od początku. Co się dzieje?

– Mamy zaginięcie – odparła i usiadła na jednym z niewygodnych krzeseł stojących po drugiej stronie biurka. – Siedemnastolatka. Rosalie Jamison. Chodzi o tej samej klasy, co moja młodsza siostra, więc trochę znam jej mamę, Sharon. – Rozpłaszczoną dłonią wykonała gest oznaczający, że znajomość jest tylko pobieżna. – Poznałyśmy się, pełniąc jakieś funkcje w szkole. Sharon zadzwoniła do mnie dzisiaj rano, wychodzi z siebie ze zmartwienia. Rosalie zaginęła. Nie ma jej już od ponad dwunastu godzin. Wiem, wiem, nie minęły jeszcze przepisowe dwadzieścia cztery godziny, ale mnie wysłuchaj. Dziewczyna pracuje w Columbia Diner.

Znał to miejsce, od czasu do czasu sam tam chodził.

– A więc wyszła z pracy koło północy. Odbiła zegar o dwudziestą trzecią pięćdziesiąt trzy, ale nie dotarła do domu.

– Mogła uciec? – zapytał.

– To możliwe. – Lucy ściągnęła brwi jak zawsze, kiedy stał przed nią problem, z którym nie potrafiła sobie poradzić. – Miała jakieś kłopoty w szkole, ale Sharon zadzwoniła do jej pracy. Ludzie, którzy z nią pracują, widzieli, jak wychodzi. Wracala na piechotę. Jedna z kelnerek, Gloria Netterling, zaproponowała, że ją podwiezie, ale dziewczyna odmówiła, postanowiła pójść sama.

– Wczoraj wieczorem – powiedział, namyślając się i stukając palcami w biurko. – Była brzydka pogoda.

Bellisario potaknęła, jej ognistorude włosy odbiły światło sufitowej lampy.

– Miała przed sobą dwadzieścia, może dwadzieścia pięć minut marszu, więc powinna być w domu o wpół do pierwszej. Matka i ojczym, Mel Updike, byli już w domu. Leżeli w łóżku i oglądali telewizję. Myśleli, że przyszła, i dopiero następnego dnia rano zobaczyli, że nie ma jej w domu. Sharon nie od razu zaczęła pani-

kować, ponieważ zdarzało się to już wcześniej. Ale po południu zaczęła się martwić i wydzwaniać w miejsca, gdzie Rosalie zwykle chodziła. Pojechała do restauracji i z powrotem, rozmawiała tam ze wszystkimi, a następnie obdzwoniła przyjaciół córki. Nikt jej nie widział, odkąd wyszła z restauracji.

– Ma chłopaka?

– Obecnie żadnego, chociaż Rosalie wspominała Sharon o jakimś chłopaku, którego poznała w Internecie. Matka nie zna jego imienia. Wie tylko to, że chłopak podaje, że pochodzi z okolic Denver, gdzie mieszka jej były mąż, ojciec Rosalie.

– W Internecie? Jak to, do cholery, działa, kiedy jest się nastolatkiem?

– Nie mam pojęcia, ale podobno tak samo jak w przypadku dorosłych.

– Co z samochodem? – zapytał.

– Nie miała samochodu. Korzystała z chevroleta matki, kiedy musiała, albo szła na piechotę, czasami ktoś ją podwiózł.

Cooke spojrział na Bellisario. Podwożenie zapaliło w jego głowie czerwoną lampkę.

– W domu mieli inne pojazdy. Updike ma ciężarówkę i motocykl, ale wszystkie są na miejscu.

– Jakieś rodzeństwo?

– Nie mieszka z nią. Ma tylko przyrodnie rodzeństwo, które mieszka z jej ojcem. Updike też ma dzieci. Żadne nie przebywa w tym stanie.

– A co z jej ojcem? – Uniósł rękę i wyjaśnił, że ma na myśli biologicznego ojca, tego z Denver. – Dzwoniła do niego.

– Mick Jamison. Tak, dzwoniła, obudziła go. Mieszka z drugą żoną, kobietą, której Sharon nie lubi i której nie ufa.

– Pierwsza żona chyba nigdy nie ufa tej drugiej? – zapytał retorycznie. Ale trybiki w jego głowie już zaczęły się obracać. – Ojciec i chłopak z Internetu, obaj w Kolorado. Co nam to mówi?

– Może się znają.

– Sprawdź ich obu.

– Już zaczęłam.

Cooke stuknął palcami w blat biurka. Nie podobało mu się to, bardzo nie podobało.

– Masz zdjęcia?

– Sharon dostarczyła mnie i wydziałowi do spraw zaginięć kilka najnowszych ujęć oraz fotografię, którą dziewczyna zrobiła do prawa jazdy. Powiadomiliśmy już patrol i, biorąc pod uwagę jej wiek, wszczęliśmy też alarm bursztynowy.

– I to by było tyle, jeśli chodzi o przepisowe dwadzieścia cztery godziny.

– To jeszcze dziecko, szeryfie. Robię to, co podpowiada mi intuicja.

– Okej. – On też miał złe przeczucia. – Zaczynij sprawdzać jej znajomych, współpracuj z wydziałem zaginięć, prześwietl ojczyma i jej byłych chłopaków, a także tego gościa, który podobno mieszka w Denver. Skoro poznała go w sieci, równie dobrze może się okazać, że mieszka za rogiem. Ktoś, kto wie, że jej ojciec mieszka w Kolorado, mógłby użyć tego jako przynęty, żeby się do niej zbliżyć. To mogłoby mu pomóc przełamać pierwsze lody. A więc wcale nie musi być nastolatkiem. Może być dorosłym. – Westchnął przeciągle i pomyślał o swoich własnych nastoletnich dzieciach, które mieszkały z matką w Portland. Wiedział, jakie to uczucie, kiedy dziecko nie wraca wtedy, kiedy powinno, chociaż miał szczęście, bo Hallie i Ben zawsze byli z nim w porządku. – Miejmy nadzieję, że po prostu się zbuntowała i wyjechała, ale zmieni zdanie. Wtedy sama wróci do domu.

Lucy Bellisario spojrzała na niego swoimi szarymi oczami.

– Tak byłoby najlepiej – zgodziła się, ale wyglądała tak, jakby nie miała większej nadziei, że ten scenariusz może się ziścić.

On również.

ROZDZIAŁ 6

Duch próbował się z nią porozumieć. Gracie zyskała pewność, stojąc przy ścianie odgradzającej ją od jadalni, gdzie podsłuchiwała rozmowę pomiędzy matką a wujkami. Na klatce schodowej była przerażona, nie spodziewała się tak bliskiego spotkania, ale kobieta w bieli próbowała jej coś powiedzieć. Gracie jednak była zbyt przestraszona, żeby to sobie wtedy uświadomić.

To nie był sen.

Nie wyobraziła sobie ducha.

Jednak w świetle dnia, gdy to przemyślała, zrozumiała, że dusza Angelique le Duc miała do niej jakąś sprawę.

Spierniczyła to i teraz musiała coś z tym zrobić. Naczytała się opowieści na temat Posiadłości pod Niebieskim Pawiem i wiedziała, że Angelique może nie być jedynym duchem nawiedzającym to miejsce. Żył tu i umarło wielu ludzi. Wielu z nich było pochowanych gdzieś na terenie posiadłości. Gracie szukała informacji na temat osób, które kiedyś mieszkały w tym domu i w okolicy.

Swoje poczynania musiała jednak zachować dla siebie. Jeśli chciała porozmawiać z duchem i być może pomóc tej duszy przejść na drugą stronę, bo zdaje się właśnie tego pragnęły wszystkie duchy, będzie musiała trzymać gębę na kłódkę. W przeciwnym razie matka znowu zaprowadzi ją do psychologa, tak jak to zrobiła zaraz po rozwodzie. Nie, dziękuję. Gracie nie była walnięta. Wiedziała o tym. Po prostu wyczuwała więcej rzeczy niż inni, co przerażało matkę, ale sama Gracie czuła się z tym bardziej kompletna.

Po prostu musiała wymyślić, w jaki sposób użyć daru, którym została obdarzona.

– No to jedziemy na tym samym wózku – powiedział Jacob, ten, który zawsze lubił mieć jasność sytuacji. Był tym bardziej nerwowym z bliźniaków i dzięki tej cecie wielu ludzi mogło ich rozróżnić. Mieli niemal identyczne twarze, włosy w odcieniu popielatego blondu, błękitne jak niebo oczy, atletyczną budowę ciała i szerokie ramiona. Jednak Joseph zwykle łagodnie się uśmiechał, podczas gdy czoło

Jacoba pokrywały zmarszczki, które powstały od nieustannego ściągania brwi. Dzisiaj różniło ich jeszcze wiele innych rzeczy, jako że Jacob niedawno się ostrzygł, podczas gdy Joseph nosił włosy dłuższe i rozczochrane, miał na sobie znoszone dzinsy i pogniecioną koszulę z podwiniętymi rękawami. Jacob, wręcz przeciwnie, był ubrany w koszulkę polo i nieskazatelnie wyprasowane spodnie khaki, przez co wyglądał tak, jakby miał za chwilę udać się do wiejskiego klubu. – Kiedy remont dobiegnie końca, sprzedamy to miejsce.

– Albo wynajmiecie je mnie do czasu, aż będę mogła je kupić. – Spojrzała na obu braci. – Taka była umowa, pamiętacie? Nie sprzedamy domu, dopóki żyje mama.

Oczy Jacoba pociemniały.

– To może trwać jeszcze wiele lat.

– Miejmy taką nadzieję – skwitował Joseph. – Rany, Jake.

– No przecież nie chcę, żeby umarła. No ale przyznajcie, mama zawsze była upierdliwa. – Przeniósł wzrok ze swojego bliźniaka na siostrę. – No co, wy tak nie sądzicie?

Sarah przewróciła oczami.

– Jasne. – Zauważyła rozbawiony wzrok Josepha.

– No przecież, Sarah – powiedział Jake. – Przecież nie tylko ja mam problem z mamą.

Joseph podniósł obie ręce.

– Wszyscy mamy problem z mamą.

– Dość! Nie przyjechaliście tutaj, żeby obgadywać mamę. Wróćmy do tematu, do remontu – upomniała ich Sarah. – A więc tak to wygląda. – Rozłożyła na stole zwinięte w rulon plany i zabezpieczyła rogi zakurzonymi książkami, które znalazła w bibliotece. Z jednej strony położyła zaczytane wydanie Egzorcysty Williama Petera Blatty'ego, a z drugiej Małe kobietki Louisy May Alcott. – To są oryginalne plany – wyjaśniła.

– Mówisz serio?

– Spójrzcie na datę. Są z tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku. – Papier pożółkł i pokrył się brudem. Znajdowały się na nim również notatki wykonane ołówkiem. Na rysunkach widać było także rozmazane odciski palców i plamy niewiadomego pochodzenia. Sarah ostrożnie wyglądziła kruche, często nieczytelne strony. – Oryginalny dom był zachwycający, zwłaszcza jak na tamte czasy. Miał bieżącą wodę i elektryczność, a to już było coś. W dużym mieście jak San Francisco czy nawet Portland nie robiłoby to takiego wrażenia, ale tutaj to

było nie lada osiągnięcie. Pamiętajcie, że autostrada, mam na myśli tę starą, historyczną autostradę, w dwudziestym pierwszym roku jeszcze nie była ukończona. – Wypłowiła plany architektoniczne ukazywały dom, który został zbudowany przez Maxima Stewarta, prapradziadka dziadka Sarah. – Wszystko na to wskazuje, że Maxim był despotą i zawsze stawiał na swoim.

Jacob skupił się na imieniu przodka.

– Maxim? Czy to ten stary łajdak, który zabił swoją drugą żonę? Angelinę czy jak jej tam?

– Angeliqne – poprawiła go Sarah. – Właśnie tak było.

– Widziałaś już jej biegającego ducha? Czyż to nie ona ma nawiedzać ten dom?

Sarah poczuła dreszcz, który pojawił się w dole jej kręgosłupa i pełzł w górę, ale pomyślała, że zatrzyma dla siebie to, że Gracie naprawdę widziała ducha.

– To plotki – zauważyła. – Ludzie w małych miastach lubią gadać, to ich napędza, a co gorsza, zwykle przesadzają i wymyślają różne historie.

– No tak, ale nawet ty mówiłaś, że ją widziałaś – stwierdził Jacob.

– Byłam dzieckiem – rzuciła nieco zbyt szybko. Wspomnienie nocnego ataku paniki córki wciąż było bardzo świeże. – No dobra, mamy coś do zrobienia.

Jacob wzruszył ramionami, nie wnikając w opowieści o duchu, podczas gdy spojrzenie Josepha zawisło na niej nieco dłużej. Zignorowała ich obu, po czym rozwinęła drugi zestaw planów datowany na rok 1950 i wskazała miejsce, gdzie dobudowano łazienkę i powiększono kuchnię. Na koniec rozwinęła plany architektoniczne z 1978 roku, na których zaznaczono kolejną przebudowę kuchni, dodano następne panele elektryczne, patio na tylnym ganku oraz dużą łazienkę, która powstała częściowo w miejscu składzika bielizny pościelowej.

Joseph dokładnie przyglądał się każdemu planowi.

– Tyle różnych reinkarnacji, ile mieszkało tu pokoleń.

– Nie do końca – odparła Sarah.

– A teraz i my musimy przez to przechodzić. – Skrzywił się, a następnie powiódł naokoło wzrokiem. – Ale to chyba tylko kosmetyka?

– Taką mam nadzieję. Rozejrzałam się po parterze i pierwszym piętrze. Wciąż jeszcze muszę zobaczyć górę, strych, taras i wejść do piwnicy.

Joseph uniósł brwi.

– Zejdiesz tam na dół? Wydaje mi się, że śmiertelnie bałaś się piwnicy.

– Może dlatego, że wy mnie tam kiedyś zamknęliście? Co za durnie!

– Przepraszam – powiedział, krzywiąc się, Jacob.

– Jeśli dobrze pamiętam, zapłaciliśmy za to – rzucił Joseph, a Sarah aż się wdrygnęła, gdy przypomniała sobie, jakie lanie dostali od Arlene, kiedy matka odkryła, że sześcioletnia Sarah siedzi i płacze na najwyższym stopniu długich schodów prowadzących do piwnicy.

– Tak, zejdę tam i sprawdzę, co jest do naprawy – stwierdziła.

– A taras? – zapytał Jacob. – Kim jesteś i co zrobiłeś z moją siostrą?

Aż się uśmiechnęła.

– Nie jestem już tą małą dziewczynką, którą przedrzeźnialiście i zastraszaście.

– Na to wygląda. – Jacob się uśmiechnął.

Bliźniacy też wyrosli i nie widziała powodu, by zagłębiać się w traumę, której doświadczyła z ich rąk. Chociaż incydent na dachu nie miał z nimi nic wspólnego. A przynajmniej tak przysięgali. Nie wyciągając tego na światło dzienne, powiedziała:

– Jeśli zaś chodzi o kosmetykę, to rozejrzyj się i zobacz, jak wielki jest ten dom. Kosmetyka kosztuje i niestety, chodzi o coś poważniejszego niż tylko niewielki lifting.

Jacobowi zrzęda mina.

– Mam wrażenie, że usłyszałem silnik buldożera odpalający się w jego głowie – zauważył Joseph. Pochylił się nad nią i dodał: – No wiesz. W jego przypadku mam zdolności jasnowidzące. Bliźniacy tak mają.

– Och, zamknij się. – Jacob patrzył przez okno na teren rozciągający się za domem. Duże pastwiska sięgały zalesionych wzgórz, a po drugiej stronie leżała dzika Kolumbia. – Ale wiesz, że wartość tej nieruchomości opiera się głównie na ziemi? Dom jest rozpadającą się ruderą. Może więc Joe ma rację?

Joseph uniósł obie ręce i aż się cofnął o krok.

– Nie chodziło mi o zburzenie domu. Po prostu pomyślałem, że może chcielibyście pójść tą drogą.

– To najpraktyczniejsze rozwiązanie – poparł go Jacob.

– To jest historia – przerwała im Sarah, stukając palcem w oryginalne plany architektoniczne, zanim zaczęli ją przedrzeźniać i przedstawiać swoje argumenty oraz zachowywać się „bliźniaczo”, jak to określała. Ćwiczyli takie zachowanie od urodzenia. – To jest nasz dom. Piękny dom, w którym się wychowaliśmy. Po prostu trzeba poświęcić mu odrobinę czulej uwagi.

Jacob uniósł brwi.

– No dobra, dużo uwagi. Ale mamy czas, umiejętności i powiązania biznesowe. – Podniosła wzrok. – Wiesz o tym, Jake, w przeciwnym razie byś się na to nie zgodził. – Nie zagłębiała się w fakt, że po studiach najpierw pracowała jako asystentka architekta, ani że przez ostatnie pięć lat swojego życia pracowała jako kierowniczka projektów w firmie budowlanej Tolliver Construction w Vancouver. Przebudowa była jej specjalnością. – Poza tym, kto chciałby przekazać mamie, że zamierzamy zburzyć dom?

Żaden z bliźniaków nie zgłosił się na ochotnika.

– Tak myślałam. Wobec tego ponownie obejrzę sobie wszystkie piętra i przedstawię wam bardziej wyrafinowane pomysły. Posłałam już plany i wstępne propozycje do architekta. Niedługo tu przyjedzie w towarzystwie inżyniera, by zrobić wstępne pomiary i rozejrzeć się po domu. Od miesięcy wymieniam z nimi maile. Na szczęście wcześniej wynajęłam faceta z okolicy, żeby nadzorował remont domu gościnnego, więc jest już niemal gotowy do zamieszkania. Gdy się do niego wprowadzimy, będziemy mogli pełną parą zabrać się za dom.

– To będzie drogie. – Jacob stwierdził oczywistość.

– Naturalnie. Już omawialiśmy nasz budżet – zauważyła. – I podpisaliśmy cyrografy w banku.

– Nawet mi nie mów – rzucił Jacob tonem, który sugerował, że żałuje tej decyzji.

– Hej, musicie być ze mną. Obaj. To – poklepała plany dwoma palcami – jest duży projekt. W grę wchodzi tylko generalny remont, ale to nam się opłaci.

– Okej – zgodził się Joseph, wzruszając ramionami. Nigdy nie był równie ważnym przeciwnikiem jak Jacob. – A więc do roboty.

– Ja już zaczęłam. Przeprowadziłam się tu z rodziną i uwierzcie mi, że od samego Vancouver aż po to wzgórze ciągną się ślady obcasów Jade, która najbardziej się opierała i nie chciała, byśmy tu przyjeżdżały. Ale teraz już nie ma drogi odwrotu. – Spojrzała na drugiego brata. – Prawda, Jake?

Jacob się zawahał, potem zerknął na bliźniaka i pokiwał głową.

– Okej. – Uniósł jedno ramię. – Pewnie.

– No dobrze – odpowiedziała Sarah z ulgą.

– Zaraz musimy jechać – poinformował ich Joseph i w tej chwili rozdzwoniła się jego komórka. – Muszę odebrać. – Ruszył w stronę frontowych drzwi. – Nie zapomnijcie o przyjęciu Dee Linn.

Sarah aż się wzdrygnęła.

– Naprawdę ma się odbyć?

– A nie dzwoniła do ciebie?

– Dawno temu. Nie rozmawiałam z nią jakieś, nie wiem, trzy tygodnie. Zajął się przeprowadzką, a teraz, gdy tutaj jesteśmy, mamy bardzo słaby zasięg. Jade chyba myśli, że zaciągnęłam ją tutaj z dala od przyjaciół, realizując jakiś długoterminowy, diaboliczny plan uczynienia jej życia żalonym. – Joseph się uśmiechnął.

– A nie było tak?

– Nie pomagasz – zarzuciła mu Sarah, ale uśmiechnęła się do niego znacząco. – A więc ta impreza Dee Linn ma się odbyć?

– Myślisz, że zmieniąby zdanie? – zapytał Joseph, unosząc jedną brew, co powiedziało jej, że niepotrzebnie zadawała to pytanie.

– Jej mantra brzmi: „Nigdy nie przepuść możliwości pochwalenia się tym, co masz” – przypomniał Jacob. – Zaprosiła całą cholerną rodzinę.

– Mamę też? – zapytała Sarah. Cała się spięła na samą myśl, że miałyby zobaczyć Arlene.

– Jestem pewien, że przyjedzie, jeśli będzie mogła – odparł Jacob. – Podejrzewam, że nie widziałaś jej od dłuższego czasu, bo pewnie byś wiedziała.

Sarah poczuła ukłucie winy, jej sumienie znowu dopominało się uwagi. Dwa razy odwiedziła matkę. Za każdym razem Arlene spała i długo się nie budziła, więc wizyty poszły na marne. Za każdym razem Sarah zostawała na miejscu przez kilka godzin i zastanawiała się, czy jej zrzędliva matka tylko udaje, że śpi, po czym w drodze do domu czuła się okropnie, oskarżając Arlene o takie niecne zachowanie.

– Poza tym ona nie nadaje się na takie imprezy. Prawdopodobnie na żadne. I zapewne nigdy już nie będzie się nadawała, bo też nigdy wcześniej jej nie bawiły – powiedział Jacob. – Ale reszta z nich ma przyjechać. Będzie ciotka Marge ze swoimi dziećmi. – Marge była młodszą siostrą Arlene, a jej córka Caroline kuzynką Sarah. – Przynajmniej tak chyba powiedziała Danica – dodał, wspominając swoją żonę. – Ale nie dam sobie ręki uciąć.

– Dzisiaj zadzwonię do Dee – obiecała Sarah. Gdy jej bracia wyszli, dom znowu się do niej przybliżył.

– Hej, dziewczyny! – zagadnęła, wchodząc do kuchni i przekonując się, że jest pusta. Znalazła córki w salonie. – Idźcie się przyszykować, jedziemy w odwiedziny do babci.

– Chyba sobie żartujesz, co? – rzuciła Jade znad telefonu, na którym albo pisała wiadomości, albo grała w jakąś grę. Dziewczyna spojrzała na matkę oczami pełnymi przerażenia.

– Mówię poważnie. To ostatnia szansa, jaką mamy, zanim obie pójdziecie do szkoły w przyszłym tygodniu, a mnie pochłoną remonty. No dalej, jedziemy. Marsz do samochodu.

– Nawet się jeszcze nie ubrałam – zaprotestowała Jade.

– To już nie mój problem. Jest popołudnie, wyjeżdżamy o piątej, więc zacznij się szykować.

Gdy matka przejechała przez otwartą bramę Sosnowego Zakątka Domu Społecznej Starości, Jade z niechęcią spojrzała na budynek. Spędziła w Stewart's Crossing niecałe dwadzieścia cztery godziny, a każda minuta była dla niej torturą. Począwszy od niedorzecznego braku Internetu i telewizji po fakt, że Gracie upierała się, że widziała ducha. Cała ta okolica była okropna, a teraz jeszcze miały odwiedzić babcię Arlene mieszkającą w takim miejscu, nowoczesnym budynku z dużym portykiem okalającym okrągły podjazd. Widoku dopełniał trawnik, na którym leżały niezgrabione liście i rosło kilka krzaków. Rozciągał się wokół głównego, dwupiętrowego budynku z rzędami okien i skrzynek klimatyzatorów na każdym piętrze.

Jade nienawidziła tego miejsca. Ale w zasadzie nienawidziła praktycznie wszystkiego, w co zmieniło się ostatnio jej życie. Wizyta u babci Arlene na pewno nie poprawi jej nastroju. Droga do ośrodka przebiegła w napięciu. Matka milczała, nie odezwała się nawet wtedy, gdy zatrzymała się na wolnym miejscu parkingowym.

Kiedy Gracie wysiadła z tylnego siedzenia, Jade również opuściła auto i poczuła, że na jej głowę spadają zimne krople deszczu.

Wspaniale. Wprost cudownie.

Mocniej owinęła się długim do kostek płaszczem i wsadziła ręce głęboko w kieszenie, po czym ruszyła za matką i siostrą do środka. Z jakiegoś nieznanego jej powodu Gracie nawet nie zauważyła, jak niedorzeczna jest ta wizyta.

Przez chwilę Jade miała poczucie winy spowodowane tymi myślami, ale szybko oddaliła od siebie to uczucie jako totalnie niezastuzhone, ponieważ naprawdę chciała lubić swoją babcię. To niestety było niemożliwe. Miała przyjaciół, którzy sądzili, że ich dziadkowie są absolutnie najfajniejsi. Dziadek Cody'ego był kozakiem, Cody go uwielbiał i szanował. Jego babcia, Violet, była wręcz urocza. Piekała ciastka, robiła na drutach i zajmowała się bezdomnymi kotami, które wprost ubóstwiała. Violet miała kolekcję starych winylowych płyt, które uwielbiała puszczać Cody'emu i dziadkowi, kiedy dziadek pokazywał mu arsenał broni trzymany w specjalnym, zamkniętym pokoju razem ze skórami i głowami zwierząt, które „kropnął”. Miał tam wszystko, od wypchanego aligatora leżącego

w pobliżu kamiennego kominka, po pumę, która przysiadła na poprzecznej belce wieńczącej spadzisty sufit. To było nieco obrzydliwe, pomyślała, przechodząc przez szklane drzwi budynku. Od razu poczuła podmuch gorąca, tak intensywnego jak piekielne ognie. Nie podobało jej się to, że dziadek Cody'ego szczyił się zabijaniem zwierząt. Arsenal jego starej broni i noży był dość fajny, Cody go uwielbiał. Zwłaszcza starego niemieckiego lugera z drugiej wojny światowej i karabin maszynowy, do którego dziadek miał pas amunicji ukryty w „wojennym pokoju” w piwnicy.

Mimo słabości staruszka do wojny i polowań, zarówno on, jak i jego „pannica” po pięćdziesiątce byli zabawni i kochani, co potwierdzały zmarszczki uśmiechu.

Jade nie miała tyle szczęścia. Nigdy nie poznała rodziców ze strony taty, co nie było żadnym zaskoczeniem, jako że nigdy też nie poznała swojego biologicznego ojca. Mitycznej bestii płci męskiej, która zapłodniła matkę i najwyraźniej nie miała żadnego imienia. Rodzice jej adopcyjnego ojca, Noela McAdamsa, mieszkali w Savannah, dokąd się wyprowadził po rozwodzie. Spotkała ich jedynie kilka razy. Więc w zasadzie oni się nie liczyli. Ojciec Sarah, dziadek Frank, dawno nie żył. Wobec tego została jej tylko Arlene, zręczliwa, wredna staruszka, która za swój los obwiniała cały świat.

Jade domyślała się, że dzisiaj nie będzie od tego żadnych wyjątków.

Po wpisaniu się do księgi gości otrzymały w recepcji plakietki i zostały zabrane przez panią Adele Malone, uśmiechniętą, pulchną kobietę, której nie zamykały się usta. Poprowadziła je obok pokoju wypełnionego kwiecistymi kanapami i fotelami, gdzie kilku mieszkańców czytało gazety i oglądało telewizję. Następnie obok pustej jadalni, skąd wyszły na szeroki korytarz. Tam się uśmiechnęła i pomachała do kilku staruszek poruszających się z pomocą balkoników.

– Idziemy dalej – oświadczyła, zatrzymując się przy windzie, obok której stały sztuczne rośliny podejrzanie przypominające marihuanę. Prawdopodobnie nią nie były, ale Jade wolała sądzić, że jakiś zakręcony dekorator umieścił je tam w ramach żartu.

Na drugim piętrze pani Malone, wciąż nawijając o wspaniałych rzeczach, które mają miejsce w Sosnowym Zakątku, zaprowadziła je do pokoju babci i lekko zapukała do drzwi.

Całe to miejsce przyprawiało Jade o dreszcze. Och, było dość miłe, większość mieszkańców witała ich w korytarzu, niektórzy chodzili z balkonikami lub poruszali się na wózkach inwalidzkich, inni chodzili powoli, ale generalnie byli uśmiechnięci. Wszyscy wydawali się tak szczęśliwi, że Jade zastanawiała się, czy nie podają im tu jakichś antydepresantów.

Wszystko to się zmieniło, kiedy pani Malone zapukała knykциями w zamknięte drzwi i powiedziała śpiewnym głosem:

– Pani Stewart. Ma pani gości.

Nie było odpowiedzi, więc pani Malone zapukała ponownie, po czym uchyliła drzwi i wetknęła głowę do środka.

– Arlene, przyjechała pani córka i wnuczki.

Dalej nic.

Niezrażona opiekunka otworzyła drzwi i weszła do niewielkiego pokoju.

– Wejdźcie – zachęciła je, machając jedną ręką i wprowadzając je do środka.

Sarah poszła pierwsza, podczas gdy Gracie i Jade trzymały się z tyłu, w pobliżu otwartych drzwi.

– Pani Stewart? – powiedziała głośniejszym głosem pani Malone. – Ma pani gości.

– Wyjdźcie stąd – padła ostra odpowiedź.

– To pani córka i wnuczki – powtórzyła pani Malone, zbliżając się do nadmierne wypchanego fotela, na którym siedziała drobna kobieta otoczona poduszkami oraz maskotką w kształcie królika. Jej włosy nie były do końca białe, ale przerzedzone i proste. Na grzbiecie nosa miała sówie okulary, wokół szyi biegł dołączony do nich łańcuszek, na wypadek gdyby miały jej spaść z nosa.

– Poczekajcie chwilę – rzuciła przez ramię ich matka i zbliżyła się do fotela. – Cześć, mamó, jak się macie? – Pochyliła się, by ująć dłoń matki i złożyć pocałunek na jej policzku, ale babcia Arlene tylko się wzdrygnęła. Jej koścista twarz skrzywiła się z odrazą.

– Ty? – warknęła oskarżycielsko niskim, chropowatym głosem. – Co ty tutaj robisz?

Niezrażona Sarah wyprostowała się tylko.

– Dziewczynki i ja wprowadziłyśmy się do domu. No wiesz, żeby go odnowić. Ale zrobiłyśmy sobie przerwę, żeby cię odwiedzić.

– Jakie dziewczynki? – zapytała Arlene. Jej pełne złości oczy poruszyły się w głębokich oczodołach, gdy skierowała wzrok na drzwi, gdzie stały Gracie i Jade, częściowo na korytarzu, częściowo w pokoju. – Po co tu przyjechały? – Cienkie linie ust Arlene były tak blade, jakby nie dochodziła do nich krew. Jej policzki przecinały głębokie zmarszczki, oczy miała niebieskie i tak wypłowiałe, mogłyby należeć do ducha.

– Chciałaś, żebyśmy cię odwiedziły – wyjaśniła Sarah.

Wargi Arlene zadrżały.

– Myślałam, że nie żyjesz.

Pani Malone aż położyła rękę na piersi.

– Słucham? Nie, mammo. – Sarah pokręciła głową, znikł jej przyklejony do ust uśmiech. – Wiem, że minęło sporo czasu. Bywałam tutaj, ale zawsze spałaś.

– Dlaczego, na miłość boską, pozwoliłaś mi myśleć, że nie żyjesz? – zapytała stara kobieta z furią. Szponiaste palce wbiła w oparcie wypłowiałego fotela. – Jaka córka robi to swojej matce? – Podniosła głos. Ręce jej drżały. – Powinłam była wiedzieć! Zakonnice mówiły mi, że zesłaś na złą drogę. Ostrzegały mnie. Nie wiesz, że Madonna jest kluczem do zbawienia? Matka Święta, ona jest kluczem. Czy jesteś poganką?

Pani Malone zainterweniowała.

– Arlene, Sarah przywiozła swoje córki. Przyjechały z wizytą.

– Sarah? – powtórzyła staruszka. Oddychała łapczywie.

– Tak, twoja córka.

Arlene szybko zamrugła i poruszyła wargami.

– Moją córką jest Theresa! – Ogień, który rozgorzał tak mocno, nagle został stłumiony. Zadrżały jej usta, jakby miała się rozpłakać. – Ty nie jesteś... – Na chwilę spuściła wzrok i zebrała się w sobie, a Jade właściwie zrobiło się jej szkoda. Najwyraźniej nie wiedziała, o co chodzi. Arlene niespokojnie pomasaowała jedną dłońią płamisty grzbiet drugiej dłoni. – Nie... Nie rozumiem. Gdzie jest Theresa? Gdzie moje dzieciątko?

Sarah kucnęła koło fotela.

– Nie wiemy, mammo. Wciąż nie wiemy.

– Sądzę, że jest z Johnem – powiedziała nagle Arlene.

– Johnem? Jakim Johnem?

– A może to był Matthew?

– Mamo, kim jest Matthew? – Sarah wciąż nie rozumiała.

– Może to byli przyjaciele pani siostry – zasugerowała pani Malone cichym głosem. – Albo członkowie rodziny?

– Z nimi będzie bezpieczna – powiedziała Arlene. – Wiem o tym. – Zniknęła rozjuszona staruszka, pozostawiając za sobą zdeorientowaną, załamana starszą panią, która zaczęła mamrotać bzdury i mrugać oczami za szklami zbyt dużych okularów.

– To chyba nie jest najlepsza pora na wizytę – zmartwiła się pani Malone, marszcząc brwi.

Żeby tylko! Według Jade to chyba była najgorsza pora na świecie. Biedna babcia.

– Może przyjechałybyście innego dnia? – dodała opiekunka.

– Mamo? – zapytała Sarah, ale Jade wiedziała, że to już koniec. Ktokolwiek czy cokolwiek nawiedziło przed chwilą tę wyschniętą skorupę będącą niegdyś człowiekiem, już się wycofało i ukryło. Jade miała tylko nadzieję, że na zawsze.

Ponownie wyszły na korytarz, a pani Malone powiedziała:

– Czasami jej się pogarsza. Proszę dać mi chwilę. – Po czym wyjęła z kieszeni jakieś radyjko i wezwała pomoc. – Możecie jechać, jeśli chcecie. Później się do was odezwę – obiecała. Wtedy zjawiła się wysoka kobieta z gęstymi, siwiejącymi włosami związanymi w kok na karku i zaoferowaną miną. Zbliżyła się do nich szybkim krokiem.

Była ubrana w niebieski fartuch i miała plakietkę, z której Jade wyczytała, że jest dyplomowaną pielęgniarką. Na chwilę odciągnęła panią Malone na bok, poszeptowała z nią, po czym weszła do pokoju babci.

– Czy to normalne? – zapytała Sarah.

– Ma dobre i złe dni – wyjaśniła pani Malone, zerkając za uchylone drzwi, gdzie pielęgniarka próbowała porozumieć się z Arlene. – Najwyraźniej to nie jest jej najlepszy dzień.

Kobieta była mistrzynią niedomówień. Boże, w jaki sposób udało jej się utrzymać tę pracę?

– Wrócimy tutaj – zapowiedziała Sarah, a Jade odczuła ulgę. Im szybciej się stąd wydostaną, tym lepiej.

Na zewnątrz w końcu poczuła, że znowu może oddychać. Już nie przeszkadzał jej deszcz padający z ciemnego nieba.

– Co za okropne miejsce! – oświadczyła, gdy matka otworzyła pilotem drzwi. Jade ruszyła przez parking i weszła do forda. Siostra i matka poszły za nią. Gdy Gracie zapięła swój pas bezpieczeństwa, Jade poważnie spojrzała na Sarah.

– Żeby było jasne, mamo, nigdy nie zamierzam tu wrócić.

– Oczywiście, że wrócimy, żeby spotkać się z babcią.

– Dlaczego? Jest okropna. Nawet cię nie rozpoznała. Sądziła, że nie żyjesz. To było takie dziwne! – Jade bawiła się pasem, ale zapięła go, zanim Sarah rozpoczęła ten sam nudny wykład na temat bezpieczeństwa.

– Po prostu pomyliła mnie ze starszą siostrą Theresą. To wszystko – wyjaśniła Sarah.

– Wszystko? – Jade oparła głowę o zagłówek.

– Jest chora, miała wylew. Prawdopodobnie ma demencję.

– Odkleiła się od rzeczywistości. Okej, jasne. Rozumiem, że ma alzheimera albo coś takiego – powiedziała Jade. – Współczuję jej. To smutne, okej? Ale to dla mnie za dużo, mam. Nawet jej nie znam. A ona najwyraźniej nie chce znać mnie. Więcej tu nie wrócę.

– Ja też nie – rzuciła Gracie z siostry. – Jade ma rację. – Chociaż raz wstawiła się za Jade, aż trudno było uwierzyć. – Ona jest jakaś szalona i...

– Dość! – warknęła matka z frustracją i zaczęła wycofywać auto z parking. Ale zaraz wcisnęła hamulec, bo inny samochód także cofał. – Dziewczyny, to moja matka, wasza babcia. Trochę szacunku i współczucia dla chorej kobiety.

– Dlaczego? – zdziwiła się Jade. – Przecież ona nas tam nie chciała. Żadnej z nas. I nie rozumiem, dlaczego udajesz, że nie było aż tak źle.

Sarah zamknęła na chwilę oczy. Deszcz padał na zaparowaną przednią szybę.

– Aha – wyszeptała Gracie, a Jade praktycznie usłyszała, jak ich matka liczyła w głowie do dziesięciu. Potem Sarah ujęła kierownicę tak mocno, że zbieleły jej palce. W końcu się uspokoiła, głęboko odetchnęła, pokręciła głową i ponownie zaczęła cofać.

– To moja matka – powtórzyła łagodnie. – Wychowała mnie.

– To wiele wyjaśnia – rzuciła Jade, po czym zobaczyła, że matce zrobiło się przykro. Aż się skuliła w środku, ale buńczucznie wysunęła szczękę.

– Nie zawsze taka była – ciągnęła Sarah.

W końcu ruszyły długą drogą prowadzącą do głównej szosy.

– Mam, babcia zawsze była dziwna. Wiesz o tym. Poza tym przykro mi, że jest twoją matką. Ale to twoja sprawa. Chcę tylko powiedzieć, że... jest jak jakaś czarownica albo coś w tym stylu.

– Jade... – mruknęła.

Ale Jade nie zamierzała cofać swoich słów.

– Mam, przyznaj to, babcia jest zła.

– Na miłość boską, jest chora. To wszystko. Nie nakręcaj dramatu.

– To nie wszystko. Okłamujesz się, nie dopuszczasz do siebie prawdy na jej temat. I na inne tematy. Zdziwisz się, jeśli wszystko nie ułoży się po twojej myśli. – Zauważyła, że matka się wzdryga.

– Po prostu bądźmy miłe dla babci, dobrze? – Sarah zwolniła i przepuściła dużą ciężarówkę. Następnie skręciła na drogę, która prowadziła do centrum Stewart's Crossing. – Okażcie jej współczucie i empatię. Jeśli będziemy miały szczęście, to wszystkie kiedyś osiągniemy jej wiek.

Chyba za milion lat.

– Okej – padło z tylnego siedzenia.

– Jasne – zgodziła się w końcu Jade. Niezbyt dobrze się czuła po tym, jak się zachowała, ale mimo wszystko... Przypomniała sobie babcię Arlene, to, jaka była, gdy była młodsza. – Będę dla niej równie miła jak ona jest dla mnie.

– Dobrze – zgodziła się Sarah, nie odrywając oczu od drogi. Gdyby Jade nie знаła swojej matki, mogłaby pomyśleć, że naprawdę się z nią zgadza.

ROZDZIAŁ 7

Było zimno. Tak strasznie zimno.

I ciemno. Zupełnie czarno.

– Wypuść mnie stąd! – wrzeszczała Rosalie, lecz głos miała zdarty, ton błagalny i chociaż waliła w zamknięte drewniane drzwi, nikt nie odpowiadał. Miała wrażenie, że jest sama na całym świecie. Znowu chciała wybuchnąć płaczem, ale załamywanie się jak na razie nic jej nie pomogło. Była uwięziona w jakiejś stodole, jej pokojem był boks ze ścianami ustawionymi tak blisko siebie, że gdyby stanęła na środku, mogłaby prawie dosięgnąć każdej z nich. Jedyne światłem, które przenikało do wnętrza, było to wpadające przez okno znajdujące się jakieś trzy metry nad drewnianą podłogą. Ale teraz znowu zapadła ciemność, musiał być wczesny wieczór, z głodu głośno burczało jej w brzuchu.

Bała się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej w życiu. Próbowwała się wydostać z tego miejsca od chwili, gdy została tu zamknięta. Walczyła, kopała, krzyczała, była wściekła i przerażona jednocześnie. Zdarła głos, twarz miała opuchniętą od płaczu, ręce ciasno skrępowane kajdankami z przodu. Teraz krwawiły i były podrapane od walenia w drzwi. Bolały ją nawet nogi. Tak mocno kopała w solidne, drewniane panele, że aż poczuła ból w prawej nodze.

– Niech to szlag! – Złączonymi dłońmi pomasaowała nogę, ale nie ulżyło jej to w bólu.

Nie wiedziała, gdzie jest, ale domyślała się, że nie jakoś strasznie daleko od Stewart's Crossing. Podróż od chwili, gdy została porwana i powiedziona przez las i wzgórze, zajęła jakieś pół godziny, więc znajdowała się nie dalej niż trzydzieści kilometrów od restauracji. Zerknęła na zegarek i licznik kilometrów w drodze do tego odizolowanego budynku położonego w środku lasu.

Seksowny uśmiech i kowbojski urok kierowcy zupełnie się ulotniły. Przyjazny facet, który zostawiał duże napiwki i zawsze miło z nią rozmawiał, sącząc kawę, znikł, a jego miejsce zajął jakiś maniak o kamiennej twarzy.

Być może ten miły człowiek nigdy nie istniał. Fasada dobrego faceta, która pomogła mu ją oszukać, zniknęła z jego oblicza i pojawił się potwór, którego podejrzewała o to, że jest zdolny do popełnienia morderstwa.

Jej umysł zapędzał się w mroczne ścieżki, gdy zastanawiała się, co może jej zrobić. To niemal doprowadzało ją do choroby. Jak na razie jej nie tknął, jedynie zakął w kajdanki. Ale to mogło się zmienić. A rozmyślanie o tym, co może przynieść przyszłość, mroziło jej krew w żyłach.

Musisz być silna. Musisz być sprytna, musisz znaleźć sposób, żeby odmienić swój los. Drżąc, walczyła ze strachem.

Uświadomiła sobie, że była idiotką. Po raz kolejny chłostała się w myślach za swoją głupotę, która doprowadziła ją do tego, że weszła do jego ciężarówki. Zsunęła się po drzwiach i usiadła na podłodze.

Gdy zrozumiała, że została porwana, spodziewała się, że ją zgwałci, będzie ją torturował lub ją zamorduje, ale jak na razie tylko zaniósł ją wierzgajacą i krzyczącą do tego lodowatego, pustego pomieszczenia. W kącie stała prycza, dwie butelki wody i wiadro do sikania.

– Wszystkie domowe wygody – powiedział z okrucieństwem w głosie, rzucając ją na legowisko z wypłowiałym śpiworem i zatęchłą poduszką. Tam ją zostawił, nie zdjawszy jej kajdanek.

Przez całą noc miotła się po pomieszczeniu, kopała w drzwi, płakała i krzyczała. Przez cały czas jednak próbowała wymyślić, jak stąd uciec. Gorzko żałowała, że nie zabrała się z Glorią, tylko sama poszła do domu. Żałowała, że wsiadła do tej ciężarówki, że nic nie zrobiła, tylko pozwoliła się zaciągnąć do tej okropnej pułapki.

– Nienawidzę cię! – wrzeszczała, a jej słowa odbijały się echem i wracały do niej. Była pewna, że jest tu sama. Zupełnie sama.

Czy matka kiedykolwiek ją znajdzie?

A może ten dupek Mel przekona Sharon, że znowu poszła w tango na całą noc? Czy w ogóle zaczęli już jej szukać?

Proszę, proszę, proszę, modliła się do Boga, choć zarzekała się, że w niego nie wierzy. *Niech ktoś mnie znajdzie!*

Z pewnością nawet Mel w końcu się przekona, że sprawa jest poważna. O Boże, miała nadzieję, że już jej szukają, że ktoś widział, jak wsiada do auta tego pojeba, że ktoś go rozpoznał lub zapisał numer rejestracyjny...

To bez sensu, pomyślała, wstając i czując, że z oczu znowu płyną jej łzy. Usiadła na tej głupiej pryczy i zarzuciła śpiwór na ramiona. Minęło już dużo czasu, wystarczająco dużo, by poczuła głód i wszechogarniający strach. Ten łajdak chyba tak jej tutaj nie zostawi, prawda? Żeby umarła z głodu? Nie dawałby jej dwóch butelek wody, gdyby chciał, żeby umarła z pragnienia. Cały czas do głowy przychodziły jej różne okropne scenariusze i zastanawiała się, czy nie przyda-

rzyło mu się coś okropnego. I chociaż miała nadzieję, że tak, martwiła się tym, że nikt nie będzie wiedział, gdzie jej szukać. Być może po prostu umrze w tym śmierdzącym, spleśniałym śpiworze.

O, Jezu, musiała znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. Musiała! Po policzkach płynęły jej łzy, a kajdanki wbijały się w nadgarstki, gdy próbowała je otrzeć.

Mama cię znajdzie. Znajdzie. Wiesz o tym.

Kłopot polegał na tym, że Rosalie nie wiedziała...

Nie miała co do tego żadnej pewności.

Jak na razie nie odniosła zbyt wielkich sukcesów w roli matki, myślała Sarah, wchodząc po skrzypiących schodach na drugie piętro. Jej starsza córka była na tyle bezczelna i nieczuła, że nazwała babcię złą, a młodsza była przekonana, że widziała w domu ducha. Dwa razy. To by było tyle, jeśli chodzi solidność rodziny.

Z poczuciem winy zastanawiała się, czy niechcący sama ich tak nie nastawiła. Z pewnością nie wyrażała się z sympatią o matce i również sądziła, że widziała potępione dusze w tym domu. Czyżby przypadkowo powiedziała coś w obecności Gracie i wzmogła niepokój młodszej córki? O ile Jade zawsze była niezależna i wygadana, to Gracie zachowywała się bardziej introwertycznie i miała trudności w zjednywaniu sobie przyjaciół. Sarah trzymała kciuki za to, aby przeprowadzka okazała się pozytywną zmianą nie tylko dla niej, ale także dla dziewczynki.

Zatrzymała się na podeście półpiętra. Przeszła już przez wszystkie pokoje na tym piętrze i ponownie uznała, że należy całkowicie przerobić łazienkę, podobnie jak główną sypialnię. W całym domu przydałaby się wymiana kabli elektrycznych i hydrauliki, ocieplenie i odnowienie systemu ogrzewania. To będzie kosztowało fortunę.

– Ale będzie tego warte – przypomniała sobie, mijając pokój w, którym mieszkała jej siostra. Odrobinę zwolniła. – Później – powiedziała sobie. Gdy tylko będzie miała więcej czasu, żeby zmierzyć się ze swoimi demonami. Wobec tego podeszła do drzwi na końcu korytarza, prowadzących do wąskiego przejścia na strych i taras. Gdy przez nie przeszła, niepokój sprawił, że przyspieszył jej puls. Od dzieciństwa unikała tych schodów. Nie chciała postawić choćby kroku na strychu. Musiała z tym skończyć.

Weź się w garść. Na strychu nie ma niczego złego. Niczego.

Włączyła światło na dole schodów. Przełącznik głośno kliknął i tyle. Schody i pomieszczenie nad nimi pozostały ciemne.

– Oczywiście – wymamrotała i włączyła latarkę w komórce, żeby oświetlić sobie drogę. Czowała, że mięśnie na jej karku się spinają, ale zmusiła się do wejścia na stopnie, ignorując głośne bicie serca i strach płynący w jej żyłach.

Gdy weszła na strych, temperatura powietrza spadała. Wiatr gwizdał przez dziury w dachu, które powstały w miejscach, gdzie odpadły dachówki, przez co do środka dostawał się deszcz.

Przypomniała sobie, że była na tarasie tamtej nocy, kiedy poszła na strych. Z obsydianowego nieba padał lodowaty deszcz. Przemokła jej koszula nocna, miała mokrą skórę, a mroźny wiatr chłostał jej ciało, aż drżała. Ale to nie zimowa pogoda sprawiła, że wyczuła tam jakąś obecność, coś tak przerażającego, że jej pamięć zablokowała wspomnienia.

Czasami wracały do niej jakieś fragmenty.

Wiedziała, że wtedy był z nią Roger.

A może to było później? Może to były jakieś urojenia, co wielokrotnie próbowała wmówić jej Arlene?

Miała wrażenie, że pamięta stwardnienia na dłoniach przyrodniego brata. Jego palce szorstkie od ciężkiej pracy, które zacisnęły się na jej rękach. Był wtedy nastolatkiem, niemal mężczyzną. Wyszeptał jej do ucha:

– Wszystko będzie dobrze. – Ale to było kłamstwo.

Wzdrygnęła się, przypominając sobie jego gorący oddech na małżowinie usznej. Strach pulsował w jej mózgu. Musiała wszystko sobie przypomnieć. Paraliżujący ją strach oddalał od niej to wspomnienie, a przynajmniej tak wyjaśniała psycholog, do której chodziła przez wiele lat.

– To twoja podświadomość, Sarah. Twój mózg w ten sposób stwarza ci poczucie bezpieczeństwa – wyjaśniła doktor Melbourne łagodnym, uspokajającym tonem. – Próbuje cię chronić.

– Ale ja muszę wiedzieć – nalegała, siedząc na skraju kanapy w gabinecie Melbourne, składającego się z dwóch pokoiów wydzielonych ze starego domu i urządzonych tak, aby wyglądały przytulnie. Prawdopodobnie w nadziei, że dzięki temu pacjenci odczuwają iluzję bezpieczeństwa. Łagodne oświetlenie, wygodne meble, a nawet ręcznie dziergana narzuta i cicho tykający zegar tworzyły iluzję domu i ogniska domowego. Mimo to Sarah nie czuła się bezpieczna i zaciskała pięści, starając się nie oddychać zbyt szybko i płytko. – Muszę wiedzieć, co się ze mną stało, przed ślubem. – Była zdesperowana, nie chciała bowiem zabierać ze sobą swoich strachów, wychodząc za męża za Noela McAdamsa.

– Blokada kiedyś puści, kiedy będziesz gotowa, zaufaj mi – powiedziała dr Melbourne.

– Chcę, żeby to się stało teraz – nalegała Sarah.

Jednak lekarka nie była w stanie niczego więcej jej zaoferować. Wobec tego Sarah poślubiła Noela, wciąż nie mając pewności, przed czym próbuje chronić ją mózg. Wówczas uznała, że teoria doktor Melbourne była bzdurna... Ale niedawno zaczęła się potwierdzać. Kiedy postanowiła wrócić do tego starego domu, pojawiło się kilka niewielkich fragmentów wspomnień, przeniknęły przez blokadę.

Teraz zastanawiała się, czy jest gotowa na przyjęcie prawdy.

– Lepsze to niż niewiedza. – A może się oszukiwała? Zatrzymała się na górze schodów. Musiała powstrzymać chęć ucieczki z tego miejsca, zamknąć swój umysł na tamtą ciemną noc.

Dlaczego w ogóle tam poszła? Co robiła z Rogerem? W jej głowie wiły się niewyraźne obrazy niczym zbyt szybko przesuujące się kadry, uniemożliwiające zobaczenie szczegółów.

– Sarah – wyszeptał Roger. – Nie bój się...

Ale ona się bała. A wręcz była sparaliżowana strachem. Stał tak blisko. Czowała jego pot, jego męską woń podszytą aromatem alkoholu. Jego broda drapała ją w policzek. Podłożył dłoń pod jej nogi i ją podniósł...

Matko Boska...

Teraz próbowała się czegoś chwycić. Czegoś, co pomogłoby jej odzyskać pamięć, ale obrazy pojawiały się bardzo szybko i jeszcze szybciej znikwały w otchłani niepamięci.

– Niech to szlag – wyszeptała. Nie mogła pozwolić, by to ją paraliżowało. Z trudem wzięła się w garść i stłumiła wrażenie, że doszło wtedy do czegoś złego.

– Przestań, Sarah. Daj spokój – zbesztła się i latarką z telefonu oświetlała śmieci zbierane przez dekady i składowane pod dachem, gdzie spodziewała się zobaczyć gniazdujące tu nietoperze i inne zwierzęta, które zrobiły tu sobie dom. To ciemne pomieszczenie ze spadzistym sufitem, nieoheblowanymi belkami i zakurzoną podłogą było doskonałą kryjówką dla różnego rodzaju gryzoni.

Miała gęsią skórkę, ale omiatała snopem światła stare kufrы, stopy zapomnianych książek, połamane meble, skrzynki i plamy na podłodze w miejscach, gdzie przeciekał sufit. Przesuwała się ostrożnie i podeszła do ostatnich schodów prowadzących na górę do wieżyczki. Pękły w niej dwie szyby, co nie było żadnym zaskoczeniem. Spróbowała otworzyć drzwi, lecz okazało się, że są wypaczone i zablokowane, więc prawie zawróciła. Powróciły jej stare strachy i wygodna wymówka, że szaleństwem było wychodzenie na taras w nocy i w deszczu.

Ale doszła już tak daleko.

– Zrób to – powiedziała sobie. Ręce miała lepkie od potu, nerwy w strzępach. Zamierzała wyjść na zewnątrz, na taras i stanąć w tym samym miejscu, gdzie stała Angelique le Duc Stewart prawie sto lat wcześniej, kiedy, jak głosi legenda, przeciwstawiła się napastnikowi. Gdy oboje spadli z dachu, niechybnie spotkała ich śmierć, a ich ciała nigdy nie zostały znalezione.

To było to samo miejsce, w którym znalazł ją Roger, a przynajmniej tak się zarzekał. Twierdził, że zobaczył, jak chodzi po deszczu, i zaniósł ją na dół do salonu, gdzie ojciec siedział przy kominku. Miała wtedy pięć lat. Była dzieckiem. Przysięgała, że nie pamięta, jak się tam znalazła. Ojciec był dobry, wziął ją na fotel i przytulił do siebie. Szybkie stukanie obcasów Arlene po podłodze zaanonsowało jej przybycie.

– Co tam robiłaś? – zapytała, z furią wyrrywając Sarah z objęć ojca. – Wszystko wiesz najlepiej! – Potrząsnęła córką, po czym się zreflektowała i przyciągnęła ją do siebie. Zaczęła płakać. – Wystraszyłaś mnie, Sarah Jane – zaszlochała, jej głos się załamał, oczy zrobiły się popielate. – Nawet nie wiesz, że śmiertelnie mnie wystraszyłaś!

Matka pachniała jakimiś perfumami pomieszanymi z zapachem dymu papierosowego, gdy usiadła na kanapie, wciąż trzymając Sarah w objęciach, jakby bała się, że dziewczynka zniknie.

– Coś ty tam robiła?

– Nie wiem – odpowiedziała Sarah zgodnie z prawdą. Arlene jej nie wierzyła, ale miała obstawała przy tym, że nie pamięta, w jaki sposób znalazła się na tarasie. W końcu matka się poddała.

– Cóż, dzięki Bogu, że Roger cię znalazł – stwierdziła, szepcząc w mokre loki drżącej córki. – Nawet nie chcę myśleć, co mogłoby się stać, gdyby tam nie poszedł. A teraz chodź, zrobisz ci gorącą kąpiel, żebyś się rozgrzała, a potem dostaniesz suchą piżamę.

Czy tamtej nocy widziała ducha? Tak jej się wydawało. A może było to coś bardziej przerażającego, jakiś wytwór jej imaginacji? Samo doświadczenie było wstrząsające, traumatyczne i nigdy niewyjaśnione. A teraz znowu znalazła się na tym samym strychu, czując te same skomplikowane emocje, które paraliżowały jej ruchy. Chociaż powtarzała sobie bez końca, że cokolwiek tam się stało, dawno zostało zakopane głęboko w jej pamięci.

Arlene, która w ogóle nie brała pod uwagę ducha ani żadnej rzeczy, której nie obejmował rozum, upierała się, że to, co wystraszyło Sarah, było jedynie wytworem jej wyobraźni – skutkiem gorączki albo źle dobranych leków sprzedawanych bez recepty połączonych z nadmiernie reaktywną dziecięcą wyobraźnią.

Aż do teraz Sarah zawsze dostawała gęsiej skórki na rękach, gdy przekraczała drzwi prowadzące na najwyższe schody, czuła instynktowny strach, a zagmatwane wspomnienia z dzieciństwa pojawiały się w niedostępnych obszarach jej mózgu.

Oparła czoło o zimną szybę wieżyczki. Na chwilę zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

Zapomnij o tym. Opuść. Teraz jesteś kobietą. Matką. Nie przestraszoną małą dziewczynką.

Odzyskawszy determinację, ponownie spróbowała otworzyć drzwi na dach.

– Dalej, dalej – powtarzała, popychając je z całej siły, aż w końcu ustąpiły, a ona wypadła na dach. Udało jej się odzyskać już równowagę, zanim padła twarzą na taras.

Na zewnątrz powietrze było ciężkie i wilgotne. Padał deszcz, wiatr wyl w wąwozie, w którym płynęła rzeka.

Latarką oświetliła podłogę na dachu oraz barierkę. Było jednak zbyt ciemno, aby mogła dokonać oceny ich stanu.

Dach wokół płaskiego tarasu był spadzisty i zwieńczony wysokimi i wąskimi oknami mansardowymi oraz kominami, natomiast kopia wieżyczki celowała wysoko w niebo. Podeszła do barierki i wyjrzała w dół, gdzie ujrzała skośny dach, a pod nim urwisko, na którym wzniesiono ten dom. Choć było zbyt ciemno, żeby ujrzeć stąd Kolumbię, słyszała szum wody w rzece płynącej na zachód.

Co się stało z Angelique le Duc Stewart tamtej nocy prawie sto lat wcześniej? Jej ciało nigdy nie zostało znalezione. Jej męża Maxima też już nigdy nie widziano w okolicy. Krążyły plotki o tym, że stoczyli walkę. Mówiono, że plotki zapoczątkowała córka Maxima, Helen, która rzekomo była świadkiem przerażającej potyczki pomiędzy małżonkami na dachu.

Mieszkańcy Stewart's Crossing wysnuli teorię, potwierdzoną później przez dzieci Maxima i Angelique, że ich małżeństwo było wybuchowe. Mąż i żona po raz ostatni starli się na tarasie, z którego następnie spadli i znaleźli śmierć w lodowatej, spienionej rzece.

Na samą myśl Sarah przeszył dreszcz. Jej krew zmieniła się w lód. Rozumiała, czym jest gniew w związku, wiedziała, co to złość, strach i owszem, nawet przemoc w stosunku do tych, których najbardziej się kocha. Ale mimo wszystko poczuła niezbadany mrok w duszy. Kiedy spojrzała na zachód, dokąd płynęła rzeka, oczyma wyobraźni ujrzała siłujących się Angelique i Maxima, każde z jakąś bronią. Według legendy walczyli na tym śliskim dachu zabezpieczonym tylko niską barierką.

Zgodnie z opowieściami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie, Maxim gonił ją z siekierą, a Angeliqne uciekała do góry, aż dotarła do miejsca, skąd nie miała odwrotu. Czy skoczyła, ratując swoje życie? Próbowała uciec? A może została wyrzucona przez barierkę?

Mimo zawodzącego wiatru Sarah usłyszała jakiś szelest – czyżby kroki? Odwróciła się i spojrzała na otwarte drzwi wieżyczki. Nic. Była tutaj sama. Żadna zdrowa na umyśle osoba nie chciałaby się tutaj znaleźć w czasie burzy. Ale ona przecież pokonała te ostatnie kilka kroków, nieprawdaż?

Nerwy miała napięte, gdy rozejrzała się wokół po dachu. Ale oczywiście nikogo nie ujrzała. Ani człowieka, ani ducha. Nic.

Weź się w garść! Do licha! Nie ma powodu do niepokoju.

Mrugając, by móc ujrzeć coś w deszczu, wyjrzała ponad barierką. Wytężyła wzrok, próbując dostrzec rzekę, którą słyszała i czuła. W ciemności nocy niczego jednak nie mogła zobaczyć.

Wyobraziła sobie piękną kobietę spadającą w ciemność, jej białą suknię unoszącą się wokół niej, czarne, rozrzucone wokół głowy włosy i rzekę płynącą poniżej, gotową, by ją przyjąć...

Łup!

Głośny trzask odbił się echem od dachu.

Sarah podskoczyła.

Jej stopy wpadły w poślizg.

Tłumiąc krzyk, jedną ręką złapała się poręczą, kątem oka zauważyła jakiś trzepot bieli, tę samą białą, powiewającą suknię!

Duch! Znowu! Tak jak wtedy...

Puls dudnił jej w uszach, odwróciła się, spodziewając się, że ujrzy nadprzyrodzoną postać znikającą w ciemności niczym dym.

– Mamo? – Dotarł do niej przestraszony głosik Gracie i rozpoznała swoją córkę, drżącą na deszczu, podobnie jak ona sama trzydzieści lat wcześniej.

O, drogi Jezu. Pod Sarah ugięły się nogi, ogarnęło ją poczucie *déjà vu*.

– Gracie? – wyszeptala, z trudnością wydobywszy z siebie głos. Twarz Gracie wydawała się biała jak u ducha. Jej włosy skręciły się w żyjące własnym życiem, mokre loki. – Co tutaj robisz? – Głos Sarah był ostrzejszy niż zwykle. Szybko ruszyła w stronę córki. – Wracajmy do środka.

– Co tutaj robisz? – Gracie zadała jej to samo pytanie. Była w samej koszuli nocnej, miała gołe stopy, tak samo jak wtedy Sarah przed trzydziestu laty.

– Sprawdzam dach.

– Podczas burzy i w nocy?

– No, nie było to najmądrzejsze. Chodź, zejdźmy z deszczu. – Postanowiła, że nie powie córce, że chciała zmierzyć się ze swoimi własnymi strachami. Na razie jeszcze nie. Wprowadziła Gracie do środka, zamknęła za sobą drzwi wieżyczki, po czym poszła za dziewczynką w dół kręconych schodów prowadzących na strych. – Całkiem przemokłaś – zauważyła, kładąc jedną dłoń na ramieniu córki. Szły za niebieskawym światłem latarki przez labirynt śmieci od lat składowanych w tym nieogrzewanym pomieszczeniu.

– Ty też!

– Ja przynajmniej włożyłam kurtkę.

– Niewiele ci dała.

– A jednak coś. – Sarah świeciła latarką z komórki ponad ramieniem Gracie, gdy schodziły po kolejnych stromych schodach. – Nie wzięłaś ze sobą latarki? – Panika zaczęła ją opuszczać. Poziom adrenaliny w jej krwiobiegu się wyrównywał. W końcu odzyskała równowagę, gdy dotarły do schodów wiodących na drugie piętro.

– Nie.

– To jak znalazłaś drogę? Na strychu leży kupa śmieci.

Gracie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – powiedziała, po czym dotarły na wytarte deski podłogowe korytarza na drugim piętrze. Gdy Sarah zabezpieczyła drzwi prowadzące na strych, udały się w stronę głównych schodów. Tak właśnie było z Gracie. Czasami Sarah się zdawało, że dziewczynka posiada jakąś umiejętność przewidywania przyszłości. Innym razem była zwykłym dzieckiem.

– Chyba przemarzałaś – zauważyła Sarah, próbując nakierować córkę na główne schody.

Gracie jednak zatrzymała się przy drzwiach do pokoju Teresy i złapała za klamkę.

– Coś tu się stało.

To zachwiało niedawno odzyskaną równowagą matki.

– Oczywiście, że działy się tu różne rzeczy – powiedziała Sarah. – Jak w każdym pokoju. Ten dom ma prawie sto lat.

– Mam na myśli to, że stało się tu coś złego. – Gracie pokręciła głową.

– Czyli co?

– Nie jestem pewna. – Dziewczynka przekręciła klamkę, drzwi zaskrzypiały, otworzyły się i weszła do środka.

– Gracie, nie. Chodźmy stąd – namawiała ją Sarah, pragnąc, by jej dziecko nie robiło takich rzeczy, żeby Gracie po prostu grała w piłkę, wgapiła się w smartfona jak w koło ratunkowe, żeby zadawała się z przyjaciółmi, żeby nie była taką dziwaczką. – Rozmawiałaś z tatą? Opowiedziałas mu o przewodniczce?

Dziewczynka nie słuchała. Nawet nie próbowała włączyć światła w pokoju.

– Zimno tu – wyszeptła, a jej oddech zmienił się w parę wodną.

– Oczywiście, że tak. Nie ma tu ogrzewania, a ty przemokłaś. – Sarah przekreśliła włącznik. Blade światło rozbliżyło w jednej z dwóch gołych żarówek wiszących nad ich głowami. – Okno się nie domyka, a szyber w kominku najprawdopodobniej się zepsuł, więc jest tu przeciąg.

– Mam na myśli coś innego.

Sarah zamilkła, po czym się poddała.

– Tak, wiem.

Gracie przygryzła dolną wargę, podeszła do kominka i dotknęła zamontowanej nad nim półki. Jej wzrok powędrował do popękanego lustra.

– Co się tu stało?

– Naprawdę nie wiem. To był pokój mojej siostry.

– Ale nie Dee Linn, prawda? Ona mieszkała na pierwszym piętrze, tam gdzie ty i wujkowie, Jake i Joe.

– Racja. – Już wcześniej o tym rozmawiały. – To pokój Theresy. Nigdy jej nie poznałaś, a ja też jej nie pamiętam.

– Aha. – Gracie wzięła do ręki jakąś małą figurkę przedstawiającą Madonnę, która od wielu dekad stała sama na kominku. – Dziwne. – Zdmuchnęła z niej kurz. – I nikt nie wie, co się z nią stało?

– Wszyscy twierdzą, że uciekła.

– Wierzysz w to?

– Nie wiem, w co mam wierzyć. Mama twierdzi, że ona żyje, że uciekła, ponieważ nie umiała przystosować się do zasad panujących w domu. Że mój ojciec był zbyt surowy.

– A był?

– W stosunku do nas nie, ale mógł się zachowywać inaczej w stosunku do Theresy i Rogera. Byli starsi i byli jego przybranymi dziećmi.

– A gdzie był ich ojciec?

– Nie żył. Umarł rok wcześniej, jak mi się wydaje. Moja mama była wdową, kiedy poślubiła tatę. Możemy porozmawiać o tym na dole, jak się przebierzesz.

Ale Gracie zdawała się być milion kilometrów stąd. Obracała figurkę w dłoniach.

– Kochanie – popędziła ją Sarah, czując dreszcz, który nie miał nic wspólnego z temperaturą panującą w pokoju.

– Sądzisz, że nie żyje?

O, Panie Boże.

– Może. Mam nadzieję, że nie umarła. – Czując się tak, jakby stąpała po grobie siostry, Sarah podeszła do Gracie i wyjęła ceramiczną Madonnę z jej palców.

– Ale, mamo, coś się tutaj stało, prawda? – naciskała dziewczynka, odwracając bladą twarz w stronę matki. – Coś bardzo złego.

Krew Sarah ścięła się w żyłach, a w głowie rozległo się echo jej własnych słów pochodzących z innego świata.

– Co się tutaj stało? – zapytała Sarah, kiedy Arlene przyłapała ją na węszeniu w pokoju Theresy.

Arlene zareagowała natychmiast. Zaciśnęła palce na przedramieniu najmłodszej córki i wyciągnęła ją na korytarz.

– Nie waż się tam wchodzić! Słyszysz mnie? Jeśli jeszcze raz cię na tym przyłapię, każę ci siedzieć w twoim pokoju przez cały miesiąc. Co ty na to? – zagroziła i zamknęła drzwi do pokoju Theresy. Następnie wyjęła klucz, zaciśnęła usta, pobladła i drżącymi palcami przekręciła go w zamku.

Gdy pokój został zabezpieczony, głośno westchnęła i oparła się o dębowe panele w korytarzu. Zauważyła, że wciąż wbija palce w rękę Sarah, więc natychmiast ją puściła, jakby ten dotyk ją oparzył. W jej oczach pojawiły się łzy i ukłękła przed najmłodszą córką.

– Kochanie, przepraszam – wyszeptwała, dotykając jej nosa swoim nosem; klatkę schodową oświetlały światła zapalone na niższym piętrze. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Sarah tego nie kupowała. Do tego dnia była przekonana, że Arlene doskonale rozumiała swoje motywy.

Jedną ręką matka odsunęła kosmyk włosów z jej czoła i uniosła oczy, jakby toczyła ze sobą jakąś wewnętrzną walkę.

– Ale naprawdę nie możesz wchodzić do pokoju Theresy, zrozumiałaś?

– Dlaczego? – dopytywała Sarah. Nadal widać było odcisk palców matki na jej ręce.

Wzrok Arlene przeniósł się od siniaka na oczy córki. Musiała w nich dostrzec jakieś zarzewie buntu, a być może iskrę nienawiści, ponieważ objęła dziew-

czynkę i mocno ją przytuliła. Sarah poczuła zapach jej perfum i dopiero co wypalonego papierosa.

– Po prostu chcę, żebyś była bezpieczna, skarbie, to wszystko – powiedziała Arlene i wydawało się to szczere, bo głos jej się załamywał. Następnie odsunęła córkę na długość ramienia, aby Sarah mogła dostrzec jej dobre intencje. Zamrużyła zażawionymi oczami. – Chcę tylko, żebyś była bezpieczna.

Teraz, stojąc w tym samym pokoju, do którego sama nie mogła wchodzić, Sarah desperacko chciała powiedzieć to samo swojemu dziecku.

Zamiast tego odchrząknęła i zaproponowała:

– Chodź, zejdziemy na dół i zrobimy sobie gorącą czekoladę. Jutro wielki dzień, ostatni wolny przed szkołą.

– Wiem. O, nie. – Gracie nie podzielała jej entuzjazmu, ale przynajmniej nie oponowała, gdy Sarah wyprowadziła ją z pokoju i wyłączyła światło. W ostatniej chwili jej wzrok padł na spokojną, małą Madonnę stojącą na półce. Przez chwilę była pewna, że mała Maryja odwzajemniła jej spojrzenie.

ROZDZIAŁ 8

Rosalie odrzuciła górę zatęchłego, starego śpiwora.

Miała już po dziurki w nosie leżenia tutaj, w tej żalostnej stajni. Miała dość wyplakiwania sobie oczu i poczucia, że jest tak cholernie bezradna. Jak to mawiała jej babcia? „Dobry Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie”. Zaczynała rozumieć sens tego powiedzonka.

Ostatnie dwa dni spędziła zakopana na pryczy, pragnąc tylko, by jej matka, policja lub ktokolwiek inny przyszedł jej z odsieczą, ale jak na razie nic takiego się nie stało.

Za to on wrócił na całe pięć minut. Prawie się posrała ze strachu, gdy usłyszała silnik. Zewnętrzne drzwi zaskrzypiały, gdy je otwierał, potem rozległo się stukanie jego butów na starej, drewnianej podłodze, z każdym krokiem coraz głośniejsze.

Skuliła się w kącie, podciągając śpiwór aż do brody. Śledziła każdy jego ruch. Trzymał się blisko drzwi, blokował jej ucieczkę i zostawił jej gotowy, podgrzany posiłek, ale już chłodny. Opróżnił jej prowizoryczny nocnik i zostawił kilka butelek wody.

Kiedy próbował do niej zagadać, napotkał z jej strony milczący opór i to naprawdę go wkurzyło.

– Lepiej naucz się dobrych manier, dziewczyno – powiedział ze znaczącym uśmiechem. – I to szybko. – Po czym zatrzęsął drzwiami i zniknął.

Zadrżała na to wspomnienie.

Jak mogła zaufać takiemu człowiekowi?

Teraz w stajni było cicho. Nie słyszała nawet hałasów czynionych przez wieiórki. *Zrób coś. Cokolwiek.*

Musisz się stąd wydostać, Rosalie. To, że jeszcze cię nie zgwałcił, nie torturował i nie zabił, nie oznacza, że w końcu tego nie zrobi.

Tłumiąc strach, który był jej nieodłącznym towarzyszem od chwili porwania, postanowiła wykorzystać kilka godzin dziennego światła, które oświetliło jej więzienną celę. Wstała i ponownie szarpnęła za drzwi. Oczywiście były zamknięte. Porzuciła już nadzieję na to, że coś wskóra krzykiem i wrzaskiem, bo całkiem

zdarła głos. Utraciła siły, próbując wydostać się na zewnątrz lub zwrócić na siebie uwagę, przez wiele godzin waląc w ścianę i krzycząc z całych sił.

Wszystko na próżno.

Myśl, powiedziała sobie. Jedyne, co miała, to własny spryt. I chociaż jej oceny w szkole nigdy nie odzwierciedlały jej inteligencji, wiedziała, że nie jest głupia. Pani Landers, szkolna pedagog, która już zdążyła spisać ją na straty, o mało nie padła, kiedy zobaczyła wyniki jej testu inteligencji.

Zatem teraz musiała użyć mózgu, by coś wskórać. Jako że krzyki i groźby nie poruszyły jej przeciwnika, pomyślała, że wykorzysta swoje umiejętności aktorskie. Sprawzi, że facet uzna, że całkiem się załamała, że stała się uległa i ufna, i wtedy być może uda jej się go tak omotać, że znajdzie sposób ucieczki.

Na samą myśl, że miałyby odgrywać słabą, małą dziewczynkę, zrobiło jej się niedobrze. Nie mogła odgrywać potulnej i uległej, kiedy najbardziej na świecie chciała go rozszarpać, odciąć mu jaja i wydlubać oczy za to, co jej zrobił. Czuła obrzydzenie na samą myśl, że miałyby zwiesić głowę i udawać, że kuli się ze strachu na jego widok.

To, do cholery, nigdy się nie stanie.

Znajdzie sposób na wydostanie się z tego więzienia albo zginie.

Znowu rozejrzała się wokół, szukając drogi ucieczki, a przynajmniej jakiejś broni.

Na pierwszy rzut oka niczego takiego nie było.

Okno było zbyt wysoko, nawet gdyby udało jej się zahaczyć pryczę o wykusz okienny, nie byłaby w stanie się na nią wspiąć, dosięgnąć szyby ani się przez nią przecisnąć. Stare szyby prawdopodobnie były cienkie, więc mogłaby je łatwo wybić, ale okno było podzielone na małe szklane panele, które otaczała rama z drewna. Drzwi były solidne. Już próbowała je wyłamać.

Jednakże ściany boksu nie sięgały sufitu. Pomiędzy nimi a belkami stropowymi był prześwit, miał jakieś osiemdziesiąt centymetrów. Gdyby weszła na pryczę, podskoczyła i się podciągnęła, mogłaby przejść na drugą stronę i być może udałoby jej się uciec. Chyba że boks znajdujący się obok też był zamknięty na klucz. Ale po co? Przecież był pusty.

Przyjrzała się luce. Będzie musiała oprzeć łóżko o ścianę, wspiąć się po nim, podciągnąć i przerzucić ręce nad krawędzią. Były skute, ale nie bezużyteczne. Jeśli uda jej się podciągnąć na górę boksu, zdoła zajrzeć na drugą stronę i sprawdzić czy jest bezpiecznie. Potem wystarczy przerzucić nogi i zeskoczyć do sąsiedniego boksu.

Warto spróbować, prawda?

Tylko że składane łóżko było bardzo lekkie, zrobiono je z cienkich aluminiowych rurek, które nie utrzymają jej ciężaru. Do tego miało krótkie, składane nóżki, które łatwo się zginały. Na pewno nie będzie w stanie zapewnić jej stabilnego podparcia.

– Nie spróbujesz, nie będziesz wiedziała – powiedziała, ponownie cytując babcię.

Musiała to zrobić teraz lub nigdy.

Zrzuciła materac, oparła łóżko o ścianę i spróbowała wspiąć się po nóżkach. Łup! Od razu spadła i wylądowała z hukiem na podłodze. Poczowała silny ból w kręgosłupie. Na domiar złego prycza oderwała się od ściany i upadła na nią.

– Niech to szlag!

Nie jest dobrze.

Ale jeszcze się nie poddawała. Gdy uspokoiła oddech, ponownie oparła tę głupią pryczę o ścianę i ostrożnie, starając się rozłożyć swój ciężar, spróbowała się na niej wesprzeć. Gdy odnalazła równowagę, powoli podciągnęła nogę i udało jej się postawić jedną stopę na krótkiej nóżce. Potem powoli podniosła drugą stopę i...

Trzask!

Znowu spadła.

Mocno uderzyła głową o podłogę. A cholerne łóżko znowu się na nią zważyło.

– Cholera! – krzyknęła z frustracji, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Cholera! Cholera! – Kopniakiem odrzuciła łóżko i położyła się na podłodze. Wbiła wzrok w belki stropowe nad sobą. Łupało ją w głowie. Bolały ją plecy. Nic nie wskórała, a w zasadzie tylko pogorszyła swoją sytuację, ponieważ mocno się poobijała.

Rosalie miała ochotę płakać, załamać się i szlochać. Miała nadzieję, że mama ją znajdzie, ale w głębi serca wiedziała, że jest sama. Będzie musiała polegać na własnym rozumie i sprycie, by się uratować.

W przeciwnym razie najprawdopodobniej umrze.

Our Lady of the River była nawet bardziej lamerska, niż się wydawało. Jade sądziła, że się na nią przygotowała, że potrafiła przewidzieć, jak tu będzie okropnie, zanim jeszcze pchnęła szerokie, przeszklone drzwi z nazwą szkoły i wrytymi na nich aniołami. Ale jednak się myliła. Szkoła była archaiczna. Miała witrażowe okna, podłogi pokryte wypastowanym linoleum i ściany udekorowane wizerunkami świętych.

Była na nią skazana.

Przynajmniej na jakiś czas.

Poprawiła plecak i ruszyła w stronę biur. Nienawidziła zmieniać szkoły i być gdzieś nowa. Przechodziła przez to już dwa razy w życiu i za każdym razem było okropnie. Zastanawiała się, jak to przeżyje, uczęszczając do przedostatniej klasy i jak się odnajdzie wśród już zawiązanych paczek przyjaciół i miejscowych układow.

Chyba jednak na razie nie chciała wiedzieć.

W tej chwili na korytarzu było pusto, podłoga lśniła. Po jednej stronie stał rząd mocno wyeksploatowanych uczniowskich szafek, po drugiej rząd okien sięgających od podłogi do sufitu. W głębi serca wiedziała, że jest to pierwszy dzień roku szkolnego prosto z piekła. Ponownie będzie nowa, naznaczona, wykpiiona, a może nawet prześladowana i samotna. Przynajmniej przez jakiś czas, dopóki jakiś nerd, kujon, czy ktoś jeszcze gorszy się nad nią zlituje i spróbuje przyjąć ją do żalosej grupki wyrzutków społecznych.

Wolała nie roztrząsać tego, co nieuniknione, więc ponownie napisała do Cody'ego i powiedziała mu, że chce, by ją tu odwiedził. Oczywiście wolałaby sama pojechać do Vancouver, ale jej samochód musiał pozostać w warsztacie, więc to było niemożliwe.

Znalazła tabliczkę wskazującą drogę do biur i ruszyła w tamtą stronę, ciesząc się, że chociaż raz mama nie upierała się, by jej towarzyszyć. Co prawda, wcześniej Sarah przebąkiwała, że zaprowadzi ją do szkoły i sama przedstawi się pedagogowi. Jade aż się wzdrygnęła w środku. Kazała się podwieźć na odległość jednej przecznicy od szkoły i weszła do niej tylnymi drzwiami znajdującymi się obok kafeterii, skąd dolatywał zapach sosu pomidorowego przytłumiony sosnowym smrodem środków czyszczących. Naprawdę nie potrzebowała kolejnego powodu do kpin. I tak już mieli ich sporo. I chociaż Sarah wyglądała na dotkniętą, musiała się z tym pogodzić. W końcu już narobiła wystarczająco dużo zamieszania, zapisując Jade do tej dziwacznej, starej szkoły. Tej samej, do której sama kiedyś uczęszczała.

Wprost, kur..., wspaniale.

Oczywiście Jade została zmuszona do włożenia mundurka Our Lady of The River, który był tak fatalny, jak można się było spodziewać. Plisowana spódnica sięgająca kolan, biała bluzka i niewygodna granatowa marynarka.

Litości, pomyślała, mijając duży mural przedstawiający krzyżowca jadącego na białym koniu. Na jego białej tunice widniał czerwony krzyż. Rycerz w prawej ręce dzierżył długi, groźnie wyglądający miecz. Malunek był ogromny, zajmował niewiarygodnie wysoką ścianę w pobliżu sali gimnastycznej. Jade tylko przelotnie na niego zerknęła, po czym minęła część szkoły, gdzie odbywały się lekcje

wychowania fizycznego, oraz płataninę biur, które, gdyby nie komputery, wyglądałyby, jakby wyjęto je prosto z dziewiętnastego wieku.

Pedagożka czekała na nią w małym gabinecie wypełnionym zeszytami i stosami papierów, zajeżdżającym niewidocznym, stuletnim kurzem, którego nie udało się zamaskować żadną ilością odświeżacza powietrza. Przez kolejną godzinę Jade próbowała nie garbić się na niewygodnym, plastikowym krześle, podczas gdy obrzydliwie miła panna Smith, rudowłosa kobieta z okrągłymi oczami i głębokimi zmarszczkami na wysokim czole, z cierpliwym uśmiechem pracowała nad „zawiłościami” w planie lekcji Jade. Jej palce śmigały nad klawiaturą komputera, a ona cały czas gadała o nudnych zajęciach pozalekcyjnych i kółkach zainteresowań, co do których była przekonana, że Jade je „pokocha”.

Co gorsza, ta szczupła kobieta była najwyraźniej równie zdenerwowana jak ona. Palce panny Smith lekko drżały na klawiszach komputera, kiedy nie nakręcała na nie kosmyków włosów.

Mijały minuty, a ona nadal układała plan zajęć, aż w końcu uznała, że jest doskonała.

Tak, jasne. Nic w tym miejscu nawet nie zbliża się do doskonałości, pomyślała Jade, wstając z krzesła.

– Czeka! – zawołała za nią pedagożka, także wstając. – Musisz jeszcze dostać wydruk.

– Och.

– Ponadto w Our Lady of the River każdy nowy uczeń dostaje „anioła”, który ma mu pomagać w pierwszych tygodniach szkoły. Rozumiesz, ucznia, który wszystko wyjaśni i poprowadzi cię jak po sznurku.

– Po co? Żebym mogła się na nim powiesić? – Tak tylko jej się wymknęło. Jade była zmęczona i znużona, mdliło ją na myśl o tej szkole, ale od razu wiedziała, że przegięła, gdy zobaczyła minę panny Smith. – Przepraszam – wymamrotała szybko. – To taki żart.

Sztywna pedagożka odchrząknęła.

– W każdym razie, chcemy, żeby każdy nowy uczeń czuł się włączony w społeczność i znalazł przyjaciół. Może jeszcze tego nie wiesz, ale ostatnio zniknęła dziewczyna z okolicy. Wobec tego podwajamy nasze wysiłki, aby nikt w Our Lady nigdy nie był sam.

– A więc nie jest tu bezpiecznie? – zapytała Jade.

– Oczywiście, że jest! Ale nigdy nie może być zbyt bezpiecznie, prawda?

Chociaż raz Jade ugryzła się w język i nie zaserwowała kolejnej suchej gadki o tym, że Bóg czuwa nad uświęconymi korytarzami tej szkoły, ponieważ jak na razie była na nią skazana i uznała, że nie ma sensu pogarszać spraw, które i tak nie układają się po jej myśli.

– A więc – ciągnęła panna Smith, gdy drukarka zamruczała i wypluła „ostateczny” plan Jade. – Niedługo przyjdzie Mary-Alice Eklund, twój anioł stróż. Przyjaciele nazywają ją Mary-A.

Bosko. Jade już nie mogła się doczekać.

Panna Smith wyszła do drugiego biura, żeby przynieść dokumenty, i wróciła z przyklejonym uśmiechem i kilkoma kartkami. Wyglądała na równie zadowoloną co Jade, że ich spotkanie już dobiegło końca. Rozprostowała kartki, na których był plan lekcji, mapa i spisane prawa ucznia, następnie postukała nimi o blat biurka, żeby ułożyć je w schludny stosik, i podłożyła je pod zszywacz, w który uderzyła zaciśniętą dłonią.

– O, przyszła już Mary-Alice. – Uśmiech panny Smith się poszerzył, gdy do pomieszczenia wpadła rumiana blondynka w mundurku Our Lady, z ustami lśniącymi od błyszczyku i podskakującym kucykiem.

– Cześć! – zawołała z entuzjazmem blondynka. Była drobna, miała doskonałą skórę oraz uśmiech, który nie obejmował jej oczu. – Witamy w Our Lady!

– Dzięki – wykrztusiła Jade, chociaż wcale nie czuła wdzięczności.

– Uwierz mi. Na pewno ci się tutaj spodoba.

Jade jedynie uniosła brwi.

Dokonano szybkiej prezentacji dziewczyn i zanim Jade zdołała krzyknąć „wypuście mnie stąd”, wyszły z klaustrofobicznego gabinetu na szeroki korytarz. W jaskraworóżowej torebce Mary-Alice rozwodziła się komórka. Nie zwalniając kroku, dziewczyna zerknęła na ekran, zmarszczyła brwi, po czym wsadziła telefon z powrotem do kieszonki. Cały czas nie przestawała gadać.

Mary-Alice była w ostatniej klasie i sprawowała funkcję kapitanek drużyny tanecznej, „udzielała się w samorządzie szkolnym i była członkinią stowarzyszenia najlepszych absolwentów”, przechwalała się tak, jakby sądziła, że robi na Jade wrażenie. Jade została szybko przeprowadzona przez labirynt korytarzy, Mary-Alice nadawała na temat korzyści wynikających z uczęszczania do prywatnej szkoły.

– To skrzydło nauk społecznych, gdzie będziesz miała historię Ameryki. – Wskazała boczne wyjście z głównego korytarza. – Biblioteka jest na górze. Uważaj na siostrę Donnę. Jest trochę staroświecka i twierdzi, że nikt nie ma prawa wypowiedzieć ani słowa w bibliotece. Zawsze wszystkich ucisza. – Posłała Jade

porozumiewawczy uśmiech, po czym kilka razy zatrzymała się w korytarzu i przedstawiła Jade różnym nauczycielkom, z których większość nie była zakonnicami, ale podzielały ten sam entuzjazm na temat szkoły, co Mary-Alice.

To wystarczyło, żeby Jade zaczęła rozważać szybką ucieczkę.

Co gorsza, wpadły na księdza idącego w przeciwną stronę.

No super. Osłabiała ją sama myśl o tym, że miałyby porozmawiać z księdzem, mnichem, jakimkolwiek człowiekiem Kościoła.

– Ojciec Paulu! – Mary-A pomachała, żeby przyciągnąć jego uwagę.

Jade miała ochotę rozpląnąć się w powietrzu.

Przygarbiony mężczyzna w szarych spodniach i marynarce w tym samym kolorze oraz czarnej koszuli z koloratką był jedną z takich osób, których twarze nie wyrażają żadnych emocji, noszą na nich przyklejony, cierpliwy uśmiech. Ojciec Paul musiał mieć jakieś osiemdziesiąt lat, być może był jeszcze starszy. Miał gęste, śnieżnobiałe włosy, pobrużdżone oblicze, które sugerowało, że jego życie, czy też sprawowana funkcja, go nie rozpieszczą.

– To nowa uczennica, Jade McAdams – przedstawiła ją Mary-Alice.

– Dzień dobry – powiedział, ujął dłoń Jade obiema rękami i trzymał ją nieco zbyt długo. – Mam nadzieję, że spodoba ci się tutaj. – Gdy nie powiedziała ani słowa, tylko pokiwała głową i zabrała dłoń z jego ciepłego uścisku tak szybko, jak mogła, ciągnął: – Zapewne wiesz, że Our Lady of the River jest doskonałą szkołą ze wspaniałymi, troskliwymi pedagogami i uczniami posiadającymi cechy dobrych chrześcijan.

Na pewno, Padre.

– Czekał, czekaj. Jesteś córką Sarah, prawda? – zapytał.

Jade zamurowało. Pamiętał jej matkę?

– Tak, yy, tak.

Wciąż był tak samo zadumany.

– Znałem ją, kiedy była dziewczynką, a ja byłem tu księdzem asystentem. W zasadzie pamiętam też twojego dziadka.

– Chodzili na mszę?

To była dla Jade nowość. Nie mogła sobie wyobrazić babci z pochyloną głową, złożonymi dłońmi, modlącej się na klęczniku w dużym kościele przylegającym do tej szkoły. Może jej dziadek przychodził tu sam albo z dziećmi?

Ojciec Paul poruszył dłonią, co oznaczało, że może tak, może nie. Jade próbowała nie okazywać żadnych emocji, podobnie jak ojciec Paul. Nigdy nie słyszała o tym, żeby jakikolwiek członek rodziny chodził na msze. Chyba że w Boże Naro-

dzenie, a czasami na Wielkanoc. W zasadzie jednak nie miało to żadnego znaczenia.

– Nie wiem, czy twoi rodzice ci o tym powiedzieli, Jade, ale Angeliqne le Duc Stewart była założycielką tej szkoły. Przekazała fundusze na wzniesienie pierwszego budynku, który oczywiście był znacznie mniejszy od tego. Zmierzam do tego, że dzięki niej mamy tutaj Our Lady of the River. – Rozłożył szeroko ręce i w końcu jego uśmiech wydał jej się szczerzy. – Ależ miała niesamowitą wizję.

Jade nigdy wcześniej o tym nie słyszała. Nie wiedziała, czy ksiądz mówi prawdę, czy tylko ją nabiera. Ale przynajmniej zauważyła przeblęsk zgrozy na nieskazitelnej twarzy Mary-Alice.

– Naprawdę? – zapytała Jade.

– Jak najbardziej. Miasto zostało nazwane na cześć jej męża, Maxima, a ta szkoła zawdzięcza swoje istnienie jego żonie.

Mary-A wyglądała, jakby właśnie została postrzelona.

– Prababci Jade?

– Wydaje mi się, że przed babcią powinnaś postawić więcej pra- – odparł ksiądz, a Jade wolała nie wspominać, że nie była spokrewniona z Angeliqne, że jej pra-pra-prababcią była pierwsza żoną Maxima, Myrtle.

– To nie może być prawda – oświadczył w końcu jej anioł. Ta informacja sprawiła, że Jade ją przyćmiła, więc uznała, że lepiej nie poprawiać księdza. Niech wszyscy myślą sobie, co tam chcą. Kogo to obchodzi?

– Zapewniam cię, że to prawda. – Ksiądz był stanowczy i po raz pierwszy spojrział na Jade tak, że niemal przekonał ją, że rozumie, jak niezręcznie się czuje w tej sytuacji. Z większą szczerością dodał: – Mam nadzieję, że spodoba ci się побыt w Our Lady, panno McAdams. – I ruszył w swoją stronę.

Przez kilka sekund oszołomiona Mary-Alice milczała. Odprowadziła wzrokiem mężczyznę, który skręcił za róg na końcu korytarza w pobliżu sali gimnastycznej.

Chociaż nie było w tym jej zasługi, Jade uświadomiła sobie, że przyćmiła dziewczynę wyznaczoną do tego, by nowa uczennica poczuła się mile widziana i wpasowała się w otoczenie. Widząc rozdrażnienie w oczach Mary-Alice, Jade uznała, że ta informacja prawdopodobnie nie przysłuży jej się dobrze. A przynajmniej nie pomoże jej sobie zjednać Mary-A i kręgu jej przyjaciół.

– Okej, chodźmy dalej – zaproponowała dziewczyna. – Musisz jeszcze zobaczyć kilka miejsc. – Jej głos był nieco bardziej oschły, nieco mniej przyjazny. Uniosła i buńczucznie wysunęła brodę, gdy ruszyła z Jade w kierunku klatki

schodowej. – A przy okazji, zawsze powinnaś odpowiadać „tak, Ojczy”, kiedy rozmawiasz z księdzem.

– Tak odpowiadałam.

– O, nie. – Mary-A uniosła jedną z nieskazitelnie wyskubanych brwi. Zeszły na schody prowadzące na niższy poziom, ich buty stuknęły na stopniach.

– Wydaje mi się, że powiedziałam...

– Nie. – Pokręciła głową, aż zakofyłał się jej jasny kucyk. – Uwierz mi, powiedziałaś „tak”, kiedy zapytał cię o mamę.

– Może.

– Po prostu przekazuję ci, jaki obowiązuje regulamin.

– Może mam gdzieś regulamin?

Mary-Alice na moment zmrużyła oczy.

– Nie chcesz się dopasować?

Dotarły na niższe piętra. Jade wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, żeby tak się stało. – Ludzie tacy jak ta schludna dziewczyna z zaczesanymi do tyłu włosami i okrągłymi, niewinnymi oczami doprowadzali Jade do pasji. – A przy okazji, masz dymka?

– Słucham? – Mary-Alice wyglądała na zszokowaną, chociaż Jade zauważyła paczkę papierosów w jej torbie, kiedy dziewczyna sprawdzała telefon. – Nie! Dlaczego uważasz, że palę?

– Widziałam paczkę.

Na policzkach starszej dziewczyny wykwitły rumieńce.

– To papierosy Liama.

– Kim jest Liam?

– Moim chłopakiem.

– No nie mów – rzuciła Jade, naśladując wredny ton swojej przewodniczki. – Rozgrywający?

Mary-Alice nie wytrzymała.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że nie jesteś tak mądra, jak ci się wydaje?

– Jakies sto razy.

– Może powinnaś przemyśleć swoje postępowanie.

Jade aż się uśmiechnęła, cieszyła się, że udało jej się zdenerwować tę lizuskę.

– I wyjaśnijmy sobie coś jeszcze. Liam Longstreet nie gra w futbol amerykański. Tylko w piłkę nożną.

– Mniejsza o większość.

Mary-A przewróciła oczami i westchnęła przeciągle.

– Jeśli jesteś taka mądra, to powinnaś wiedzieć, że „mniejsza o większość” to oksymoron.

– Potrafię rozpoznać morona, gdy się napatoczy.

– Jesteś... – Gdyby nie zauważyła zakonnicy w powiewającym, długim habicie, Mary-Alice niechybnie by przekłęła albo walnęłaby Jade w twarz, żeby zetrzeć z niej ironiczny uśmiech. Zamiast tego zmusiła się do uśmiechu, wciąż zaciskając zęby. – Dzień dobry, siostrzo Millicent – zwróciła się do zakonnicy, ale mocno zbudowana siostra tylko je minęła, prawdopodobnie wykonywała jakąś misję, bo przy każdym jej kroku słychać było grzechotanie różańca. Możliwe, że nie usłyszała powitania Mary-Alice lub postanowiła ją zignorować.

– Chyba jest zajęta – zauważyła Jade z przekąsem.

– Chodź, wróćmy do biblioteki, pokażę ci...

– Zapomnij, wycieczka się skończyła.

– Ale to moje zadanie. – Mary-Alice udała zaskoczenie.

– Pieprzę twoje zadanie. Daj mi w końcu spokój. Jesteś zwolniona.

– Nie możesz mnie zwolnić!

– Oczywiście, że mogę. Idź sobie i zostań aniołem kogoś innego. – Jade ruszyła w przeciwną stronę.

– Popelniasz duży błąd.

– Popelniałam ich już wiele. – Jade w poprzednich szkołach poznała dziesiątki takich Mary-A. Już miała skrócić, ale się zatrzymała. – Wiesz co, a ty powinnaś przemyśleć swój dobór chłopaków.

– A co to ma znaczyć?

– Poważni sportowcy nie zaczadzają swoich płuc. A jeśli kiedykolwiek to robią, prawdopodobnie nie paliliby babskich papierosów. – Zamilkła. – Virginia Super Slim? – zapytała. – Serio? A co to jest? Lata osiemdziesiąte?

– Jesteś taką... okropną typiarą – rzuciła Mary-Alice. W końcu zdjęła maskę przepelnionej entuzjazmem dziewczyny i na jej twarzy pojawiła się nieskrywana pogarda.

– Zapewne.

– Ale nie ujdzie ci to na sucho. Bóg cię ukarze.

– Uwierz mi, już to zrobił – warknęła Jade, rozglądając się po pustych korytarzach szkoły, którą zapoczątkowała Angélique le Duc. Dla Jade była symbolem dziewięciu piekielnych kręgów.

– Może być gorzej – ostrzegła Mary-Alice.

– Czyżby?

Blondynka się najeżyła, wyglądała, jakby miała zaraz eksplodować, ale jakoś się powstrzymała i powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Och, Jade – westchnęła w końcu, jak gdyby jej zależało. – Naprawdę wolisz nie wiedzieć.

– Masz rację. Wolę nie.

Mary-Alice otworzyła usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Następnie odwróciła się do niej plecami i oddaliła się szybkim krokiem. Anioł z buntowniczo wysuniętą brodą, zaciśniętymi pięściami i kucykiem kołyszący się przy każdym kroku. Tylko nie było widać aureoli.

ROZDZIAŁ 9

Sarah zauważyła, że Gracie potknęła się, wychodząc ze szkolnego autobusu. Na szczęście nie upadła, ale zza zamykających się drzwi dobiegł wredny śmiech nastolatków. Niektórzy uczniowie przylepili twarze do okna autobusu. Ich oddechy zaparowały szybę, ale widać było ich szerokie złośliwe uśmiechy. Jeden z chłopaków wskazywał Gracie grubym paluchem.

– Ciężki dzień? – zapytała Sarah. Było jej przykro, że jej dziecko musiało przechodzić traumę związaną z rozpoczynaniem nowej szkoły. Duży, żółty autobus odjechał, prychając spalinami.

– Było w porządku – odpowiedziała Gracie bez zająknięcia, po czym zerknęła przez ramię, jakby chciała się upewnić, że autobus wraz z jadącymi nim nastolatkami znalazł się poza zasięgiem jej głosu.

Boże, dzieci potrafią być takie okrutne. Dręczyciele są zawsze gotowi, żeby wyzywać się na słabszych. To naprawdę ją niepokoiło, ale wolała nie wymądrzać się na ten temat. Jeszcze.

– Polubiłaś nauczycieli?

– Panna Marsh, moja wychowawczyni, jest chyba w porządku. – Ponownie zero emocji. Szły wzdłuż dwóch kolein wysypanych kamieniami, zarośniętymi chwastami i pełnymi dziur, które były ich prywatnym podjazdem prowadzącym od wiejskiej drogi do domu. Wiał silny wiatr, w powietrzu czuć było zapach deszczu, ale nie spadła jeszcze ani kropla.

– A inni? Czy już wyrobiłaś sobie o nich zdanie? – Jak zwykle namówienie córki do opowiedzenia o tym, co wydarzyło się w szkole, przypominało mozolne wyrwanie zębów.

Gracie wzruszyła ramionami.

– Zaprzyjaźniłaś się z kimś?

– Tylko ze Scottie – odparła Gracie, po czym szybko dodała: – To dziewczyna. – Przełożyła plecak na drugie ramię, zerknęła na Sarah oczami, które wiedziały o wiele więcej niż przeciętna dwunastolatka. – Zapytałam, dlaczego nosi chłopięce imię, a ona powiedziała, że jej tata chciał mieć syna, więc mama wymyśliła jej takie imię. Ponieważ teraz jest Scottem taty.

– To ma sens.

Gracie kopnęła kamień leżący jej na drodze, a on poleciał w krzaki rosnące wzdłuż podjazdu i wystraszył ptaka. Grace patrzyła, jak zięba zrywa się z małej gałązki i siada na innej, rosnącej wyżej na pozbawionej liści koronie drzewa.

– Polubiłaś się ze Scottie tak?

Gracie zmarszczyła nos.

– Jeszcze nie wiem. Siedzi koło mnie podczas lekcji wychowawczej i wydaje się miła.

– To dobrze. – Wobec braku odpowiedzi Sarah przez chwilę zastanawiała się, czy jej córka w ogóle ją usłyszała, by końcu zapytać: – Wszystko poszło dobrze, tak?

Gracie zmarszczyła brwi, a Sarah poczuła znajome ukłucie w brzuchu. Uczucie, które zawsze nadchodziło, gdy wyczuwała, że coś jest nie tak z którąś z jej córek.

– Potrzeba na to czasu – powiedziała, pocieszając siebie oraz dziecko.

Skręciły za róg i wyszły zza zasłony drzew na polanę, na której stał dom dominujący nad okolicą i sąsiednimi zabudowaniami. Stąd słyszały szmer rzeki płynącej dużo niżej. Gracie zerknęła na dom, a Sarah się spięła.

Proszę, tylko nie mów, że widzisz ducha, proszę.

– Mamo? – zaczęła Gracie.

Już się zaczyna.

– Tak?

– Nic.

Dziewczynka wyglądała na zachmurzoną.

– Coś cię dęczy, prawda? – zapytała Sarah, przygotowując się na ciąg dalszy. Szumiały ostatnie wiszące na drzewach liście.

– Może.

Sarah spięła się jeszcze bardziej.

– O co chodzi?

– Scottie mówi, że nasz dom jest nawiedzony i wszyscy o tym wiedzą.

– Głupie gadanie.

– Powiedziała, że zamordowano w nim jakąś kobietę. Nie chodzi o to, że po prostu umarła, ale została zabita. Mówi, że to była Angelique le Duc.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Tak, ale nie wiedziałam, że ty też ją widziałas. Mama Scottie powiedziała, że wszyscy w mieście wiedzą, że widziałas ducha, kiedy mieszkałaś tu z babcią i dziadkiem.

Sarah nie знаła mamy Scottie, ale w tej chwili miała ochotę ją udusić.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że widziałas kobietę w białej sukience? Dlaczego pozwoliłaś, żeby Jade się ze mnie nabijała i...?

– Nie, nie zrobiłam tego, Gracie. Posłuchaj... – zaczęła, ujmując córkę za ramię, ale Gracie się wyrwała.

– Ależ tak, mammo. Przez ciebie myślałam, że coś mi się pomieszało. Że nie widziałam tego, co na pewno widziałam. Ty też to widziałas. – Ruszyła biegiem w stronę domu.

– Szlag – wymamrotała Sarah pod nosem i pobiegła za córką. Dogoniła ją na schodach. Gracie się zatrzymała. – Po prostu próbowałam cię chronić.

– Poprzez kłamstwo? – zdziwiła się córka. – Każąc mi myśleć, że zacznym wariować i wyobrażam sobie rzeczy, skoro naprawdę je widziałam?

Sarah zbesztala się w duchu.

– Nie chciałam tak namieszać – oświadczyła, a ponieważ córka patrzyła na nią ze złością, dodała: – Okej, ale tak wyszło i tak, wiele lat temu wydawało mi się, że też widziałam ducha.

– Gdzie?

– W moim pokoju.

– W twoim pokoju?

Sarah potaknęła.

– Czasami budziłam się i miałam wrażenie, że tam jest, a potem nic. Myślałam, że to tylko mi się śni. Pewnego razu byłam na dachu i... – Jak miała wyjaśnić to, czego sama nie rozumiała? – I wtedy już sama nie wiem, co zobaczyłam. Nie jestem w stanie sobie przypomnieć, ale byłam na tarasie, kiedy mnie znaleziono.

W sensie, że byłaś tam z Rogerem.

Kiedy przypomniła sobie o swoim starszym przyrodnim bracie, miała wrażenie, że w górę jej kręgosłupa wędrują maleńkie, lodowate paluszki.

– Ale to była kobieta w białej sukni. To ona, prawda? To ta, która została zabita przez męża? Angeliqne le Duc?

– Tak zakładam...

– To ona. Wiem, że to ona. Scottie powiedziała, że Angeliqne została zaatakowana i zabita siekierą na dachu i że wszędzie była krew. Spływała z dachu na dół

i bulgotała w rynnach. Rozlewała się wszędzie wokół domu. Powiedziała, że mój pra-pra-pradziadek to zrobił. Zabił ją, odciął jej głowę i...

– Czekaj! Uspokój się! – Sarah pokręciła głową, była przerażona. – Zwolnij, dobrze? To wszystko to jakieś szaleństwo. Nikt nie wie, co się stało, ale jestem pewna, że nie było to tak potworne.

– Ktoś musi wiedzieć, jak umarła – zaoponowała Gracie. – Na pewno ktoś wie.

– A niby skąd?

– A ty nie wiesz?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Scottie powiedziała, że jej ciało spłynęło w dół rzeki, minęło kaskady i zniknęło. A potem ktoś znalazł jej głowę na brzegu, mniej więcej w miejscu, gdzie teraz jest ta restauracja.

– Na miłość boską. Nie. To wszystko kłamstwo. – Sarah uspokajająco położyła dłoń na ramieniu córki, ale Gracie ją strąciła. – To fikcja wysnuta z faktów, Gracie. Przecież czytałaś o tym w książkach i w Internecie. Żadna z tych okropnych plotek nigdy nie została potwierdzona.

– A więc to nieprawda? – Gracie nie zamierzała odpuścić.

– Ludzie uwielbiają wymyślać różne bzdury, dodają makabryczne szczegóły. Przykro mi, że trochę mataczyłam i nie od razu powiedziałam ci prawdę.

– To nie było mataczenie, mamó, tylko kłamstwo.

– Więcej tego nie zrobię – obiecała. Rozpadało się na dobre, deszcz spływał po karku Sarah. – Co my tutaj robimy? – Pokonały trzy stopnie prowadzące na ganek. – I jeszcze jedno, wodospady Celilo, kiedy jeszcze istniały, znajdowały się w górze rzeki. Ciało nie mogłoby popłynąć pod prąd.

Gracie w ciszy rozważała jej słowa.

– Angeliqe zniknęła i nikt nie wie, co się z nią stało. Tylko tyle wiadomo.

– A co z jej mężem?

– Maxim też zaginął. Niektórzy ludzie sądzą, że uciekli razem.

– I zostawili wszystkie swoje dzieci? – zapytała z powątpiewaniem Gracie. – Mieli pięcioro, przynajmniej on tyle miał ze swoją pierwszą żoną. Już to sprawdziłam. Więc nie, nie sądzę, że tak po prostu uciekli. Jaki rodzic zdecydowałby się na coś takiego? – zastanawiała się, po czym zrobiła smutną minę, a Sarah uświadomiła sobie, że jej córka rozmyśla nad postępowaniem własnego ojca. Zraz po rozwodzie Noel McAdams wsiadł w pierwszy samolot lecący z północnego zachodu do Savannah w Georgii.

– Podejrzewam, że nigdy się tego nie dowiemy. – Otworzyła frontowe drzwi i weszły do środka, gdzie było kilka stopni cieplej i bardziej sucho, ale wciąż równie ponuro i depresyjnie.

– Sądzę, że on ją zabił – zawyrokowała Gracie, zrzucając plecak na marmurową podłogę korytarza. – Może wpadł w szał, jak ci ludzie, których pokazują w CSI.

– Byłoby to przestępstwo popełnione w afekcie? – zapytała Sarah, gdy Gracie zdejmowała kurtkę. – Może powinnaś oglądać coś innego?

– Na przykład *Nastoletnie matki* albo *Honey Boo Boo*, czy może ten program o prawdziwych żonach? Scottie się podoba. Ogląda go razem z mamą.

– Okej, odwołuję to. Zapomnij, co powiedziałam.

– Wydaje mi się, że kiedy Maxim uświadomił sobie, co zrobił, że naprawdę zabił swoją żonę, postanowił stąd uciec. Może wskoczył do rzeki i przepłynął na drugi brzeg. Potem jakoś przedostał się do Kanady albo z biegiem rzeki popłynął do Portland, gdzie wsiadł na frachtowiec lub do pociągu. W przeciwnym razie zostałby złapany i powieszony. W tamtych czasach tak robili. Wieszali ludzi. Widziałam na zdjęciach.

Sarah pokręciła głową. Gracie miała tylko dwanaście lat i, według niej, była zbyt młoda, żeby przejmować się tego rodzaju sprawami. Ale co poradzi?

– Nie pozwól, żeby dzieci ze szkoły zaszły ci za skórę. To, co się stało prawie sto lat temu, jest zagadką, która prawdopodobnie nigdy nie zostanie rozwiązana.

– Dopóki komuś naprawdę nie zaczniesz na tym zależeć. Moim zdaniem, ten duch właśnie dlatego się pojawił. Chce, żebym dowiedziała się, co zaszło. – Gracie weszła do jadalni i powiesiła kurtkę na oparciu krzesła.

– Wiesz, że Stewart's Crossing jest małym miastem, a wtedy było jeszcze mniejsze – przypomniała jej Sarah. – Czasami ludzie w takich miastach lubią gadać i plotkować. Wyolbrzymiają różne rzeczy i zmyślają takie, które nie miały miejsca.

– Naprawdę ją widziałam, mamó – powiedziała Gracie, idąc do kuchni.

– Wiem, że coś widziałas, ale...

– Przestań! – Gracie gwałtownie się odwróciła i ze złością spojrzała na matkę. – Znowu to robisz. Mataczysz! Przecież wiesz, co widziałam.

Sarah patrzyła na nią z zażenowaniem, by w końcu przyznać:

– Okej, wydawało mi się, że coś widziałam wiele lat temu. Byłam wtedy o wiele młodsza niż ty. Ale prawda jest taka, że nie jestem już pewna, co widziałam,

a nawet czy w ogóle coś tam było. Wtedy byłam przekonana, że tak. Czy to był duch? Nie wiem, prawdopodobnie nie. Zły sen? Cień? Ponownie mogę tylko zgadywać, ale cokolwiek to było, czy wytwór mojej wyobraźni, czy cień, czy coś niewyjaśnionego, na pewno nie miało złych zamiarów. Nie było złe, po prostu tam było, więc nie sądzę, żebyśmy musiały się czymś martwić. Tego miejsca nie nawiedza żaden zły duch.

– Nie martwię się – oświadczyła spokojnie Gracie. – Po prostu nie lubię, gdy ktoś się ze mną droczy.

– Czy to właśnie robiła Scottie, droczyła się z tobą? – W jednej chwili nadopiekuńcza Sarah nastroszyła piórka.

– Nie, nie do końca. Tak jak mówiłam, jest miła, ale podsłuchali ją jacyś starsi chłopcy.

– I co?

– I zaczęli mnie nazywać zaklinaczką duchów i śmiali się, jak hieny. – Przewróciła oczami. – Durnie.

– Założę się, że chcieli zwrócić na siebie twoją uwagę.

– Udało im się. Zauważyłam, że są dużymi, grubymi złamasami.

– Zapomnij o nich. Co powiesz na batonika z błonnikiem albo jakiś owoc? Obawiam się, że to wszystko, co mamy.

– Nie interesuje mnie to, co o mnie sądzą i co mówią – oświadczyła Gracie. Znalazła pudełko batoników, wybrała ten o smaku masła orzechowego i usiadła na stołku. – Wiem, że Angeliqne będzie nawiedzała to miejsce, dopóki nie poznamy prawdy. I wtedy będzie mogła odejść.

– No dobrze – zgodziła się Sarah, próbując poprawić nastrój, ale Gracie nie udzieliło się jej dobre samopoczucie.

– Przestań traktować mnie protekcyjnie. – Zwinnie otworzyła batonik i oznajmiła: – Zamierzam jej pomóc.

Zanim Sarah zdążyła zapytać, w jaki sposób chce to zrobić, zawibrowała jej komórka, więc wyjęła ją z kieszeni i zobaczyła na wyświetlaczu imię i profilowe zdjęcie swojej siostry.

– Cześć, Dee – odebrała.

– Sarah, słyszałaś? – W głosie Dee Linn pojawiła się drżąca nuta paniki. – Zagięła dziewczyna z okolicy. Widziałam to w wiadomościach. Nazywa się Rosalie Jamison. Dzięki Bogu, nie jest koleżanką Becky, ale mimo wszystko...

– Co to znaczy, że zagięła?

– Pracowała w piątek wieczorem i nigdy nie wróciła do domu. Sprawiała kłopoty, rodzice się rozwiedli. Pojawili się nowi małżonkowie i przyrodnie rodzeństwo. Zero stabilizacji.

– Ja też jestem rozwiedziona – zauważyła Sarah. – To nie grzech ani przepis na katastrofę z dziećmi.

– Nie mówię o tobie, ale zrozum, kiedy nikogo nie ma w domu, dzieci pakują się w kłopoty.

– Nasza mama była w domu. A mimo to mamy pełno kłopotów.

– Nie bądź taka drażliwa. Nie chodzi o ciebie. Ale byłam pewna, że chciałabyś o tym wiedzieć, pomyślałam, że możesz nie mieć jeszcze podłączonej telewizji.

– Masz rację – zgodziła się Sarah, zerkając przez okno na ulewę. Słuchała, jak Dee Linn opowiada, co wie o okolicznościach zaginięcia dziewczyny.

– Podejrzewam, że mogła po prostu uciec z domu – zakończyła jej siostra. – Chciałam, żebyś wiedziała. No i muszę ci też przypomnieć o imprezie. Przyjedziesz z dziewczynkami, prawda?

– Nie przegapiłabym tego za nic w świecie – odparła Sarah. Gdy się odwróciła, zobaczyła, że Gracie patrzy na nią oskarżycielsko. – Czy mam coś przywieźć?

– Nie, wszystko już jest załatwione – wyjaśniła Dee Linn i się rozłączyła.

– Nie chcesz iść na tę imprezę – powiedziała Gracie, jak tylko Sarah odłożyła telefon. Zdjęła opakowanie z batonika i wrzuciła je do otwartej torby na śmieci podpartej o stół. – O co chodzi z tym twoim kłamaniem?

– Są kłamstwa i kłamstwa. Ja tylko próbuję zapobiec temu, by ludzie nie poczuli się zranieni.

– Sama nie lubisz, jak ja albo Jade kłamiemy.

– Masz rację. Nie lubię. Więc będziemy musiały coś z tym zrobić. A teraz chodź, musimy ruszać, za pół godziny trzeba odebrać Jade.

– To dopiero będzie zabawa. – Młodsza córka od razu poszła na korytarz po kurtkę, ale jej głos wciąż był słyszalny w kuchni. – Jade już od długiego czasu jest złym humorze.

– Nie chciała się tu przeprowadzić.

– Nie chciała opuścić Cody'ego – poprawiła ją Gracie z korytarza.

– Wsio ryba.

– Nieprawda. – Gracie włożyła ręce w rękawy kurtki i wróciła do kuchni, gdzie spojrzała na matkę tak, jakby Sarah była ograniczona lub bezbrzeżnie naiwna. – W jej przypadku chodzi tylko o Cody'ego.

– Ona ma dopiero siedemnaście lat.

Gracie posłała jej znaczące spojrzenie.

– Nigdy ci się nie wydawało, że jesteś zakochana w szkole średniej?

Drogi Boże, kiedy jej dwunastolatka skończyła czterdzieści pięć lat? Sarah była zadurzona po uszy w chłopaku, kiedy była w wieku Jade.

– Punkt dla ciebie. – Sarah wzięła kluczyki z kuchennego blatu, a Gracie zapięła kurtkę.

– On jej nie kocha, wiesz? A przynajmniej nie tak, jak ona jego. Będzie miała złamane serce.

– A ty skąd to wiesz?

– Po prostu wiem. Wiem wiele różnych rzeczy.

ROZDZIAŁ 10

Zaparkował w bocznej ulicy oddalonej o przecznicę od szkoły. Swojego priusa ustawił obok Crown Kraul Boulevard, gdzie mieścił się duży kampus Our Lady of the River. Boczna uliczka właściwie była bliżej samego kościoła i plebanii, ale rozciągał się stamtąd świetny widok na szkołę, pomimo padającego deszczu. Nie odrywając wzroku od frontowych drzwi, opuścił szybę priusa i wyrzucił przez okno niedopałek, który zaskwierczał i zgasł w mokrej trawie. Zerknął na zegarek, wiedział, że już za kilka minut rozlegnie się końcowy dzwonek, a wtedy będzie miał swoją szansę. Aparat zamontowany na desce rozdzielczej był tak mały, że mieścił się w dłoni, ale miał dobry obiektyw, więc zdjęcia zrobione z oddali będą wystarczająco wyraźne.

Będzie musiał się uwijać. Chociaż był przekonany, że w Our Lady of The River nie ma kamer bezpieczeństwa sięgających swoim zasięgiem poza szkolny parking, musiał być ostrożny i szybko wykonać swoją misję.

Dziewczyna Jamisonów stanowiła łatwy cel, ale teraz policja była bardziej czujna, więc będzie musiał mieć się na baczności i uderzyć szybko. Wejść i wyjść, zanim ten głupek szeryf zorientuje się, co się stało. Miał nadzieję, że zakończy tę operację i ruszy dalej zaraz po Halloween. Niestety, policja niedługo zda sobie sprawę z tego, że Rosalie Jamison nie była zwykłą uciekinierką. Na razie będą badali ten wątek, sądząc, że wyjechała z własnej woli. Niedługo jednak to się zmieni.

Uśmiechnął się pod nosem, jedną ręką sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów, ale uznał, że jeszcze się wstrzyma. Wcześniej już robił zdjęcia publicznym szkołom. Porównywał je z księgami absolwentów, które zamieszczano na Facebooku i Twitterze. Aż do dzisiaj nie zrobił żadnych nowych ujęć Our Lady. Był na siebie zły, że przegapił tak wspaniałe miejsce do polowań.

– Lepiej późno niż wcale – powiedział sobie. Nie wyłączył silnika, więc z nawiewu wydobywało się ciepłe powietrze i przednia szyba już nie zaparowywała. Miał tutaj tylko jedną szansę. Padał deszcz, ale mimo to będzie w stanie zrobić dobre zdjęcia. Nie lubił ryzykować, ale ryzyko było częścią jego obsesji. Wobec tego czekał i przyglądał się sznurowi samochodów, którymi przyjeżdżały matki po swoje skarby.

Tego właśnie się spodziewał.

– Okażcie im dzisiaj swoją miłość – wyszeptał, jakby kierowcy tamtych samochodów mogli go usłyszeć. – To może być wasza ostatnia szansa.

Zadzwoił dzwonek i prawie natychmiast drzwi szkoły się otworzyły. Wcisnął przycisk, a aparat cyfrowy skierowany prosto na szklane drzwi zaczął robić seryjne zdjęcia, gdy z budynku zaczęli wychodzić uczniowie. Wiele z nich będzie do niczego. Znajdą się tam ujęcia chłopców. Ale powinien mieć dość materiału, aby móc wybrać. Poczul zastrzyk adrenaliny na myśl o tych, które porwie: doskonałych, pięknych okazach. Jego wzrok przyciągnęła rudowłosa dziewczyna z długimi nogami i dużymi cyckami. Tak, ona się nada. Było jeszcze kilka blondynek, które miały pewien potencjał. Potrzebował jednej lub dwóch blondynek i brunetki. Dziewczyny powinny być szczupłe i wysportowane. Zauważył trzy, które doskonale mogły się nadać.

Rozpoznał pewną dziewczynę, gdy tylko się pojawiła. Chyba była sama, miała długi, czarny płaszcz zakrywający mundurek, nie wyglądała na zadowoloną, chyba nawet była trochę wkurzona. Jade. Uśmiechnął się, przypominając sobie, że ma więcej niż przyzwoite cycki i duże, poważne oczy, pełne, wydatne usta, czarne włosy, może nieco zbyt ciemne przy jej jasnej cerze, ale to dało się poprawić.

– Kochanie, mam plany związane z tobą – wyszeptał, patrząc, jak zbiega po schodach szkoły i kieruje się w stronę starszego forda explorera. Matka Jade. Ponownie się uśmiechnął. Gdyby tylko wiedziała.

Przeglądał się Jade na schodach i myślał, jaka byłaby w łóżku. Naga. Czy ma duże brodawki? Brązowe, a może różowe? Jaki kolor mają jej włosy tam na dole? Mógłby się założyć, że nie czarne, jak te na głowie. Ale niedługo się dowie. Sam się przekona. Może dotknie tej kępki, powącha ją. Oblizal usta. Jego spodnie zrobiły się ciasne, bo kutas obudził się do życia.

Och, mógłby z nią zrobić tyle rzeczy.

Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić.

Jeszcze nie teraz... i nie tutaj. Usłyszał głos swojej matki, dzwoniący mu w uszach.

– Trzymaj się z daleka od tych dziewczyn – syczała. W jej oddechu czuć było zapach dżinu. – Doprowadzą cię do ruiny. Będą się z tobą droczyć. Będą cię kuścić. Poczujesz się przy nich wyjątkowo, jakbyś tylko ty mógł je porządnie wyruchać. Jakbyś tylko przy nich osiągnął stan ekstazy. To kłamstwo, synu. Twoje ciało cię okłamuje. Pamiętaj o tym.

– Spadaj, matko – wyszeptał, powracając do swojej fantazji o Jade rozciągniętej na jego łóżku. Wijącej się pod nim, gdy będzie ją gryzł, błagającej go o więcej, gdy będzie wodził kutasem po jej płaskim brzuchu, obiecując jej o wiele więcej...

Kątem oka zauważył jakiś ruch.

Co to, do cholery?

Na rowerze jechał jakiś dzieciak, mniej więcej dwunastoletni chłopak, nagle przyhamował i prawie zahaczył o jego lusterko boczne. Potem objechał przód jego auta i skręcił bez zatrzymywania się. Był tak blisko, że prawie zarysował mu karoserię.

– Hej! – wrzasnął bez zastanowienia i zdradził swoją obecność. Dzieciak pokazał mu środkowy palec i popędził w dół jezdnii.

Cholera! Został zauważony.

Stracił dobry humor razem ze wzrodem. Przez chwilę rozważał, czy nie pogonić rowerzysty, nie zajechać mu drogi, żeby przeleciał przez kierownicę, wpadł do rowu i złamał swój głupi kark. Dotknął dźwigni zmiany biegów, a potem pozwoli wypuścić powietrze przez zaciśnięte zęby.

Musiał pozwolić mu uciec.

Nie mógł zaprzepaścić tej szansy.

Chłopak na rowerze prawdopodobnie go nie zapamięta.

Spróbował skupić się na zadaniu, które było przed nim. Uznał, że zrobił już dość zdjęć, że gdzieś na karcie kamery odnajdzie swoją kolejną ofiarę.

Czy mogło być gorzej?

Jade nie wierzyła w to, dopóki nie zobaczyła SUV-a matki stojącego w rzędzie pojazdów czekających na najmłodszych uczniów pod drzwiami Our Lady. Mama zgodziła się, że poczeka na nią w dole ulicy, gdzie nikt nie będzie jej widział, ale stanęła tutaj. Explorer przesunął się powoli do przodu, gdy do samochodu przed nią wsiadła grupa dziewczynek, zapewne z pierwszej klasy.

Wprost wspaniale.

Dzień w tej cholernej budzie był już wystarczająco okropny, a Cody nie napisał do niej od wczorajszego wieczoru. Już ją to zaczęło wkurzać. Poza tym padał deszcz. Dosłownie lało jak z cebra, jakby Bóg także postanowił ją ukarać.

Pochyliła głowę i zbiegła po szerokich frontowych schodach. Wtedy zauważyła, że jej siostra już zdążyła zająć miejsce z przodu.

Wspaniale zakończenie wspaniałego dnia pomyślała ponuro, otwierając auto, wsiadając na tylną kanapę i trzaskając za sobą drzwiami.

– Myślałam, że zatrzymasz się przecnicę dalej – powiedziała na powitanie.

– Pada deszcz. – Sarah obejrzała się przez ramię.

– Zawsze pada. To Oregon.

– Poza tym w okolicy zaginęła dziewczyna.

– Tak, Rosalie jakaś tam. Słyszeliśmy na jej temat na siódmej lekcji. Nie chodziła do Our Lady. Ale to nie ma znaczenia. Mówiłaś, że zatrzymasz się przez cznicę dalej.

– No cóż, za późno – stwierdziła Sarah, ruszając i od razu się zatrzymując, żeby wpuścić przed siebie inne auto. – Jak ci minął pierwszy dzień?

– A jak sądzisz? – Nie chciała, żeby matka zaczęła węszyć, kiedy ze szkoły wychodzili wszyscy uczniowie, pospiesznie mijali frontowe drzwi i schodzili po schodach do czekających samochodów. Przez okno zobaczyła kilka twarzy, które zapamiętała z lekcji, i oczywiście Mary-A z dwiema innymi dziewczynami z ostatniej klasy, które patrzyły na nią z góry, gdy zbiegały długim, zadaszonym przejściem na parking przeznaczony dla uczniów, znajdujący się w pobliżu sali gimnastycznej.

Boże, co za piekło!

Jade obniżyła się na siedzeniu, a mimo to zauważyła ironiczny uśmiech Mary-Alice, gdy ta ostatni raz odwróciła się przez ramię.

Rany!

– Możemy już jechać? – rzuciła, a kiedy matka nie od razu dodała gazu, ponagliła: – Proszę.

– Czekam, aż droga będzie wolna.

Jade miała ochotę zniknąć. Dzień był totalną torturą. Przedstawiano ją na każdych zajęciach, jakby była w podstawówce, na miłość boską. Pragnęła zapaść się pod ziemię. Jediną dobrą wiadomością było to, że znalazła sposób, jak nie pójść na lunch, by uniknąć towarzystwa Mary-Alice i spojrzeń pozostałych uczniów.

Zamiast tego opuściła kampus i szwendała się po okolicznych ulicach, po czym spóźniła się dziesięć minut na następne zajęcia, co strasznie zirytowało Mary-Alice. Dziewczyna najwidoczniej czekała na nią z lunchem. Opierniczyła Jade za to, że ominęło ją pierwsze ogłoszenie dotyczące bezpieczeństwa, związane z zaginięciem jakiejś dziewczyny. Każdy musiał go wysłuchać, a Mary-A uznała to za osobistą zniewagę, że Jade nie zjawiła się na czas. Nauczycielka odnotowała spóźnienie i przypomniała Mary-Alice o odpowiedzialności za aklimatyzację koleżanki.

Kiedy Jade wróciła do szkoły, policzki Mary-Alice były wściekle czerwone, a jej złość niemal namacalna.

– Jak chcesz, możesz sobie zepsuć życie. Nic mnie to nie obchodzi! – wrzasnęła na Jade na pustej klatce schodowej, gdzie jej głos odbił się echem. – Ale wara od mojego!

– Odwal się ode mnie – zaproponowała Jade, wzruszając ramionami.

– Chciałabym, ale biorę udział w programie przygotowawczym do college’u, a opieka nad tobą jest częścią mojego projektu. Więc rusz się! – Szybkim krokiem ruszyła na górę, wlokąca się za nią Jade słyszała stukot jej obcasów.

Teraz jednak Jade zastanawiała się, czy stawienie czoła Mary-Alice nie było błędem. Gdyby się nie spotkały, Mary-A nie miałyby pojęcia o jej istnieniu. W obecnej sytuacji w ciągu jednego dnia stały się śmiertelnymi wrogami.

W końcu matce udało się wyjechać z okrągłego podjazdu i oddalić od szkoły.

Jade wreszcie mogła zacząć oddychać.

– No więc, co się stało? – zagała Sarah.

– Nic.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Powiedziałam, że nic! – Wyglądała przez zaparowujące boczne okno, gdy przyjeżdżały przez miasteczko Stewart’s Crossing. Wszystkie starsze budynki wyglądały jak żywcem wyjęte z Dzikiego Zachodu. Miały stylizowane fasady i długie ganki. Nowsze budynki także zaprojektowano w takim samym wester-nowym stylu. Według Jade wszystko to było jakieś naciągane, jakby Stewart’s Crossing było Dodge City czy czymś w tym stylu.

Rozdzwoniła się komórka matki.

– Ja odbiorę. – Gracie wyjęła telefon z torebki mamy i sprawdziła imię na wyświetlaczu. – Evan.

Jade się podłamała. Nienawidziła tego faceta.

– Ten zbok.

– Nie jest zbokiem. Przełącz na pocztę głosową – zaordynowała Sarah, nie odrywając wzroku od drogi.

– Dobrze. – Gracie wrzuciła telefon do torebki, a on w końcu przestał dzwonić. – Czemu nie chcesz z nim porozmawiać?

– To nie jest dobra pora.

– A kiedyś będzie? – zapytała wnikliwie Gracie.

– Nie. Zerwali ze sobą – wyjaśniła Jade, pochylając się do przodu. – To koniec. Ale Evan jest takim kretynem, że jeszcze się tego nie domyślił.

– Przecież się wyprowadziłyśmy – zauważyła Gracie.

Jade przewróciła oczami.

– Przecież powiedziałam, że nie jest rozgarnięty, co nie?

– Może byśmy kupiły pizzę i jakąś sałatkę na obiad, skoro jesteśmy w mieście – przerwała im Sarah. – Nie jest to zbyt wymyślne, ale dopóki nie będziemy miały kuchni, musimy żywić się poza domem.

Nie chciała rozmawiać o Evanie.

– Z serem i pepperoni? – upewniła się Gracie, ta lizuska.

Jade zamknęła oczy. Nie mogła uwierzyć w to, jaki obrót przybrało jej życie. Miała wrażenie, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niej, nawet Cody. Dlaczego nie zadzwonił ani nie napisał? Może już postawił na niej krzyżyk? Wyjrzała przez okno na niebo w żałobie i ciemność pasującą do jej nastroju. W szybie odbijała się jej twarz rozmyta deszczem. Zawsze słyszała, że ma „ciekawny wygląd”, wygląda „intrygująco”, że ma klasyczne rysy twarzy i nawiedzone oczy. Stek bzdur. Sposób na powiedzenie, że nie jest ładna ani urocza. Cody mówił jej, że jest piękna i że ją kocha, ale to dlatego, że się migdalili. Czasami przyłapywała go na tym, że patrzy na inne dziewczyny.

– Właściwie wolę hawajską – powiedziała Gracie.

– Może być? – zapytała Sarah, hamując przed jednym z nielicznych świateł w mieście.

Jade miała to gdzieś, ale odpowiedziała, że w porządku, ponieważ wiedziała, że będą ciągnąć ten temat, dopóki nie podejmie jakiejś decyzji. Oczywiście nie pojechały prosto do restauracji, jako że mama musiała jeszcze coś załatwić. Sarah kazała Gracie zadzwonić do pizzerii i złożyć zamówienie. Podała jej numer, nawet nie sprawdzwszy go w swojej komórce.

– Znasz numer? – zdziwiła się Jade.

– Nie zmienił się od dwudziestu lat – poinformowała ją Sarah.

Jade i Gracie czekały przy banku, sklepie spożywczym, przed pocztą, aż Sarah załatwi swoje sprawy, i była już prawie siedemnasta zanim podjechała na parking przed centrum handlowym, także z obowiązkową westernową fasadą, gdzie znajdowała się prawdziwa włoska pizzeria Giorgio's. Asfalt przed centrum był stary i nierówny, praktycznie nie było widać linii oddzielających miejsca parkingowe.

Gracie zaczęła rozpinać pas, a Sarah wyjęła kluczyki ze stacyjki i zapytała:

– Idziesz? – Lekko uchyliła drzwi, żeby nie uderzyć ogromnego pick-upa parkującego tuż obok.

– Poczekam – powiedziała Jade, ale matka nie chciała o tym słyszeć.

– Och, przestań. Pracowałam tu kiedyś po lekcjach – wyjaśniła. – Może kogoś szukają. Przydałaby ci się forsa na benzynę.

– Nigdy nie odzyskam swojego samochodu. – Niechętnie wyszła, zatrzasnęła drzwi i weszła do środka za Gracie. W pizzerii dominował styl westernowy. Dosłownie oblepiały wszystkie ściany. Nad barem sałatkowym zamontowano sztuczny drewniany dach. Drzwi, takie jak w stajni, prowadziły do „zagrody gier video” w pobliżu automatów z napojami. Ukłonem w stronę prawdziwej włoskiej pizzy były włoskie flagi, rozmieszczone strategicznie obok starych kół do wozów, kilofów i siekier zamontowanych na ścianach. Jakie dziwne połączenie, niczym w „pizzy tygodnia”, na którą składała się włoska kielbasa i grillowany kurczak.

– Dziwactwo – wyszeptła do siebie, gdy matka zapłaciła za dużą pizzę w pudełku i plastikowe opakowanie sałatki.

– Ja wezmę pizzę – zaproponowała Gracie. W tej samej chwili głęboko w kieszeni zawibrował telefon Jade. Wyjęła go i przeczytała wiadomość.

Od Cody’ego! Wreszcie.

Będę w sob wiecz. Tęsknię.

Jej serce zmiękło. Te pięć krótkich słów sprawiło, że wyparował z niej cały gniew. Spojrzała na wiadomość od Cody’ego i poczuła pieczenie w oczach.

Jak mogła w niego zwątpić?

Szybko odpisała i poszła za matką i Gracie w stronę wyjścia. Prawie rozdeptała młodszą siostrę.

– Co do....

– Hej! – krzyknęła Gracie.

Jade podniosła wzrok znad telefonu i zobaczyła, że matka stoi jak wryta i patrzy na wysokiego faceta w dżinsach, który właśnie wszedł do środka.

– Sarah! – Jego usta rozciągnęły się w powolnym uśmiechu, jakby fakt, że dosłownie na nią wpadł, był dla niego miłym zaskoczeniem. Jeszcze tylko tego jej było potrzeba, by matka spotkała się z jakimś starym przyjacielem i zatrzymała się, żeby z nim pogadać. Przecież będą gadać bez końca.

Ale rozegrało się to zupełnie inaczej.

Sarah zachowywała się tak, jakby zabrakło jej słów, jakby sam jego widok ją oszołomił. Po chwili jednak się otrząsnęła.

– O, cześć. – Szybko ukryła zaskoczenie i skinęła na Jade i Gracie. – Dziewczynki, to jest Clint, to znaczy pan Walsh.

– Clint – poprawił ją szybko. Wydawał się rozbawiony zakłopotaniem Sarah. O co tu chodziło?

– To nasz sąsiad – dodała Sarah i nie przestawała paplać. – Dorostaliśmy po sąsiedzku. Jego dom i nasz oddziela tylko płot.

Jade zmrużyła oczy i spojrzała na matkę. Czemu tak to przeżywała i tyle mówiła?

– Pan... Clint przyjaźnił się z waszymi wujkami, chodzili do tej samej klasy w szkole – ciągnęła, po czym je przedstawiła: – To są moje córki, Jade, starsza, właśnie po raz pierwszy była w Our Lady. – Wskazała na Jade, a potem szybko na Gracie. – A to jest Gracie. Chodzi do gimnazjum.

– Miło was poznać, dziewczyny – powiedział. W kącikach jego szarych oczu pojawiły się zmarszczki uśmiechu, jakby naprawdę tak uważał.

– Dzień dobry – wymamrotała Jade, cały czas próbując go rozgryźć. Był ubrany w stare dzinsy i roboczą kurtkę. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemnobrązowe włosy, a na silnej szczęce cień zarostu. Wyglądał trochę jak kowboj z tymi ostrymi, wyrazistymi rysami. Odnosiła wrażenie, że spędza dużo czasu na zewnątrz. Dobrze się wpasował w westernowy klimat. Gdy się uśmiechnął, jego usta układały się trochę krzywo i seksownie. Jak na takiego starego faceta.

– Wiem, że zamierzasz zrobić remont – zwrócił się do Sarah. – Właśnie dzisiaj dostałem na biurko plany. – Zerknął na dziewczyny i wyjaśnił: – Jestem inspektorem budowlanym w tej części hrabstwa, więc możecie się spodziewać, że przyjdę i będę sprawdzał różne rzeczy.

– Ten dom powinien zostać rozebrany – wybuchła Jade, a kiedy matka spojrzała nią z przerażeniem, uznała, że nie będzie się wycofywać. – Przestań, mamo, to ruina, woda ledwie płynie w kranach, na miłość boską. Nie zachowuj się tak, jakbyś o tym nie wiedziała.

– Mieszkacie w głównym budynku? – Chyba był zaskoczony.

Matka zaczęła opowiadać o domu gościnnym, o tym, że przywraca go do stanu używalności, jakby to w ogóle było możliwe.

Cała sytuacja zrobiła się naprawdę niezręczna, ale na szczęście w drzwiach wejściowych pojawiło się kilku nastoletnich chłopców, których Jade nie kojarzyła. Każdy z nich trzymał w ręce deskorolkę. Wchodząc, rozbili ich małą, dziwną grupkę. Chociaż raz matka szybko zakończyła rozmowę.

– Musimy lecieć, stygnie nam pizza – rzuciła.

– Dobrze cię było znowu zobaczyć, Sarah. – Po czym jej dotknął, a ich spojrzenia spotkały się na najkrótszą chwilę. Potem przeniósł wzrok na Jade i Gracie, opuścił rękę i skinął do nich głową. – Do zobaczenia w okolicy.

Następnie matka zagoniła je na zewnątrz, wsiadły do samochodu, co jak najbardziej pasowało Jade. Sarah wrzuciła wsteczny bieg i prawie zadrapała ogrom-

nego pick-upa parkującego obok, po czym ruszyła, dodając gazu mocniej niż zwykle.

– To było dziwne – zauważyła Jade.

Sarah zerknęła na córkę, po czym sprawdziła tylne lusterko, jakby chcąc po raz ostatni spojrzeć na tego faceta. A może tylko sprawdzała, czy ktoś za nią jedzie.

– Minęło sporo czasu – powiedziała.

– Chyba się ucieszył na twój widok – stwierdziła Jade.

– I to jest takie dziwne?

Jade nie potrafiła tego wyjaśnić, nie wiedziała, jak opowiedzieć o tych wibracjach, które wyczuła.

– Po prostu wydaje mi się, że taki facet raczej nie miałby co robić z wujkiem Joe i wujkiem Jakiem.

– Głównie z Joe. Nie dogadywali się z Jakiem. – Sarah trzymała kierownicę w śmiertelnym uścisku i przekroczyła dopuszczalną prędkość, co samo w sobie było dziwne. Jakby spotkanie z sąsiadem wyprowadziło ją z równowagi.

– Wydaje mi się, że cię lubi – wtrąciła Gracie z tylnego siedzenia.

Sarah się roześmiała, ale śmiech wydawał się wymuszony. Ponadto się zarumieniła. Jade zauważyła, że na karku mamy rozlewa się czerwona plama. Serio? Sarah i ten facet, Clint? Jade odwróciła się, żeby jeszcze raz na niego spojrzeć przez tylną szybę, ale pizzeria i centrum handlowe już dawno zniknęły w oddali.

– Przyjaźniłam się z Clintem, ponieważ zadawał się z moimi braćmi – wyjaśniła Sarah.

– Aha. Ty też go lubiłaś – zauważyła Gracie.

– A więc teraz jesteś autorytetem w kwestii życia uczuciowego innych ludzi? – zapytała Jade, posyłając siostrze pełne niedowierzania spojrzenie, po czym znowu usiadła przodem do kierunku jazdy.

– Po prostu to wiem.

– Super. Może do wszystkich swoich uzdolnień powinnaś dodać, że jesteś medium do spraw miłości – wymamrotała Jade.

Gracie pociągnęła nosem.

– Możesz się ze mnie śmiać, ale ten facet naprawdę lubi mamę. O wiele bardziej niż Cody ciebie.

Jade odwróciła się do tyłu tak szybko, że aż napiął się pas bezpieczeństwa.

– Cody mnie kocha.

– Skoro tak mówisz. – Gracie uśmiechnęła się w ten dziwny, tajemniczy sposób, który Jade uznawała za dość przerażający.

– Dziewczyny! Przestańcie!

Matka najwyraźniej była roztrzęsiona, więc odpuściła.

– A więc co ona wie? – zapytała i znowu wbiła wzrok w okno. Ale była poruszona. Złośliwa uwaga Gracie pod adresem Cody'ego dotknęła ją do żywego. W głębi serca sama czasami się zastanawiała, czy kocha Cody'ego o wiele bardziej niż on ją. Zamknąwszy oczy, uznała, że lepiej o tym teraz nie myśleć i że nie da satysfakcji siostrze i nie pokaże po sobie, że to ją ubodło.

Zamiast tego zwróciła się do Sarah.

– Chodziłaś z tym facetem albo coś?

Sarah poruszyła kierownicą i ponownie dodała gazu. Jechały teraz większą drogą, która wiała się pomiędzy wzgórzami.

– Albo coś – powiedziała tonem, który oznaczał, że chce zakończyć tę rozmowę.

– Mówiłam ci! – zapiszczała Gracie, przekrzykując warkot silnika.

Jade ją zignorowała. Boże, Gracie była taka irytująca. Czasami Jade wolałaby w ogóle nie mieć siostry.

– No to co się stało? – zapytała matkę. – Rzucił cię?

Mama nie odrywała oczu od drogi, ale jechała na pamięć, jakby myślała o czymś zupełnie innym.

– W pewnym sensie oddaliliśmy się od siebie. On wrócił do college'u w południowej Kalifornii.

– I to był koniec? – zdziwiła się Jade i zauważyła, jak spięta jest matka.

– Tak jakby.

– Tak jakby chujowo.

Sarah otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła, jakby naprawdę zamierzała stanąć w obronie cieniasa, który zostawił ją w tej zapomnianej przez Boga dziurze, a sam wyjechał do lśniącego od świateł Los Angeles lub innego miasta.

– To... to było za wzajemną zgodą.

Nie wygląda mi na to, pomyślała Gracie.

– Mamo, miałaś więcej nie kłamać.

– To nie jest kłamstwo, Gracie – odparła Sarah, a Jade zastanawiała się nad tą rozmową, ale zanim zdołała zadać pytanie, matka skrzyła w ścieżkę prowadzącą do starego domu. Jade znowu usłyszała sygnał swojej komórki. Szybko wyjęła te-

lefon z kieszeni, a jej serce wykonało potrójnego axla. Znowu napisał do niej Cody, co było dowodem na to, jak bardzo Gracie się co do niego myliła.

Zupełnie nie miała racji.

Kochał ją. Tak samo jak ona jego, a może bardziej... Taką miała nadzieję.

ROZDZIAŁ 11

Jesteś idiotką.

Bez dwóch zdań.

Wrzucając pusty karton po pizzy do otwartego worka na śmieci w kuchni, Sarah po raz setny lajała się w duchu. Wmawiała sobie, że będzie przygotowana, że spotkanie z Clintem Walshem było nieuniknione i że to nic strasznego. Czego mogła się spodziewać w tym małym mieście? Słyszała, że jest inspektorem budowlanym, i oczywiście przez większość życia mieszkał na sąsiedniej działce, a więc musiała w końcu się z nim spotkać.

Ale nie spodziewała się, że stanie się to tak szybko ani że zareaguje jak nastolatka na widok swojej pierwszej sympatii.

– Boki można zrywać – wymamrotała pod nosem, idąc do starej szopy na drewno z torbą i w rękawiczkach, które były na nią o wiele za duże. Zaczęła wkładać kawałki dębu i jodły do tej samej skórzanej torby, której przez wiele lat używał jej ojciec. Porąbane i schludnie ułożone przez ojca i braci kawałki drewna leżały tu od dekad, więc pokrywała je warstwa kurzu i zamieszkiwały pająki, ich sieci i złożone jaja oblepiały korę.

Na szczęście nie będzie musiała robić zbyt wielu wycieczek w to miejsce, bo według majstra, którego wynajęła, mniejszy, ale nowocześniejszy dom gościnny będzie gotowy do zamieszkania już niedługo, pomimo kilku opóźnień.

Co nie rozwiązuje problemu Clinta Walsh.

Będzie musiała nauczyć się żyć koło niego, zwłaszcza że niedługo zacznie pojawiać się w domu i sprawdzać postępy remontu. Zapewne wcześniej nie będzie się zapowiadał.

– Wprost wspaniale – wymamrotała, wynosząc ładunek z szopy i idąc krótką ścieżką prowadzącą na tylne schody prosto do składziku.

Miała nadzieję, że wyglądała i brzmiała o wiele spokojniej, niż się czuła, kiedy niemal na niego wpadła w pizzerii. Będąc tak blisko niego, czuła się tak, jakby wrzucono ją w jakąś dziwną pętlę czasu, gdzie ponownie stała się nastolatką, która zapomniała języka w gębie.

Idiotka, idiotka, idiotka.

Niosąc drewno przez kuchnię, przypomniała sobie, że gdzieś w połowie drugiej klasy liceum pokonała swoją nieśmiałość i poczucie, że jest inna i dziwna. Wtedy właśnie stała się sobą. Pogodziła się z tym, że nie spełnia oczekiwań innych osób. Jej matka nie lubiła tej nowej, silniejszej Sarah, podobnie jak Dee Linn, która uważała, że młodsza siostra przynosi jej wstyd i obciach. Sarah to nie obchodziło. Zanim w ostatniej klasie zaczęła chodzić z Clintem, odnalazła siebie.

Aż do dzisiaj, kiedy ponownie zmieniała się w niepewną siebie nastolatkę, którą była lata temu.

– Tylko dlatego, że cię zaskoczył – wytłumaczyła sobie, idąc zygzakiem pomiędzy kocami i śpiworami, wciąż leżącymi na podłodze. Postawiła torbę obok paleńska. Przynajmniej teraz będzie już z górki, skoro pierwsze spotkanie po latach ma za sobą.

Ale nie to cię martwi, prawda? Wiedziałaś, że dasz radę ponownie się z nim spotkać, co nie? Problemem jest Jade.

– Mówiłaś coś? – zapytała Gracie, zjawiając się w pobliżu jednej z dwóch kolumn, które oddzielały salon od korytarza.

– Mówiłam do siebie.

– Tak to się zaczyna – poinformowała ją młodsza córka. – To pierwsza oznaka szaleństwa.

– To nie początek. Już dawno się zaczęło. – Zdjęła rękawice i się wyprostowała. – Taki wpływ na zupełnie zdrową na umyśle kobietę ma posiadanie dwóch córek.

– Słyszałam! – krzyknęła Jade od strony jadalni. Pojawiła się z telefonem w ręce, pisząc coś ze zwinnością osoby dorastającej w epoce urządzeń elektronicznych.

– To prawda – powiedziała Sarah.

– Może powinnam zapytać babci? – zakpiła Gracie. – Może ty i ciocia Dee też doprowadziłyście ją do szaleństwa?

– Proszę bardzo, na pewno to potwierdzi – rzuciła Sarah, otrzepując ręce, jako że drobinki kurzu przedostały się przez starusieńkie rękawice. – Chociaż prawdopodobnie powie ci, że chłopcy też mieli w tym swój udział. Synowie to nie zabawa.

Nie podnosząc wzroku, Jade wtrąciła:

– Nie sądzę, żeby babcia mogła cokolwiek potwierdzić.

Sarah spojrzała na córkę, która stała z pochyloną głową z pofarbowanymi na czarno włosami, opadającymi na twarz. Aż ją ścisnęło w gardle. Spotkanie z Clin-

tem ożywiło wszystkie wspomnienia.

Co sobie myślała?

Że Jade ponownie nie zapyta?

Że starsza córka nie ma prawa wiedzieć, kto jest jej ojcem? Jaką ma spuściznę? Jakie geny odziedziczyła? Że Clint Walsh nigdy się nie dowie, że spłodził dziecko?

Sarah całe życie zachowywała się jak wystraszony królik, a teraz płaciła za to wysoką cenę, która z czasem stanie się jeszcze wyższa. Czy to się jej podoba, czy nie, Clint i Jade mają prawo do poznania prawdy o tym, że są ojcem i córką. Zapewne będą mieli do niej pretensje. I to ogromne.

Nie powinna była tego ukrywać i od razu wyznać, kto jest jej ojcem, kiedy córka zapytała o niego po raz pierwszy.

Wciąż pamiętała dzień, kiedy Jade wróciła z przedszkola i powiedziała:

– Wszyscy inni mają tatusia. Gdzie jest nasz?

I to dało początek kłamstwu, które tak urosło przez lata, że teraz nie da się niczego wyjaśnić w prostych słowach. Będzie musiała się tłumaczyć i prawdopodobnie wysłuchać wielu oskarżeń.

Chociaż Jade została adoptowana przez Noela McAdamsa, wiedziała, że nie jest jej biologicznym ojcem, i chciała poznać prawdę. Sarah kluczyła, przyznała tylko, że jej prawdziwy ojciec nie wiedział, że spłodził dziecko, i że nie chciała go obarczać rodziną, jako że oboje byli młodzi. To z grubsza była prawda, ale nigdy nie wymieniła imienia Clinta, ponieważ nie widziała w tym żadnego sensu. Zerwali ze sobą, zanim Sarah zdała sobie sprawę, że jest w ciąży. Zanim jednak zdobyła się na odwagę, żeby go o tym poinformować, on już się wyprowadził i umawiał z kimś innym. Nie zamierzała przywiązywać go do siebie ani obarczać dzieckiem.

Strzegła swojego sekretu, ale matka kiedyś oświadczyła:

– Możesz okłamywać wszystkich, Sarah, ale siebie nie okłamiesz. Ten chłopak od Walshów ma prawo wiedzieć, że jest ojcem. Oszukujesz siebie, a także jego, a przede wszystkim swoją własną córkę. – Arlene domyśliła się prawdy, ale trzymała tę wiedzę dla siebie. Reszta rodziny sądziła, że Jade zaszła w ciążę z chłopakiem, którego poznała wkrótce po tym, jak zaczęła studia na uniwersytecie.

Podczas tej kłótni z Arlene po raz ostatni wspomniano Clinta Walsha. Gdy miały lata, tajemnica rosła i zaczęła żyć własnym życiem. Kiedy Jade zaczęła wypytywać ją o biologicznego ojca, co nie zdarzało się zbyt często, Sarah zawsze mówiła:

– Skontaktujemy się z nim, kiedy będzie właściwa pora.

Ostatnim razem odbyły taką rozmowę, kiedy Jade miała jakieś dwanaście lat. Jedną z jej przyjaciółek przypadkowo odkryła, że została adoptowana, i była rozgoryczona. Jade żądała wtedy odpowiedzi, ale jako że Sarah i Noel akurat się rozstawali, Sarah ponownie uznała, że zachowa tożsamość ojca Jade dla siebie. Jednakże wiedziała wtedy, że wszystko zatoczy krąg. A teraz najwyraźniej nadeszła właściwa pora. Czy jej się to podobało, czy nie.

Najpierw jednak powie Clintowi. Była mu to winna.

A potem, kiedy pozna jego reakcję, powie o wszystkim córce. Kiedy Jade już się przyzwyczai do swojego nowego życia.

Jakby wyczuwając, że matka na nią patrzy, Jade podniosła wzrok znad telefonu.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Jasne, czemu pytasz?

– Mam wrażenie, że czymś się martwisz.

Gdybyś tylko wiedziała.

Jade miała taki potencjał, była inteligentna, co potwierdziły testy, ale nie oceny, była piękna, chociaż jeszcze chyba o tym nie wiedziała. Miała duże orzechowe oczy, regularne rysy, wysokie kości policzkowe, gęste włosy. Dziewczyna była oszalałamiąca, ale próbowała to ukryć pod zbyt obszernymi ciuchami, mocnym makijażem i farbą do włosów, która zmieniła jej naturalny, jasny kolor w płaską czerń.

– Wszystko okej – skłamała Sarah i ponownie pochyliła się nad kominkiem, do którego dorzuciła kilka kawałków drewna. – A u ciebie?

– Wporzo. – Jade wsadziła telefon do kieszeni i rzuciła swój śpiwór na kanapę, po czym na nim usiadła.

– A u ciebie, Gracie? – Kiedy młodsza córka nie podniosła wzroku znad tabletu, Sarah powtórzyła: – Gracie?

– Hm? Tak? – zapytała, przerzucając stronę czytanego właśnie e-booka. Siedziała po turecku na podłodze przed kominkiem.

– Zadzwoiłaś do taty i opowiedziałaś o pierwszym dniu w szkole? – Znowu nie usłyszała odpowiedzi, więc dodała: – Gracie, odłóż to, kiedy rozmawiamy, do brze?

Córka niechętnie odłożyła tablet na stolik.

– Słucham?

– Tata chciał z tobą rozmawiać – przypomniała Sarah.

– Napisałam do niego.

– Wydaje mi się, że wolałby z tobą porozmawiać.

Córka ponownie sięgnęła po tablet.

– Zadzwoń.

– W Savannach jest później. Może powinnaś zająć się tym już teraz.

– Okej – warknęła Gracie i przeszukawszy stos koców wokół siebie, w końcu znalazła telefon i zaczęła wybierać numer.

Sarah przeniosła wzrok na Jade.

– A ty? – zapytała.

– Ja też już napisałam do taty – powiedziała Jade, nie spuszczać wzroku z siostry, która z telefonem przy uchu wyszła z salonu. – I nie mów mi, że to nie to samo, tak jak Gracie. Wiem, że nie. Ale tak się teraz robi.

– Rozumiem.

– Bo nie mam zamiaru słuchać twojego marudzenia.

– Nie marudzę.

– Ale zamierzałaś, prawda? Już to przerabialiśmy. – Zapadła cisza, jakby Jade spodziewała się, że matka zaoponuje. Słysząc było jedynie trzask zachłannych płomieni pochłaniających suche drewno. Sarah jednak odpuściła.

Odezwał się telefon Jade, sygnalizując, że dostała wiadomość.

– Zadzwoń do niego, jak będę miała coś do opowiedzenia – zapewniła matkę. – Coś dobrego – dodała z ironią w głosie, jakby nie spodziewała się, że coś takiego może się zdarzyć w najbliższej przyszłości.

Rosalie usłyszała warkot samochodu, zanim nad jej głową pojawił się blask świateł, które z ledwością przenikały przez brudną szybę.

O, Boże, wrócił! Ten zbok, który ją porwał, znowu tu przyjechał.

Prawie zwymiotowała.

Na chwilę jej maleńka cela została oświetlona i oczywiście, jak podejrzewała, nie było z niej drogi ucieczki, nie było gdzie się schować.

Jej serce dziko załomotało. Pragnęła stąd uciec. Ręce wciąż miała skute z przodu, dzięki czemu mogła jeść i nieporadnie się ogarnąć, ale to wszystko. Fantazjowała, że jakoś udaje jej się zdobyć nad nim przewagę, wskakuje mu na plecy, kiedy porywacz się odwraca, zahacza krótkim łańcuszkiem łączącym kajdanki o jego szyję i ciągnie do siebie. Mogłaby uwiesić się na nim całym swoim ciężarem, on próbowałaby ją zrzucić, ale gdyby jej się poszczęściło i miała dość

siły, zdołałaby zgnieść jego tchawicę i odciąć mu dopływ powietrza do płuc. Uduślałyby go w taki sposób, jaki widziała w telewizji i w filmach.

Zdołała wymyślić tylko taki scenariusz.

Po nieudanych próbach wspięcia się na ścianę boks przeszukała całe pomieszczenie, żeby znaleźć jakąś broń. Była pewna, że kiedyś w tym miejscu stały konie. Ciągłe śmierdziało tu obornikiem i moczem. Miała nadzieję, że coś znajdzie, choćby gwóźdź, który wypadł z podkowy i wbił się w deski. Albo zapomniane zgrzebło gdzieś w kącie. Przez wiele godzin centymetr po centymetrze obmacywała podłogę, dopóki nie zdarła sobie skóry z opuszek. Sprawdziła też wszystkie szpary pomiędzy deskami w podłodze i na ścianach, w nadziei, że znajdzie coś, czym mogłaby zrobić mu fizyczną krzywdę.

Owoce jej pracy były w najlepszym wypadku mierne. W kącie pod łóżkiem znalazła mały kamień z ostrymi krawędziami, który najprawdopodobniej został przeoczony, oraz hak do zawieszania końskiej uprzęży. Znajdował się w jej zasięgu, ale został solidnie przytwierdzony do grubej deski. Próbowwała go poluzować połamanymi paznokciami, którymi posługiwała się jak śrubokrętem. Nic to nie dało. Następnie pociągnęła za hak, szarpała go z całych sił, nawet się na nim uwiesiła, mając nadzieję, że poluzuje się pod ciężarem jej pięćdziesięciu kilogramów.

Hak ani drgnął.

Mimo chłodu cała się spociła z wysiłku, więc rzuciła się na pryczę, żeby wymyślić inny sposób ucieczki.

Nic nie przyszło jej do głowy.

Teraz słysząc dźwięk pick-upa, usiadła na pryczy i czekała. Wytężała słuch, jej serce głośno waliło, miała napięte nerwy i starała się wymyślić jakiś plan. Może powinna go zwabić do boks, posunąć się do tego, żeby zaoferować mu seks. A kiedy opuści spodnie do kostek, kopnąć go w jaja. Mogłaby użyć kamienia, żeby go oślepić, i wybiec na zewnątrz, zamknąwszy jego w środku. Miałby łądak za swoje!

Czy jest w stanie to zrobić?

Czy to może się udać?

Ze strachu przyspieszył jej puls, zaschło jej w ustach, gdy rozważała pomysł uwiedzenia, a jeśli to możliwe, także morderstwa.

Aż mrowiła ją skóra na samą myśl, ale kończyły jej się opcje i ani przez chwilę nie wierzyła, że z dobroci serca facet nagle postanowi ją wypuścić. Nie, zabije ją i Bóg wie, co jeszcze jej zrobi.

Silnik zgasł. Czekwała, ściskając mały kamień, który wbijał się w jej palec. Liczyła uderzenia serca, aż w końcu usłyszała znajome dzwonienie kluczy i przytłumione kliknięcie, a następnie odgłos otwieranego zamka i skrzywienie drzwi zapowiadające jego nadejście.

Dasz radę, Rosalie. Uda ci się!

O, Boże, pomóż mi, modliła się cicho.

Uspokój się. Musisz wyglądać na przestraszoną, a nie na gotową do walki. Zachowuj się tak, jakbyś była zbyt przerażona, by zrobić coś, czego się nie spodziewa.

Rozluźniła palce na kamieniu i głośno przelknęła ślinę, słysząc miarowy tupot jego butów na podłodze... Zaraz! Szedł jakoś inaczej. Dźwięk odbijał się od ścian. Miała wrażenie, że...

– Mam ją tutaj – powiedział głośno. Tak głośno, że mogła go wyraźnie usłyszeć.

I wtedy już wiedziała, dlaczego jego kroki nie były normalne. Nie przyszedł sam.

Przyprowadził kogoś ze sobą.

Zalała się, poczuła nową falę obezwładniającego strachu.

Cofnęła się pod ścianę na pryczy. Dlaczego ktoś tu z nim przyszedł?

Nie kierowały nim dobre intencje. Tego była pewna.

Usiadła w kącie i objęła się ramionami na tyle, na ile pozwoliły jej te cholerne kajdanki.

– Porządnie ją zamknąłeś? – Odezwał się inny męski głos, wyższy i bardziej nosowy. Po chwili zaczął się przeraźliwie śmiać, a jego śmiech zamienił się w atak kaszlu typowy dla palaczy.

– Zaraz się przekonasz – zapewnił swojego kompana porywacz.

Rosalie chciała umrzeć.

– Jest tylko jedna?

– Jak na razie.

Ponownie parsknięcie i paskudny chichot, od którego pokryła się gęsią skórką.

Co to miało znaczyć, że na razie tylko jedna? Będą jeszcze inne? Po co? I kto?

– Musimy się uwijać i skończyć przed Halloween.

Skończyć? Zamarła. Skończyć z czym?

– Pomyślałem, że w weekend będzie dobra okazja. Dwa w jednym.

– Dwa w jednym? – zdziwił się ten nowy.

– Dwie za jednym razem. – W głosie potwora wyraźnie pobrzmiwała pogarda.

– No jasne. – Ponownie się zaśmiał, tym razem śmiechowi towarzyszyło dzwonienie kluczy oraz odgłos otwieranej kłódki.

O Boże, co teraz?

Odchodząc od zmysłów, patrzyła, jak drzwi się otwierają i w plamie światła wpadającej z zewnątrz pojawiają się dwa wydłużone cienie. Plecami przyłgnęła do kąta boksu, miała ochotę wtopić się w drewno, ale była w pułapce. Ze strachu waliło jej serce, cała się trzęsła. Już nie była w stanie udawać, że się nie boi.

Większy z mężczyzn włączył górne światło, przekręcając znajdujący się na zewnątrz włącznik. Skrzywiła się i zamrugła, gdy nagle w pomieszczeniu zrobiło się jasno. Zobaczyła, że mężczyzna podnosi ręce i robi krok w głąb pomieszczenia. Przez jedną przerażającą sekundę sądziła, że ma broń i że zamierza do niej strzelić na oczach świadka. Zaczęła krzyczeć. Szeroko otworzyła usta i wtedy jej oczy znowu odzyskały ostrość. Uświadomiła sobie, że w ręce nie ma pistoletu, lecz smartfon.

– Co? – rzuciła, po czym usłyszała serię cichych kliknięć i zrozumiała, że robi jej zdjęcia. – Przestań! – zawołała.

Niższy mężczyzna, który już nie stał w cieniu, wnikliwie się jej przyglądał. Był nieogolony, rozczochrany, miał włosy w kolorze świńskiego blondu, znoszoną i brudną dżinsową kurtkę. Jego okrutne, niebieskie oczy patrzyły na nią jak na towar w sklepie. Z niesmakiem wykrzywił usta.

– Nie wygląda tak, jak na zdjęciu.

– Wystarczy ją umyć.

Jakim zdjęciu? Czy ten pojeb ją fotografował? Po co?

– Wypuść mnie! – wybuchła Rosalie, zeskakując z pryczy. Nie mogła tak po prostu kulić się ze strachu i pozwolić im robić cokolwiek chcieli. Mniejszy facet rozłożył ręce.

– Chodź tu, panienko!

– Nie mów tak do mnie! – warknęła, po czym ugryzła się w język i odwróciła się do wyższego z nich, tego, któremu tak idiotycznie zaufała. – Jak mogłeś mi to zrobić? – zapytała. – Wypuść mnie! Natychmiast!

– Jeszcze nie – odpowiedział, pocierając dłonią brodę.

– A kiedy?

Mniejszy mężczyzna zachichotał, a śmiech znowu przerodził się w atak kaszlu, który sprawił, że na chwilę zgiał się wpół. Zauważyła, że jego dżinsy są

brudne i pasują do flanelowej koszuli widocznej pod rozpiętą kurtką. Miał solidne, lecz znoszone buty.

Zrobiła krok w stronę swojego porywacza i starała się mówić bez drżenia w głosie.

– Zejdź mi z drogi.

Jeżeli sądziła, że uda jej się go zastraszyć, to bardzo się myliła. Jego usta rozciągnęły się w powolnym, zimnym uśmiechu.

– Lepiej się zachowuj – ostrzegł, a w jego oczach pojawił się makabryczny błysk, ostrzeżenie, że jeśli będzie się upierać, może zareagować gwałtownie i ją skrzywdzić. A co gorsza, sprawiłoby mu to przyjemność.

– Powiedziałaś, zejdź mi z drogi.

– Wracaj na łóżko, Gwiazdeczko – rozkazał.

Gwiazdeczko? Ten przydomek zbił ją z tropu, ale ustąpiła.

– I to już! – ostrzegł. – Chyba że chcesz, żebym nauczył cię dobrego zachowania. – Dotknął sprzączki swojego pasa, a jego mniejszy kompan niemal podskoczył z radości na myśl o chłście czy gwalcie lub obu tych rzeczach.

Nie cofnęła się.

– Muszę wracać do domu.

Ssssss! Zdjął pasek, który wydał taki dźwięk jak rozjuszony wąż. Błysk w jego oczach sprawił, że poczuła przerażenie.

– Przytrzymaj ją – rozkazał, prawie nie poruszając ustami.

Nie!

Rozczochny rzucił się na nią z szokującym entuzjazmem.

Kopała i udało jej się uderzyć Rozczochnego w goleń. Próbowwała wydostać się przez drzwi. Napastnik zablokował wyjście. Rozczochny zdołał ją złapać. Instynktownie odwróciła się na pięcie i wycelowała w jego krocze. Łup! Trafiła prosto pomiędzy jego nogi.

– Aaaaaauuuuuuuuuuuuuuuuu! – Padł na ziemię z krzykiem i łomotem. Od jego wrzasku aż zadrżał dach.

– Cholera jasna! – warknął większy i odwrócił się z pasem w ręce, wtedy ona przecisnęła się obok niego i ruszyła biegiem przez ogromną stajnię. Napędzana adrenaliną, mijała stare maszyny rolnicze, pojemniki na paszę i wiszące na ścianie narzędzia.

– Wracaj! – krzyczał. – Do kurwy nędzy!

Słyszała jego ciężkie kroki, gdy ruszył za nią w pogoń. *Biegnij, szybciej. Nie może cię dogonić!*

Skrepowane dłonie tylko ją spowalniały, ale biegła w stronę drzwi, wymijając stare kozły do piłowania drewna i zakurzone łóżka. Wrota wciąż były otwarte, dzięki Bogu! Za nimi rozciągała się ciemność.

– Stój, do cholery! – rozkazał.

Gdyby tylko udało jej się wydostać na zewnątrz, miałaby jakąś szansę.

– Nie rób tego! – wrzasnęła, ale ona dalej biegła. Rozpędziła się i nagle znalazła się na zewnątrz. Pod nogami miała żwir. Zimne, nocne powietrze uderzyło ją prosto w twarz, z czarnego, styksowego nieba padał deszcz. Jej oddech zmieniał się w parę, gdy biegła. Stopy śmigały po nierównym gruncie. Jezu, ale było ciemno.

I dobrze. Może uda ci się uciec. Albo gdzieś się schować.

Pobiegła do jego samochodu, ale gdy dotarła do drzwi, przypomniała sobie, że usłyszała kliknięcie automatycznego zamka, kiedy przyjechał, wobec czego biegła dalej wzdłuż długiego podjazdu.

Miała tylko nadzieję, że widzi równie mało co ona w tej wszechogarniającej ciemności.

Uciekaj. Uciekaj. Uciekaj!

Dyszząc, kierowała się wzdłuż ścieżki, bo spodziewała się, że prowadzi gdzieś poza to zapomniane przez Boga miejsce. Jej stopy czasem ślizgały się na mokrej trawie i zaroślach. Jak daleko znajdowała się od głównej drogi, od miejsca, w którym będzie mogła znaleźć pomoc? Pół kilometra? Może cały kilometr lub więcej?

Nie zaprzataj sobie tym głowy, po prostu biegnij!

Miała natłok myśli, napędzała ją adrenalina. Gdyby trzymała się drogi, mógłby ją znaleźć, więc musiała z niej skrócić, ukryć się w gęstym lesie, który, jak pamiętała z drogi do tego odizolowanego miejsca, otaczał ścieżkę. Widziała las, kiedy porywacz ją tu wiozł. Światła jego auta odbijały się od pni i gałęzi drzew. Zanim przed nimi pojawiła się stajnia i dobudowana do niej wiata z zapadającym się dachem i samochodem ukrytym pod próchniejącym stropem.

Czy był tu jakiś płot?

Nie pamiętała żadnego ogrodzenia, ale teraz niczego nie była pewna.

Za sobą usłyszała głośne piknięcie centralnego zamka i zauważyła rozbłysk światła, gdy otworzył drzwi samochodu. *Szlag!* Rozległy się głośne, wściekle krzyki i trzask ciężkich, metalowych drzwi. *O Boże, na pewno mnie znajdują,* pomyślała, gdy usłyszała mrozący krew w żyłach warkot odpalania dużego silnika.

Skręciła w bok ze ścieżki, w chwili gdy włączył światła i oświetlił mokry żwir oraz jej biegnącą postać. Zauważyła ogrodzenie tuż przed tym, gdy na nie wpadła, uderzyła głową w zardzewiałą siatkę.

Na brzuchu poczuła piekący ból. Upadła na mokrą trawę, uderzając głową o słupek.

– Aauaa.

W ciągu ułamka sekundy świat się skurczyło, o mało nie straciła przytomności. Kusila ją ciepła, czarna otchłań. Zakręciło się jej w głowie, ale w chwili, gdy już miała podążyć ku głębinie, zobaczyła zatroskaną twarz matki.

– Mamo – wyszeptała, gdy padły na nią światła samochodu.

Zamrugła, odsuwając od siebie halucynację i stanęła na nogi.

Uciekaj! Uciekaj!

Ślizgając się na trawie i błocie, ruszyła do przodu, bolał ją brzuch, waliło jej w głowie. Światła pick-upa rozświetlały całą okolicę. Skuliła się i ukryła pod gałęziami. Biegła pomiędzy drzewami, coraz głębiej wchodząc w las. Teren opadał, a ona cały czas miała nadzieję, że uda jej się uciec.

Gałęzie jodeł trochę chroniły ją przed deszczem, w nosie czuła silny zapach ziemi, adrenalina dodawała jej sił, biegła bez przerwy. Wysunęła ręce do przodu, żeby nie wpadać na rosnące gęsto drzewa. Gdy zagłębiała się gęstwinę, przyklejały się do niej mokre pajęczyny, a gałęzie uderzały ją w ręce i twarz.

Sosny i jodły nieco osłaniały ją od oddalających się włączonych świateł samochodu.

Dobrze.

Ciemność wyrównywała szanse.

Biegła w dół, potykała się o kamienie i korzenie, ale nie zatrzymywała się i cały czas nasłuchiwała dźwięku silnika samochodu.

Wciąż był zbyt blisko.

Biegnij dalej, Rosalie. Uciekaj! Nie zatrzymuj się!

Trzęsły jej się nogi, a brzuch bolał w miejscu, gdzie się zadrapała o siatkę, płuca zaczynały ją piec.

Zapiszczały opony.

Obejrzała się przez ramię i ujrzała światło wysoko na wzgórzu, gdzie zatrzymała się półciężarówka.

Biegnij dalej!

– Tam! – Głos jej porywacza odbijał się echem w ciemnym lesie. Zauważyła, że wyskakuje z kabiny, gdy otworzył drzwi i zapaliło się światło.

Cholera!

– Widziałem ją! – Rozczochrany. On też wyskoczył z pick-upa. Strach przybrał postać kamienia tkwiącego w jej gardle.

Biegła jeszcze szybciej, ślizgała się na mokrych liściach i igłach, ale brnęła przed siebie, mając nadzieję, że w końcu znajdzie się na jakiejś wiejskiej drodze, która zaprowadzi ją do cywilizacji. A być może nawet natknie się na przejeżdżający samochód.

Nie poruszaj się w prostej linii!

Kluczyła i biegła zygzakiem, nie mając pojęcia o kierunku, w którym zmierzła, wiedziała tylko, że wzgórze robi się coraz bardziej strome i gdzieś w oddali usłyszała płynącą wodę. Rzekę? Strumień? Jej nogi drżały, oddech miała krótki, ale biegła bez zatrzymywania się. Mijała wysokie, stare drzewa i wiotkie drzewka, cały czas żywiąc niczym niepodpartą nadzieję, że znajdzie główną drogę i że jakiś kierowca, dobry samarytanin, zabierze ją...

Kątem oka zobaczyła jakiś błysk.

Serce jej zamarło.

Jej modlitwy zostały wysłuchane! Światła samochodu... Nie! O, Boże, nie. Podskakujący snop światła nie był zbliżającym się samochodem jej zbawcy, lecz latarką, którą jeden ze ścigających ją mężczyzn oświetlał zarośla. Światło odrobinę przygasło i wtedy usłyszała:

– Kurwa! – Znowu ten nosowy głos, należący do Rozczochranego. Snop latarki się obniżyło, jakby mężczyzna ją upuścił.

Dobrze.

A gdzie był ten drugi? Ten, który ją uprowadził. Czy wrócił do auta i czekał? A może... O, cholera. Zauważyła drugie światło pomiędzy drzewami nad sobą. Trzymał latarkę pewną ręką. Nie poruszała się. Miała wrażenie, że świeci na zarośla daleko z lewej strony.

Dobrze.

Nadal biegła w dół, ale zastanowiło ją, dlaczego stał i kierował latarkę w jeden punkt? Jak jakaś pieprzona latarnia morska.

Czy sądził, że Rozczochrany przyprowadzi ją z powrotem?

Coś jej się tutaj nie zgadzało. Wyczuwała coś, ale jedyne, co mogła robić, to uciekać coraz dalej i szybciej.

Skreśliła w prawo z dala od podskakującego promienia latarki Rozczochanego i nieruchomego snopu światła.

Dlaczego się nie poruszał? Dlaczego się nie zbliżał?

Wyteęzała wszystkie zmysły. Nagle natknęła się na powalone drzewo, przeskoczyła przez nie, chociaż się poślizgnęła, bezpiecznie znalazła się po drugiej stronie.

Rozczochrany zmniejszył dzielącą ich odległość. Drżące światło jego latarki świeciło coraz jaśniej.

Cholera!

Druga latarka się nie ruszała.

To nie było w porządku, prawda? Jej porywacz nie stał się tak miły, żeby pomóc jej w ucieczce. I raczej nie spodziewał się, że jego partner zagoni ją prosto do niego. Uwielbiał polowanie, uprowadzanie, poczucie kontroli...

Chwila... O, Boże, o, Boże o...

– Mam cię! – Zza drzewa wyskoczył wyższy mężczyzna i zamknął ją w uścisku.

Krzyknęła i próbowała się wyrwać, ale to było niemożliwe. Przemoknięta do suchej nitki, wiała się jak węgorz, ale on ją mocno trzymał. Jego ręce były jak stalowe obręcze, niemal wyciskały jej powietrze z płuc. Jego oddech, przesiąknięta deszczem skóra i mokre włosy cuchnęły.

Jak do tego doszło? Czy teraz było ich trzech, dwóch z latarkami i ten potwór, który ją trzymał?

– Puść mnie! – krzyczała, szarpiąc się i uderzając go w głowę skrępowanymi rękami. Drapała go w twarz kajdankami, ale nie była w stanie zadać mu żadnych poważnych obrażeń.

– Mam ją! – krzyknął. – Chodźmy!

Oddychając ciężko, zjawił się Rozczochrany.

– Dobrze nam to wyszło, co nie? Walilem światłem po jej butach.

Co? O co chodzi z butami? Wciąż się szarpała, gdy Rozczochrany roześmiał się swoim szalonym śmiecho-kaszlem.

– Dobrze, że włożyła te drogie cichobiegi.

Wtedy zrozumiała. Jej buty do biegania miały odbłaski, dzięki którym była widoczna, kiedy wracała z restauracji późno w nocy. Odblaski świeciły się, gdy padało na nie światło samochodu i latarek. Zrobiło jej się niedobrze na myśl, że jest taka głupia. Szarpnęła się z całej siły, zamachnęła się pięścią i uderzyła porywacza w nos.

Trzask! Poszła kość i pociekła lepka krew. Kapała na jego klatkę piersiową i jej włosy.

– Ty mała suko! – warknął.

– Nie bij jej! – Rozzochrany przyszedł jej z odsieczą. – Żadnych siniaków! A już na pewno nie na odsłoniętych miejscach! Pamiętaj!

– Kurwa mać! – Ten większy się jakoś powstrzymał. Napiął wszystkie mięśnie, podniósł ją krzyczącą i wierzgającą i zarzucił sobie na ramię. Potem zaczął się wspinać pod górę. Światło z latarki Rozzochranego wskazywało im drogę z powrotem do miejsca, gdzie zostawił swoją. Jej skrępowane pięści uderzały go w plecy, jej nogi wierzgały w powietrzu, deszcz spływający z drzew uderzał w nią dużymi, zimnymi kroplami.

Rosalie płakała, wiedziała, że kiedy zanieś ją do stajni, zostanie ukarana. Drżała w środku na samą myśl i przestała walczyć, po prostu pozwoliła się zanieść na górę, przez krótkie pole i ogrodzenie z siatki do czekającego na wolnym biegu auta, czarnej bestii, która wydawała się mieć złe zamiary. Jej przednie światła wyglądały jak płonące w ciemności oczy. Wrzucił ją do samochodu, gdzie przytrzymał ją Rozzochrany. W świetle padającym z deski rozdzielczej jego twarz była bladą maską wściekłości. Porywacz usiadł za kierownicą, zamknął drzwi i wrzucił wsteczny bieg. Z wściekłością dodał gazu i ruszył jak szalony do tyłu.

– Hej, uważaj! – zaskrzeczał Rozzochrany.

Rosalie miała to gdzieś. I tak już była martwa.

Tylko że Rozzochrany powiedział: „Żadnych siniaków”.

Nie zwiastowało niczego dobrego.

Porywacz nagle wcisnął hamulec i auto gwałtownie się zatrzymało. Otworzył drzwi po swojej stronie, wyciągnął ją na zewnątrz i bez słowa zaniósł prosto do celi. Po drodze odwrócił się tylko raz, żeby wydać rozkaz Rozzochranemu.

– Zamknij drzwi na klucz, do jasnej cholery.

W tym czasie mogła przyrzeć się miejscu, gdzie była przetrzymywana. Tak, to był boks, pierwszy w rzędzie boksów z drzwiami zamykanymi na kłódki. Nad każdym wejściem widniało imię konia wypisane grubymi, czarnymi literami. W jej przypadku były mieszkanie boksu najwyraźniej nazywał się Gwiazdeczka.

Nic dziwnego, że tak się do niej zwrócił. Zerknęła na następny boks, gdzie kiedyś mieszkała Księżniczka, w trzecim stała Burza. Były też inne, ale zbyt daleko, by mogła odczytać imiona.

– Właśnie ominęła cię kolacja – powiedział złoczyńca i kopnął w wiadro tak mocno, że wychlapał jego zawartość, a wiadro odbiło się od ściany. – Masz cholerne szczęście, że żyjesz! – Rzucił ją na pryczę, po czym wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi tak mocno, że cała stajnia się zatrzęsała. – Chodźmy – warknął do swojego kompana i zamknął drzwi na kłódkę. – Niech ta suka przemyśli to, co zrobiła.

Ich kroki ucichły, światło wpadające przez szparę pod drzwiami zniknęło. Drzwi prowadzące na zewnątrz głośno huknęły, po czym usłyszała odgłos zasuwania i klucza przekręcanego w zamku.

Rosalie załała się łzami.

Znowu była sama.

ROZDZIAŁ 12

Gracie musiała być ostrożna i bardzo, bardzo cicha, kiedy schodziła po schodach do piwnicy. Mama nie lubiła, jak myszkowała w nieużywanych częściach starego domu. Mama przecież zawsze była nadmiernie opiekuńcza, a poza tym, chociaż Sarah się do tego nie przyznawała, ten stary dom napędzał jej wielkiego stracha. Gracie o tym wiedziała. Po prostu w tego typu sprawach miała wycucie. Nie miała na to żadnych dowodów oprócz wyjątkowo wyczulonych zmysłów, które zwykle jej nie zawodziły, chociaż inni ich najwidoczniej nie posiadali.

Pewnego razu próbowała zademonstrować swoje zdolności Jade, żeby udowodnić swojej sceptycznej siostrze, że nic nie ściemnia. Oznajmiła wtedy, że zaraz zadzwoni tata, a telefon po chwili się rozdzwonił. To jednak tylko pogorszyło sytuację, ponieważ, kiedy Jade odebrała i usłyszała głos Noela McAdamsa, spojrzała na Gracie z taką złością, jakby sądziła, że siostra wymyśliła tę sztuczkę w porozumieniu z ojcem.

Kiedy oboje upierali się, że nie spiskują za plecami Jade, siostra w końcu im uwierzyła, ale wcale nie była pod wrażeniem jej zdolności. Rzuciła tylko:

– Nie rozumiem cię. – I wetknęła słuchawkę w dłoń Gracie.

Od tamtej pory Gracie trzymała głębę na kłódkę. Nawet kiedy Jade szukała swojej komórki po całym domu, a Gracie wiedziała, że leży pod siedzeniem w samochodzie. I nic nie powiedziała Jade, kiedy ta skarżyła się, że Cody znowu nie zadzwonił. Gracie miała wtedy bardzo wyraźne przeczucie, że chłopak był wówczas z kimś innym. Może z dziewczyną, może z jednym z kolegów, nie umiała stwierdzić z kim, ale wiedziała na pewno, że w tamtej chwili nie myśli o Jade. Fluidy, które emanowały z chłopaka Jade, wyraźnie wskazywały na to, że nie jest równie zainteresowany swoją dziewczyną, jak ona nim. Ale gdyby oświadczyła to siostrze, na pewno nie zyskałaby jej wdzięczności. W opinii Gracie Cody Russell był przegrywem z marginesu społecznego, ale wolała nie dzielić się swoimi przemyśleniami. Zazwyczaj. Kiedy kilka razy wyraziła na głos swoje refleksje, Jade stawała się agresywna, więc lepiej było milczeć. Przynajmniej na razie.

Kiedy mama pochłonięta była rozmowami przez telefon i jakąś papierkową robotą w jadalni, a Jade siedziała w Internecie, Gracie wzięła klucze wiszące na haku w pobliżu tylnych drzwi, zabrała latarkę, przeszła pod schodami i otwo-

rzyła drzwi do piwnicy. Baterie w latarce były na wyczerpaniu, więc snop światła miał chorobliwie żółty kolor, ale nie miała zbyt wiele czasu, więc mimo to zbiegła po schodach.

Zakurzone stopnie głośno skrzypiały, pajęczyny przyklejały się do jej włosów, ale się nie zatrzymywała, ponieważ wiedziała, że musi się spieszyć. Za chwilę matka zacznie jej szukać. A ona nie chciała się tłumaczyć ze swoich poczynąń.

Bo co miałyby powiedzieć? Kto by uwierzył, że komunikowała się z duchem Angeliqne Le Duc? Z początku się bała i prawie zemdląła na schodach tamtej pierwszej nocy, kiedy poczuła lód w powietrzu i zobaczyła ducha, znikającego równie szybko jak się pojawił. Ale teraz już nie była taka przestraszona. Od tamtej pory zrozumiała, że zjawy nie chce jej straszyć, chce jedynie nawiązać kontakt.

Większość informacji nadeszła w formie snu, który Gracie śniła drugiej nocy spędzonej w tym domu. Była pewna, że to nie była jej podświadomość, że Angeliqne naprawdę do niej mówiła, błagała ją, żeby rozwiązała tajemnicę jej śmierci, aby mogła przejść na drugą stronę.

To było dziwne, nawet dla samej Gracie, ale przecież życie i śmierć były niepojęte. Zamierzała po prostu to zrobić i dzięki temu czuła się wyjątkowa i ważna.

Dotarła na sam dół schodów i słabą latarką oświetliła cementową podłogę. Wchodząc w ciemność, próbowała ignorować odgłosy malutkich pazurków drapiących o podłogę. Prawdopodobnie były to szczury zaniepokojone jej obecnością. Gdy wchodziła w głąb, wyobrażała sobie, że widzi ich paciorkowate, małe oczka. Piwnica składała się z kilku bardzo dużych pomieszczeń podzielonych regałami na książki i półkami, na których przechowywano zapomniane, leżące tu od stu lat śmieci. Po betonowych ścianach i suficie biegły rury. W jednym kącie rdzewiała stara pralka i suszarka i jeszcze starsza od nich wyżymaczka. A przynajmniej Gracie sądziła, że to wyżymaczka, bo czytała o nich w powieściach historycznych. Wokół drewnianych kolumn obwiązano sznury, a na jednym z nich wciąż jeszcze wisały klamerki do prania.

Miała wrażenie, że cofa się w czasie, gdy mijała stosy różnych rupieci. To, czego nie przechowywano na strychu, znalazło swoje miejsce tutaj na dole. Połamane lampy, stare książki, puste słoiki i porzucone ramy do obrazów. Było tu także sporo różnych narzędzi: piły ręczne, młotki, klucze do nakrętek i tym podobne, a także meble, które tu kiedyś zniesiono, by potem o nich zapomnieć. Oczywiście były tu krzesła ogrodowe, ale także meble z domu. Połamany fotel bujany i sofa, z której wychodziło wypełnienie, stały w kącie razem ze starymi biurkami i komódkami, które powoli zaczynały się rozsypywać.

Gdy podeszła w kąt piwnicy, odniosła wrażenie, że temperatura jest tam niższa. W jednej chwili czuła się komfortowo, w następnej poczuła, że na jej rękach pojawia się gęsia skórka. Po raz pierwszy, odkąd przeszła przez drzwi prowadzące do piwnicy, poczuła, że nie jest sama.

Głośno przełknęła ślinę i wymogła na sobie nieokazywanie strachu.

– Jesteś tutaj? – wyszeptała, jej oddech zmieniał się w parę. Czy ktoś jej odpowie? Przygryzła wargę i czekała, słuchała bicia własnego serca, mając nadzieję, że nie krzyknie, jeśli coś usłyszy. Tak mocno ścisnęła latarkę, że jej palce musiały zrobić się białe.

Nic.

W piwnicy było dziwnie cicho, nawet szczury przestały się przemieszczać.

– Ja... ja potrzebuję pomocy.

Powoli ponownie omiotła latarką tamten kąt.

– Angélique? – Jej głos lekko drżał. Czuła się nieco głupio, wołając ducha. Gdyby Jade się dowiedziała, nigdy nie przestałaby się z niej nabijać.

Wciąż żadnej odpowiedzi, a jej kończył się czas. Omiotła latarką meble i znalazła, w swoim mniemaniu, najstarszą komodę. Otworzyła jej szuflady, ale wszystkie były puste. Tuż obok stało rzeźbione drewniane biurko, które również mogło zostać zrobione w poprzednim wieku. W najwyższej szufladzie znajdowały się artefakty sprzed stu lat. Wypłowiłe czarno-białe pocztówki, wieczne pióro i temperówka leżały pomiędzy mysimi odchodami. Druga szuflada była zamknięta, jakby zablokowana, chociaż próbowała ją otworzyć, ta ani drgnęła. W trzeciej szufladzie od góry znalazła poźółkłą papeterię pokrytą martwymi insektami.

To na nic.

A mimo to miała wrażenie, że jest blisko. Bo skąd wzięłaby się ta zimna obecność?

– Coś tu musi być – wyszeptała i usłyszała nad sobą stłumione kroki. Omiotła sufit snopem światła i domyśliła się, że to matka przechodzi z kuchni do jadalni. Jeżeli jej szukała i nie znalazła, zacznie się zastanawiać, dokąd poszła. Gracie nie chciała się tłumaczyć.

Niechętnie ruszyła na górę.

Świst! Skrzyżyyyyp!

Niemal zatrzymało się jej serce, gdy poczuła podmuch wiatru. Był lodowaty, aż cała się zatrzęsła. Była pewna, że zaraz znajdzie się twarzą w twarz z filigranową kobietą w bieli, więc walcząc ze sobą, odwróciła się i poświeciła latarką trzymaną

w śmiertelnym uścisku. Jedną rzeczą było mówienie o tym, że skonfrontuje się z duchem i mu pomoże, inną rzeczywiste z nim spotkanie. Czy uda jej się wytrwać? Czy też ucieknie na górę po schodach?

– H-halo? – wyszeptała, widząc przed sobą jedynie ciemność. – Czy jest tam kto? – Omiotła latarką wewnątrz piwnicy.

Nic.

Zupełnie cicho.

Żadnej zwiewnej zjawy pod ogromnymi wywietrznikami starego pieca.

A mimo to... Coś wydało ten dźwięk i przeniknęło przez jej ciało.

Poczuła nagłą chęć powrotu na górę, ale ponownie zeszła do zaciemnionej piwnicy. Zauważyła, że światło latarki podskakuje, to drżała jej ręka. Nagle powietrze stało się rzadkie i pozbawione wszelkich zapachów.

Gracie przełknęła ślinę, mówiąc sobie, że zachowuje się jak mięczak.

Nie było się czego bać.

Ale jej wyczulone zmysły miały inne zdanie. Omiotła światłem stos gratów i regały. Spięła się, mając pewność, że za chwilę wyskoczy na nią jakaś przeraźliwa kreatura.

W piwnicy było jednak cicho.

Jakby przyciągana przez magnes, wróciła do starego biurka i zobaczyła, że druga szuflada, ta, którą tak usilnie próbowała otworzyć, jest teraz lekko wysunięta. Ciemne wnętrze widać było pod blatem biurka. Wzywało ją.

Gdy podeszła bliżej, uniosły się jej włoski na karku. Była gotowa na to, żeby ruszyć biegiem w przeciwnym kierunku, ale poświeciła na szufladę, wyciągnęła rękę i pociągnęła za uchwyt. Jednak szuflada, tak jak wcześniej, ani drgnęła. Mogła ją domknąć, ale nie mogła wysunąć jej do końca, jak gdyby...

I wtedy już wiedziała.

Padła na kolana, pociągnęła za trzecią szufladę i oświetliła latarką dno zaklinowanej drugiej. Coś tam było przylepione od spodu. Jakby jakaś koperta.

Ponownie na górze zaskrzypiała podłoga. Jej matka krzątała się po parterze.

Szybciej!

Wsadziła rękę pod spód i pociągnęła. Niewielka koperta się rozdarła i jej zawartość, cienka książeczka, wypadła na jej dłoń. Na skórzanej oprawie, prawie wypłowiałymi, złotymi literami napisane było słowo „Dziennik”. Otworzyła go i chociaż wiele stron zlepilo się ze sobą, dostrzegła płynne, staranne pismo. Wtedy uświadomiła sobie, że znalazła pamiętnik Angeliqne le Duc.

– Gracie? – Głos matki zdawał się odbijać rykoszetem od wywietrzników.

Gracie włożyła pamiętnik pod bluzę i najciszej, jak potrafiła, weszła po schodach. Nie wiedziała dlaczego, ale wiedziała, że musi zachować swoje znalezisko w tajemnicy – przynajmniej na razie. Mama nie pochwaliłaby tego, że zakradła się do piwnicy, ani by jej nie zrozumiała.

Cichutko weszła do ciemnego korytarza. Na paluszkach podeszła do wiatrołapu i pospiesznie wypadła na zewnątrz, gdzie znowu padał deszcz. Kiedy zmokły jej włosy, a na ramionach pojawiły się krople, wróciła do domu i znalazła matkę idącą korytarzem, zaledwie o krok od drzwi prowadzących do piwnicy.

– Gdzie byłaś? – zapytała Sarah, ściągając brwi w wyrazie niepokoju.

– Na dworze.

– No przecież widzę, ale po co?

Wzruszyła ramionami i poczuła, że dziennik przesuwają się pod jej bluzą.

– Po prostu musiałam na chwilę wyjść.

– Naprawdę? – Matka spojrzała na nią sceptycznie, a Gracie zauważyła, że nie domknęła drzwi do piwnicy. Były lekko uchylone i gdyby matka się odwróciła, zastanawiałaby się, dlaczego nie są zamknięte.

– Tak, po prostu, yy, zrobiło mi się niedobrze.

– Niedobrze?

– Tak, ale już w porządku. Chyba muszę się czegoś napić.

– Wody, seven-up? – zaproponowała Sarah, wracając do kuchni.

– Obojętnie.

Gracie delikatnie pociągnęła drzwi piwnicy, zamknęła je i pospieszyła za matką, czując ulgę, dopóki nie ujrzała Jade stojącej po drugiej stronie klatki schodowej i przyglądającej się każdemu jej ruchowi.

– Co robisz? – wyszeptała, a Gracie podniosła rękę i pokręciła głową.

Teraz mogła jedynie mieć nadzieję, że Jade nie zdradzi jej tajemnicy. Przynajmniej da jej czas, aby mogła zajrzeć do dziennika Angeliue.

– Wygląda na to, że Rosalie Jamison po prostu zniknęła z powierzchni ziemi – oświadczyła zastępczyni szeryfa Bellisario, próbując nadażyć za długimi krokami szeryfa Cooke'a, który żwawo maszerował przez biuro wydziału. Był wtorek, a Rosalie oficjalnie była zaginiona od północy w piątek.

– Nie zaprzeczę.

Nad sprawą zaginionej dziewczyny pracował sam szef, jako że w wydziale brakowało ludzi. Montcliff dochodził do siebie po wypadku, w którym pijany kierowca staranował jego służbowe auto, Zwolski był na wakacjach gdzieś w Meksyku, a Rutgers właśnie rozpoczęła urlop macierzyński. Dzisiaj odbyli rozmowę

z Rayem Price'em, któremu ukradziono wystawowego byka, potem zostali wezwani do Delanych, gdzie rozgorzała kolejna awantura domowa. Poprzedni wieczór przebiegł podobnie – musieli interweniować w bójce w tawernie Bend in the River z udziałem antyrządowców, którzy przenieśli się do Stewart's Crossing i zaraz skumali z lokalnymi chuliganami. W tej chwili Bellisario i szeryf zmierzali do laboratorium, żeby sprawdzić, co, jeśli w ogóle coś, udało się wyciągnąć z iPada należącego do Rosalie oraz jej komputera, który został im dostarczony dwadzieścia cztery godziny temu.

– Ktoś wie, gdzie ona jest. – Cooke otworzył przed nią drzwi wyjściowe.

Zimne październikowe powietrze uderzyło Bellisario prosto w twarz, więc zapięła kurtkę aż po samą szyję. Wyminęli maszt, na którym powiewała flaga Stanów Zjednoczonych, łańcuchy grzechotały na silnym wietrze, wyjąłym w wąwozie.

– Musimy tylko znaleźć tę osobę.

– To jak szukanie igły w stogu siana.

– Fakt.

Dotarli do jeepa, w chwili gdy z nieba spadły pierwsze krople deszczu. Za obojną zgodą Bellisario siadła za kierownicą, zapięła pas i zapuściła silnik, zanim szeryf zajął miejsce pasażera i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Przesłuchałam jej współpracowników – oznajmiła. – Gloria Netterling, druga kelnerka w restauracji, nie może sobie wybaczyć, że nie przekonała Rosalie, żeby na nią poczekała. Ona i kucharz, Barry Daughtry, byli ostatnimi ludźmi, którzy ją widzieli. Tylko oni pozostali w restauracji tamtego wieczoru.

– Nie było żadnych klientów?

– Ostatnia wyszła pewna para. Mężczyzna i kobieta po czterdziestce. Wyszli o dziesiątej, może piętnaście minut po. Sprawdzamy wyciągi z kart kredytowych i próbujemy namierzyć klientów, którzy mogli coś zobaczyć, ale zanim zapytasz, nie, Columbia Diner nie ma kamer ani w środku, ani skierowanych na parking.

– Fatalnie – skwitował po namyśle, sięgając do kieszeni po nieistniejącą paczkę papierosów. Kilka lat wcześniej rzucił palenie. – Rozmawiałaś z jej ojcem?

– Kilka razy. – Wycofała wóz z miejsca parkingowego, po czym wrzuciła bieg. – Wydaje mi się, że Mick Jamison i jego nowa żona są już w drodze z Denver. Nie miał pojęcia o żadnym nowym chłopaku, poznanym online czy też w realu.

– A co znalazłaś na chłopaka jej matki?

– Nie mógł tego zrobić. No chyba że matka kłamie, bo to ona daje mu alibi. Nie sądzę jednak, żeby to był on. – Pomajstrowała coś przy nawiewie. Przez kilka sekund wiało zimnym powietrzem, które po chwili zaczęło się nagrzewać.

– A chłopak Rosalie?

– Bobby Morris? – Pokręciła głową, po czym włączyła się do ruchu. – Matka Rosalie, Sharon, zarzeka się, że to się skończyło, podobnie jak sam Morris.

– Rozmawiałas z nim?

– Och tak. – Posłała szeryfowi znaczące spojrzenie i dodała: – Powiedzmy, że chłopak nie miał nic dobrego do powiedzenia na jej temat. – W zasadzie nazwał ją szmatą, dziwką i jeszcze gorzej.

Nie spodobał jej się już na pierwszy rzut oka. Bobby Morris był dwudziestokilkulatkiem z niechlujną brodą, który cały czas unikał patrzenia jej w oczy. Złapała go w skateparku. Przebywał tam w towarzystwie podobnych sobie typów i najwyraźniej nie ucieszyła go perspektywa pogawędki z gliną. Większość z jego przyjaciół na widok jej służbowego auta odsunęła się od Bobby'ego, założyła kaptury na głowy, niektórzy także okulary przeciwsłoneczne, chociaż dzień był ponury. Otaczał ich silny zapach marihuany, gdy oddalali się na deskach. Ich kółka głośno szurały po betonie.

– Nie mam nic wspólnego z tą piz... suką – stwierdził Bobby, kiedy zapytała go o Rosalie. Zapalając papierosa z filtrem, beczelnie patrzył przez dym na Bellisario, jakby wszelkie problemy spoczywające na jego wątych barkach były jej winą. – Zerwałem z nią.

– Zaginęła – powiedziała, a on wzruszył ramionami.

– To nie ma ze mną nic wspólnego. – Z papierosem między wargami uniósł obie ręce i cofnął się krok. – Pewnie poszła się jebać z jakimś nowym gościem.

– A kto to mógłby być?

– Nie mam pojęcia i mam to w dupie – rzucił, biorąc kolejnego sztacha. A potem, jakby coś przyszło mu do głowy, dodał: – To chyba jakiś facio z Kolorado albo gdzieś tam. Poznała go w sieci. Mam nadzieję, że wyssie mu mózg.

Musiała ugryźć się w język i przypomnieć sobie, że nie powinna wdawać się z nim w dyskusję. Rozejrzała się wokół po parku i zastanowiła się, gdzie podzieli się jego przyjaciele, którzy dziwnym trafem zniknęli podczas tej rozmowy.

Ten, który pozostał, dał mu słabe alibi. „Kona” potwierdził, że byli razem w lokalnym klubie o nazwie Trailhead.

– Jak chcesz, to możesz porozmawiać z bramkarzem – powiedział z kpiną. – Usłyszysz, że tam byłem przez większość cholernej nocy. Dopóki mnie stamtąd

nie wykopał. Powiniennem go pozwać.

– Tak zrobię – zapewniła go i spełniła swoją obietnicę. Od razu pojechała do Trailhead.

W drzwiach tkwił facet o posturze niedźwiedzia. Jego lśniąca, wytatuowana glaca stała w opozycji do brody pokrywającej dół jego twarzy. Skinął głową, kiedy Bellisario pokazała mu zdjęcie Bobby'ego Morrisa.

– Tak, był tutaj. Jak zawsze nawalony. Musiałem go wypieprzyć na ulicę.

– O której to było?

– Tuż przed zamknięciem. Był tutaj z takim chudym chłopakiem, który ma jakieś hawajskie imię.

– Kona.

– No właśnie.

– O której przyszli?

– Nie jestem pewien, ale sądzę, że byli tu przez większość nocy. Wydaje mi się, że pojawili się koło dziesiątej. Można to sprawdzić na kamerze.

I rzeczywiście tak było. Co prawda Rosalie mogła po pracy gdzieś zabawić, może się z kimś spotkała, a potem natknęła się na Bobby'ego. Ale według matki dziewczyna zawsze wracała do domu zaraz po pracy, żeby się umyć. Nawet jeśli po wieczornej zmianie jeszcze gdzieś wychodziła.

Bellisario z niechęcią musiała przyznać, że Bobby Morris mógł powiedzieć jej prawdę i nie miał nic na sumieniu.

Zwolniła przed czerwonym światłem i zwróciła się do Cooke'a.

– Bobby sądzi, że uciekła z jakimś facetem, którego poznała w sieci. Gościem z Kolorado, który jest jak duch. Jak dotąd, nawet z pomocą policji z Denver i patrolu z Kolorado nie udało nam się go namierzyć. Nie jestem pewna, czy on w ogóle istnieje.

Cooke się skrzywił.

– Sprawdź to jeszcze raz.

– Już nawet zaczęłam. – Niespokojnie stuknęła palcami w kierownicę, czekając, aż światło zmieni się z czerwonego na zielone. Spojrzała na wyświetlacz na desce rozdzielczej. – Po prostu jak na razie nie byłam w stanie go namierzyć – przyznała, włączając wycieraczkę, bo deszcz się wzmaczał. – Nie znamy jego imienia. Sharon przypomniała sobie tylko, że Rosalie mówiła coś o Leo lub Leonardo. Ale nie jest pewna, czy chodziło o tego chłopaka z Kolorado, czy o kogoś z okolicy. Żaden chłopak o takim imieniu nie chodzi z nią do szkoły.

– Mogła poznać go w restauracji.

– Albo, jak podejrzewa jej matka, gdzieś w sieci. Ostatnio Rosalie cały czas mówiła o przeprowadzce do Denver, żeby być bliżej ojca, a Sharon wydaje się, że ten Leo ma coś z tym wspólnego. – Światło się zmieniło, więc Bellisario dodała gazu.

– Nie za wiele daliśmy chłopakom z Kolorado – rzucił Cooke.

– Wiem, cały czas czekam na informacje z jej iPada i komórki.

– W jej telefonie nie ma GPS-u?

– Jest wyłączony. Wygląda na to, że Rosalie nie chciała, żeby matka mogła ją namierzyć.

– Doskonale – powiedział sarkastycznie.

– Niedługo powinnam dostać informację od jej operatora. Jeżeli facet istnieje, prawdopodobnie pisała do niego wiadomości lub dzwoniła.

– Miejmy taką nadzieję. Zróbmy sobie przerwę. – Oparł się o szybę od strony pasażera i wskazał na niedużą kawiarnię znajdującą się na skraju parkingu. – Zatrzymaj się tam. Napiłbym się dużej albo venti, czy jak, do cholery, ją tu nazywają. Póllitrowej. Kawy. Czarnej.

– Jasne. – Przednia szyba zaczęła pokrywać się parą, więc Bellisario włączyła na nią nawiew i uchyliła szybę po swojej stronie. Podjechała do okienka kawiarni, w chwili gdy odjechała stamtąd brudna, srebrna furgonetka. – Dwie kawy grande – powiedziała do baristy, który wyglądał na jakieś piętnaście lat. – Jedna czarna, a druga ze śmietanką i cukrem.

– Grande – powtórzył szeryf, gdy wycieraczki zapiszczały na przedniej szybie. – Dłaczego, do cholery, nie mogą być małe, średnie i duże? Czemu nie ułatwić ludziom życia?

– Ponieważ żyjemy w postępowych czasach.

– Jasny szlag.

Uśmiechnęła się, a on posłał jej niezadowolone spojrzenie i podał gotówkę.

– Ja stawiam, mądrało.

Kilka minut później, wymieniwszy dolary na kubki, odjechali, a wewnątrz samochodu wypełniło się aromatem gorącej kawy.

– Sprawdziłaś notowanych? – zapytał Cooke, upiwszy łyk.

– Czyli przestępców seksualnych?

– Tak na początek, ale możemy też przyjrzeć się byłym więźniom, którzy nie wyszli na ludzi. No wiesz, tym, na których musimy mieć oko.

– To spora lista, ale będziemy ją zawęźać. Przydzieliłam do tego Williams – przypomniała mu, mając na myśli Tallah Williams z biura.

– Dobrze. Sprawdzimy, co ma, kiedy wrócimy.

– Okej. – Była o krok przed nim i już poprosiła Williams, żeby przyniosła kartoteki kilku najgorszych przestępców mieszkających w okolicy. Jay Aberdeen, Calvin Remick i Lars Blonski przyszli jej do głowy w pierwszej kolejności, ale wszyscy mieli alibi. Trzeba będzie je jeszcze raz sprawdzić. Był też Roger Anderson, miejscowy, który wciąż pakował się w kłopoty. Nie zaliczał się do tej samej kategorii, co pierwsza trójka, która miała na koncie wyroki za poważne przestępstwa przeciwko kobietom, ale Anderson był niczym przysłowiowy zły szeląg. Zjawiał się, wpadał w tarapaty, twierdził, że jest niewinny, i albo odsiadywał wyrok, albo znikał ponownie na jakiś czas. Potem znowu się pojawiał i zaraz za nim zjawiały się kłopoty.

Na parkingu przed laboratorium Bellisario zatrzymała jeepa na pustym miejscu i wyłączyła silnik. Miała ogromną nadzieję, że technicy znaleźli coś, co pomoże im namierzyć Rosalie Jamison. Zabrała swój kubek i ruszyła za Cooke'em, który kierował się w stronę szerokich, szklanych drzwi. Miała przeczucie, że kończy im się czas.

ROZDZIAŁ 13

– Pomyślałam, że skoro bawisz się w pionierkę, możesz nie wiedzieć, co mówią o tej zaginionej dziewczynie – rzuciła Dee Linn, a Sarah, wyglądając przez okno, poczuła lodowaty dreszcz. Był wczesny wieczór, zapadał zmrok, który spowijał okolicę. Nieliczne lampy na parterze starego domu dawały dość światła, żeby odgonić cienie.

– Wciąż nie wiedzą, co się z nią stało? – zapytała siostrę.

– Nie mam pojęcia. Dzisiaj cały czas mówiono o tej sprawie w wiadomościach. Wydaje mi się, że zaginęła w piątek. Z początku sądzono, że uciekła z domu. Wczoraj widziałam bursztynowy alarm w telewizji, ale nie wpadłam na to, żeby do ciebie zadzwonić, dopóki nie uświadomiłam sobie, że nie masz telewizji i prawdopodobnie nie dostajesz gazet.

– Jeszcze nie. – Sarah poczuła niepokój i poszła do salonu, gdzie siedziała Grace z laptopem, a Jade właśnie wracała z łazienki. – Telewizję kablową mają nam założyć pojutrze.

– Nie wiem, czy jest to coś, czym powinnyśmy się martwić. Przynajmniej na razie. Tak, jak powiedziałam, wciąż nie wiadomo, czy dziewczyna nie wyjechała z własnej woli. Pomyślałam jednak, że powinnaś się o tym dowiedzieć.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia w sobotę – przypomniała jej Dee Linn. – Ciotka Marge twierdzi, że Caroline i Clark zjawią się na pewno.

– Dobrze wiedzieć – odparła Sarah, chociaż nigdy nie była blisko z kuzynami. Caroline, niesamowita flirciara, i Dee Linn chodziły razem do klasy, wobec czego znały się lepiej, podczas gdy Clark, prawie o dziesięć lat starszy od Sarah, był nieco bardziej powściągliwy od swojej młodszej siostry i był jedną z nielicznych osób w rodzinie, która trzymała się blisko z Rogerem.

Jakby czytając w jej myślach, Dee Linn dodała:

– Zapytałam Clarka, czy wie, jak skontaktować się z Rogerem. Nie żebym chciała, żeby przyjechał, ale w końcu należy do rodziny, ale Clark mówi, że nie miał od niego żadnych wiadomości. Co wydaje mi się trochę dziwne, jako że jest jedyną osobą w rodzinie, z którą Roger mógłby chcieć się skontaktować. Przysię-

gam, że Walter powiedział mi, że jeden z jego pacjentów widział Rogera w mieście.

– Hm, sądziłam, że Roger ponownie zniknął i że nawet jego kurator nie jest w stanie go namierzyć. – Zmartwiło ją to, że Roger znajduje się gdzieś w pobliżu. Nie tylko przez ten incydent na tarasie wiele lat temu. Nie, chodziło o wiele więcej, dużo więcej. Całe życie Rogera po zniknięciu Theresy stoczyło się po równi pochyłej do miejsca, w którym stał się przestępcą. Roger był ostatnią osobą, którą Sarah chciała widzieć koło Jade i Gracie. Jade miała już na swoim koncie kilka zartarów z prawem za wagarowanie i picie alkoholu, Gracie była zbyt młoda i zbyt łatwo ulegała wpływom, aby spotykać się z wujkiem kryminalistą.

W pewnym sensie Sarah oskarżała Rogera i Theresę o zepsucie jej relacji z matką. Było tak, jakby Arlene straciła dwoje swoich dzieci, które miała z Hugh Andersonem, kiedy zniknęła Theresa. Ucierpiała na tym również jej bliskość z pozostałą czwórką i ich ojcem, Franklinem Stewartem. Oczywiście tak naprawdę nie było w tym winy Rogera, ale Sarah zawsze odnosiła wrażenie, że gdyby wziął się w garść po zniknięciu Theresy, Arlene nie byłaby tak emocjonalnie niedostępna i być może zbudowałyby bliższą relację z dziećmi, które miała z Franklinem.

A może nie, kto wie?

– No cóż – ciągnęła Dee Linn. – Może ten pacjent się pomylił albo doktor Walter coś źle usłyszał. Wiesz, to się zdarza, coraz częściej. Częściej, niżby chciał. Trudno pacjentowi podtrzymać rozmowę, kiedy dentysta trzyma w jego ustach palce, lusterka i inny sprzęt. Walter nigdy tego nie zrozumiał.

A także wielu innych rzeczy, pomyślała Sarah, ale zatrzymała to dla siebie.

– No więc – powiedziała Dee Linn radośnie – mam nadzieję, że będzie fajnie na naszej imprezie.

– Jestem pewna, że tak – odparła Sarah, chociaż nie wierzyła w to ani przez chwilę. – A więc, czy mam coś przynieść?

– Tylko dziewczynki!

– Dobrze. Zaczyna się o siódmej, prawda? Do zobaczenia! – Rozłączyła się.

Jade, słysząc końcówkę rozmowy, oświadczyła:

– Nigdzie nie jadę.

– Masz na myśli przyjęcie u Dee Linn?

– Dokładnie tak. Nie ma mowy. – Jade brzmiała stanowczo. Stała pod łukiem prowadzącym do przedpokoju i założyła ręce na piersi, jakby rzucając matce wyzwanie.

– Oczywiście, że jedziesz – skwitowała Sarah tonem niedopuszczającym żadnego sprzeciwu. Starsza córka była równie uparta jak ona. – A czemu miałybyś nie jechać?

– Bo będzie nudno.

– Żadnych wymówek. To spotkanie rodzinne na cześć naszego przyjazdu do Stewart's Crossing. Jako że jesteśmy honorowymi gośćmi, musimy być obecne, poza tym twoja ciotka poświęciła wiele tygodni na przygotowanie tej imprezy.

– Ledwie ich wszystkich znam, oprócz Becky, a i tak jej nie lubię.

– A więc pora, żeby to zmienić. Przykro mi, że nie utrzymywaliśmy lepszego kontaktu z tą częścią rodziny. Ale było, minęło. Możemy nadrobić stracony czas.

– Litości – jęknęła Jade, opierając się o kolumnę.

– Choć raz miej pozytywne nastawienie. I spójrz na to jak na okazję, żeby poznać swoich krewnych.

– Nawet ty ich nie lubisz.

– Oczywiście, że lubię.

– Według ciebie mąż Dee Linn jest jakimś potworem, zbokiem czy czymś w tym stylu.

– Powiedziałaś, że jest męskim szowinistą – zgodziła się Sarah.

– A ciotka Danica? Nie jesteście najlepszymi przyjaciółkami.

Ocena relacji Sarah ze szwagierką nie była aż tak daleka od prawdy. Żona Jacoba była snobką, a także histeryczką. Danica uważała się za kogoś lepszego i zachowywała się jak zmanierowana gwiazda filmowa.

– To dlatego, że w ich małżeństwie nie zawsze dobrze się układało – oburzyła się Sarah. Jake i Danica właśnie wrócili do siebie, chociaż niedawno znowu byli w separacji. Podobno jej powodem było to, że Jake nie dochowywał żonie wierności, a Danica szastała pieniędzmi. Ale kto wiedział, jak było naprawdę? Sarah starała się zachowywać dystans i już dawno nauczyła się powstrzymać od komentarza za każdym razem, kiedy Jake przysięgał, że weźmie rozwód, ponieważ zawsze w końcu wracali do siebie, na nowo podsycali swoją namiętność i zachowywali się, jakby byli wzorem zakochanych.

– Wiem, że nie przepadasz za wujkiem Rogerem. Sama powiedziałaś, że nie potrafi trzymać się z dala od więzienia, ale rozmawiałeś o nim z ciocią Dee.

– Tak rozmawialiśmy – przyznała Sarah. Jej prawdziwe uczucia dla starszego brata były niejasne. Od dłuższego czasu nie widziała Rogera i wcale jej to nie martwiło. – Nie sądzę, aby Roger zjawił się na imprezie.

Jej brat wyszedł z więzienia jakieś sześć czy siedem miesięcy temu. Ostatnim razem siedział za przemoc domową, chociaż kobieta, która zadzwoniła na numer alarmowy, odniosła mniej obrażeń niż Roger, który miał rozciętą wargę na skutek ciosu pięścią i zderzenia z jej pierścionkiem. Nie próbował oddalić od siebie zarzutów, co według Jacoba było idiotycznym posunięciem. Zamiast tego poszedł na ugodę. Tamta kobieta trafiła do więzienia sześć miesięcy później za przestępstwa narkotykowe, a Roger już wyszedł i prawdopodobnie dobrze się prowadził. Oprócz tego, że nie utrzymywał kontaktów ze swoim kuratorem.

Z całą pewnością zniknął z radaru, więc kto tam wiedział, jak było naprawdę.

Jade wciąż nie dotarła do końca swojej listy zażaleń pod adresem rodziny.

– No i jeszcze babcia. Wow. Tu dopiero jest wesoło.

Po ostatniej wizycie w Sosnowym Zakątku Sarah trudno było bronić matki.

– Punkt dla ciebie. Ale daj już jej spokój, dobrze? Babcia jest chora. I miała trudne życie.

– Wszyscy takie mamy, prawda?

To nie to samo, pomyślała Sarah, wiedząc, że jej matka była sierotą, która dwa razy wychodziła za mąż, nigdy szczęśliwie, pochowała obu mężów i straciła dziecko.

– Super – rzuciła Jade, unosząc brew, jakby chciała zasugerować matce, że jest hipokrytką. – Po prostu twierdzą, że to wszystko jest dziwne. Cała ta rodzina jest dziwna.

Sarah aż się roześmiała.

– Myślisz, że bardziej od nas?

– Och, mamo. – Jade nie było do śmiechu. – Naprawdę chcesz, żebym poszła na ten bal przebierańców?

– Niedługo będzie Halloween.

– Zajefajna atrakcja. – Jade zrobiła poważną minę i wyglądała na zdruzgotaną. Sarah jednak była niewzruszona.

– Słuchaj, ja też nie lubię się przebierać. Wiesz o tym. To pomysł ciotki Dee.

– Przerąbane.

– Może nie będzie tak źle. Poza tym przecież lubisz kulturę gotów.

– To coś innego, to mój styl – odpowiedziała Jade.

– Okej. – Sarah miała już dość tej sprzeczki, więc zostawiła Jade, gdy ta wyciągała telefon z kieszeni dzinsów, i ruszyła do kuchni.

Rozumiała swoją córkę. Ona także wolałaby nie iść na tę imprezę, która z całą pewnością będzie ekstrawagancka. Siostra Sarah nie wiedziała, co to małe, spokojne spotkanie rodzinne. Według Dee Linn przyjęcie to było P-R-Z-Y-J-Ę-C-I-E. Z kilkoma wykrzyknikami na końcu.

Chociaż Sarah nigdy by tego nie powiedziała na głos, nie winiła Jade o to, że nie chce tam iść. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała, to szykowanie się do wyjścia, skoro ledwie zdołały znaleźć swoje piżamy, naczynia i pościel. Żadna z nich nie była w nastroju na halloweenową galę w wykonaniu Dee Linn.

Dzieci chodziły do szkoły, Gracie przejawiając odrobinę entuzjazmu, Jade z zerowym entuzjazmem. Starsza córka narzekała też na to, że jej auto wciąż stoi w warsztacie. Nic nie dało się z tym zrobić, dopóki honda nie zostanie zreperowana. Hal nie był zbyt szybki, ale dokładny.

Wreszcie przyjechały należące do rodziny rzeczy. Kontener został wyładowany koło domu gościnnego, więc w końcu oficjalnie wyprowadziły się z Vancouver. Teraz trzeba się było jeszcze wprowadzić do domu gościnnego.

– Niedługo – powiedziała sobie, trzymając kciuki za spotkanie z majstrem budowlanym, podczas którego spodziewała się usłyszeć potwierdzenie tego, co obiecał, zanim się tutaj przeprowadziły.

Pochylając się nad zlewem w kuchni, wyjrzała przez okno na rozciągającą się za nim ciemność. Mniejszy dom, podobnie jak ten większy, w którym teraz przebywały, wydawał się ciemny i opuszczony. Zapomniany. Już go obeszła, nie czekając na budowlanca. Porządna inspekcja głównego budynku została zaplanowana na koniec tego tygodnia, ale przynajmniej Sarah wiedziała teraz, że dom gościnny niedługo będzie gotowy do zamieszkania. Ukończono już prace hydrauliczne i elektrykę. Czekali jeszcze, zdaje się, na inspekcję ogrzewania.

Prawdopodobnie dokona jej Clint, przypomniała sobie.

No i co z tego?

Więc dlaczego na samą myśl o tym, że go zobaczy, robiła się nerwowa? Oczywiście znała odpowiedź na to pytanie. Po prostu bała się tego spotkania.

Ruszyła z powrotem do salonu i po drodze ominęła stos kartonów napisem KUCHNIA. Zadzwoiła jej komórka, więc zabrała ją z blatu i spojrzała na ekran, na którym pojawił się numer Evana.

Stanęło jej serce.

Nie chciała z nim rozmawiać. Nie teraz. Ani nigdy.

Ale Gracie miała rację. Nadeszła pora, by zebrać się na odwagę i przestać unikać jego telefonów. Odebrała po trzecim sygnale.

– Cześć, Evan – przywitała się.

– Wow. Prawdziwy głos – odparł, a ona po cichu westchnęła, słysząc jego sarkazm. – Już myślałem, że nie żyjesz.

– Jeszcze dycham – odpowiedziała, siadając na drugim stopniu schodów. Wyjrzała przez długie okna we frontowych drzwiach. Na zewnątrz zrobiło się już zupełnie ciemno. Przed nią rozciągała się ciemna pustka. Poczowała, bardziej niż zobaczyła, że ktoś się jej przygląda, co oczywiście było czystym szaleństwem. – Po prostu jestem zajęta.

– Skoro tak mówisz.

– Co u ciebie? – Przypomniała sobie jego wygląd. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ciało sportowca. Evan był przystojny i w dobrej formie, ale miał lodowato niebieskie oczy. Przenikliwe, bezlitosne spojrzenie. Kiedy chciał, potrafił być czarujący, ale czasami jego urok zniknął w jednej sekundzie. Był humorzysty, zapalczywy i mściwy. Dorastał w bogatej i uprzywilejowanej rodzinie, więc lubił dostawać to, co chciał.

Teraz posługiwał się swoim urokiem.

– Pomyślałem, że zaproszę cię na kolację.

– Jestem w Stewart's Crossing.

– Rozumiem, ale i tak miałem jechać do Sun River. Chciałbym tam spędzić weekend, więc mógłbym przedłużyć wypad i zrobić sobie krótkie wakacje.

– Musiałbyś nadłożyć sporo drogi. – Sun River było miejscowością wypoczynkową na południe od Bend na wschodnich stokach Gór Kaskadowych.

– W The Dalles mam kilku dostawców, więc już wiele razy jeździłem osiemdziesiątkączwórką do samego The Dalles, a stamtąd odbijałem na południe. Mógłbym załatwić tam swoje sprawy, a przy okazji uniknąć narciarzy zmierzających do Mount Hood Meadows.

– Nie ma jeszcze zimy – zauważyła Sarah.

– Tak tylko mówię. Chciałbym się znowu z tobą zobaczyć.

Zaczyna się, pomyślała Sarah. Obwinianie. Przygotowała się na najgorsze i poczuła, że napinają się jej mięśnie na karku.

Evan jej nie zawiódł.

– Posłuchaj, kochanie, wiem, że nie rozstaliśmy się w najlepszych stosunkach, ale chcę to zmienić. – W jego głosie usłyszała przymilność, ale ją zignorowała.

– To nie jest dobry pomysł, Evan i nie jestem twoim „kochaniem”.

– Dla mnie jesteś.

Aż ją ścisnęło w środku. Czemu w ogóle poddała się jego presji i się z nim umówiła?

– Sądziłam, że wyraziłam się jasno. Według mnie już pora się rozstać. To koniec. Chociaż tak naprawdę niczego między nami nie było.

Cisza.

Czy był zły? Kipiał gniewem? Poczul się zraniony?

– Kocham cię – powiedział. A ona w jego głosie usłyszała gniewną nutę. – Wiesz o tym. Chciałem... Cóż, nadal chcę spędzić z tobą resztę mojego życia.

– Evan, mówię poważnie. Umówiliśmy się ze sobą trzy, może cztery razy. To nie był żaden związek.

– A więc miałem rację – stwierdził, nie hamując się już tak bardzo. Do głosu zaczynał dochodzić jego temperament. – Jest ktoś inny.

– Ktoś inny? – powtórzyła. – Skąd ci się to wzięło? Nikogo nie ma.

– Dlaczego ci nie wierzę? – rzucił chłodno.

Poczwała, że ogarnia ją gniew.

– Nawet jeśli kogoś bym miała, to jest moja sprawa. I uważam, że najlepiej będzie, jak przestaniesz do mnie dzwonić – odpowiedziała stanowczo. – I nie zatrzymuj się po drodze. Skończyliśmy ze sobą, Evan. – Rozłączyła się, w chwili gdy na korytarzu pojawiła się Gracie idąca do kuchni.

Jej telefon od razu zaczął znowu dzwonić. Na ekranie wyświetliły się imię Evana i jego numer. Wyłączyła komórkę, bo wiedziała, że nie odpuści, że będzie dzwonił raz za razem i zostawiał wiadomości. Każda z nich będzie coraz bardziej natarczywa, a na koniec zacznie jej przypominać o wszystkim, co dla niej zrobił, kiedy była jego pracownicą w Tolliver Construction. Już ułożył sobie tę historię w taki sposób, że był przekonany, że to dzięki niemu, a nie swoim umiejętnościom, dostała awans z rąk jego ojca, zanim Bill przeszedł na emeryturę i uczynił swojego syna prezesem.

– Evan? – zapytała Gracie.

– Evan – potwierdziła.

– Co za palant.

Sarah się z nią zgadzała, ale ugryzła się w język.

– Nie myślmy teraz o nim.

– Ale jest tutaj, prawda?

Sarah posłała córce długie spojrzenie.

– Tutaj? – powtórzyła. Poczula, że włoski na jej karku uniosły się ostrzegawczo. – O czym ty mówisz?

– Evan był w pizzerii, kiedy tam poszliśmy.

Sarah powoli pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie.

– Nie w środku – wyjaśniła córka, a Sarah nie mogła przestać myśleć, że to wszystko było ogromnym błędem. – Parkował na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy.

– Jesteś pewna?

– Mhm.

Gracie nie myliła się w takich sprawach.

– Miałam ci powiedzieć, ale wpadliśmy wtedy na tego sąsiada i zapomniałam.

Trybiki w głowie Sarah zaczęły się obracać. Jeśli Evan naprawdę był w Stewart's Crossing, to dlaczego o tym nie wspomniał, kiedy zadzwonił?

– Czy Evan nas widział?

– Cóż, siedział tam. Popatrzyłam na niego, a on spuścił wzrok, jakby pisał esemesa albo coś w tym stylu. Miał na sobie czapkę Marinersów i okulary przeciwsłoneczne.

– A więc widział, jak rozmawialiśmy z Clintem, tym sąsiadem? – Pomyślała o tym, jak Clint dotknął jej ręki. Z zażyłością. Jakby coś było między nimi. Bo przecież było. Przeszłość, o której nigdy nikomu nie powiedziała poza Stewart's Crossing.

– Nie wiem, jak mógłby tego nie zobaczyć. – Gracie wzruszyła ramionami, a serce Sarah zamarło. To by wyjaśniało ten komentarz o tym, że z kimś się spotyka. – Evan jest dziwny, mamo. Cieszę się, że kazałaś mu zostawić nas w spokoju.

– Ja też – odparła Sarah z nowo nabytym przekonaniem. Nie po raz pierwszy żałowała, że kiedykolwiek zgodziła się z nim umówić. Powinna być ostrożniejsza. Teraz jednak było za późno na robienie sobie wyrzutów. Co się stało, to się nie odstanie. Miała tylko nadzieję, że tym razem przekaz do niego dotrze.

A jeśli nie? Co, jeśli on naprawdę przyjechał do Stewart's Crossing i widział wtedy, jak Clint dotyka mojego ramienia? Kątem oka zerknęła przez okno, gdzie ciemność wydawała się niemal namacalna. Nawet jeśli był w mieście, co nie było aż takie nieprawdopodobne, to przecież nie utknął tutaj na zawsze.

Nie martw się na zapas. Przecież nie czai się na zewnątrz, nie patrzy przez lornetkę w okna, próbując cię namierzyć, nie knuje jakiejs nieprawdopodobnej zemsty. Nie ma psy-

chozy ani nie jest socjopatą. To po prostu narcyz.

– I to wystarczy – mruknęła pod nosem, wchodząc do jadalni i gasząc światło. Nie miała rolet, żeby zasłonić okna. Nie było tu zasłon ani żadnych draperii. Jak na razie okna były gołe. I tak zostanie, dopóki dom nie zostanie wyremontowany. Co do domu gościnnego, to postanowiła w tej chwili, że wyda pieniądze i kupi rolety, żeby zapewnić prywatność swojej rodzinie.

Przestań siać ziarna paranoi. Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Nie mając za sobą światła, podeszła bliżej okien i wyjrzała ponownie. Na niebie wisiał błądy księżyc, pojedyncze chmurki nie były w stanie zasłonić jego blasku, bo zbliżała się pełnia.

Na dworze nikogo nie było.

Nic złego nie czaiło się w cieniu.

A mimo to poczuła gęsią skórkę na przedramionach.

Stanęła jeszcze bliżej okna i dotknęła palcami zimnej, wilgotnej szyby. Wyjrzała w ciemność. Na pewno były same, na pewno były bezpieczne. Na pewno...

Łup!

Sarah o mało nie wyskoczyła ze skóry.

Co do diabła? Instynktownie zerknęła na sufit. *Któraś z dziewczynek musiała pójść na górę*, pomyślała. Zajrzała do salonu i zobaczyła, że Jade i Gracie siedzą pod kocami i gapią się na iPada.

– Czy w końcu podłączą nam Internet? – zapytała Jade, zerkając na matkę spod długiej grzywki. – Mam na myśli prawdziwy kabel, abyśmy mogły oglądać telewizję.

– Za kilka dni, w domu gościnnym.

– Boże, to cała wieczność!

– Słyszałyście coś? – zapytała Sarah.

– Co? – Gracie oderwała wzrok od ekranu. Jade ją zignorowała.

– Nic. – Nie było powodu, żeby straszyć dziewczynki, skoro i tak miała nadmiernie reaktywną wyobraźnię. Z równowagi musiał wytrącić ją telefon Evana oraz odosobnienie, co doprawdy było idiotyzmem.

Niemniej jednak wzięła latarkę z kuchni i weszła na górę, żeby to sprawdzić na pierwszym piętrze. Uchyliła drzwi do pierwszego pokoju. Tego, który kiedyś należał do jej braci bliźniaków, i oświetliła latarką puste wnętrze. Pokój wyglądał tak samo jak wcześniej: przykryte meble i pajęczyny. Kilka starych plakatów z koszykarzami zwisających ze ścian. Ramy łóżek dopchnięte do szafy. Nie było tu nic, co przykułoby jej uwagę.

To samo mogła powiedzieć o pozostałych pokojach ciągnących się wzdłuż korytarza. W tym, który należał do niej, stało jej stare łóżko, na którym leżała w gorącej, letniej nocy, wbijając wzrok w sufit i marząc o Clincie Walshu. Było w idealnym stanie, a materac zabezpieczono folią. Jej biurko zostało przesunięte do kąta. A wypłowiałe medale za osiągnięcia jeździeckie zbierały kurz na starej tablicy korkowej. Wszędzie spokój. Brak ruchu.

Pokój Dee Linn, wciąż w kolorze spłowiałego różu, był prawie pusty i pozbawiony mebli. Duża łazienka i garderoba wydawały się zimne i zakurzone.

Na pierwszym piętrze wszystko wyglądało na nienaruszone, tak samo jak poprzednim razem, gdy tutaj była. Ale przecież w głębi serca wiedziała, że tak będzie.

Tłumiąc strach, weszła po schodach na drugie piętro. Sunęła palcami po starej poręczy i zmuszała nogi do pokonania ostatnich stopni. Na półpiętrze chciała włączyć światło na korytarzu, ale żarówka w starej obudowie tylko silnie rozbłysła, po czym zgasła na dobre.

– Świetnie. – Włączyła latarkę i minęła zamknięte drzwi głównej sypialni, na którą składał się pokój do spania, garderoba, prywatna łazienka i gabinet. Ta część domu także znajdowała się poza jej zasięgiem, gdy była mała. Drzwi zawsze były zamknięte, ale ona słyszała dochodzące stamtąd odgłosy kłótni. Pomimo solidnych, drewnianych drzwi dobiegły do niej oskarżenia rzucane przez matkę, krzyki i odgłosy zderzających się ciał. Podejrzewała, że jej rodzice kłócili się równie ostro, jak uprawiali seks: z osłepiającą, wrogą namiętnością, której Sarah jeszcze wtedy nie rozumiała. Przez większość swojego życia Arlene wydawała się rozszoszona, podczas gdy Franklin, o wiele od niej łagodniejszy, często był oschły dla dzieci.

Na razie zignorowała zamknięte drzwi do forticy rodziców i wycelowała snop światła w korytarz i drzwi znajdujące się w pobliżu schodów na strych. Pokój Theresy. Kolejne zakazane miejsce.

Oświetlając sobie podłogę, Sarah poczuła, że jej serce bije coraz szybciej. Ogarzył ją zimny strach.

Zgrzytając zębami, podeszła do pokoju. Przy drzwiach wydawało jej się, że słyszy szlochanie dochodzące ze środka, ale oczywiście to było niemożliwe. Z głóśno i szybko bijącym sercem przekręciła klamkę i pchnęła drzwi. Otworzyły się z łatwością i przed jej oczami stanął zimny pokój.

Ze ściśniętym żołądkiem ostrożnie weszła do środka i złażała się za to, że pozwoliła przejąć nad sobą władanie myśli, że ktoś albo coś znajduje się w środku i zaraz wyskoczy na nią z ciemności.

W pokoju było spokojnie.

Jęczenie, które sobie wymyśliła, było tylko szeptem wiatru w szparze w oknie.

Nie było tu niczego straszego.

Żadnych zjaw.

Tylko powiew wiatru.

Nikogo nie było w środku.

Nic złego się tu nie działo.

Wszystko, od pękniętego lustra aż po przykrytą do połowy toaletkę, było takie jak wcześniej.

Wypuściła powietrze z płuc i oświetliła latarką podłogę.

Przed kominkiem stał posążek Madonny.

Serce Sarah zastygło na chwilę.

Niemożliwe!

Gdyby posążek spadł, nie wylądowałby w ten sposób. Na pewno by się potłukł na tysiąc części.

Lodowate szpony strachu wpiły się w jej kark, aż się cofnęła.

Nagle do pokoju wpadł powiew wiatru niosący silny zapach Kolumbii. Zasłony dziko załopotały, wykonując makabryczny taniec.

Sarah stłumiła krzyk, gdy drzwi prowadzące na korytarz zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Odwróciła się i poświeciła na nie, po czym cofnęła się, przewróciła Madonnę i prawie się wyróciła.

– Daj nam spokój! – wyszczała przez zaciśnięte zęby, zwracając się do duszy Angelique le Duc, chociaż twierdziła, że w nią nie wierzy. – Słyszysz mnie? – zapytała z desperacją. – Zostaw mnie i moją rodzinę. Idź do diabła!

Spodziewała się, że ujrzy jakąś zjawę, że rozlegnie się jakiś pusty, odstręczający śmiech, jakby żywcem wyjęty z hollywoodzkich horrorów.

Niczego nie zobaczyła ani nie usłyszała. Ucichł nawet wiatr. W pokoju była tylko makabryczna, niemal namacalna cisza.

ROZDZIAŁ 14

– Mamo? – głosowi Gracie towarzyszyło skrzywienie otwieranych drzwi do pokoju na drugim piętrze. – Wszystko w porządku? – Jej córka stała w ciemnym holu. – Słyszałam, że z kimś rozmawiasz.

– Mówiłam do siebie – odpowiedziała szybko, łajając się w myślach za to, że pozwoliła zdenerwowaniu wziąć nad sobą górę. Zapewne brzmiała jak jakaś wariatka, gdy zwracała się do wymaganych duchów. Szybko podniosła posążek i odstawiła go z powrotem na półkę nad kominkiem, gdzie stał od lat. Na szczęście wciąż był nienaruszony. – Zostań tu – rozkazała mu bezgłośnie, patrząc na natchnioną twarz Madonny.

– Co tutaj robisz?

– Wydawało mi się, że coś słyszę. Okazało się, że spadła ta Madonna. Prawdopodobnie strącił ją wiatr wpadający przez to felerne okno. – Podeszła do zepsutej ościeżnicy i spróbowała siłą opuścić szybę, ale ta była zablokowana i ani drgnęła. – Chyba będziemy musiały się z tym pogodzić, dopóki nie wymienimy okien – powiedziała. – Chodź, zejdziemy na dół. Napiłabym się gorącego kakao.

Ze sporym dodatkiem alkoholu.

– Wiedziałaś, że na terenie posiadłości znajduje się cmentarz? – zapytała Gracie, gdy znalazły się znowu w kuchni, a duchy przeszłości pozostały na gorze.

– Oczywiście. – Ile razy jeździła konno z Clintem po pastwiskach graniczących z małym, ogrodzonym cmentarzem! Jako dziecko również była zafascynowana rodzinnymi grobami i przechadzała się pomiędzy poszarzałymi kamiennymi nagrobkami, zachwycała się imionami i datami wyrytymi na każdym z nich. Pochowano tam dzieci młodsze od niej oraz jej przodków. Niektórzy z nich przeżyli ponad sto lat.

– Dużo ludzi tu umarło?

– Pogrzebano tu wielu ludzi, którzy kiedyś tu mieszkali.

– Nie, mam na myśli, że umarli tutaj. – Gracie wskazała podłogę. – Nie chodzi mi o kuchnię, ale i dom, i całą tę posiadłość. Sprawdziłam, że nie tylko Angelique i jej mąż.

– Maxim.

– Także jeden z pomocników pracujących na ranczo. Powiesił się w domu dla służby – wyjaśniła.

– To była tylko plotka.

– A dziadek?

– Mój tata długo chorował i nie był już młody. Tak się dzieje, kochanie, ludzie umierają. – Dokąd zmierzała ta rozmowa?

– Mam wrażenie, że było ich bardzo dużo. – Gracie podniosła głowę i spojrzała na matkę. – Pewnie wiesz, że Angeliqne le Duc ma tu swój grobowiec?

Sarah potaknęła. Odszukała pudełko z porcjowanym kakao. Nasypała proszku do kubka przywiezionego z Vancouver i podgrzała mieszankę w starej mikrofal. Jedynym urządzeniu kuchennym, które wciąż działało.

– Nigdy nie powiedziałś mi o cmentarzu i grobowcu – zarzuciła jej Gracie.

– Bo nigdy o tym nie myślałam.

– A więc byłeś w środku? – naciskała córka. – Zastanawiam się, czy jest otwarty czy zamknięty. Nic tam nie ma, prawda? Przecież Angeliqne nigdy nie została znaleziona. A może są tam inne ciała?

– Nic nie wiem na ten temat.

– Czy ktoś kiedyś to sprawdził?

Gdy mikrofalówka zasygnalizowała koniec podgrzewania, Sarah pokręciła głową.

– Może. – Otworzyła urządzenie i dotknąwszy kubka, uświadomiła sobie, że jest zbyt gorący. – Wydaje mi się, że moi bracia kiedyś o tym mówili. Ale chyba tak tylko sobie rozmawiali. Wiesz, jacy są chłopcy – powiedziała, chociaż sama, będąc dzieckiem, zastanawiała się, czy w grobowcu coś się znajduje. Jeśli nie kości Angeliqne le Duc, to może szkielety innych, którzy zniknęli. Myślała nawet o swojej starszej siostrze Theresie. Ale nigdy nie pisnęła ani słówka, ponieważ temat Theresy i jej prawdopodobna śmierć były tabu.

Nikt nigdy o tym nie mówił.

Posłużyła się ściereczką kuchenną i przyniosła kubek na stół, gdzie w kłębach pary oddawał ciepło i czekoladowy zapach.

– Gorące, poczekaj, aż wystygnie.

Grace zignorowała kakao i usiadła na starym stołku stojącym koło kredensu.

– Czy jest zamknięty?

– Nie wiem. – Sarah wzruszyła ramionami, udając brak zainteresowania, kiedy tak naprawdę krypta z jej misternymi rzeźbieniami o tematyce biblijnej zawsze ją fascynowała i przerażała. Zdobiły ją anioły i różne napisy – skrzydlate po-

staci ze zwojami, na których były krótkie ustępy z Nowego Testamentu, wyrzeźbiono w marmurze, popękany i pociemniały przez lata. Dotykała tych zimnych ścian, muskała wyryte słowa i często zastanawiała się, kto, jeśli w ogóle ktokolwiek, tam leży.

– Czy możemy wejść do środka? – zapytała Gracie.

Sarah zamarła na samą myśl, choć pomysł wydawał się kuszący. Tak, była ciekawa, ale jeśli w środku znajdował się trup, to chyba najlepiej dać mu spoczywać w spokoju. *Nie, jeśli to pomogłoby rozwiązać rodzinną tajemnicę.*

– Po co miałybyś tam wchodzić?

– Może jest tam coś, dzięki czemu dowiemy się, co stało się z Angeliqne.

– W krypcie? – zapytała Jade, zjawiając się w środku rozmowy. – Co za makabra. – Ona także przyciągnęła stół do szafki i odepchnęła na bok karton ze starymi garnkami, których Sarah jeszcze nie zdążyła posortować. – Masz obsesję.

Gracie spojrzała na nią, jakby chciała rzucić: „A kto cię o to pyta”?

– Moja obsesja jest przynajmniej lepsza niż twoja.

Jade spojrzała na siostrę, jakby przypuszczała, że upadła na głowę.

– Nie mam żadnej obsesji...

– A na punkcie Cody’ego Russella?

– To nie jest obsesja. To...

– Co? – przerwała jej Gracie. – Miłość?

– Wypchaj się. Co ty o tym możesz wiedzieć? – odgryzła się Jade.

– Dość! – powstrzymała je Sarah. Miała po dziurki w nosie ich ciągłych kłótni. Poza tym jeszcze nie doszła do siebie po tym, co wydarzyło się na górze. – Jade, chcesz kakao?

Jade zerknęła na kubek Gracie.

– Pewnie, czemu nie? Masz pianki?

– Wątpię. – Sarah zaczęła przygotowywać kolejny kubek kakao, wykorzystując do tego ostatnią torebkę. – O, czekaj. – Znalazła nieotwartą torebkę miniaturowych pianek, którą spakowała do jednego z niewielu kartonów z jedzeniem przywiezionych z Vancouver. – Masz dzisiaj szczęście – oznajmiła starszej córce i w nagrodę zobaczyła, jak Jade przewraca oczami.

– Ja poproszę – zadeklarowała Gracie, a Sarah wrzuciła garść niezbyt miękkich, białych kawałków do kubka młodszej córki.

Podgrzewając kakao dla Jade, Sarah uspokoiła się nieco i wytłumaczyła sobie, że wcześniej przesadziła. To co, że posążek spadł z półki i wylądował pionowo?

Mogło się to wydarzyć. A jeśli Evan naprawdę był w Stewart's Crossing, to dziwne, że nic nie powiedział na ten temat. Ale to przecież nic nadzwyczajnego, prawda?

Ale co z tą zaginioną nastolatką? To jest dopiero powód do zmartwienia.

– Wiecie co – rzuciła. Jej słowom towarzyszył cichy szum mikrofalówki. – Wydaje mi się, że Gracie ma rację.

– W jakiej kwestii? – zapytała zszokowana Jade.

– W sprawie psa. Może rzeczywiście by nam się przydał. – *Najlepiej jakiś duży pies pilnujący*, dodała w duchu.

– Mamo, mówisz poważnie? – Gracie była tak podekscytowana, że aż zeskokczyła ze stołka.

– Aha. Im prędzej, tym lepiej. Jutro po szkole pojedziemy do schroniska i jakiegogoś wybierzemy.

Na twarzy Gracie pojawił się szeroki uśmiech.

– Szczeniaczka?

– Zaczniemy od dużego psa – zasugerowała Sarah. – Takiego, który jest już nauczony czystości.

– Okej. – Gracie promieniała radością. Sarah znalazła dzbanek z zaparzoną rano kawą i naląła jej sobie do kubka. Wyjęła kakao dla Jade, po czym wstawiła do mikrofalówki kubek z kawą. Przycisnęła guzik i ponownie ją uruchomiła.

– Czyli się poddajesz? – zapytała Jade, unosząc brwi.

– Aha. – Sarah wsypała garść pianek i postawiła ciepły kubek na blacie przed swoją starszą córką. – Gracie ma rację, obietnica to obietnica.

Jade zastanowiła się nad tym.

– Czy mogę się wcześniej zwolnić ze szkoły, żebyśmy mogły pojechać do psa?

– Powiedziałam, że po szkole. – Sarah spojrzała na nią z wyrzutem, ale zobaczyła, że Jade tylko się droczy, co było miłe. Dotarło do niej, że starsza córka rzadko miewa przebłycki humoru. Wciąż ukrywała się za makijażem oraz swoją pozą, ale Sarah miała nadzieję, że po tych trudnych nastoletnich latach Jade znowu zrobi się bardziej przystępna, okaże zainteresowanie szkołą i zrozumie, że jest mądra, ładna i może dokonać wszystkiego, na co ma ochotę.

Jade dmuchała na kakao.

– Mówię serio, mamo, według mnie szkoła państwowa byłaby dla mnie lepsza – rzuciła.

– Chodzisz do Our Lady dopiero od kilku dni.

– I już widzę, że to się nie uda.

– Czy możemy wytrzymać ten jeden rok, który, nawiasem mówiąc, już jest opłacony? Our Lady jest świetną szkołą. Jeśli nadal będziesz się tak czuła po zakończeniu roku szkolnego, to wrócimy do tematu.

– Nienawidzę jej – prychnęła Jade.

– Daj jej szansę, dobrze?

– Nie wiesz, jak tam jest.

– Ja też nie chciałam tam chodzić, kiedy mnie zapisali – powiedziała Sarah, a gdy mikrofalówka głośno zapiszczała, ostrożnie wyjęła swój kubek, ponownie posługując się ściereczką. – Nie chciałam zostawiać moich przyjaciół z gimnazjum. I chyba nawet powiedziałam rodzicom, że umrę. Tata przychyliłby się do tego, żeby mnie stamtąd zabrać i zapisać do szkoły państwowej, bo był miły i kochany. Przynajmniej w stosunku do dziewczyn, którym uszłoby na sucho nawet morderstwo. – Upiła mały łyk kawy. – Wiecie, naprawdę trudno mi o tym mówić. Ale mama miała rację. Okazało się, że znalazłam tam mnóstwo nowych przyjaciół. A także utrzymałam stare przyjaźnie, które zawiązałam w podstawówce i w gimnazjum.

– Moje stare przyjaźnie są w Vancouver – zauważyła Jade.

– To zaledwie nieco ponad sto kilometrów stąd. Nie stracisz ich. Na pewno nie tych prawdziwych.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – odpysknęła Jade.

– Nie kłóćcie się – przerwała im Gracie, siadając z powrotem na stolku. – Będziemy miały psa. I to jest najfajniejsze.

– To prawda – zgodziła się Sarah i dodała: – Wznieśmy toast. – Po czym stuknęła się kubkami z obiema córkami. – Za Rovera.

Jade jęknęła głośno.

– Tylko nie Rover. Rany, mam, jesteś taką boomerką.

– Wobec tego za Fifi albo Spota lub Fido – droczyła się Sarah.

– Boże, mam, jesteś nie do wytrzymania. – Ale Jade tym razem roześmiała się zupełnie szczerze.

– Okej. To poczekajmy, aż go poznamy.

– Albo ją – poprawiła Gracie.

– Masz rację, albo ją. A teraz każdy, kto ma do odrobienia zadanie domowe, musi się do niego zabrać.

Jęknęła Jade również był szczerzy, ale Gracie, która chciała pokazać, że zasłużyła na psa, wolała nie ryzykować zmiany zdania matki, więc od razu zeszła ze stolka

i poszła do jadalni, gdzie wcześniej zostawiła swój plecak. Komórka Jade zawirowała tak głośno, że aż usłyszała ją Sarah. Dziewczyna wstała i zaczęła pisać jak szalona, wychodząc z kuchni.

Sarah znowu została sama i popijając kawę, rozmyślała o swoim nieracjonalnym zachowaniu.

Domu nie nawiedzały żadne duchy.

Ani teraz, ani kiedyś.

A jednak, gdy zabrała kubki dziewczyn do zlewu, zerknęła na rozpluwające się pianki w pozostałym na dnie kakao – rozciągnięte, białe pasma cukru – i wiedziała, że oszukuje samą siebie.

Duch z Posiadłości pod Niebieskim Pawiem przemierzał te korytarze od prawie wieku i w najbliższej przyszłości nie miał zamiaru przestać. Sarah zawsze o tym wiedziała. Pytanie brzmiało: co mogła z tym zrobić?

Leżał na ziemi na brzuchu z łokciami opartymi o powalone drzewo i przez gogle noktowizyjne patrzył na stary dom. Od dawna tutaj nie przychodził, ale nawet w ciemności oczywiste było, że dom jest w złym stanie. Ale nie dbał o to. Dziwiło go jedynie, że ktoś mógłby chcieć w nim mieszkać. Zwłaszcza że miejsce było nawiedzone, krążyły po nim niespokojne duchy. Mówiono też, że za murami Posiadłości pod Niebieskim Pawiem dochodziło do nieprawdopodobnych zdarzeń.

Tym lepiej.

Dla niego.

Odkąd wypatrywał Jade na stopniach Our Lady of the River, postanowił umieścić ją na liście kandydatek. Miał tylko nadzieję, że jest bardziej uległa niż Rosalie, która zmieniała się w sukę pierwszej klasy. Na dowód czego miał rany, które odniósł, gdy podjęła próbę ucieczki. Cholera, prawie jej się udało. To go strasznie wkurzało! Ale przypomniał sobie, że potrzebował kilku bardziej żywiołowych dziewczyn. Przydałaby się także jakaś łagodna. I już ją wybrał, ale uwodzicielska Jade z nawiedzonymi oczami także się nada.

Poprawił noktowizor i zamarł, gdy zobaczył ruch w polu widzenia, po czym się rozluźnił, kiedy uświadomił sobie, że to tylko kojot przemykający w miejscu, gdzie kiedyś był trawnik. Zwierzę spojrzało prosto na niego, a następnie się oddaliło, więc ponownie skupił się na oknach domu, gdzie zapalone lampy oświetlały postaci mieszkanek. Niczego jednak nie zobaczył, nawet kiedy zsunął gogle i użył lornetki. Wycelował ją w oświetlone okna, ale nikt się w nich nie pojawił.

A jednak tam były. Koło garażu stał zaparkowany explorer.

– No dalej – wyszeptał, bo chciał jeszcze raz rzucić okiem i wtedy mu się poszczęściło, jakby ktoś w środku go usłyszał i zjawił się na jego wezwanie. W oknie zamajaczył cień. Nie była to Jade z tymi swoimi wydętymi ustami, dużymi oczami i szpiczastą, małą bródką, lecz ta druga, młodsza dziewczynka, która nie była jeszcze kobietą. Miała jakieś dwanaście czy trzynaście lat i była niewinna. Ale czy była... dziewicą?

Zapewne.

Och, to byłoby super. Bardzo dobrze. Prawie się posikał na samą myśl. Tak, tak!

Trybiki w jego głowie zaczynały się obracać. Ponownie rozważał możliwość zabrania obu dziewcząt. To byłoby trudne. Zapewne nie byłby w stanie dokonać tego za jednym razem... nie! Jedna mogłaby się stać przynętą dla drugiej. O, tak, to by się mogło powieść.

Odtworzył sobie w głowie scenariusz i uśmiechnął się do siebie. Musiał się szybko uwijać. Porwanie tej parki stanie się jego nadrzędnym celem, a potem zajmie się innymi rzeczami. Ale gdyby udało mu się znaleźć sposób na zwabienie tej mniejszej, starsza siostra na pewno podążyłaby za nią.

Światło zgasło i nie było już widać dziewczyny w oknie. Nie spieszył się, rozglądając się po okolicy, zapamiętując rozstaw budynków, ścieżki, umiejscowienie klifów, lasu oraz granic posiadłości. Z jednej strony ogrodzona była rzeką, z drugiej strony posiadłością Walshów, parcelę przecinała wiejska droga, do reszty przylegała ziemia państwowa.

Kiedy tak tu czekał, nie pojawił się na drodze żaden samochód.

To mogłoby być idealne miejsce do ich porwania. Znajdowało się wystarczająco daleko od stajni, by czuł się bezpieczny.

Powoli oddalił się od powalonego drzewa, zabrał swoje rzeczy i ruszył truchtem do miejsca, gdzie ukrył pojazd na leśnej drodze pożarowej. Za zaroślami, otoczony niewysokim płotem, znajdował się cmentarz. Stały tam zarośnięte nagrobki oraz jeden większy grobowiec. Płot chylił się ku upadkowi, tu i ówdzie był już zupełnie powalony, ale on i tak ominął cmentarz. Nie z szacunku dla zmarłych, ale dlatego, że nie chciał niepokoić ich dusz. Wmawiał sobie, że duchy nie istnieją, że demony, wiedźmy i cała reszta została wymyślona po to, żeby trzymać ludzi w szachu, ale gdzieś w głębi serca bał się duchów. I nie miał pewności, że nie są prawdziwe. Ile razy wydawało mu się, że widział jakąś zjawę czy ducha na terenie tej posesji? Czyż ludzie w mieście nie twierdzili, że Posiadłość pod Niebieskim Pawiem jest nawiedzona? Czy jego własna matka nie ostrzegęła go, że snują się tu złe duchy? Że żyją pośród żywych i oczywiście zbierają się na sta-

rym cmentarzu? Sam Lucyfer, mówiła, nawiedzał las otaczający stary dom zamieszkały przez dziwną rodzinę.

– Tylko na nich spójrz – radziła matka. – Każdy, kto tam mieszka, ma coś z głową. Mówię ci, wszyscy są trochę walnięci. A to wszystko przez demony.

Więc teraz, jak zawsze, obszedł stary cmentarz szerokim łukiem i udał się do ciężarówki. Nadeszła pora na wdrożenie planów.

Rosalie piekły oczy z braku snu, gdy w końcu pierwsze promienie świtu przedarły się przez brudne okno znajdujące się wysoko w górze. Drżąc z zimna, z obolałym ciałem, pomyślała, że nigdy stąd nie ucieknie.

A więc nastał następny dzień.

Rosalie w duchu modliła się, aby był to dzień, w którym jej rodzina ją odnajdzie.

Oby.

Traciła nadzieję i ogarniała ją desperacja, gdy wpatrywała się w zakurzone belki podtrzymujące dach. Zauważyła siniaka, który zaczął się tworzyć pod długim zadrapaniem na boku i brzuchu, gdzie zderzyła się z płotem podczas nieudanej próby ucieczki.

Gdyby tylko mogła się stąd wydostać!

Od tamtej pory leżała przez wiele godzin na pryczy, odtwarzając w głowie tę samą scenę i zastanawiając się, jak mogłaby się uwolnić.

Uznała, że to niemożliwe. Znowu zalała się łzami. Nie wiedziała, co ten złamas chciał z nią zrobić. Czuła, że już przegrała. Podciągnęła śpiwór pod brodę, ale wciąż nie mogła przestać drzeć z zimna. Pociągając nosem, zła na siebie, otarła łzy z oczu i przypomniała sobie upokorzenie, gdy ten pojeb niósł ją na ramieniu, jak jakiś cholerny worek ziemniaków.

Gdyby mogła, zabiłaby tego łajdaka.

Ale utknęła tutaj, leżała na głupim łóżku i użalała się nad sobą, patrząc, jak poranne światło przegania cienie i rozprasza ciemność w tej żalostnej stajni.

Wstawaj. Zrób coś. Cokolwiek. Nie rób z siebie ofiary. Jeszcze żyjesz, ale to się zmieni, jeśli pozwolisz temu zjebowi zrealizować to, co zamierza.

Przemykając ostatnie łzy, starała się coś wymyślić, coś zaplanować, znaleźć sposób na wyjście z tego okropnego miejsca z dala od tego potwora. Nie, tak naprawdę od potworów. Ten złamas miał do pomocy Rozczochanego – mężczy-

znej, którego Rosalie instynktownie zaszufładowała jako słabszego i wykonującego rozkazy. Może gdyby została z nim sama, ubłagałaby go...

Przezań! Żaden z tych durniów nie pozwoli ci uciec. Spójrz prawdzie w oczy. Widziałś ich twarze. Możesz ich zidentyfikować. Czyż nie naoglądałaś się wystarczająco dużo filmów o przestępcach, żeby wiedzieć, że kryminaliści, a przynajmniej ci, którzy mają coś w głowie, nie zostawiają żadnych świadków?

Ścisnęło ją w żołądku, strach paraliżował jej ciało. To, że jeszcze jej nie zabili, nie oznacza, że nie zamierzali tego zrobić. I nie tylko ją, bo wspomnieli o innych.

Zrób coś, Rosalie, nie licz na mamę ani głupiego Mela, ani nawet na to, że zjawi się ojciec. Weź sprawy w swoje ręce.

Miała wrażenie, że za chwilę wybuchnie jej pęcherz, więc musiała wstać. Z wysiłkiem odrzuciła śpiwór i zeszła z pryczy. Skrzywiła się, gdy stanęła na nogi. Uniosła bluzę i spojrzała na siniaka. Był niebieski i miał zielonkawą obwódkę. Ciągnął się przez cały bok pod żebrami. Co, jeśli wykrwawia się do wewnątrz? A to właśnie jest oznaką krwawienia? O, Jezu, to straszne.

Delikatnie dotknęła pociemniałej skóry i wzdrygnęła się, czując nagły ból. Dotykanie tego miejsca nie było dobrym pomysłem, zwłaszcza że płytkie zadrapanie wciąż jeszcze się nie zasklepiło. Uznała więc, że po prostu zajmie się sprawą związaną z wiadrem, po czym położy się na łóżku, żeby zaplanować swoją ucieczkę. Musi być jakiś sposób. Musi.

Ale wszystko po kolei.

Skorzystała z tego cholernego wiadra. Po opróżnieniu pęcherza wyprostowała się i naciągnęła majtki na biodra. Nie było łatwo przez kajdanki. Jeszcze gorzej zasuwało jej się zamek. Kiedy skończyła, odetchnęła i rozejrzała się ponownie po pomieszczeniu. Zauważyła, że coś rozbłysło na podłodze w słabych promieniach światła.

– Co to, do cholery? – Zrobiła krok do przodu i stwierdziła, że błysk dochodzi z kąta w pobliżu drzwi prowadzących do boksu. W jednej chwili się tam znalazła, pochyliła się i zobaczyła kawałek metalu zaklinowany w szczelinie pomiędzy ścianą a deskami podłogowymi.

Chciała go szybko wyjąć. Dłubała połamanymi paznokciami, starając się poluzować wąski i płaski kawałek metalu skrępowanymi dłońmi.

– No, wychodź! Wychodź! – wyszeptwała. Czym, do licha, był ten metalowy pasek, pod który ledwie mogła wetknąć palec? Przygryzła wargę, podważyła go i powoli, ostrożnie wyjęła z miejsca, w którym się zaklinował. W końcu się udało i trzymała go na dłoni. Był to mały pilnik do paznokci, nie większy od jej naj-

mniejszego palca. Obracała go na dłoni i zastanawiała się, skąd tam się wziął. Przecież zauważyłaby go wcześniej.

No tak! Nagle przypomniała sobie szarpaninę z pomocnikiem swojego porwacza – Rozczochochanym. Musiał wypaść mu z kieszeni, gdy walczyli. To nie było wiele, ale mały, metalowy pilnik użyty w odpowiedni sposób, wbity w oko, ucho lub w krtań mógł wyrządzić poważną krzywdę.

Z nową energią zaczęła rozglądać się po podłodze, mając nadzieję, że coś jeszcze wypadło z kieszeni niższego mężczyzny. I rzeczywiście, wkrótce znalazła połamane cążki i mały łańcuszek. To również nie była najlepsza broń, ale będzie musiała wystarczyć. Na razie.

Mając po swojej stronie element zaskoczenia, mogła ich użyć do wymierzenia jednego, dobrego ciosu i zranienia porwacza. Jeśli dopisze jej szczęście, unieruchomi go na tyle długo, żeby się uwolnić. Następnym razem nie będzie biegła na oślep, lecz wskoczy do jego auta i popędzi jak strzała. Przypomniała sobie, że kiedy przyniósł ją do tego zapomnianego przez Boga miejsca, nie zabrał kluczyków z ciężarówki. Nie popełnił tego błędu, kiedy próbowała uciec, ale przy do-
brych wiatrach może się okazać, że ma w zwyczaju zostawiać kluczyki w sta-
cyjce.

Jeśli tak, ona to z wielką przyjemnością wykorzysta. Włożyła wszystkie metalowe kawałki do przedniej kieszeni dżinsów i poczuła się nieco lepiej. Po raz pierwszy, odkąd została wrzucona z powrotem do tego przerażającego więzienia, Rosalie poczuła promyczek nadziei.

ROZDZIAŁ 15

Chociaż było oczywiste, że Mary-Alice nienawidzi jej tak samo, jak Jade nie cierpi dwulicowego „aniola”, który został jej przydzielony, Mary-A nie dało się zgubić. Nieważne, który korytarz wybrała Jade w Our Lady of the River, zawsze pojawiała się tam blondynka ze sztucznym, przyklejonym uśmiechem i przebywała z Jade najdłużej, jak się dało, pomiędzy lekcjami. To wystarczyło, żeby Jade miała dość, więc uznała, że muszą to jakoś rozwiązać.

– Posłuchaj – powiedziała, kiedy Mary-Alice snuła się obok niej w drodze na następne zajęcia Jade. – Nie potrzebuję niańki.

– Nie o to chodzi.

– Oczywiście, że o to.

– Nie wiem, dlaczego musisz przez cały czas być taka wredna.

Już się zaczyna. Jade ruszyła po schodach do skrzydła, gdzie odbywały się zajęcia z matematyki i wszystkie okna w salach lekcyjnych wychodziły na parking dla uczniów.

– Po prostu jestem przyzwyczajona do tego, że mam więcej przestrzeni.

– Nie, nie o to chodzi. Buntujesz się, ponieważ uważasz, że tak jest fajnie.

Jade zastanowiła się nad tym przez pół sekundy i uznała, że być może szczerść będzie najlepszym wyjściem w konfrontacji z Mary-Alice, która znajdowała się pół kroku za nią.

– Może. Ale czuję się głupio, kiedy snujesz się ze mną jak szczeniak. – Kątem oka Jade zobaczyła, że Mary-Alice zaciska usta, a jej oczy zaczynają miotać pioruny. – Więc czy mogłabyś po prostu zostawić mnie samą? Dla naszego wspólnego dobra?

Mary-Alice razem z nią schodziła po schodach wypełnionych uczniami spieszącymi na pierwsze piętro. Dźwięk ich kroków odbijał się echem po klatce schodowej.

– Nie mogę. Jesteś moim projektem.

Aha, oczywiście. Dotarły na parter i znajdowały się w pobliżu toalet koło auli.

– Masz na myśli to, że dostaniesz piątkę za to, że za mną chodzisz?

– Jeśli cię wszystkim przedstawię i uda mi się zainteresować cię zajęciami pozalekcyjnymi lub klubami, zostanie to zapisane na moim świadectwie, więc będę mogła się do tego odnieść, składając dokumenty do college'u.

– Upadłaś na głowę? – zapytała Jade. – Do klubów? Nie, nie jestem... Na miłość boską! – Jade bez namysłu złapała dziewczynę za wątlą rękę i zaciągnęła ją do toalety dla dziewcząt.

– Co, do licha, robisz? – zdziwiła się Mary-Alice, gdy Jade zaprowadziła ją do tej części toalety, gdzie wisiał rząd umywalk ze stali nierdzewnej, i zamknęła za sobą drzwi. Na podłodze leżały rozmiękłe kawałki papieru, do jednej umywalki kapiała woda, na ścianach wokół luster i na tylnej części przegrody widniały pospiesznie nabazgrołone wulgaryzmy oraz wyznania miłosne. Niezbyt przyjemnie. Jade jednak nie zwracała na to uwagi. Nadeszła pora, żeby Mary-Alice jej wysłuchała.

– Na twoim świadectwie? – Puściła rękę Mary-Alice, a ta szybko się cofnęła, pociągając miejsce, na którym Jade zaciskała palce, i patrzyła na nią, jakby była wcieleniem diabła. – Nie zamierzam dołączać do żadnych klubów. I nie zamierzam zapisywać się do jakiegoś głupiego komitetu tanecznego czy cokolwiek innego masz na myśli. Nie lubię w tej szkole ani jednej rzeczy. I naprawdę nie podoba mi się to, że jestem czymś projektem, więc przestań gadać o kółku teatralnym czy zespole muzycznym. Nie jestem nimi zainteresowana i na pewno nigdzie się nie zapiszę. Nie jestem twoim projektem, więc odpuść sobie i znajdź kogoś innego. Kogoś, kogo zdołasz uformować w mniejszą wersję siebie. Bo to na pewno nie będę ja.

Mary-A założyła ręce na piersi. Miała wściekle czerwone policzki.

– Masz okropną postawę.

– To prawda – zgodziła się Jade.

– Na niczym ci nie zależy!

Jade zrobiła krok w stronę ogólnie lubianej dziewczyny i chociaż wiedziała, że powinna się zamknąć i odpuścić, skoro wciąż jeszcze była górą, była tak zirytowana i sfrustrowana, i po prostu wściekła, że nie mogła się powstrzymać.

– I wiesz, co jeszcze jest prawdą? Jesteś fałszywa, Mary-Alice. Jesteś małą oszustką, która z uśmiechem na ustach wbija innym nóż w plecy.

Przez chwilę Jade miała wrażenie, że dziewczyna ją spoliczkuje, ale Mary-Alice wzięła się w garść.

– Pożałujesz, że to powiedziałaś – syknęła histerycznym tonem.

– Czyżby?

– Mogę sprawić, że twoje życie w Our Lady stanie się naprawdę żalosne.
– Masz na myśli, że jeszcze żałośniejsze? – Jade w to nie wątpiła, ale wzruszyła ramionami, jakby miała to w nosie. – Proszę bardzo. Wali mnie to.
– Jesteś już martwa w tej szkole.
– To brzmi trochę jak groźba – zauważyła Jade.
– Bo tak jest. Mogę... mogę...
– Słucham? – Ponieważ Mary-A nie zamierzała dokończyć zdania, Jade powiedziała przez ściśnięte gardło: – I żebyś nie myślała. Ja też mam szemranych przyjaciół.

– A więc grozisz mnie? – zaskrzeczała Mary-Alice.

Ktoś spuścił wodę w toalecie, otworzyły się drzwi kabiny i pojawiła się pulchna dziewczyna, której Jade nie знаła. Miała zmartwioną minę, więc musiała słyszeć całą ich rozmowę.

– Ani słowa na ten temat, Dana – ostrzegła ją Mary-Alice ze zmijowatym uśmiechem.

– Na jaki temat? – Dana zamruwała niewinnie. – Niczego nie słyszałam. – Wsadziła dłonie pod ciepłą wodę, urwała kawałek papieru z podajnika i spojrzała w lustro, gdzie spotkała się wzrokiem z Jade. Przez chwilę wyglądała na zdenerwowaną, jakby pragnęła się skurczyć i zniknąć. Udało jej się jednak opanować nerwy. Zarzuciła poфарbowane w pasemka włosy na ramię. Z wymuszoną pewnością siebie wydeła różowe usta w wyćwiczony przed obiektywem aparatu uśmiech, równie sztuczny jak Mary-Alice. – Nie – zapewniła popularniejszą dziewczynę. – Niczego nie słyszałam.

Wrzuciwszy ręcznik do przepelnionego kosza, Dana wyszła z pomazanego graffiti pomieszczenia.

Przez tę krótką chwilę zdenerwowanie Jade nieco opadło i nastolatka uświadomiła sobie, że powiedziała więcej, niż powinna. Stąd właśnie się brały jej kłopoty.

– Okej. Dostyc tego szaleństwa. Twój obowiazek, czy jakkolwiek to nazywasz, juz dobiegl końca. Potrafię się sama odnalezc w szkole. Nie potrzebuję twojej pomocy w znajdowaniu sobie przyjaciół.

– I właśnie tutaj się mylisz.

– Wali mnie to. – Jade zarzuciła pasek torby na ramię.

– Tylko próbowałam ci pomóc – upierała się Mary-Alice i niczym kameleon zmieniający kolory przeszła od furii w skruchę.

– Miałas jedynie nadzieję, że zaprezentujesz się w jak najlepszym swietle.

- Naprawdę jesteś powalona – stwierdziła Mary-Alice ze złością.
- Pewnie tak. – Jade wzruszyła ramionami, okazując swoją obojętność.
- Nie wiem, dlaczego tak się starałam – powiedziała Mary-Alice.
- Żeby mieć wpis na świadectwie – odpowiedziała Jade, ale Mary-A chyba doszła do wniosku, że nie chce spędzić ani jednej sekundy dłużej w jej obecności. Obeszła ją wkoło i wyszła z łazienki.

Jade pomyślała, że Mary-Alice po wyjściu na korytarz od razu zaczęła pisać wiadomości do wszystkich swoich przyjaciół, być może do całej cholernej szkoły, informując ich, jaką lamerką jest Jade.

Kogo to obchodziło?

Ciebie. Bardziej, niż chcesz przyznać.

Zamknąwszy oczy, Jade oparła się o blat, na którym zamontowano umywalki. Co ona najlepszego robi? Jedną rzeczą było unikanie „aniola”, a inną robienie sobie wroga z Mary-Alice Eklund. To po prostu głupota. Powoli wypuściła powietrze z płuc, otworzyła oczy i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Najwyraźniej nie była stworzona do tego, by zostać Krzyżowcem Our Lady. Nie rozumiała całego tego przywiązania do szkoły. Nigdy. I nigdy nie zrozumie. Czyżby mama o tym nie wiedziała? Dlaczego tak jej zależało, żeby ją ukarać?

Opierając się o cieknący kran, ochlapała twarz wodą i powiedziała sobie, że powinna ochłonać. I nie powinna pozwolić Mary-Alice zająć sobie za skórę. Oderwała kawałek ręcznika papierowego i po raz pierwszy zauważyła na ścianach plakaty nawołujące szkolną drużynę piłkarską do wygrania ważnego meczu w najbliższy weekend.

Serio?

Tutaj? Żeby wychodząc z toalety albo czesząc włosy lub nakładając na usta błyszczczyk czy robiąc cokolwiek innego, poczuć więź z drużyną piłkarską Our Lady.

Jade zbliżyła twarz do lustra, starła z policzka odrobinę pokruszonego tuszu do rzęs. Jej uwagę przyciągnął kolejny plakat. Był czarno-biały i znajdowało się na nim zdjęcie Rosalie Jamison oraz wzmianka o nagrodzie za informacje prowadzące do jej odnalezienia. Przelotnie pomyślała o zaginionej nastolatce, która według tego, co słyszała na korytarzu, nie chodziła do Our Lady.

– Szczęściara – mruknęła Jade, po czym pożałowała tego słowa, w chwili gdy się jej wymknęło, ponieważ wyglądało na to, że sprawa jest poważna.

Przygotowując się na resztę dnia, Jade zarzuciła plecak na ramię i ponownie zaczęła pisać do Cody'ego, jednocześnie, nie podnosząc głowy znad telefonu, po-

pchnęła drzwi toalety. Wpadła na wysokiego chłopaka, który rozmawiał z przyjacielem, szybkim krokiem zmierzając w przeciwnym kierunku niż ona.

– Hej! – krzyknęła, gdyż wytrącił telefon z jej ręki. Komórka ślizgała się na wypolerowanej podłodze i uderzyła w kaloryfer. – Uważaj, jak chodzisz!

– Ja? – Odwrócił się i zatrzymał. Już miała na niego najechać, kiedy go rozpoznała. Liam Longstreet. Co za cholerny pech! Chłopak Mary-A, sportowiec z atletycznym ciałem i zabójczym uśmiechem.

Doskonale.

Jego przyjaciel był niższy, tęższy, miał rude włosy i piegi na nosie.

Poza tymi idiotami na korytarzu było pusto.

– Hola! – Liam Longstreet, który mógłby się ogolić albo zdecydować na zapuszczenie brody, spojrział na nią z wysokości jakichś stu dziewięćdziesięciu centymetrów. Uniósł obie ręce, szeroko rozstawił palce i cofnął się o krok. – Przepraszam, nie widziałem cię.

Schyliła się po swój telefon, ale on był bliżej, więc zanim go podniosła, chłopak pierwszy zgarnął go z podłogi.

– Oddawaj! – rozkazała.

W jednej chwili przed jej oczami przeleciało jej całe życie. Co, jeśli go zabierze i zobaczy jej zdjęcia i wiadomości wysyłane do Cody'ego? Przeczyta wszystko, co kiedykolwiek napisała? Zobaczy ją w negliżu i zamieści te zdjęcia na Instagramie, Twitterze albo w innym miejscu? Co, jeśli zadzwoni albo napisze do przyjaciół, których miała na liście kontaktów? Poczwała panikę i uświadomiła sobie, że mając jej telefon, może zrobić wszystko to, czym groziła jej Mary-Alice.

– Powiedziałem, że przepraszam. – Wciąż jednak nie oddawał telefonu.

– I co dalej? – Wyzywająco wystawiła rękę, chociaż w środku rozpadała się na kawałki. Była zdesperowana. Miała tam zdjęcia, na których całowała się z Codym, pieściła go i... och, do diabła! – Oddawaj go! – O, Boże, czy naprawdę drżał jej głos?

Nawet nie zauważyła, że przyjaciel Liama przysłuchuje się tej rozmowie z krzywym uśmiechem na twarzy i błyskiem w oku.

– Zobaczmy, co tam ma – zaproponował i próbował zabrać Liamowi komórkę, ale ten szybko ukrył ją w dłoni.

– To własność prywatna – zaprotestowała Jade.

Głośno zadzwonił spóźniony dzwonek. Jego brzęk odbijał się echem po pustym korytarzu. Super, spóźni się na lekcję. Znowu.

– Jeśli mi go nie oddasz, powiem ojcu Paulowi, że go ukradłeś. – Zadziałało, kiedy zagroziła Mary-Alice, że pójdzie do księdza, więc może...

– Nie rób tego, człowieku. Jest w chuj dziwna! Dziwna. Nie chce, żebyśmy zobaczyli, co tam ma – doradził mu przyjaciel. – Och, pewnie to coś zajebiaszczego.

Co za neandertalczyk! Jade aż ścisnęło w żołądku.

– Za kradzież prywatnej własności wylecicie z drużyny i prawdopodobnie zostaniecie wydaleny ze szkoły – oznajmiła, wysuwając brodę. – Oddawaj! – Cały czas trzymała wyciągniętą rękę i jakoś udawało jej się powstrzymać jej drzenie, chociaż w środku cała się trzęsła.

– Nie rób tego. – Rudy nadal podjudzał.

Liam pokręcił głową.

– Powiedziałem, że przepraszam. – Nie patrząc na swojego przyjaciela, położył telefon na jej otwartej dłoni.

Jade poczuła niezmierną ulgę, zacisnęła palce na telefonie i szybko wsunęła go do torby. Poczuła, że zaczyna się czerwienić, co przelało czarę goryczy. Wielki duppek. Ten drugi, piegowaty i niższy o jakieś dziesięć centymetrów, wciąż się głupio uśmiechał.

– Z czego się śmiejesz? – rzuciła oburzona.

– Z ciebie. Kim, do cholery, jesteś? – zapytał.

– Nikim, kogo musiałbyś znać. – Jade już miała się odwrócić i odejść.

– Dobrze to ujęłaś – zgodził się, kręcąc ogoloną niemal na łyso głową. – Jezu, Longstreet, to był błąd. Miałaś ją, człowieku. Miałaś ją. – Ponownie popatrzył na nią z góry i uśmiechnął się ironicznie. – Ale do diabła, na co nam ona? Chodź, idziemy, Longstreet. Spadamy stąd.

– Dobry pomysł – skwitowała jego słowa Jade i odwróciła się na pięcie, czując na plecach dwie pary odprowadzających ją oczu.

– Walnięta suka – mruknął pod nosem ten niższy, a Jade miała ochotę odwrócić się i go opierniczyć, oświadczyć mu, że jest złamasem, ale uznała, że wystarczająco sobie nagrabiła tego dnia.

– Dorośnij, Prentice – wymamrotał Liam.

A więc teraz odgrywał rolę tego miłego? No jasne. Facet, który zadaje się z „aniołem” Mary-A? To mało prawdopodobne. Czy jej życie naprawdę mogłoby wyglądać gorzej?

– Jesteś pieprzonym dupkiem, Longstreet – odgryzł się Prentice. – To tylko taka luźna uwaga. Nie bierz tego do siebie.

Jade wtedy zrozumiała, dlaczego mama nienawidziła, kiedy zdarzyło jej się przekląć. Może przestanie, a przynajmniej się postara, chociaż trudno było nie kląć, natykając się na takich złamasów jak Longstreet i Prentice. Przy schodach z ciekawości obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że przyjaciel Longstreeta cały czas na nią patrzy i pokazuje jej środkowy palec.

– *Dorośnij* – przekazała mu bezgłośnie, samym ruchem warg. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, znajdowałaby się już półtora metra pod ziemią. Prentice wyglądał i zachowywał się jak psychol, ale Liam już zniknął jej z oczu za zakrętem korytarza i prawdopodobnie zdążył wyrzucić z głowy ten incydent.

– Przegrywy – wyszeptała Jade i szybko ruszyła na kolejne zajęcia.

Longstreet nie mógł być taki wspaniały, jeśli zadawał się z takim palantem. Kątem oka zobaczyła, że rudy się teraz śmieje. Wiedziała, że znowu narobiła sobie wrogów.

Jak na razie dobijała do tysiąca.

– Co to jest? – zapytała Scottie. Razem z Gracie szły do szkolnej stołówki, a ona zajrzała do plecaka Gracie. Zobaczyła tam dziennik, który Gracie znalazła w piwnicy, a następnie włożyła do plastikowej torebki na mrożonki, żeby go ochronić i mieć cały czas przy sobie.

– Nic. – Jak dotąd nikomu nie powiedziała o starym kajecie, który znalazła w piwnicy, ale niedługo będzie musiała, ponieważ potrzebowała tłumacza. Strony były stare i tak kruche, że prawie się rozsypywały, kiedy je przeglądała. Pełne zawijasów kobiece pismo wypłowiło z upływem lat, ale wciąż było czytelne. Jedynym problemem było to, że cały dziennik został napisany po francusku i chociaż Gracie próbowała przepisać niektóre zdania do komputera, by przetłumaczyć je za pomocą tłumacza online, nie była w stanie wiele zrozumieć.

Ustaliła, że opisywano rok 1924, poza tym niewiele się dowiedziała.

– Znasz francuski?

Scottie pokręciła głową, a jej brązowe włosy poruszyły się na ramionach.

– Nie, ale moja ciocia Claudette zna. Kiedyś mieszkała w Paryżu.

– Mieszka gdzieś tutaj?

– W Nowym Jorku. Dlaczego pytasz?

– Potrzebuję kogoś, kto potrafi czytać po francusku.

Pozostałe dzieci tłoczyły się na korytarzach, rozmawiały, śmiały się, przeklinały, nosiły książki i sprawdzały swoje telefony. Pary przytulały się do siebie, podczas gdy skupione w kręgu grupki przyjaciół tamowały ruch. Gracie i Scottie

musiały się przeciskać przez tłum i przekrzykiwać kakofonię głosów i trzaskających drzwiczek od szafek.

– Jesteś kutasem, Carter! – krzyknął jakiś chłopak przez ramię i pobiegł w stronę stołówki.

– Wal się, Maloney! – padła odpowiedź.

– Po co ci tłumacz? – zapytała Scottie, gdy skrzyły po raz ostatni i znalazły się w pobliżu stołówki, gdzie przywitał ich ostry zapach sosu do pizzy.

Czy powinna jej powiedzieć? Scottie była autentycznie zainteresowana. Jednocześnie była plotkarą. Nie można było jej powierzyć żadnych sekretów.

– Och, chodzi o to, że tata chce, żebym coś zrobiła – wyjaśniła Gracie. – Ponieważ zamierza zabrać mnie do Paryża i na Riwiere Francuską. Uważa, że najlepiej by było, jakbym nauczyła się języka.

Scottie zrobiłaś zdziwioną minę.

– Ja bym go posłuchała, żeby jechać do Francji. Ciocia Claudette, która miała na imię Claudia, zanim się przeprowadziła, mówi, że tam jest bajecznie. Nie czekaj. – Scottie zatrzymała się i uniosła głowę pod dziwnym kątem, jakby pozowała. – *Paryż to Miasto Światła, jest très magnifique!*

– Sądziłam, że raczej Los Angeles.

– Nie, to Miasto Aniołów. – Zmarszczyła brwi. – A może to było w liczbie mnogiej. – Wzruszyła ramionami. – Nieważne. Ciocia Claudette uważa, że za wyjazd do Paryża można nawet zabić.

– Jedyne, czego potrzebuję, to tłumacz. – Wiedziała, że Jade przez jakiś czas uczyła się francuskiego, ale nie za długo, poza tym nie mogła zaufać siostrze i powierzyć jej takiego sekretu. Nie Jade, która w nic nie wierzyła i sądziła, że Gracie jest idiotką. Gracie była przekonana, że mama też potrafi trochę mówić po francusku, ale w żadnym wypadku nie zamierzała jej o to prosić. Mama ze złości wyszłaby z siebie.

– A może panna Beatty – zasugerowała Scottie. – Nauczycielka muzyki. Pracuje tutaj i w liceum.

– No i co z tego?

– Uczy tam francuskiego. W zeszłym roku uczyła moją kuzynkę.

– Czy twoja kuzynka potrafi czytać po francusku?

Scottie pokręciła głową.

– W jednym semestrze miała dwóję, co strasznie wkurzyło wujka Neda, który chce, żeby wyjechała na studia. Jeśli chodzi o moją rodzinę, to ciocia Claudette jest najlepszym wyborem.

Przeniosła wzrok z Gracie na coś innego. Scottie była jedną z tych osób, które zawsze spodziewają się, że zjawi się ktoś ciekawszy od rozmówcy.

– Idzie Rita – powiedziała. – Musisz ją poznać. Jest superfajna. I chodzi z chłopakiem z drugiej klasy z Our Lady. – Scottie zniżyła głos. – Jej rodzice o tym nie wiedzą. Wymyka się z domu, żeby się z nim spotykać za ich plecami. – Zaświeciły się jej oczy, gdy podzieliła się plotką. Wówczas Gracie uznała, że Scottie z całą pewnością nie musi wiedzieć o dzienniku.

Nikt nie musi.

Nawet Jade, która jak na razie jeszcze nie naskarżyła, że widziała, jak Gracie wychodzi z piwnicy. Co zamierzała?

Gracie trzymała kciuki, żeby Jade się nie wygadała przy mamie. Ani nikim innym. Przynajmniej dopóki nie uda jej się przetłumaczyć dziennika, a potem miała nadzieję pomóc Angelique le Duc przejść na drugą stronę.

ROZDZIAŁ 16

Sarah robiła notatki i planowała przeróbki przy stole w jadalni. Zastanawiała się, czy nie dodać kolejnego apartamentu na parterze. Problemem było umiejscowienie rur. Rozmawiała już z szefem ekipy remontowej, a także z człowiekiem od prac ziemnych i przypomniała sobie, że musi wreszcie zejść do piwnicy i sprawdzić, czy woda nie wyrządziła tam jakichś szkód i czy nie pojawiły się pęknięcia fundamentów. Trzeba było też zrobić przegląd wielkiego pieca, który bez wątpienia nadawał się do wymiany. Jak na razie unikała schodzenia po stuletnich schodach do niedokończonych pomieszczeń pod domem, które niegdyś służyły jako piwnica na warzywa, pralnia, graciarnia i miejsce, gdzie umieszczono piec opalany drewnem, zanim w latach sześćdziesiątych został wymieniony na ten obecny. Czuła zniechęcenie na myśl, że miałyby badać tę ciemną, zapajęczoną przestrzeń, gdzie zamknęto ją, gdy była małą dziewczynką.

Ale czyż nie był to właśnie powód, dla którego tutaj przyjechała? Chciała zmierzyć się ze starymi strachami i pozbyć się ich raz na zawsze, i żeby odremontować ten dom i przywrócić mu dawną świetność, a przy okazji zreperować najgłębsze pęknięcia swojej duszy?

Zadzwoniła jej komórka, więc odebrała.

– Sarah, tu ciocia Margie. Słyszałam, że remontujesz ten okropny stary dom i że się do niego wprowadziłaś.

– Tymczasowo, ale tak, jestem tu z dziewczynkami.

– Doskonale. Jadę do was.

– Słucham? Teraz jedziesz?

– Oczywiście, będę za jakieś pięć minut i mam dla ciebie niespodziankę! – Rozłączyła się, a Sarah wciąż siedziała przy stole i trzymając w ręce telefon, myślała, że tak naprawdę nie potrzebuje żadnych kolejnych niespodzianek. Ale to była ciocia Marge albo Margie, jak sama siebie nazywała, tak niepodobna do swojej starszej siostry Arlene jak dzień do nocy.

– Są jak yin i yang w rodzinie – powiedział Joseph wiele lat temu, kiedy Sarah miała jakieś dziesięć lat. Podczas Święta Dziękczynienia, kiedy rodzina zasiadła dokładnie przy tym stole, ciocia Marge z drinkiem w ręce uśmiechała się, brylowała i flirtowała ze wszystkimi mężczyznami, podczas gdy Arlene przykładnie

wszystkim usługiwała. Nie chcąc ustąpić pola młodszej siostrze, Arlene także piła, gin z tonikiem lał się strumieniami. Ciocia Marge stawiała się coraz bardziej towarzyska, podczas gdy Arlene coraz bardziej psuł się humor.

– One raczej przypominają dobro i zło – zauważył Jacob. Dzieci Stewartów znajdowały się w kuchni, gdzie na prośbę matki doglądały różnych rzeczy, aby święto mogło przebiegać w doskonałej atmosferze, przynajmniej w oczach ich matki. Jacob i Joseph mieli przynieść więcej dREW do kominka, ale jak zwykle się z tym ociągali, podczas gdy Dee Linn, nieco podminowana, sprawdzała ciasta stygnące na blacie. W kuchni było ciepło i pachniało przyprawami i pieczonym indykiem, na stole stały wypolerowane i błyszczące kryształowe kieliszki, ale według Sarah cały ten dzień wydawał się fałszywy. Był na pokaz i brakowało mu prawdziwej głębi. Co prawda, zmówili modlitwę i złożyli dziękczynienie, przed frontowymi drzwiami ustawili snop słomy, duże dynie i kabaczki, ale brakowało nastroju, który powinien towarzyszyć temu świętu. Przynajmniej w jej opinii.

Kuzynka Caroline, od której nikt nie wymagał pomocy, bo była gościem, także ulotniła się z jadalni i pochylała się nad blatem, bezmyślnie przestawiając dodatkowe zestawy do przypraw. Wyglądało na to, że chce, aby kuzyni mogli zerknąć w jej bardzo wyeksponowany dekolot.

– Ciocia Arlene ma dzisiaj misję, prawda? – Podniosła koszyczek z bułkami, który Sarah wyjęła z pieca, gdzie się podgrzewały. – Co za zołza... a może raczej suka? – Caroline, która miała wtedy piętnaście lat, zmarszczyła nos, próbując, jak zawsze być tą fajną w towarzystwie bliźniaków. A raczej w towarzystwie jakiegokolwiek chłopaka. Była flirtiarą, jak jej matka, była ładna, miała prawie czarne włosy i nieskazitelną, oliwkową cerę, ale według Sarah Caroline była strasznie upierdliwa.

– Przestań – powiedziała Sarah. Mama kazała jej zanieść koszyczek na stół, ale Caroline wyjęła bułkę spod pomarańczowej serwetki i odgryzła kęs.

– Mam przestać przezywać waszą matkę? – droczyła się Caroline.

– Przestań wyjmować bułki – wyjaśniła Sarah. – Są na kolację.

– A więc nie przeszkadza ci, że nazwałam twoją matkę suką? – ciągnęła Caroline.

W tej chwili do kuchni wszedł Clark i usłyszał końcówkę rozmowy.

– Nie dręcz jej – rzucił, gdy zamknęły się za nim wahadłowe drzwi, tłumiąc dźwięki konwersacji prowadzonej przez dorosłych przy stole. – To tylko dziecko.

Sarah ucieszyła się z tego, że przerwano im tę wymianę zdań, ale nie spodobało jej się to, że znowu przypominano jej, że jest najmłodsza.

– Ciocia Arlene chce, żebyśmy już siedli przy stole – dodał Clark.

– Rany. Królewski rozkaz. Lepiej się pospieszmy i go wykonajmy – zakpiła Caroline, ponownie przewracając oczami. Zarzuciła sobie włosy na plecy, po czym ruszyła przez wahadłowe drzwi w taki sposób, że gdy je puściła, ledwo ominęły twarz Clarka.

– To jest prawdziwa suka – wymamrotał na tyle głośno, żeby Sarah mogła go usłyszeć.

– Hmm – mruknęła Caroline i spiorunowała Clarka wzrokiem. Zawsze była skłócona ze swoim starszym bratem i to, o ile Sarah było wiadomo, rozciągnęło się także na dorosłość.

Wspomnienie się rozplynęło, gdy Sarah usłyszała nadjeżdżający samochód. Marge nie żartowała, kiedy zapowiedziała, że zaraz przyjedzie. Gdy Sarah wyszła przed drzwi, żeby ją powitać, zobaczyła, że oprócz Marge zjawili się także Caroline i Clark. Wszyscy wysiadali ze starszego modelu mercedesa. Marge wciąż była wysoka i szczupła, poruszała się lekko, podpierając się laską. Była ubrana w sweter i marynarkę do bioder oraz spodnie. Wokół szyi owinęła sobie długi szal. Oczywiście chodziła wolniej, ale wciąż w jej krokach była sprężystość. Przywitała się z Sarah, biorąc ją w niedźwiedzi uścisk. Caroline i Clark, oboje zakutani w długie płaszcze, czuli się nie na miejscu.

– Zaskoczona? – zapytała Marge.

– Bardzo. – Sarah odsunęła się od drzwi. – Wejdźcie – zaprosiła gości.

Marge ruszyła do przodu, a jej dzieci podreptały za nią, z nieco mniejszym entuzjazmem wymamrotały krótkie „cześć”, gdy mijały Sarah. Kuzynka zamknęła za nimi drzwi.

– O rany – westchnęła Marge, rozglądając się po wnętrzu budynku i przechodząc powoli z korytarza do salonu. – Jak tutaj ciemno. Po prostu musiałam sama zobaczyć i miałam nadzieję, że to miejsce jest w lepszym stanie w środku niż na zewnątrz. Nie byłam tu od lat – przyznała. No wiesz, twoja matka i ja... Cóż, to było skomplikowane.

– Nienawidziłyście się nawzajem – podpowiedziała Caroline, rozpinając płaszcz.

– Nie, chodzi o to, że...

– Nie kłam, mamó. Wszyscy pamiętamy, jak było – upierała się Caroline beznamietnie.

Z oczu ciotki Marge zniknęła radość. Jej niegdyś kasztanowe włosy były teraz jaśniejsze, pofarbowane na blond. Jej dzieci też się postarzały. Clark się zaokrąglił, stał się wysokim mężczyzną z szerokimi barkami. Caroline wciąż była szczu-

pła, ale miała krótsze włosy z pasemkami, żeby ukryć początki siwizny, które pojawiły się w jej niegdyś ciemnych lokach.

– Wejdźcie do salonu – zaprosiła Sarah. – Mam kawę...

– Nie, dziękujemy. Przyjechałam tylko, żeby się tutaj rozejrzeć i zapytać, czy widziałaś się z Arlene.

– Tylko raz – przyznała Sarah. – Mam nadzieję, że niedługo znowu uda mi się pojechać do Sosnowego Zakątka.

Marge przesadnie zadrżała.

– Co za okropne miejsce. Takie instytucjonalne. Zapamiętajcie sobie dzieci, nie chcę tam skończyć.

– Jest tam aż tak źle? – zdziwiła się Sarah.

– Nie – szybko odpowiedziała Caroline. – Mama po prostu jest bardzo wrażliwa na tym punkcie.

– Jak każda zdrowa na umyśle osoba. Biedna Arlene. Nie potrafi już prowadzić samochodu, cóż... Jak sądzę, wszystko jest już dla niej skończone – stwierdziła Marge.

Weszli do salonu, gdzie ogień w kominku zdążył wygasnąć. Marge rozsiadła się na kanapie, opierając się o wypłowiałe poduszki, podczas gdy Clark przestępował z nogi na nogę i sprawdzał komórkę, prawdopodobnie chciał zobaczyć, która godzina lub czy dostał jakąś wiadomość. Caroline natomiast łąziła po całym parterze, aż w końcu zniknęła za klatką schodową.

– Martwię się o Arlene – powiedziała ciotka Marge, wciąż rozglądając się po wnętrzu domu. – I... Hm... Obawiam się, że chyba już zbyt długo nie pożyje. Wszystko jej się miesza.

– Czasami tak – zgodziła się Sarah.

– Prawdopodobnie nie jest w stanie podejmować właściwych decyzji.

– Chyba tak.

Caroline wróciła do salonu i stanęła przy jednej z kolumn.

– Mamo, do sedna. Mamy jeszcze do zrobienia wiele rzeczy. Clark i ja mamy pracę i rodzinne obowiązki.

Sarah spojrzała na Marge, która odchrząknęła.

– No dobrze. W porządku – zgodziła się. – Sarah, chciałam z tobą porozmawiać na osobności.

– Na osobności? – powtórzyła Sarah.

– Och, bracie. – Caroline zaczynała się niecierpliwić.

– Cóż, chodzi mi o to, żebyśmy porozmawiały przed tą ekstrawagancką imprezą u Dee Linn – wyjaśniła ciotka. – Z tego, co słyszałam, zaprosiła połowę miasta.

Sarah przeniosła wzrok z Marge na Caroline.

– Chce się dowiedzieć, co znajduje się w testamencie twojej matki – wyjaśniła kuzynka, podczas gdy Clark westchnął i udawał zainteresowanie przeciwległą ścianą, od której odchodziła stara tapeta.

– No cóż. Tak, to prawda – przyznała Marge lekko skonfundowana tym, że Caroline nie obijała w bawelnę.

Sarah się spięła i zaczęła podejrzewać po raz pierwszy w życiu, że te wszystkie uwagi, które Arlene czyniła przez lata na temat swojej młodszej siostry i jej zazdrości były prawdziwe. Arlene zawsze insynuowała, że Marge, która znalazła się w kiepskiej sytuacji finansowej po rozwodzie z mężem, była zazdrosna o to, że Arlene „dobrze wyszła za mąż”.

– Chodzi o to, że czegoś tu nie rozumiem. – Marge spojrzała na Clarka i jakby liczyła na jego wsparcie, ale go nie otrzymała. – Dom należał do twojej mamy, Sarah. Jak możesz rozpoczynać w nim remont? Wydawało mi się, że wszystkie budynki i ziemia są częścią majątku Arlene, ale ona oczywiście nigdy mi nic na ten temat nie powiedziała.

– Co strasznie cię wkurzało, prawda? – westchnęła Caroline. – Mówiłam ci, że rozmawiałam z Jacobem, a on mi wytłumaczył, jak jest naprawdę. Arlene nie jest już właścicielką domu.

– A zatem kupiliście go od niej? Ty i twoje rodzeństwo? – zapytała Marge Sarah.

– Tak... w zasadzie tak. Nie chcę być tajemnicza ani nieuprzejma, ale nie możemy o tym w tej chwili rozmawiać.

– Arlene zawsze twierdziła, że coś dla mnie zostawi, kiedy umrze – oznajmiła Marge, przechodząc do sedna. – I, cóż, miałam nadzieję, że dzięki temu będę miała zabezpieczoną przyszłość. Rozumiesz, że kiedy Darrell zostawił mnie i dzieci, było nam ciężko. – Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. – Ojej... Na miłość boską – wyszeptała, szukając chusteczki w torebce. – Co to za człowiek!

– Mamo – ostrzegł ją anielsko cierpliwym głosem Clark.

Marge westchnęła.

– Tak, wiem, był twoim ojcem...

– Nadal jest, mamo – wtrąciła Caroline. – Nadal jest naszym ojcem. – Nie było ani śladu po niegdyś zalotnej dziewczynie, którą znała Sarah. – Przepraszam. To

było niestosowne, ale mama nalegała. Clark i ja nie chcieliśmy tu przyjeżdżać – zwróciła się do kuzynki.

– Po prostu informuję Sarah o zamiarach Arlene – broniła się Marge. – Wiem, że moja siostra jest teraz nieco... zagubiona... Ale kiedy jeszcze miała wszystko w porządku z głową, chciała mnie zabezpieczyć. Zapewnić mi komfort. Rozmawialiśmy o tym. Ona także nie miała łatwo ze swoimi mężami. Najpierw ten okropny Hugh. Potem Franklin... Och, wiem, że był twoim ojcem i go kochałaś. Ale ten facet był kobieciarzem i bawidamkiem. Wiem, co mówię. Nieraz do mnie przychodził, a raz nawet dobierał się do Caroline...

– Mamo, przestań. – Caroline aż otworzyła usta, a jej skóra poczerwieniała. Następnie zwróciła się do brata: – Wiedziałam, że to zły pomysł.

Clark się skrzywił.

– A co mieliśmy zrobić?

– Odmówić jej i tyle. – Caroline pokręciła głową i ciasniej zawiązała pasek swojego płaszcza.

– Wtedy zrobiłaby scenę na przyjęciu u Dee Linn – przypomniał jej Clark.

– Nie mówcie o mnie w taki sposób, jakby mnie tu nie było, okej? Przepraszam! – Marge wstała i buńczucznie wysunęła brodę. – Myślałam, że nie jesteś taka jak twoi bracia i siostry, Sarah. Sądziłam, że będziesz bardziej współczująca, jako że sama się rozwiodłaś i jesteś samotną matką. Sądziłam, że zrozumiesz, co ci się dzieje, kiedy małżeństwo się sypie, a wraz z nim bezpieczeństwo finansowe, nie wspominając o wsparciu emocjonalnym. Twoja matka zawsze mówiła, że coś odziedziczę... Na przykład ten mały domek, który kiedyś wynajmowaliśmy od twojego ojca, albo...

– Chodźmy. – Clark nagle przejął dowodzenie. Ujął matkę pod łokieć i wyprowadził ją z salonu na korytarz.

– Przepraszam – wyszeptwała ponownie Caroline, a Sarah również wstała z miejsca. – Chyba za dużo przepraszamy. Nie przejmuj się mamą. Jest po prostu zgorzkniała.

– Słyszałam to! – zawołała Marge, gdy Clark otworzył frontowe drzwi.

– Bo miałaś słyszeć, mamo. – Caroline pokręciła głową. – Do zobaczenia, Sarah – powiedziała i wszyscy wyszli frontowymi drzwiami. – Widzimy się na ekstrawaganckiej imprezie u Dee Linn. Niestety, wszyscy tam będziemy.

– Do zobaczenia – odpowiedziała Sarah i poczuła gorzkie rozczarowanie tym, że w przypadku jej ciotki wszystko sprowadzało się do pieniędzy. Patrzyła, jak ciotka Marge odjeżdża swoim starzejącym się mercedesem, pozostawiając za sobą smugę niebieskich spalin i smutek.

Podczas lunchu Jade odkryła, że jej telefon ucierpiał na skutek upadku i ledwie działał, ale na szczęście Mary-A i jej gang zostawił ją w spokoju. Została sama na dworze z dietetyczną colą i przekąską. Chciało jej się zapalić, ale nie miała ze sobą papierosów. I tak naprawdę nie była uzależniona. Używanie komórki było teraz trudne, odczytywanie wiadomości stało się prawie niemożliwe. Najchętniej uduśiłaby Liama Longstreeta i jego durnowatego przyjaciela.

Reszta dnia nie wyglądała wcale lepiej, ale Jade jakoś przecierpiała do ostatnich lekcji, cały czas unikając swojego „anioła”. Potem udała się do skrzydła nauk ścisłych, roztaczającego urok lat pięćdziesiątych, ze starymi laboratoriami i kwaśnym zapachem, który przenikał aż na korytarze. Nie odzywając się do nikogo, usiadła na pustym krześle przy stole laboratoryjnym znajdującym się z tyłu sali. Chociaż na biologii siedziało się w parach, przy każdym stole po dwie osoby, ona do tej pory nie dostała partnera, wobec czego drugie krzesło przy stole było pu-
ste.

Doskonale.

Otworzyła książkę i udawała, że czyta, po czym ponownie sięgnęła po telefon, ale wtedy rozległ się wysoki głos siostry Cory. Poprosiła wszystkich o uwagę.

– Mam dla was ogłoszenie – powiedziała. Stała przy biurku w szarych spodniach i swetrze, ze srebrnym krzyżem zwisającym na łańcuszku na jej szyi. – Nastąpią pewne zmiany. Chodzi o Antonię.

Jade puściła to mimo uszu. Antonia Norelli była kolejną przyjaciółką Mary-Alice oraz asystentką nauczyciela na tych zajęciach, wobec czego Jade nie słuchała siostry Cory i jej zawyłych wyjaśnień, że Antonia zachorowała na mononukleozę. Na koniec swojej diatryby siostra dodała:

– Na szczęście, przynajmniej dla mnie, znaleźliśmy kogoś na zastępstwo. – I zapisała na białej tablicy imię i nazwisko osoby, która miała zastąpić Antonię.

Jade zerknęła i aż ją ścisnęło w środku, gdy zobaczyła, że spod ręki nauczycielki wyłania się napis: Liam Longstreet.

Nie mogła to uwierzyć. Jakie były szanse na to, że Longstreet, uczeń ostatniej klasy i sportowiec, zostanie przydzielony do tej grupy? Jade miała ochotę umrzeć. I to nie raz, ale tysiąc razy. Nie, nawet milion razy. Tego było za dużo. Nawet w duchu zmówiła modlitwę, prosząc o to, żeby to była jakaś kolosalna, galaktyczna pomyłka. Oczywiście przypuszczała, że Bóg, jeśli w ogóle jakiś jest, nic w tej sprawie nie zrobi.

A jednak zrobił.

Dziesięć minut po ogłoszeniu siostry Liam Longstreet, prawie dwa metry arogancji, wszedł do sali, odłożył swój plecak i chyba słuchał, jak Cora prowadzi lek-

cję, w tym nudny wykład na temat rozmnażania roślin. Jade wpatrywała się w zegar, pragnąc, by ta godzina już minęła. Wydawało jej się, że Liam jeszcze jej nie zauważył. A być może ją ignorował, co też jej pasowało.

Ale to zmieniło się pod koniec zajęć, kiedy podniósł wzrok i ich spojrzenia w końcu się spotkały.

Uśmiechnął się.

Och, nie tak miało być!

Była pewna, że odzwie się do niej w jakiś opryskliwy sposób, ale on tylko skinął głową. Jego niemal czarne włosy opadły mu na czoło, gdy schylił się po plecak i wyszedł pięć minut przed dzwonkiem kończącym lekcję.

Tym razem udało jej się uniknąć kolejnej konfrontacji.

Na razie.

Jednak to się zmieni, bo będzie się z nim widziała codziennie na tych zajęciach.

To dopiero pech.

Automatycznie zaczęła pisać do Cody'ego i wtedy znowu zauważyła pęknięcie na ekranie iPhona.

– Wprost wspaniale – wymamrotała pod nosem, po czym uświadomiła sobie, że jednak może wysłać wiadomości, chociaż praktycznie niczego nie było widać na ekranie. Wysłała jeszcze jednego esemesa do Cody'ego, po czym spędziła następne czterdzieści minut, śmiertelnie się nudząc na algebrze. Chociaż komórki były zakazane w salach lekcyjnych, trzymała swoją, z wyłączonym dźwiękiem, blisko siebie w kieszeni. Sprawdziała ekran co pięć minut, podczas gdy nauczycielka, osoba świecka, zapisywała kredą równania na starodawnej tablicy. Nauczycielka była tak zaabsorbowana swoją pracą, że Jade bez problemów mogła sprawdzać telefon. Nie była jedyna. Pewien chłopak siedzący w pobliżu, Sam Jakistam, całkowicie dał się pochłonać pisaniu wiadomości lub graniu w jakąś grę.

Zauważyła, że zerka na nią Dana, ta dziewczyna, która była w toalecie. Dana posłała jej lodowate spojrzenie, a Jade zrewanżowała się miną: „na co się gapisz?”, więc klakierka Mary-A odwróciła wzrok. I dobrze. Jade wkurzał Cody. Nie zjawił się tak, jak obiecał, i znowu napisał, że przyjedzie, ale nie jest jeszcze pewien kiedy. Zadzwoniła do niego, ale nie odebrał ani nie oddzwonił. Nie po raz pierwszy traciła wiarę w niego. Zaczęła się zastanawiać, czy ma już nową dziewczynę.

Co wtedy poczniesz?

Cała odwaga, którą wykazała się przy Mary-Alice, i zarzekanie się, że nikogo nie potrzebuje w tej szkole dla frajerów, stanę się pustymi słowami bez pokrycia.

Zawibrował jej telefon, aż podskoczyła, gdy zerknęła na wiadomość, ale autorem nie był Cody. Wiadomość pochodziła z numeru, którego nie znała.

Chcesz się ze mną umówić?

Co? Czy to jakiś żart zaaranżowany przez Mary-Alice, Longstreeta albo którego z ich głupich kolegów? Nie odpisała.

To ja, Sam. Też nudzę się na lekcji Sprout.

Zerknęła na Sama. Był całkiem spoko. I rzeczywiście, trzymał telefon na udzie pod ławką i udawał, że patrzy na nauczycielkę i sprawdza zadania w książce leżącej na ławce.

Zagramy w grę na fb?

W życiu. I skąd, do cholery, ma jej numer komórki?

Jej palec zawisł nad ekranem. Zastanawiała się nad odpowiedzią, ale zanim cokolwiek zdążyła napisać, komórka cicho zawibrowała i przyszła wiadomość od Cody'ego.

Tęsknię za tobą.

To ją rozczuliło.

Ja za tobą też, napisała, a w jej oczach pojawiły się łzy ulgi.

Do zobaczenia niedługo.

Kiedy?

O Boże, czyżby teraz? Zrobiło jej się ciepło na sercu. Może chce jej zrobić niespodziankę! Szybko otarła łzy i zignorowała kolejne wiadomości od Sama.

Gdy rozbrzmiał ostatni dzwonek, szybko wyszła z sali i prawie wybiegła na klatkę schodową, gdzie z balkonu rozpościerał się widok na parkingi dla uczniów i nauczycieli. Z nadzieją przyglądała się pojazdom. Nie było tam jeepa należącego do Cody'ego. Podeszła na drugą stronę i wyjrzała przez wysokie okna, skąd widać było dziedziniec przed budynkiem oraz pobliskie ulice. Tam też go nie było.

A czego się spodziewała?

To, że napisał, że za nią tęskni, nie oznaczało, że wskoczył do samochodu i przyjechał. Po prostu w głębi serca miała nadzieję, że nie był w stanie znieść rozłąki i przebył te sto pięćdziesiąt kilometrów, żeby ją zobaczyć. Na samą myśl jej serce biło jak szalone. Boże, kochała go. Chciała spędzić z nim resztę życia,

a im szybciej będą razem, tym lepiej. Zerknęła na komórkę, gdzie przy jego numerze widniało zrobione przez nią zdjęcie. Zachwycające, niebieskie oczy, gęste, brązowe włosy opadające na twarz i silna szczęka. Rzadko się uśmiechał, ale w pewnym sensie wyglądał jak gwiazda filmowa, co ją bardzo kręciło. Łobuziak. Obnosił się z postawą, że wszystko mu wisi.

– W typie Jamesa Deana – skomentowała raz matka, chociaż Jade nie wiedziała, kim był ten facet, dopóki go nie wygoogłała. W żadnym wypadku. Cody był znacznie przystojniejszy.

Wierzyła, że ją kocha i że nie może znieść rozłąki. Wmawiała sobie, że chłopak nie szuka wymówek, lecz naprawdę nie jest w stanie przyjechać wcześniej. Ale pracował tylko na część etatu, więc spodziewała się, że się zjawi, że ją zaskoczy przed sobotą.

Może być tak, że chcąc ją zaskoczyć, przyjechał innym samochodem, ale wyglądając przez okna, wiedziała, że chwyta się brzytwy i próbuje go tłumaczyć. Kilka dni temu była taka wniebowzięta i pewna, że Cody nie może doczekać się soboty i że już do niej jedzie, żeby zabrać ją z tej dziury. Ale się myliła.

A ona nie mogła do niego pojechać, bo nie miała samochodu. To ją naprawdę wkurzało. Ile czasu zajmie temu kretynowi Halowi naprawa? Miała jego numer w telefonie, więc od razu zadzwoniła i czekała, aż odbierze. Była pewna, że za chwilę połączy się z pocztą głosową, więc już chciała się rozłączyć, kiedy w słuchawce odezwał się poważny kobiecy głos.

– Naprawa samochodów u Hala.

– Dzień dobry, tu Jade McAdams, mają państwo mój samochód – zaczęła, po czym wytłumaczyła, dlaczego potrzebuje go z powrotem tak szybko, jak to możliwe. Chyba była trochę natrętna, ponieważ kobieta po drugiej stronie linii odpowiedziała:

– Poproszę Hala, żeby do ciebie oddzwonił. Ale mamy też inne samochody na warsztacie.

– Ale to ważne – naciskała Jade, trzymając telefon przy jednym uchu, a drugim nasłuchując gwaru uczniów wchodzących i schodzących po schodach.

– Jestem przekonana, że inni klienci także chcą dostać z powrotem swoje samochody.

Jade miała ochotę krzyżeć. Widziała tych innych klientów. Starszą panią z psem, która przyjechała białym chevroletem impala.

– Jest w doskonałym stanie – powiedziała Halowi, kiwając głową i uśmiechając się. – I chciałabym, żeby tak zostało. Czy wiesz, że ma tylko pięćdziesiąt tysięcy

kilometrów na liczniku? Cóż, oczywiście, że wiesz. Zawsze jeździliśmy autem Randolpha, kiedy żył. Niech Bóg ma jego duszę w opiece.

Jade miała wrażenie, że zaraz oszaleje. Byli tam również inni klienci, kilku facetów, którzy przyprawdzili swoje auta. Tak to właśnie wyglądało w takich dziurach zabitych dechami. Naprawa samochodów u Hala była w tym mieście jedynym warsztatem.

– Ale ja potrzebuję samochodu – powtarzała kobiecie. – Naprawdę go potrzebuję. – Na pewno był jej bardziej potrzebny niż tej starej babie z psem.

– Zamówiliśmy już części i zostały do nas nadane, ale jeszcze nie doszły. Kiedy dojdą, Hal zajmie się twoim samochodem.

– A więc nie macie jeszcze części? – Jade nie mogła w to uwierzyć.

– To starszy model hondy, nie trzymamy części do każdej marki i modelu. Ale już niedługo dostaniesz swój samochód.

Nie aż tak niedługo, pomyślała pokonana Jade. Zeszła po schodach i skierowała się w stronę swojej szafki. Straciła wszelką nadzieję, że uda jej się dotrzeć do Cody'ego. Mama w żadnym wypadku nie pożyczy jej swojego samochodu, więc będzie musiała czekać, aż Cody sam tutaj przyjedzie. Jeśli w ogóle kiedykolwiek się na to zdecyduje.

Nie rezygnuj z niego. Przyjedzie. Wiesz o tym. Po prostu nakręciłaś się, bo sądziłaś, że może zjawi się dzisiaj wieczorem.

I nie tylko. Może nigdy nie przyjedzie. Ale musiał się zjawić! Nie była w stanie wytrzymać kolejnych okropnych dni jako ta nowa w Our Lady of the River. Po prostu nie mogła.

ROZDZIAŁ 17

Robiąc miny przed małym lusterkiem wiszącym przy drzwiach do biura, szeryf Cooke poprawił krawat, zacisnął to cholerstwo na szyi i zauważył, że jego szpakowate włosy coraz bardziej siwieją, chociaż dopiero wiosną miał skończyć czterdzieści lat. Geny matki. Cała jej rodzina miała kruczoczarne włosy, które zaczynały siwieć im przed trzydziestką. Gdy mieli po czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt lat, ich włosy stawały się śnieżnobiałe. Uznał, że właśnie wszedł na tę ścieżkę. Przynajmniej ich nie straci, jako że bardziej wdał się w rodzinę mamy niż taty. Wszyscy mężczyźni i niektóre kobiety ze strony ojca wyłysieli na długo przed śmiercią.

Postara się, żeby konferencja prasowa nie trwała zbyt długo. W końcu nie ma aż tak dużo do powiedzenia, bo prawie wszystkie informacje zostały już przekazane mediom. Nie pojawiły się żadne nowe tropy w sprawie. Rosalie Jamison zniknęła, rozplynęła się w powietrzu.

I to go przerażało.

Poprawił kapelusz, w chwili gdy rozległo się szybkie stukanie w drzwi. Zanim zdążył zareagować, Lucy Bellisario wetknęła głowę do biura.

– Zaczynamy, szefie.

Krótko przytaknął. Nienawidził takich wystąpień. Chociaż chciał być postrzegany jako poważny i rzetelny lider wydziału, który chroni obywateli tego hrabstwa, nie cierpiał związanych z tym obowiązków reprezentacyjnych.

– Jakież informacje na temat jej laptopa lub komórki?

– Nic ciekawego. Wszystkie ślady prowadzące do tego chłopaka z Kolorado wywiodły nas na manowce. Tak jakby nigdy nie istniał.

– Wszystko to sobie wymyśliła?

– Może. Ale jeszcze się nie poddajemy. Podjęliśmy współpracę z operatorem komórkowym i dostawcą Internetu.

– Miejmy nadzieję, że coś znajdziemy. Sprawdziłaś alibi wszystkich miejscowych recydywistów?

– Wciąż jeszcze kilku sprawdzam. Larsa Blonksiego, na przykład. Coś mi tam nie pasuje. Jego przyjaciel, używam tego słowa w luźnym znaczeniu, ciągle zmie-

nia swoją śpiewkę. Muszę jeszcze raz porozmawiać z Larsem i „żoną” Jaya Aberdeena, która tak naprawdę jest jego byłą dziewczyną i mieszka w Cincinnati.

– Kłamstwo ma krótkie nogi – stwierdził.

– No właśnie. Słyszałam też, że w okolicy widziano Rogera Andersona. Być może to tylko plotki, ale rozmawiałam z barmanem w The Cavern i jemu też się wydawało, że był tam Anderson. Jak dotąd nie skontaktował się jeszcze ze swoim kuratorem.

Cooke skrzywił się z niesmakiem.

– Muszę zadzwonić do tego kuratora. Sprawdzę też rodzinę i przyjaciół Andersona, ale to strzał w ciemno.

– Nie ma tu jakiegoś kumpla spod celi?

Potaknęła.

– Sprawdziłam u niego w aktach. Jest taki włóczęga, Hardy Jones. Już zaczęłam go szukać.

– Znajdź go i porozmawiaj z Larsem i jego kolegą od alibi.

– Oczywiście – zgodziła się.

– No dobrze. – Cooke ponownie zerknął w lustro i po raz ostatni poprawił krawat. – Chodźmy.

Rozstawili podwyższenie na zewnątrz pod zadaszeniem nad frontowymi drzwiami tuż przy masztach z flagami, na których powiewała zarówno flaga państwowa, jak i flaga Oregonu. Całe szczęście burza, o której mówiono, nie dotarła do hrabstwa, ale i tak było przeroźliwie zimno. Operatorzy kamer z lokalnej stacji telewizyjnej oraz z Portland rozstawili swój sprzęt. Ich furgonetki parkowały po drugiej stronie ulicy. Przed budynkiem zgromadzili się reporterzy z mikrofonami, a także mieszkańcy miasta. Ciekawscy, którzy byli ukradkiem filmowani przez ludzi z jego wydziału, na wypadek gdyby ktoś z nich naprawdę porwał Rosalie. Taka osoba mogłaby czerpać przyjemność z oglądania wysiłków i uników policji. Przyjdzie na konferencję prasową, żeby przyjrzeć się im z bliska, mogło znajdować się wysoko na liście priorytetów porywacza.

Cooke miał taką nadzieję.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – powiedział, kiedy wybrzmiał już początkowy pisk mikrofonu, a odpowiedzialny za nagłośnienie technik dokonał szybkich poprawek. Głośny i ostry dźwięk zniknął w jednej chwili. – Chciałbym pokrótce przedstawić wam bieżące informacje na temat sprawy zniknięcia Rosalie Jamison – zaczął, po czym zwięźle opisał, co wydarzyło się do tej pory. Ale oczywiście nie było tego dużo.

Cooke wyjaśnił, że badają wszystkie tropy i ma nadzieję, że jak obiecano mu w lokalnej stacji telewizyjnej, na ekranach telewizorów wyświetli się bezpośredni numer do wydziału i dotrze do części Oregonu, Waszyngtonu i Idaho. Być może ktoś widział coś podejrzanego i ich o tym poinformuje. Wyznaczono już nagrodę, więc liczy na to, że nawet najbardziej niechętny informator wreszcie się ujawni. Cooke jednak nie był tego pewny.

Reporterzy zasypali go pytaniami.

– Jakież nowe tropy? – zapytał jeden z nich, wyglądający na dwudziestolatka.

– Nic istotnego, tak jak powiedziałem, badamy wszystkie możliwości.

– Poinformowaliście FBI? – zapytała nienagannie ubrana czarna kobieta z ciemnymi, poważnymi oczami.

– Jeszcze nie. Nie wiemy, czy zniknięcie panny Jamison jest porwaniem.

– Sądzicie, że wyjechała z własnej woli? – zapytała reporterka, dość powątpiewająco. – Czy już wcześniej uciekała z domu?

Silne powiewy wiatru zagrzechotały łańcuchami masztów flagowych.

– Tak jak powiedziałem, nie mamy jasności co do tego, co się z nią stało, ale śledztwo wciąż trwa. Mamy nadzieję, że znajdziemy istotne dowody i tropy, które do niej doprowadzą.

I tak to trwało przez dziesięć minut. Potem, wbrew jego przekonaniom, ale na żądanie tych wyżej podstawionych, nadeszła pora na rodzinę. Sharon Updike wyglądała na załamaną i starszą niż w rzeczywistości. Kobieta poprosiła każdego, kto posiada jakieś informacje na temat jej córki, żeby się zgłosił na policję. Jej wystąpienie było krótkie, łamał jej się głos, zanim emocje ją pokonały, wyszeptała:

– Proszę, proszę, pomóżcie znaleźć naszą córkę. Jeżeli ktoś... – Głos jej się załamał, ale po chwili dokończyła: – ktoś ma naszą córkę, proszę, żeby ją wypuścił. Oddajcie nam naszą Rosie. I... i... O Boże... Rosalie, jeśli mnie słyszysz, kocham cię, twój tata też cię kocha. Proszę, wróć do domu. – A potem opadła w ramiona niewzruszonego Mela Updike'a, podczas gdy biologiczny ojciec Rosalie, zmęczony długą jazdą z Kolorado i zmartwiony zniknięciem córki, patrzył tylko z ponurą miną zza okularów bez oprawek. Mick Jamison był pośepny i nieufny. Miał smutne oczy, gdy tak stał przy o wiele młodszej kobiecie, swojej żonie Annie, która ścisnęła go za rękę.

Ostatecznie było to trudne doświadczenie i według Cooke'a niewiele wniosło do sprawy.

Ale zawsze istniała nadzieja, że ktoś, kto obejrzy wiadomości, coś sobie przypomni i zadzwoni, albo uciekinierka Rosalie usłyszy błagania matki i wróci, albo

porywacz był na tyle bezczelny, że dołączył do niewielkiej grupy, która zebrała się przed komisariatem.

Jeśli tak się stało, Cooke w duchu przysiągł, że przyskrzyni tego sukinsyna i wsadzi go za kratki. Tak czy inaczej, dowie się, co stało się z Rosalie Jamison.

Zanim matka wjechała na parking przed schroniskiem dla zwierząt, Jade zrobiło się strasznie smutno, że Cody'ego nie było w pobliżu. W zasadzie była zawiedziona. Na pewno przyjedzie, stwierdziła, ale miała wrażenie, że wciąż musi go błagać, żeby się zjawił i z nią zobaczył. I to jej nie pasowało. Tak się nie robi, jeśli naprawdę się kogoś kocha. I jeszcze sprawa samochodu. Potrzebowała swojej hondy z powrotem. Bez niej czuła się jak w pułapce. Co gorsza, była cholernie wkurzona na zniszczony telefon, już sobie wyobrażała, jak wkurzy się mama, kiedy się o tym dowie. A tata? Jade wolała nie myśleć, co powie tata. To on go jej kupił i opłacał abonament, żeby mogli pozostać w kontakcie, odkąd wyprowadził się do Savannah.

Trudno będzie mu wytłumaczyć, że telefon praktycznie do niczego się nie nadaje.

– Okej, chodźmy – powiedziała Sarah, gdy znalazła miejsce parkingowe w pobliżu drzwi wejściowych do schroniska dla zwierząt Druga Szansa.

Gracie wyskoczyła jak z procy i weszła do budynku, zanim Jade zdążyła otworzyć drzwi samochodu.

– Chyba jest podekscytowana – zauważyła Sarah, wkładając kluczyki do kieszeni.

– Jak zawsze – rzuciła Jade, ale mama już wysiadła z auta.

Gracie właśnie taka była. Czasami zachowywała się, jakby miała siedem, a nie dwanaście lat, innym razem zaskakiwała Jade swoimi głębokimi, niemal upiornymi, przemyśleniami. Dzisiaj była dzieckiem. Jade weszła za nią do szerokiej recepcji oświetlonej lampami jarzeniowymi odbijającymi się od błyszczącej, wykafelkowanej podłogi. Jedną ścianę zdobiły smycze, obroże i uprząże, podczas gdy na metalowych półkach stały worki z psią karmą, legowiska i ustawione jeden na drugim transportery dla zwierząt. W pobliżu lady recepcyjnej stała tablica, na której przyklejono zdjęcia i informacje o każdym zwierzęciu gotowym do adopcji. Gracie już przeglądała te listy, podczas gdy trójnożny, pręgowany kot, najwyraźniej nieoficjalny odźwierny w schronisku, rozciągnął się na blacie i lekko zakołysał rudawym ogonem na widok nowo przybyłych.

– Jest ich tak dużo – stwierdziła Gracie, przeglądając listy psów i kotów gotowych do adopcji.

– Ale my potrzebujemy tylko jednego – przypomniała jej mama.

– Może weźmiemy też kota? – Gracie wskazała zdjęcie czarno-białego kociaka.

– Jednego. Psa.

Otworzyły się szklane drzwi w tyle pomieszczenia i do środka weszła pulchna, niska kobieta, ubrana w dżinsy i fioletową bluzę z kapturem.

– Przepraszam. – Była zmachana, jakby właśnie biegła. – Byłam w środku i sprzątałam, więc nie usłyszałam dzwonka. Witajcie w Drugiej Szansie. Nazywam się Lovely Bloomsville i jestem tutaj kierowniczką oraz właścicielką.

Sarah szybko przedstawiła siebie i córki, po czym oznajmiła:

– Szukamy psa. Dorosłego, nauczonego higieny, odpowiedniego dla dzieci. – Dodała także, że zależy jej na psie średniej wielkości, i podsumowała: – Przede wszystkim ma to być pies domowy, ale byłoby miło, gdyby potrafił stróżować.

– Stróżować? – powtórzyła powoli Lovely.

Jade spojrzała na matkę wymownie. Serio? Pies stróżujący?

– Mieszkamy za miastem, daleko od innych ludzi – wyjaśniła Sarah. – Posiadłość jest dość duża, więc byłoby miło, gdyby pies szczekał, kiedy ktoś się zjawi. Nie mam na myśli zwierzaka, który gryzie czy choćby warczy na ludzi, bo nie chciałabym stawiać znaku „Uwaga, zły pies”, ale takiego, który ostrzeże nas, jak ktoś zjawi się w okolicy.

– No cóż, jestem przekonana, że już wszystko wiem. – Lovely machnęła ręką. – Oczywiście nie mamy żadnych złych psów. Według mnie to raczej właściciele, a nie psy, zapracowali na złe opinie odnośnie do niektórych ras. Na przykład na te wszystkie akty prawne przeciwko pitbullom. Co za bzdura! Sama posiadam dwa i muszę powiedzieć, że są urocze, nie skrzywdziłyby nawet pchły! Są łagodniejsze od mojej mopsicy. Ta ciągle pakuje się w kłopoty i rządzi w domu. Wszystkich rozstawia po kątach, a one jej na to pozwalają. No dobrze... – Lovely wskazała zdjęcia zwierząt. – Wszystkie nasze psy przeszły testy na to, jak zachowują się w obecności kotów, małych dzieci i innych psów. Pracujemy z nimi każdego dnia, więc wiemy, czy są nieśmiałe, czy też wykazują najmniejsze przejawy agresji, będąc na smyczy, podczas karmienia czy w innych sytuacjach. Mają różne temperamenty. – Złożyła razem dłonie. – Zatem jestem pewna, że możemy wam znaleźć doskonałe zwierzę. Od średniego do dużego? Dobrze zrozumiałam?

– Miałam na myśli psa o wadze około dwudziestu, dwudziestu pięciu kilogramów. Może nawet trochę większego, ale niewiele, i rasa nie ma dla nas znaczenia.

Lovely zerknęła na plakaty na ścianach. Wtedy otworzyły się drzwi do pokoju na zapleczu i wyszedł przez nie szczupły, dwudziestokilkuletni chłopak. Dopóki

ich nie zamknął, słycać było kakofonię szczekania, piszczenia i wycia, która przedostała się do recepcji. Lovely natychmiast się do tego odniosła.

– Jak słyszycie, znalezienie psa, który będzie alarmował, nie powinno być problemem. Chodźcie, oprowadzę was i poznacie kilku kandydatów, a potem będziecie mogły to przemyśleć, wypełniając dokumenty adopcyjne. Jared – zwróciła się do chudego chłopaka, który złapał za miotłę. – Czy mógłbyś przyprowadzić Henry’ego, Shotguna, Brawna, no i oczywiście Xanę? Ale pojedynczo. Zabierz je do pokoju spotkań.

– Jasna sprawa, pani B. – Jared od razu ruszył w stronę drzwi.

– Doskonale. – Następnie Lovely zwróciła się do Sarah i jej córek. – Oprowadzę was szybko po schronisku, a Jared w tym czasie przyprowadzi najbardziej prawdopodobnych kandydatów. Jeśli zobaczycie jakiegoś psa, który wam się podoba, dajcie znać.

Trochę opowiedziała o swojej pracy, a także o zdrowiu i dobrostanie zwierząt w schronisku. Później wprowadziła je w głąb instytucji, gdzie znajdowały się mniejsze psy. Te większe były w innym miejscu, a koty miały swój własny pokój. Świnka z grubym brzuszkiem, Esmeralda, czyli „Ezzy”, była tu czymś w rodzaju maskotki. Maszerowała koło Lovely, cicho pochrumkując z radości, że może im towarzyszyć.

Gracie się rozpromieniła, gdy patrzyła na bawiące się i dokazujące na wybiegu psy. Lovely Bloomsville ciągle mówiła, kiedy spacerowały, ale Jade jej nie słuchała, ponieważ cały czas wibrował jej telefon. Sam, ten świr z algebry, jeszcze nie dawał za wygraną. Ponadto kuzynka Jade, Becky, zostawiła jej wiadomość dotyczącą halloweenowego przyjęcia swojej matki.

Przyjedziesz?, zapytała Becky.

Mama mówi, że musimy, odpisała Jade. **Zero innych opcji.**

Zawsze są jakieś opcje, odpisała Becky.

Hmm, zastanowiła się Jade. Chociaż zachowywała się tak, jakby nie lubiła Becky, tak naprawdę darzyła ją sympatią, ale kuzynka była trochę dwulicowa. Przypominała Mary-Alice, ale z mroczniejszą osobowością, co bardzo pasowało Jade.

Czy będziemy mogli wyjść?, zapytała Jade.

Nie, jeśli zadamy to pytanie.

Jade prawie parsknęła śmiechem.

Zadzwoń później, napisała Becky.

OK.

Jade od razu poprawił się humor. Impreza miała się odbyć w sobotni wieczór, tuż przed Halloween, i przypadkowo był to ten sam wieczór, kiedy miał zjawić się Cody. Tak! W końcu sprawy zaczęły się układać po jej myśli. Jade nie mogła powstrzymać uśmiechu, a mama prawdopodobnie pomyślała, że cieszy ją widok psów.

Lovely Bloomsville pokazała im podskakujące, malutkie chihuahua i yorki, a potem dużego mastifa z obwisłymi wargami, który był wielkości kucyka.

– Nikt nie chce Bubby – powiedziała Lovely, zerkając z czułością na dużego psa. – A jest taki rozkoszny. Podejrzewam, że będzie musiał zostać w schronisku. Prawda, piesku? – Poklepała go po dużym łbie. Jade zastanawiała się, kto więcej waży: pies czy kobieta. W duchu stawiała na Bubbę.

Wszystkie psy podeszły bliżej i podczas gdy Gracie dosłownie znajdowała się w „pieskowym niebie”, Sarah poczuła się nieco przytłoczona.

– To będzie trudniejsze, niż sądziłam – wyznała.

– Zawsze jest trudno – zgodziła się Lovely. – Z kotami wcale nie jest łatwiej. – Kręcąc głową, podniosła rękę, jakby chciała zasygnalizować, że ta praca ją wykończy. – Na szczęście kocham zwierzęta. A tutaj macie te, które według mnie najbardziej się dla was nadają. – Wskazała cztery psy, które uznała za najodpowiedniejsze, po czym wprowadziła je do małego pokoju podzielonego szklanymi przepierzeniami na mniejsze boksy, gdzie można było poznać każdego psa z osobna. Nieśmiały Henry był mieszanką border collie, Shotgun przypominał owczarka, podczas gdy Brawn był husky czystej rasy. Xena natomiast, jedyna suczka, była kundelkiem o jasnej sierści, można było w niej rozpoznać cechy pit-bulla i labradora.

– Możemy zabrać wszystkie? – zapytała Gracie matkę najbardziej niewinnym tonem.

Sarah stłumiła śmiech.

– Chyba musimy zacząć od jednego.

Gracie przyjrzała się dokładnie psom.

– Xena – zdecydowała w końcu, ale była rozdarta.

– Pasuje ci? – zapytała Sarah Jade.

– Mnie się podoba Brawn – odparła szczerze Jade.

– No super – westchnęła Sarah. – Czyli ja mam decydujący głos? – Spojrzała na Lovely. – Niech będzie Xena.

Jade nie mogła się powstrzymać i wyszeptała pod nosem:

– Ale niespodzianka. – Zamilkła jednak, widząc ostrzegawcze spojrzenie matki, na które prawdopodobnie sobie zasłużyła. Prawdę mówiąc, zachowała się podle. Pies miał być dla Gracie i to ona powinna go wybrać. – Xena też jest w porządku – powiedziała. – Serio, podoba mi się. – Potaknęła, żeby podkreślić, że się zgadza, a mama spojrzała na nią tak, jakby poczuła ulgę.

Lovely aż złożyła ręce.

– Doskonały wybór. Xena jest naszą ulubienicą w schronisku. To taka słodka dziewczynka. – Po czym usłyszała samą siebie i dodała: – Ale ma donośny głos.

– I bardzo dobrze – skwitowała ich matka.

– No więc zabierzmy się do dokumentów. – Lovely znowu zaprowadziła je do recepcji, gdzie natknęły się na tego samego mężczyznę, na którego wpadły w pizzerii. Clint Walsh, ich sąsiad, czekał ze smyczą w jednej ręce oraz z portfelem i dużą torbą karmy dla psa na ladzie.

Jared odstawił na bok miotłę i obsługiwał czytnik kart kredytowych.

Walsh zerknął, gdy otworzyły się drzwi i weszły do środka. Tym razem nie uśmiechał się półgębkiem jak poprzednio. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Cześć, Sarah – rzucił, kiedy czytnik wypłutł paragon.

Matka Jade uśmiechnęła się w wymuszony sposób.

– Chyba zapomniałam, jakie to miasto jest małe.

– Powiedziałabym, że jest wielkości jednego kęsa – wtrąciła się Lovely. Walsh skłonił głowę przed Jade i jej siostrą.

– Znacie się? – zapytała Lovely.

– Dorastałam tutaj – wyjaśniła Sarah, czując się nieco niezręcznie. – Clint był, a raczej jest, naszym sąsiadem. Znamy się od dziecka.

– Sąsiedzi wtedy i sąsiedzi dziś. – Włożył portfel do tylnej kieszeni znoszonych dzinsów.

– No nie mogę. Co ma pływać, nie utonie – skwitowała Lovely, a Clint spojrzał na Sarah w taki sposób, że mógłby zmiękczyć stal. Ona jednak szybko się odwróciła.

Z całą pewnością coś między nimi było, pomyślała Jade.

– Do zobaczenia innym razem – pożegnał się Walsh, zabrał worek karmy, zarzucił go na ramię i niosąc smycz w drugiej ręce, wyszedł z pomieszczenia.

Jared na prośbę Lovely poszedł po Xenę.

Tymczasem w mózgu Jade trybiki szaleńczo się obracały, aż cofnęły się do miejsca, którego zwykle unikała. Czy to możliwe? Nie... Nie ma szans. Ale cały

czas liczyła miesiące przed swoimi urodzinami. To była gra, w którą grała ze sobą, odkąd stała się na tyle duża, by zrozumieć seks, ciążę oraz fakt, że pomiędzy zapłodnieniem a narodzinami dziecka mija około dziewięciu miesięcy. Dokonała obliczeń i wiedziała, że mama zaszła w ciążę zaraz po skończeniu liceum. Mama zawsze wspominała o chłopaku, którego miała w college'u. Ale to przecież nie wykluczało tego sąsiada.

Clint Walsh z mocno zarysowaną szczęką, silną budową ciała i szarymi oczami był w odpowiednim wieku.

Mama zachowywała się dziwnie, a „chłopak z sąsiedztwa” i „przyjaciel jej braci” był kimś, kogo Sarah знаła, będąc w liceum. Mama zaszła w ciążę zaraz po jego ukończeniu. Więc...

Nie odrywała wzroku od mężczyzny, który wychodził ze schroniska.

Czyżby to był on?

Zaschło jej w gardle na samą myśl, że być może stała twarzą w twarz z mężczyzną, który ją spłodził. Podeszła więc do okna, żeby popatrzeć, jak wsiada do swojego auta.

Wrzuciwszy worek na pakę, otworzył drzwi od strony kierowcy i przegonił psa siedzącego za kółkiem na miejsce pasażera. Czyżby kowboj? Ranczer? A przy tym inspektor budowlany?

Jade zawsze wyobrażała sobie, że jej ojciec był kimś sławnym, na przykład gitarzystą w grupie rockowej, gwiazdą filmową albo kimś takim. Człowiekiem, z którym Sarah spędziła jedną wspaniałą, niezapomnianą, pełną namiętności noc, podczas której poczęła Jade.

Ale żeby chłopak z sąsiedztwa?

Przyjaciel wujka Joe i wujka Jake'a?

Gdzie w tym miejscu na romantyczność i fantazję?

Przeglądała się, jak tylne światła ciężarówki znikają w ciemności jesiennego popołudnia. Czy wiedział o Jade? Czy odrzucił Sarah, kiedy dowiedział się, że jest w ciąży z niechcianym dzieckiem? Był przystojny, jak na takiego starego faceta dobrze się trzymał. Ale nie był za bardzo podobny do Jade, przynajmniej ona nie widziała podobieństwa. No ale przecież nie przypominała też za bardzo własnej matki.

– Przystojny diabeł, nieprawdaż? – rzuciła Lovely, a Jade aż podskoczyła, uświadamiając sobie, że została przyłapaną na podglądaniu.

– Stary dziad – odpowiedziała szybko i zerknęła na mamę, ale Sarah celowo wpatrywała się w ścianę ze zdjęciami psów.

Lovely dodała:

– Ostatnio bywa dość skryty. Spotkała go wielka tragedia. – Zwróciła się do Sarah. – Trudno pogodzić się z utratą dziecka. Wiem, że ja bym nie potrafiła.

Sarah tylko potaknęła, nie odrywając wzroku od ściany, ale Jade wbiła wzrok w Lovely. Clint Walsh był ojcem? Było jeszcze inne dziecko? Potencjalne rodzeństwo.

– Co się stało? – zapytała.

– Wypadek samochodowy – odparła Lovely ze smutkiem. – Prowadziła jego żona. – Kręcąc głową, dodała: – Wpadli na inny samochód i cóż... chłopak nie przeżył. Nikogo nie zdziwiło, że małżeństwo nie przetrwało, a Andrea się wyprowadziła. Chyba do Kalifornii. – Uświadomiwszy sobie, że plotkuje, kobieta spojrziała w stronę drzwi za ladą, z których właśnie wyszedł Jared, prowadząc Xenę. Suczka ciągnęła za smycz, próbując podbiec do Gracie kłęczącej na podłodze z szeroko rozłożonymi ramionami, żeby powitać nowego psa. – No tak, cóż... To do roboty. Jared, pomógłbyś Gracie zapoznać się z Xeną, prowadzeniem na smyczy, transporterem i całą resztą, podczas gdy my skupimy się na papierologii?

Sarah i Lovely zajęły się procesem adopcyjnym, a Gracie głaskała Xenę i chodziła z nią po recepcji.

Jade z trudem panowała nad sobą. Miała tyle pytań. Chyba z milion. Wszystkie o Clintę Walsh. Ale nie mogła ich zadać tutaj w obecności Lovely, a nawet Gracie, wobec czego trzymała język za zębami, chociaż to ją dobijało.

ROZDZIAŁ 18

Clint postawił torbę z karmą w pobliżu tylnych drzwi, zawiesił kurtkę na haczyku, po czym wszedł do kuchni i od razu skierował się do szafki nad lodówką, gdzie trzymał alkohol. Jego ojciec i dziadek używali tej samej szafki do tego samego celu, domyślał się więc, że niektóre zakurzone butelki są równie stare jak on. Znalazł butelkę whiskey Jack Daniel's, spojrzął na jej zawartość i uznał, że może się jej napić.

– Najwyższy czas, prawda? – zapytał i pochylił się, żeby podrapać psa za uszami. Tex wywijał ogonem i postawił przednie łapy na odzianym w dżinsy kolanie Clinta, żeby móc sięgnąć jego twarzy językiem. – Tak, tak, wiem, ja też cię kocham – powiedział mężczyzna, po czym wsypał do szklanki kilka kostek lodu, nalał sobie sporą porcję whiskey i pociągnął długi łyk.

Dwa razy w ciągu tygodnia wpadł na Sarah. Te dwa spotkania twarzą w twarz były zaledwie czubkiem góry lodowej. A miało być jeszcze gorzej, ponieważ przez Bóg wie jak długi czas będzie musiał zjawiać się w Posiadłości pod Niebieskim Pawiem, żeby nadzorować prace budowlane. Upił kolejny łyk i ponownie rozważył przekazanie tej pracy Dougowi Knowlesowi, ale głęboko w sercu wiedział, że tego nie zrobi. Do tego jeszcze ta sprawa współdzielonego płotu. Kolejny łyk.

Prawda była taka, że w zasadzie cieszył się, że ponownie zobaczył Sarah. W przeszłości uważał, że jest fascynująca, i jak się przekonał niedawno, jego zainteresowanie nią nie przemineło na dobre. Nieważne, co sobie powtarzał przez te lata.

– Idiota – wymamrotał pod nosem i rozgryzł kostkę lodu.

Tex podniósł na niego oczy i zaskamlał, prosząc o jedzenie.

– Tak, wiem. – Użył scyzoryka, który dostał od ojca, rozciął torbę i odmierzył porcję dla Texa, a gdy pies zajaśniał chrupki, przesyłał resztę opakowania do dużego plastikowego wiaderka.

Przez cały czas myślał o Sarah Stewart. Sarah McAdams. Miała byłego męża, który osiedlił się gdzieś na południu, jeśli dobrze usłyszał. Starał się niezbyt uważać, przekonywał siebie, że już na zawsze utracił ją ze swojego życia. Ale teraz kiedy powróciła do Stewart's Crossing i ponownie mieszkała w posiadłości graniczącej z jego ziemią, myślał o niej częściej, niż się do tego przyznawał.

Odsunął od siebie te rozważania i z resztą drinka poszedł do pokoju, by zasiać przy biurku. Uregulował kilka rachunków online i sprawdził pocztę elektroniczną, na wypadek gdyby coś trafiło na jego biurko po jego wyjściu z pracy. Nie musiał pracować w biurze od ósmej do siedemnastej i często udawał się na place budowy, mógł więc część obowiązków wykonywać z domu.

Nic ważnego.

Dobrze.

Skończywszy z dokumentami, uznał, że pora sprawdzić inwentarz. Zbliżała się noc, więc bydło zaraz zasygnalizuje, że nadeszła pora karmienia. Wyrzwał przez okno na stajnię, gdzie trzymał trzy konie. Za zabudowaniami gospodarczymi i pastwiskiem znajdował się las, w którym rosły stare drzewa. Nikt w rodzinie nigdy nie chciał ich ścinać. Dalej na wzgórzu, gdy patrzył w kierunku klifów wznoszących się nad rzeką, widział trójstopniowy dach i wieżyczkę Posiadłości pod Niebieskim Pawiem.

– Dawno, dawno temu – przypomniał sobie i ponownie spuścił wzrok. Spojrzał na biurko i zatrzymał się na zdjęciu Brandona, swojego pięcioletniego syna, siedzącego na łąciatym kucyku na tle niebieskiego nieba i suchej trawy. Było lato, a Brandon miał na głowie kapelusz, o kilka rozmiarów za dużego na niego stetsona, kowbojską koszulę z perłowymi guzikami, chustkę na szyi i skórzane ochraniacze na małych, odzianych w dżinsy nogach. Mrużył oczy, patrząc w obiektyw aparatu, i uśmiechał się, pokazując zęby, które wydawały się zbyt małe, jak na jego piegowatą twarz.

Zapiętko go w gardle, zacisnął szczęki i podniósł oprawione w ramkę zdjęcie, żeby bliżej przyjrzeć się dziecku.

– Tęsknię za tobą, chłopcze. – Poczul ucisk w sercu i ten znajomy ból. Znowu otworzył ranę, która nigdy się nie zablizniła. Normalnie, żeby zachować zdrową głowę, bardzo uważał, żeby nie przypominać sobie każdego szczegółu tragedii. W tej chwili chciał to zrobić. Może miało to coś wspólnego z ponownym spotkaniem z Sarah... Starzy przyjaciele i związki. Jakkolwiek było, pozwolił sobie na wspomnienia.

Brandon nie żył od ponad pięciu lat. Doszło do tego z powodu ciężkiej nogi Andrei i niesprawnego siedzenia w samochodzie. Ona przeżyła wypadek, w którym jej chevrolet zjechał z drogi i wbił się w starą jodłę. Ich syn i małżeństwo nie dostali takiej szansy. Clint przez chwilę przyglądał się fotografii, a potem, jak zawsze, odstaawił zdjęcie na miejsce na zakurczonym biurku. Nigdy nie pogodził się ze śmiercią syna, wiedział już o tym, ale musiał nadal żyć.

Pocieszał się tym, że Brandon zmarł na miejscu, ale nie mógł przestać odtwarzać w głowie godzin poprzedzających ten wypadek. Gdyby to on, zamiast Andrei, zabrał Brandona do miasta – a taki był pierwotny plan, dopóki nie doszło do awarii pompy i musiał wezwać ekipę serwisową – gdyby rzucił Andrei kluczyki do swojego auta, nowszego o dziesięć lat niż jej sedan, gdyby rozłączył się, gdy wyjeżdżali, i uściśnął syna lub przynajmniej pomachał do niego, gdyby zrobił cokolwiek i zmienił choćby o sekundę przebieg tamtego dnia, Brandon może wciąż by żył.

Ale oczywiście nie zrobił żadnej z tych rzeczy i teraz odtwarzał w myślach ten okropny, tragiczny w skutkach dzień, kiedy stracił powód do życia. Pomimo modlitw i współczucia ze strony przyjaciół i ponad roku chodzenia na terapię, nigdy nie pogodził się z tym, co się stało.

Pamiętał, jak przyjechał na miejsce wypadku, gdzie znajdowali się już ratownicy medyczni, strażacy i policjanci. Światła ich pojazdów rozświetlały las, gdy oni rozcinali drzwi chevroleta. Samochód nadawał się do kasacji, metal się poskręcał, szyby rozpadły na kawałki. Spokojne, letnie powietrze przesywały krzyki i rozkazy wydawane przez mężczyzn i kobiety próbujących ocalić jego syna. Chłopca, który już zmarł. Te okrzyki wraz z rozdzierającymi serce wrzaskami i szlochem jego żony ciągle odbijały się echem w jego mózgu.

Ratownicy medyczni odciągnęli ją, gdy próbowała wrócić do samochodu, w którym zauważył bezwładne ciało swojego syna. Wyciągali go z wraku. Krew. Było tak dużo krwi. Clint wyskoczył ze swojej ciężarówki i zignorował krzyki ratowników. Jakaś policjantka próbowała go zatrzymać, ale odsunął ją i brnął w stronę nieruchomego ciała swojego syna.

Pamiętał, jak padł na kolana, swoje własne krzyki, które dzwoniły mu w uszach, a potem nic, próżnia, żadnych obrazów w jego umyśle do czasu, aż ponury lekarz w szpitalu potwierdził to, co już wiedział.

– Jezu – wyszeptał teraz.

Wyprostował plecy i powiedział sobie, podobnie jak tysiąc razy od tamtego dnia, że jakoś będzie musiał sobie z tym poradzić.

Jakoś.

Brandon skończyłby w grudniu jedenaście lat. Chłopiec zmieniłby się w nastolatka, gdyby tylko żył. Zapewne uczyłby się, jak obchodzić się z bydlęm, strzelać z karabinu, chodziłby kąpać się nago w strumieniu, starałby się dopracować rzut za trzy punkty na boisku do koszykówki i po raz pierwszy zakochałby się w dziewczynie, która nosiłaby aparat na zębach...

– Cholera. – Zazgrzytał zębami, opierając się na biurku i próbując wziąć się w garść. Kiedy już pozwolił sobie na myślenie o tej sprawie i na wspomnienia, trudno było powstrzymać potok myśli. Gdy Clint przeżywał trudne chwile, z legowiska Texa w kącie pokoju dobiegł niski, zmartwiony skowyt.

– W porządku – rzucił Clint do psa. Jego słowa brzmiały pusto. Wypił ostatnie kilka kropli drinka i usłyszał warkot silnika ciężarówki. Tex zerwał się z posłania i potruchtał do tylnych drzwi, przy których Clint witał Caseya Rinaldo, mężczyznę, który pomagał mu w gospodarstwie i przy inwentarzu. Skinął głową do Caseya i powiedział:

– W porządku, jedźmy. – Następnie zdjął kurtkę z haczyka. Wkładając ręce w rękawy, zwrócił się do psa, który już stał przy drzwiach: – Mamy coś do zrobienia. – Po czym ponownie odciął się od nawiedzających go wspomnień.

Sarah w końcu zaczęła się rozluźniać, gdy wjechała na wyboistą dróżkę prowadzącą do domu. Chociaż Xena, psia Waleczna Księżniczka, nie wyglądała na psa stróżującego, jej wielkość mogłaby zniechęcić każdego, kto zamierzałby węszyć koło domu lub robić jakąś zadymę.

Oprócz duchów. Żaden pies nie odstraszy istot nie z tego świata, które, tak się składało, zamieszkiwały Posiadłość pod Niebieskim Pawiem.

Nie ma czegoś takiego jak duchy, mimo tego, co twierdzi Gracie lub co sobie wyobraziłaś, będąc dzieckiem. Nie ma.

Ale trochę mocniej ujęła kierownicę. Kiedy skończyły się drzewa i przed nimi ciągnęło się pole, zauważyła, że trawa pochyla się pod wpływem wiatru wiejącego w wąwozie. Nie po raz pierwszy poczuła się tak, jakby ktoś ją obserwował. Jakby niewidzialne oczy podążały za SUV-em, gdy wyjechały z lasu.

– O cholera! Co to jest? – zapytała Jade, prostując się na przednim siedzeniu explorera, kiedy pokonały ostatni zakręt, za którym wyłonił się dom. Przed domem gościnnym parkowała biała furgonetka z metalową tabliczką przymocowaną do drzwi kierowcy.

– To facet, którego wynajęłam, żeby nadzorował prace ziemne. Jest miejscowy i sam ogarnia większość robót oraz usuwa istniejące usterki.

– Longstreet? – zdziwiła się Jade, zjeżdżając w dół fotela pasażera.

– Tak, Keith Longstreet. Czemu pytasz? – Sarah zaparkowała na swoim stałym miejscu. W chwili, gdy ford się zatrzymał, Gracie i pies wypadli na dwór, bo już zdążyli się zaprzyjaźnić.

Jade jednak się nie ruszyła.

– Znasz go? – zapytała Sarah.

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. – Jade podniosła głowę i zerknęła przez boczną szybę. – Czy on ma syna?

– Tak, kilku, jak sądzę i chyba córkę.

– Świetnie – wymamrotała.

– Więc znasz syna Keitha? Poznaliście się?

– Nie. W sumie nie do końca. Chodzi do mojej szkoły. Jest chyba dobrym piłkarzem. O Boże.

W furgonetce otworzyły się drzwi od strony pasażera i do Keitha podszedł wysoki, szczupły chłopak, miał jakieś osiemnaście lat i był ubrany w dżinsy i bluzę z dumnym napisem Krzyżowiec na piersi.

– Rozumiem, że to chłopak, o którym mówisz – powiedziała Sarah z przekąsem.

Przystojny dzieciak o atletycznej budowie i regularnych rysach zerknął na ich samochód i zarzucił kaptur na czuprynę gęstych, brązowych włosów.

– Tak.

– Masz z nim jakiś problem? – domyśliła się Sarah.

– Nie mam problemu.

– Więc dlaczego wyglądasz tak, jakbyś wolała umrzeć?

– On mnie nie zna.

– A więc cię nie przesładuje?

– Boże, mam, nie.

– Wobec tego podoba ci się – uznała, po czym dorzuciła: – Jest całkiem przystojny.

– Przestań! – Jade podniosła się na siedzeniu i złapała za klamkę w drzwiach. – Dlaczego zawsze to robisz? Jezu, nic się nie dzieje. – Jade prawie krzyczała i chyba się usłyszała, ponieważ zniżyła głos. – Nawet się nie znamy, okej? Tymczasowo jest asystentem na lekcji biologii. – Odetchnęła głośno. – Zapomnij, że cokolwiek mówiłam. – Następnie wypadła z samochodu i szybkim krokiem maszerowała ścieżką. Jej długi płaszcz powiewał na wietrze.

Rozbawiona Sarah także wysiadła z explorera. Keith uniósł rękę w geście powitania, a jego syn z komórką w dłoni patrzył na plecy Jade, gdy dziewczyna wchodziła po stopniach prowadzących na ganek.

– Przepraszam, że się spóźniłam – powiedziała Sarah, zapinając kurtkę. Cholera, ale było zimno.

– Nie ma problemu. Właśnie dotarliśmy. Hej – zwrócił się do chłopaka, kiedy zauważył, że syn wysłał wiadomość. – Co ci o tym mówiłem? Odłóż to cholerstwo. Teraz jesteśmy w pracy.

Chłopak wsadził komórkę do przedniej kieszeni zniszczonych dżinsów.

– Daj mi chwilę, tato. – Następnie zawołał do Jade: – Hej, poczekaj!

Sarah stłumiła uśmiech. I to by było tyle w kwestii, że się nie znają.

Jade na chwilę znieruchomiała z ręką na klamce, po czym powoli się odwróciła. Jej oblicze wyrażało wściekłość, kiedy chłopak się do niej zbliżał, biorąc po dwa stopnie naraz.

– O co, do cholery, tu chodzi? – zdziwił się na głos Keith.

Chociaż Sarah nie słyszała ich krótkiej rozmowy, widziała, że chłopak podnosi rękę z rozstawionymi szeroko palcami, jakby próbował coś wyjaśnić Jade, która miała to w nosie. Patrzyła na niego ze złością, zaciskając zęby. Powiedział coś jeszcze, a ona pokręciła głową. Fragment rozmowy dotarł do uszu Sarah.

– I trzymaj tego palanta z dala ode mnie, rozumiesz?

Zanim odpowiedział, otworzyła podwójne drzwi, przeszła przez nie i zatrzasnęła je za sobą. Przez chwilę chłopak stał jak wryty, a potem wsadził ręce w kieszenie i, z nosem czerwonym od wiatru, odwrócił się i wrócił truchtem na podjazd, gdzie czekali Sarah i Keith.

– O co chodziło? – zapytał Keith.

– O nic – odpowiedział chłopak.

– Nie wyglądało jakby o nic – zauważył Longstreet, a ponieważ jego syn tylko przestępował z nogi na nogę, oderwał od niego wzrok i oznajmił: – To mój syn, Liam. Od czasu do czasu ze mną pracuje. Mam nadzieję, że nauczy się prowadzić biznes. Liam, to pani McAdams.

Chłopak spojrzął jej w oczy i uściśnił jej dłoń.

– Miło panią poznać – powiedział cicho.

– Ciebie także, Liam.

– Jest pani mamą Jade? – Zerknął z powrotem na dom.

– Tak. Chodzisz z nią do szkoły. Mam rację?

Potaknął, a jego bluza z Krzyżowcem potwierdzała tę oczywistość. Jeszcze raz szybko zerknął na dom, jakby chciał ponownie popatrzeć na Jade.

– Pani córka także chodzi do Our Lady? – zainteresował się Keith i zanim Sarah odpowiedziała, dodał: – Świetna szkoła. Mają wspaniały program dla sportowców. Wie pani, Liam jest głównym strzelcem w drużynie futbolowej.

– Tato – ostrzegł chłopak, kręcąc głową.

– No, co? Przecież jesteś – szczyił się ojciec. Z porozumiewawczym spojrzeniem stuknął syna w ramię. – Ile goli zdobyłeś w tym sezonie?

– Nie wiem – odparł Liam i się zaczerwienił.

– Czternaście, a sezon jeszcze trwa. – Keith posłał dumne spojrzenie w kierunku Sarah. – Już pobił szkolny rekord, a sezon jeszcze się nie skończył. W zeszłym tygodniu strzelił zwycięskiego gola przeciwko Molalla.

Liam wyglądał jak zbity pies.

– Chyba przyjechaliśmy tu do pracy?

– Oczywiście, że tak. Ale chciałem trochę się tobą pochwalić. To zwycięstwo było niezbędne, żebyśmy dotarli do play-offów.

Syn ponownie spojrzał na niego zakłopotany, więc do Keitha w końcu dotarło, że powinien skończyć ten temat.

– No dobrze, dobrze – rzucił, podnosząc rękę. – Czas przejść do tego, co nas tu sprowadza. Dzień ma się już ku końcowi.

W tej sprawie miał całkowitą rację. Zapadał zmrok, zmiękczając cienie i zwiastując nadejście nocy. W wąwozie znowu zawył wiatr, zakołysał gałęziami wiśni, przypominając Sarah, jak bardzo odizolowane jest to miejsce, które nazywała domem.

Najwyraźniej zadowolony, że rozmowa zesza z tematu jego sportowych umiejętności, Liam wyjął telefon z kieszeni, spojrzał na wyświetlacz, po czym znowu go schował.

Sarah myślała o nim i jego sprzeczce z Jade, ale postanowiła o nic nie pytać. Wskazała na dom gościnny.

– A więc jak idzie?

– Lepiej, niż się spodziewałem. – Keith pokiwał głową, jakby w duchu zgadzając się ze sobą. – Tak naprawdę już kończymy. – Nagle starszy Longstreet przeszedł do interesów, otworzył drzwi swojej furgonetki i wyjął podkładkę na dokumenty, długopis i notes. Na pierwszej żółtej stronie miał listę napraw, o których wcześniej rozmawiali. – W pierwszej kolejności wymieniliśmy rynny dachowe i pionowe, których nie dało się naprawić. Wykorzystaliśmy stare dachówki znalezione w garażu, żeby załatać dziury w dachu. Ponadto zajęliśmy się tą przegniłą deską na ganku. – Długopisem wskazał nową deskę, świeże drewno kontrastowało z ciemniejszym, z którego zrobiona była podłoga. – Schody, barierka i pozostałe deski są w porządku.

– No i dobrze – powiedziała z ulgą Sarah, ciesząc się, że nie odkryli tutaj więcej wad.

– Okna mają dostarczyć w poniedziałek, więc zamontujemy je we wtorek. Nie powinno nam to zająć dużo czasu, jakieś pół dnia. I to by było tyle, jeśli chodzi o zewnętrzną część.

Weszli do środka i Longstreet ponownie zajrzał do listy. Wymienił kilka szybkich napraw związanych z hydrauliką i elektryką. Naprawił stary piec, zajął się problemem gryzoni, pociął nową płytę na mniejsze kawałki, żeby przykryć największe dziury w ścianie sypialni. Urządzenia kuchenne były stare, ale po kilku niewielkich naprawach nadal działały.

– Tutaj trochę zaoszczędziłem – zauważył Longstreet. po czym zaprowadził ją do łazienki, gdzie użyto muszli i umywalki z głównego domu, by zastąpić urządzenia sanitarne z domu gościnnego. Biorąc wszystko pod uwagę, mały domek mógł zostać zamieszkaany w połowie przyszłego tygodnia. Sarah już postanowiła, że wraz z dziewczynkami pomalują go i posprzątają w czasie weekendu, a potem się wprowadzą.

W salonie Longstreet powiedział:

– Pomyślałem, że moglibyśmy przenieść jeden z zyrandoli z głównego domu i zawiesić go tutaj. – Długopisem wskazał połamaną lampę zwisającą z sufitu. – Jest taka jedna w korytarzu, która całkiem dobrze by się tutaj nadała. No chyba że chce pani nową?

– Nie, nie, wykorzystajmy wszystko, co możemy – zgodziła się z jego propozycją.

Przez kilka minut rozmawiali o większym domu, a potem Longstreet i jego syn wsiedli do furgonetki i odjechali, gdy zapadł zmrok. Furgonetka skręciła za róg, warkot silnika ucichł, widać było tylko oddalające się czerwone tylne światła pomiędzy drzewami.

Wiatr ustał.

Wyobcowanie i ciemność wsączały się do duszy Sarah.

Na szczęście jednak to uczucie szybko przeminęło. Gdy dom gościnny zostanie przywrócony do stanu używalności, gdy podłączą tam prąd, wodę i ogrzewanie, nie będzie doświadczać wrażenia, że jest odcięta od reszty świata.

Nad polami zaczęła snuć się mgła, zasłoniła drzewa i wypełniła wawóz. Maczkami objęła rogi domu gościnnego. Główny dom, ledwie widoczny w ciemności, po zmroku naprawdę prezentował się złowieszczo.

Pocierając ramiona, wróciła do explorera, otworzyła tylne drzwi i wyjęła dużą torbę suchej karmy dla psa. Trzymając worek w ręce, pchnęła drzwi SUV-a, żeby

je zamknąć.

Świat ponownie zrobił się ciemny, noc czarna.

Jedyne światło dochodziło z okien na parterze.

No i wystarczy.

Po prostu musiała dołączyć do dzieci i zapomnieć o tym nedorzecznym przekonaniu, że ktoś ją obserwuje. Że ją śledzi. Że tylko czeka, żeby wyrządzić jej krzywdę. Musi odsunąć od siebie te niepokojące myśli i...

Traaaaach!

Gdzieś pękła sucha gałązka.

Sarah odwróciła się w tamtą stronę.

Wpatrywała się w ciemność, wyobraziła sobie jakieś poruszenie w cieniu koło garażu. To właśnie stamtąd dochodził ten dźwięk.

A może się myliła?

A może trzask rozległ się za wiśnią, gdzie łatwo dało się nadepnąć na suche gałązki, które spadły z drzewa?

A może dźwięk doszedł z pobliskiego pola? Zerknęła na ogrodzenie, ale niczego nie zobaczyła. Tylko słabo widoczny zarys białej niegdyś barierki. Poczowała dreszcz, patrząc na macki mgły i wszechobecną ciemność. Wytężając wzrok i słuch, cofnęła się i ruszyła krok za krokiem w stronę domu. Na pewno była tu sama. To, co usłyszała, to prawdopodobnie tylko jakieś zwierzę – skunks, królik, a może nawet jeleni.

Albo pies.

Może rozbrykany pies w ogóle nie wszedł do domu.

A więc gdzie jest Xena?

I dzieci... Rany boskie, przecież są w domu.

Przez chwilę Sarah była przekonana, że nie jest sama, że ktoś lub coś znajduje się w pobliżu i obserwuje każdy jej ruch.

No chyba oszalałaś. Nie ma tu żadnych złych duchów.

Przypomniała sobie, jak zwracała się do „ducha” w pokoju na górze, i poczuła się głupio. Wówczas jej obawy były na tyle silne, że skłoniły ją do zaadoptowania psa. To było nedorzeczne. Oczywiście, że mieszkają tu dzikie zwierzęta. No i co z tego? Dorastała z nimi, czymkolwiek były.

Podniosła torbę i ponownie spojrzała na dom, a wtedy jej wzrok powędrował w stronę okna na drugim piętrze, gdzie znajdował się pokój Teresy, i tam przez

cienką warstwę mgły i szybko zauważyła ruch. Rozmyty kształt kobiety w białej sukni.

Potknęła się i upuściła torbę, która upadając, uderzyła o kamień i się rozdarła. Małe kulki wysypały się na trawę i kamienie, ale Sarah nie zwracała na nie uwagi. Wzrok wbijała w okno i postać za cienką firanką.

Duch?

W żadnym razie.

Spięła się i poczuła, jak unoszą się włoski na jej karku.

Po chwili wszystko zniknęło, ale Sarah zdążyła dojść do wniosku, że widzi tam swoją córkę.

Jade?

Powoli wypuściła wstrzymywane powietrze.

Nie było żadnej niezwiemyj zjawy, żadnego ducha, to mogła być jej córka, rozglądająca się po domu. Jako że było zbyt ciemno, żeby posprzątać bałagan, zostawiła rozsypane chrupki nocnym zwierzętom, które z pewnością zapuszczają się na podwórko, i zaniósła do domu to, co pozostało w torbie.

W kuchni Gracie próbowała nauczyć Xenę podawać łapę. Jak na razie lekcja nie przynosiła spodziewanych rezultatów.

– Użyj tego – zaproponowała Sarah, kładąc torbę na stole. – I znajdź jakieś plastikowe pudełko, żeby przesypać karmę. Torba się rozerwała.

Gracie wyjęła kilka chrupiek z rozerwanego opakowania. Xena przez cały czas obserwowała każdy jej ruch.

– Jade! – zawołała Sarah, stając pod schodami.

– Słucham? – Głos doszedł jednak z salonu, gdzie znalazła starszą córkę owiniętą w kołdrę, piszącą na telefonie i oglądającą coś na iPadzie.

– Co robiłaś na drugim piętrze? – zapytała Sarah.

Jade nawet nie podniosła wzroku.

– Nie byłam tam.

– Byłaś w pokoju Theresy kilka minut temu.

W końcu Jade oderwała wzrok od ekranu, spojrzała Sarah w oczy i pokręciła głową.

– Nie wchodziłam tam.

– Ale ja cię widziałam.

– Nie mogłaś mnie widzieć – zaprzeczyła Jade. Patrzyła na Sarah tak, jakby matka straciła rozum. – Naprawdę sądzisz, że mnie tam widziałaś? W pokoju,

gdzie Gracie widziała ducha?

Po plecach Sarah przeszedł dreszcz.

– Nie byłaś na górze?

– Nie. – Dziewczyna zrzuciła z siebie kołdrę, pozbierała gadżety elektroniczne i wstała. – Po co miałabym tam iść?

– Nie wiem. Może żeby popatrzeć na Liama Longstreeta, sama nie będąc widzianą?

Jada wydała taki dźwięk, jakby się krztusiła.

– O Boże. Po prostu przyjechał, żeby przeprosić za to, że uszkodził mojego iPhone'a. Jest pęknięty – wyjaśniła, podnosząc urządzenie, żeby pokazać je matce. – Ledwie zipie.

Sarah pokiwała głową, patrząc na telefon i próbując nie myśleć o duchu.

– Wydaje mi się, że tata wykupił ubezpieczenie. – Przełykając ślinę, dodała: – Pomyślałam, że moglibyście zostać przyjaciółmi z Liamem.

– Przyjaciółmi. Jego przyjaciel to troll. Miles Prentice. Poza tym on chodzi z Mary-Alice Eklund, największą dwulicową snobką w szkole. Nienawidzę jej.

– To dość mocne słowa.

– Tak, mamo. Wiem, co mówię. Uprzykrza mi życie. I naprawdę nie potrzebuję żadnej pomocy w tej kwestii.

– Jade, jeśli dasz mi czas...

– Nie mam zamiaru wysłuchiwać kolejnych rad – rzuciła.

– A co to ma znaczyć? – Sarah zapomniała już o tym, co zaprzętało jej głowę, i skupiła się na córce.

– Nie byłaś ze mną szczerą.

– W jakiej sprawie?

– Mojego ojca.

– Twój ojciec, Jade... – zaczęła znużonym tonem.

– Czy ten sąsiad jest moim tatą? – zapytała beznamyślnie Jade. – Clint Walsh. Chodziłaś z nim i zerwaliście, kiedy dowiedziałaś się, że jesteś w ciąży?

Sarah otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale czuła się tak, jakby dostała cios w brzuch. Miała ochotę nakłamać, żeby wyplątać się z tej sytuacji. Ale tylko stała zmrożona strachem.

– Policzyłam sobie, mamo. – Jade wysunęła brodę i wyglądała tak młodo i niewinnie. – Nawet nie próbuj kłamać.

– Miałam zamiar z tobą porozmawiać – wyznała Sarah drżącym głosem.

– O Jezu, to prawda. Wiedziałam! O Boże. Ten facet, ten mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałam, jest moim... – Kręciła głową i cofała się. – Dlaczego mi nie powiedziałaś przez cały ten czas? Dlaczego zrobiłaś z tego wielką tajemnicę?

– Nie wiedziałam, jak ci powiedzieć – przyznała Sarah.

– Czy on wie? – zapytała Jade. – Mówiłaś mi, że nie wie.

– Nie wie. Nikt nie wie. Może oprócz babci, która się domyśliła, ale to wszystko. Mogłam zachować to w tajemnicy, ponieważ studiowałam z dala od rodziny. – Sarah nigdy nie czuła się tak zdołowana, dosłownie umierała w środku. Pragnęła cofnąć wszystkie te lata i wyznać Jade prawdę, gdy córka po raz pierwsza zapytała o ojca. – Przepraszam. Mój błąd. Wiem o tym.

– Tylko tyle mi powiesz? – zarzuciła jej Jade z oczami lśniącymi od łez. Z wściekłości otarła je wierzchem dłoni.

– Jade... – Sarah próbowała podejść bliżej, ale córka unikała jej dotyku.

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? I nie mów mi, że kiedy będzie odpowiednia pora, ponieważ właśnie w tym leży problem, mamó. Nigdy nie ma właściwej pory, żeby przyznać się do kłamstwa powtarzanego przez lata. – Prawie krzyczała, głos jej drżał, ból zniekształcił jej rysy.

Boże, co za galimatias. Sama się do niego przyczyniła. I pogarszała sytuację z każdym mijającym dniem, kiedy ukrywała prawdę.

– Masz rację, Jade. Byłam ci winna szczerość. Powinnam była powiedzieć Clintowi.

– To czemu nie powiedziałaś?

– Ponieważ już zerwaliśmy ze sobą, kiedy się dowiedziałam. Wtedy było inaczej niż teraz, kiedy można zrobić test ciążowy tego samego tygodnia, w którym doszło do... zapłodnienia. – Wzięła się w garść. Jak miała jej wyjaśnić, że nie tylko nie byli już ze sobą od kilku miesięcy, ale zeszli się na jeden ostatni raz, który okazał się błędem. Że próbowali wzniecić w sobie coś, co dawno już przeminęło. Że oboje czuli się okropnie, bo on chodził z kimś innym, więc mieli wrażenie, że dopuszczają się zdrady. – On był już z kimś innym, a ja nie chciałam wzbudzać w nim poczucia, że musi do mnie wrócić i się ze mną ożenić.

– Przecież to nie działo się w latach pięćdziesiątych!

– Wiem. Przez lata miałam wiele możliwości, żeby ci powiedzieć. Pytałaś mnie, a ja unikałam tej rozmowy, co było błędem. Im dłużej to trwało, tym trudniej było przyznać się do prawdy. Nie chciałam cię ranić.

– Albo siebie.

– Tak, chyba tak. – Zrobiła krok do przodu. – Przepraszam, naprawdę.

Jade się odsunęła. Sarah wolałaby umrzeć.

– A więc on nie wie. – Jade pociągnęła nosem.

– Nie.

– Zamierzasz mu powiedzieć?

– Chyba powinnam. – Westchnęła i wyjęła telefon z kieszeni, żeby wybrać numer, który pamiętała z czasów młodości.

– Teraz? – Jade wyglądała na zszokowaną. Sarah kątem oka zobaczyła, że przyszła Gracie z psem przy nodze.

– Nie ma lepszej pory niż teraz. Mam nadzieję, że nie zmienił przez te lata numeru.

– Co się dzieje? – zapytała Gracie, wyczuwając napięcie w pokoju.

Sarah podniosła palec.

– Gracie, to nie jest twoja sprawa – zauważyła Jade.

– Dlaczego nie?

Sarah uzyskała połączenie i nasłuchiwała sygnałów. Zrobiła głęboki wdech. Myślała o tej chwili z tysiąc razy, planowała ją. Ale teraz, gdy przyszło co do czego, nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Jeden sygnał.

Drugi.

– Czekaaj! – zaproponowała nagle Jade. – Może powinniśmy poczekać...

Trzeci sygnał i wyraźne kliknięcie, a potem:

– Halo? – W słuchawce rozległ się głos Clinta.

– Cześć – przywitała się Sarah. Cała drżała. Patrzyła w oczy swojej starszej córki. – Tu Sarah. Muszę z tobą porozmawiać. – Ugiwały się pod nią nogi, ale udało jej się nie upaść.

– O domu?

– O czymś innym. Naprawdę chciałabym spotkać się z tobą osobiście. – Jade panicznie kręciła głową, próbując powstrzymać to, co zaczęła. Gracie przenosiła wzrok z siostry na matkę i z powrotem, podczas gdy pies, wyczuwając napięcie, wszedł do salonu i umościł się przy kominku.

– W porządku – powiedział powoli Clint.

– Czy pasuje ci teraz? – zaproponowała Sarah i powoli wciągnęła duży haust powietrza. – Mogę do ciebie przyjechać. Albo jeśli wolisz, ty przyjedź tutaj.

Jade uniosła ręce i histerycznie nimi machała, żeby powstrzymać to, co miało się zdarzyć. Próbowwała zatrzymać tę karuzelę i już jej nie zależało na prawdzie.

– Nie! – powiedziała cicho. – Mamo! Nie!

– Czy coś się stało? – zapytał Clint. Uderzyła ją troska w jego głosie.

– Nie – odpowiedziała łagodniej, niż chciała. Po chwili odchrząknęła. – Nic złego się nie dzieje. – Ciągnęła tę rozmowę, podczas gdy Jade odchodziła od zmysłów. – Ale naprawdę najlepiej byłoby, gdybyśmy porozmawiali osobiście.

– Będę za piętnaście minut. – Rozłączył się, a Sarah wypuściła powietrze z płuc i opadła na stary fotel bujany.

ROZDZIAŁ 19

Wzywał go jej kucyk.

Z każdym stawianym przez nią krokiem ogniście czerwony, kołyszący się za nią, gruby, prosty pęk włosów kusił go i droczył się z nim. Spieszyła się, maszerując chodnikiem we mgle.

Zdjął nogę z gazu, żeby jego hybrydowe auto jechało z prędkością pozwalającą na korzystanie tylko z napędu elektrycznego, który na ulicy nie wydawał żadnego dźwięku. Wyłączył przednie światła, więc we mgle samochód był w zasadzie niewykrywalny dla ludzkich oczu i uszu. Ona i tak niczego by nie zauważyła nawet w dziennym świetle i nawet gdyby dociskał pedał gazu do samej podłogi. Albo rozmawiała przez komórkę, albo pisała esemesy. Myślami krążyła gdzieś z dala od wyludnionej ulicy.

Mimo to musiał być ostrożny. Nie chciał zaskoczyć jej w miejscu, gdzie mogłaby zacząć krzyczeć lub wysłać wiadomość z wołaniem o pomoc do osoby, z którą właśnie rozmawiała. To by mu się nie przysłużyło. Trzeba będzie szybko ją obezwładnić, a wraz z nią unieszkodliwić telefon.

To będzie trudne. Jadąc powoli ulicą, ledwie dotykał stopą gazu i czuł, że każdy mięsień jego ciała się napina. Skorzystał z telefonu i ponownie napisał do swojego partnera. Facet był durniem, ale był niezbędny do szybkiego zakończenia tej roboty. A on tego chciał. I to bardzo.

Jadę na północ do Claymore. Dixon. Bądź gotów.

To się uda tylko wtedy, gdy zjawi się jego kumpel. Na szczęście po tej stronie ulicy nie było żadnych witryn sklepowych ani kamer. Ruch na drodze sprowadzał się jedynie do samochodów ludzi mieszkających w okolicy.

Boże, była taka piękna. Wiedziała o tym. Znalazł jej zdjęcie w kronice klasowej, na którą natknął się w lokalnej kawiarni. Zwinął ją i przejrzał fotografie, więc mógł zawęzić obszar swojego polowania. Potem, mając nazwiska i inne dane z kroniki, wszedł na media społecznościowe i dowiedział się więcej. Kiedy wypatrywał jakiejś dziewczyny przed państwowym liceum, wykorzystywał oprogramowanie do rozpoznawania twarzy. Z tej samej aplikacji korzystał na Face-

booku, Twitterze i Instagramie, dopóki nie znalazł dziewczyny, której potrzebował, i nie ściągnął informacji na jej temat.

Było ich tak wiele do wyboru, ale musiał zawęzić swoją listę. Przysiągł sobie, że wstrzyma się jeszcze dzień lub dwa, przeczeka, aż wzburzenie związane ze zniknięciem Rosalie nieco przygaśnie. Ponadto czekał na właściwy moment, żeby od razu zabrać dwie lub więcej dziewczyn. Wierzył w przeznaczenie i uznał, że Bóg specjalnie postawił ten doskonały okaz na jego ścieżce.

Potrzebował więcej dziewcząt i wiedział, że zegar tyka, a czas nieubłaganie ucieka.

Ta tutaj, Candice, nadawała się z wielu powodów. Miała długie nogi z pięknymi łydkami, gęste włosy, wciętą talię, ładne cycki, wysokie kości policzkowe i uśmiech, na który zapracowała, do niedawna nosząc aparat ortodontyczny. Była inteligentna, dobrze się uczyła, zachowywała się spokojnie i, co ważniejsze, była głęboko religijna. Idealnie zrównoważy dziką Rosalie. Candice będzie tą łagodną.

Chciało mu się palić, ale kazał sobie czekać do czasu, aż dziewczyna zostanie zakuta w kajdanki. Wtedy będzie mógł się odprężyć i porozkoszować dymkiem. Może też uczci to kieliszkiem alkoholu. Najpierw bezpiecznie dowiezie ją do nowego domu, boksu z napisem „Szczęściarz”, ponieważ uważał, że miał szczęście, że ją znalazł.

W zasadzie był zaskoczony, że natknął się na nią, gdy była sama.

Teraz, gdy w Stewart's Crossing zaginęła dziewczyna, ludzie w mieście się pilnowali. Widział plakaty na tablicach ogłoszeń i przy budkach telefonicznych. W lokalnej telewizji zobaczył ogłoszenie o wszczęciu bursztynowego alertu. Słyszał też rozmowy w kawiarni.

Wszyscy w Stewart's Crossing mieli się na baczności i byli ostrożniejsi niż wcześniej. Zniknięcie Rosalie Jamison nie przeszło niezauważone. Stracił też nadzieję na to, że ludzie uznają ją za kolejną nastolatkę, która uciekła z domu. Dziś po południu ten bufon szeryf zaapelował w telewizji o informacje na jej temat. Wystąpili też jej rodzice, straszne prymitywy. Matka załamała się przed kamerami, a ojciec z Kolorado wyglądał na wstrząśniętego, gdy próbował pocieszyć swoją płaczącą byłą żonę.

Wobec czego powinien się teraz przyczać.

Przeczekać.

Pozwolić, żeby ludzie zapomnieli.

Ale nie mógł. Kończył mu się czas, a panika po zniknięciu Rosalie nie chciała wygasnąć tak szybko, jak się spodziewał. Musiał więc zaryzykować kolejne po-

rwaniu, weźmie też jeszcze kilka w Halloween. A potem się stąd ulotni.

Na razie jednak nadarzyła mu się dobra okazja, więc nie miał zamiaru jej traścić.

Nadeszła wiadomość: **Widzę ją.**

Jego serce zaczęło bić szybciej. Odpisał: **Do dzieła.**

Jestem na pozycji.

Poczekaj aż się rozłączy i zaczynamy.

Zbliżył się do niej, był zaskoczony, że nie wyczuła nadjeżdżającego pojazdu.

Była zbyt pochłonięta rozmową.

Jakby Bóg znowu mu sprzyjał, nagle wsadziła telefon do kieszeni i zaczęła przechodzić przez ulicę. Wtedy po raz pierwszy zauważyła jego niewydający żadnego dźwięku samochód z wyłączonymi światłami. Kiedy znalazła się zaledwie kilka kroków od niego, spojrzała w jego kierunku. Spanikowała. Odskoczyła, ale wtedy włączył światła i ją oślepił. W samą porę, by jego współnik mógł ją złapać.

Zacząła krzyczeć, ale było za późno, ponieważ na jej ustach od razu znalazła się wielka dłoń, która ścisnęła też jej nos. Następnie dziewczyna została pchnięta w stronę samochodu.

Doskonale.

Zatrzymał priusa, wyskoczył z pojazdu, w kilka sekund obszedł auto i otworzył tylne drzwi. Począł, aż przyjaciel wepchnie ją do środka, gdzie czekały już na nią kajdanki i szmata do zakneblowania ust. Walczyła, szarpała się i kopała, ale na próżno. Jego współnik wszedł razem z nią na tył samochodu i obezwładnił ją z nieskrywaną przyjemnością. Na obliczu niższego od niego mężczyzny widać było wyraz oczekiwania i radość z okiełznania dziewczyny.

– Nie zrób jej krzywdy – ostrzegł i zatrasnął drzwi. Znowu usiadł za kierownicą. Wybierał boczne drogi i nie przekraczał dozwolonej prędkości. Gdy to było możliwe, unikał innych pojazdów. W końcu wyjechał na drogę prowadzącą w górę. – Słyszałeś mnie? – warknął, zerkając do tyłu. – Znasz zasady. Żadnych siłniaków.

– Ale ona jest taaakaa ładna – sapał drugi mężczyzna. Bez wątplenia przez cały czas miał erekcję. Ciągle na niej leżał i poruszał biodrami.

– Nie dotykaj jej.

– Ale... – Miał szorstki głos, brakowało mu tchu. Ona natomiast jęczała, próbując krzyczeć pomimo knebla.

Szlag.

– Nie rób tego. – Zatrzymał samochód na wzgórzu, zaciągnął hamulec ręczny i ponownie go obszedł, żeby otworzyć tylne drzwi. No oczywiście, jego współnik leżał na dziewczynie, podskakiwał jak opętany i grzebał przy swoich dżinsach. – Wynocha!

– Ale...

– Ruchy!

– O, kurwa! – Przerażona dziewczyna drżała i płakała, gdy z niej zszedł. – Ja tylko...

Kopniakiem zatrzaskała drzwi, a gdy się zamknęły, chwycił klapy brudnej dżinsowej kurtki swojego partnera i rzucił nim o samochód.

– Wyjąłeś cholernego kutasa! Waliłeś sobie na niej konia? To nie jest częścią naszej umowy. – Szarpnął go mocno za klapy i jeszcze raz walnął idiotą o samochód. – Daj jej spokój. Odwal się od nich wszystkich. Mamy robotę do zrobienia. – A potem dodał z niesmakiem: – Wsiadaj!

– Jezu, człowieku...

– I nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno! – wyszczał, a kiedy tamten schylił się, żeby wsiąść do auta, z całej siły kopnął go w dupę.

– Hej! Uważaj sobie! – Mężczyzna się zatoczył, ale odzyskał równowagę i urażony zerknął przez ramię.

– Nie mamy czasu na takie gówno. – Był tak zły, że gołymi rękami mógłby złamać kark temu półgłówkowi. Wsiadł za kierownicę. Na szczęście dziewczyna była tak przerażona, że nie wpadła na to, że mogła przejść ponad siedzeniami i im zwiąć. Zamknął za sobą drzwi i dodał gazu, a wtedy rozległ się sygnał niezapiętego pasa. – Zapnij go, do kurwy nędzy! – wrzasnął i chociaż raz ten idiota go posłuchał.

Sarah wyglądała przez okno. Jade, nie posiadając się ze złości, owinęła się śpiworem i żeby okazać swoją niechęć matce, zajęła jedyną sypialnię na parterze. Tym razem Sarah uznała, że lepiej jej nie wchodzić w drogę. Jade pragnęła prawdy, ale nie była gotowa na to, żeby się z nią zmierzyć. Sarah być może nieco się pospieszyła, od razu łapiąc za telefon i dzwoniąc do Clinty. Czuła ulgę, zrzuciwszy wreszcie z barków ciężar tajemnicy, ale teraz miała jeszcze inne demony, z którymi musiała się zmierzyć. Była przekonana, że każdy, kto kiedykolwiek liźnął psychologii, powiedziałby jej, że potwornie to spieprzyła. Nic już nie mogła zro-

bić. Zdradziła największą tajemnicę swojego życia, której strzegła przez prawie osiemnaście lat.

Dała się zaskoczyć Jade i zachowała się impulsywnie. Zapewne też głupio. Doprowadziła do ogromnej emocjonalnej konfrontacji, która prawdopodobnie skończy się tym, że zarówno Jade, jak i Clint ją zniewidzą. Przynajmniej na jakiś czas. Chociaż miała nadzieję, że czas będzie po jej stronie.

Nie chciała, żeby jej relacje z córką wyglądały tak samo jak jej relacje z matką.

Lepiej przygotuje się na przyjazd Clinta.

Jakby w ogóle dało się do tego przygotować. Wróciła do salonu i zaczęła przekładać drewno z koszyka do zimnego kominka. Układała dębinę tak, jak pokazał jej ojciec wiele lat temu. Zanim rozpała ogień, zakolysała się na piętach, spojrzęła na otwarte palenisko, czując, że zbliżają się do niej cienie tego domu. Tak jak wiele razy w przeszłości. Chociaż lubiła to miejsce, w tych starych ścianach mieszkwały melancholia i smutek, który, według niej, zjawiał się tutaj przez napięcie i emocjonalne dramaty rozgrywające się w tym domu w czasach jej młodości. I prawdopodobnie jeszcze długo przed tym.

Wraz z nadejściem nocy przypomniała sobie, jak siedziała dokładnie w tym pokoju, w ciemności, którą rozświetlał tylko ogień. Jej ojciec spał na kanapie, podczas gdy matka huśtała się na fotelu stojącym blisko płomieni i robiła na drutach. Nigdy nie myliła ścięgu i nie odrywała oczu od robótki. Słychać było tylko stukanie jej drutów, wygrywające niekończące się staccato. Polana w kominku były rozpalone do czerwoności. Głodne płomienie rzucały ruchome, złote cienie. Stary pies myśliwski jej ojca leżał na dywaniku obok kanapy, a obok niego rzucona na podłogę gazeta. Franklin, z okularami do czytania wciąż na nosie, opuszczał rękę na podłogę, aby móc drapać Lady za uszami.

Pewnego razu, kiedy Sarah chodziła do podstawówki, szła z kuchni w stronę schodów, gdy usłyszała głos matki, urywany i nieprzyjemny, jak odgłos jej drutów.

– To wszystko twoja wina – powiedziała Arlene i chociaż siedziała odwrócona plecami, Sarah wyczuła, że matka ma zaciśnięte usta i tłumi furję, która aż promieniuje z jej szczupłego ciała.

Ojciec nic nie odpowiedział żonie, co oczywiście jeszcze bardziej ją zirytowało.

– To, że zniknęli. Theresa i Roger – dodała. – To przez ciebie, bo nie kochałeś ich wystarczająco. Traktowałeś ich inaczej. Nie dlatego, że byli starsi, jak zawsze twierdzisz, tylko dlatego, że nie byli z twojej krwi i musiałeś mnie za nich ukarać.

Cisza.

Mimo złości nadal dziergała swoją robótkę.

Klik. Klik. Klik.

– Nie powinnam była za ciebie wychodzić. To było kłamstwo – zarzucała mu. – Przysięgałeś, że wezmiesz mnie z dziećmi i będziesz je kochał jak swoje. Ale nie kochałeś, prawda? I... I... – Jej głos się załamał. Zaszlochała cicho. Przez kilka długich sekund jedyne, co słyszała Sarah, to szybkie kliknięcia drutów. A potem wymówione ciszej: – Nienawidzę cię, wiesz o tym, prawda? Za to, że rujnujesz mi życie i odbierasz mi dzieci.

Bosa Sarah podeszła bliżej z głośno bijącym sercem. Jej ojciec musiał coś odpowiedzieć na te okropne oskarżenia.

Ale nie odezwał się ani słowem. Sarah wiedziała, że najlepiej zrobi, jeżeli się oddali, po cichu uda do swojego pokoju i będzie udawała, że niczego nie słyszała. Zamiast tego przygryzła wargę, jej dłoń pocila się na szklance mleka, które wyjęła z lodówki. Bała się oddychać, ale zajrzała do pokoju. Na jej drodze stała jedna z dwóch kolumn strzegących wejścia do salonu.

Mama siedziała tyłem do niej na bujanym fotelu i powoli się kołysała. Oprócz niej w pokoju było pusto. Ojciec nie leżał na kanapie, a Lady nie warowała przy nim na podłodze.

Była tylko matka.

Sama.

To zmroziło Sarah.

Powoli, po cichu wycofała się z ciemnego pokoju na klatkę schodową, skąd zamierzała szybko się ulotnić. Gdy piętą dotknęła pierwszego stopnia, odwróciła się i wbiegła na schody.

– Wiem, że tutaj jesteś, Sarah Jane.

Sarah zamarła.

– Nie wiesz, że podsłuchiwanie jest niegrzeczne?

Sarah prawie upuściła szklankę.

– Marsz do łóżka, bo wezmę różgę!

Sarah na paluszkach pokonała resztę schodów, nie wydając ani jednego dźwięku. Nie wypila ani łyka ze szklanki, bo była pewna, że Arlene pójdzie za nią i spełni swoją groźbę.

Drżała pod kołdrą, czekając na pojawienie się Arlene.

Matka jednak nie przyszła.

Następnego ranka Sarah była przekonana, że całą noc nie zmrużyła oka, ale szklanka mleka, którą postawiła na nocnym stoliku, zniknęła. Pamiętała, że sama jej nie wyniosła. Wobec tego musiała odplłynąć w sen. Czyżby matka

wspięła się po starych schodach, stanęła w drzwiach z wierzbową witką w ręce i tkwiła tam oświetlona od tyłu lampą z korytarza, podczas gdy jej wydłużony cień padał na ścianę? Czy to był tylko jej senny koszmar? Czy Arlene naprawdę stanęła w drzwiach z oczami świecącymi jak u demona, z palcami zaciśniętymi na witce i gniewem deformującym jej piękne rysy, gdy z góry spoglądała na swoją śpiącą córkę?

Kiedy Sarah w końcu zeszła na dół, zastała Arlene podśpiewującą coś przy kuchence. Na patelni skwierczał bekon, w piekarniku podgrzewał się stos placków, a kuchnię wypełniał zapach gorącego syropu klonowego. Tata, ubrany w ciuchy robocze, czytał gazetę przy stole, siedząc na swoim stałym miejscu. Nawet nie podniósł wzroku.

– Dzień dobry, słoneczko. Chyba trochę zasnęłaś, co nie?

– Na miłość boską, Frank, mamy dużo czasu – oświadczyła Arlene, ostrożnie wlewając ciasto na blachę do pieczenia. – Chodź, Sarah, weź sobie placki, póki gorące. – Mama obejrzała się przez ramię i posłała Sarah uśmiech. Puściła też do niej oko, tak jakby miały jakąś tajemnicę. Następnie położyła na talerzu kilka placków i kawałków bekonu, po czym podała jej syrop. – Tak długo dzisiaj spałaś, chyba byłaś wykończona.

– Trochę – odpowiedziała Sarah, ostrożnie siadając przy stole, na którym stały dwa puste talerze z resztkami syropu. Było tam też kilka pustych szklanek. Najwyraźniej jej bracia już zdążyli spałaszować śniadanie. „Worki bez dna”, jak często nazywał ich ojciec z odrobiną dumy w głosie.

Miejsce Dee Linn jak zawsze było puste. Arlene rok temu przestała otwarcie walczyć z będącą zawsze na diecie Dee Linn, chociaż Sarah podejrzewała, że cały czas pomiędzy matką i córką panowało podskórne napięcie. Wojna wciąż trwała, tylko zmieniła formę i przekształciła się w deprymującą, powoli przybierającą na sile ciszę.

Przynajmniej Arlene miała dziś rano dobry humor, więc Sarah nieco się odprężyła. Rozkroiła ciepłe, maślane w smaku placki, które z dodatkiem słodkiego syropu czyniły ten poranek jeszcze lepszym. Niemelodyjne podśpiewywanie Arlene oraz zainteresowanie ojca artykułami o sporcie przekonały Sarah, że wszystko wróciło do normy. Jadła ze smakiem i szybko rozprawiła się z zawartością talerza. Gdy skończyła, otarła usta serwetką. Usłyszała stukanie obcasów Dee Linn schodzącej po schodach.

– Pospiesz się! – zawołała niecierpliwie starsza siostra, szybko przechodząc koło kuchni, by zatrzymać się w przedpokoju, gdzie wisały ich płaszcze. – Nie

mogę się spóźnić na pierwszą lekcję – dodała, stojąc przy drzwiach. – Siostra Annabelle mnie zabije, jeśli jeszcze raz nie przyjdę na czas.

– Już idę! – Sarah poczuła się lepiej na myśl, że Dee Linn zawiezie ją do szkoły, gdzie będzie mogła zapomnieć o poprzedniej nocy.

– Jeszcze mleko – przypomniała Arlene, gdy Sara zeszła z krzesła.

Posłusznie wzięła szklankę i uświadomiła sobie, że mleko nie jest zimne, że musiało odstać dłuższy czas poza lodówką. Ale nie przejęła się tym, bo już musiała wychodzić do szkoły. Dee Linn wpadła na chwilę do kuchni, zakomunikowała, że niczego nie zje, zanim w ogóle cokolwiek jej zaoferowano.

– Nie jestem głodna – powiedziała, jak każdego ranka. – Chłopcy są gotowi? Boże, gdzie oni są?

– Najważniejszy posiłek dnia – mruknął ich ojciec, zerkając ponad okularami.

– To tylko spisek producentów płatków śniadaniowych, którzy chcą, abyśmy opychali się ich przetworzonymi, słodkimi wiórami. – Podbiegła do schodów. – Jake! Joe! – Następnie wróciła do kuchni. – Czy możecie ich pospieszyć?

– Wrzaski nic nie pomogą – stwierdził ich ojciec i zamknął gazetę.

Arlene wyłączyła palniki na kuchence i zerknęła przez ramię.

– Mam wziąć swoją witkę?

– Słucham? Nie! – Dee Linn spojrzała na Arlene, ale matka wcale nie patrzyła na swoją starszą córkę, tylko prosto na Sarah, przez co dziewczynka od razu przypomniała sobie o koszmarze poprzedniej nocy, kiedy przyśniła jej się matka stojąca w drzwiach pokoju z różgą w dłoni.

W tej chwili na schodach rozległy się głośne kroki. Bliźniacy zbiegali na dół, popychając się i wrzeszcząc, a ich plecaki latały w powietrzu. W końcu wbiegli do kuchni, mieli mokre włosy, okiełznane za pomocą żelu, twarze wyszorowane do czerwoności. Wokół nich unosiła się niewidzialna chmura zapachu płynu po goleniu.

– Wstawcie talerze do zlewu – rozkazała Arlene.

Bliźniacy zachowywali się tak, jakby chcieli zaoponować, a Sarah ucieszyła się, że odciągnęli od niej uwagę matki, która teraz skupiała się na niesfornych nastolatkach. – Na miłość boską, Joe! Ile wody kolońskiej użyłeś? Czucz ją z odległości kilometra. Nie musisz oblewać się szlauchem!

– Słuchajcie matki – rzucił ojciec.

– Idziemy. – Dee Linn wyglądała tak, jakby miała zaraz dostać ataku apopleksji.

Chłopcy, wciąż się popychając, zabrali swoje talerze. Arlene uniosła brwi, patrząc na Sarah, która zrozumiała, co matka chce jej powiedzieć, i zaczęła pić ciepłe mleko.

Aż nagle coś dotknęło jej języka. Coś, co nie było płynem...

Szybko wypluła mleko do szklanki i zobaczyła czarną kulkę ze skrzydłami i nogami... Po powierzchni pływała zdechła mucha. Spojrzała w oczy matki i poczuła, że jej żołądek zaczyna się buntować. Odstawiła szklankę na stół, wstrząsając resztkami mleka i muchą, po czym wybiegła z kuchni do łazienki na parterze, gdzie zwróciła całe śniadanie do toalety.

Jak mucha dostała się do szklanki?

Czy zdechła w nocy? Sarah była pewna, że to było to samo mleko, które nałała sobie poprzedniego wieczoru. Matka zostawiła je na wierzchu, żeby coś jej udowodnić. Ale żeby mucha? Czy wylądowała w mleku i nie mogła odlecieć, a może jej matka...?

Unosząc głowę, zauważyła odbicie twarzy matki w lustrze nad umywalką. Arlene patrzyła na nią beznamiętnie.

– Co się stało?

– Wiesz, co się stało! – wykrztusiła Sarah. – Sama ją tam włożyłaś!

– Co i gdzie włożyłam? – zapytała Arlene.

– Muchę, mamó, do mojego mleka! – złapała ręcznik do rąk i otarła twarz.

– Znowu zaczynasz – stwierdziła Arlene, wzdychając. – Znowu coś sobie wymyślasz.

– Nie wymyśliłam sobie tej muchy! – Ponownie ścisnęło ją w żołądku, więc splunęła do umywalki, a następnie wsadziła głowę pod kran i puściła wodę na język i usta, próbując pozbyć się okropnego uczucia, że coś wciąż tkwi w jej gardle. Kilka razy stłumiła odruch wymiotny i poczuła, że mama staje obok niej i chyba się uśmiecha.

– Mamó, czy możesz ją pospieszyć? – niecierpliwiła się Dee Linn, przekrzykując dźwięk płynącej wody. – Teraz to już na pewno się spóźnię!

– Twoja siostra źle się czuje. Może powinna zostać w domu i...

– Nie! – Sarah się wyprostowała i otarła twarz ręcznikiem trzymanym przez matkę. – Już idę.

– To się pospiesz – powiedziała Arlene, wydymając usta. – Nie chcemy, żeby twoja siostra jechała zbyt szybko.

Sarah wrzuciła ręcznik do umywalki.

– To tylko owad, Sarah. Przykro mi, że był twoim mleku, ale to cię nie zabije. Wiesz o tym. To nie jest trucizna. Zawsze tak dramatyzujesz. Ja go oczywiście tam nie wsadziłam. Jakbym mogła? I po co miałabym to zrobić?

– Słyszałam cię w nocy – wyszeptała Sarah. – Mówiłaś do siebie. Obwinałaś tatę za zniknięcie Theresy i Rogera.

– Na miłość boską! – Dee Linn pojawiła się w drzwiach. – Nie wiem, co tu kombinujecie, ale ja już wychodzę, z tobą czy bez ciebie!

Żołądek Sarah zrobił kolejnego fikołka, ale szybko się odwróciła, żeby wypłuć żółć do toalety. Zanim się pozbierała i złapała plecak, Dee Linn była wściekła.

– Co się z tobą dzieje?! – krzyczała, prowadząc Sarah przez kuchnię i spiżarnię, gdzie ich matka z ręką opartą na szczupłej talii paliła papierosa. Jej usta bezgłośnie ułożyły się w: „ani słowa” w chmurze papierosowego dymu. Sarah ją zignorowała. Ile razy Arlene ją ostrzegała, żeby trzymała gębę na kłódkę? Zanim Dee Linn pozbierała braci i zmusiła ich, żeby zostawili piłkę w ogrodzie, gdzie zaczęli ją odbijać, zrobiło się naprawdę późno.

Sarah dostała uwagę w szkole, bliźniacy musieli wykonać dodatkowe pompki na wuefie, podczas gdy Dee Linn została „uziemiona” przez siostrę Annabelle w świetlicy Our Lady of the River.

Teraz, prawie ćwierć wieku później, Sarah przypomniła sobie tamtą noc i dzień. To wspomnienie było nieusuwalne i dotyczyło jej spokojnej matki, która patrzyła, jak dzieci jadą do szkoły, paląc papierosa na tylnym ganku.

Jej relacje z matką nigdy się nie poprawiły.

Kiedy wiele lat później urodziła Jade, przyrzekła sobie, że ich stosunki będą doskonałe. Wkrótce przestała być taka naiwna i nabrała przekonania, że doskonałość nie istnieje, ale przynajmniej chciała mieć przyzwoite układy z Jade, które przetrwają przez lata.

Oczywiście się okłamywała.

I to bardzo.

Mogła się za to obwinać albo spróbować naprawić szkody. Teraz przynajmniej prawda wyszła na jaw.

– Przyjechał! – krzyknęła Jade z jadalni.

Sarah tak bardzo pogrążyła się we wspomnieniach, że nie widziała, kiedy córka wyszła na korytarz i stanęła przy oknie obok drzwi.

– Pozwól, że ja to załatwię, a potem będziesz mogła z nim porozmawiać w cztery oczy. Albo i nie. Będę w pobliżu.

– A co ze mną? – zapytała Gracie. Już sobie poskładała to, co wydarzyło się kilka minut wcześniej. Sarah musiała potwierdzić, że dobrze zrozumiała.

– Czy ty i Xena możecie pójść na kilka minut do kuchni albo do jadalni? A potem zobaczymy, jak to się potoczy. Prawdopodobnie przyjdę do ciebie.

Jade kręciła głową.

– Nie chcę być z nim sama.

– Będę tuż obok. Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze – zapewniała, chociaż sama nie wiedziała, jak to miałyby się potoczyć.

– To jakiś koszmar – westchnęła Jade pod nosem, gdy Sarah w myślach odliczyła do pięciu i przeszła przez korytarz, żeby otworzyć drzwi. Wtedy uświadomiła sobie, że jej córka miała rację. Ten wieczór zmienił się ze złego w tragiczny.

Pod ostrym światłem żarówki wiszącej na ganku nie stał Clint Walsh.

Absolutnie nie on.

Osobą czekającą przy drzwiach był Evan Tolliver we własnej osobie. Mężczyzna, którego nie chciała już nigdy oglądać.

Najwidoczniej niczego nie zrozumiał.

ROZDZIAŁ 20

Jade miała ochotę umrzeć.

Tutaj.

I teraz.

Gdyby tylko Bóg ją zabrał, wszystko ułożyłoby się lepiej, nie musiałaby zmierzyć się z prawdą i z ojcem, który prawdopodobnie wtedy jej nie chciał (albo mamy, która nie powiedziała mu prawdy), a z całą pewnością nie potrzebował teraz niedogodności związanych z nastoletnią córką.

Stojąc w pewnej odległości od drzwi, spojrzała na wejście do domu. Jej serce biło jak szalone, a wnętrzności skręcały się w milion węzłów. Nie ujrzała tam jednak mężczyzny, który prawdopodobnie był jej ojcem, ale tego palanta, Evana Tollivera, stojącego na ganku i próbującego roztaczać swój urok osobisty. Wiedziała, że jego obecność tutaj jeszcze tylko pogorszy całą sytuację.

Czy da się jeszcze bardziej skomplikować czyjeś życie?

Nie tylko ona tak się czuła. Gracie, nieruchoma jak głaz, w końcu oderwała wzrok od drzwi i spojrzała na Jade, po czym cofnęła się i zniknęła w cieniu, podczas gdy pies tylko nisko zawarczał, co zabrzmiało jako ostrzeżenie. I dobrze! Jade miała nadzieję, że Evan to usłyszał i zrozumiał przesłanie, i zaraz się stąd wyniesie.

Objęła się ramionami i myślała o mężczyźnie, o którym wiedziała teraz, że jest jej ojcem. Dlaczego mama nie miała dość odwagi, żeby zachować się uczciwie, kiedy po raz pierwszy zapytała ją o ojca? Dlaczego trzymała to w tajemnicy? Gdyby wszyscy mieli taką samą wiedzę od samego początku, oszczędziliby sobie całej tej dramy i wszystkich tych nerwów. Wszyscy rozumieliby, jak sprawy się mają. Może nawet nawiązałyby jakieś relacje z tym mężczyzną. Ale nie, Sarah zachowała prawdę dla siebie, a teraz Jade miała stanąć twarzą w twarz z obcą osobą i... No właśnie, co? Żywić nadzieję, że nawiąże z nim jakąś relację?

Pora zejść na ziemię.

Mama naprawdę wszystko zepsuła, i to nie tylko w tej chwili. Jade była pewna, że matka trzyma w zanadrzu jeszcze wiele sekretów na temat rodziny. Mimo że

Sarah pracowała nad tym projektem ze swoim rodzeństwem, w rodzinie nie układało się najlepiej. Wcale jej to nie dziwiło.

Tak naprawdę mama była po prostu dziwna, prawdopodobnie przez to, że cała jej rodzina przypominała taką żywcem wyjętą z gotyckiej powieści. Poza tym była jeszcze ta sprawa ducha. Czy naprawdę istniał? Jade nie miała pojęcia. I tak naprawdę miała to gdzieś. Wiedziała tylko, że Sarah kłamała w sprawie jej biologicznego ojca i nie była w stanie utrzymać związku z jej ojcem adopcyjnym. Noel McAdams opuścił je kilka lat temu, a Jade nigdy nie przebaczyła matce tego idiotycznego posunięcia. Noel McAdams traktował ją, jakby była jego rodzoną córką, dopóki matka go nie wkurzyła i nie rozstali się na dobre. On wyjechał wtedy na drugi koniec kraju i zasadniczo zniknął z ich życia.

Miała wiele powodów do nienawiści w stosunku do matki, a teraz jeden z nich stał na ganku i sądząc po jego wsiowym uśmiechu, próbował ponownie wkupić się w łaski Sarah.

Jedyną mądrą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła jej matka, było zerwanie z Evanem Tolliverem. Gorzej, że to nie dotarło do tego palanta.

Powinien już sobie pójść, zanim zjawi się Walsh i wszystko eksploduje. O Boże, gdyby tylko mogła stąd uciec...

Ledwie ta myśl zaświtała jej w głowie, wyjęła rozbitą komórkę z kieszeni, żeby napisać do Cody'ego. Zadzwoni do niego później, ale teraz chciała, żeby czuwał przy telefonie i pomógł jej stworzyć plan.

Zamierzała opuścić ten potworny, stary dom i swoją dysfunkcyjną rodzinę najszybciej jak się da.

Spojrzenie Evana nieco złagodniało, gdy spojrzał na Sarah. Jak na swoje standardy, był ubrany niezbyt elegancko: miał spodnie khaki, sweter i kurtkę. Był przystojnym, lecz pozbawionym serca człowiekiem.

– Cześć, Sarah – przywitał się, uśmiechając się tak, jakby dzięki temu mógł stościć lody, które zalegały między nimi po ich ostatniej rozmowie. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Co ty tutaj robisz, Evan? – zapytała Sarah. Czyż mogła być gorsza pora na to, żeby zjawił się na jej progu?

– Pomyślałem, że cię zaskoczę.

– Misja zakończona sukcesem – stwierdziła.

Z przekorą udawał, że nie rozumiał aluzji. Na dworze wiał zimny wiatr ze wschodu, rozrzucając suche liście i sięgając w głąb jej duszy.

– Po prostu chciałem cię zobaczyć.

– Powiedziałam ci...

– Ciii. – Podniósł rękę z szeroko rozstawionymi palcami i pomachał nią tuż przed jej twarzą. – Musimy porozmawiać. – Jakby uświadomiwszy sobie, że jego gest mógł wydać się zbyt napastliwy, opuścił rękę i zrobił krok w jej stronę, co wyglądało tak, jakby zamierzał wejść do domu. Zastawiła mu drogę.

– Już ci powiedziałam, że układałam życie na nowo, sobie i dziewczynkom. Nie ma w nim miejsca dla ciebie. – Mówiła stanowczo. – Jestem przekonana, że wyraziłam się jasno, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

– To cholernie poważna sprawa.

Założyła ręce na piersi i próbowała brzmieć spokojnie, chociaż w środku kiwała ze złości i niepokoju. Co on sobie wyobrażał?

– Może i tak, ale tak właśnie mają się sprawy. – Bardziej poczuła, niż zobaczyła dzieci stojące za nią, po czym usłyszała niskie warczenie Xeny.

– Co się z tobą dzieje? – Jego uśmiech zmienił się w okrutny grymas. Był o kilkanaście centymetrów od niej wyższy, więc jego postura mogła ją przytłaczać.

– Mamo? – wyszeptwała Gracie.

– Nie teraz, Grace. – Sarah bez jednego mrugnięcia zmierzyła Evana wzrokiem od stóp do głów. – Nie potrzebujemy żadnych scen. Proszę cię, żebyś stąd sobie poszedł.

– Chciałbym tylko porozmawiać. Rozumiesz? W cztery oczy.

– Powiedziałam już to, co miałam do powiedzenia. I naprawdę wybrałaś złą porę. – Pora była nawet gorsza, niż mógłby się spodziewać, ponieważ już usłyszała niski warkot silnika ciężarówki wybijający się ponad szmer rzeki. Bez wątpienia zbliżał się pick-up Clint. Cudownie. – Powtarzam, to nie jest dobra pora.

– Sarah...

– Proszę, odejdz. Nie zmuszaj mnie do tego, żebym wezwała policję.

Zaniepokoiła się, widząc błysk świateł auta pomiędzy drzewami. Właśnie była mowa o złej porze. Jeśli nie uda jej się pozbyć Evana, sprawy mogą przybrać bardzo zły obrót. Albo jeszcze gorszy.

– Gliny? – Był bardziej rozzłoszczony niż zraniony. – Chyba sobie żartujesz?

– Nie. – Wyjęła komórkę z kieszeni i zaczęła wybierać numer 911. Po czym zapytała: – Jak mam to zgłosić?

– Na miłość... – W końcu Evan usłyszał ciężarówkę i zobaczył światła auta, które zdążyły już oświetlić ścianę domu. – Och, czyli o to właśnie chodzi... Spodziewałaś się kogoś? – Odwrócił się, żeby zobaczyć, jak Clint parkuje swojego starego pick-upa koło garażu. – Co, do cholery?

Gdy silnik ciężarówki zgasł, Clint wyskoczył z kabiny, pchnął ramieniem drzwi i z rękami w kieszeniach kurtki ruszył w stronę domu.

– No oczywiście – wymamrotał Evan z furią i spojrzał potępiająco na Sarah. – Wciskałaś mi kit.

Nie chciała się kłócić, bo i tak by jej nie uwierzył.

– Po prostu idź stąd.

– Zrobiłaś ze mnie cholernego głupka. Okłamywałaś mnie i zdradzałaś. Nie-wia-ry-god-ne! – Skóra na jego twarzy się napięła. – Wiesz co? Czuję od ciebie smród innego mężczyzny...

– Coś takiego nie miało miejsca – przerwała mu.

– Przeprowadziłaś się tutaj ze względu na niego. – Oskarżycielsko wycelował w Clint'a palec. Walsh właśnie dotarł do słabego kręgu światła rzucanego przez lampę na ganku.

– To nie tak – zaczęła oponować, po czym się zreflektowała. – Słuchaj, nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Po prostu odejdz.

Clint wspiął się na ganek, biorąc po dwa schody naraz.

– Czy coś się stało? – zapytał Sarah.

Evan się najeżył.

– Ty mi powiedz.

– Evan właśnie wychodzi – oznajmiła Sarah zwięźle. – Albo poproszę policję, żeby go stąd odeskortowała.

– Policja? – Clint uniósł brwi.

Sarah spojrzała ze złością na Evana, po czym przedstawiła ich sobie.

– Clint Walsh, a to Evan Tolliver, mój były szef w Tolliver Construction. Wydaje mu się, że było między nami coś więcej. I że nasza znajomość wykraczała poza sprawy zawodowe.

– I słusznie, tak było, do cholery. – Evan zmrużył oczy. – Kim, do licha, jesteś?

– Clint jest moim sąsiadem – wyjaśniła beznamiętnie Sarah.

– I kim jeszcze? – dopytywał Evan.

Stając bliżej Sarah, Clint powiedział:

– Według mnie, powinieneś spełnić prośbę tej pani.

– Nie ma mowy. – Evan nie chciał ustąpić. Sarah pragnęła, żeby wszyscy rozpłynęli się w powietrzu. – Między Sarah i mną są niedokończone sprawy.

– Nie, nie ma. – Sarah nie ustępowała ani o krok.

– Słyszałeś, Tolliver – zauważył rzeczowo Clint. – Chce, żebyś stąd zniknął, a jak ją znam, wezwie policję. I nie jest to czcza pogroźka. Zazwyczaj robi to, co mówi. I nie owija w bawełnę.

– Czyżby? – Evan się odsunął i zmierzył Clintą wzrokiem, podczas gdy Sarah umierała w środku. *Nie owija w bawełnę? Nie za bardzo, Clint. Niedługo się o tym przekonasz.*

– To, czego się dopuszczasz, jest naruszeniem własności prywatnej – ciągnął Clint. – A jeśli przyjadą gliny i dowie się o tym prasa, nie będzie to zbyt dobrą reklamą dla twojej firmy budowlanej, prawda? Na pewno nie będzie to rozgłos, na jakim ci zależy.

Jakiś mięsień pulsował w szczęce Evana, który próbował panować nad swoją wściekłością, wciąż stojąc pod nagą żarówką. Nie lubił przegrywać. Nigdy. I rzadko się wycofywał. Sarah o tym wiedziała. Była świadkiem tego, jak jego projekty budowlane poważnie wykraczały poza ustalony budżet albo musiały zostać porzucone ze względu na to, że Evan nie potrafił przyznać się do błędu ani odpuścić, jeśli czegoś chciał. Ale teraz, na ganku jej starego domu, kiedy Clint spokojnie stwierdzał fakty, Evan naprawdę cofnął się o krok. Gdy się zawahał, Clint mu doradził:

– Już pora na ciebie.

Evan zacisnął dłonie w pięści. Z trudem panował nad wściekłością.

– W porządku – wycedził w końcu przez zaciśnięte zęby. – W porządku – wyrzucił wreszcie. – Ty i Sarah. O to właśnie chodzi. – Zachnął się z niesmakiem. Gdy ponownie spojrzął na Sarah, w jego oczach widać było zimną furię. – To już koniec – ostrzegł.

– Owszem – potwierdziła stanowczo.

– Przekonamy się. – Potknął się, cofając na skraj ganku i niemal się przewrócił, zbiegając po schodach, w ostatniej chwili zdołał złapać równowagę.

Clint w napięciu czekał na rozwój wypadków. Gdyby Evan nie odjechał, był gotów wziąć sprawy w swoje ręce.

Evan zawahał się, jakby zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale widząc minę Clintą, rozmyślił się, odwrócił się na pięcie, jeszcze raz spojrzął groźnie na Sarah, po czym wszedł do swojego auta.

– Chyba nie lubi, jak mu się odmawia – zauważył Clint, gdy Evan odpalił.

Sarah w końcu wypuściła powietrze z płuc, ale wciąż mocno trzymała kómkę w ręce.

– Evan żyje w świecie fantazji, ale tak, rzeczywiście kilka razy się z nim umówiłam. Mój błąd.

– Mhmmm.

Evan dodał gazu, jego samochód wyrwał do przodu, zatoczył szerokie koło, prawie kosząc po drodze wiśnię. A nawet udało mu się wzbić w powietrze praktycznie nieistniejący zwir.

– Pewnie jeszcze go zobaczysz – przewidział Clint, gdy tylne światła samochodu Evana zniknęły między drzewami. – To dlatego mnie tutaj wezwałaś?

– Właściwie nie – przyznała z sercem podchodzącym jej do gardła. Teraz, kiedy Evan i jego groźby zniknęły, ciężar tego, co miało się wydarzyć, z powrotem opadł na jej barki. – Chodzi o coś innego. Proszę, wejź. Musimy porozmawiać. Ty, ja... i Jade. – Wskazała głową w stronę korytarza, gdzie czekały jej córki i pies. Kiedy Clint wszedł za nią, powiedziała do Jade: – Chodźmy do salonu. Clint, poczekasz tam na mnie?

– Jasne. – Ściągnął brwi, chyba poczuł zagubienie, słysząc jej mętne wyjaśnienia, ale udał się do salonu.

Sarah położyła dłonie na ramionach Gracie i skierowała młodszą córkę w stronę kuchni.

– Proszę, daj nam kilka minut. Kiedy mu powiem, o co chodzi, przyjdę do ciebie. Prawdopodobnie będą chcieli porozmawiać z Jade w cztery oczy.

– Sądzisz, że to będzie takie proste?

– Nie ma szans.

– To trochę dziwne, mamo.

– To bardzo dziwne – odpowiedziała Sarah ze śmiechem pozbawionym radości. Z powodów, których nie potrafiła nazwać, czuła się źle, odcinając Gracie od spotkania, ale wiedziała, że jest to winna Jade i Clintowi. Chciała zapewnić im jak najwięcej prywatności. – W porządku. Trzymaj kciuki, żeby dobrze poszło – rzuciła, kierując się w stronę salonu.

– Powodzenia, mamo. Chyba będzie ci potrzebne. – Chociaż Gracie i Xena były w kuchni, Sarah była pewna, że młodsza córka będzie trzymała się w pobliżu zwieńczonego łukiem przejścia, żeby móc podsłuchiwać.

Wracając do salonu, Sarah zauważyła, że śledzą ją dwie pary oczu. Te Jade były zmartwione i przestraszone. Clint, który stał w pobliżu jednej z kolumn, patrzył na nią pytająco.

– Okej, a więc co jest aż tak ważne? – zapytał i zanim odpowiedziała, uśmiechnął się lekko i dodał: – Wiesz, Sarah, wglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Pewnie tak było – rzuciła Jade pod nosem.

– Nie teraz. – Sarah nie chciała zmieniać tematu tej rozmowy. – Mamy ważniejsze kwestie do przedyskutowania w tej chwili.

– Kwestie? – powtórzył Clint. – Ale nie chodzi o Tollivera?

Sarah pokręciła głową.

– Po prostu się tu zjawił, kilka minut przed tobą. Wybrał złą porę.

– Bardzo złą – zgodziła się Jade.

– Masz jakieś kłopoty? – zapytał Clint Jade.

Dziewczyna usiadła koło paleniska i skurczyła się w sobie, po czym przykryła kocem stopy.

– Nie... – Chociaż raz Jade zabrakło języka w gębie. Porzuciła wyjaśnienia i spojrzała na matkę, licząc na jej pomoc. – To... To jest... skomplikowane.

– To ja mam kłopoty – wtrąciła Sarah.

Zdezorientowany Clint znowu ściągnął brwi i objął Sarah ramieniem. Uścisnął ją, okazując wsparcie. W ciągu sekundy przypomniała sobie jego zapach, łątwość, z jaką się z nim rozmawiało, to, jak bezpiecznie zawsze się czuła, kiedy był w pobliżu. Podczas gdy życie w tym domu z rodzicami i rodzeństwem było emocjonalnym rollercoasterem, Clint zawsze był dla niej opoką. Przyjacielem, który z czasem stał się namiętnym kochankiem. Nawet kiedy oficjalnie ze sobą zerwali, nie potrafiła mu się oprzeć. O Boże, to będzie jeszcze trudniejsze, niż sądziła. Ale musi przez to przejść. Wysunęła się z jego objęć. – Może powinienesz usiąść?

– Czeka mnie trudna rozmowa? – zapytał na wpół kpiąco.

– Bardzo.

– Tak – zawtórowała Jade.

Zerknął na dziewczynę i lekko zmrużył oczy, a potem, siadając na skraju starej kanapy z rękami pomiędzy kolanami, podejrzliwie spojrzał na Sarah.

– W porządku, zaczynaj.

– To nie będzie łatwe – zapowiedziała Sarah i poczuła, że poca jej się dłonie. – Ale postaram się wszystko wyjaśnić. Nie tylko tobie, ale także twojej córce.

Milczenie.

Patrzył na nią. Ogień syczał i pykał, Jade stawała się coraz mniejsza.

– Mojej córce? – spojrzał na Sarah, jakby coś źle usłyszał, albo jakby uznał, że upadła na głowę. – Ja nie mam... – Przeniósł wzrok z Sarah stojącej koło kolumny

na Jade siedzącą przy kominku i patrzącą na niego dużymi, zmartwionymi oczami. Palce zaciskała na pledzie, a jej twarz była blada jak u ducha.

Drżąc w środku, Sarah próbowała wyjaśnić.

– Tak, Clint, Jade jest twoją...

– Słucham? – wyszeptał, najwyraźniej wciąż nie wierząc w jej słowa. – O czym ty mówisz? – Przez chwilę milczał i myślał. Coś obliczał w głowie. Wtedy mu zaświtało.

– Jade jest naszą córką – powiedziała Sarah, zanim odzyskał głos.

Jade zamknęła oczy i wyglądała tak, jakby pragnęła zapaść się pod ziemię.

Clint zacisnął szczęki.

– W porządku – wydusił, zwracając się do Jade. A kiedy ona nie otworzyła oczu, dodał: – Daj mi chwilę. Wszystko będzie dobrze.

Sarah nie była pewna, kogo próbował przekonać.

– Nie, nie będzie – wyszeptała Jade, szybko mrugając powiekami, żeby powstrzymać łzy, co rozdarło serce Sarah na dwie części.

– Niech to szlag – wyszeptał Clint. Nie mógł otrząsnąć się z oszołomienia, ale było jasne, że próbuje okiełznać emocje. Kiedy jednak spojrział na Sarah, jego wzrok był zimny i potępiający. – No dobrze, Sarah. Słucham.

ROZDZIAŁ 21

Ta noc, na tyle, na ile Rosalie potrafiła stwierdzić, siedząc w swojej więziennej celi, była spokojna. Wiatr ustał, nie było słycać żadnych nocnych ptaków. Całkowicie samotna, leżała na małej pryczy, trzymając w rękach fragmenty cążek do paznokci. Przez cały czas zastanawiała się, jak powinna ich użyć.

Jeśli tylko nadarzy się okazja.

Jeżeli nie została tu pozostawiona, by umrzeć z głodu i pragnienia.

Wzdrygała się na myśl, że jej przetrwanie zależy od niego.

Dlaczego, och, dlaczego nie przyszła po nią matka? Czy tata w ogóle wiedział, że zaginęła? Czy Sharon wpadła na to, żeby do niego zadzwonić? Czy poinformowała policję? A może była tak zaabsorbowana tym palantem Melem, że w ogóle nie zaprzętała sobie tym głowę?

Nie, to niesprawiedliwe myśli. Jej umysł płatał figle. Nie mogła pozwolić na to, aby samotność odbierała jej rozum. Musiała mieć nadzieję.

Spojrzała w górę i zobaczyła błysk światła w oknie, ale uznała, że prawdopodobnie ma halucynacje. Nie... jednak nie. Czy ten dźwięk to odgłos silnika? Nie głošny warkot ciężarówki, ale... O Boże, może ktoś ją znalazł!

Zerwała się na nogi i już miała krzyczeć, żeby zaalarmować osobę, która się zjawiała, żeby ją ocalić, ale zanim wymówiła choćby słowo, ugryzła się w język. Może osoba, która się tu zjawiała, wcale nie była jej przyjacielem. Jak dotąd porywacze nie zrobili jej większej krzywdy, chociaż wiedziała, że mieli złe intencje, ale ta nieznamoma osoba mogła być jeszcze gorsza.

Czy to w ogóle możliwe?

Nadal stojąc w pozycji umożliwiającej jej kopanie i walenie w drzwi oraz krzyczenie z całych sił, usłyszała w końcu głosy i chrzęst kroków na żwirze. Wszystkie jej zmysły były wyostrzone. *Proszę, proszę, proszę, niech to będzie ktoś, kto chce mnie ocalić!*

Kliknął zamek i drzwi się otworzyły z hukiem.

Walilo jej serce.

Pstryk! Zapaliło się światło, rzucając dziwny blask na przestrzeń ponad bokami i wzdłuż wąskiej szczeliny pomiędzy podłogą a drzwiami do jej celi.

Usłyszała też kroki i stłumione głosy.

Przyjaciół czy wróg?

Cofnęła się do kąta i ukryła kawałki cążków w dłoni, żeby w razie czego być gotowa, i wtedy rozpoznała głos swojego porywacza.

– Rusz się! – wrzasnął ze złością, a ona uświadomiła sobie, że nie jest sam.

Co planował? Co zamierzał z nią zrobić? Poczowała strużkę zimnego potu na plecach.

– No dalej, dalej! – rozkazywał. – Nie mamy całej nocy. Przynieś ją tutaj!

Kogo i gdzie?

Czy mówił o niej? Czy rozkazywał tej drugiej osobie, aby otworzyła drzwi i ją wprowadziła do głównego pomieszczenia...?

Usłyszała kroki kogoś innego oraz nierówne stąpanie i cichy szloch kobiety lub dziewczyny. Nie umiała powiedzieć kogo.

Ścisnęło ją w sercu. Czyżby pojмали kolejną ofiarę? Po co? Tak, słyszała, jak rozmawiali, ale nie wierzyła, że to naprawdę się stanie. Co, do cholery, planowali? Podeszła na palcach do drzwi i próbowała podsłuchać prowadzoną ścisłym głosem rozmowę.

– Kurwa, daj mi spokój, człowieku! – Rozczochrany. Rozpoznała jego nosowy głos. – Nie jest kruszynką.

Rosalie przygryzła wargę, czuła mętlik w głowie. Może to nie było takie najgorsze? Skoro była kolejna porwana dziewczyna, którą tu zostawia, istniała szansa, że zjednoczą swoje siły. Gdy zostaną same, będą mogły wymyślić jakiś plan ucieczki. Chyba że... Zamarła, gdy dotarło do niej, że teraz porywacze mają dwie ofiary, więc być może zmienią swoją taktykę. Może nie zostawią ich samych, a co gorsza, mając nową ofiarę, mogą przejść do kolejnego etapu swojego planu. Istniało podejrzenie, że niedługo gdzieś je przeniosą albo... coś gorszego. Rosalie wyobraziła sobie przerażające, bolesne scenariusze.

Nie wywołuj wilka z lasu. Jak na razie jest w porządku. I masz teraz kogoś do pomocy. Tłumiąc nową falę strachu, zacisnęła palce na miniaturowej broni. Proszę, pomyślała z desperacją, proszę, pozwól nam znaleźć sposób ucieczki.

– Nie tam! – wrzasnął dowodzący, gdy ze skrzypieniem otworzyły się drzwi boksu tuż obok niej. – Nie chcemy, żeby były tak blisko siebie!

– Co? – zapytał Rozczochrany.

– Użyj mózgowicy, człowieku. Zabierz ją tam na sam koniec. Z daleka od Gwiazdeczki. Ona jest Szczęściarą.

– Kim jest? – zdziwił się Rozczochrany. Raczej nie był orłem intelektu.

– Powiedziałem, że idzie do boksu Szczęściary, tam na samym końcu. Widzisz imię nad drzwiami? Tak, właśnie tam!

– Choleeeera. – Rozczochrany nie był zbyt zadowolony.

Drzwi sąsiedniego boksu się zatrzasnęły, a Rosalie jakby podcięto skrzydła. Miała nadzieję, że dziewczyna będzie bliżej, żeby nie musiały do siebie krzyczeć.

– W porządku. O wiele lepiej. Tak, musi być tak daleko od Gwiazdeczki jak to możliwe. Mamy jeszcze dzisiaj coś do zrobienia. Musimy pojechać w pewne miejsca. Samo się nie robi. Trzeba zaplanować i dopracować szczegóły. Co się, do cholery, z tobą dzieje? Masz nasrane we łbie?

Rosalie nie cierpiała, jak nazywał ją imieniem konia, ale nic nie powiedziała. Z całych sił starała się zapanować nad sobą, choć pragnęła krzyczeć do dziewczyny, żeby walczyła, żeby uciekała, żeby otworzyła drzwi do jej boksu. Jakby „Szczęściara” kopnęła łotra w jaja, a większego mężczyznę zdzieliła w gołęń, mogłaby ją uwolnić, gdyby się wili i wrzeszczeli, a potem pomogłaby jej uciec. Pobiegliby do samochodu albo pick-upa, albo... *Przestań! To się nie wydarzy. Słyszysz ją? Płacze i szlocha jak dziecko. Do niczego się nie nada. Przynajmniej na razie, dopóki nie uświadomi sobie, co należy zrobić. Daj jej czas, Rosalie, i miej nadzieję, że Bóg ci pomoże i sprawi, żeby ta dziewczyna nie okazała się beksą, która bardziej będzie przeszkadzać niż pomagać. O, Jezu, tego byś nie chciała.*

Nagle rozległ się jeszcze inny dźwięk. Dziwna muzyka techno, która, co po chwili zrozumiała Rosalie, była dzwonkiem telefonu komórkowego.

– Tak? – Porywacz prawie wrzasnął w słuchawkę. Potem zapadła cisza przerywana tylko szuraniem i szlochem dziewczyny prowadzonej do boks Szczęściara oraz posapywaniem Rozczochranego. – Tak, wiem. Rozumiem. Wkrótce! – Był wściekły i sfrustrowany.

Rosalie trzymała język za zębami, chociaż przychodziło jej to z trudnością. Chciała wrzeszczeć, wściekać się, ostrzec dziewczynę, żeby nie pozwoliła im się zamknąć, ponieważ wówczas ona sama będzie w równie fatalnym położeniu jak wtedy, zanim przyprawdzili tu tę nową. Milczała jednak, ponieważ miała już pewne doświadczenie i wiedziała, do czego może doprowadzić jej bunt. Zadrżała na myśl o pasie większego mężczyzny. Starła się podsłuchać rozmowę, chociaż zamieszanie, które robiła dziewczyna, utrudniało jej rozróżnianie słów. Zamknąwszy oczy, Rosalie próbowała się skupić.

– Tak, wiem, co obiecałem... Co najmniej cztery, może nawet pięć do przyszedłego tygodnia.

Cztery lub pięć czego? Dziewczyn? A może mówił o czymś innym? Jezu, co on planuje?

– Nie, nie! Jeszcze nie. Potrzebuję weekendu... Słucham? Poniedziałek? Tak, to się powinno udać. – Kolejna pauza. – Cholera, nie wiem. Siedem? – Znowu pauza. – Dobrze, dobrze. Ale chyba będziemy musieli poczekać do następnej akcji...

Wtedy rozmowa została zagłuszona przez płacz nowej dziewczyny. Rosalie sądziła, że porywacz już się rozłączył.

Nowa robiła mnóstwo zamieszania, krzyczała, płakała i piszczała.

– Jezu Chryste, zamknij się! – krzyknął Rozczochny.

– Nie wzywaj Pana Boga nadaremno! – warknął drugi mężczyzna.

– Sam przeklinasz, złamasie.

– Kurwa, pewnie, że przeklinam, ale nigdy nie profanuję imienia Pana Boga. Już o tym rozmawialiśmy.

Musiał być bardzo wkurzony. Nawet nowa dziewczyna lekko przycichła.

– Nie widzę różnicy.

– Bo jesteś poganinem. I durniem. I odebrałeś cholernie złe wychowanie. Nie masz kręgosłupa moralnego.

– Bzdury! I tak mnie potrzebujesz – rzucił ze złością Rozczochny.

– Potrzebuję kogoś. Niekoniecznie ciebie.

– Zrobiłbyś to? Wylałbyś mnie? Po tym wszystkim, co zrobiłem? Cholera, człowieku. Wtedy poszedłbym na policję. Słyszysz mnie? Dobiłbym z nimi targu i wyszedłbym czysty jak łza. Zejdz, kurwa, ze mnie!

– Mówisz poważnie? – Głos porywacza był zimny jak lód. – Jeśli to zrobisz, to nie żyjesz.

Mijały pełne napięcia sekundy. Nikt nic nie mówił. Ucichły nawet szczury biegające po podłodze i nietoperze zamieszkujące stajnię. Zamilkła nawet ta nowo porwana. Rosalie modliła się, żeby ci kryminaliści zaczęli ze sobą walczyć. I żeby się pozabijali. Tak byłoby najlepiej. Wtedy ta nowa dziewczyna, jeśli w końcu się pozbiera, mogłaby uwolnić Rosalie z tej przeklętej zagrody. Uciekłyby stąd, zabrały ciężarówkę albo inny samochód i odjechały! W końcu.

Rosalie bała się oddychać. *Proszę, proszę, proszę... pozabijajcie się nawzajem.*

– Pierdol się, człowieku – powiedział w końcu Rozczochny. – Dokończmy robotę tutaj i wracamy.

Znowu stał się tym uległym. Jego partner nic nie odpowiadał, ale Rosalie wiedziała, że na razie ich szanse na uwolnienie spadły do zera. Pomiędzy mężczyznami jednak pojawiła się zadra, co mogło zadziałać na korzyść dziewczyn. Problem leżał w tym, że z fragmentów rozmowy, które usłyszała, wynikało, że koń-

czy im się czas. Cokolwiek miało stać się z nią i ze Szczęściarą, powinno wydarzyć się za kilka dni i to ją przerażało. Śmiertelnie ją przerażało.

Jedyną dobrą wiadomością było to, że miała teraz jeszcze jedną osobę po swojej stronie. Taką, która mogła jej pomóc. Miała rodzinę i przyjaciół na zewnątrz, którzy mogliby wesprzeć jej mamę lub policję w ich namierzeniu. Oby. Jeśli dziewczyna nie okaże się tchórzem. Ponadto, o ile Rosalie się orientowała, ta stara stajnia nie była wyposażona w kamery bezpieczeństwa ani mikrofony, więc kiedy zostanie ze Szczęściarą sama, będą mogły wrzeszczeć do siebie z całych sił, żeby porozmawiać i ułożyć plan pokonania tych łajdaków. Trzymała kciuki i czekała, mając nadzieję, że usłyszy coś od swojej nowej towarzyszki, ale dziewczyna nie wypowiedziała ani słowa, cały czas tylko szlochała.

O Boże. Żeby tylko nie była beksą.

Bo wtedy nic się nie uda.

Absolutnie nic.

Może po prostu była przerażona albo została potraktowana jakimiś środkami odurzającymi, albo porażona paralizatorem, więc nie mogła mówić. Prawdopodobnie była też zakneblowana. Rosalie wzdrygnęła się na myśl o tym, co mogli jej zrobić, ale próbowała zachować chłodną głowę i optymizm. Przynajmniej na razie nie będzie sama.

Wobec tego czekała, w jej boksie było prawie zupełnie ciemno.

W końcu w pobliżu usłyszała kroki. Tego się spodziewała.

Odsunęła się i bezgłośnie opadła na swoją prycę. Szybko zarzuciła na siebie śpiwór i zamknęła oczy. W dłoniach ukrytych pod cuchnącym przykryciem ścisnęła kawałki cążków.

Rozległo się kliknięcie zamka.

Miała ochotę wyskoczyć na zewnątrz.

Zmusiła się do pozostania na miejscu.

Usłyszała, że drzwi boksu się otwierają i przez zamknięte powieki zauważyła, że robi się jaśniej. Mimo to leżała nieruchomo, chociaż słyszała kroki i wiedziała, że wszedł do środka.

Dotknij mnie, gnoju, a wyłupię ci oczy.

– Wiem, że nie śpisz, Gwiazdeczko.

Ani drgnęła, oddychała płytko.

– Dobrze, że znasz swoje miejsce i wiesz, że nie powinnaś walczyć.

Boże, jak ona go nienawidziła. Pragnęła rzucić się na niego, kopać go, gryźć i drapać, ale zmusiła się do bezruchu.

– Tak, grzeczna dziewczynka – wyszeptał, jakby była posłusznym szczeniakiem albo cholernym koniem.

Słyszała, że krząta się w środku boksu.

– Przyniosłem ci świeżą wodę i kanapkę – powiedział. Usłyszała, że wymienia używane wiaderko na puste.

Chory pojeb!

W końcu hałasy ustały, a ona na milimetr otworzyła jedno oko i zobaczyła, że stoi w drzwiach, oświetlony od tyłu. Patrzył prosto na nią,

– Zabrakło ci języka w gębie?

Wciąż milczała.

– No, dobrze. Wcześniej byłaś zbyt wygadana. Lepiej, żebyś знаła swoje miejsce.

Kutasina!

Zagryzła usta i nic nie odpowiedziała. Nie pozwoli się sprowokować.

– A więc teraz masz postawę pasywno-agresywną?

Była zaskoczona, słysząc to określenie z jego ust. Ale nie okazała żadnych emocji.

– To się nie uda, przecież wiesz. Prędzej czy później pokażesz swoje prawdziwe oblicze. I świetnie. Chcemy, żebyś znała swoje miejsce, i chyba zaczęłaś się uczyć. Ale dobrze by było, żebyś zachowała w sobie tę odrobinę ognia. Wiesz, o czym mówię? Ten temperament. To, kim naprawdę jesteś. To ci się przyda. On będzie chciał, żebyś mu się postawiła.

Kto? O kim mówił?

Zrobiło jej się niedobrze, w głowie gorączkowo przetwarzała wszystkie informacje. Chcieli ją komuś przekazać. A może odsprzedać. Jakiemuś mężczyźnie, który chciał „ognia”? Och, to brzmiało niedobrze. Wręcz fatalnie.

Mimo to zachowała swoje przemyślenia dla siebie. Najwyraźniej jej milczenie skłoniło go do większej wylewności.

– Hej! – zawołał do swojego partnera. – Spójrz, kto postanowił zaszczycić nas ciszą.

– To o wiele lepsze niż krzyki i przekleństwa – powiedział ten drugi. A ona usłyszała jakieś szelesty, stukanie plastiku i metalu. Wydawało jej się, że już wsadzili drugą dziewczynę do boksu. Rosalie miała ochotę rozorać im twarze, zerwać z nich skórę, a potem po niej poskakać. Przez cały czas słyszała cichy płacz dziewczyny. Miała wielką nadzieję, że kiedy minie pierwszy szok po porwaniu, Szczęściara pokaże pazury.

Większy mężczyzna powiedział:

– Chodź. Musimy jechać.

Czy powinna teraz wykorzystać sytuację, rzucić się na niego i poharatać go cążkami? Gdyby tylko się odwrócił... Ale nie zrobił tego. Jakby czytał jej w myślach, wycofał się tyłem z boksu i zamknął drzwi, odcinając ją od źródła światła i niewielkiej szansy na odzyskanie wolności.

Bądź cierpliwa, przykazała sobie. Wciąż masz czas.

Jednakże, leżąc w ciemności i wachając ostry zapach starego siana i koni oraz unoszący się wokół smród zrujnowanej stajni, przestała się oszukiwać. Przecież jej porywacze nie zamierzali trzymać jej w tym miejscu bez końca. Mieli jakiś plan dla niej i dla Szczęściary. Przypomniały jej się historie, które słyszała na temat handlu żywym towarem, szajkami zmuszającymi dziewczyny do prostytucji.

Cokolwiek te dwa zboki miały w planach, nie było to nic dobrego. Była tego pewna. Szczęściara i ona będą musiały znaleźć sposób ucieczki.

I to niedługo.

Kiedy jeszcze miały jakieś szanse.

ROZDZIAŁ 22

Sarah wciąż się wahała, więc Clint musiał zapanować nad rosnącą irytacją.

– Nie miałaś prawa ukrywać tego przede mną – rzucił, wciąż próbując zrozumieć swoją obecną sytuację. Wiedział, co to znaczy wychowywać dziecko, pozwolić, żeby ta mała osoba wywróciła ci życie do góry nogami. Miał pojęcie, co znaczy kochać bezwarunkowo, a potem utracić obiekt swojej miłości i uwielbienia.

Jego słowa wyrwały ją z zadumy.

– Nigdy ci nie powiedziałam, ponieważ nie chciałam cię wiązać przy sobie, zmuszać cię do zrobienia czegoś, czego nie chciałeś, a mógłbyś zrobić z poczucia obowiązku. – Uniosła jedną rękę, jakby się poddawała. – Powinnaś była powiedzieć tobie i Jade dawno temu. Powinnaś była. Przepraszam, że tego nie zrobiłam. Ona też dowiedziała się pół godziny temu.

Jego spojrzenie powędrowało w stronę siedemnastolatki siedzącej przed kominem. Jade była śmiertelnie przestraszona. Aż go ścisnęło w sercu.

– Nie wiedziałem – zwrócił się do niej, chociaż było to zupełnie oczywiste.

Głupio pokiwała głową, walcząc z natłokiem emocji.

– Nie mam dla siebie wytłumaczenia – wyznała Sarah, niemal niesłyszalnie. – Wówczas sądziłam, że to właściwa decyzja.

– Byłaś samolubna – mruknęła Jade.

Sarah potaknęła.

– Bałam się, że cię stracę. I ciebie też – powiedziała do Clint'a drżącym głosem. – Byłeś już wtedy z Andrea, gdy wróciłeś do domu i wtedy... jeszcze raz się ze sobą przespaliśmy.

Jade zamknęła oczy.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– Mogę jedynie wyjaśnić i przeprosić – ciągnęła Sarah, ignorując uwagę Jade. – Wiem, że to nie wystarczy. Nawet ja to rozumiem.

Przyszpiliła Clint'a spojrzeniem, które zawsze sprawiało, że zaczynało mu brakować tchu. Potem zrywami zaczęła opowiadać swoją historię. Clint z całych sił musiał powstrzymać się od zabrania głosu. Wewnątrz niego walczyły różne

emocje, ale jakoś udało mu się milczeć i słuchać, kiedy Sarah opowiadała o tym, jak zaszła w ciążę po tej jedynej nocy, którą spędzili ze sobą po zerwaniu. O tym szalonym weekendzie po jego rozstaniu z Andream, który był trzecią, a może czwartą przerwą, którą sobie zrobili. Mówiła, że nie planowała zajścia w ciążę, to po prostu się wydarzyło. Ale kiedy odkryła, że spodziewa się dziecka, jednocześnie poczuła strach i ekscytację na myśl o istocie rosnącej w jej ciele. Zupełnie nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby nie urodzić Jade lub też oddać ją gdzieś po urodzeniu. Pojawienie się na świecie Jade i odpowiedzialność za innego człowieka stały się punktem zwrotnym w jej życiu. Sama Sarah musiała szybko dorosnąć, gdy stała się matką i zrozumiała, czym jest bezwarunkowa miłość.

Clint słuchał jej, pomimo głośnego bicia własnego serca i mętliku myśli w głowie. Docierało do niego, że jest ojcem i że był nim przez siedemnaście lat, że został pozbawiony odpowiedzialności, radości i smartwień związanych z rodzicielstwem, o których mówiła Sarah, co doprowadzało go do szaleństwa. Dobry Boże, został ojcem na długo przed poczęciem Brandona.

– Dlaczego? – zapytał, kiedy skończyła. – Dlaczego?

Patrzyła na niego bezradnie.

– Ze strachu. Chyba wydawało mi się, że tak będzie łatwiej.

Chwilę później pokręciła głową i odrobinę wysunęła brodę, jakby chcąc go sprowokować, żeby wyładował na niej swoją złość, by powiedział jej, jak bardzo jest wkurzony. Niewiele brakowało, aby skorzystał z tej szansy. Jak mogła ukrywać przed nim córkę? Jakie miała prawo, by milczeć i kłamać? A gdyby coś stało się tej dziewczynie? Córce, której nie miał szansy poznać? Na jej twarz opadł kosmyk włosów. Odgarnęła go tak, jakby oganiała się od natrętnej muchy. Nie wiedziała, że w świetle ognia jej brązowe włosy poprzątkowane są pasmami czerwieni. Nie miała pojęcia o walce, jaką toczył wewnątrz siebie. Czy był zły? Oczywiście. Czy chciał ją potrząsnąć, żeby nabrała rozumu? Bez wątplenia. Czy czuł pragnienie, aby przyciągnąć ją do siebie, pocałować i kochać się z nią do utraty tchu? Do cholery, tak!

Potem spojrział na nastolatkę. Jego córka, Jade, nie spuszczała z niego wzroku.

– Nie chcesz zrobić testu na ojcostwo? – zapytała. W jej oczach widział przekorę połączoną ze smutkiem.

– Nie – odpowiedział stanowczo. – A ty?

Była zaskoczona, ale prawie się uśmiechnęła. Na jej policzku uwidocznił się dołeczek, który odziedziczyła po jego matce. Ani przez sekundę nie wątpił, że ta dziewczyna jest jego córką. Zastanawiał się teraz, jak mógł przeoczyć te dołeczki, kształt jej oczu i mały garbek na jej nosie, tak podobne do jego rysów, kiedy po

raz pierwszy ją zobaczył. Jak to możliwe, że nie dodał dwóch do dwóch? Ile razy wspominał tę ostatnią noc z Sarah, jej magię i wiążące się z nią poczucie winy? Czuły, namiętny seks, który w pewnym sensie był zakazanym owocem, jako że od ponad roku z przerwami chodził z Andreą. To, że nie byli już ze sobą, nie miało najmniejszego znaczenia, kiedy poszedł do łóżka z Sarah, ponieważ już wtedy podejrzewał, że tak to się skończy.

– Jeśli nie jesteś pewna, że jestem twoim ojcem, to chyba mógłbym poddać się testowi – zwrócił się do Jade.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała, patrząc na niego. Zanim zapytał, co ma na myśli, dodała: – Myślałam, że będziesz wrzeszczał i wściekał się na mamę, że nazwiesz ją suką i...

– Jade – przerwała jej Sarah.

Zignorował ją.

– I co dalej? – dopytywał, podczas gdy Sarah założyła ręce na piersi.

– Oskarżysz ją, że leci na kasę i że podsuwa ci cudze dziecko, twierdząc, że jest twoje. Albo coś w tym stylu.

– No, nie – wyszeptała Sarah z urazą.

– Sądzę, że Sarah mówi prawdę – stwierdził Clint.

– Ale jesteś na nią zły – zauważyła Jade.

Clint nic nie odpowiedział, ale wiedział, że jego uczucia trudno ukryć. Nie chciał patrzeć Sarah w oczy, wiedząc, że bez wysiłku owinie go sobie wokół palca, wobec czego patrzył na Jade. Na swoją córkę.

– Nigdy się nie domyśliłeś? – zapytała dziewczyna.

– Wszyscy sądzili, że byłaś córką Noela – odpowiedziała za niego Sarah.

– Tata mnie adoptował – odparła Jade. – Wszyscy w rodzinie o tym wiedzieli. Po co miałby adoptować własne dziecko?

– Czy on wiedział? – zainteresował się Clint, spoglądając na Sarah. – Czy twój mąż wiedział, że Jade jest moja?

Sarah pokręciła głową.

– Nikt nic nie wiedział oprócz mnie. Tylko moja mama się domyśliła, ale nikomu o tym nie powiedziała. A przynajmniej nic o tym nie wiem. Jestem jednak pewna, że gdyby Dee Linn dysponowała taką wiedzą, na pewno by się z tym zdradziła.

– Czy twój były mąż o nic nie pytał? – drażył Clint.

– Mieliliśmy pewną umowę.

– Boże, co to znaczy? – mruknęła Jade.

– To, co się wydarzyło, zanim się poznaliśmy, należało do przeszłości. Noel i ja nie mieliśmy sekretów, które mogłyby nas zranić, ale nie rozmawialiśmy o rzeczach z przeszłości.

– Bardzo to cywilizowane – zauważył z przekąsem Clint.

– Przynajmniej tata, to znaczy Noel... Boże, jak mam go teraz nazywać? Przynajmniej był w pobliżu – oświadczyła Jade. – Był, dopóki... – Spojrzała na swoją matkę.

– Dopóki nie zaczęłam wspominać o powrocie do tego miasta – dokończyła za nią Sarah. – Nie był zainteresowany. My... Rany, to brzmi tak banalnie, ale naprawdę oddaliliśmy się od siebie. Rozstaliśmy się. A najgorsze było to, że wcale nie wróciłam tutaj tak od razu po rozstaniu. Najpierw musiałam ustalić wiele spraw z rodzeństwem. I tak utknęłam w Vancouver.

– Ale on zostawił dziewczynki. – Starał się nie krytykować zachowania tamtego mężczyzny, ale zdradzał go ton głosu.

– To było najtrudniejsze – potwierdziła Sarah. – Dla nas obojga. On był, a raczej jest, dobrym ojcem.

– Często się z nim widzujesz? – Clint zwrócił się do Jade.

– Mieszka w Savannah – odpowiedziała dziewczyna. – To na drugim końcu kraju.

– Odległość nie powinna mieć znaczenia – oświadczył Clint. Przejechałby dookoła świata i z powrotem, żeby ponownie ujrzeć Brandona. A teraz wiedział, że zrobiłby to samo dla Jade, a gdyby dostał szansę, to również dla tej mniejszej dziewczynki, Gracie. Taki już był.

Sarah zwróciła się do córki.

– Może chcecie porozmawiać? A ja w tym czasie pójdę do kuchni, gdzie czeka Grace.

– Nie, mamo! – Jade była zszokowana.

– Nie musisz wychodzić – powiedział Clint.

– Nie będę daleko. To tuż za rogiem. – Złagodniała, patrząc na córkę. – Błagałaś o to przez wiele lat, prawda? – Bezwiednie uniosła kącik ust, a jemu przypomniała się ta niewinna dziewczyna, którą niegdyś była. Następnie, posyłając mu przeciągłe spojrzenie, które było ostrzeżeniem, żeby był miły dla jej córki, wyszła z pokoju. Odprowadzał ją wzrokiem, patrząc na opinające się na tyłku dżinsy.

Na miłość boską, był takim głupkiem. Mając teraz szerszą wiedzę na jej temat, wciąż jarał się na jej widok.

Odwrócił się do Jade i otworzył usta, żeby coś powiedzieć... Nie wiedział jeszcze co, ale zauważył, że dziewczyna patrzy na niego z przerażeniem. Gdy zobaczył jej minę, zamknął usta.

– O mój Boże – westchnęła zszokowana. – Ciągłe jesteś w niej zakochany.

– Hej! – krzyknęła Rosalie, gdy stwierdziła, że w końcu zostały same. Porywacze wyszli dobre pięć minut wcześniej. Warkot silnika ich samochodu robił się coraz cichszy, po czym stał się zupełnie niesłyszalny. Z drugiej strony stajni usłyszała cichy szloch dziewczyny. – Słyszysz mnie?

Szloch nagle ustał. Zapadła cisza. Rosalie słyszała jedynie bicie własnego serca.

– Uwięzili mnie tutaj jakiś czas temu. W zeszły piątek wieczorem. Nazywam się Rosalie Jamison! – krzyczała najgłośniejszym głosem, jak potrafiła, zastanawiając się, czy ta druga jest tak przestraszona, że nic nie rejestruje, czy też jest głucha.

– Jesteś tą zaginioną dziewczyną? – zapytał słaby głos.

– Tak. Ci kretyni mnie porwali i przywieźli tutaj. Od tego czasu jestem tu sama. Dopiero dzisiaj ty się pojawiłaś.

– O mój Boże! – Wtedy dziewczyna zaczęła znowu chlipać i płakać.

– Hej! – krzyknęła Rosalie. – Przestań! Musimy wymyślić, jak się stąd wydostać.

Płacz nie ustawał.

Och, to chyba na nic.

– Kim jesteś?

– Słuch...

Dobry Boże, ta dziewczyna to chyba jakaś idiotka!

– Jak masz na imię? Domyślam się, że nie Szczęściana.

Pociąganie nosem.

– C-Candy.

Rosalie aż jęknęła w duchu. Było gorzej, niż sądziła.

– C-Can. Candice Fowler. – Dziewczyna się jękała, czy też była tak bardzo przestraszona? – Ty jesteś... ty jesteś tą dziewczyną ze wszystkich plakatów? Widziałam je w mieście. W szkole był apel dotyczący bezpiecznych zachowań. Ale ja nie sądziłam... – O, nie. Znowu zaczęła się nad sobą użalać.

– Przestań! – krzyknęła Rosalie. – Weź się w garść. Musimy wymyślić, jak się stąd wydostać. Powiedz mi, co się stało. Jak zostałam uprowadzona. Co mówili. Jak to zrobili. Czy usłyszałaś, jakie mają plany. Musimy działać razem, rozu-

miesz?! – krzyczała z całych sił, aby jej głos przeniknął ponad ściankami działowymi odgradzającymi ją od płaczącej Candice.

Z wahaniem, czasami załamującym się głosem, Candice w końcu wyjaśniła, że wracała do domu od przyjaciółki. Poszła na skróty. Nie za bardzo uważała, bo była zaabsorbowana telefonem. Nagle została „ściśnięta” przez dwóch mężczyzn. Jednym był kierowca priusa. Według niej był to jakiś samochód hybrydowy, tak cichy, że nie usłyszała, jak ją wyprzedza. Drugi był niższy i bardziej żyłasty. On ją skrępował. Spanikowała i nie miała pojęcia, gdzie jest. Po prostu chciała wrócić do domu.

Znowu się rozplakała, wołała matkę, zarzekała się, że jest „dobrą” dziewczyną i że takie rzeczy nie powinny jej spotykać.

– Och, och, och. To nie powinno mi się przydarzyć. Chcę do mamy! – krzyczała, a potem piszczala jak zarzynana świnia. – O Boże! Widziałam szczura, przysięgam na Boga! Muszę się stąd wydostać! Pomocy! Pomocy! – Waliła w drzwi, po czym znowu się rozplakała.

– Uspokój się, to na nic. Musisz przestać płakać.

– Ale widziałam szczura i aż się posikałam.

Daj mi siłę.

– Mówię serio, Candice, zamknij się i posłuchaj. Musimy współdziałać. Prawdopodobnie nie mamy zbyt wiele czasu.

Znowu płacz, a potem okropny, wwiercający się w mózg pisk, który z pewnością sprawi, że wyniosą się stąd wszystkie szczury, ale niestety nie usłyszy go żaden zbawca. Rosalie obawiała się, że stajnia znajduje się z dala od cywilizacji, więc nawet taki pisk nie przyciągnie niczyjej uwagi.

Candice się nie poddawała. Krzyczała tak głośno, że Rosalie bała się, że w końcu popękają szyby w oknach i że z grobów powstaną zmarli z okolicznych hrabstw.

Szkoda tylko, że żaden żywy jej nie usłyszy.

Rzuciła się na prycę i postanowiła, że przeczeka, aż Candice się podda lub zmęczy. Teraz, co oczywiste, była dla niej bezużyteczna. Ta nowa dziewczyna została zamknięta w stajni niecałe pół godziny temu, a już teraz Rosalie uświadomiła sobie, że Candy czy też Szczęściara będzie stanowiła problem. Bez wątpienia wkrótce się okaże, że zamiast być dla niej podporą, stanie się przeszkodą.

Sarah robiła, co mogła, żeby nie trzęsły się jej nogi. Konfrontacja, której obawiała się przez siedemnaście lat, oczywiście nie dobiegła jeszcze końca, ale najgorszą jej część, czyli wyjawienie swojej tajemnicy, miała już za sobą, więc czuła ulgę.

Jak to wszystko się potoczy? Sarah nie miała pojęcia, ale była zdeterminowana, by niczego nie przyspieszać. Dotarła do kuchni. Wbrew oczekiwaniom, nie znalazła Gracie w pobliżu zwieńczonego łukiem przejścia, przestępującej z nogi na nogę i pragnącej zostać częścią tego spektaklu. Zastała córkę siedzącą na stołku przy kredensie. Grace machała nogami i była pochłonięta czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na zadanie domowe. Xena, niezbyt rozgarnięty pies stróżujący, w końcu ją zobaczył i zaczął uderzać ogonem w podłogę. Dziewczynka aż podskoczyła, a Sarah przekonała się, że to nie podręcznik, lecz oprawiony w skórę zeszyt, który wydawał się tak stary, że prawie się rozpadał.

– A to co? – zapytała.

Spłoszona Gracie podniosła wzrok.

– Nic. – Chciała szybko włożyć książkę do plecaka i niemal spadła ze stołka. Książka potoczyła się na podłogę, skąd podniosła ją Sarah. Była rozkojarzona tym, co wydarzyło się w salonie, ale zmusiła się do skupienia uwagi na młodszej córce. Obracając tomik w rękach, w końcu skoncentrowała na nim wzrok.

– Jak to „nic”? – Przejrzała poźółkle strony zapisane płynnym pismem. Atrament mocno wyblakł. – To chyba czyjś pamiętnik.

– Dziennik – wyjaśniła Gracie.

– Czyj? – zapytała Sarah, ale poczuła, że na jej rękach pojawia się gęsia skórka. Wiedziała już, zanim Gracie odpowiedziała na zadane pytanie.

– Angeliqne le Duc. Zobacz datę. – Grace wskazała ledwie czytelny wpis, ale to przecież nie miało większego sensu.

– Ta data znajduje się na początku dziennika. A ona zaraz potem zaginęła, więc jak mogłaby to napisać?

– Rzekomo zaginęła – poprawiła ją Gracie. – Może to wszystko było wielkim kłamstwem? Może się ukrywała albo została uwięziona, albo coś...

– Skąd go masz?

Dziewczyna spojrzała w bok.

– Gracie? – Matka nie odpuszczała.

– Z piwnicy.

Sarah poczuła chłód. Była to instynktowna reakcja, która wciąż pojawiała się od czasu do czasu, po tym, jak została zamknięta w piwnicy przez braci. Głupi żart miał długofalowe konsekwencje.

– A co tam robiłaś?

– Rozglądałam się. – Dziewczynka wzruszyła szczupłymi ramionami, jakby chciała podkreślić, że to nic wielkiego.

– Węszyla, tak jak zawsze. – W drzwiach pojawiła się blada Jade.

– Gdzie jest Clint? – zapytała Sarah.

– W salonie. Chce z tobą porozmawiać.

– Jak poszło? – zapytała Sarah ostrożnie.

– A jak sądzisz? Wprost zajebicie. – Znalazła pudełko z kakao i zaczęła przygotowywać sobie napój. – Na twoim miejscu nie kazałabym czekać Najdroższemu Tatusiowi – warknęła, otwierając zębami opakowanie z proszkiem na jedną porcję.

– Czy jest wkurzony? – chciała wiedzieć Gracie.

– No a jak? – prychnęła Jade.

Zbierając się w sobie, Sarah podała dziennik Gracie i rzuciła:

– Porozmawiamy o tym później. *Tu le sait, je parle français.*

– Słucham? – zapytała Gracie.

– Powiedziała: „wiesz, że mówię po francusku” – przetłumaczyła Jade.

– Wow. – To zaskoczyło Sarah.

– A jednak czegoś się nauczyłam – skwitowała Jade.

Sarah uniosła ręce w geście poddania, a Grace zapytała:

– Możesz to dla mnie przetłumaczyć?

– Tak, może później. Tymczasem masz nie chodzić do piwnicy, na strych ani w inne miejsca, dopóki nie będziemy mieć pewności, że wszędzie jest bezpiecznie.

Gracie włożyła dziennik do torby.

– Jest bezpiecznie.

Sarah znowu przypomniała sobie o dręczącym ją przeczuciu, że dom jest obserwowany z zewnątrz i zamieszkiwany przez duchy zmarłych wewnątrz.

Na razie jednak musiała porozmawiać z Clintem. Wobec czego odsunęła od siebie myśli o duchach i tragicznych przodkach, i udała się do salonu.

ROZDZIAŁ 23

Wjechał na pełen dziur parking przed Columbine Diner, czując wagę odpowiedzialności i presję czekającej go operacji. Musiał się streszczać, a to wymagało mnóstwa planowania.

Żeby poszło sprawnie.

Cała operacja zależała od niego i jego partnera, który był w najlepszym razie durniem, a w najgorszym kompletnym idiotą.

Jak na razie pomiędzy porwaniami upłynęło zbyt wiele czasu, co umożliwiło policji rozpoczęcie śledztwa i było dla nich niebezpieczne. Wobec tego musiał być wyjątkowo ostrożny i nie przyciągać do siebie uwagi. Powinien zajmować się swoimi sprawami, trzymać się codziennej rutyny i nie wychylać głowy. Dzięki temu nikt nie zacznie podejrzewać, że był mózgiem stojącym za porwaniami.

Wjechał na swoje stałe miejsce parkingowe przy drodze dojazdowej do restauracji i po zamknięciu ciężarówki wszedł do lokalu. Na zewnątrz stało kilku facetów w grubych kurtkach. Kulili ramiona, żeby schronić się przed silnymi powiewami wiatru docierającymi tu z wąwozu, i palili papierosy, które odcinały się czerwienią na nocnym tle. Każdy z nich kiwnął mu głową, a on odwzajemnił ten gest, chociaż nie miał pojęcia, kim są. Prawdopodobnie stałymi klientami jak on sam.

W restauracji czuć było starą kawę i grillowaną cebulą. Słychać było muzykę country, skwierczenie tłuszczu w urządzeniu do smażenia oraz rozmowy klientów siedzących w jasno oświetlonej, wąskiej restauracji. Zajął miejsce w łoży blisko wejścia, naprzeciw kasy i witryny ze „świeżo” upieczonymi specjalami. O tak późnej porze został jeden kawałek ciasta cytrynowego, kilka ciastek i połowa ciasta kokosowego. Ale na nich mu nie zależało.

W łożach i na stołkach koło lady siedziało kilku klientów, ale żadnego z nich nie znał. Niektórzy prawdopodobnie byli kierowcami tirów zaparkowanych na zewnątrz. Podeszła do niego kelnerka, Gloria, która często zmieniała fryzurę. Minę miała jeszcze bardziej udręczoną niż zwykle.

– Witam – powiedziała z uśmiechem. Już dawno zjadła szminkę, ale tusz do rzęs wciąż miała nałożony grubą warstwę. Podąła mu plastikowe menu. – Coś do picia?

– Piwo. Cokolwiek tam macie.

– Mamy sześć do wyboru – wyjaśniła, ale zanim zaczęła wymieniać ich nazwy, podniósł rękę.

– Proszę buda.

– Okej. I dla jasności, skończyło nam się już danie dnia, łośoś, ale mamy jeszcze smacznego dorsza. – Potem odeszła, żeby przynieść mu piwo. Zerknął na menu, ale nie przywiązywał wagi do jedzenia. Pożywienie było paliwem. To wszystko. Zwłaszcza na tym etapie rozgrywki. Przyglądał się, jak kierowcy płacą za swoje posiłki, po czym wychodzą na zewnątrz, rozmawiając w drodze do swoich aut zaparkowanych od strony rzeki.

Kilka minut później ponownie zjawiała się Gloria.

– Proszę. – Postawiła piwo na porysowanym blacie stołu. – Wybrałeś coś?

– Kanapkę z boczkiem i sałatą, ale bez pomidorów.

– Robi się – odparła, zmuszając się do uśmiechu.

Z kuchni dobiegł łomot sztućców spadających na podłogę, a po nim wyraźne: „cholera”. Gloria przewróciła oczami.

– Frytki do tego?

– Pewnie. To wszystko.

– Już podaję. – Nie zapisawszy zamówienia, ruszyła do kuchni. Kiedy jej wzrok padł na telewizor zamontowany nad przejściem, wydała z siebie zduszony jęk. Podniosła do ust dłoń z pomalowanymi na czerwono paznokciami. – Przepraszam – zapiszczała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Zerknął na telewizor i ujrzał tam zdjęcie dziewczyny, którą w myślach nazywał Gwiazdeczką.

– O mój Boże, to takie okropne – powiedziała. – Nikt nie wie, co się z nią stało.

– Pracowała tutaj, prawda? Pamiętam ją.

– O tak, taka miła dziewczyna.

Nie odpowiedział, ale zastanawiał się, czy mówią o tej samej osobie.

– Była tutaj tamtej nocy, a ja nigdy nie powinienam była puścić jej samej. Uważają, że została uprowadzona. Gdzieś w pobliżu, w drodze do domu. – Gloria aż się wzdrygnęła. – Nie mogę spać, bo cały czas myślę o tym, że mogła poczekać, aż ją odwiozę. Gdyby to zrobiła, byłaby tutaj z nami, kelnerowałaby i zbierała napiwki. – Znowu załamał jej się głos.

– Wiedzą już, co się stało? – zapytał swobodnie.

– Tylko że została uprowadzona. – Odchrząknęła. – Nie znaleźli ciała.

– A może po prostu uciekła?

Gloria odwróciła się i spojrzała na niego, a on w jednej chwili pożałował tego pytania. Cholera, musiał być ostrożniejszy.

– Co masz na myśli?

– Czasami nastolatki po prostu uciekają z domu. – Uśmiechnął się do niej i miał nadzieję, że wyglądało to szczerze. – No wiesz, może sama wróci.

– Cóż... nie tracimy nadziei – rzuciła i oddaliła się, żeby odebrać zamówienie od ludzi, którzy usiedli przy kontuarze.

Sączył piwo, oglądał telewizję i powtarzał sobie, że nie powinien za dużo mówić. *Ściany mają uszy*. Ile razy powtarzał to swojemu partnerowi?

Ale przecież zależało mu na tym, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o tej sprawie i przekonać się, co wie policja. Informacje w mediach w jego opinii były fragmentaryczne, więc jeśli policjanci są na tropie i niedługo odkryją, co się stało z Gwiazdeczką, trzymając to dla siebie. Potrzebował informacji prosto z wydziału, jako że w ten weekend operacja miała nabrać tempa, a on nie mógł niczego spieszyć. Czuł wielką presję.

Gloria wróciła z jego kanapką i zapytała, czy jeszcze czegoś potrzebuje, po czym znowu zniknęła w kuchni. Zerkając na telewizor, polał kanapkę keczupem. Jednym uchem słuchał wiadomości. Od reportera stojącego przed wydziałem szeryfa dowiedział się, że pojawiły się nowe tropy w sprawie zaginionej nastolatki, ale nie mówiono jeszcze o drugiej dziewczynie. Na razie nikt nie zgłosił zaginięcia Szczęściary. Gdyby tak się stało, media zaraz złapałyby wiatr w żagle.

To tylko kwestia czasu, pomyślał, sącząc piwo i patrząc w ekran. Nie żartował, kiedy powiedział swojemu partnerowi, że porwanie wymaga mnóstwa planowania, zwłaszcza kiedy policja i nerwowi rodzice cały czas są w stanie gotowości. A teraz stawka została podbita. Sądził, że będzie musiał uprowadzić jeszcze dwie, być może trzy dziewczyny. Ale żeby pięć? Będzie musiał wykazać się sprytem. Ponadto nie miał czasu do stracenia. Porwanie Rosalie było łatwe. Wiedział, że policja z początku założy, że nastolatka uciekła z domu. Sam przecież podsunął im fałszywego chłopaka, którego sam wymyślił. Wszystko poszło gładko. Jego alter ego, „Leo” spotkał ją na czacie, o którym mu wspomniała, kiedy podawała mu hamburgera i frytki. Dowiedział się także, że pragnęła wyjechać do Kolorado i zamieszkać w pobliżu swojego prawdziwego ojca i że nienawidziła mężów i facetów, z którymi zadawała się jej matka. Dlatego też Leo mieszkał koło Denver. Ziarno zostało zasiane. Flirt był szybki i nacechowany seksualnie. Cała reszta okazała się prosta. Orientując się w Internecie i komputerach, wiedział, jak stworzyć niemożliwy do szybkiego namierzenia adres IP, zdołał też wkręcić Rosalie

i stworzyć powód, dla którego mogła zniknąć z powierzchni ziemi. Druga dziewczyna nie zostanie uznana za uciekinierkę i chociaż policjanci byli głupi, z łatwością dodadzą dwa do dwóch i domyślą się, że obie dziewczyny zostały porwane.

A teraz jeszcze pięć innych?

Nie był żadnym cholernym magikiem.

Chwyił frytkę, zanurzył ją w małym, papierowym pojemniku z keczupem, po czym odgryzł kawałek. Może powinien się przenieść? Zabrać te dwie, które już miał. Być może porwać jeszcze ze dwie i wywieźć je wszystkie za granicę stanu, do Waszyngtonu albo jeszcze lepiej do Idaho. A potem mógłby znaleźć kolejne w tym nowym miejscu. Na to jednak potrzeba czasu, pieniędzy i nowej kryjówki, których nie posiadał. Ponadto jego partner miał rację, potrzebował kogoś do pomocy. Niestety źle wybrał, a jego „przyjaciół” okazał się idiotą.

Ale po kolei. Ponownie zaczął się przy domu McAdamsów, gdy tylko tutaj skończy. Dziewczyny McAdamsów będą jego ostatnim celem... lub... *a co z Sarah, ich matką?* Ta myśl nie była nowa. Niemniej stawała się coraz bardziej pociągająca, skoro potrzebował jeszcze tak wielu. Za jednym razem mógłby pozbyć się całej tej cholernej rodziny. Sarah była za stara na to, co planował, jej córki nadały się o wiele lepiej. Ale była dość ładna i inteligentna. Tylko dziwna. Właśnie to sprawiało, że się wyróżniała, i miało swój urok. Spodobał mu się ten pomysł, więc napił się jeszcze piwa. Czy policja skupi się na nim, kiedy wszystkie trzy kobiety znikną?

Warto to rozważyć.

Tak pograżył się w myślach, że zapomniał o kanapce i telewizorze, więc kiedy ugryzł pierwszy kęs, niemal się zadławił, bo właśnie zobaczył na ekranie szeryfa Cooke'a. Przygotował się na złe wiadomości, ale materiał był tylko nagraniem z konferencji prasowej, którą zorganizował wydział szeryfa. Ponownie utwierdził się w przekonaniu, że nie mają niczego nowego w sprawie zaginięcia Rosalie Jamison.

Uśmiechając się, zlizął keczup z ust i patrzył, jak Jefferson Dade Cooke unika pytań, jednocześnie starając się zachować swój autorytet, jakby rzeczywiście był właściwym człowiekiem na tym stanowisku.

Aż prychnął z pogardą. Szeryf nie był dla niego godnym przeciwnikiem.

I to mu pasowało.

Sarah zastała Clinta stojącego przed kominkiem, gdzie ogrzewał sobie nogi i wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Ale podejrzewała, że tak naprawdę przeniósł się myślami w jakieś miejsce z przeszłości, które tylko on mógł zobaczyć. Przeniósł spojrzenie na nią.

Jeśli spodziewała się, że znajdzie przebaczenie w jego oczach, rozczarowała się.

Jeśli sądziła, że ujrzy zrozumienie na jego twarzy, zupełnie się zawiodła.

Jeśli wierzyła, że uda im się opanować sytuację, kiedy już poznał prawdę, była naiwna.

– Jade wspomniała, że powiedziałaś mi prawdę tylko dlatego, że to ona się domyśliła? – zaczął.

– To w zasadzie prawda. Zamierzałam poinformować ciebie i ją, kiedy nadejdzie właściwa pora.

– A kiedy to miałoby być? – Zabrzmiał tak, jakby nie wierzył, że to mogłoby się kiedykolwiek stać.

– Jednym z powodów, dla których tu wróciłam, było to, że chciałam ci powiedzieć – odparła, starając się nie przyjmować postawy obronnej. – Jade musiała się dowiedzieć i ty też. A teraz musimy znaleźć sposób, aby pójść dalej.

– A jak zamierzasz to zrobić?

– Nie wiem. Masz jakiś pomysł?

– W zasadzie nie miałem czasu na opracowanie planu opieki rodzicielskiej – zauważył i dodał z przekąsem: – Daj mi jeszcze kilka minut. – Sarah nie wiedziała, jak ma na to odpowiedzieć, wobec tego milczała. Po kilku pełnych napięcia sekundach zaproponował: – Podejrzewam, że będziemy musieli zasięgnąć porady naszych prawników.

To nią wstrząsnęło.

– Wolałabym, żeby prawnicy, sędziowie i opieka społeczna trzymali się od tego z daleka. Miałam nadzieję, że ty i ja, a także Jade, jako że ma siedemnaście lat, wypracujemy jakieś porozumienie.

– Porozumienie – powtórzył drwiąco. – Miałem syna. – Kciukiem wskazał swoją pierś. – I wiem, jak to jest kochać dziecko, dbać i zamartwiać się o nie. Nie ma tu żadnego „porozumienia”.

– Wobec tego wymyśl jakieś inne słowo – warknęła, bo miała już dość tego, że jest tą złą. – Spieprzyłam, okej? Wiem o tym. Ty też wiesz. I Jade. Niedługo dowie się o tym cały, cholerny świat. Ale nie mogę już tego zmienić. – Zaczęła krążyć po pokoju, po czym podeszła do niego tak blisko, że niemal stykali się czubkami butów. – I nie mam zamiaru przez resztę mojego życia odczuwać wyrzutów sumienia z tego powodu. Zrobiłam to, co według mnie było wtedy najlepsze. A jeśli tobie się to nie podoba, to trudno, możesz mnie pozwać – powiedziała, zanim do-

tarł do niej ciężar tych słów. Czy to zrobi? Czy naprawdę pozwie ją o ustalenie opieki rodzicielskiej?

– Są pewne kwestie prawne, którymi trzeba się zająć.

– Chcesz zrobić testy na rodzicielstwo? Zrób sobie taki test. – Stała zbyt blisko niego. Nie chciała się cofnąć.

– Może zrobię.

Patrzyli na siebie, wyzywająco.

– Proszę bardzo.

– Ale ja ci wierzę – przyznał w końcu. – Jade i ja porozmawialiśmy, znam jej datę urodzenia i widzę podobieństwo.

– Okej, a więc... Chcesz pójść do prawnika, aby dostać częściową opiekę?

– Nie wiem...

– Bo, jeśli właśnie tego chcesz, musisz to omówić z Jade. Jest wystarczająco duża, aby decydować o swojej przyszłości. Wciąż jestem jej matką – dodała, zanim się odezwał. – Możesz zostać częścią tej rodziny, jeśli chcesz, ale to wszystko.

– Właśnie po to potrzebni są prawnicy. Żeby zapewnić...

Ponownie mu przerwała.

– Idź do tego cholernego prawnika.

– Do cholery, Sarah, pozwól mi dokończyć.

– Wiem, co zamierzasz powiedzieć. Słuchaj, Clint, już przeprosiłam. Wielokrotnie się pokajałam i wystarczy. Przeprosiny dobiegły końca. Jeśli potrzebujesz prawnika, aby ustalić kolejne kroki, to niech tak będzie. Ja jednak chcę, żebyście ty i Jade zbudowali jakąś relację, ale to ja jestem i zawsze będę głównym rodzicem. – Po prostu chciała przedstawić mu swoje warunki.

– Zrozumiałem – oznajmił chłodno. Sekundę patrzył jej w oczy, po czym odwrócił głowę i zawołał: – Jade? Czy mogłabyś przyjść tutaj na moment?

Sarah spięła się, gdy do salonu ponownie weszła jej starsza córka z kubkiem kakao. Miała niewyraźną minę. Gracie i pies zjawili się za nią, ale zatrzymali się w korytarzu.

– Proszę, wejdz. – Clint zaprosił młodszą córkę Sarah. Gracie weszła niepewnie, ale Xena wbiegła do salonu i zaczęła kręcić się koło kominka, gdzie zaraz zrobiła sobie legowisko z koca i śpiworów rozrzuconych w pobliżu paleniska.

– Wspaniały pies stróżujący – powiedziała z przekąsem Jade. Po czym wyjaśniła Clintowi: – Mama z jakiegoś powodu sądziła, że takiego potrzebujemy.

– Chciałam psa, który będzie podnosił alarm, gdy ktoś się zjawi, a jednocześnie będzie psem domowym. Cieszę się, że Xena została nowym członkiem naszej rodziny – poprawiła ją Sarah.

– Zaczyna się robić tłoczno – mruknęła Jade.

Słyszając to, Clint nieco się rozchmurzył, niemal się uśmiechnął.

– Wzięłyśmy psa ze względu na te wszystkie duchy – wyjaśniła Jade. – One je widzą. Mama i Grace. – Jade podmuchała na zawartość kubka i usiadła przy kominu. – Nie wiem, co ze mną jest nie tak. Chyba mnie nie lubią.

– Jade – zaprotestowała Sarah.

– Po prostu się nie rozglądasz – stwierdziła Gracie. – A może one nie chcą, żebyś je widziała.

– Ty naprawdę jesteś powalona – warknęła Jade.

Clint pomasaował się po szczęce i powiedział:

– Wiecie co? Ja też kiedyś cały czas kłóciłem się z bratem. Oprócz słów używaliśmy także pięści i nóg, przez co w ścianach powstawały dziury. Mój ojciec wiedział jednak, jak sobie z tym poradzić. Kazał nam iść do stajni i przez wiele godzin przerzucać obornik.

– Co to znaczy? – skrzywiła się Jade.

– Mam ci namalować obrazek, żebyś zrozumiała? – Teraz naprawdę się uśmiechnął.

Gracie patrzyła na niego podejrzliwie.

– Zamierza pan nas dyscyplinować? – zapytała tonem, który sugerował, że chyba upadł na głowę.

– Chodzi mu o to, że złe zachowanie pociąga za sobą konsekwencje – wytłumaczyła Sarah.

– Nie zamierzasz się tutaj wprowadzić ani nic, prawda? – zapytała Jade, nawet nie starając się ukryć przerażenia.

Sarah już miała zapewnić córkę, że nic takiego się nie wydarzy, kiedy Clint rzucił:

– Jeszcze nie, ale jeśli dowiem się, że sprawiacie mamie kłopoty albo cały czas się kłóćcie, to być może wezmę to pod uwagę.

Kłamał, ale Jade wzięła to na serio.

– O Boże. Najbardziej na świecie chciałabym dostać z powrotem swój samochód i wrócić nim do domu – biadoliła.

– To jest twój dom – zauważyła Sarah.

– Nie, nieprawda, nigdy nie będzie. A ty... – Zmarszczyła brwi i spojrzała na Clinta. – Przestań mi ojcować, ponieważ tak naprawdę w ogóle cię nie znam.

– Umowa stoi. O ile ty nie będziesz mi nastolatkowała – odpowiedział.

– Chciałabym mój samochód – powtórzyła Jade. – Co trudnego może być w prawie hondy?

Sarah widziała, że Clint jest bardziej rozbawiony niż zirytowany zachowaniem dziewczyny, co dobrze o nim świadczyło, ale jego upór przy prawniku i tak sprawił, że odczuwała wewnętrzny chłód.

– Muszę już jechać – stwierdził. – Czeka na mnie pies i mam jeszcze sporo obowiązków. Poza tym posiadam także około pięćdziesięciu sztuk bydła i kilka koni, więc jest tam sporo obornika do wyrzucania. – Posłał uśmiech Jade, która wyglądała na tak zdezorientowaną, jakby naprawdę martwiła się tym, że Clint od razu wcieli się w rolę i zacznie ojcować zarówno jej, jak i Grace. Zwracając się do Sarah, zapytał: – Odprowadzisz mnie do wyjścia?

Sarah poszła za nim. Wyminęli kilka kartonów stojących w korytarzu i wtedy powiedział na tyle głośno, żeby Jade i Gracie go usłyszały.

– Jak będziesz miała z nimi jakieś kłopoty, to do mnie zadzwoń.

– Wpadną w szal, jeśli spróbujesz mówić im, co mają robić – oświadczyła, kiedy znaleźli się na ganku, poza zasięgiem słuchu dziewczyn.

– No pewnie. Tak tylko się wyglupiałem.

Sądziła, że zaraz odjedzie, bo prawdę mówiąc, czuła się wyczerpana i była gotowa na to, by zostać sama. On się jednak zawahał, po czym spojrzał na nią uważnie.

– Duchy, Sarah? – zapytał.

Wzruszyła ramionami, czując lekkie zażenowanie.

– Sądziłem, że już z tego wyrosłaś.

– Gracie ma obsesję na punkcie Angélique le Duc, uważa, że widziała jej ducha i że powinna pomóc jej przejść na drugą stronę.

– A ty w to wierzysz?

– Nie do końca, ale coś się dzieje. Za sprawą ludzi czy istot pozaziemskich... Nie chcę jej gasić i mówić, że nie ma duchów.

– Też widziałaś ducha, kiedy byłaś w jej wieku.

– To była halucynacja – zaoponowała szybko, żałując, że kiedyś mu się do tego przyznała. – Byłam chora. Miałam gorączkę.

– Jade powiedziała, że oskarżyłaś ją o pójście na górę do pokoju na drugim piętrze, kiedy tak naprawdę siedziała na parterze.

Sarah zazgrzytała zębami. Naprawdę nie miała ochoty rozmawiać o tym z Clintem, ale nie wiedziała, jak ma się wyłgać od odpowiedzi.

– Rzeczywiście wydawało mi się, że ktoś był na górze. Może po prostu jestem podminowana całą tą przeprowadzką i tym wszystkim. – Zerknęła na pograżone w ciemności pola otaczające dom. – Czasami mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Ktoś albo coś.

– To dlatego wzięłaś psa?

Potaknęła.

Clint na dłużej zatrzymał wzrok na jej oczach. Przez jedną szaloną sekundę miała wrażenie, że ją pocałuje, ale po chwili odsunął się od niej.

– Naprawdę muszę wracać. Ale jeszcze nie skończyliśmy.

– To dopiero początek. Jesteś ojcem Jade. – Położyła rękę na kłamce.

Wyglądał tak, jakby chciał się sprzeciwić, ale rzucił tylko:

– Do usłyszenia wkrótce.

– Do widzenia.

Sarah zamknęła drzwi. Była znużona tym wszystkim, zwłaszcza sobą. Chociaż miała ochotę zapierać się rękami i nogami, prawda była taka, że wciąż czuła pociąg do Clinty Walsh. A niezależnie od tego, czy był ojcem Jade czy też nie, Clint znajdował się poza jej zasięgiem. Nie mogła i nie chciała angażować się w związek z tym mężczyzną. Te fantazje, które snuła w wyobraźni, kiedy dowiedziała się, że nosi jego dziecko, że pewnego dnia znowu będą razem, były czystą fikcją. Marzeniami młodej, przestraszonej, ciężarnej dziewczyny. Dorosła i zamknęła wszystkie te niedojrzałe myśli w mentalnej szafie swojej młodości za solidnie zamkniętymi drzwiami.

Clint był ostatnim mężczyzną na ziemi, którego powinna brać pod uwagę w kwestii romansu. Wystarczająco trudno będzie poruszać się w nowym układzie rodzinnym.

Usłyszała warkot jego ciężarówki oddalającej się podjazdem i musiała siłą odebrać wzrok od okna, żeby nie patrzeć, jak odjeżdża.

Z ulgą wróciła do salonu. Cały czas jednak musiała sobie przypominać, że ojciec Jade jest zakazany.

ROZDZIAŁ 24

– Na miłość boską, weź się w garść! – Rosalie niemal straciła głos od krzyczenia na tę durnowatą dziewczynę w oddalonym boksie, ale Candy cały czas szlochała i jęczała. – Musimy wymyślić, jak się stąd wydostać.

Znowu szloch.

– Słuchaj, jesteś wysportowana? Czy potrafisz, na przykład, wspiąć się na ścianę boksu, przejść przez nią, żeby tu podejść i mnie wypuścić?

Pociąganie nosem i uzalanie się. Rany, ta dziewczyna była do niczego.

– No już, musimy wymyślić, jak się stąd wydostać. Lubisz uprawiać jakieś sporty? Pływasz może? – Rosalie wytrzymała głowę, mając nadzieję, że w końcu ja-koś dotrze do dziewczyny.

– Jestem flecistką.

– To coś takiego jak gimnastyczka? – Przez sekundę Rosalie czuła radość w sercu. Może ta dziewczyna była przyszłą olimpijką i potrafiła skakać, chodzić po równoważni, robić przewroty w tył, cokolwiek, co mogłoby pomóc im stąd wyjść.

– Gram na flecie w zespole.

Rosalie osunęła się po ścianie. Jej nogi się poddały. Ukryła twarz w dłoniach. Miała ochotę przeklinać, ale zrobiła tylko głęboki wdech i krzyknęła:

– Możesz spróbować wspiąć się na ścianę?

– Jak?

Przynajmniej zwróciła na siebie uwagę dziewczyny, więc wyjaśniła, jak sama próbowała na nią wejść.

– Poszukaj, czy nie ma czegoś, jakieś wypustki na ścianie boksu, za którą mogłabyś się złapać albo na niej stanąć. To może być nawet przerwa pomiędzy deskami, na której mogłabyś postawić stopę, żeby zacząć się wspinać.

– Nie sądzę, żeby coś takiego było. – Nowa marudziła i jęczała, co sugerowało, że rozglądała się w ciemności, wyłamując sobie palce flecistki.

– Musisz spróbować – zachęciła ją Rosalie.

– A ty nie próbowałaś?

– Próbowałam, ale mój boks może być inny. Jak na razie nic nie zadziało, ale ja się nie poddam. I ty też tego nie rób. – Boże, litości. – No dalej, dasz radę. Musisz poszukać sposobu.

– Ja chcę tylko wrócić do domu.

– Wobec tego musisz znaleźć sposób na wydostanie się stąd – zauważyła złośliwie Rosalie.

– Okej... – zgodziła się w końcu Candice, głośno pociągając nosem. – Ale jest tak ciemno.

– Wiem. Zrób, co możesz, już teraz. Obmacaj ściany...

– Faj! Tu mogą być szczury, pająki i kupa!

Wszystko z powyższych.

– Kiedy zaczniesz się rozjaśniać, rozejrzyj się wokół. Przebadaj całe to miejsce, każdą szparę i dziurę. Sprawdź, czy jest jakakolwiek możliwość, żeby wydostać się z boksu. – Próba uspokojenia Candice, wiania jej odrobiny oleju do głowy i zmotywowanie jej do działania były drogą przez mękę.

– Sama nie wiem...

– Jak dotąd te dwa jelopy nigdy nie zjawiły się rano, więc mamy trochę czasu. – Rosalie trzymała kciuki i modliła się, by to się nie zmieniło, ale co mogła wiedzieć? Wyglądało na to, że zbok, który ją porwał, zrobił się nerwowy i odczuwał presję, więc nie było nic pewnego.

Co takiego powiedział o jej temperamencie?

Dobrze by było, żebyś zachowała w sobie tę odrobinę ognia.. On będzie chciał, żebyś mu się postawiła.

Zadrżała.

Kim, do cholery, był ten „on”? Ten gość pociągający za sznurki? Co gorsza, co zamierzał z nią zrobić?

W goglach noktowizyjnych i z pistoletem u pasa skradał się przez las otaczający Posiadłość pod Niebieskim Pawiem. Na szczęście posiadłość była tak duża, że było niewielkie prawdopodobieństwo, aby ktoś go zauważył. Ponadto zaparkował auto na opuszczonej drodze odchodzącej od drogi lokalnej, po czym poruszał się leśnymi ścieżkami, tymi samymi, którymi chodził, kiedy polował za młodu. Wtedy był przekonany, że te lasy są nawiedzone i że widział duchy i demony, a nawet samego szatana, przechodzącego przez zarośla, pomiędzy jodłami i sosnami, szarpącego suchymi gałęziami drzew liściastych, wzbijającego w powietrze liście, które wirowały, tańczyły i tchnęły zimnym, demonicznym oddechem przez wąwóz i przyprawiały go o dreszcze.

Nawet teraz jako dorosły mężczyzna słyszał je szepczące w ciemności. Szmer wiatru był tylko przykrywką dla ich poważnych głosów.

– Jesteś zły – mamrotały, mroząc mu krew w żyłach. – Bóg o tym wie i cię ukarze. – W tej samej chwili trzasnęła jakaś gałązka, błyskawicznie spojrzął za siebie i przez gogle wypatrzył przemykającego skunksa.

Serce biło mu jak oszalałe. Na chwilę zamknął oczy, żeby się uspokoić. Nie wierzył, że te lasy są nawiedzone. Nie wierzył w to. To była przesada. Wymyślone opowiadki przekazywane z pokolenia na pokolenie wśród ludzi mieszkających w okolicy Stewart's Crossing. *Miej wiarę*, powtarzał sobie i wreszcie udało mu się spowolnić bicie serca, przywrócić je do normalnego rytmu. Ruszył wijącą się ścieżką, nie rozglądając się za zjawami i widmami, o których dowiedział się dawno temu. W zasięgu jego wzroku pojawił się kojot, ale szybko ukrył się za głazem i zniknął, jakby uświadomił sobie, że został zauważony.

Może to był wilkołak, podpowiadała mu bujna wyobraźnia. I przez ułamek sekundy czuł dreszcz. Wyobraził sobie, że zwierzę, dziesięć razy większe niż normalnie, staje przed nim i rzuca się na niego, kłapiąc zakrwawioną paszczą.

Przezornie stłumił swój strach. Wilkołaki nie istniały, to tylko głupie opowieści, którymi starsze dzieciaki próbowały wystraszyć młodszych, żeby trzymać ich w ryzach.

Na szczęście las przeszedł w zarośnięte, nieuprawiane pole. Ale oczywiście w pobliżu znajdował się ten cholerny cmentarz. Jego bliskość doprowadzała go do palpacji.

Pokonał swój strach, powiedział sobie, że jest głupi, po czym ruszył w stronę zwałonego drzewa, które wcześniej z powodzeniem wykorzystywał, gdy podglądał dom. Tym razem stanął jak wryty.

Ktoś tam był.

Ktoś albo coś.

Ciemna postać leżała na ziemi.

Poczuł, jak unoszą mu się włoski na karku, i sięgnął po pistolet.

Czyżby demon?

Duch?

Angelique le Duc, jej nieumarła dusza?

Może nawet sam Książę Ciemności.

Jasny szlag. Jego serce znowu dudniło. Palce zacisnął na rękojeści glocka.

Leżąca na brzuchu postać, cała w czerni, poruszyła się i zaczęła odwracać. Była gotowa do skoku i ataku.

Pif! Bez zastanowienia pociągnął za spust.

Demon zaskamlał, jego ciało zadrgało.

Wystrzał odbijał się echem od wzgórz.

Pif! Pif! Pif!

Jeszcze trzy strzały i postać przestała się ruszać. Słyszał tylko długi, bulgoczący jęk. Ciężko oddychał, adrenalina krążyła w jego krwi, gdy wpatrywał się w ciemną sylwetkę. Zaczęło do niego docierać szczekanie psa dochodzące z od-dali. Jeszcze dalej przejechał pociąg po torach.

Głęboko odetchnął i czekał, aż zjawa nie z tego świata zniknie, nie pozostawiając po sobie ani śladu. Ale istota nie zniknęła, nie rozplynęła się w powietrzu. Po prostu leżała nieruchomo jak głaz.

Bo to człowiek, idioto! Dlaczego, według ciebie, mogłeś zobaczyć go przez noktowizor? Bo żył, jęlopie! Właśnie zabiłeś człowieka! Co, do cholery, sobie myślałeś? Pokonała cię twoja cholerna wyobraźnia. Termografia, człowieku. Przecież wiesz, że duchy i demony nie emitują ciepła! Są lodowatymi skurwysynami, ich oddech jest tak zimny, że mógłby ci odmrozić skórę. Na miłość Świętego Piotra, co teraz?

Ciężko oddychał. Pocił się. Ostrożnie zbliżył się do swojej ofiary, cały czas z glockiem w ręce wycelowanym w powalonego człowieka... na wypadek gdyby jednak nie był człowiekiem. A jeśli demon przyjął kształt mężczyzny? A może nawet posunął się do tego, że wydzielał ciepło, żeby zmylić tego, kto przyjdzie? A potem, kiedy przybysz najmniej by się tego spodziewał, bestia mogłaby powrócić do swojej potwornej postaci i zaatakować.

Zaschło mu w ustach. Czubkiem buta szturchnął jedną z nóg trupa.

Nic.

Pchnął nieco mocniej.

Istota wciąż leżała bez życia.

Wobec tego pochylił się i przewrócił ją na plecy. Wtedy przerażająco jęknęła. Widział tylko szeroko otwarte oczy i usta rozciągnięte w przerażającym grymasie, z których pociekła krew.

Opuścił ciało, odsunął się, nadal z bronią w ręku, jakby spodziewał się, że bestia przemieni się w nocnego potwora. Zjawa jednak leżała bez ruchu, więc uznał, że musi zachować się jak facet z jajami. Ponownie się zbliżył, przyjrzał zakrwawionej ofierze i uświadomił sobie, że widział tego człowieka w mieście. Prawdopodobnie w restauracji. To żaden demon. Żadna bestia. Żaden cholerny duch. Tylko człowiek. Obecnie bardzo martwy człowiek.

Do licha, co on tutaj robił?

Teraz, kiedy uświadomił sobie, że jego ofiarą nie była zjawą, zaczął rozglądać się wokół i zauważył silną lornetkę, która upadła na ziemię po drugiej stronie pnia. A więc ten facet szpiegował, podobnie jak on sam.

Błyskawicznie przeszukał kieszenie tego gościa i wyjął jego portfel, komórkę i kluczyki. Gdzie, do cholery, stał jego samochód? Potem stwierdził, że czas się ulotnić. Tej nocy nie mógł ryzykować i prowadzić obserwacji.

Nagle dotarło do niego szczekanie psa dochodzące od strony domu.

Niedobrze.

Bardzo niedobrze.

Zastanowił się, czy nie zaciągnąć ciała do lasu, w nadziei, że kojot, którego wcześniej widział, albo jakieś inne zwierzę zajmie się szczątkami mężczyzny. Ale usłyszawszy szczekanie psa, wiedział, że nie powinien opóźniać odwrotu i zajmować się ofiarą. Nie chciał też zostawiać za sobą śladu krwi, prowadzącej go do miejsca, gdzie zaparkował samochód.

Kończył mu się czas, jeżeli ktoś zaniepokoił się tym kretyńskim, szczekającym psem.

Przystąpił do działania. Zebrał się na odwagę i podniósł ciało. Zaniósł je na zarośnięty cmentarz, na którym stały białe kamienie nagrobne wystające ponad krzaki jeżyn. Uznał, że tutaj jest odpowiednie miejsce dla martwego. Przerzucił nieszczęsnego podglądacza przez nierówny płot, a gdy ciało upadło z głuchym łomotem, ruszył biegiem do swojej ciężarówki. Będzie musiał przebrać się w świeże ubrania, które trzymał w pojeździe, a potem zatrzyma się przy jakiejś miejscowej knajpie, aby zapewnić sobie alibi. Ta noc zmieniła się w kurewską katastrofę.

Sarah była w kuchni, pogrążona w myślach, kiedy Xena zaczęła czekać. Wypuściła psa na dwór na kilka minut, a teraz pospieszyła do frontowych drzwi i znalazła psa na ganku. Wpatrując się gdzieś w dal, stał z nastroszoną sierścią na wyprostowanych łapach i z zadartym ogonem, warczał i szczekał.

Sarah otworzyła drzwi i zapytała:

– O co chodzi?

Wtedy nastąpiła kolejna seria głośnego ujadania, jakby suka jeszcze bardziej podekscytowała się nadejściem Sarah.

– Xena! Spokój! Chodź do domu! – Sarah zaczynała podejrzewać, że Xena była za młoda, żeby wywiązywać się z obowiązków.

Pies poszedł za nią, skamłąc cicho z pochyloną głową i lekko opuszczonym ogonem. Cały czas warczał, zaniepokojony. Nawet gdy Sarah zamknęła drzwi.

– Wiem, wiem – powiedziała, poklepując Xenę po łbie. – Chodź. – Pies poszedł za nią do kuchni, a Sarah wytłumaczyła sobie, że na zewnątrz niczego nie było. Nikt nie obserwował domu. Mimo to była pewna, że poczuje się bezpiecznie w przyszłym tygodniu, kiedy zakończy się remont domu gościnnego, w którym były dwie pary drzwi, nowe okna i zamki ryglowe.

Nie chodzi o dom, przypomniała sobie, ale w tym miejscu czuła się bezbronna. To ją denerwowało. Prawda była taka, że kiedy Clint był w pobliżu, czuła się bezpieczniej. Pomagała obecność innego dorosłego, a zwłaszcza mężczyzna zapewniał większe poczucie bezpieczeństwa, ale nie zamierzała wpaść w pułapkę bezbronnej kobiety. Nie na tym etapie życia. A jeśli chodziło o Clintę Walsh, nie zamierzała dać się mu zdominować tylko dlatego, że jest ojcem Jade. I nie będzie po niego biegła tylko dlatego, że mieszka w pobliżu.

Pafl

Usłyszała wybuch gaźnika samochodu. Tak sądziła, chociaż dobiegał z daleka, ponieważ w pobliżu nie było żadnych dróg.

Xena podbiegła do tylnych drzwi i szczekała z furją.

– Przestań! Dobry Boże! Koniec! – Szybko znalazła przysmaki dla psa w pudełku stojącym na kredensie i dała psu kilka. Xena głośno przeżuwała. – No i proszę – powiedziała Sarah, po czym usłyszała kolejną serię dalekich wystrzałów.

Samochód?

Fajerwerki?

A może strzały z pistoletu?

Złapała za telefon i podeszła do tylnych drzwi, otworzyła je, żeby móc zidentyfikować dźwięk, gdyby jeszcze się powtórzył.

Xena poszła za nią, więc Sarah musiała przytrzymać ją za obrozę, żeby nie wybiegła na dwór.

– Nic się nie dzieje – uspokajała psa i zastanawiała się, czy zadzwonić na policję. *I co mam powiedzieć? Że wydaje mi się, że słyszałam wystrzały z broni palnej, skoro wiem, że to brzmiało trochę inaczej?* Może to byli miejscowi myśliwi, którzy wyszli nocą na polowanie? Albo głupie nastolatki, jak jej bracia, kiedy byli młodszy, którzy „kropili w lesie”, jak nazywał to ojciec. A może to odgłos jakiegoś samochodu? Mogła zadzwonić i zgłosić najście na swój teren, ale nie była pewna, czym były te odgłosy i czy rzeczywiście dochodziły z terenu posiadłości. Nerwowo przygryzła wargę. Xena cały czas skamlała i szczekała. Za nic w świecie nie dawała się uspokoić.

– Gracie! – zawołała, kiedy Xena nie chciała przestać. – Chodź – powiedziała do psa, ciągnąc go do środka i zamykając drzwi na klucz. – Gracie? – zawołała, kierując się do salonu, gdzie córka rozłożyła na stole jakieś papiery. Trzymając telefon przy uchu, wpatrywała się w zadrukowane strony.

– ...tak, ciebie też... Aha, dobrze... – Grace uśmiechała się i bawiła długopisem trzymany w jednej ręce. – No, jest... Aha... Sama nie wiem. Poczekaj chwilę. – Przyłożyła telefon do piersi i krzyknęła: – Jade, dzwoni tata!

No super. Sarah pokręciła głową. Gracie na szczęście zrozumiała, co chciała jej przekazać.

– Przepraszam – rzuciła do telefonu, patrząc matce w oczy. – Jade nie ma w pobliżu. Tak, przekażę. Aha, obiecuję... W porządku... Ja też cię kocham. – Rozłączyła się i westchnęła. – Przepraszam, to chyba trochę dla niej dziwne, skoro od teraz ma dwóch tatusiów.

– Nie słyszałaś Xeny?

– Słyszałam. – Wzruszyła ramionami. – Zobaczyła wiewiórkę czy coś?

Xena wepchnęła swój duży łeb pomiędzy nie i ciągle skamlała.

– Grace, jest już późno – zauważyła Sarah. – Nie widziała wiewiórki.

Dziewczynka pogłaskała psa po uszach.

– Na co szczekasz?

– Wiem, że rozmawiałaś przez telefon, ale czy coś słyszałaś? – zapytała Sarah. – Coś jakby wybuchy gaźnika?

– Nie. – Pokręciła głowę i pobierała część papierów, które rozłożyła na stole. Sarah zastanawiała się, czy znowu nie przesadza. Miała zszargane nerwy od tych wszystkich walczących w niej emocji. Nieświadoma tego Grace powiedziała: – Zobacz, co znalazłam w sieci. Zapomniałam pokazać ci wcześniej. To jest Angeli-que le Duc i jej rodzina. Widzisz? – Przesunęła kartkę po stole.

Sarah wpatrywała się w kopię starej fotografii w czerni i bieli i próbowała opanować irytację, którą czuła na myśl o obsesji Gracie na punkcie rzeczy związanych z Angeli-que. Zrobiła głęboki wdech, żeby się uspokoić i nie zdradzić swoich prawdziwych uczuć, gdy Gracie wskazała na zdjęciu poważnego mężczyznę z wąsami.

– A więc to jest Maxim, a to Angeli-que.. – Jej palec przesunął się na wizerunek drobnej kobiety z dużymi oczami, prostym nosem, wydatnymi ustami i ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu. Wdowi szpic nadawał jej twarzy kształt serca, który podkreślała jeszcze silna, szpiczasta broda. W ramionach trzymała małego chłopca. – Była drugą żoną Maxima, więc dlatego niektóre z dzieci są

prawie w jej wieku. To jest George, najstarszy. Ma prawdopodobnie jakieś siedemnaście lat. – Chłopiec stojący obok Angelique był wysoki jak ojciec i równie pośepny, chociaż nie miał jeszcze wąsów. – Tutaj jest Helen. – Wskazała szczupłą dziewczynę z beznamiętną miną. – Wydaje mi się, że może być rok albo dwa starsza ode mnie. Tutaj jest Ruth, ta blondynka w fartuszkach...

– Bezrękawniku.

– No tak. Miała jakieś dziewięć lat, wobec czego Louis musi mieć pięć.

Sarah skinęła głową.

– A dzieckiem jest Jacques – wyjaśniła Gracie, jakby byli jej dobrymi znajomymi.

– Ma jakieś dwa lata – zauważyła Sarah. – Gdzie to znalazłaś?

– Pogrzebałam w Internecie podczas godziny cichej nauki i wydrukowałam to w szkole.

– Szybka jesteś – zauważyła.

– No a jak? Ale to tylko część rzeczy, które znalazłam. Większość mam na iPdzie.

Sarah widziała, że córka od wielu godzin nie rozstaje się z tabletem, teraz już wiedziała dlaczego.

– Czy nie powinnaś odrabiać zadania domowego podczas godziny cichej nauki?

– Tak, ale to jest ważne, mamie. To jest Angelique le Duc! I zobacz w co jest ubrana. W białą sukienkę. Tę samą, którą ma na sobie, kiedy ją widzę. Jak wtedy na schodach.

Sarah wciąż jeszcze myślała o dziwnych hałasach, ale skupiła uwagę na zdjęciu. Coś tu jej nie pasowało.

– Poznajesz ją? – zapytała córkę.

– To jest kobieta ze schodów. Ta, która nie może przejść na drugą stronę. Próbuje się ze mną skontaktować, żebym jej pomogła. Już ci o tym mówiłam.

– Ale...

– Ty dalej mi nie wierzysz.

– Nie, kochanie, wierzę. Wiem, że coś widziałaś.

– Widziałam ją! – obruszyła się Gracie i wyszła, a Xena pomaszerowała za nią. Sarah próbowała wyjaśnić, ale nie wiedziała jak, że kobietą na zdjęciu mogła być Angelique le Duc i równie dobrze mogła być duchem, którego widziała Gracie, ale nie była tą samą kobietą w bieli, która ukazała się Sarah, gdy była dzieckiem.

I nie była ubrana w tę staromodną suknię, w której pozowała Angélique na zdjęciu. Zjawa Sarah, chociaż przypominała Angélique, była zupełnie inną kobietą.

Co to, do cholery, znaczyło?

Natychmiast pojawiło się wspomnienie. Strych, gołe stopy, zimno... I mokro. Drżała, patrząc na wieżyczkę, będąc pewna, że słyszała kroki na tarasie, chociaż nikogo nie powinno tam być. A więc skąd się wziął hałas? Czy to jakieś głosy, które przyniósł wiatr?

Z sercem w gardle weszła po kilku krokach prowadzących na dach i wtedy to zobaczyła. Coś mignęło jej przed oczami. Jakaś kobieta.

Prawie krzyknęła, po czym uświadomiła sobie, że patrzy na stare, duże lustro, które postawiono koło schodów. Chroniące je przed kurzem prześcieradło spadło na podłogę.

Podeszła bliżej i czując się głupio, uśmiechnęła się do swojego własnego odbicia.

Ale odbicie nie odpowiedziało jej uśmiechem.

Jej twarz pozostała poważna, szczupła, prawie przezroczysta, jakby widziała inną postać nałożoną na swoją. Podobnie jak na starych fotografiach z podwójną ekspozycją, gdzie na jednym kadrze pojawiają się dwie postacie. Ubrania też się nie zgadzały. Na odbiciu koszuli nocnej zauważyła zarys sukienki.

Przeżona cofnęła się o krok, a dziewczynka w lustrze otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Wtedy Sarah krzyknęła przez ściśnięte gardło.

Odbicie szybko zniknęło.

Była sama na strychu, dłonią zasłaniała usta, w uszach słyszała bicie swojego serca. Była przekonana, że właśnie stała twarzą w twarz z duchem.

– Sarah? – zawołała jej matka gdzieś z dołu, więc dziewczynka uciekła ze strychu, nadal nie wiedząc, skąd brał się hałas na dachu, nie mając pewności, czy cokolwiek widziała w słabym świetle, nie wiedząc, czy nie traci rozumu.

Teraz, gdy pojawiło się to wspomnienie, uświadomiła sobie, że jej duch nie był tożsamy z duchem Gracie.

– Wprost wspaniale – wyszeptwała. Teraz zamiast jednego ducha nawiedzającego dom, były dwa. Albo, co bardzo prawdopodobne, ani jednego, ale jak to świadczyło o niej i jej młodszej córce?

ROZDZIAŁ 25

– Nie martw się, zaopiekuję się tobą.

Sarah leżała nago koło strumienia i czuła silny zapach wody. Wysportowane ciało Clinty spoczywało na niej. Dotykał jej nosa czubkiem swojego nosa, pot na jego czole lśnił w żarze letniego dnia. Niebo nad nim było równie niebieskie jak górskie jezioro. Nie było na nim żadnych chmur, jedynie rozplývająca się smuga kondensacyjna samolotu. Pocałował ją, drapiąc jej skórę swoim zarostem. Jego giętki i silny język igrał z jej językiem, muskał tylną stronę jej zębów.

Rosło w niej pożądanie. Pragnęła go, o Boże, tak bardzo go pragnęła. Kręciło jej się w głowie, rozgrzane powietrze przenikał zapach seksu. Wiedziała, że zrobi wszystko, o co ją poprosi.

Absolutnie wszystko.

Pochylił głowę i poczuła jego oddech na swoich nagich piersiach. Jej sutki nabrzmiały w oczekiwaniu. Przeszywał ją rozkoszny ból pożądania.

– Kochaj się ze mną – błagała.

– Och, kochanie. – Jego duże dłonie na jej plecach. Przyciągnął ją jeszcze bliżej. Rozochoczone usta jedwabiście sunęły po jej skórze.

Sarah się rozplýwała.

Ustami objął jej sutek, aż krzyknęła i wbiła palce w jego włosy, przytrzymała jego głowę, gdy poruszał językiem po jej skórze.

– Kochaj mnie – wyszeptwała, przywierając do niego.

– Kocham.

Gdyby tylko mogła mu wierzyć, gdyby tylko mogła zaufać tym prostym słowom. Ale coś było nie tak, nadciągała ciemność. Już ją czuła.

Jego język obracał się wokół jej piersi. Nacisk jego zębów był na tyle silny, że gwałtownie, z pożądaniem wciągała powietrze. Wygięła plecy, a on dotknął jej nizej, opuszkami palców leciutko muskał jej brzuch, aż dotarł do złączenia nóg.

Gdy jej tam dotknął i poczuł wilgotne ciepło jej pożądania, uśmiechnął się tym swoim krzywym, kowbojskim uśmiechem, który tak jej się podobał, chociaż czasami nie wiedziała, co znaczy. Czy naprawdę ją kochał? Czy tylko się z nią bawił?

– Och... – westchnęła, gdy jego palce weszły głębiej. Nagle zaczęła oddychać ciężko i szybko, pragnęła więcej, przyciągała go bliżej, wyczuwając nadciągającą ciemność. Słońce i niebo zniknęły, zapadł zmrok. – Clint – szepnęła.

Położył ją na porośniętej suchą trawą ziemi i rozsunął jej kolana.

Kochała go. Zawsze go kochała!

Wbił się w nią z jękiem. Oddech mu się rwał.

– Sarah, och... och, Boże, Sarah... – Jego ręce powędrowały wyżej, z desperacją wplątał palce w jej włosy. – Gdybyś tylko mogła mi zaufać.

Zamknęła oczy.

– Ufam ci.

– Nie.

– Oczywiście, że tak – powiedziała, ale przestał się poruszać. Wszystko się zatrzymało. Żar i pożądanie ustały.

– Zadbam o twoje bezpieczeństwo. – Zimne krople spadły jej na twarz. Jedna, potem kolejna i kolejna. Łzy? Pot? – Obiecuję.

Jego głos się zmienił.

Otworzywszy oczy, zobaczyła, że jest noc, a ona już nie kocha się z Clintem, lecz spoczywa w ramionach Rogera. Pada deszcz, a on znosi ją z dachu do wieżyczki.

– Nie pozwolę mu cię krzywdzić – zapowiedział Roger łagodnie. Zobaczyła, że płacze. – Nie pozwolę... Obiecałem jej. Obiecałem... – Przez ułamek sekundy mignęła jej twarz siostry, Theresy, unosząca się nad nimi, ale zaraz zniknęła w przetaczającej się nad nimi burzowej chmurze. – Obiecałem.

Sarah zerwała się i usiadła w swoim śpiworze.

Przez okna salonu, gdzie wraz z córkami leżała przed wygasłym kominkiem, sączyło się szare światło poranka. Serce jej waliło, miała skórę wilgotną od potu, ale wspomnienie snu było kryształowo wyraźne. W jednej chwili kochała się z Clintem w gorący letni dzień, a zaraz potem była ciemna, burzowa noc, a Roger niósł ją nagą w deszczu do wieżyczki na dachu.

Drżąc, oświadczyła sobie, że to był tylko sen, nic więcej, że za niepokojącymi obrazami nie kryło się nic innego. Oczywiście, że po tym, jak w końcu wyjawiała Clintowi swój sekret, będzie o nim śniła. Brat i siostra prawdopodobnie pojawili się we śnie ze względu na dziwne uczucia łączące ją z tym ogromnym domem, który, miała nadzieję, zdoła przywrócić do pierwotnej, pięknej postaci.

– Gdzieś tam kryje się metafora – powiedziała do siebie, wychodząc ze śpiwora i czując chłód poranka. Nie pozwoli, aby głupi sen namieszał jej w głowie. Nie bę-

dzie to trudne, kiedy się rozbudzi. – Kawa – wyszeptała i ruszyła do kuchni, gdzie przygotowała dzbanek, po czym rozpoczęła cały proces rozpalania ognia.

Bolały ją mięśnie, a głowę wciąż miała pochłoniętą obawami związanymi z Jade i Clintem oraz rozważaniem, w jakim kierunku potoczy się ich relacja. Odmierzyła kawę i wodę, a następnie wcisnęła guzik i usłyszała, że ekspres budzi się do życia. Zanim maszyna zakończyła parzenie napoju, nalala sobie połowę filiżanki i na bosaka wyszła na tylny ganek.

Pies poszedł za nią, zszedł po schodach z ganku i obwąchiwał podwórko, szukając wiewiórek i innych zwierząt buszujących tu rano. Wysikawszy się koło hortensji, która straciła już swój kolor, Xena chodziła po niegdyś uwielbianym przez Arlene ogrodzie, po czym nagle stanęła. Uniosła nos i ruszyła przed siebie, wymięła garaż, dom gościnny i stajnie, kierując się do miejsca, które tylko ona widziała.

Czyżby gołębie?

Albo nietoperze?

A może kojot lub królik siedzące w zaroślach?

A może nic? Jak dotąd pies nie wykazał się zbyt wielkim talentem.

Jakby słysząc myśli Sarah, Xena zaskamlała cicho i podskakując nerwowo, patrzyła w górę rzeki, gdzie rozciągały się pola kończące się lasem oraz cementarzem rodzinnym, na którym wielu przodków Sarah znalazło swoje ostatnie miejsce spoczynku.

Xena ponownie zaskamlała, tym razem głośniej.

– Już dobrze – uspokoiła psa Sarah, sącząc silną kawę, zapewniającą jej dopływ kofeiny. Wspomagacza, którego potrzebowała tego ranka. Miała nadzieję, że gorący napój oczyści jej umysł i przegoni z mózgu pajęczyny wciąż zlepiające fragmenty jej niepokojącego snu. Pokręciła głową, żeby rozluźnić mięśnie szyi, i patrzyła na wschód słońca, lśniąca kulę przytłumioną warstwą unoszącej się nad rzeką mgły, której macki sięgały aż do pęknięć w skale klifu. Trzymały się mocno niczym nieprzemijający koszmar. – Skończyłaś? – zapytała psa. – To chodź, idziemy.

Xena wróciła i wspięła się po schodach, zostawiając na nich mokre ślady łap, Sarah natomiast zamiotła koszmar do najciemniejszych zakątków swojego umysłu, gdzie było jego miejsce.

– W dupie mam to, że od zaginięcia muszą „upłynąć dwadzieścia cztery godziny”! – Len Fowler pochyłał się nad biurkiem Bellisario z czerwoną twarzą i rozwichrzonymi, siwiejącymi włosami. – Candice jest dobrą dziewczyną, która

nigdy wcześniej nie dawała nam powodu do niepokoju. Wczoraj wieczorem nie wróciła do domu!

– Panie Fowler, proszę usiąść – zaproponowała Bellisario, wskazując jedno z krzeseł po drugiej stronie biurka. Zegar wiszący na ścianie jej biura wskazywał, że jest dopiero ósma rano. Len Fowler wyglądał tak, jakby nie spał od tygodnia, chociaż prawdopodobnie nie spał od dwudziestu czterech godzin, o których właśnie mówił. Dyskretnie, aby nie mógł podpatrzeć żadnych informacji na temat Rosalie, odwróciła monitor komputera. – Oczywiście może pan podać dane do raportu.

– Już tam byłem – powiedział, przeczesując palcami siwiejące włosy sterczące w każdą stronę. – Wypełniłem ten raport. – Wciąż siedział na najbliższym stojącym krześle, ale opuszczała go cała pewność siebie, pozostawiając po sobie skorupę człowieka. Jego pogniecione ubrania nagle zaczęły wyglądać na zbyt obszerne dla niego. – Moja żona tam została z... z... – Nie potrafił przypomnieć sobie nazwiska.

– Z oficer Turner? – odpowiedziała.

– To taka czarnoskóra kobieta w okularach i z krótkimi włosami? – zapytał i zanim Bellisario zdążyła potwierdzić, opisał policjantkę zajmującą się sprawami zaginięć, po czym dorzucił: – Została z nią moja żona. Podaje jej więcej informacji, ale to za mało, nie rozumie pani? Ktokolwiek porwał tę dziewczynę od Jamisonów, musiał dorwać także Candy. To dlatego przyszedłem tutaj. Słyszałem, że to pani próbuje ją znaleźć, więc pomyślałem, że nam pani pomoże. O Jezus. – Zasłonił twarz dłońmi, żeby się nie załamać.

– Może mi pan opowie, gdzie była córka wczoraj wieczorem? – zaproponowała, popychając w jego stronę pudełko chusteczek, na wypadek gdyby całkowicie się rozkleiło.

Próbując wziąć w garść, Len zaczął:

– Późnym popołudniem Candy była u swojej koleżanki Tiffany. Obie należą do szkolnego zespołu. Przyjaźnią się od zawsze, więc zamierzały pójść na pizzę i zajmować się tym, co robią nastolatki.

– Tiffany...?

– Monroe. My, a właściwie Reggie, zadzwoniliśmy do niej. – Odchrząknął i wyjaśnił, że Reggie to Regina, jego żona od dwudziestu lat, po czym szczegółowo opisał, co wiedział o poczynaniach swojej córki. Ale nie było tego za wiele. – Jak rozumiem, dziewczyny się spotkały, a potem Candy musiała chyba upaść na głowę, bo postanowiła wrócić do domu na piechotę. Podejrzewam, że Reggie się spóźniła – wyjaśnił, marszcząc czoło. – Obdzwoniliśmy wszystkich jej przyja-

ciół, krewnych, znajomych, każdego, kto wpadł nam do głowy. Dzwoniliśmy też do szpitali, ale nikt jej nie widział.

– Będę potrzebowała listy wszystkich jej przyjaciół. Każdego, kto panu przyjdzie na myśl, a także waszych sąsiadów i krewnych. Czy ma chłopaka?

– Ona ma tylko piętnaście lat!

– Piętnastolatki miewają chłopaków.

– Mówiłem już, że jest grzeczną dziewczyną!

Bellisario potaknęła.

– A co z przyjaciółmi Tiffany? Czy byli u niej jacyś chłopcy lub dziewczynki?

– Nic o tym nie wiem, ale ma starszego brata... Jak mu tam? Nie mogę sobie przypomnieć. Seth! Właśnie tak. Chodzi do lokalnego college'u. Tak mi się wydaje, ale nie mam pewności.

– Seth mieszka gdzieś w okolicy?

– Nie wiem... Ale może tak. Wydaje mi się, że widziałem jego samochód, kiedy podrzucałem Candice. – Mężczyzna sposepniał. – Nie sądzi pani chyba, że to ten chłopak?

– Po prostu zbieram informacje, panie Fowler – odpowiedziała. – Czy pana córka знаła Rosalie Jamison?

– Oczywiście, że nie. Ta dziewczyna to niezłe ziółko. – Jakby dotarło do niego, co powiedział, bo zaraz złagodził swoją wypowiedź. – A przynajmniej tak słyszałem. Nie sądzę, żeby Candice kiedykolwiek ją spotkała. Z pewnością o niczym takim nie mówiła. Nie słyszałem jej imienia, dopóki nie zaginęła, a potem oczywiście rozmawialiśmy z obiema naszymi córkami... – Urwał, przygryzł wargę, jakby nie był w stanie znieść powagi tej sytuacji. – Takie rzeczy nie przydarzają się dobrym ludziom. Chodzimy do kościoła. Wspieramy organizacje dobroczynne. My... – Spojrzał na Bellisario, jakby oczekując pocieszenia, którego nie mogła mu zaoferować.

– Aby mi pomóc, proszę dać mi listę ludzi, których zna i z którymi utrzymuje kontakt, zwłaszcza jeśli miała jakieś problemy z innymi dziećmi.

– Mówiłem już, że jest... – Zamilkł i wzdychając, zapisywał imiona przyjaciół i znajomych, sprawdzając ich numery telefonów w swojej komórce. Kiedy pisał, w drzwiach stanęła jakaś wysoka i szczupła kobieta. Jej poszarzała twarz wyrażała smutek. Patrzyła na Bellisario spłoszonym wzrokiem. Obok niej stała mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka. Kobieta ścisnęła ramiona dziecka, jakby bała się, że dziewczynka zaraz gdzieś jej ucieknie.

Bellisario wstała i podała jej rękę ponad zawalonym papierami i pustymi kubkami po kawie biurkiem.

– Detektyw Lucy Bellisario.

Uścisk kobiety był słaby, jakby nie była w stanie wykrzesać z siebie siły potrzebnej do uściśnięcia dłoni.

– Reggie – przedstawiła się przygaszonym głosem. – A to Emily.

– Miło was poznać. Proszę, usiądźcie. – Mówiąc to, ujęła dłoń dziewczynki w nadziei, że w ten sposób przekaże jej odrobinę wsparcia. Wskazała krzesło drugiemu gościowi, ale pani Fowler pokręciła głową.

– Wolałabym postać – stwierdziła, wciąż trzymając córkę.

Chociaż detektyw uważała, że lepiej by było, gdyby dziewczynka nie przysłuchiwała się rozmowie, rozumiała desperacką potrzebę rodziców trzymania jej blisko siebie.

– Czy Candice ma przy sobie telefon komórkowy lub jakiegokolwiek inne urządzenie mobilne? – zapytała.

– A jaka piętnastolatka obecnie nie ma? – Fowler prychnął pochylając się nad listą, którą tworzył, jakby gdzieś pomiędzy imionami osób, które ledwie znał, znajdował się porywacz. – Ale nie odbiera. Zadzwoniliśmy do operatora komórkowego, ponieważ to my opłacamy abonament, ale... – Pokręcił ze smutkiem głową, przewrócił oczami i spojrzał w górę na swoją żonę. – Ona nie odbiera – powtórzył łagodniej.

Reggie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiem. – Łzy wypełniły jej oczy.

Przez następną godzinę rodzice Candice Fowler trzymali się na tyle dobrze, by odpowiedzieć na resztę pytań Bellisario. Len Fowler sprzedawał ubezpieczenia, był niezależnym agentem, który nie miał żadnych wrogów. Reggie pracowała na część etatu, prowadząc księgowość w firmie męża, i była wolontariuszką w szkole oraz schronisku dla zwierząt Druga Szansa. Powiedzieli, że Candice należała do zespołu szkolnego, a w przyszłości chciała zostać pielęgniarką. Reggie co chwilę ocierała oczy. Przekazali wszystko, co wiedzieli o zwyczajach córki, jej nauczycielach, zajęciach dodatkowych, przyjaciółach, wrogach i kontaktach w mediach społecznościowych. Bellisario zapytała, czy Candice ostatnio dziwnie się zachowywała, czy miała jakieś kłopoty w domu albo w szkole. Oczywiście nie w obu przypadkach, zapewnili. Czy znała Bobby'ego Morrisa, który był chłopakiem Rosalie Jamison? Rodzice Candice przecząco pokręcili głowami, ale spojrzeli sobie w oczy, jakby w milczeniu zadawali sobie to pytanie.

– Nigdy o nim nie słyszałem – rzucił Len.

– Nigdy nie wspominała o nikim o imieniu Bobby, Bob czy Robert – zgodziła się Reggie, a następnie wzruszyła ramionami. – Obecnie tak wiele dzieje się w sieci, że pewnie nie o wszystkim wiemy. – Głośno przełknęła ślinę, uświadamiając sobie, że może nie mieć pojęcia o wszystkich znajomych córki.

– A może знаła Leo? Wspominała pani znajomości w Internecie. Udzielała się na jakichś czatach, na Facebooku albo w innym miejscu?

Pani Fowler zaprzeczyła bezgłośnie, po czym zerknęła na młodszą córkę.

– Emiliy, czy Candice kiedykolwiek wspomniała jakąś osobę o imieniu Leo albo Bobby?

Młodsza dziewczynka Fowlerów, stojąca blisko matki, pokręciła powoli głową.

– Candice nie zna nikogo związanego z Rosalie Jamison! – upierał się Len, przyjmując coraz bardziej obronną postawę. Zachowywał się tak, jakby Bellisario próbowała rzucić winę na niego i jego żonę za zaginięcie córki. Na szczęście Reggie, spokojniejsza z tej dwójki, położyła dłoń na dłoni męża i przypomniała mu, że policja „jedynie próbuje pomóc”.

To sprawiło, że częściowo udobruchany rozluźnił napięte plecy i przyjął swobodniejszą pozycję. Zapytał o śledztwo w sprawie zniknięcia Rosalie Jamison, ale Bellisario nie była zbyt wylewna, ponieważ nie chciała narażać sprawy, którą prowadzili. Chociaż nie mieli wiele, a nawet wspomniany Bobby Morris był tylko strzałem na oślep. Wszystko, co znalazła na Morrisa, sprowadzało się do tego, że prawdopodobnie zajmował się dilerką marihuany na niewielką skalę. Ale nawet na to nie miała żadnego dowodu, jedynie krążące plotki. Żaden z badanych wątków w sprawie Jamison niczego nie wniósł. Miejsce, w którym według policji mogła zostać porwana, też niewiele im dało, nie było tam żadnych oznak walki. W rzeczywistości na całej długości pomiędzy Columbia Diner i domem Rosalie nie znaleźli żadnych śladów, które odpowiedziałyby im, co się stało z zaginioną dziewczyną. Nawet psy nie były w stanie podjąć tropu. Wyglądało to tak, jakby znalazła tajemne drzwi i weszła do innego uniwersum.

A co bardziej prawdopodobne, weszła do pojazdu prowadzonego przez kogoś, kogo znała.

To dopiero zaskoczenie. Chociaż teoria Bellisario nie została potwierdzona, ona uważała, że Rosalie znała porywacza i że z własnej woli wsiadła do jego samochodu. Stąd też wspominała o Bobbym Morrisie. Chłopak z Denver wciąż nie został zidentyfikowany, a detektyw podejrzewała, że może w ogóle nie istniał. W myślach zaczynała go nazywać Leo Fantomem.

Ale jeśli Rosalie znała swojego porywacza, to może Candice także i to mogło zadziałać na ich korzyść. Dzięki temu mogliby zawęzić grono podejrzanych.

Jakkolwiek by patrzeć, wyglądało na to, że Candice Fowler mogła być kolejną ofiarą. Bellisario robiła, co w jej mocy, dla spanikowanej rodziny Fowlerów, a kiedy wyszli, skonsultowała się z Turner z wydziału zaginięć, która już ogłosiła Bursztynowy Alert. Miała tylko nadzieję, że to pomoże i że ktoś zadzwoni z informacją na temat Candice lub/i Rosalie, która nada tempa ich śledztwu.

– Nic tu nie ma! – Candice z tym jej piskliwym głosikiem małej dziewczynki grała Rosalie na nerwach. Od kilku godzin było widno, ale uprowadzona dziewczyna siedząca w boksie Szczęściarza była tak samo bezużyteczna.

– Przeszukałaś cały boks?

– Już ci mówiłam – zajączała.

Rosalie bolała głowa. Próbowwała jakoś radzić sobie z tą... tą dziewczyną, z braku lepszego słowa. Krzyczały do siebie, czas uciekał, podczas gdy Rosalie próbowała się przypochlebiać, instruować i motywować Candice do podjęcia jakiegoś działania. Podrapała się po boku, który zraniła podczas ostatniej nieudanej próby ucieczki. – Musi coś być. Może jakiś hak? Albo gwóźdź? Może luźna deska?

– Już ci mówiłam. Niczego nie ma. – Znowu pociągała nosem. – Jest mi zimno.

– To owiń się śpiworem.

– Jest brudny.

Rosalie westchnęła, uświadamiając sobie, że dziewczyna potrzebuje czasu, żeby przywyknąć, żeby zrozumieć powagę swojej, ich sytuacji, ale po prostu nie miały tego luksusu.

– Jestem głodna.

– Nie zostawili ci żadnego jedzenia?

– Nienawidzę kanapek. Wygląda, jakby kupili ją w jakimś sklepie spożywczym. Jest opakowana w folię. Naprawdę! – Dziewczyna była wstrząśnięta, więc Rosalie zamknęła oczy i oparła się o ścianę, próbując myśleć, znaleźć sposób na wydostanie się z tej cholernej celi. – Już minęła jej data ważności!

– Pewnie kupił ją na wyprzedży.

– Fuj! – Jej głos znowu przeszedł na wysokie tony, sygnalizując, że zaraz ponownie się załamie. – Chcę...

Nie mów, że do mamy. Proszę, nie mów tego!

– ...wrócić do domu.

– Ja też – powiedziała Rosalie, zaskoczona tym, jak sielankowe wydawało jej się teraz życie z mamą i wielkobrzuchym Numerem Cztery, kiedy została zamknięta w tej pełnej przeciągów starej stajni razem z Candice. – Jedynym sposo-

bem na powrót do domu jest ucieczka. Sami nas nie wypuszczą. Nie oglądałaś żadnych programów o przestępcach? Nigdy nie wypuszczają ofiar, jeśli widziały twarze zabójców.

– Zabójców? – zapiszczała Candice.

– Złych gości. Zabójców. Złodziei. Kogokolwiek. – Rosalie myślała szybko, próbując nie panikować, starając się nie doprowadzić do paniki słabszej dziewczyny, która była jej jedyną nadzieją na ucieczkę. – Nawet jeśli nie zabijają ofiar, nigdy nie pozwalają im uciec. Nie mogą, w przeciwnym razie zostaliby zidentyfikowani i złapałaby ich policja.

– O nie...

– Wobec tego musimy ich wykiwać.

– Sądysz, że możemy?

– Tak, ale będziemy musiały być sprytne i... naprawdę odważne.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Jeśli chcesz wrócić do domu, musisz ze mną współpracować. To jedyna szansa, jaką mamy. – Rosalie kończyła się cierpliwość i bolało ją gardło od krzyczenia. Drogi Boże, jeśli ten palant ukrył tu kamery albo mikrofon, to już po nich. Pomyślała jednak, że i tak już po nich. A gdyby rzeczywiście była tu kamera albo jakieś inne urządzenie szpiegujące, z całą pewnością już by o nim wiedziała. – A więc ten duży już mi nie ufa.

– Dlaczego?

– Cóż, nigdy mi nie ufał. – Tak naprawdę nie miała ochoty opowiadać jej o niedanej próbie ucieczki, ponieważ nie chciała jeszcze bardziej jej straszyć. Nie chciała, by stwierdziła, że to, co spróbują zrobić, ma niewielką szansę powodzenia. Uznała jednak, że to może się udać. Duży i Rozczochrany mogli o tym rozmawiać, wobec czego pospiesznie wyjaśniła, co zrobiła i jak z powrotem znalazła się w boksie. – Wobec tego będziesz musiała go zwabić. Dobrze? On sądzi, że jesteś... – *Beksq. Myśli, że jesteś dupą wołową. I ma rację.* – ...naiwna. A więc użyj tego na swoją korzyść. I kiedy nie będzie patrzył, uciekaj, ale najważniejsze jest to, żebyś zamknęła go w boksie, żeby nie mógł cię złapać. A wtedy uwolnisz także mnie.

– Nie wiem... Sama nie wiem... A co z tym drugim?

O rany. Czyżby się na to zgadzała? Rosalie nie mogła w to uwierzyć.

– No tak, oczywiście możesz to zrobić tylko wtedy, gdy osoba, która tutaj się zjawi, będzie sama. Jak dotąd ten mniejszy nigdy nie przychodził sam. Ale ten duży tak.

– A więc chcesz, żebym go oszukała i zamknęła w środku.

– Dokładnie tak. Ale musimy być szybkie. Ma komórkę, więc zaraz sprowadzi pomoc.

Rosalie wiedziała już, że w sprawę porwań uwikłani byli także inni ludzie, jak w jakiś spiszek. Więc czas był bardzo ważny... A także to, aby zjawił się tylko jeden z mężczyzn.

– Będziesz musiała odegrać swoją rolę. Musisz zachowywać się tak, jakbyś się bała.

– Nie muszę tego udawać.

– Okej. Dobrze. Dasz radę, Candice. Jeśli tylko dostaniesz taką szansę. – Rosalie nie była tego taka pewna. Po prostu wiedziała, że nie jest w stanie wymyślić niczego innego. – A więc zacznijmy od broni. Cokolwiek, co może za nią posłużyć. – Jakie były szanse, że zdoła to zrobić ta dziewczyna, uprowadzona nastolatka, która martwi się datą przydatności do spożycia jedzenia, które dostała od celi?

Maciała kawałki cążków do paznokci i pomyślała, że powinna rzucić je Candice. Mogłaby jednak nie dorzucić. I naprawdę, jakie były szanse, że ta naiwna dziewczyna, siedząca w odległym boksie, rzuci się na faceta, żeby wylupić mu oczy, spróbuje przebić mu tętnicę lub skopie mu jaja? Nie musiała sobie nawet odpowiadać na to pytanie. Już wiedziała, że szanse są minimalne.

– A więc postawienie mi piwa było pretekstem, by uzyskać ode mnie za darmo poradę prawną? – zażartował Tom Yamashita, wkładając kurtkę. Siedział po drugiej stronie stołu w barze Clippers, lokalnym pubie, w którym z beczek sprzedawano piwa z małych piwowni typowych dla tej okolicy. Lokal udekorowany był zdjęciami, rzeźbami i modelami różnych statków. Znajdował się na szczycie jednego ze wzgórz w obrębie miasta. Tawerna pachniała piwem i miała okna sięgające od podłogi aż do sufitu, wychodzące na dachy budynków poniżej na stoku wzgórz. Rozciągał się stamtąd panoramiczny widok na rzekę Kolumbię, jej północny brzeg w stanie Waszyngton.

– Nie chodzi o darmową poradę – powiedział Clint, odsuwając swoje krzesło od stołu. – Wystaw mi rachunek. – Wypił ostatnie piwo i wyjął portfel ze spodni. – Po prostu chciałem uzyskać poradę jak najszybciej, bo to mnie oszło miło.

– Nic dziwnego.

– A więc dzięki.

– Do usług. – Tom wstał i zapiął kurtkę. Był synem farmera z tej okolicy, o kilka lat starszym od Clinta. Dostał stypendium na Stanfordzie, został prawnikiem,

zatrudnił się w prestiżowej firmie w San Francisco, a potem doszedł do wniosku, że miejskie życie mu nie służy. Jego żona i matka dwóch jego synów podzielała jego zdanie, wobec czego przewiózł rodzinę z powrotem do Stewart's Crossing i założył własną kancelarię, a w międzyczasie zajmował się należącymi do rodziny sadami, stając się ulubionym farmerem/prawnikiem w mieście. Zakładając czapkę z daszkiem na głowę, zażartował: – Ale pamiętasz, że w sobotę obo wiązuje podwójna stawka?

– A ty pamiętasz, że następnym razem, gdy zepsuje ci się traktor i będziesz musiał pożyczyć mój, policzę ci potrójnie?

Tom uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokazując równe białe zęby, pomiędzy którymi gdzieś w głębi lśniło złoto.

– No i spoko. – Podali sobie ręce ponad stołem zastawionym pustymi szklan-kami i resztkami burgerów i frytek w plastikowych koszykach. – Chyba nie powiedziałem ci niczego, o czym już wcześniej nie wiedziałeś. Jeśli to dziecko jest twoje i chcesz ubiegać się o prawa rodzicielskie, będziesz musiał zrobić testy na ojcostwo oraz wystąpić przynajmniej o częściową opiekę. Najlepiej będzie, jeżeli Sarah wyrazi zgodę, bo oczywiście będzie cię to kosztowało dużo mniej, jeśli nie będziesz musiał wielokrotnie stawiać się w sądzie. Dogadaj się z nią, jeśli to możliwe, a wtedy wszystko pójdzie jak z płatka.

– Okej.

– W poniedziałek się tym zajmę – obiecał i pomachał na pożegnanie.

– Dzięki – rzucił Clint, ale Toma już nie było.

Zostawivszy na stole pieniądze za jedzenie, piwo i napiwek, Clint ruszył do szerokich frontowych drzwi, które właśnie znowu się otwierały. Do środka weszło czterech mężczyzn, których nie znał. Wszyscy byli w dżinsach, koszulach w kratę i kurtkach. Dawniej znał większość mieszkańców Stewart's Crossing. Te dni dawno minęły, pomyślał, kiedy mężczyźni – dwóch starszych od niego, a dwóch prawdopodobnie w jego wieku – podeszli do baru. Ramieniem pchnął drzwi, a gdy wyszedł na zewnątrz, uderzył w niego zimny wiatr ze wschodu.

Dzień zrobił się wietrzny. Opadała lekka mgła, na chodnikach i ulicach formowały się kałuże, a temperatura wciąż spadała. Zaparkował Bestię kilka przecznic niżej, pomiędzy innymi pojazdami, wśród których były motocykle, małe sedany oraz duże furgonetki z tablicami z Idaho. Windsurferzy, pomyślał. Okolice słynęła z tego, że panowały tu doskonałe warunki do uprawiania sportu wykorzystującego duże deski z żaglem napędzane jedynie wiatrem wydobywającym się z wąwozu. Furgonetka z bagażnikiem na dachu była w stanie przewieźć cały nie-

zbędny ekwipunek potrzebny windsurferom. Była to bardzo szybko rozwijająca się część populacji w okolicy dawniej znanej głównie za sprawą żywej ziemi.

I tak to się toczy, pomyślał, wszystko się cały czas zmienia. Czyż on sam nie doświadczał właśnie poważnej zmiany w swoim życiu? Dzień wcześniej nie wiedział jeszcze, że ma córkę. Teraz ponownie był ojcem. Tym razem prawie dorosłej kobiety, której nie znał. Sarah miała rację, musiał to zmienić i to szybko. Zrobił już pierwszy krok, aby ustanowić warunki prawne opieki nad nią. Zastanawiał się, jak Sarah przyjmie informacje, które uzyskał od prawnika i uznał, że ma to w nosie. Chcąc, nie chcąc, czekał siedemnaście lat, teraz załatwi to po swojemu.

A może nie? Czy Sarah nie powiedziała mu o Jade z ważnych powodów, czy też były to tylko wymówki? Był w niej tak zadurzony, kiedy chodziła do liceum. Ta nietuzinkowa dziewczyna była zabawna, piękna i mądra. Ale sprawy potoczyły się tak szybko. A on wtedy miał problem z tworzeniem stałych związków, wobec tego umawiał się z innymi, potem związał się z Andreą. Poza krótkim romansem z Sarah w czasie, gdy zerwał z Andreą, nigdy nie oglądał się za siebie.

A przynajmniej starał się nie żyć przeszłością.

Teraz, gdy jego oddech zmieniał się w parę w zimnym powietrzu, ponownie się nad tym zastanawiał. Może nie wiedział o Jade, ponieważ nie chciał przyznać, że ma córkę. Może przekonał sam siebie, że Jade jest dzieckiem McAdamsa, ponieważ nie chciał odpowiedzialności związanej z posiadaniem potomstwa.

Czy byłoby lepiej, gdyby poznał wtedy prawdę?

Czy zaakceptowałyby ojcostwo i małżeństwo, a może, jak podejrzewała Sarah, poczułby się złapani w pułapkę i zgorzkniali, przez co żalowałby założenia rodziny?

– A niech to wszystko szlag – zaklął, idąc wciąż do ciężarówki.

To wszystko nie było takie oczywiste, a jego uczucia do Sarah okazały się skomplikowane. W jednej chwili chciał ją udusić, w następnej przyciągnąć do siebie i całować z taką intensywnością, żeby cały świat zniknął raz na zawsze. Działała na niego w bardzo sensualny sposób. Ale byli wtedy młodzi i napaleni, a teraz... Teraz już zaczynał o niej fantazjować. Przyglądał się, jak radzi sobie z córkami i z tym jełopem, byłym szefem czy też chłopakiem, czy kimkolwiek był dla niej Evan Tolliver, i podobało mu się to, co widzi.

Imponowało mu to, jak zwracała się do niego, broniąc swoich racji, przepraszając, ale nie płaszcząc się i nalegając, by przeszli nad tym do porządku dziennego. Miała w sobie dojrzałość i polot, których nie zauważał wcześniej. Może te

cechy wtedy jeszcze nie istniały. A może był zbyt ślepy i skupiony na sobie, żeby je dostrzec.

A więc teraz miał problem.

Musiał stłumić w sobie pragnienie, by „wcielić się w rolę” i „zachowywać jak mężczyzna”, nie tylko być ojcem Jade, lecz zbliżyć się do Sarah. To brzmiało archaicznie i nie wątpił, że Sarah nie za bardzo będzie chciała zaakceptować go w swoim życiu, zwłaszcza kiedy dowie się, że już skontaktował się z prawnikiem w sprawie praw rodzicielskich.

Nie, będzie musiał rozegrać to na chłodno, pomyślał, zatrzymując się na rogu, zanim przekroczył ulicę w niedozwolonym miejscu, żeby dostać się do ciężarówki. Na latarni zobaczył plakat ze zdjęciem zaginionej dziewczyny, Rosalie Jamison. Zerknął na zdjęcie i przypomniał sobie, że obsługiwała go w Columbia Diner kilka tygodni wcześniej. Była mniej więcej w wieku Jade, chociaż wydawała się starsza, zachowywała się trochę arogancko, flirtowała, a teraz zaginęła, być może już nie żyła.

Na samą myśl zacisnął zęby i przez szybką sekundę wspomniawszy Brandona oraz ból związany z utratą dziecka. Rodzice Rosalie muszą być załamani. Miał nadzieję, że dziewczyna odnajdzie się bezpieczna. Że po prostu uciekła z domu, żeby pobyć z chłopakiem, jak sugerowali miejscowi plotkarze.

Począł, aż przejedzie jakiś samochód, volkswagen wypełniony nastolatkami, po czym przebiegł przez ulicę, gdzie czekał na niego Tex, jak zwykle merdając ogonem, gdy Clint przeganiał go z siedzenia kierowcy na jego miejsce na fotelu pasażera.

Córka. Miał siedemnastoletnią córkę.

Rany, o rany.

Życie było pełne niespodzianek. Odpalił silnik, zwolnił hamulec ręczny i obejrzał się przez ramię, po czym włączył się do praktycznie nieistniejącego ruchu na tej bocznej ulicy. Przez cały czas myślał o Sarah i Jade i zastanawiał się, co, do cholery, ma zrobić z resztą swojego życia.

ROZDZIAŁ 26

Sarah przez większość soboty zmuszała się do niemyślenia o Clincie Walshu, koszmarach o Rogerze, zaginionych nastolatkach i duchach nawiedzających ten stary dom. Wykorzystała czas na zajęcie się domem gościnnym, żałując, że jeszcze nie mogą się do niego przeprowadzić.

– Już niedługo – powiedziała sobie, chodząc po piętze, gdzie znajdowały się dwie małe sypialnie.

– Nie mogę dzielić pokoju z Gracie – oświadczyła Jade, widząc niewielką przestrzeń.

– Oczywiście, że możesz. To tylko na chwilę.

– Ale...

– Żadnych ale. Będziesz miała swój własny pokój, kiedy przeprowadzimy się z powrotem do dużego domu po remoncie.

– Dopóki go nie sprzedasz.

Ten temat zawsze wypływał. Nie była w stanie utrzymać sama tego domu, a jej rodzeństwo chciało odzyskać zainwestowane w remont pieniądze.

Wychodząc z domu gościnnego, pomyślała sobie, że to most, przez który będzie musiała przejść później. Na razie miała na głowie wystarczająco dużo. I zastanawiała się, jak przeżyje imprezę u Dee Linn. Jej siostra zadzwoniła w momencie gdy Sarah wchodziła do głównego domu.

Wywołałam wilka z lasu, pomyślała, widząc na wyświetlaczu imię Dee Linn oraz jej numer.

– Cześć, myślałam, że jesteś zbyt zajęta ogarnianiem wszystkiego na ostatnią chwilę, żeby zadzwonić – powitała ją Sarah.

– Wiem, wiem. Całe szczęście wygląda na to, że wszyscy wciąż zamierzają przyjść. Bałam się, że w związku z zaginięciami tych dziewczyn ludzie mogą się nie zjawić. Okazuje się jednak, że jest wręcz odwrotnie. Ludzie chcą wyjść z domu, żeby się rozerwać.

– Zaginięciami dziewczyn? – powtórzyła Sarah, mając nadzieję, że coś źle usłyszała. – Jest więcej niż jedna?

– Ojej, nie słyszałaś? Ja dowiedziałam się od Becky. Widziała to na Facebooku albo gdzieś tam, może na Twitterze. Zaginęła jeszcze jedna dziewczyna z miasta, Candice Fowler. Chodzi z Becky do jednej klasy. Nie obracają się w tym samym towarzystwie, ale czasem o niej mówiła.

– Co się stało? – zapytała Sarah.

– Nikt nie wie. Wydaje mi się, że wracała do domu od przyjaciółki. Och, jak ta dziewczyna ma na imię? Na pewno je znam. Drogi Boże, nienawidzę, jak tak zapominałam. A już wiem! Tiffany. Tak, Tiffany Monroe. Tak nazywa się ta przyjaciółka. Jej ojciec jest prawnikiem, od czasu do czasu grywa z Walterem w golfa i należy do tego samego klubu. Walter za bardzo go nie lubi, ale znasz Doktora... – powiedziała, jakby Walter był po prostu miły i ekscentryczny.

Sarah nic nie powiedziała, wciąż była zbyt zszokowana. Kolejna dziewczyna? Następna zaginiona?

– A matka Tiffany, cóż, jest trochę ześwirowana. Chyba pracuje jako psycholog albo psychiatra.

– A co z Fowlerami?

– Ten post napisała ich młodsza córka – wyjaśniła Dee Linn. – Sama wiesz, że dzieciaki tweetują o wszystkim. W wiadomościach widziałam, że wszczęto Bursztynowy Alert dla obu dziewczyn. Jak tylko to zobaczyłam, zaczęłam wydzwaniać, żeby sprawdzić, czy goście nadal zamierzają przyjść. Ty będziesz, prawda?

– Tak, tak – potwierdziła Sarah, myśląc o zaginionych nastolatkach. Oparła się o ścianę, żeby się nie przewrócić. – Biedni rodzice. Co też muszą przechodzić? No a dziewczyny... – Ścisnęło ją w gardle, gdy zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze żyją.

– No wiem – rzuciła Dee Linn bez grama empatii. Wyglądało na to, że dzwoni, żeby przekazać informacje i dowiedzieć się, kto przyjdzie na przyjęcie, ale tak naprawdę nie za bardzo przejmowała się ofiarami i ich rodzinami. – Wielka szkoda. Nie znam tych Fowlerów. Ojciec jest chyba księgowym albo sprzedaje ubezpieczenia, ale mogę się mylić. To nie ma większego znaczenia.

– Zdecydowanie. – Sarah pokręciła głową, mając nadzieję, że uda jej się pozbyć okropnych obrazów, które zaczęły ją teraz nawiedzać. Celowo zmieniła temat. – Widziałaś się ostatnio z mamą?

– Wczoraj.

– Jak się czuje?

– Tak samo. Odzyskuje i traci świadomość. Cały czas gadała o Theresie i mówiła, że jest bezpieczna z Lukiem. O ile wiem, w rodzinie nie ma żadnego

Luke'a. Poza tym, skąd mama by wiedziała?

– Przy mnie mówiła to samo, ale nie wspominała żadnego Luke'a. Chyba. Mówiła o Johnie i Matthew.

– Słucham? Tych z Biblii? – zdziwiła się Dee Linn. – Mateusz, Łukasz i Jan. A gdzie Marek? – westchnęła. – To tylko potwierdza, że ją tracimy. Pani Malone chce umieścić ją w hospicjum.

Sarah milczała. Oczywiście w końcu trzeba będzie. Wszyscy o tym wiedzieli, ale koniec nadchodził zbyt szybko. Przypomniała sobie, jak jej matka wzięła ją za starszą siostrę, zupełnie jej nie pamiętając. Dee Linn miała rację. Arlene prawdopodobnie nie zostało zbyt wiele czasu. Było jej z tego powodu przykro.

Dee Linn chyba to rozumiała.

– Słuchaj, Sarah. Wiem, że czujesz się winna, że wyprowadziłaś się ze Stewart's Crossing i nie odwiedzałaś mamy, ale prawda jest taka, że to nie jest twoja wina. Wiem, że ja byłam zbyt zaabsorbowana sobą, kiedy byłaś dzieckiem, ale widziałam to. W jednej chwili była nadopiekuńcza, a w następnej wprost okrutna. Zrozum to, mama nigdy nie była kandydatką na matkę roku.

– Teraz jest stara.

– Ale stuknięta jak diabli i ciągle wredna. Sama nie wiem, dlaczego tyle nas urodziła. Sześcioro dzieci! Wyobrażasz sobie? Co ona sobie myślała? Prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiałam, dlaczego tata się z nią nie rozwiódł. Poślubił ją ze względu na mnie, bo ja byłam w drodze, a znając ją, zaszła w ciążę celowo, żeby go usidlić.

Sarah aż się skuliła, myśląc o swojej własnej sytuacji, gdy była nastolatką.

– Tak to wyglądało. Jestem pewna, że go pragnęła. Tata był dobrą partią. Miał dużo pieniędzy, jak na tamte czasy, duży dom i tak dalej. No wiesz, był potomkiem założycieli miasta, co tak naprawdę nie jest żadnym powodem do dumy, ale dla niej mogło być ważne. Ona potrzebowała ojca dla swoich dzieci. Z tego, co słyszałam, Hugh Anderson nie miał grosza przy duszy, kiedy umarł, tylko jakieś malutkie ubezpieczenie na życie. Co więc miała zrobić?

– Poślubić tatę.

– Nie. Zajść w ciążę, a potem poślubić tatę. Przysięgam na Boga, że to wszystko zaplanowała. Założę się, że gdyby Theresa żyła, toby to potwierdziła.

– Wiesz, że nie żyje? – zapytała Sarah.

– Och, nie. Tylko myślę, że raczej nie żyje. Przecież by chyba wróciła, gdyby uciekła z domu. I w sumie mogłaby dać znać, że żyje. Mama na pewno zachowywała się okropnie także przed jej odejściem. Ale potem, wow, Arlene naprawdę

przeginała. To nie wyjaśnia jednak tego, co stało się z Rogerem. A tak przy okazji, czy dzwoniła do ciebie Lucy Bellisario? Jest detektywem w wydziale szeryfa.

– Nie, po co miałyby dzwonić?

– Szuka Rogera. Co za niespodzianka. Ilekroć coś złego dzieje się w Stewart's Crossing, na przykład giną dziewczyny, nasz brat jest poszukiwany przez policję.

– Nie mam pojęcia, gdzie on jest.

– Rozumiem, nikt z nas nie wie... O rany, spójrz, która godzina! Muszę lecieć. Do zobaczenia później.

Nie dam rady

Jade wpatrywała się w rozbity ekran telefonu i miała ochotę krzyknąć, gdy przeczytała wiadomość od Cody'ego. Czy on upadł na głowę? Minęło już tyle czasu, nie była w stanie znieść kolejnego dnia bez niego. Czyżby jej nie kochał? Usiadła na najniższym stopniu schodów wewnątrz domu i zaczęła mu odpisywać. Jej życie się sypało i nic nie mogła z tym zrobić. Jej cholerny samochód wciąż stał w warsztacie, Sam, ten gościu z algebry, nie rozumiał aluzji, Liam Longstreet najwyraźniej chciał się z nią „zaprzyjaźnić”, cokolwiek to miało znaczyć, jej zakręcona mama i siostra widziały duchy, a teraz odszyfrowywały jakiś stary pamiętnik, Jade natomiast musiała ułożyć sobie stosunki z ojcem, którego poznała zaledwie dwanaście godzin wcześniej. A Cody teraz się wycofywał? Teraz, kiedy tyle się naczekała na spotkanie?

Dlaczego? zapytała. To była okrutna i niespotykana kara. Znowu ogarnęły ją wątpliwości, pomyślała, że nie kocha jej tak bardzo jak ona jego, że jest starszy, więc zbyt dla niej dobry, i może, jak zasugerowała mama, tylko ją wykorzystuje. Och, to było takie pogmatwane. Odkąd przeprowadziły się do tego zapomnianego przez Boga miejsca! Le Paon Bleu, niech to szlag!

pracuję

Jak mogła mu przeszkadzać praca? To jej nie przekonywało.

muszę zamknąć

Od kiedy? Pracował na pół etatu w miejscowym sklepie spożywczym od jakichś sześciu miesięcy. A teraz, właśnie tego dnia, kiedy miał przyjechać z wizytą, musiał zamykać sklep?

Czy ktoś inny nie może tego zrobić? napisała. **Mój samochód stoi w warsztacie, bo inaczej bym do ciebie przyjechała.**

ok odpowiedział. Serio? Cody'emu nie przeszkadzało to, że nie są ze sobą? Coś tu było nie tak.

Tęsknię za tobą, napisała szybko, zanim gniew przejął nad nią kontrolę.

ja też muszę lecieć

Kocham cię, wysłała.

ja też

Gapiła się na wyświetlacz z sercem roztrzaskanym jak ekran telefonu. Nie chciała tego przyznać, ale kiedy Cody dowiedział się, że się przeprowadza, zaszła w nim zmiana, a ona podejrzewała, że wie dlaczego. Zanim się wyprowadziła, dwa razy przyłapała go na flirtowaniu z dziewczyną, którą znał z liceum. Chodziła do lokalnego college'u, ale mieszkała na tym samym osiedlu, co Cody i jego współlokator, Ted. Co gorsza, Ted, który chodził ze współlokatorką Sashy, praktycznie mieszkał u nich w mieszkaniu, a Sasha oczywiście spędzała dużo czasu u Cody'ego. Matka Jade zabroniła jej tam chodzić, podając ten sam stary powód: „Jesteś zbyt młoda, żeby przebywać tam bez osoby dorosłej”. Oczywiście Jade wiedziała dlaczego. Sarah zaszła w ciążę, zanim wyjechała college'u, i desperacko pragnęła oszczędzić córce tego samego losu. Sarah jednak nie wiedziała, że Jade nie ma zamiaru wpadać w tę pułapkę. Miała przyjaciółki, które marzyły o ślubie i dzieciach, może niekoniecznie w tej kolejności, ale Jade miała inne plany. Oczywiście chciała chodzić do szkoły i znaleźć jakąś pracę. Po prostu jeszcze nie wiedziała jaką, ale nie rozumiała, dlaczego miałyby w jej przyszłości zabraknąć miejsca dla Cody'ego.

Boże, tak go kochała.

Nawet jeśli nie był tak szczery w stosunku do niej, jak powinien. No dobrze, teraz skrolując jego zdjęcia w komórce, myślała o nim, że jest dużym, grubym przegrywem. Jej serce szybko topniało i chociaż zdjęcia były zniekształcone przez popękany ekran, przypomniła sobie to uczucie, gdy patrzyła w jego niebieskie oczy i widziała swoją przyszłość. Wiedziała, że w końcu wróci do szkoły i zostanie profesorem filozofii albo kimś takim. Praca w sklepie była tylko tymczasowa, dopóki nie naprawi samochodu i nie zdecyduje się na kolejne posunięcie.

Gdy patrzyła na fotki, które zrobiła Cody'emu, usłyszała odgłos łap na drewnianej podłodze, zanim jeszcze ujrzała Xenę, a pies, jakby wyczuwając smutek Jade, podszedł do niej i przyłożył chłodny nos do jej policzka.

– Hej – powiedziała Jade i pogłaskała go po dużym łbie. Następnie została obdarzona pocałunkiem, takim trochę mokrym, ale kiedy Xena zaczęła lizać ją po twarzy, uznała, że ma dość tych czułości. – Dobrze, rozumiem. – Jeszcze raz ją pogłaskała, po czym poszła do jadalni, gdzie matka i siostra siedziały nad starym pamiętnikiem znalezionym przez Gracie w piwnicy. Kogo to w ogóle obchodziło?

No cóż, je. Wszystkie plany architektoniczne domu razem z kilkoma kubkami po kawie, długopisami oraz taśmą mierniczą zostały zepchnięte na drugi koniec starego stołu, a one siedziały obok siebie w pobliżu przejścia na korytarz z dziennikiem rozłożonym przed sobą. Z jednej strony mama położyła notes, a przed Grace leżał iPad. Przez brudne okna do pokoju sączyło się szare światło. Jade zauważyła, że w pobliżu domu gościnnego parkuje furgonetka Longstreeta. Z wewnątrz dochodziło stukanie. Zastanowiła się, czy Liam jest z ojcem, po czym szybko odcięła się od tej niekomfortowej myśli, ponieważ prawda była taka, że była zainteresowana Liamem. Był cholernie przystojny, inteligentny i w głębi serca wiedziała, że skoro chodzi z Mary-Alice Eklund, jest tabu, przez co stawał się bardziej fascynujący.

Ale ona kochała Cody'ego, tego palanta.

– Znalazłyście jakieś pikantne kawałki? – zapytała Jade, udając zainteresowanie.

– Aha. – Sarah nawet nie podniosła głowy, była tak pochłonięta pracą. Odwracała strony, zapisywała coś w notesie, mrużyła oczy, próbując odczytać słowa z wypłowiałych stron, i literowała te, których nie rozumiała, żeby Gracie mogła wpisać je na iPadzie, gdzie miała otwartą aplikację tłumaczącą francuskie słowa lub wyrażenia na angielski.

W pewnym sensie to było całkiem fajne, że mama się tym zainteresowała, jako że Gracie była tak cholernie ześwirowana na punkcie pierwszej pani w Posiadłości pod Niebieskim Pawiem.

– Wiesz już, co włożysz dzisiaj wieczorem? – zapytała Sarah, podnosząc wzrok.

– Czy muszę...?

– Tak. Wszystkie idziemy na imprezę u Dee Linn.

– Może przebiorę się za wariatkę – rzuciła Jade. – Ale będę musiała pożyczyć od ciebie ubrania.

– Bardzo śmieszne – powiedziała Sarah.

Gracie westchnęła.

– Dlaczego zawsze musisz być taka wredna? Zachowujesz się wobec nas jak szkolny dręczyciel.

Jade prychnęła.

– Pozytywne nastawienie, Jade, to jedyne, czego ci potrzeba. – Mama wymówiła kolejne francuskie wyrażenie, po czym je przeliterowała. Jade była pod wrażeniem jej znajomości języka.

– Ja przebieram się za ducha Angelique le Duc – oświadczyła Grace.

– Mamo, każ jej przestać, dobrze? – poskarżyła się Jade. – Ta obsesja nie jest zdrowa.

– Przecież jest Halloween – broniła się Grace. – Pozytywne nastawienie, Jade. – Ten jej niewinny głosik doprowadzał Jade do szału.

– Tutaj jest wyrażenie ze słowem „mama” – zauważyła Sarah. – Chyba już je widziałam. – Przerzuciła kilka stron. – Tak. Jest tutaj kolejne ze słowem *mère*. – Koncentrując się, ściągnęła brwi. – Gdzie podziła się rodzinna Biblia?

– Rodzinna Biblia? – powtórzyła Jade.

– Taka duża Biblia. Powinna być w niej lista członków rodziny. Tam mogą być zapisani rodzice Angelique. Wydawało mi się, że jej mama już wtedy nie żyła, może nawet umarła podczas porodu. Nie pamiętam dokładnie, ale mówiono o tym w Posiadłości pod Niebieskim Pawiem.

– A więc może Angelique naprawdę komunikowała się jakoś z matką? – zasugerowała Gracie.

– Masz na myśli, że komunikowała się z nią po jej śmierci? – zapytała Jade sarkastycznie.

– Ta Biblia ma ponad sto lat i była tu od zawsze. W tym pokoju, na tej półce. – Sarah wskazała wbudowany w ścianę regał ze szklanymi drzwiami, który teraz był pusty.

– Nieważne – skwitowała Jade, szybko tracąc zainteresowanie.

Sarah wciąż wpatrywała się w pustą półkę, marszcząc czoło.

– Jest ważna ze względu na rodzinną historię. Nie tylko jest naszym dziedzictwem, ale także znajdowało się w niej drzewo genealogiczne. Na początku książki były strony, na których zapisywano każde pokolenie. Ktoś musiał poświęcić sporo czasu, aby odnotować wszystkie narodziny, małżeństwa i śmierci w rodzinie, a także rozwody, chociaż wówczas nie było ich wiele. Biblia była ówczesną wersją genealogii, jako że znajdowały się tam wpisy dotyczące całej rodziny. Była przekazywana z pokolenia na pokolenie.

– A więc będzie tam też Angelique? – zapytała Gracie.

– A także Maxim i jego pierwsza żona. Nie pamiętam jej imienia.

– Myrtle – odpowiedziała Gracie.

– Wychodzę stąd – rzuciła Jade, ale nie od razu wyszła.

– Babcia trzymała ją w tym kredensie przez wiele lat. Pamiętam, że tu była. – Przygryzając wargę, Sarah rozejrzała się po jadalni, jakby spodziewała się, że książka gdzieś się zmaterializuje, co oczywiście się nie stało. Zwróciła się do Gra-

cie: – Poczekaaj chwilę, dobrze? – Następnie odsunęła krzesło od stołu i wbiegła na górę.

Pies, wyczuwając przygodę, ruszył za nią.

Kiedy matka nie mogła jej usłyszeć, Jade zapytała siostrę:

– Co się z tobą dzieje? Czasami zachowujesz się, jakbyś była jakąś zaklinaczką duchów. Ile ty w ogóle masz lat. Siedem? – dodała, mając nadzieję, że zawstydzi siostrę i wleje jej trochę oleju do głowy.

Jej plan spalił na panewce. Gracie się usztywniła i odpowiedziała:

– A dlaczego ty nie dorośniesz? – zapytała, mrużąc oczy. – Zachowujesz się jak zakochana dziesięciolatka. Boki można zrywać.

– A co ty o tym wiesz?

– Wystarczająco dużo – warknęła Gracie w taki sposób, że Jade pokryła się gęsią skórka.

Dlaczego jej siostra była takim dziwadłem? Zanim zdążyła zadać to pytanie, usłyszała sygnał przychodzącej wiadomości i aż podskoczyło jej serce. Cody na pewno przemyślał sprawę i znalazł kogoś na zastępstwo, żeby mógł tu przyjechać i się z nią spotkać. To na pewno to! Odwróciła się na pięcie i zostawiła Gracie z cholernym dziennikiem. Wyjęła telefon, ale poczuła ogromne rozczarowanie, kiedy uświadomiła sobie, że wiadomość napisała Becky.

Kuzynka była w porządku, ale ona nie miała ochoty gadać z nią teraz. Wiadomość brzmiała:

Próbowałam zadzwonić. Co z dzisiajszym wieczorem?

Co takiego? Jade sprawdziła, ale okazało się, że nie miała żadnych nieodebranych połączeń. Wspaniale. Wszystko wskazywało na to, że jej telefon ucierpiał bardziej, niż sądziła. **Mam rozwalony telefon**, odpisała. **Widzimy się u ciebie?**

Wporzo, padła szybka odpowiedź.

Szałowo, pomyślała, gdy telefon zawibrował w jej ręce. Kolejny wieczór z szalonym klanem Stewartów, a jej komórka wycinała takie numery.

Namierzenie przyjaciela Larsa Blonskiego, jednego z byłych więźniów pochodzących ze Stewart's Crossing, nie było łatwe. A kiedy Jay Aberdeen został wreszcie przywieziony na komisariat, on i jego alibi były śliskie jak przysłowiowy węgorz. Bellisario rozmawiała z gościem w pokoju przesłuchań, ale Aberdeen nie potrafił wymyślić przekonującej historyjki.

– Tak, byłem z Larsem – powiedział. Siedział po jednej stronie małego stołu, mając niewiele miejsca pod ścianą. Po drugiej stronie ustawiono włączone kamery i mikrofony. Sam szeryf zasiadł po drugiej stronie „lustra”, które pozwalało innym ludziom z wydziału przyglądać się przesłuchaniu.

– Gdzie?

– W The Cavern. – Wzruszył ramionami i sięgnął do kieszeni koszuli po nieistniejącą paczkę papierosów, ale tylko się skrzywił, gdy uświadomił sobie, że niczego w niej nie ma.

– O której tam pojechaliście?

– Koło jedenastej wieczorem, może piętnaście po. – Rozmawiali o nocy, kiedy zniknęła Rosalie Jamison.

– Jesteś pewien tej godziny?

– Nie sprawdzałem na zegarku, jeśli o to pani chodzi – powiedział z wyrzutem.

– A co robiłeś w ten piątek około siedemnastej, osiemnastej?

– Byłem z Larsem. U mnie w domu.

– W tym mieszkaniu, które dzielisz z matką? – zapytała Bellisario.

– Tak, ale jej nie było.

No oczywiście.

– A gdzie była?

– Nie wiem, poszła gdzieś. Pewnie na zakupy. – Skrzywił się, jego usta wygięły się w dół w stronę wąskiej koziej bródki. – Będzie musiała ją pani zapytać.

– Tak zrobię – obiecała Bellisario i zadała mu kolejne pytania, na które Aberdeen odpowiadał, klucząc. Miała wrażenie, że kłamie, ale nie potrafiła mu tego udowodnić, więc musiała go puścić.

Jak dotąd dzień nie przyniósł żadnych wyników. Wraz z kilkoma zastępcami szeryfa przesłuchali wszystkich członków rodziny Candice Fowler, a także Tiffany Monroe i jej rodziców. Ślepym trafem, jej ojciec był adwokatem, a matka psychologiem i często występowała jako ekspert na miejscu świadków obrony w sprawach kryminalnych, wobec czego dość chętnie współpracowali, ale byli trochę podejrzliwi, co niczego nie ułatwiało. Trzeba było jeszcze zlokalizować brata, Seta Monroe, gdyż Bellisario zamierzała z nim porozmawiać. Żaden z sąsiadów niczego nie zauważył, a na ulicach w pobliżu domu Monroe'ów nie było żadnych kamer monitoringu.

Poinformowano FBI i chociaż Bellisario nie lubiła, kiedy wtrącano jej się do sprawy, czuła ulgę, że federalni ze swoim doświadczeniem, sprzętem i bazami danych zaangażowali się w dochodzenie w sprawie porwania. Liczył się czas. Je-

śli dziewczyny wciąż żyły, musiały być uwolnione, zanim stanie im się krzywda. Nawet nie chciała myśleć o tym, że nastolatki na progu swojego dorosłego życia mogłyby zostać zabite, ale wiedziała, że istnieje taka możliwość. Jeśli nie żyły, znalezienie ich ciał będzie prawie niemożliwe. Rzeka była szeroka i głęboka, doskonale miejsce, aby porzucić zwłoki poniżej niższej tamy, żeby woda zaniósła je do morza. Zalesione wzgórza otaczające Stewart's Crossing były bardzo gęste, czasami, zwłaszcza w zimie, praktycznie nie dało się tam prowadzić poszukiwań.

Mając czarne myśli, wyprowadziła Aberdeena z budynku, a zanim wróciła do biura, zatrzymała się, żeby dolać sobie kawy. Obecnie istniała jedynie niewielka szansa, że Rosalie Jamison uciekła z domu. W zazwyczaj sennym, małym miasteczku, takim jak Stewart's Crossing, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, żeby niezależnie od siebie w przeciągu tygodnia uciekły dwie dziewczyny. A chociaż ojciec Candice był przekonany, że jego córka jest wprost doskonała i robi tylko to, czego od niej oczekiwano, Ballisario w to nie wierzyła. Też kiedyś miała piętnaście lat, była dobrą uczennicą i jej rodzina także uważała ją za grzeczną dziewczynę, ale miała w sobie dzikość, którą ukrywała przed rodzicami. Taka była natura człowieka i tym charakteryzował się okres dojrzewania.

W korytarzu prowadzącym do jej biura podmuchała na kawę i wyminęła zastępcę prowadzącego podejrzanego zakutego w kajdanki. Szli w przeciwnym kierunku, do pokoju przesłuchań, który właśnie opuściła. Zauważyła też, że mężczyzna miał skrępowane nogi i usłyszała grzechotanie łańcucha. Przyszły więzień miał siwiejące włosy sięgające ramion i brodę, która od dłuższego czasu nie widziała nożyczek.

– Nie macie prawa tego robić. Chcę zadzwonić do prawnika – buntował się.

– Proszę bardzo – powiedział zastępca szeryfa, oficer Mendoza, znudzonym tonem. Santiago Mendoza pracował w wydziale dłużej niż Bellisario i zachowywał się tak, jakby widział już wszystko. Ten dzień nie był żadnym wyjątkiem. Posłał jej spojrzenie, jakby pytał: „Widzisz go?” – Wobec tego niech wyjaśni, po co jest mu potrzebny arsenał niezarejestrowanych karabinów automatycznych.

– Poluj!

– Najwyraźniej na stado słoni – zauważył Mendoza.

– Do cholery, przecież to wolny kraj!

– Tak mówią – odparł policjant, otwierając drzwi i wprowadzając podejrzanego do środka.

Więzień z błyszczącymi oczami zatrzymał się w wejściu.

– Może powinieneś „ich” posłuchać i wrócić tam, skąd przybyłeś?

– Do LA? – Mendoza pokręcił głową. – Sądziłem, że jesteś przeciwko rządowi. Czyż nie o to wam chodzi? Tak jak tym gościom z Ruby Ridge dwadzieścia lat temu. Jesteście nowymi ludźmi gór?

– *Bastardo!* – rzucił podejrzanym.

– Bellisario, słyszałaś to? – zapytał Mendoza z uśmiechem. – Pan Dodds jest dwujęzyczny.

– *Perfecto.* – Bellisario pokiwała głową.

O co chodziło z ostatnim napływem antyrządowców? Dlaczego tutaj? Dlaczego teraz? Musiała jednak zostawić te pytania Mendozie.

Wróciwszy do swojego biurka, próbowała ponownie odnaleźć związek pomiędzy dwiema zaginionymi dziewczynami. Ale nie miały wiele wspólnego, oprócz tego, że obie były nastolatkami płci żeńskiej i mieszkały w okolicy. Sącząc kawę, patrzyła na ekran komputera, teraz podzielony na pół, na którym wyświetliła dwa zdjęcia: fotografię Rosalie Jamison z prawa jazdy oraz zdjęcie uśmiechniętej Candice Fowler, dostarczone wydziałowi przez rodziców.

– Gdzie jesteście? – zapytała, jakby dziewczyny mogły ją usłyszeć. – Jesteście razem?

Prawdopodobnie. A może nie. Może pojawił się jakiś naśladowca? Choć to chore, zaginięcie Rosalie Jamison zostało nagłośnione w mediach, więc mogło zainspirować jakiegoś nowego czubka, który wykorzystał okazję do porwania Candice Fowler.

Ale kto?

Zerknęła na otwarte akta Rogera Andersona. Pomyślała sobie, że to mało prawdopodobne, ponieważ nie miał związków z żadną z tych rodzin. Ale dorastał w Stewart's Crossing i spędził w okolicy część życia. Siedział tu także w więzieniu. Teraz zapadł się pod ziemię i unikał wszelkich kontaktów z przedstawicielami prawa, pogwałcając jeden z warunków swojego zwolnienia. Poza tym był notowany za przemoc w stosunku do kobiet.

– Trzy wyroki i nie wyjdiesz z celi, Roger – powiedziała, podnosząc grubą teczkę i przeglądając raporty z aresztowania. Nie był wzorowym obywatelem i pochodził z rodziny, która, jeśli wierzyć lokalnym plotkom, nie była najbardziej stabilna. Wyprowadził się spod ostatniego znanego adresu i, według jego kuratorki, nie skontaktował się z nikim z rodziny. Kuratorka próbowała nawiązać z nim kontakt, a Bellisario wykorzystała podane przez nią numery i adresy. Jak dotąd nigdzie go nie namierzyła i pewnie uznałaby, że dawno wyjechał, gdyby nie pogłoski, że znajduje się gdzieś w pobliżu.

Tak, trzeba ponownie sprawdzić Rogera Andersona, zanim kolejna nieszczęsna dziewczyna nie wróci do domu.

ROZDZIAŁ 27

Co ty tutaj robisz? Wiesz, że nie możesz wchodzić do tego pokoju. Mama cię zabije, jak się dowie.

Sarah nie miała ochoty słuchać tego zrzędliwego głosu, który rozbrzmiewał w jej głowie. Przypominał jej głos Dee Linn, wiedziała, że wiele lat temu jej starsza siostra ostrzegła ją, by nie przekraczała progu apartamentu rodziców. Oczywiście, że tam weszła. Nie tylko wtedy, ale także ostatnio, kiedy po raz pierwszy robiła przegląd domu, chodząc od pokoju do pokoju, notując potrzebne naprawy i powtarzając sobie, że powinna się wyzbyć narzuconych jej w dzieciństwie reguł oraz całej tej paranoi. Była odpowiedzialna za to miejsce. To był tylko dom i mogła chodzić, gdzie tylko chciała.

Okazało się to trudniejsze, niż sądziła. Nawet teraz, idąc przez sypialnię, czuła się tak, jakby matka na nią patrzyła. Słyszała fragmenty kłótni toczonych przez rodziców, ostre słowa dobiegające przez zamknięte drzwi.

– Mówię poważnie, Franklin, jeśli ją tkniesz, sprawię, że będzie to ostatni raz, gdy popatrzyłeś na inną kobietę – krzyczała Arlene, podczas gdy po drugiej stronie drzwi kulila się dwunastoletnia Sarah. Dee Linn przechodziła korytarzem i przewracała oczami.

– O co im chodzi? – wyszeptała Sarah.

– Mama uważa, że tata ma dziewczynę.

– A ma? – Sarah nie podobała się myśl o tym, że jej ojciec mógł być z kimś innym niż ich mama.

– A jak myślisz? Mama... sama wiesz... – Dee Linn, schodząc na dół z Sarah, palcem wskazującym zrobiła kółko na czole, aby pokazać, że ich matka jest zeszwirowana.

– Może jednak jakąś ma.

– Kto inny by go chciał? – Dee Linn zmarszczyła nos. – Zrozum, Sarah, mama i tata są walnięci, więc doskonale się dobrali. A ty – wyciągnęła długi palec w kierunku nosa Sarah – nie powinnaś podsłuchiwać pod zamkniętymi drzwiami, kiedy inni rozmawiają.

– Też to słyszałaś – zarzuciła jej Sarah, doskonale wiedząc, że Dee Linn jest wybitną podsłuchiowniczką, która zna tajemnice innych i wykorzystuje je do swoich celów.

– Ale nie robiłam tego specjalnie.

– Bzdura! – zaprotestowała Sarah i zobaczyła błysk w oku siostry. Przez ułamek sekundy sądziła, że Dee Linn ją uderzy, zamiast tego starsza siostra złapała ją za rękę tak mocno, że aż wbiła paznokcie głęboko w jej skórę.

– Przestań! – ostrzegła ją Dee, prawie nie poruszając ustami. – Nie próbuj mi insynuować, że wiesz, co robisz, ponieważ nie wiesz. Nic o mnie nie wiesz.

Teraz, idąc przez prawie zaciemnione pokoje, Sarah myślała o swojej rodzinie. Plotkowano o niewierności jej ojca długo przed jego śmiercią. Kobiety, które poznawał podczas podróży biznesowych, kobiety z miasta, kobiety, których Sarah nigdy nie widziała, ale które nawiedzały korytarze Posiadłości pod Niebieskim Pawiem, pojawiając się być może jedynie w chorym umyśle Arlene.

A Dee Linn, niespokojna dusza jako nastolatka, złągodniała z wiekiem i w małżeństwie z mężczyzną, któremu pozwoliła nad sobą dominować. Czyżby aż tak bardzo się zmieniła? Czy to możliwe, że przymilna Dee Linn, posłuszna żona, to tylko maska? Kto wie?

Przesunęła palcem po kurzu pokrywającym starą toaletkę matki. Spojrzała na szerokie okno wykuszowe, gdzie wciąż stał jeden z dwóch stolików nocnych. Łóżko oraz drugi stolik zostały stąd usunięte. Na dywanie było widać miejsca, gdzie zachował się bardziej jaskrawy kolor. Dawniej stało tam łóżko, przez co włókna dywanu nie wypływały. Sarah pamiętała łóżko rodziców wsparte na czterech kolumnach. O wiele częściej, niż wolałaby pamiętać, słyszała rytmiczne skrzypienie sprężyn materaca i towarzyszące mu niskie, prawie zbolale jęki.

Pogrążona we wspomnieniach, rozejrzała się po apartamencie w poszukiwaniu rodzinnej Biblii, w której miała nadzieję znaleźć odpowiedzi odnośnie do przeszłości. Ale jedyne, co znalazła, to to samo niepokojące uczucie, które towarzyszyło jej w dzieciństwie.

Sarah miała nadzieję, że gdy wróci do Stewart's Crossing, w końcu będzie mogła pozbyć się demonów przeszłości. Ale w to szare, chłodne popołudnie, mając tak wiele pytań bez odpowiedzi skrywających się pośród ścian Posiadłości pod Niebieskim Pawiem, nie była pewna, czy te demony kiedykolwiek wypuszczą ją ze swoich szponów.

– Przecież mówię, że od dawna nie widziałem Andersona – twierdził Hardy Jones, siedząc na krześle przy biurku Bellisario. Ciągłe się wiercił, przez cały czas pocierał spłowiełe nogawki dżinsów lub ukradkiem spoglądał na nią dzikim

wzrokiem. Bardzo się denerwował, więc był jeszcze bardziej ruchliwy niż przy ich ostatnim spotkaniu i pocierał dłońmi przedramiona. – Unikam go.

– Ale jest w Stewart's Crossing? – cisnęła Bellisario, sądząc, że Jones jako jeden z byłych współwięźniów Rogera Andersona może pomóc w namierzeniu ukrywającego się recydywisty na zwolnieniu warunkowym. – Ludzie zgłaszają, że widzieli go w mieście. – Kiedy naciskała, jak na razie nikt nie podał żadnych istotnych informacji na temat Andersona. Miała nadzieję, że Hardy to zmieni.

Hardy wyjrzał na szary dzień za oknem.

– Może. Prawdopodobnie. Ten gość jest dziwny.

Tyle miał do powiedzenia ten śmieszny, mały człowiek siedzący po drugiej stronie jej biurka.

– Jest blisko z rodziną?

– Nie. Wydaje mi się, że z nimi nie gada.

– Nawet z braćmi?

– Nie mam pojęcia, ale nie, nie sędzę.

– Jacob Stewart go nie odwiedzał? – zapytała i gdzieś w głębi korytarza usłyszała budzący się do życia faks. – A jego siostra i jej mąż, Dee Linn i Walter Bigelowie?

– Nic o tym nie wiem. – Hardy wzruszył ramionami, zachowywał się uprzejmie, ale pod okiem miał tik nerwowy.

Poza tym kłamał. Według ksiąg więziennych, które dzisiaj dostała mailem, Jacob Stewart odwiedził brata dwukrotnie, a Dee Linn raz razem z mężem, dentystą.

– A jego kuzyni? Czy ich widuje?

– Nie wiem, kim są. – Podejrzliwe spojrzenie Hardy'ego przeniosło się z okna ponownie na Bellisario, jakby oceniał przeciwnika. – Do licha, jeśli o mnie chodzi, niech sobie ma nawet milion kuzynów. W całym kraju jest mnóstwo Stewartów i Andersonów, ale ja ich nie znam.

– A znasz Clarka Valente? – zapytała. Valente, mniej więcej w wieku Andersona, był jednym z niewielu ludzi, którzy odwiedzali go podczas niedawno odbywanej kary więzienia.

– Przecież nie zajmowałem się jego pieprzonym kalendarzem spotkań. – Spojrzał na nią z wyrzutem, przyjmując niedbałą pozycję na krześle.

– A więc nie wiesz, czy Valente go odwiedzał?

– Mógłby przyjść do niego nawet jebany prezydent, a ja bym o tym nie wiedział. Ale nie, nigdy nie słyszałem o... Jak mu tam?

– Clark Valente.

– Nie.

Kolejne kłamstwo. Hardy próbował ich nabrać. Zerknęła na monitor komputera, gdzie wśród odwiedzających wyświetlało się jeszcze jedno nazwisko: Cameron Collins, ojciec czwórki dzieci i właściciel sklepu z paszą w mieście.

– A czy Anderson miał jakichś przyjaciół?

Udając, że się nad tym zastanawia, Hardy powoli pokręcił głową.

– Nie miał żadnych.

– Nawet Camerona Collinsa?

– Kogo? – zapytał Hardy, a potem nagle urwał. – To ten religijny świr, który przychodził z Biblią i cytował jej fragmenty? Ma sklep w mieście.

Być może. Bellisario postanowiła to sprawdzić później.

– Nie wiem.

– Ten gościu przyszedł ze dwa razy.

Ton jego głosu sugerował, że nie był tego pewien. To przesłuchanie było na nic i wydawało się wielką stratą czasu, podczas gdy czas był najważniejszy, jeśli mieli znaleźć obie dziewczyny żywe. Jakby na potwierdzenie jej myśli, na biurku zawi-browała jej komórka. Na wyświetlaczu zobaczyła numer telefonu matki Rosalie Jamison. Ze względu na ich luźne powiązania, siostra Lucy chodziła do tej samej klasy, co Rosalie, Sharon nie miała oporów, żeby dzwonić do Bellisario o każdej porze dnia i nocy.

Zrzuciła połączenie i spróbowała kolejnej sztuczki na współosadzonym Rogera Andersona.

– Wiesz, Hardy? Ten twój brak wiedzy wydaje mi się dziwny. Przecież dzieliliście celę. Jak długo? Dwa lata? Dwa i pół roku?

– Dwadzieścia trzy miesiące – odpowiedział. – Wyszedłem wcześniej za dobre zachowanie.

– A mimo to nie znasz ani jednej osoby, z którą był blisko twój kumpel, nie pamiętasz nikogo, kto go odwiedzał? Czy to mi próbujesz powiedzieć? – Patrzyła na niego intensywnie, odchylając się na krześle. W sąsiednim biurze zadzwonił telefon, zamruczało ogrzewanie. – A więc, powiedz mi, co ostatnio porabiasz. No wiesz, oprócz tego, że polerujesz sztuce w The Cavern.

– Co ma pani na myśli? – zapytał podejrzliwie.

– Zakładam, że trzymasz się z dala od kłopotów.

Hardy przecesał dłonią żyjące własnym życiem włosy.

– A więc, co mi powiesz o tych zaginionych dziewczynach?

– Kim?

– Na pewno słyszałeś w wiadomościach i widziałeś ulotki. Zaginęły Rosalie Jamison i Candice Fowler.

– A co to ma wspólnego ze mną? – Popatrzył na zdjęcia leżące na biurku, a potem z powrotem na Bellisario. W końcu miała jego uwagę. – Wie pani, że to nie moja działka. Roger rzeczywiście miał jakieś problemy z kobietami, ale nie ja.

To była prawda. Wszystkie przestępstwa Hardy'ego związane były z narkotykami i podrabianiem czeków. Nie był zbyt dobry w żadnej z tych dziedzin, stąd też długa lista zarzutów przeciw niemu.

– Gdybym zadzwoniła do twojego kuratora, otrzymałabym same pochwały pod twoim adresem, tak? – W zasadzie już do niego zadzwoniła. Hardy był czysty.

– Czego, do cholery, ode mnie chcecie? – Teraz zaczął się denerwować i szybko mrugał powiekami.

– Jakichkolwiek lub wszystkich informacji na temat Rogera Andersona.

– Nie ma żadnych. To znaczy, ja żadnych nie mam. Anderson jest samotnikiem. Jest dziwny jak trzydolarowy banknot. Cały czas gada o swojej siostrze, tej, która uciekła. Miała na imię Theresa. Ciągle musiałem wysłuchiwać o niej i o tym, jak ją kochał.

– Kochał? – powtórzyła.

– Tak i nie mówię tutaj o braterskiej miłości, jeśli wie pani, co mam na myśli. – Lubieżnie spojrzął na Bellisario. – Kochał ją. Uważał, że to przez niego uciekła. Cały czas pieprzył o tym dużym domu. Jaki był wspianiały i jaka dziwna była ich matka. Wszystko, co mówił o rodzinie, było powalone – stwierdził i po raz pierwszy, odkąd rozpoczęło się przesłuchanie, Bellisario wyczuła, że z ust Hardy'ego Jonesa wydobywa się prawda. – Wie pani, co on robił? Wie pani? Anderson i ta dziewczyna?

– Może mi powiesz?

– Chodzili na ten jebany cmentarz na terenie posiadłości Stewartów. W tej pierdolonej Niebieskiej Papudze, czy jak mu tam.

– Pawiu.

– Przesiadawali koło jakiejś cholernej krypty albo coś. On i Theresa. – Hardy się uśmiechał, znajdując jakiś chory humor w tej sytuacji, a przy tym cały czas kręcił głową. – To wszystko było popieprzone.

– Twierdzisz, że utrzymywali stosunki płciowe? – zapytała, szybko dochodząc do sedna. – Theresa i Roger Anderson?

– Cóż, z tego, co wywnioskowałem, powiedziałbym, że jeśli tego z nią nie robił, to z całą pewnością tego pragnął. Być może właśnie z tego powodu uciekła. To było dziwne, człowieku, to, jak o niej mówił. – Umilkł na chwilę, jakby zreflektował się, że zdradził za dużo, po czym zamknął się w sobie.

– Pamiętasz jeszcze coś na jego temat?

– Siedzieliśmy razem tylko przez jakiś czas. To wszystko. Obaj wyszliśmy i nasze drogi się rozeszły. – Pochylił się niżej nad biurkiem. – Staram się nie zadawać z byłymi więźniami, rozumie pani? Bo to nie wygląda zbyt dobrze.

– Według kogo? – zapytała.

– Wszystkich. Głównie policji. Dlaczego według pani jestem tutaj i z panią rozmawiam? Nie dlatego, że coś zrobiłem? – Przyjął postawę obronną, kiedy tak zrzędził. I cały czas kłamał, Bellisario czuła to przez skórę. Może chodziło o to, jak próbował zastraszyć ją wzrokiem albo jak chronił się za złożonymi na piersi rękami, aż dzinsowa kurtka opinała się na jego ramionach. Nie był muskularny, ale z całą pewnością próbował wyglądać na większego niż w rzeczywistości.

– Z zawodu jesteś mechanikiem.

– Tak, ale kto zatrudni byłego więźnia? To dlatego pracuję na zmywaku.

– Roger Anderson był widziany w The Cavern. – Nie zostało to potwierdzone. Jakiś kłoszard twierdził, że widział tam Andersona, kiedy zobaczył go na zdjęciu, ale postanowiła sprawdzić, jak zareaguje na to Hardy. – Widział go stały klient.

– Nie było go w kuchni – odparł Hardy.

– Ale był tam?

– Słyszałem, że tam przesiaduje, ale to nie ma ze mną nic wspólnego. Shirley, barmanka, widziała go kilka razy.

– Nie przyszedł na zaplecze, żeby się przywitać? – zapytała. – Nie zagadał do ciebie?

– Nie jesteśmy przyjaciółmi. Dlaczego tak pani uważa? Powiedziałem, że nie widziałem Andersona, i to wszystko. Czy chce mi pani postawić jakieś zarzuty?

– Tylko tutaj rozmawiamy przy biurku. – Nie zabrała go do pokoju przesłuchań, bo uznała, że może spanikować i nic jej nie powie. Tutaj, w jej biurze, panowała bardziej przyjazna atmosfera, a przynajmniej taką miała nadzieję. Ale Hardy'ego to nie przekonywało.

– Cóż, wobec tego skończyliśmy – powiedział. – Niczego nie zrobiłem i nie wiem, dlaczego kazała mi pani tutaj przyjść. – Wstał, żeby wyjść.

– Dobrze, w porządku. Ale jeśli Anderson się z tobą skontaktuje, daj mi znać.

– Piekło zamarznie, jeśli tak zrobi.

– Pokłóciliście się?

– Już mówiłem, nie musieliśmy się kłócić. Zaczniemy od tego, że nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

– I nie wiesz, gdzie on mieszka.

– Nie słuchała pani? Powiedziałem każdą cholerną rzecz, którą wiem o tym fa-cecie! – Był naprawdę wkurzony, ale ona jeszcze nie skończyła.

– Opuścił dom w The Dalles. Kobieta, która wynajmowała mu mieszkanie, twierdzi, że po prostu wyjechał i wszystko ze sobą zabrał. – Bellisario pochyliła się nieco w jego stronę. – Sprawdziliśmy, wyjechał. Pokój był czysty jak lza. Jakby w ogóle go tam nie było. – Jakby był duchem, pomyślała.

– No i? – Na Hardym nie zrobiło to wrażenia.

– I od kilku miesięcy nie kontaktuje się ze swoją kuratorką.

Hardy nic nie odrzekł.

Drażyła dalej:

– Zawsze robił to, czego od niego wymagano. Za każdym razem, gdy wychodził z więzienia, trzymał się zasad. Ale tym razem nagle Roger Anderson wypiął się na warunki zwolnienia.

– To się dzieje przez cały czas. Dlaczego, według was, znowu trafia do paki? Już mówiłem, że nie wiem, gdzie mieszka ani co robi, ani z kim się zadaje. Nie utrzymuję kontaktów z tym gościem. I tyle. Więcej nic nie powiem.

– Dobrze – rzuciła Bellisario, ale mówiła do siebie. Hardy już odwrócił się na pięcie i szedł korytarzem, zostawiwszy ją z niczym. Oprócz natrętnego przecucia, że Hardy Jones, były skazaniec, który upiera się, że nie zadaje się swoimi współwięźniami, coś ukrywa.

Coś ważnego.

ROZDZIAŁ 28

Sypialnia jej rodziców okazała się klapą.

Obudziła w niej stare wspomnienia, o których wolałaby nie pamiętać, ale Sarah niczego nie znalazła w apartamencie ani nigdzie indziej na drugim piętrze. Z walącym głośno sercem weszła nawet do pokoju Theresy, spodziewając się, że posążek Madonny znowu będzie w innym miejscu, ale nie. Figurka znajdowała się tam, gdzie ją zostawiła, więc rozejrzawszy się po pokoju, stwierdziła, że Madonna wcale nie uśmiecha się do niej ironicznie, i zamknęła drzwi.

– To wszystko jest w twojej głowie, Sarah, wszystko w twojej głowie. – W korytarzu zawahała się pod drzwiami prowadzącymi na strych, ale usłyszała kroki na schodach poniżej.

– Mamo? – zawołała Gracie i wtedy na korytarzu pojawiła się Xena, galopowała w jej stronę. – Mówiłaś, że zaraz wrócisz, tak?

– Przepraszam. Myślałam, że znajdę tę Biblię. Mama na pewno by się jej nie pozbyła. – Zerknęła na drzwi na strych, ale przecież nie zauważyła Biblii, kiedy weszła tam poprzednim razem. Jedynym miejscem, którego jeszcze nie przejrzała, była oczywiście piwnica. – Nie widziałaś jej, kiedy znalazłaś dziennik? – zapytała córkę.

– Nie.

– Rozejrzałaś się wokół? – drażyła Sarah, przypominając sobie, co Jade mówiła na temat myszkowania Gracie. – Także po piwnicy?

– Powiedziałaś mi, że mam tam nie schodzić.

– Ale zesłałaś, prawda? To tam znalazłaś dziennik. Wobec tego pytam cię, czy kiedy tam byłaś, zauważyłaś Biblię. Jest duża, więc raczej powinna ci wpaść w oko.

– Nie widziałam jej – odparła Gracie. – Przykro mi.

– Szkoda. Jak ją znajdziemy, będziemy mogły lepiej zrozumieć dziennik. Dlaczego jest napisany po francusku i co to wszystko znaczy.

– Nie możesz po prostu przetłumaczyć tekstu?

– Mogę. Ale jest dziwny. Nie wydaje mi się, żebyś znalazła dziennik Angelique le Duc.

– Co masz na myśli?

– Z fragmentu, który przetłumaczyłam, wynika, że ten dziennik został napisany przez kogoś innego, prawdopodobnie jej córkę Helen. Cały czas mówi o swojej matce. A nie sądzę, aby Angelique o niej pisała.

Rozczarowanie Gracie było wręcz namacalne.

– Wobec tego nie będę miała z niego pożytku.

– Jeszcze o tym nie wiemy. Ale żeby mieć pewność, musimy znaleźć Biblię.

– Sądzisz, że jest w piwnicy?

– Może. – Uśmiechnęła się w wymuszony sposób, tłumiąc fobie towarzyszące jej od dwudziestu lat. – Chodźmy poszukać.

Zbierając się na odwagę, Sarah udała się za córką do drzwi prowadzących do piwnicy, ale gdy się otworzyły, zadzwoniła jej komórka. Rozpoznała numer Clint'a i aż ją ścisnęło w żołądku. Zawahała się na najwyższym stopniu.

– Halo?

Gracie była już w połowie schodów.

– Hej – powiedział neutralnym tonem. – Jak się masz?

– W porządku. – *Oprócz tego, że właśnie wchodzę do miejsca, którego bałam się przez całe życie.* – A ty? – Ruszyła w dół.

– Chyba dobrze. Chciałbym spędzać z nią więcej czasu, żeby lepiej ją poznać.

– Jestem pewna, że uda nam się to dograć. Ale powinieneś rozmawiać z nią, nie sądzisz?

– Napisałem do niej, ale jeszcze mi nie odpisała. Domyślałem się, że odpisze, ale nie chcę naciskać. Niech się przyzwyczaja do tej sytuacji. Dla dziecka to duża zmiana.

Prawie się potknęła na nierównym stopniu, ale przytrzymała się poręczy i nawet udało jej się nie upuścić komórki.

– Dla dorosłego też.

– Chciałem dać ci znać, że skontaktowałem się dzisiaj z prawnikiem, Tomem Yamashitą. To miejscowy facet, znam go od lat. Będzie do ciebie dzwonił i prawdopodobnie będzie chciał także porozmawiać z Jade.

– Naprawdę? – Poczula ucisk w piersi.

– Nic się nie martw. Nie zamierzam zrobić niczego, co mogłoby ci się nie spodobać. Po prostu muszę znać moje prawa, a Jade musi poznać także swoje prawa. Nie wspominając nawet o McAdamsie.

– Okej. Porozmawiam z twoim przedstawicielem – zgodziła się niechętnie.

– Twój były mąż adoptował Jade, prawda?

– Tak, wkrótce po tym, jak wzięliśmy ślub, ale... – Zastanawiała się, jak Noel przyjmie tę wiadomość. Prawdopodobnie nie najlepiej. – Zajmę się tym. On jest... rozsądnym człowiekiem.

Po drugiej stronie zapadła cisza, a ona zastanawiała się, czy będzie pytał ją o rozwód oraz powody rozstania z Noelem. Poczwała ucisk w żołądku.

– Jeśli tak mówisz – zgodził się Clint. – Sarah...

– Tak?

– Musimy omówić wiele rzeczy.

– Wiem. – Jedna szybka rozmowa była tylko czubkiem góry lodowej. – I może powinniśmy odbyć tę rozmowę, zanim zaczniemy konsultować się z prawnikami.

– Przysięgam, że to nie było przeciwko tobie.

Starła się nie myśleć o zagrożeniach.

– Czy potrzebuję własnego prawnika?

– Jak chcesz. Ale, tak jak wyjaśniłem, nie chcę sprawiać żadnych kłopotów. – Chwila milczenia, a potem: – A więc jak teraz z nami będzie?

– Co masz na myśli? – zapytała, ale zadała to pytanie automatycznie. Wiedziała. Kiedy czekał na odpowiedź, w końcu powiedziała szeptem, żeby Gracie jej nie podsłuchiwała: – To, co było między nami... skończyło się dawno temu.

– Może powinniśmy nad tym popracować.

Poczwała ukłucie w sercu. *Nie rób tego, Clint. Nie bądź atrakcyjny.*

– Jak? – zapytała ostrożnie.

– Właśnie o to pytałem – przyznał. – Owszem, musimy rozwikłać sprawy prawne, ale chodzi o znacznie więcej, Sarah.

– Nie spieszmy się – rzuciła automatycznie, zerkając w dół na popekaną podłogę piwnicy. Udzieliła sobie tej samej rady.

– Wybierasz się na przyjęcie do Dee Linn i Waltera?

Czy Clint był zaproszony? Nie powinna być zaskoczona. Ciocia Marge wspominała, że Dee Linn organizuje wielką imprezę. Jej bracia także o tym wspominali, kiedy ją odwiedzili. A jako że w przeszłości jej siostra słynęła z ekstrawaganckich przyjęć, dzisiejsze „spotkanie” musiało mieć rozmach.

– Tak. Przynajmniej na chwilę. Nie przepadam za dużymi imprezami.

– Pamiętam. – W jego głosie usłyszała uśmiech. Tak jakby. – Wobec tego zupełnie nie przypominasz swojej siostry – stwierdził, jakby wciąż ją znał i rozumiał,

jak bardzo różni się od Dee Linn, siostry, która nie przypominała jej ani wyglądem, ani charakterem.

– A więc do zobaczenia wieczorem. – Rozłączyła się i uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech. Podniósł się jej puls, serce biło nierówno. Co prawda udało jej się przeskoczyć pierwszy płotek, gdy powiedziała Clintowi i Jade, że są ze sobą spokrewnieni, było ciężko, ale ta sprawa jeszcze się nie skończyła. Cała jej rodzina wkrótce dowie się prawdy, a w mieście wielkości Stewart's Crossing taki skandal był niczym kamień wrzucony do wody, wzbudzający kręgi na wodzie zdolne dotrzeć do całej tej społeczności.

Była w stanie to znieść, była w stanie wytrzymać te wszystkie pytania i prawdopodobnie także uniesione brwi i impertynenckie komentarze. Ale co z Jade? Jej córka już teraz miała problem ze znalezieniem sobie miejsca w Our Lady of the River. Jej nowy status dziecka miłości Sarah Stewart i Clint'a Walsha jeszcze bardziej skomplikuje jej życie.

Trzymając się poręczy, Sarah pokonała ostatnie stopnie.

Grace już myszkowała pomiędzy rupieciami zbieranymi przez kilka pokoleń. Działała tam tylko jedna żarówka i dawała niewiele światła, wobec tego używały latarek. Sarah ujrzała przedmioty ze swojej młodości, o których już zapomniała. Pod jedną ze ścian stał stary rower należący do Jacoba, na drewnianych półkach znalazła puste słoiki do wekowania, nieużywane od dziesiątków lat, był tam też stary separator mleka, ze stalowymi dyskami oraz bębniem w komplecie. Teraz sprzęt pokrywały pajęczyny, a na całej betonowej podłodze widać było pęknięcia.

Tak, pomyślała Sarah, będzie musiała zejść tutaj ze specjalistą od fundamentów, bo wydawało jej się, że kilka kolumn, na których wspierał się budynek, zaczęło się kruszyć. Kto wie, jak długo jeszcze wytrzymają? Przyszły jej do głowy słowa Jacoba, że powinna zamówić buldożer, ale nawet nie chciała myśleć o tym, że miałyby zburzyć ten stary dom.

Czuła niepokój, chodząc po pomieszczeniu, gdzie latami zbierały się kurz, rupiecie i stare, niepotrzebne rzeczy.

– Tu jest gorzej niż na strychu – powiedziała do Gracie. – I zgadnij, kto będzie musiał to wszystko posprzątać?

– Ja? – zapytała Gracie.

– Możesz pomóc, ale sądzę, że to praca dla mnie. Zastanawiam się, czy Dee Linn albo bliźniacy chcieliby coś stąd zabrać.

– To wciąż należy do babci?

– Nie wiem, kochanie, ale nie sprzedamy ani nie pozbedziemy się niczego, co jest jej potrzebne. – Zaczęły się rozglądać, zaglądać do kartonów i przesuwać

stare wazoniki, książki na półkach i meble.

– To zajmie całą wieczność – narzekała Gracie.

– Nie... Nie ma tego tak dużo, tylko jest bałagan. – Wyglądało na to, że Arlene, kiedy zaczynała swoją walkę z demencją, wykorzystywała piwnicę jako przechowalnię dla rzeczy, z którymi nie potrafiła się rozstać. Stare radio, połamana toaletka, pęknięte lustro i telewizor, który wyglądał, jakby był z lat sześćdziesiątych – skarby zbierane przez całe życie zamienione w śmieci. Co zaskakujące, Sarah się uspokoiła. Wcale nie bała się przebywać pod ziemią z przedmiotami ze swojej młodości. Plastikowe zabawki i hula hop, kolekcja fajek należąca do jej ojca, a także położona na półce w pobliżu starej piwnicy na warzywa, za książkami kucharskimi z połamanymi grzbietami i poplamionymi stronami stara Biblia.

– No i proszę – ucieszyła się Sarah. – Zabierzmy ją na górę.

To nie było łatwe, bo Biblia była ciężka i nieporęczna, a one nie chciały potknąć się na nierównych schodach. Ale po chwili znowu znalazły się w jadalni. Było późne popołudnie. Dzień zmierzał ku końcowi, gdy Sarah otworzyła księgę na stronie, gdzie przez prawie wiek odnotowywano narodziny, śmierci, małżeństwa, chrzty i rozwody w rodzinie.

– Czy jestem tutaj? – zapytała Gracie.

– Nie wiem – odparła Sarah. – Nie wydaje mi się, aby moja matka robiła tu jakieś wpisy. O... zobacz, myliłam się. – Przerzuciła stronę i znalazła najnowsze dopiski. Przesunęła palcem w dół listy imion. Zamasztył pismem Arlene odnotowano imiona Dee Linn i bliźniaków. Lista kończyła się imieniem Josepha i godziną urodzenia, dziesięć minut po Jacobie. – Dziwne – powiedziała na głos, kiedy uświadomiła sobie, że po Josephie nikogo już nie zapisano. Żadnych małżeństw ani chrztu bliźniaków, być może w ogóle go nie mieli. Drzewo genealogiczne rodziny kończące się na jej rodzeństwie, bez jej imienia, było trudne do przełknięcia i poczuła się trochę zraniona. Czy matka miała zbyt wiele na głowie z sześciorgiem dzieci, w tym z jednym noworodkiem i dwoma zbuntowanymi nastolatkami, żeby ją dopisać?

Dopiero teraz rozumiała, że urodziła się mniej więcej wtedy, kiedy zniknęła Theresa. Oczywiście, Roger i Theresa nie zostali zapisani w Biblii, ponieważ nie byli dziećmi Franklina, ale zostali przez niego przysposobieni, kiedy poślubił Arlene. Ten ślub został odnotowany. Data była zapisana wyraźnym pismem, a pod nią lista dzieci. Oprócz jednego.

– Wygląda na to, że babcia przestała dopisywać wydarzenia do Biblii. Zobacz, mnie tutaj nie ma ani ciebie. Nie zanotowała też żadnych ślubów. – Nie było jej

ślubu, ponieważ ona nie istniała w rodzinnej Biblii, ale także ślubu Dee Linn i Jacoba, nie znalazła się też tutaj córka Dee Linn, Becky. Wyglądało na to, że w chwili, gdy zniknęła Theresa, zgasło światło w Arlene. Zgasł jej entuzjazm dla życia, jeśli w ogóle go miała kiedykolwiek.

– Teraz się tym nie zajmujmy – zasugerowała. – Wiesz, jeśli będziemy chcieli, to możemy same dopisać nasze imiona.

– To dziwne. Spójrz na tych wszystkich ludzi.

Gracie miała rację. Było prawie sześć stron imion i zapisków. Ponad sto lat życia i śmierci w rodzinie Stewartów. Gałęzie rodzinnego drzewa były długie i czasami powyginane.

– Czy wszyscy ci ludzie, ci, którzy nie żyją, zostali zakopani na tym cmentarzu?

– Masz na myśli nasz cmentarz rodzinny?

– Ten na polu. – Wskazała miejsce za oknem.

– Rodzina przestała z niego korzystać wiele lat temu. Sama wiesz, że dziadek tutaj nie leży. Został pochowany na miejskim cmentarzu wraz z wieloma innymi ludźmi, którzy tutaj mieszkali.

– To kto tam leży?

– Głównie ludzie, którzy umarli ponad osiemdziesiąt lat temu. Tak naprawdę nie wiem, kiedy przestano z niego korzystać, ale gdzieś na początku dwudziestego wieku.

Aby niepotrzebnie nie podsycać zainteresowania córki cmentarzem, a także aby wrócić do tematu, Sarah przerzuciła kilka stron Biblii.

– Patrz tutaj. – Informacje o Angeli le Duc były kompletne. Dodane bez wątpienia, gdy poślubiła Maxima. Data ich ślubu przypadała niecałe sześć miesięcy po śmierci Myrtle, jego pierwszej żony. Pra-pra-pradziadek narzucił szybkie tempo. Myrtle miała czterdzieści lat, kiedy umarła, a Angeli le Duc była jeszcze nastolatką, kiedy związała się z Maximem.

– Angeli le Duc musiała sama dodać informacje o sobie, ponieważ zapisano tutaj datę śmierci jej matki. Dzień po jej narodzinach – zauważyła Sarah. – Wtedy często się to zdarzało. Kobiety umierały przy porodzie.

– A więc nigdy nie znała swojej mamy – powiedziała Gracie. – To smutne.

– Aha. – Na stronach tej starej Biblii jest dużo smutku, pomyślała Sarah. – A więc to oznacza, że dziennik należy do Helen.

– Albo do Ruth – zaproponowała Gracie. – A może nawet do Moniki.

– Nie... patrz na datę urodzin Helen. – Sarah wskazała wypłowiły wpis. – Osiemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. To by się zgadzało. Byłaby wtedy w odpowiednim wieku, miała czternaście lat, kiedy zniknęła Angélique. I patrz tutaj. – Przerzuciła kilka stron dziennika. – Tutaj widzimy wszystkie imiona jej rodzeństwa. Mamy Ruth, niemowlę Jacques’a, Monicę i Louisa. *Papa* to pewnie Maxim, *mama* to Angélique, chociaż w zasadzie była macochą Helen. Jedyna osoba, o której nie wspomina, to ona sama, Helen.

– Ponieważ wszystko pisze w pierwszej osobie.

Sarah się uśmiechnęła.

– Widzę, że ktoś tu uważał na angielskim.

– Nauczyłam się tego dawno temu – rzuciła Gracie. – Pani Stillman w trzeciej klasie miała bzika na tym punkcie.

– Dobrze, a więc Helen to „ja” w tym dzienniku – powiedziała, stukając palcem w zeszyt.

– Nazywali Angélique mamą, chociaż była ich macochą.

– Helen i George pewnie pamiętali prawdziwą mamę. Młodszy mogli nie znać Myrtle. Angélique jako żona ich ojca była ich matką. Jedyną, którą znali. – Gdy wypowiedziała te słowa na głos, poczuła jak rezonują w niej, niczym potrącona struna gitary, która drży niemal niewidocznie, ledwie się poruszając, ale wywołuje falę dźwięku, która dosięga jej pamięci i wydobywa z niej obrazy przyprawiające ją o drżenie serca.

Dlaczego?

Czy chodziło o duchy? O tajemnicę Angélique le Duc i losy pięknej pani Posiadłości pod Niebieskim Pawiem?

A może chodziło o coś innego, akord, który dotykał jej własnej duszy, ilekroć wchodziła na ten sam dach, z którego spadła Angélique i zapewne się zabiła? Przed oczami stanął jej przyrodni brat Roger. Włosy miał przylepione do głowy, deszcz płynął mu po twarzy. Miał rozpiętą koszulę i nagi, ociekający wodą tors, gdy niósł ją w ramionach przez taras.

Czy płakał? Czy w jego oczach widziała smutek? A może był to tylko deszcz padający z nieba, burza, która rozpięta się nocą i przemoczyła go do suchej nitki?

Miała przed oczami to wspomnienie, puls jej przyspieszył, a w mózgu pojawiło się to samo pytanie. Dlaczego nie wszystko pamięta? I dlaczego nie do końca zapomniała?

– Mamo?

Głos Gracie przywrócił Sarah do teraźniejszości.

Zamrugła i spojrzała na otwarty dziennik. To, co wydarzyło się sto lat wcześniej, nie miało nic wspólnego z teraźniejszością. Więc dlaczego tak ją to niepokoiło.

– Wszystko w porządku?

Odchrząknęła i potaknęła.

– Nic mi nie jest – powiedziała, wciąż drżąc w środku. Starając się mówić pewnym głosem, rzuciła: – Przepraszam, odleciałam.

– Dlaczego?

– Myślałam o Angelique i o tym, co się z nią stało – wyjaśniła szybko, po czym przyciągnęła dziennik bliżej, żeby lepiej widzieć zapisy. – No dobrze, Gracie, rozszyfrujmy jeszcze kawałek.

ROZDZIAŁ 29

Wrócił!

Rosalie usłyszała silnik ciężarówki, potem ciszę, a następnie kliknięcie zamka i trzaśnięcie drzwiami. Włączyły się światła i wewnątrz jej celi zostało lekko oświetlone. Przygryzła wargę i nasłuchiwała, mając nadzieję, że zaraz przekona się, czy jest sam.

Do środka weszła jedna osoba.

Czekała.

Nie wywiązała się żadna rozmowa, nie usłyszała odgłosu kroków drugiej osoby. Tylko jeden człowiek idący pewnym krokiem po drugiej stronie zamkniętych drzwi boks.

Dobrze!

Czy to możliwe? Czy naprawdę miały tyle szczęścia? Przez chwilę zastanawiała się, czy może być to ktoś inny niż porywacz. Już miała się odezwać, ale ugryzła się w język. Najpierw musiała zorientować się w sytuacji.

W końcu chyba pojawiła się szansa na ucieczkę. Jeżeli dziewczyna w boksie Szczęściarza dotrzymania umowy.

Jak dotąd, Candice była zupełnie bezużyteczna. A ich plany ucieczki spaliły na panewce, a raczej, pomyślała Rosalie, jej plany. Candice nie była w stanie wspiąć się na ściany boks ani znaleźć niczego, co mogłoby pomóc jej w ucieczce, ani zrobić niczego poza szlochaniem i jęczeniem. Ale teraz miałyby zarys planu, jeśli ta idiotka będzie pamiętała, jak ma go rozegrać. Rosalie trzymała kciuki i modliła się w duchu choćby o szansę.

Och, proszę, proszę, proszę.

Kroki minęły drzwi jej boks i skierowały się na drugą stronę stajni.

Rosalie cicho podeszła do drzwi i zatrzymała się tuż przy nich, wstrzymując oddech i wytężając słuch, żeby niczego nie przegapić.

Kliknął zamek, zaskrzypiały drzwi.

– Szczęściarzo? – zawołał ich porywacz. Jego głos był zaskakująco spokojny i łagodny. Tak samo rozmawiał z Rosalie w Columbia Diner, kiedy go obsługiwała, co wydawało się wieki temu. – Jak się masz? – zapytał.

Oho. Udaje, że martwi się o Candice. Czy ona się na to nabierze? Ale może jego postępowanie, jego troska o Szczęściarę zadziałała na ich korzyść, dając mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Musisz coś jeść – oświadczył. – Żeby mieć siłę. – Był zatroskany, a ona przypomniawszy sobie, jak łatwo ją oszukał, jak uwierzyła mu, że podwiezie ją do domu z czystej dobroci serca, kiedy tak naprawdę zamierzał ją uprowadzić.

Candice nie powiedziała ani słowa.

Może i dobrze. Rosalie ścisnęła pilnik do paznokci. Była spięta i bała się, że tam w boksie Szczęściary on nabierze podejrzeń i zamknie za sobą drzwi. Zawsze tak robił, kiedy wchodził do jej małej celi. Ale teraz, o ile było jej wiadomo, drzwi do boks Szczęściary były wciąż uchylone.

No dalej, Candice, zwab zboka do środka, a kiedy najmniej będzie się spodziewał, wymini go, wybiegnij z boks, zatrzaśnij za sobą drzwi i zasun zasuwkę. Zamknij tego palanta w tej cholerniej celi. Zacisnąwszy powieki, Rosalie próbowała skierować swoje myśli w stronę drugiej dziewczyny. Pamiętaj o planie! To była ich szansa. Na pewno nie spodziewał się, że nieśmiała, tchórzliwa Szczęściara zastawi na niego pułapkę i ucieknie. Zrób to, Candice! Na co czekasz?

Mijały sekundy. Wypełnione ciszą. Usłyszała jakieś hałasy na dachu, być może gałąź albo wiewiórkę oraz szum wiatru, ale nic nie dochodziło z drugiej strony stajni.

Rosalie miała ochotę krzyknąć na dziewczynę, ale nie chciała pogrzebać ich szans na realizację planu, wobec tego po raz kolejny ugryzła się w język. Jej serce miało się w klatce piersiowej, we krwi krążyła adrenalina. Gdyby miała możliwość, oślepiłaby tego łotra, a potem podcięłaby mu gardło, ale teraz była zależna od drugiej dziewczyny.

No dalej! Zacisnęła pięści tak mocno, że na wnętrzu dłoni odbił się zarys pilniczka.

– Szczęściaro? – powiedział łagodnie, po czym dalej ją pocieszał i podnosił na duchu swoim przymilnym tonem.

TERAZ! Uciekaj! Zamknij skurwysyna w jego własnym więzieniu! Zrób to, Candice! NO JUŻ!

Ale dziewczyna ponownie się rozkleiła, mamrotała i chlipała. Rosalie nie słyszała rozmowy, ale miała nadzieję...

Szur!! Łup! Klik!

Co? Drzwi zostały zamknięte?

Tak po prostu?

Nie!

Rosalie nie mogła w to uwierzyć.

Ale usłyszała, jak mężczyzna przemieszcza się po stajni, tym razem w jej kierunku.

Ta tchórzliwa Candice nic nie zrobiła. Nic! To była ich szansa, bo porywacz przyszedł sam. Tak się wkurzyła, że prawie się rozpląkała. Musiała jednak odsunąć się na swoją pryczę, ponieważ usłyszała jego kroki zbliżające się do jej boksu. Wszedł do środka, nie powiedział do niej ani słowa, tylko zajął się tym, co go tutaj sprowadziło. Zostawił jej świeżą wodę, jedzenie i wymienił jej „toaletę”. Patrzyła na niego ponuro, słyszała szum w uszach, walczyły w niej nienawiść i desperacja. Była gotowa, by skoczyć pomiędzy niego a drzwi, ale nie dostała takiej szansy. Był świadom jej intencji z powodu jej poprzedniej próby i starał się przez cały czas zasłaniać swoim ciałem drogę ucieczki.

Pomyślała, że mogłaby się na niego rzucić, skoczyć na niego z malutką bronią gotową do cięcia i klucia. Podejrzewała, że to jej ostatnia szansa. Że mężczyzna nigdy już nie przyjdzie sam do tej okropnej, śmierdzącej stajni.

Bała się ryzykować.

Dlaczego? Na co czekasz? Spróbuj!

Za późno. Wszedł i wyszedł z boksu, zanim zdobyła się na odwagę i znalazła w sobie siłę.

Prawie jakby potrafił czytać w jej myślach.

Wszedł za drzwi i zamknął ją na klucz. Upuściła pilniczek i złapała się za głowę. Z frustracji szarpała się za włosy i bezgłośnie wyła z zadartą do góry głową. Na co czekałaś? *Wcale nie jesteś lepsza od niej! Obie jesteście pieprzonymi cykarami!*

Po chwili pochyliła się i podniosła pilniczek, ciesząc się, że praktycznie nie wydał żadnego dźwięku, kiedy spadał na ziemię. Cały czas miała do siebie pretensje i zastanawiała się, jak naprawić tę sytuację i odwrócić ją na własną korzyść. Może powinna go zawołać i uderzyć, kiedy wejdzie? Wtedy znowu usłyszała jego głos.

– Tak, to ja...

Pewnie do kogoś zadzwonił.

– To prawda – powiedział. – Wiem, że chciałeś siedem, ale może być mniej. – Nastąpiła chwila ciszy, ale jego rozmówca mówił na tyle głośno, że wyraźnie słyszała męski głos. Nie była jednak w stanie odróżnić poszczególnych słów.

– Hej! – zaproponował porywacz. – Mogę zrobić tylko to, co mogę... Nadstawiam za ciebie karku. – Kolejna pauza, a potem już się uspokoił. – A więc jedziemy na tym samym wózku. Ja znajdę dziewczyny, a ty przyjedziesz i je zabierzesz. Słuchaj, mam już plan. Dzisiaj wieczorem będziemy mieć całą kolekcję. Kończy nam się czas. Gliny wszędzie węszą. – Kolejna pauza, a potem: – Nie możemy ryzykować rekonesansu. Co ty, do cholery, sobie myślisz? Nie ma cholernego czasu. Po prostu przyjedź jutro wieczorem z pozostałymi. To musi się skończyć.

Rosalie dudniło serce, gdy zrozumiała, o czym mówi.

– ...jasne, że mam alibi, ale wolałbym, żeby nie było mi potrzebne. – Kolejna pełna napięcia chwila, a potem: – Nie, nie. Nie tak późno, jeżeli ktoś zobaczy pięć lub sześć furgonetek jadących tu w środku nocy... Przyjedź na tyle późno, żeby nie było wielkiego ruchu, ale na tyle wcześniej, żeby nikomu nie wpadły w oko podejrzane ciężarówki... O północy może być. – Kolejna pauza. Mężczyzna po drugiej stronie coś mówił, w końcu porywacz się roześmiał. – Nie, nie musisz się o niego martwić. Może nie jest najbystrzejszy, ale potrafi trzymać gębę na kłódkę.

Kto? Kto potrafi trzymać gębę na kłódkę? Rozczochrany? A może ktoś inny, jakiś cichy partner?

– Tak, pewnie. – Porywacz wydawał się spięty. – Wiem. Zróbmy to!

Ruszył po starych deskach podłogowych w stronę drzwi prowadzących na zewnątrz. Jego buty wystukiwały szybki rytm, jakby się spieszył.

To był problem.

Kiedy dojdzie do spotkania lub tego, o czym mówili, szanse na ucieczkę Rosalie i Candice spadną do zera.

Co planował ten, który ją porwał, oraz jego wspólnik? Kim były pozostałe ofiary – jak na razie chyba jeszcze nie zostały uprowadzone. Coś nowego przyszło jej do głowy. Jeżeli podczas próby kolejnego porwania jej porywacz i Rozczochrany znajdą się w ogniu walki i zostaną zabici, to jak zostaną odnalezione? Czy obie tu umrą z głodu i odwodnienia?

O, matko, co za straszna perspektywa. Serce Rosalie wciąż głośnie waliło, opadła bez sił na podłogę i oparła się o ścianę. Na ziemi wciąż leżały kawałki siana, pajęczyny, a być może biegały tu też myszy. Jutro w nocy wszystko się skończy. Wiedziała, że nie będzie to dobre zakończenie. O, Panie.

Przygryzła wargę i pomyślała o tacie oraz Leo, chłopaku, którego poznała w sieci. Obaj znajdowali się milion kilometrów stąd, w Kolorado. Zaledwie tydzień temu wszystko wydawało się takie doskonałe. Jedyne, co musiała robić, to

chodząc do pracy, żeby odłożyć pieniądze na samochód, a potem pojechać na południe, żeby zejść z oczu Sharon i Numerowi Cztery.

Teraz obawiała się, że to nigdy się nie stanie.

Cokolwiek planował dla niej porywacz, z pewnością nie chodziło mu o odwiedzinę u ojca i spotkanie z Leo.

– Ja... Przepraszam – odezwał się słaby głos z drugiej strony stajni. Candice znowu zaczęła płakać. – Po prostu nie potrafiłam tego zrobić. Bałam się za bardzo. Ojej, znowu się posikałam.

– Nie ma sprawy – skłamała Rosalie, ale po jej policzkach popłynęły łzy, a ciemność stajni sączyła się w jej kości. Wyżywanie się na słabszej dziewczynie nic nie da. – Ogarnij się. Wymyślę coś innego. Będziemy miały jeszcze inną okazję.

– Słyszałaś go? Mówił o jutrzejszej nocy.

– Ale może wcześniej jeszcze wróci. Musi przywieźć pozostałe dziewczyny... – Ocierając nos rękawem, Rosalie zacisnęła zęby, żeby się nie załamać i nie szlochać, jak tamta, jak Candice.

Przelknęła ślinę i próbowała opracować kolejny plan ucieczki. Kłopot polegał na tym, że skończyły jej się pomysły, skończyły się opcje, a wkrótce, jak wiedziała, skończy jej się także czas.

Gdzie, do cholery, jest Liam?, zastanawiała się Mary-Alice, drepcząc po parkingu i podnosząc kołnierz, żeby ochronić się przed zimnem i wilgocią, które przenikały ją aż do kości.

I dlaczego pisał do niej z jakiegoś dziwnego numeru?

Czekając na tyłach sali gimnastycznej Our Lady of the River, gdzie zwykle spotykała się z Liamem, próbowała opanować wściekłość. W końcu była sobota. Cały ten tydzień był okropny. Najpierw matka znalazła u niej papierosy. Wielka mi sprawa. Przecież tylko paliła. I to nie trawkę czy metę, czy cokolwiek innego. Ale najpierw mama wpadła we wściekłość i przypomniała Mary-Alice, że ciocia Sally właśnie walczy z rakiem, a potem wymusiła na niej obietnicę, że natychmiast rzuci palenie.

Mary-Alice złamała obietnicę już następnego dnia, ponieważ była bardzo zestresowana. Jak mogła rzucić palenie w najgorszym tygodniu swojego życia? Po pierwsze, została wyznaczona na anioła tej okropnej Jade McAdams, po drugie, miała wrażenie, że ponownie zawałiła egzaminy SAT. Jej pierwsze wyniki były odrobinę lepsze niż przeciętne i chociaż wciąż jeszcze nie dostała wyników drugiej próby, wiedziała, że nie będą tak dobre, jak oczekiwał tego ojciec. Pomimo dobrych ocen po nowym roku będzie musiała znowu przystąpić do testu, jeśli chciała się dostać na Uniwersytet Waszyngtoński, „U-Dub”, który był alma mater

jej ojca, co było dużym osiągnięciem, lub na Uniwersytet Gonzaga w Spokane, gdzie pragnęła wysłać ją matka. W zasadzie miała w nosie obie te szkoły, jako że zamierzała pójść w ślady Liama i studiować tam, gdzie on. Kłopot polegał na tym, że on był świetny z przedmiotów ścisłych i miał wspaniałe osiągnięcia sportowe, więc walczyły o niego dwie uczelnie: Oregon i Oregon State. Ona prawdopodobnie nie zostanie przyjęta na ten uniwersytet, który on ostatecznie wybierze, ale przynajmniej będzie mogła chodzić do college'u w pobliżu jego uczelni. Tak czy inaczej, zamierzała być blisko niego, czy tego chciał, czy nie.

Wydawało jej się, że jest mu obojętne, czy będą uczęszczać do tego samego college'u, co tak naprawdę doprowadzało ją do szału. Ostatnio Liama nie interesowało spędzanie czasu sam na sam z nią, chociaż wcześniej zawsze mu było mało. Zazwyczaj nie był w stanie trzymać rąk z dala od niej, cały czas próbował ją obmacywać. Ostatnio jednak był zamknięty w sobie, krążył myślami gdzieś daleko i nie dzielił się z nią przemyśleniami. Do niedawna wszystko jej mówił, a teraz już nie. Kolejny powód, żeby się złościć.

Co gorsza, wykazał zainteresowanie Jade McAdams, a nawet martwił się, że zepsuł jej telefon czy coś w tym stylu. Skąd, do cholery, miał jej telefon? Dziewczyna była frajerką, i to przez duże F. Mary-Alice życzyła jej, by padła trupem.

Czy nie taki los przypadał w udziale ludziom ze starego domu, w którym mieszkała Jade? Według matki Mary-Alice kilku Stewartów zmarło w tym okropnym starym domu koło wąwozu. A więc dobrze, Jade mogłaby wyparować z powierzchni ziemi, a świat stałby się wtedy lepszym miejscem.

Zadrzała pod wpływem tych myśli i niepewnie rozejrzała się wokół. Przynajmniej nie była zupełnie sama. Niedaleko widziała przysadzistą kobietę w jednej z tych puchowych kurtek, spacerującą z psem po bieżni. Na miłość boską, nie ma pani odpowiedniej figury do takiego ubrania! Oprócz niej był jeszcze biegacz wytrwale truchtający wokół kobiety ze szpicem miniaturowym, a przynajmniej wydawało jej się, że to ta rasa. W tej mgle trudno było stwierdzić na pewno. Z tego miejsca słabo widziała bieżnię, w oddali, niczym duchy, majaczyły trybuny.

Pomyślała, że wsiądzie do samochodu zaparkowanego w miejscu niewidocznym z ulicy, chociaż w tej zupie i tak nikt niczego nie był w stanie zobaczyć. Ale była zbyt nakręcona, zbyt zmartwiona i zirytowana Liamem.

Zacisnęła pasek długiego płaszcza i odniosła wrażenie, że widzi samotnego mężczyznę siedzącego na jednej z ławek, ale kiedy wyteżyła wzrok i przyjrzała się uważniej, cień zniknął lub został całkowicie zasłonięty przez gęstą mgłę.

Przestań się nakręcać.

Nie pozwól, żeby nerwy przejęły nad tobą kontrolę. Jesteś tutaj w szkole, to twoje boisko, tutaj należysz. Może nie jesteś najpopularniejszą dziewczyną, ale znajdujesz się w pierwszej piątce. Ale dzisiaj, gdy nie było tu żadnych uczniów ani nawet sportowców ćwiczących na boisku, szkoła wydawała się ponura. Jej białe ściany wyglądały, jakby były brudnoszare. Witraże natomiast przypominały ciemne i złowróżbne oczy patrzące na nią z góry. Wcale nie czuła, że należy do tego miejsca.

– Nie bądź głupią gąską – powiedziała, powtarzając słowa swojej matki.

Wsadziła ręce głęboko do kieszeni płaszcza, ale chociaż miała rękawiczki, jej palce były zimne. Tak naprawdę, całe jej cholerne ciało zmieniało się w sople lodu.

– No dalej, Liam – westchnęła, a jej oddech przeobraził się w mgłę w już mlecznym powietrzu. Wszystko to wydawało się dziwne, a kampus szokująco odizolowany, nawet pomimo kobiety z psem i biegacza.

Ta okolica była nieco na uboczu, więc dlatego wybrali ją z Liamem, bo tutaj mogli spotykać się na osobności, bez kamer monitoringu, oprócz jednej, niedziałającej, umieszczonej nad tylnymi drzwiami sali gimnastycznej.

Potarła przedramiona, miała nadzieję, że pojawi się tak, jak zapowiedział. Czekanie w tej mgle wprawiało ją w niepokój.

Na Facebooku przeczytała, że zaginęła jeszcze jedna dziewczyna, Candice jakś tam. W sumie Mary-Alice to nie obchodziło, nie знаła ofiary, nigdy o niej nie słyszała. Candice chodziła do szkoły państwowej, podczas gdy Mary-Alice była uczennicą szkoły katolickiej, odkąd skończyła pięć lat.

Dziewczyna przechadzała się po dziurawym asfalcie pokrywającym parking. Przecież nie będzie czekała cały dzień! Po raz dwudziesty sprawdziła telefon. Liam nie napisał ani nie zadzwonił. Był już spóźniony pięć minut. A on nigdy się nie spóźniał.

Gdy mgła zgęstniała, zmieniając dzień w noc, Mary-Alice zaczęła się coraz bardziej denerwować. Ponownie spojrzała na bieżnię, ale straciła z oczu kobietę z pieskiem oraz faceta na trybunach. Został tylko biegacz, niewysoki mężczyzna w wełnianej czapce, bluzie i legginsach pod szortami, który biegał okrążenie za okrążeniem. Nie była zupełnie sama.

Napisała do Liama, po czym przypomniała sobie, że ma nowy numer. Co za bezsens! Wszystko się zmieniało. Zaczęła pisać na nowy numer, w chwili gdy rozległ się warkot silnika jakiegoś pojazdu jadącego ulicą.

Może wreszcie się zjawił!

Pojazd zwolnił, jakby chciał zjechać na drogę dojazdową, prowadzącą na tyły szkoły.

Najwyższa pora, do cholery.

Światła auta rozświetliły mgłę i zza rogu wyłonił się pick-up, którego nie znała.

To nie było auto Liama.

Znowu się wkurzyła, ale wtedy zobaczyła na drzwiach kierowcy logo z numerem telefonu do Longstreet Construction.

A więc Liam przyjechał jednym z aut ojca. Westchnęła z ulgą. Keith Longstreet cały czas wymieniał pojazdy na nowe, a magnetyczne tablice z danymi firmy, które można było łatwo usunąć, nie przeszkadzały w ciągłych zmianach ciężarówek, furgonetek czy samochodów. Liam, kiedy mógł, jeździł firmowymi pojazdami, bo jego auto było zawodne.

Ciężarówka zatrzymała się kilka kroków od Mary-Alice.

– Już miałam jechać – powiedziała z wyrzutem, kiedy drzwi się otworzyły i uświadomiła sobie, że kierowcą nie jest Liam.

Umilkła nagle.

– Hej...

Mężczyzna, który wyskoczył z kabiny, był wysoki i wydawał się rozszoszczony. Mogłaby przysiąc, że już wcześniej gdzieś go widziała. W jednej ręce trzymał broń wycelowaną w jej pierś.

Krzyknęła głośno i rozdzierająco, odwróciła się, żeby uciec, mając nadzieję, że biegacz albo kobieta z psem, albo ktokolwiek inny ją usłyszy.

Momentalnie jej dopadł i wielka dłoń w rękawicy roboczej zasłoniła jej usta i nos. Przyciągnął ją do siebie z brutalną siłą. Nie mogła na to pozwolić. Nie, nie, nie! Wgryzła się w skórzaną rękawiczkę i poczuła smak jeleniej skóry i oleju.

Napastnik nawet się nie wzdrygnął.

– Nie ruszaj się – warknął prosto do jej ucha. Pokryła się gęsią skórką, gdy poczuła żar jego oddechu na skórze. To nie mogło się dziać! Nie jej!

Walczyła, ignorując jego słowa, i desperacko próbowała się wyrwać.

Wtedy ujrzała swojego zbawcę. W jej kierunku biegł biegacz, miał czerwoną twarz, sterczące włosy wystające spod czapki. Pomocy! Próbowała wrzeszczeć, ale dźwięk, który wydobywał się z jej gardła, był zduszonym krzykiem. Błagając go wzrokiem, kopiąc i szarpiąc się, miała nadzieję, że biegacz powstrzyma napastnika.

On natomiast zdjął czapkę, pod spodem miał opaskę przytrzymującą jego rozczochrane włosy.

– Ach, jaka ładna – powiedział, uśmiechając się lubieżnie.

Ten wysoki rozkazał:

– Załóż jej kajdanki!

Co? Nie!

– Z przyjemnością. – Niższy mężczyzna krzywo się uśmiechnął i próbował założyć kajdanki na nadgarstki Mary-Alice, która wrywała się i wiała, będąc przekonana, że w każdej chwili trzymający ją mężczyzna przyłoży jej broń do skroni i ją zastrzeli. Nie była w stanie im się wyrwać. Mniejszy mężczyzna rozpuścił włosy, po czym użył przepoconej opaski, żeby ją zakneblować. Nie mogła nic zrobić, aby go powstrzymać, gdy zawiązał opaskę z tyłu jej głowy. O mały włos nie zwymiotowała, czując smród jego potu na ustach i w nosie.

Nie mogła na to pozwolić!

Desperacko walczyła, ale wszystko na nic.

Kim byli ci psychole? Czego chcieli? Ale już wiedziała. W głębi serca wiedziała i prawie straciła przytomność. Zabierali ją tak, jak zabrali dwie pozostałe dziewczyny. Zmroziło ją na myśl, co mogą z nią zrobić, jakie tortury dla niej szykują, więc walczyła jeszcze mocniej, próbowała krzyczeć. Gdzie jest kobieta w puchowej kurtce? Gdzie się wszyscy podziali? To była szkoła, na miłość boską, a w pobliżu znajdowała się plebania.

Ale nikt nie wyłonił się ze mgły, żeby ją ocalić.

– Zabierz ją do środka – rozkazał większy mężczyzna, ciężko dysząc, podczas gdy jego partner biegacz, zmachany i kaszlący, cały czas popychał ją w stronę otwartych drzwi ciężarówki.

Mary-Alice zapierała się nogami i wrywała, ale nie miała szans z tymi dwoma facetami, więc po chwili, po kilku minutach od przyjazdu ciężarówki, została bezceremonialnie wrzucona na jej tył. Biegacz niespiesznie przyniósł jej torebkę i torbę na siłownię z jej samochodu. Kiedy ją obrabował, wszedł do kabiny i zatrzasnął drzwi. Większy siedział za kierownicą, wrzucił bieg i dodał gazu. Duży pojazd ruszył, rozpryskując wokół żwir.

Boże, pomóż mi, proszę.

Mary-Alice zrobiło się niedobrze, cała drżała, bała się myśleć o tym, co ci okropni ludzie mogą jej zrobić. Kiedy zorientowała się w przestrzeni, uświadomiła sobie, że nie jest sama na długiej tylnej kanapie.

Obok była Dana Rickert, dziewczyna, z którą chodziła na trygonometrię. Ona także była związana i zakneblowana, emanując strachem, tylko patrzyła przerażonym wzrokiem. Większy porywacz szybko wyjechał z parkingu na drogę dojazdową i oddalił się od szkoły z wysokimi wieżyczkami i dużym krzyżem. Mary-Alice skrępowanymi rękami próbowała otworzyć tylne drzwi. Zamknięte. Pomy-

ślała, że mogłaby rzucić się na przednie siedzenie i spowodować wypadek. Zobaczyła jednak, że biegacz, siedzący na miejscu pasażera, odwraca się w jej stronę i celuje do niej z broni.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegł i pomachał pistoletem.

Klik!

O, cholera!

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Mary-Alice nie klepała bezmyślnie modlitwy, lecz błagała Boga z głębi duszy, prosząc Go, bardzo prosząc, żeby ją ocalił.

ROZDZIAŁ 30

Przy stole w jadalni Sarah zaczytywała tłumaczenie, mając pod ręką dziennik. To nie miało żadnego sensu. Jeśli się nie myliła, a sprawdziła to dokładnie, Helen była na dachu tamtej nocy prawie sto lat temu, kiedy jej matka Angeliqne le Duc rzekomo spadła i się zabiła.

Swobodnie przetłumaczony wpis brzmiał: Znalazłam mamę na dachu z George'em.

Ale to nie mogła być prawda. Mężem Angeliqne le Duc był Maxim, mężczyzna, który prawdopodobnie ją zabił, jeden z przodków Sarah, a przy tym człowiek, który zbudował ten dom dla swojej żony.

– Co, do diabła? – wyszeptwała.

– Słucham, mamó? – Gracie zamieniła się w słuch, patrząc na zapiski po francusku, w drugim języku Helen, tym, którego nauczyła się od macochy. – Co czytasz?

– Ten wpis to relacja Helen z nocy, kiedy zniknęła Angeliqne – wyjaśniła Sarah, spoglądając na cienkie stronicie. – Jeśli mówi prawdę, znajdowała się tamtej nocy na tarasie i widziała walkę swojej macochy i George'a toczącą się koło barierki.

– George'a? – powtórzyła Gracie.

– No właśnie. Nic nie wspomina o Maximie. – Sarah jeszcze raz przeczytała akapit, w którym Helen opisywała tamtą burzową noc. Jasno z niego wynikało, że George rzucił się na macochę z siekierą, chciał zabić ją oraz dziecko, które nośiła w brzuchu, a ona broniła się świecznikiem.

– Co się stało?

– Helen twierdzi, że się bili. George zarzucił jej, że jest... Powiedział na jej temat bardzo niemiłe rzeczy – kluczyła, ponieważ nie chciała podawać dokładnego tłumaczenia, czyli wymówić słowa „kurwa”. Według Helen, George był wściekły, że jego macocha z kimś sypiała, że miała romans... Nie, coś mi się nie zgadza. – Preczytała dalej i uświadomiła sobie, że George, najstarszy syn Maxima, tak naprawdę był kochankiem Angeliqne. Według Helen, George wychodził z siebie, sądząc, że Angeliqne zaszła w ciążę z jego ojcem, mężczyzną, którego poślubiła.

– Co mówisz? – zapytała Gracie, kiedy Sarah zamilkła, próbując przełożyć to na angielski.

– Według Helen, George i Angélique mieli romans – powiedziała niechętnie. – Jak wiesz, byli w podobnym wieku.

– Och... – Gracie się skrzywiła. – Ale przecież był dla niej jak syn.

– Wiem, ale wychowywała go matka, Myrtle, pierwsza żona Maxima. Angélique wyszła za Maxima, kiedy George był prawie mężczyzną, chociaż nie jest to żadne wytłumaczenie.

Gracie potaknęła, loki podskakiwały wokół jej twarzy.

– Czy Angélique umarła?

– Angélique i George najwyraźniej zwarli się w jakiejś makabrycznej walce, próbując zadać temu drugiemu jak najwięcej ciosów. Walczyli, po czym razem przelecieli przez barierkę. – Sarah patrzyła na wyznanie młodej dziewczyny, która z wieżyczki obserwowała przerażającą bójkę zakończoną śmiercią swojej macochy i brata.

– A co potem?

– Ten fragment kończy się na walce na tarasie. – Wzdrygnęła się na samą myśl. Nic dziwnego, że dusza Angélique nie znalazła spokoju. Sarah szybko przekartkowała kolejne strony, ale na tym opisie opowieść o Angélique dobiegła końca. Po tym, jak Helen zobaczyła śmiertelne zwarcie i upadek kochanków, pisała rzadziej i opowiadała o tym, że przejęła trud opieki nad rodziną. Sarah wyobraziła sobie, że Helen próbowała być matką dla dzieci Maxima. Była wtedy taka młoda, mniej więcej w wieku Gracie, a pozostali jeszcze młodsi, To wydawało się prawie niemożliwe. – Jeśli mówi prawdę, to wszyscy troje: George, Maxim i Angélique zniknęli tej samej nocy.

– Więc jeśli George i Angélique wpadli do rzeki i się utopili, to co się stało z Maximem? – zapytała Gracie. – Gdzie się podział? I dlaczego nie wrócił?

– Ona tego nie wie... – Przejrzała kolejne strony. – W dwóch miejscach Helen kończy akapit pytaniem: „Gdzie jest tata?”.

– Może odszedł, kiedy dowiedział się o George’u i Angélique.

– Może... ale czy zostawiłby dzieci i dom? Helen pisała dziennik jeszcze przez kilka tygodni, ale czekaj... – Przeczytała dwa razy wyblakłe słowa i jej świat się zachwiało. Czy to możliwe? Czy w tym starym dzienniku młodej dziewczyny odnalazła rozwiązanie tajemnicy Posiadłości pod Niebieskim Pawiem? Jeśli tak, wszystko, co Sarah uznawała za rodzinną historię, stanęło na głowie. Poczula bolesny ucisk w żołądku. – Tutaj jest napisane – powiedziała niechętnie – że według

Helen, dziecko na zdjęciu, które widziałyśmy, czyli mój pra-pradziadek, był synem George'a i Angelique, nie Maxima. Podслуchała to podczas kłótni.

– To chore. – Gracie pogрузzyła się w myslach. – A więc i tak był Stewartem? Nie, czekaj... Co to znaczy?

Że przyrodni brat Jacques'a był jego ojcem, a Maxim jego dziadkiem. Że wszystko, w co wierzyłam i co wiedziałam o swoich przodkach, nie jest prawdą.

– To znaczy, że to jest skomplikowane.

– Zawsze tak mówisz, kiedy nie chcesz, żebym dowiedziała się prawdy.

– Dopóki nie przeczytam całego dziennika i nie potwierdzę zawartych w nim informacji, nie będziemy wiedziały, jaka jest prawda.

– Ja wierzę Helen – oświadczyła Grace. – Angelique miała syna z synem swojego męża. To kazirodztwo. Właśnie to chciałaś powiedzieć.

– Technicznie nie, ale tak, potwierdzam to, co mówisz. W żadnym wypadku nie było to zdrowe. – Odchrząknęła. – Ale my mamy poznać prawdę i nie powinniśmy ich oceniać, w porządku?

– Ja tylko chcę, żeby Angelique przeszła na drugą stronę.

– Wiem. – Kątem oka Sarah zauważyła, że na podjazd wjeżdża jakieś auto. Był to jeep, którego nie znała. – Wygląda na to, że mamy gościa – oznajmiła, ciesząc się, że będzie mogła zmienić temat. Odsunęła krzesło i zamknęła dziennik. Patrzyła, jak jeep zatrzymuje się koło jej explorera zaparkowanego w pobliżu garażu.

W końcu Xena także wyczuła, że ktoś przyjechał. Zerwała się z posłania i zaczęła szczekać jak szalona, kręcić bączki, odchodzić od zmysłów i jeżyć sierść na grzbiecie.

– Wspaniały pies stróżujący – zakpiła Jade, wchodząc do jadalni. – Usłyszałam samochód przed nią. – Wcześniej dziewczyna znajdowała się w innym pokoju i przeglądała zawartość kartonów przed ich przeniesieniem do domu gościnnego zaplanowanym na początek przyszłego tygodnia.

Kiedy gość wysiadł z jeepa, Sarah rozpoznała Lucy Bellisario, z którą chodziła do szkoły. Według Dee Linn Lucy nigdy nie wyszła za mąż i o ile Sarah było wiadomo, teraz pracowała jako detektyw w wydziale szeryfa.

– Policja – stwierdziła beznamietnie.

– A po co przyjechali? – zapytała Jade, wyglądając przez okno.

– Dobre pytanie – pomyślała Sarah na głos, patrząc, jak ogniście ruda Lucy zatrząskuje drzwiami i rusza w stronę głównego wejścia do domu. Miała ściągnięte

brwi, poważną minę, twarz bez makijażu i odgarnięte do tyłu włosy. – Pewnie zaraz się dowiem. Niech ktoś się zajmie Xeną, dobrze?

– Jasne – powiedziała Gracie, łapiąc psa za obrozę. – Cicho! – rozkazała i, co zaskakujące, zaciekle szczekanie Xeny zmieniło się w ciche skamlenie, a kiedy Sarah podeszła do frontowych drzwi, zupełnie ucichło.

– Lucy – powitała przybyłą.

– Cześć, Sarah. – Pokazała swoją odznakę. – Jestem teraz detektyw Bellisario i pracuję w wydziale szeryfa.

– Słyszałam – przyznała, czując chłód przenikający przez jej sweter i dżinsy. – Od Dee Linn. Ona mnie informuje. – Objęła się ramionami, żeby osłonić się przed zimnem. – A więc to nie jest spotkanie towarzyskie?

– Nie. – Lucy pokręciła głową. – Przejdę od razu do sedna. Niedawno zaginęły dwie dziewczyny, więc sprawdzamy każdego związanego z nimi, a także znanych drapieżców.

Sarah ścisnęła w żołądku. Już wiedziała, w jakim kierunku może potoczyć się ta rozmowa.

– Mogę wejść?

– Jasne. – Bez wahania otworzyła szeroko drzwi. – Przepraszam za bałagan – rzuciła automatycznie. – Właśnie przeprowadziłyśmy się z Vancouver i trzymamy tutaj wszystkie rzeczy, dopóki nie przeprowadzimy się do domu gościnnego. – Tak naprawdę nie wiedziała, dlaczego uznała, że powinna się tłumaczyć. Wobec tego zakończyła: – Czeka nas mnóstwo pracy, żeby wyremontować ten dom.

– Właśnie słyszałam, że zamierzasz go odnawiać.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić – przyznała Sarah, prowadząc Lucy do salonu koło stosów kartonów i skrzynek. Detektyw spojrzała na bałagan panujący w domu, ale nic nie skomentowała. Z całą pewnością widziała gorsze wnętrza.

– Znani drapieżcy, jak mówisz? – zagała Sarah, kiedy znalazły się w salonie, gdzie wciąż płonął ogień w kominku i słychać było trzask drewna. Śpiwory były złożone, ale wraz z poduszkami zostały zepchnięte do rogu pokoju. – To dlatego tu przyjechałaś? – Nie widziała powodu, żeby owijać w bawełnę, kiedy obie wiedziały, kogo szuka Lucy.

– W sprawie pojawiło się nazwisko Rogera Andersona.

– Zawsze się pojawia. – Węzeł w jej żołądku zacisnął się jeszcze bardziej. Wtedy zauważyła dziewczynki wychodzące z jadalni. Super. Ponownie posłuchają na temat swojego wujka. – To moje córki – przedstawiła je, zapraszając na-

stolatki do salonu. – Jade starsza, a to jest Gracie. Dziewczyny, to detektyw Bellisario. Kiedyś chodziłyśmy razem do szkoły. Tak, Jade, do tej okropnej Our Lady. Jade nie jest fanką szkoły – zwróciła się do Lucy.

Po raz pierwszy Lucy szczerze się uśmiechnęła.

– Miło was poznać – powiedziała do dziewczyn, które cicho się przywitały. Gracie trzymała Xenę za obrozę, chociaż pies merdał ogonem. – Nienawidziłam szkoły, kiedy tam chodziłam – wyznała Lucy. – Ale okazała się w porządku. – Poklepała psa po łbie i dodała: – Z tego, co słyszałam, większość wrednych zakonnicy już przeszła na emeryturę.

– To dopiero się okaże – rzuciła jak zawsze podejrzliwa Jade.

– Przyszła tu pani w sprawie zaginionych dziewczyn? – zapytała Gracie, podczas gdy Xena przeniosła się na chodnik leżący przy kominku, który zdążyła już przejść na wyłączność.

– Szuka waszego wujka Rogera – odpowiedziała Sarah, po czym zwróciła się do Lucy. – Nie widziałam go od lat.

– Nawet kiedy odwiedzałeś rodziców?

– Roger opuścił dom, kiedy byłam bardzo mała, byłam niemowlakiem. Oczywiście nie pamiętam tego, ale według mojej siostry Dee Linn, która zapewne słyszała to od matki, Roger pokłócił się z moim ojcem. Podobno wybuchła jakaś straszna kłótnia pomiędzy ojczymem a jego przybranym synem – powiedziała i na chwilę wróciła myślami do tego, o czym przeczytała w dzienniku Helen: walce o Angelique pomiędzy Maximem i jego synem George'em.

– A więc nie dorastałaś z nim? – doprecyzowała Bellisario.

– Nie, ale czasem wracał – dopowiedziała Sarah. – Tylko że Roger i moi rodzice, nawet moja matka, niezbyt się dogadywali. Nigdy nie zostawał na długo. – *Ale na tyle długo, aby być z tobą w deszczu na tarasie i znieść cię straumatyzowaną po schodach do krzyczącej, spanikowanej matki. Także jego matki.*

Zaschło jej w ustach, kiedy pojawiło się to wspomnienie i znowu nie dotarło na powierzchnię jej świadomości. Nagle poczuła, że zalewa się potem. Czuła na sobie wzrok Lucy, jakby policjantka czytała jej w myślach.

– Kiedy ostatnio tu mieszkał? – zapytała Bellisario, a pytanie zdawało się dobiegać z oddali, słowa odbijały się echem.

– Naprawdę nie wiem. Mógł tutaj wracać po tym, jak wyprowadziłam się z domu, gdy miałam osiemnaście lat. Przedtem ostatni raz widziałam go, kiedy miałam jakieś dwanaście. – Przelknęła ślinę, przypominając sobie silne ramiona Rogera, jego mokrą twarz. *Nie pozwolę, żeby cię krzywdził. Nie pozwolę, obiecałem jej, obiecałem, że cię ochronię.*

Komu to obiecał?

Przed czym miał ją chronić?

Lucy patrzyła na ogień, na płomień liżący omszały kawałek dębiny.

– A więc nie widziałas go ostatnio?

– Nie.

– Nigdy go nie odwiedzałaś, kiedy siedział w więzieniu?

– Nie – odpowiedziała. Mech w kominku zasyczał, skurczył się i pokrył czernią, gdy ogarnął go ogień.

– I nie przyjeżdżał do domu?

– Nie, już mówiłam. Nie było go, odkąd się tutaj wprowadziłyśmy.

– Po prostu sprawdzam, ponieważ mamy informację, że wrócił. Jest w mieście, ale nie możemy go namierzyć. Sądziłam, że wrócił do domu.

– To już nie jest jego dom – zauważyła stanowczo Sarah. – Dee Linn powiedziała, że mieszka w The Dalles.

– Pokój, który tam wynajmował, został jakiś czas temu opuszczony, a właścicielka domu twierdzi, że po prostu wyjechał, zapłacił za jeszcze jeden miesiąc, po czym zniknął bez słowa. – Mina Lucy się zmieniła. – Czy wiesz, jak twój brat zareagował na zniknięcie Theresy? Rozumiem, że byli ze sobą blisko.

Sarah nie wiedziała, co myśleć o zmianie tematu.

– Słyszałam, że to go dręczyło. O ile dobrze rozumiem, właśnie wtedy wyprowadził się z domu.

Lucy zerknęła na dziewczyny, jakby zastanawiała się, czy powinna o to pytać, po czym zaczęła:

– Czy słyszałaś o tym, że Roger i Theresa byli... w romantycznym związku?

– Byli bratem i siostrą – zauważyła chłodno Sarah.

Lucy skinęła głową na zgodę.

– Czy mogli mieć...

– Nie.

– W porządku. Po prostu chciałam sprawdzić plotkę. Gdyby się pojawił, proszę, zadzwoń. Powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać.

– Nie pojawi się – zapewniła Sarah, nie dając wyprowadzić się z równowagi. Roger i Theresa? Nie... niemożliwe. Rogerowi można było dużo zarzucić, ale... W jej głowie pojawiły się obrazy ze snu. *Ochronię cię. Obiecałem jej.* Zabrakło jej tchu. Czy mówił o Theresie? Czy obiecał Theresie, że zajmie się Sarah? Ale dla czego?

Coś zaczęło jej świtać. Maxim, George i Angelique, miłosny trójkąt, który zakończył się morderstwem i śmiercią... ale żeby Theresa i Roger?

– Wszystko w porządku? – zapytała Lucy, a Sarah poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

– Tak... tak... Wszystko dobrze – skłamała, próbując zachować spokój i jakość się trzymać, chociaż czuła, że jej życie staje na głowie.

– Mamo? – Gracie nie spuszczała jej z oczu, więc Sarah zmusiła się do uśmiechu.

– Już mówiłam, że nic złego się nie dzieje.

Zadzwoił telefon Lucy. Policjantka wyjęła go z kieszeni i sprawdziła numer. Pomiędzy jej brwiami pojawiły się małe zmarszczki, ale zaraz odłożyła komórkę na miejsce.

– No dobrze. To by było na tyle – stwierdziła.

Dzięki Bogu.

– Dziękuję za poświęcony czas, Sarah.

I wtedy przesłuchanie dobiegło końca tak szybko, jak się zaczęło.

Wciąż wstrząśnięta Sarah odprowadziła detektyw do drzwi.

– Zadzwoń, jeśli się z tobą skontaktuje – poprosiła ponownie Lucy. – Naprawdę chciałabym porozmawiać z twoim bratem, żeby znaleźć odpowiedzi na kilka pytań. – Wsadziła jej wizytówkę w dłoń.

Ściskając kartonik, Sarah patrzyła, jak Lucy oddala się szybkim krokiem, wsiada do auta i rusza. Tylne światła zamrugały na czerwono, po czym zniknęły w gęstniejącej mgle.

– O co chodzi z wujkiem Rogerem? – zapytała Jade.

– Nie wiem – odpowiedziała, ale policja z całą pewnością sądziła, że był w coś zamieszany.

Wnętrze stajni było prawie ciemne. Mgła zasłoniła popołudniowe słońce, noc przepędziła dzień, kiedy Rosalie usłyszała warkot silnika ciężarówki. Daleko jeszcze, ale cały czas się zbliżał.

– Candice! – krzyknęła. – Przygotuj się! Wraca!

Z oddalonego boksu dobiegł cichy jęk, jakby Candice zamierzała rozpaść się ponownie na milion kawałków.

Nie! Nie mogła jej tego zrobić! Tym razem musiała odegrać swoją rolę i wywieść w pole tego łajdaka. To mogła być ich ostatnia szansa na uwolnienie.

– Po prostu rób to, co wcześniej! – wrzasnęła Rosalie, mając nadzieję, że w ten sposób da jej odczuć, jakie to ważne. – Kiedy przyjdzie, żeby wymienić ci wodę i wiadro, udawaj, że robisz to, co ci każe, a potem...

Na zewnątrz pod ciężkimi oponami zachrzęścił żwir, zgasł głośny silnik.

Rosalie stwierdziła, że skoro przez drewniane ściany stajni słyszy, co dzieje się na zewnątrz, było duże prawdopodobieństwo, że i on usłyszy, jak krzyczy do Candice. Wobec tego ściszyła głos.

– Wiesz, co robić? – wyszeptwała i modliła się, by dziewczyna wzięła się w garść.

– Sama nie wiem...

Z zaciśniętymi pięściami, ze swoją niedorzeczną bronią w ręce, Rosalie stanęła koło drzwi do swojego boksu i czekała. Nie musiała czekać długo. Po chwili usłyszała kroki i stłumioną rozmowę.

To jej podcięło skrzydła.

Nie był sam.

Co teraz?

Czy ta idiotka Candice będzie pamiętała, żeby uważać na drugiego faceta? Że powinna wprowadzić zmiany do planu i wybrać właściwą chwilę? Że ma tego nie spierniczyć? Jakie były szanse, że o tym pamięta?

Klik!

Otworzył zewnętrzne drzwi, a Rosalie usłyszała głośny huk, gdy uderzyły w ścianę.

– Uwważaj! – wrzasnął porywacz.

– Kurwa mać! Staram się ją prowadzić. Jak widzisz, nie współpracuje – warknął Rozczochny.

– Po prostu zaprowadź ją do środka! – rzucił porywacz.

Kolejna dziewczyna. Porwali jeszcze jedną dziewczynę.

Pstryk!

Włączył górne światło, które przegoniło cienie do kątów.

– Pospiesz się. Zaprowadź je i już! – wrzasnął.

Je? Więcej niż jedną?

Stłumione jęki i szuranie stóp potwierdziły jej najgorsze obawy. To była zła wiadomość dla nowych dziewczyn i dla nich dwóch, dla nich wszystkich. Prawda była taka, że im więcej kobiet złapał, tym bliżej było do tego, że zjawi się po nie ten, który rozmawiał z nim przez telefon. Oparła się o drzwi, zamknęła oczy

i próbowała się skoncentrować, żeby sobie wyobrazić, co dzieje się po drugiej stronie.

Nie wiedziała, ile dziewczyn porwali, ale miała świadomość, że drzwi na zewnątrz są otwarte, ponieważ nad głową czuła powiew świeżego powietrza przemieszczającego się nad ścianami jej więziennej celi, co tylko potwierdzało, że nie słyszała, jak je zamknęli.

– Blondynka to Księżniczka! – powiedział porywacz.

Rosalie usłyszała zdziwiony pomruk tego drugiego. Dziewczyna, prawdopodobnie zakneblowana, uświadomiwszy sobie, że zostanie zamknięta, zaczęła się szarpać, zapierała się nogami i próbowała krzyczeć, gdy popychał ją w stronę sąsiedniego boksu.

– Zamknij się! – wrzasnął porywacz, zirytowany zachowaniem swojej ostatniej ofiary. – No dalej, zaprowadź ją!

Rosalie zbliżyła się do ściany oddzielającej ją od kolejnego boksu. Już wiedziała, że tamta cela należała kiedyś do Księżniczki. Usłyszała drapanie i stukanie oraz głośny szum, gdy dziewczyna walczyła i krzyczała na swoich napastników, mimo knebla.

– Zamknij ryj! – Rozczochrany.

– Bądź grzeczna, to zdejmemy ci kajdanki – powiedział porywacz spokojniejszym tonem. – Nie chcę, żebyś miała siniaki na nadgarstkach. Wyjmę ci też knebel, ale musisz siedzieć na tym łóżku i się nie ruszać. Słyszysz mnie? Wrzaski nic nie pomogą. Możesz zapytać Gwiazdeczki. Siedzi tam za drzwiami. Wrzeszczała tak, że prawie wypluła płuca, ale nikt jej nie usłyszał. Dlaczego? Widziałas, gdzie jesteśmy. Nikt cię tu nie usłyszy. – Po drugiej stronie ściany rozległy się jakieś szelesty, znajome dźwięki wiadra i butelek z wodą, którą jej zostawiono. Dziewczyna albo posłuchała, albo nie miała siły walczyć.

Porywacz zwrócił się do swojego partnera.

– Tę pulchną zaprowadzimy do boksu Whisky. A jeśli Księżniczka zrobi to, co jej kazaliśmy, i nie będzie sprawiała żadnych problemów, wrócimy i zdejmemy jej kajdanki. Jeśli nie... – Prawdopodobnie spojrzął na swoją ostatnią ofiarę. – Zostaniesz tak, jak jesteś. Twój wybór.

Wyglądało na to, że opuścili boks, zamknęli drzwi, a nowa towarzyszka Rosalie próbowała coś mówić, po czym zamilkła.

W głównej nawie stodoły Rozczochrany powiedział:

– Dlaczego, do licha, Whisky? – Nie był zbyt rozcarnięty.

– Ponieważ kończą nam się boksy – padła szybka, zirytowana odpowiedź. – Zaprowadź ją szybko. Nie mamy za dużo czasu.

W ciągu pięciu minut Whisky została umieszczona w swoim nowym domu. Nie protestowała tak bardzo jak ta dziewczyna koło niej, blondynka, którą nazywał Księżniczką.

A więc teraz było ich cztery.

Trybiki obracały się w głowie Rosalie, kiedy nasłuchiwała, więc wiedziała już, że obie nowe więźniarki zgodnie z obietnicą zostały rozkute i usunięto im kneble.

– Wypuście mnie stąd! – wrzasnęła dziewczyna w sąsiednim boksie, w chwili gdy wyjęli jej knebel. – I to już! – Była wściekła i zbuntowana. Dobrze. – Nie możecie mnie tutaj trzymać!

Porywacz miał inne zdanie.

– Nie masz wyboru.

– Nie zamierzam zostać w tym chlewie.

Boksie, poprawiła ją w duchu Rosalie.

Drzwi się zamknęły, a kliknięcie zamka przypieczętowało los Księżniczki.

– Nie! Wypuście mnie! – Głośne walenie oraz jęk, który sugerował, że rzuciła się na drzwi. – Nie, nie! Nie! – Zaczęła walić i krzyczeć tak głośno, że Rosalie nie słyszała, co działo się w boksie Whisky. Miała nadzieję, że tamta dziewczyna miała lepiej poukładane w głowie.

– Rób tak dalej, a zobaczysz, co się stanie! – krzyknął większy. – Pamiętajsz, co mówiłem?

Umilkła na chwilę, po czym spróbowała nowej taktyki.

– Proszę, nie możecie mnie tutaj zostawić. Mój tata... wam zapłaci, ile zechcecie. Naprawdę. A ja nie powiem, że to wy. Policja nie...

– Zamknij się!

– Nie, proszę, posłuchajcie. Musicie mnie posłuchać – błagała, podczas gdy gdzieś dalej w rzędzie boksów płakała ta druga dziewczyna. Candice oczywiście dołączyła do szlochu. O Boże, czy kiedykolwiek uda im się stąd wydostać?

– Stul pysk, do kurwy nędzy – warknął porywacz.

– Ale...

– Chcesz znowu kajdanki? O to ci chodzi? I knebel? A więc dobrze – wrzasnął.

– Neeeeeee! – I wtedy Księżniczka zamilkła.

Ale chyba dotknęła czułego punktu, bo porywacz się wnerwił.

– Mam inne dziewczyny – wrzasnął. – Tak naprawdę cię nie potrzebuję, więc proszę bardzo, możesz się pienieć, zedrzyj sobie cholerne pięści, ale nic ci to nie da. Nic a nic.

Kłamał, Rosalie wiedziała o tym. Prawda, ucieczka była prawie niemożliwa, ale facet potrzebował Księżniczki, Whisky i jeszcze kilku innych, jeśli dobrze zrozumiała końcówkę rozmowy z jego współnikiem. Księżniczka nie miała o tym pojęcia. Ktoś pociągał za sznurki. Zadaniem tego jełopa było znalezienie kolejnych dziewczyn dla drugiego mężczyzny. Miała tutaj dużo czasu na myślenie i podejrzewała, że zamierzają zmusić je do prostytucji, skłonić do jakiegoś białego niewolnictwa, wykorzystać je w jakichś sadystycznych orgiach, być może nawet torturować. Żółć podeszła jej do gardła. Na myśl o tym, co mogło się stać z nią, z nimi wszystkimi, ogarniał ją paniczny strach.

Jak dotąd ci dwaj nie skrzywdzili ani jej, ani Candice. Twierdzili, że ważne, aby nie miały siniaków. Przynajmniej na razie, dopóki nie zostaną przekazane dalej, sprzedane, jak się domyślała, osobie, która zapłaci za nie najwięcej. Wyobraziła sobie aukcję, na której dziewczyny będą musiały paradować nago przed tymi, którzy będą je licytować.

Jej żołądek zrobił salto. Krztusząc się, zdołała przełknąć podchodzącą jej do gardła zawartość żołądka. Starła się nie hałasować, bo nie chciała zwracać na siebie uwagi. Nie chciała mieć nic wspólnego z tym sukinsynem. Ale to, co miało nadejść, przerażało ją do szpiku kości. Ona i pozostałe dziewczyny były skazane na zaspokajanie żądz mężczyzn po drugiej stronie drzwi. Podobnie jak konie, które tu niegdyś mieszkaly.

Ale w przeciwieństwie do zwierząt, ona rozumiała, co się dzieje, jak okropna może czekać ją przyszłość.

Kiedy zostanie sama z dziewczynami, spróbuje pozyskać ich uwagę i wymyślić sposób, aby się stąd wydostać. Oczywiście z początku każda z nich będzie musiała zmierzyć się niedowierzaniem. Każda z dziewczyn będzie płakać, krzyczeć, nie będzie z nich większego pożytku.

Ale musi znaleźć sposób, aby skrócić ten etap. Księżniczka i Whisky nie mają tego luksusu, żeby się nad sobą użalać.

Jeśli mają uciec, trzeba to zrobić teraz lub nigdy.

Przełknęła kolejną falę mdłości, w ustach czuła kwas, paliło ją w gardle, gdy usłyszała zatraskujące się drzwi do boksu, po czym odgłos zamykanego zamka. Miała nadzieję, że choć raz zamek zawiedzie i się nie zamknie.

– Okej, spadam stąd – powiedział większy i przez moment Rosalie sądziła, że zostawi Rozczochanego, by ich pilnował. Zastanawiała się, czy mogłaby zwabić

go do swojego boksu, a potem jakoś zamknąć go w środku. Ale na darmo knuła, bo porywacz warknął:

– Przestań się opierdzielać, idziemy.

– Dobrze, dobrze, już idę. Cholera, tylko sprawdzałem, czy drzwi są zamknięte. Na miłość... Okej, okej. – Potem kroki i jakaś wymiana zdań.

Chwilę później światło zgasło i stajnia pogrążyła się w ponurym półmroku.

ROZDZIAŁ 31

Na zewnątrz duży i jego partner rozdzielili się i wsiedli do oddzielnych pojazdów. Najważniejsze teraz było pozbycie się pick-upa, którego użył do porwania dwóch ostatnich dziewczyn. Istniała możliwość, że ktoś go zobaczył, na przykład kobieta na bieżni wyprowadzająca małego psa, gdy czekał na trybunie, aby upewnić się, że dziewczyna przyjedzie. Albo nagrała go jedna ze szkolnych kamer – jego lub ciężarówkę, gdy wjeżdżał na parking. Tak, musiał jak najszybciej pozbyć się tego auta.

Nie ma problemu.

Nie on był jego właścicielem.

W zasadzie to mu się poszczęściło. Auto było zarejestrowane na podglądacza, którego nakrył przy domu Stewartów. Zabrał kluczyki faceta, jego portfel, komórkę i pieniądze spięte klipsem, a następnie użył pilota do znalezienia pojazdu. Kiedy włączył przycisk otwierający drzwi, ciężarówka zapiszczała i zamrugowała światłami, przez co z łatwością ją namierzył i zabrał stamtąd z pomocą swojego partnera, żeby wykorzystać ją przy tej robocie. Wobec tego mógł zostawić swoją własną ciężarówkę w mieście na widoku. Stała przy jednej z nielicznych w Stewart's Crossing kamer skierowanych na ulicę.

To było genialne.

Podobnie jak logo na magnes, które przyczepił do drzwi od strony kierowcy. Wjeżdżając pod górę, uśmiechnął się na myśl, że tak łatwo poszło. Sprawdziwszy powiązania dziewczyn ze szkoły w mediach społecznościowych, dowiedział się, że „Księżniczka”, czyli Mary-Alice Eklund, była „w związku” z gwiazdą drużyny piłkarskiej ze szkoły katolickiej. Zupełnym przypadkiem natknął się na reklamę Longstreet Construction na furgonetce stojącej w warsztacie Hala. Dosłownie jakby Bóg mu sprzyjał. Z łatwością ukradł tabliczkę i przymocował ją do tego skradzionego pojazdu, martwiąc się jedynie tym, że ciężarówka ma tablice spoza stanu. Uznał jednak, że zanim ktokolwiek zobaczy tę rozbieżność, on już ukończy misję.

Wykorzystał nawet ciężarówkę, kiedy wyrzucał legitymacje ofiar z mostu w The Dalles. Tak, pomyślał, zdejmując nogę z gazu na ostrym zakręcie, był genialny.

Ale nie mógł popaść w samozachwyt, bo teraz pick-up rzucał się w oczy. Musiał wysprzątać samochód i się go pozbyć, żeby nic go z nim nie łączyło. Nie ma problemu. Przewidział, że pojazd, kiedy zostanie odkryty, poprowadzi policjantów w przeciwną stronę, zatem na jakiś czas zajmą się rozwiązywaniem zagadki zaginionego właściciela. Jemu potrzeba było jedynie odrobiny oddechu. Kilku dni. A potem będzie wolny i daleko stąd, zanim gliniarze złożą wszystko do kupy.

Jadąc po wąskim moście, zerknął w lusterko i zobaczył za sobą partnera siedzącego za kółkiem hybrydowego auta. Trzymał się w bezpiecznej odległości, przez co ledwie był widoczny we mgle. Droga wiodła stromo pod górę, ciągnęła się przez las. Jechał, dopóki nie znalazł rzadko używanej drogi serwisowej, zarosniętej chwastami i krzakami. Zwolnił, żeby upewnić się, że jego partner nadaża, i wjechał ciężarówką w las najdalej, jak tylko się dało. Potem szybko wyczyścił wnętrze kabiny, chociaż cały czas miał rękawiczki, aby nie zostawić odcisków palców ani śladów DNA. Zadowolony z siebie, zamknął pojazd i zdjął tabliczkę Longstreet Construction. Podszedł do priusa czekającego kilka metrów za nim.

– Czy to było naprawdę konieczne? – zapytał idiota, cofając auto przez wysoką trawę, która drapała w podwozie hybrydy. Kamienie zalegające w zarosniętych koleinach wyskakiwały spod kół.

– Im więcej czasu sobie kupimy, tym lepiej.

Kiedy wycofał na główną drogę, wrzucił pierwszy bieg. Znalazłszy się ponownie na gładkiej nawierzchni, dodał gazu, a samochód automatycznie przełączył się z cichego elektrycznego napędu na ten benzynowy.

Mieli ustalony plan, więc nie musieli po raz kolejny omawiać szczegółów. Wkrótce jechali przez obrzeża Stewart's Crossing, a w ciągu czterdziestu minut porzucili ciężarówkę. Następnie został wysadzony dwie przecznice od miejsca, gdzie zaparkował swój wóz w pobliżu The Cavern.

Wszedł do środka z bocznej ulicy, tym samym wejściem, którym opuścił knajpę, po czym wrócił do baru na to samo miejsce, które zajmował przed niemal dwiema godzinami. Pomiędzy porwaniami postarał się zaznaczyć swoją obecność w barze. Zamówił kolejne piwo, zostawił swoją kartę kredytową, potem wyszedł na zewnątrz na papierosa.

– Zastanawiałam się, czy wrócisz – powiedziała bystra barmanka, przecierając gładki, drewniany blat i zerkając na niego. – Bo zostawiłeś marynarkę, a Carla przekazała mi, że jeszcze nie zapłaciłeś. – Gdy go nie było, zmieniła się obsługa, Carla poszła do domu, a jej miejsce zajęła ta nowa dziewczyna, która teraz go obsługiwała. To tylko wzmacniało jego alibi, jako że widziały go obie dziewczyny.

– Wyszedłem na papierosa, natknąłem się na starych kumpli i straciłem poczucie czasu.

Nie podważała jego słów. A on zamówił kolejne piwo i wszczął rozmowę z facetem ubranym w zieloną bluzę z żółtym O na piersi. Facet prawie nie dotykał swojego ciemnego piwa, tak bardzo pochłonęło go oglądanie meczu na ekranie zamontowanym nad barem.

Barmanka postawiła przed nim świeże piwo. Sącząc je, sprawdził wynik, zapamiętał go, jakby mu zależało. Oregon grał ze Stanfordinem w rozgrywkach Pac-12.

Kibic w zielonej bluzie zmarszczył brwi.

– Szlag – powiedział, chociaż nikt go nie słuchał. – Nie wierzę, że jeszcze nie wycierają podłogi tymi ze Stanford.

– Są nie tylko dobrzy – skomentował ktoś w głębi baru. – Ale też sprytni.

– The Duck także!

Ktoś prychnął.

– Bez Phila Knighta i Nike nie byłiby warci funta kłaków.

– Wal się – wymamrotał pod nosem kibic, po czym podniósł szklankę do ust. W tej chwili Oregon przejął piłkę i szybko zdobył punkt. Nastrój fana szybko się poprawił. – Właśnie o tym mówię!

– Ładnie – stwierdził, stukając się szklanką z kibicem i utrzymując z nim kontakt wzrokowy, żeby wzmocnić swoje alibi, gdyby go potrzebował. Tak, po południu pojawiła się duża luka czasowa, ale jego ciężarówka nie ruszyła się z miejsca, gdyby obserwowaly ją jakieś kamery. Tymczasem zmieniła się zmiana w barze, więc personel nie do końca będzie pamiętał, kiedy wyszedł i wrócił. Nawet jeśli w środku były jakieś kamery, on i jego partner zapewnią mu alibi, które wypełni te luki.

Pomyślał, że jest kryty.

Musiał jeszcze zwrócić sztyd firmy budowlanej, który pożyczył sobie z furgonetki zostawionej w serwisie u Hala.

Łatwizna.

– Czy to panna McAdams? – zapytał poważny głos, gdy Jade odebrała telefon. Trudno było cokolwiek odczytać na ekranie, ale na pogruchoowanym wyświetlaczu pojawił się nieznanym numer. – Mówi Hal z warsztatu samochodowego. – Jakby był jakiś inny Hal w tym zakichanym mieście. – Dzwoniłem całe popołudnie. Można już odebrać samochód.

– Sądziłam, że dopiero w przyszłym tygodniu.

– Przyszła zamówiona część, a ty się niecierpliwiłaś.

– Tak, to prawda! Świetnie.

– Zamykamy za jakieś dwadzieścia minut, a w niedzielę nie pracujemy, więc jeśli chcesz go dostać w weekend, to możesz od razu go odebrać.

– Odbiorę! Proszę poczekać! – powiedziała. Jade, czując, że poprawia jej się nieco humor. Gdy się rozłączyła, chciała wbiec na górę, ale okazało się, że mama znowu pochyla się nad planami domu, podczas gdy Gracie cały czas zajmuje się tym cholernym dziennikiem, jakby zawierał wszystkie tajemnice wszechświata.

Odkąd wyszła ta policjantka, mama była rozkojarzona, a teraz Jade była przekonana, że tak naprawdę nie widzi tych planów.

Było jasne, że coś zaszło między nią a wujkiem Rogerem, a to, co sugerowała policjantka, było wręcz chore, ale mama nie chciała o tym rozmawiać. Straciła zainteresowanie tym, co dzieje się wokół niej. Pogrążyła się w jakimś dziwnym świecie, gdzie Bóg wie, co widziała. Jade ponownie pomyślała, że musiała urodzić się w złej rodzinie. Wszyscy byli popieprzonymi zaklinaczami duchów. Może pokrewieństwo z Clintem Walshem nie było aż tak złe, przynajmniej rzadziło ześwirowane geny Stewartów.

Ale nie było powodu, żeby się teraz nad tym zastanawiać, skoro wreszcie naprawili jej cholerny samochód.

– Musimy wyjechać natychmiast i odebrać moją hondę – oświadczyła. – Jest gotowa. A Hal zamyka za dwadzieścia minut!

Mama podniosła głowę znad planów.

– Pewnie – powiedziała, chociaż z jej tonu to nie wynikało. – W porządku... Chyba damy radę.

– Musimy dać radę – upierała się Jade. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. – Sama pojedę na przyjęcie cioci Dee Linn.

– Pojedziemy wszystkie razem – zaoponowała Sarah.

– Wobec tego pojedę za wami – nie odpuszczała Jade, sięgając po płaszcz. Nie mogła uwierzyć, że w końcu, po upływie całej wieczności, będzie mogła znowu prowadzić swoje auto. *Wolność! Wreszcie!*

– Pojedziemy po twój samochód, nie ma sprawy, ale na przyjęcie jedziemy razem. W okolicy zaginęła druga dziewczyna, więc chcę, żebyśmy trzymały się przy sobie.

– Nie tak zamierzałam spędzić sobotni wieczór. Nie jestem dzieckiem – protestowała żarliwie.

– Podobnie jak te dwie porwane dziewczyny.

– Nikt nie wie, czy zostały porwane, mamó. Może same postanowiły uciec z domu – oświadczyła Jade.

– I nikomu nie powiedziały? Ani przyjaciółom, ani rodzicom? – Sarah zarzuciła torebkę na ramię. – Policja się martwi, więc ja również.

– Mamó...

– Nigdzie sama nie pojedziesz! Chodź, Gracie!

– Ale ja nie chcę odbierać samochodu – zaprotestowała młodsza córka. Matka westchnęła.

– Naprawdę? Nie słyszałaś, co powiedziałam? Zbieraj się.

– Mogę tu zostać z Xeną – zaproponowała.

Matka nie dała się przekonać.

– Ruszaj się.

Jade wyszła pierwsza i szybkim krokiem zmierzała przez trawnik do explorera Sarah. Gdy obejrzała się przez ramię, zobaczyła, że matka podąża za nią z Gracie, która wlecze się kilka kroków z tyłu.

Na końcu biegł pies, który od razu wskoczył na tylne siedzenie. Cóż, dobrze.

Co za zbieg okoliczności, pomyślała Jade, gdy matka wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę miasta. Gracie była teraz tą nadąsaną i wkurzała się, że musiała porzucić swoje badania związane z duchem nawiedzającym Posiadłość pod Niebieskim Pawiem. Wszystko brzmiało jak z Nancy Drew. Ale Jade miała to w nosie. Zaraz odzyska swoją hondę i jeszcze w ten weekend zobaczy Cody'ego. Tak czy inaczej, skoro on nie mógł lub nie chciał przyjechać do Stewart's Crossing, żeby ją odwiedzić, to może czas, by złożyć mu wizytę w jego mieszkaniu w Vancouver.

W jej sercu załęła się kropla gorzkości, gdy uświadomiła sobie, że może jej się nie spodobać to, co zobaczy, kiedy odwiedzi go z zaskoczenia.

I co z tego. Albo ją kochał, albo nie.

Musiała poznać prawdę.

Gdy Bellisario wjechała na parking przed wydziałem szeryfa, przeczuwała, że zbliża się do przełomu. Przez większość drogi z domu Stewartów rozmyślała o sprawie i o tym, że zatoczyli krąg do Rogera Andersona. Nieważne, ile razy próbowała wmawiać sobie, że nie był w to zamieszany, nie mogła pozbyć się wrażenia, że był w to zamieszany.

Jeśli nie Anderson, to kto?

Nic na niego nie masz. To tylko twój instynkt. Nie ma to wiele wspólnego z pracą detektywistyczną, Lucy. Potrzebujesz znacznie więcej.

W połowie drogi do Stewart's Crossing zadzwoniła do swojej siostry, bo to ona próbowała ją złapać, kiedy była w domu Stewartów. Lauren była zmartwiona, powiedziała, że ich matka się przewróciła. Zapewniła ją, że już wszystko w porządku, ale była wykończona. Opieka nad rodzicem z chorobą Parkinsona przetrwała siedemnastolatkę. Cholera, przetrwała także Bellisario, która miała już trzydzieści pięć lat. Upewniwszy się, że w pobliżu znajduje się zatrudniona na pół etatu pielęgniarka i że matka odpoczywa i nic poważnego jej się nie stało, tylko czuje się zażenowana, Lucy powiedziała siostrze, że wróci do domu najszybciej, jak tylko się da po zakończeniu pracy. Czasami czuła się winna, że jej praca zajmuje tak dużo czasu. Taka była natura bestii, a ona tak naprawdę nie chciałyby niczego zmieniać.

Tak czy inaczej, wiedziała, co się stanie, kiedy dotrze do mamy. Odbędą z Lauren kolejną rozmowę na temat matki, która ma dopiero sześćdziesiąt cztery lata, ale już teraz wymaga całodobowej opieki. Lucy o tym wiedziała, a Lauren stała po jej stronie, lecz Landon, ich brat i środkowe dziecko, wygodnie mieszkający w Tacomie, na tyle daleko, żeby nie musiał zajmować się tym problemem, był pewien, że mama „daje radę”.

Gdyby mamie się nie pogarszało, zostaloby tak, jak jest, ale jakkolwiek by patrzeć, nadchodził dzień, kiedy ich matka będzie potrzebowała o wiele więcej pomocy.

Parkinson był podstępny chujem.

Zaparkowała na swoim ulubionym miejscu przed tylnymi drzwiami do wydziału i znowu wróciła myślami do sprawy. Wchodząc do ceglanego budynku, poczuła, że burczy jej w brzuchu. Nie zjadła lunchu, więc kupiła kanapkę i dietetyczną colę w delikatesach na obrzeżach miasta. Zamierzała zjeść przy biurku. W środku jasne światło jarzeniówek odbijało się od niedawno wyfroterowanych kafelków na podłodze. Światło wpadało też przez łukowate okna, które przeszły próbę czasu i farby, tak świeżej, że wciąż jeszcze było widać kilka niedoróbek.

Jeszcze.

Stuletni budynek nie mógł jednak ukryć swojego wieku, nieważne, ile razy go malowano.

Minąwszy szafki i stołówkę, weszła do skrzydła, w którym znajdował się wydział szeryfa. W swoim biurze zdjęła kurtkę i siadła na krześle przy biurku. Wciąż zastanawiała się, czy przypadkiem nie poszła złym tropem, czy jej obsesja na punkcie Rogera Andersona nie okaże się całkowicie bezpodstawna. Mężczyzna nie stawiał się na spotkania z kuratorką. Nie pokazał się w domu rodzinnym.

Ale widziano go w mieście. Miał kartotekę, ale nigdy nie był zamieszany w porwanie.

Mamrocząc coś pod nosem, jedną ręką rozwinęła kanapkę, a drugą przeglądała maile. Bez zastanowienia otworzyła kanapkę z szynką i serem i z pomocą folii, z której ją wyjęła, usunęła nadmiar majonezu. Cały czas czytała wiadomości. Może coś nagrało się na jakiejś kamerze, może w końcu zgłosił się świadek albo doszło do innego przełomu.

Nic.

Tak naprawdę dowiedziała się tylko, że sprawdzono alibi pozostałych podejrzanych. Nawet Lars Blonski potrafił udowodnić, że nie znajdował się w pobliżu żadnej z dwóch dziewczyn. Paliło ją trochę w żołądku, jak zawsze, kiedy się bardzo stresowała, wobec czego dietetyczną colą popiła kilka tabletek na żołądek i odgryzła kęs kanapki.

Gdzie, do cholery, były?

Kto, do cholery, zabrał te dziewczyny?

Podniosła wzrok, kiedy usłyszała kroki zbliżające się do jej biurka i ujrzała Co-oke'a.

– Chyba mamy większy problem, niż sądziliśmy – oznajmił

– Większy? – Otarła usta serwetką, którą dostała razem z kanapką.

– Dzwoniła Turner z osób zaginionych. Zniknęły jeszcze dwie dziewczyny.

– Słucham? – Niemal zerwała się z krzesła, ale szef uniósł rękę, wskazując, żeby dalej siedziała.

– Nie ma ich na razie od kilku godzin, ale ich rodzice są przerażeni, panikują, być może zupełnie bezpodstawnie. – Ale w jego oczach był smutek, zmartwienie wryło się w zmarszczkach na jego twarzy.

– Miejmy nadzieję – powiedziała.

– Prawdopodobnie okaże się, że zasiedziały się u przyjaciółki albo coś w tym stylu.

Widziała, że w to nie wierzy.

– Były razem?

– Nie.

Bellisario także uważała, że to źle wróży.

– Ale się znają. Obie chodzą do Our Lady. Pierwsza, Dana Rickert, poszła na zakupy i nie wróciła. Rodzice znaleźli jej samochód na parkingu przy outlecie w Troutdale. Nie było torebki ani komórki.

– Prawdopodobnie ma je ze sobą – zauważyła Bellisario. Outlet znajdował się godzinę drogi na zachód przy I-84.

– Wyjechała rano, miała wrócić do domu przed południem.

Bellisario spojrzała na cyfrowy zegarek na biurku, który pokazywał 16.47.

– Była sama?

– Najwyraźniej. Nie zamierzała spotykać się z przyjaciółmi.

– Naprawdę?

– Kiedy nie odbierała telefonu, pojechali do sklepu, żeby sprawdzić, co się dzieje, sądzili, że ma jakiś problem z autem albo padła jej bateria w telefonie. Znaleźli jej samochód, porozmawiali z ochroną i zaczęli panikować. Miała wrócić do domu na przyjęcie urodzinowe siostry. To duża impreza. Jak sądzę, była podkorytowana tym wydarzeniem. Zaplanowała jakiś specjalny prezent.

– Cholera. – Bellisario oparła się na krześle, zapomniała już o kanapce. – Ma włączony GPS w telefonie?

– Miała. Już nie ma. Zna się na tych sztuczkach i nie podobało jej się, że rodzice mogą sprawdzać, gdzie przebywa, więc to wyłączyła.

– Macie nagrania ze sklepu?

– Właśnie się tym zajmujemy.

Bellisario miała nadzieję, że to fałszywe zgłoszenie, że zmartwieni rodzice, jak zasugerował Cooke, za szybko spanikowali.

– Czy jest przyjaciółką Rosalie Jamison albo Candice Fowler?

Pokręcił głową.

– Według rodziców nie. – Zmarszczył brwi. Stojąc w wejściu, oparty ramieniem o framugę, wyglądał staro na swoje lata. – Ta druga dziewczyna, Mary-Alice Eklund, powiedziała, że jedzie na spotkanie z chłopakiem, który nazywa się Liam Longstreet.

Bellisario pokiwała głową.

– Gra w piłkę nożną – stwierdziła. – W Our Lady. Widziałam jego imię w gazecie.

– To mamy problem. Chłopak mówi, że nie zamierzał się z nią spotykać, ale jej samochód znaleziono na parkingu za szkołą w miejscu, gdzie czasami się umawiali. No wiesz, żeby pobyć sami.

– Niech zgadnę. Nie ma torebki i nie odbiera komórki.

– Dokładnie tak. Longstreet dostał od niej dziwnego esemesa, ale pracował z ojcem, więc nie zauważył go przez kilka godzin, jako że staruszek nie uważa

esemesów i komórek, zwłaszcza w czasie pracy.

– A co było w tej wiadomości?

– „Dlaczego piszesz do mnie z tego numeru?”

– A więc twierdzisz, że ktoś pisał do niej z innego telefonu, podając się za Longstreeta?

– Na to wygląda. Dobra wiadomość jest taka, że jej staruszek zadzwonił do operatora komórkowego i przywołał go do porządku. Dostał numer telefonu, z którego kontaktowano się z jego córką. Kiedy go wybrał, nikt nie odebrał.

– Szlag. Tylko go spłoszył.

– Może. Eklund nas o tym poinformował. Mamy już nazwisko, na które został zarejestrowany. Facet nazywa się Evan Tolliver.

– Kto to?

– Jest właścicielem Tolliver Construction w Vancouver w Waszyngtonie.

– Vancouver – powtórzyła. – Stamtąd przyjechała Sarah McAdams – zauważyła. W jej mózgu rozbłysły synapsy, gdy przypomniała sobie, że Sarah o tym wspomniała, Bellisario już wcześniej zauważyła waszyngtońskie tablice rejestracyjne explorera. – Do licha, co ma z tym wspólnego Evan Tolliver?

– Kto wie?

– Porozmawiam ponownie z Sarah – postanowiła.

– Dobrze. Ponieważ jest związek pomiędzy Mary-Alice Eklund i Jade McAdams. Wygląda na to, że McAdams była pod opieką Mary-Alice. Jako nowa w szkole Jade dostała się pod skrzydła koleżanki z wyższej klasy, w tym przypadku Mary-Alice Eklund. Ale, według pani Eklund, nie układało im się najlepiej. Dziewczyny nie lubiły się wzajemnie, a Mary-Alice skarżyła się matce, że Jade życzyła jej śmierci, czy coś w tym stylu.

– Pewnie jakies wygłupy. Dzisiaj widziałam Jade McAdams.

– Ale w grę wchodziła także zazdrość. Mary-Alice była przekonana, że chłopak od Longstreeta miał oko na Jade. Zaprzeczył, kiedy jej rodzice zapytali go o to, ale powiedział, że zna Jade, ponieważ jest asystentem nauczyciela podczas zajęć, na które ona uczęszcza.

A więc dwie dziewczyny się nie dogadywały. To nie była żadna wstrząsająca wiadomość.

– Czy rodzice Mary-Alice Eklund zainstalowali aplikację namierzającą jej telefon?

– O, tak. – Cooke jednak nie był zbyt podekscytowany tym faktem. – Według ostatnich współrzędnych, komórka znajduje się gdzieś w rzece Kolumbii.

– O Jezu – westchnęła Bellisario i była to bardziej modlitwa niż przekleństwo. Czyżby zaginione dziewczyny zostały zabite i wrzucone do szerokiego koryta oddzielającego Oregon od Waszyngtonu? Czy ich ciała zostały obciążone, żeby opały na dno? Albo zostały zaniesione na zachód, gdzie wypłyną na brzeg lub rozbiją się o wielką tamę w dole rzeki?

– FBI już się tym zajmuje – ciągnął Cooke. – Eklund była ostatnio widziana dzisiaj po południu. Matka wychodziła z domu około jedenastej, a Mary-Alice była wtedy w swoim pokoju i prawdopodobnie spała. Od tamtej pory nie mamy ścisłych ram czasowych, ponieważ gdy wychodziła, nikogo nie było w domu. Kiedy pani Eklund wróciła około czternastej, córki już nie było. Rodzice zamartwiają się, że została porwana.

– Za wcześnie na Bursztynowy Alert.

– Kogo to, do cholery, obchodzi? – zirytował się Cooke. – Najgorsze, co się może wydarzyć, to że dzieciak się zjawi, a wydział wyjdzie na głupka, bo za szybko zareagował na zniknięcie. Zniesiemy taki blamaż. FBI się zgadza.

– Racja – przyznała, wrzucając do śmieci resztki swojego późnego lunchu. Te wieści jeszcze bardziej pogorszyły jej humor. – Jestem za.

Gdzie najpierw pojedzie? Tam, gdzie była dwie godziny wcześniej, do Posiadłości pod Niebieskim Pawiem, do tego potwornie wielkiego domu, aby ponownie porozmawiać z Sarah McAdams i jej córką Jade, żeby niczego nie przegapić.

No tak, planowała, że jeszcze raz porozmawia z Hardym Jonesem, szują, która wcześniej ją okłamała. Nadeszła pora, żeby wreszcie zrzucił, co mu leży na sercu.

ROZDZIAŁ 32

Gdy Sarah wjechała explorem na parking przy warsztacie Hala, Gracie, wciąż się dąsając, rzuciła:

– Poczekam w samochodzie.

W pierwszej chwili chciała odpowiedzieć, że to wykluczone ze względu na zaginione dziewczyny, ale uświadomiła sobie, że przez te kilka minut, które spędzi w warsztacie, cały czas będzie miała samochód na oku. Zajeżdżała pod markizę sięgającą aż do miejsca, gdzie niegdyś stały dystrybutory paliwa, i znalazła się tuż obok przeszklonej ściany, w której mieściły się drzwi frontowe do budynku. To było nietypowe w tym mieście, jako że nie było tu najmniejszego detalu kojarzącego się z westernem. Samo szkło i beton.

– Dobrze. – Gracie mogła sobie siedzieć w SUV-ie i się w nim kisić, pomyślała, wyjmując kluczyki ze stacyjki. – Nie zajmie nam to długo.

W chwili, gdy Sarah wyłączyła silnik, Jade już wyskoczyła z samochodu i weszła do środka.

– Zaraz wracam – zwróciła się Sarah do Gracie, po czym poszła za starszą córką, zostawiając nadąsaną młodszą w miejscu, w którym była widoczna przez przeszkloną ścianę z przodu budynku, gdzie mieściła się recepcja.

Co najmniej siedemdziesięciopięcioletni Hal już na nie czekał, ale w głębi widziała dwóch mężczyzn pracujących nad pick-upem z otwartą maską. Nad silnikiem wisiała żarówka, jeden mężczyzna leżał pod samochodem, a drugi zaglądał z góry pod otwartą maskę auta. Ściany zdobiły stare reklamy między innymi napoju Nehi Soda i papierosów Lucky Strike.

– Proszę bardzo, powinien śmigać jak nowy – powiedział Hal, biorąc od Sarah kartę kredytową i przesuwając ją przez czytnik, a następnie położył paragon na zniszczonym blacie, na którym stała zabytkowa kasa, która naprawdę zadzwoniła i wysunęła szufladkę. Śnieżnobiałe włosy Hala wystawały spod poplamionej olejem czapki z daszkiem, prawdopodobnie równie starej jak automat sprzedający papierosy pod tylną ścianą.

– Dzięki – odpowiedziała, wkładając paragon i kartę do torebki. Jade zabrała kluczyki, które lśniły pod jarzeniowymi lampami sufitowymi, przypominając Sa-

rah o czymś nieuchwytnym. Nie mogła sobie uzmysłwić, z czym jej się to skojarzyło.

– Zamierzam zatrzymać się przy sklepie i kupić kilka rzeczy, których potrzebuję, i cołę – zaświergotała jej córka, kierując się do wyjścia.

– Czekaj, Jade. Nie sądzę...

– Mamo, proszę. To nic wielkiego. Zajmie mi to dziesięć minut, a potem wrócę prosto do domu. Obiecuję.

Sarah chciała zaoponować. Przypomnieć Jade, że zaginęły dziewczyny, ale rozmawiały o tym już z milion razy.

– Tylko uważaj na siebie i naprawdę wróc prosto do domu.

– Jasne! Jasne, wiem.

– Twój samochód stoi na parkingu z tyłu – powiedział Hal do Jade i wskazał kciukiem wyjście. – Przejdź tędy.

Jade zatrzymała się i ruszyła we wskazanym kierunku. Kluczyki kołysały się na jej palcu, gdy wychodziła tylnymi drzwiami. Sarah patrzyła za nią, nie odrywając wzroku od breloczka z kluczami. Co, do cholery, próbowała sobie odtworzyć z pamięci?

– Dobrze cię widzieć, Sarah – zagał Hal, przywracając ją do rzeczywistości.

– Dobrze tu wrócić,

– Powinnaś czasem pozwalać im wychodzić – stwierdził. – Dzieciakom jest trudno. Rozumiem, że się martwisz, ale przypomnij sobie, jaka byłaś w jej wieku. – Jego oczy załśniły. – Ja pamiętam. Nie chciałaś, żeby podcinano ci skrzydła.

– Wiem, ale te zaginione dziewczyny... – Wpatrywała się w drzwi.

– No i co? A w Vancouver nie dochodzi do przestępstw? – Uśmiechnął się do niej wspierająco. – Wychowywanie dzieci nie jest dla słabych. Widzisz moje włosy? To przez dzieciaki. Całą piątkę. Same kłopoty z nimi. – Zachichotał na to wspomnienie. – Ale jakoś przeżyli, dorośli i stali się fajnymi ludźmi. Mam teraz dwanaścioro wnuków. A kolejne w drodze.

– Gratuluję – powiedziała, żałując, że nie może zastosować się do jego rady.

– Przykro mi z powodu twojej mamy. – Naprawiał samochody całej rodzinie, włącznie z Arlene. – Słyszałem o niej od Dee Linn.

Oczywiście.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Dziękuję. Pozdrowię – obiecała, po czym wyszła frontowymi drzwiami.

Gracie siedziała spokojnie na tylnej kanapie, głaszcząc Xenę i grając w jakąś grę na telefonie.

Sarah otworzyła drzwi i zapytała córkę:

– Siądziesz tu koło mnie czy będziesz udawała, że jestem twoim szoferem?

– Bardzo śmieszne, mamo – odpadła Gracie, ale przesiadła się do przodu. – Przepraszam – wymamrotała.

– Nie ma sprawy. Wszyscy miewamy słabsze dni.

A ostatnio zdarzały się coraz częściej.

Odkąd przyjechały do Stewart's Crossing, nie pamiętała, aby zdarzył się jej dobry dzień.

Niezbyt dobre rozpoczęcie jak na nowy początek, który miała nadzieję tu znaleźć.

Na ulicach praktycznie nie było żadnego ruchu. Wyjechała spod markizy i znalazła się na bocznej uliczce, mgła się trochę przerzedziła, więc zauważyła Jade siedzącą za kierownicą swojej zaparkowanej hondy civic. Gdy mijała otwartą bramę na parking, gdzie trzymali naprawione samochody, pomachała, ale Jade wpatrywała się w komórkę i nawet nie podniosła wzroku.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, stwierdziła, jadąc w stronę domu. Na dodatek dzisiaj wieczorem muszą jechać na przyjęcie, pomyślała i jęknęła w duchu. Nie miała przebrania i jeśli przejrzy garderobę matki, a być może nawet stare skrzynie ze strojami babci, które znajdowały się na strychu, i niczego nie znajdzie, będzie musiała założyć samą maskę.

No i dobrze. Z tego, co zrozumiała, wynikało, że kostiumy są opcjonalne, chociaż było oczywiste, że Dee Linn miała nadzieję, że każdy się przebierze.

No i trudno, pomyślała, mijając schronisko dla zwierząt, z którego adoptowały Xenę, i wjeżdżając pod górę. Pójdzie na przyjęcie Dee Linn, zniesie nawet okropnego Waltera i jego przyjaciół oraz całą resztę rodziny. Ale pójdzie jako ona sama, udęczona, samotna matka.

I spotkasz się tam z Clintem.

Znakomicie. Powstrzymała przeciągłe westchnienie.

Clint zazgrzytał zębami, gdy przełączył się na lokalne wiadomości. Reporterka, szczupła kobieta z szerokim uśmiechem i nienaturalnie białymi zębami, stała na znanej mu zadrzewionej ulicy i mówiła, że w tej części miasta nie ma zbyt wielu latarni.

– ...choć policja tego nie potwierdza, uważamy, że to miejsce, z którego mogła zostać uprowadzona Candice Fowler.

Wysłuchał jej wejścia do końca, a potem jeszcze poważną dyskusję pomiędzy reporterką i prowadzącym wiadomości na podzielonym na pół ekranie. Ze względu na opóźnienie wyglądało to tak, jakby reporterka się zawahała, zanim odpowiedziała na pytanie prowadzącego z naželowanymi włosami. To, czego się dowiedział, zmroziło go do kości. Zaginęła kolejna dziewczyna. Prawdopodobnie została uprowadzona. Co gorsza, prowadzący wspomniał, że mają „niepotwierdzone” jeszcze doniesienia o dwóch innych dziewczynach, które nie wróciły do domu. Policja i FBI nie chcą wypowiadać się w tej sprawie.

Patrzył na ekran.

Co, do licha, działo się w tym nudnym, małym miasteczku?

Pomyślał o Jade, swojej nowo odnalezionej córce, oraz Gracie, jej młodszej siostrze. Czy były bezpieczne? Prawdopodobnie nie. Nawet Sarah. Nikt nie był bezpieczny, kiedy na wolności latał jakiś wariat. Wziął telefon, żeby zadzwonić do Sarah, po czym się rozmyślił i postanowił ją odwiedzić. Może przesadzał, ale wołał dmuchać na zimne.

Tex zaskamlał, chcąc wyjść na dwór, więc Clint wyszedł przez tylne drzwi na ganek i oparł się o słupek podtrzymujący dach. Pies zbiegł po schodach, a on wbił wzrok w mgłę, próbując dojrzeć Posiadłość pod Niebieskim Pawiem.

Z tego miejsca w pogodny zimowy dzień widział połać swojej ziemi i las oddzielający go od posiadłości Stewartów. Gdy liście opadły z drzew, widział też stary dom z tarasem na dachu i wieżyczką.

Dzisiaj w powietrzu była gęsta zupa, niskie chmury wszystko zasłaniały. Zawsze lubił zmianę pór roku, nadchodzącą inną pogodę, która tutaj podlegała mikroklimatowi wąwozu. Ale teraz zaczynał zmieniać zdanie. Pragnął bowiem zobaczyć dom Sarah, ujrzeć światło w oknie, by upewnić się, że ona i jej córki są bezpieczne.

Poza tym, wytłumaczył sobie, miał takie prawo.

Przez całą drogę do domu Sarah miała mętlik w głowie. Gracie z zadowoleniem grała w jakąś grę na iPhonie, podczas gdy ona myślała o tym, że jej nowe życie, życie, które sobie wymarzyła, jej nowy początek w Stewart's Crossing, zmieniło się w całkowitą katastrofę.

Nieco ponad tydzień temu martwiła się remontem starego domu, przeprowadzką z dala od Evana i Tolliver Construction oraz tym, jak odnajdą się dziewczyny w nowym życiu w Stewart's Crossing.

Teraz tamte problemy wydawały się mało istotne. Miała na głowie Clinta, mężczyznę, którego wciąż uważała za atrakcyjnego. Mężczyznę, który także pragnął bliskości. Faceta, który stracił syna, a teraz dowiedział się, że ma nastoletnią córkę. Wszystko to było skomplikowane.

A to jeszcze nie koniec. Sarah musiała jakoś dojść do ładu z ostatnimi wstrząsającymi odkryciami na temat własnej rodziny. To, co uważała za swoje dziedzictwo, co wiedziała na temat swoich przodków, okazało się nieprawdą. A ona musiała jakoś uporać się z wizją kazirodztwa i morderstwa, a może nawet samobójstwa. Takie było dziedzictwo jej rodziny, jeśli można było wierzyć dziennikowi Helen.

Kolejną sprawą był fakt, że jej własne narodziny zostały celowo pominięte w rodzinnej Biblii, w której odnotowano całe drzewo genealogiczne. Znalazło się miejsce dla jej braci i siostry, więc dlaczego ona nie została ujęta w spisie? Chodziło tylko o jeszcze jeden wpis. Jej matka z całą pewnością nie była aż tak zajęta. Sarah rozumiała, że Roger i Theresa nie znaleźli się na tej liście, ponieważ ze Stewartami nie łączyły ich więzy krwi. Ich ojcem był Hugh Anderson. Ale najgorszym jej zmartwieniem było to, że w Stewart's Crossing grasował jakiś drapiezca. Potwierdzono zaginięcie dwóch dziewcząt. Istniały podejrzenia, że porwano dwie kolejne. A jej starszy przyrodni brat był uznawany co najmniej za uwikłanego w tę sprawę, a w najgorszym wypadku mógł być głównym podejrzanym.

Roger... spółdony przez Hugh Andersona.

Zerknęła we wsteczne lustro i pożałowała, że nie kazała Jade jechać prosto do domu. Może była nadwrażliwa ze względu na te zaginione dziewczyny i zachowywała się nadopiekuńczo – cóż, trudno. Pomimo rady Hala, o którą nie prosiła, Sarah musiała być najlepszą matką. Najlepszą wersję siebie. A jeśli nawet obie z Jade ostatecznie skończą na kozetce u psychiatry, to też trudno.

Musi przestać się tak zamartwiać. Nastolatka naprawdę potrzebuje własnego życia. Skręciła nieco zbyt szybko, dała po hamulcach, zwolniła trochę i wjechała pomiędzy osnute mgłą drzewa, mówiąc sobie, że wszystko jakoś się ułoży.

Musiało się ułożyć.

Mam już samochód, napisała Jade. **Mogę przyjechać do Vanc. Widzimy się u ciebie?** Wysłała wiadomość do Cody'ego i zastanawiała się, jak przekona matkę, by pozwoliła jej jechać. Sarah dostanie apopleksji, jeśli dowie się, że Jade zamierza zatrzymać się w mieszkaniu Cody'ego, musiała więc napisać do swoich przyjaciółek w Vancouver i namówić je, by ją kryły.

Nie zamierzała spędzać całej nocy u Cody'ego, chociaż byłoby fajnie, ale gdyby mama się dowiedziała, zatłukłaby ją na śmierć. Wobec tego poprosiła Brittany, żeby omówiła to z mamą, która także była samotnym rodzicem, i Sarah ją trochę znała.

Wyjechała na ulicę, cieszyła się, że może położyć ręce na kierownicy i znowu poczuć się wolna. Nie mogła wrócić do Posiadłości pod Niebieskim Pawiem, tego ogromnego, przerażającego domu. Jeszcze nie. Tak naprawdę nie chciała w ogóle myśleć o tym miejscu jak o swoim domu. Trochę sobie pojeździ, a potem zatrzyma się w tej restauracji koło autostrady, kupi frytki i dietetyczną colę i poczeka aż Cody i Brittany jej odpiszą. Zastanowi się nad kolejnym posunięciem, a potem wróci do domu psycholi.

Miała nadzieję, że Brittany odpisze szybko. Przejeżdżając przez centrum miasta, szukała drogi, która ciągnęła się równoległe do I-84, ale ciągle jeździła wkoło. Jak na tak małe miasto, Stewart's Crossing miało skomplikowaną sieć ulic. Chyba już dwa razy przejechała koło sklepu z paszą i The Cavern. Kurka. Wciąż zastanawiając się nad tym, jak mogłaby się spotkać z Codym, znalazła aplikację z mapami i wpisała nazwę restauracji. Jeśli okaże się, że nie będzie mogła zatrzymać się u Brittany, w zanadru miała plan B, który polegał na tym, że wymknie się z domu i odjedzie bez pozwolenia. Wołała jednak załatwić to jak należy.

Tak naprawdę nie chciała posuwać się do tego, aby wychodzić bez pozwolenia, jeśli nie będzie to konieczne. A teraz jeszcze w planie pojawiła się nowa przeszkoda, jej nowo odnaleziony ojciec. Nie wiedziała, co ma o nim sądzić. Wydawał się w porządku, może nawet był fajny, ale nie podobało jej się to, że kolejny rodzic będzie wtrącał się w jej życie. Chociaż tak bardzo pragnęła wiedzieć, kim jest jej prawdziwy ojciec, nie chciała, żeby ograniczał ją kolejny dorosły. Poza tym miała już tatę – Noela McAdamsa, mężczyznę, który ją adoptował. Noż kurde. Czy to w ogóle legalne? Skoro Clint Walsh nie wiedział o jej istnieniu, nie mógł zrzec się swoich praw rodzicielskich. Czytała kiedyś w sieci o córce jakiegoś celebryty, której matka wciskała, że jest dzieckiem innego mężczyzny. Gdy kłamstwo wyszło na jaw, doszło do głośnego procesu.

Clint próbował się do niej dodzwonić, ale nie zostawił wiadomości. Może chciał okazać, że się nią interesuje, a jednocześnie dać jej przestrzeń. Nie odpisała. Jeszcze nie wiedziała, co ma zrobić. Wszystko to było trudne do rozgryzienia. A fakt, że leciał na mamę – Jade rozpoznawała wszelkie oznaki – czynił to jeszcze dziwniejszym. W pewnym sensie to było spoko. Ale nie była pewna, co ma myśleć. Po prostu było tego za dużo.

Dzięki instrukcjom z aplikacji w końcu udało jej się skrócić w drogę prowadzącą do wybranego lokalu. Zaparkowała przed długim, niskim budynkiem i we-

szała do środka. Usiadła w łoży w kącie. Zamówienie przyjęła kelnerka z nadmiernie rozjaśnionymi włosami, po czym zostawiła ją samą.

Wtedy właśnie Jade uświadomiła sobie, jaka jest samotna. W jasno oświetlonym barze, gdzie światła odbijały się od szorstkich białych ścian i czarno-białych kafli na podłodze, siedziała zupełnie sama w łoży ze spokojem mieszczącej kilka osób. Było kilku innych klientów. Starszy mężczyzna w kapeluszu jadł zapiekankę przy ladzie. Jakaś kobieta rozwiązywała krzyżówkę i popijała napój, zapomniawszy o na wpół zjedzonym burgerze.

Na domiar złego, muzyka dobiegająca z głośników zamontowanych koło sufitu była starą piosenką Beatlesów, którą uwielbiał Cody. Lubił wszystko, od rapu do muzyki country. A także kawałki z lat 60. i 70. *Eleanor Rigby* była jedną z jego ulubionych.

Tekst piosenki opowiadającej o samotnych ludziach rezonował w Jade. Dotykał tej ukrytej głęboko, nieszczęśliwej części jej duszy. Miała teraz dwóch ojców, ale żaden z nich jej nie znał, nadopiekuńczą matkę, która twierdziła, że widziała ducha, i siostrę, którą kochała, chociaż dziwnością nie ustępowała matce, oraz chłopaka, który wymykał się jej z rąk.

Weź się w garść, pomyślała, wciąż przy dźwiękach piosenki. Na miłość boską, czy to jakaś wydłużona wersja? Naprawdę nie trzeba jej było przypominać, że nie ma nikogo bliskiego.

Gdy kelnerka przyniosła jej napój, upiła łyk i sprawdziła telefon. Żadnej odpowiedzi od Brittany ani Cody'ego.

– No dalej – powiedziała na głos, a potem się zamknęła. Pomyślała, że napisze do niego jeszcze raz, ale nie chciała być taką dziewczyną, która ciągle domaga się uwagi.

Ale była.

Gracie miała rację. Ma obsesję na punkcie Cody'ego, a on ją olewa. Podobnie jak ten cholerny duch Gracie, zawsze się wymykał. Czyż nie tak właśnie wyglądała miłość Cody'ego do niej? Czyż nie wiedziała, że tak naprawdę interesuje się Sashą, dziewczyną z college'u, prawdopodobnie nawet posiadającą tę cholerną piosenkę Beatlesów, która na całe szczęście, wreszcie się kończyła, słychać było już tylko ostatnią, rozciągniętą nutę.

Dostała swoje frytki, ale w rzeczywistości nie była głodna. Ekscytacja związana z odzyskaniem samochodu minęła, gdy patrzyła na telefon i musiała zmierzyć się z okrutną prawdą, że Cody jej nie kochał. Prawdopodobnie nigdy.

Niepoczyszona, zamoczyła frytkę w sosie i ugryzła kęs. Mogła zrobić dwie rzeczy. Albo wyjechać do Vancouver, żeby rozprawić się z Codym, a w międzyczasie

spróbować ubłagać przyjaciółkę, żeby ją przenocowała, aby mogła opuścić to główne miasteczko, albo musiała pogodzić się z faktem, że jej chłopak jest palantem, który o nią nie dbał i wcale się z tym nie krył – zerwać z nim i zrobić to, czego pragnęła mama, rozpocząć nowe życie z ześwirowaną rodziną, okropną szkołą i straszynem, starym, prawdopodobnie nawiedzonym domem.

Pozostanie na miejscu miało jednak pewne plusy. Dziewczyna, która miała sąsiednią szafkę w szkole, była miła, a ten Sam z algebry okazał się naprawdę w porządku i zabawny. Poza tym był jeszcze Liam Longstreet. Chociaż jego kumpel był totalnym złamasem, Liam wydawał się dość fajny. Zaproponował nawet, że pomoże jej odkupić telefon. Na dodatek będzie kręcił się w pobliżu podczas remontu domu. Tylko że chodził z Mary-Alice, która była koszmarna.

Zawibrowała jej komórka, sygnalizując nadejście wiadomości. Jej serce podskoczyło na myśl, że odpisał Cody. Szybko ją odczytała.

Oczywiście spotkał ją zawód.

Kolejny.

To mama. Jak zwykle się o nią martwiła.

Zaraz wracasz?, pytała.

Odpowiedziała: **Tak, już jadę.** To było kłamstwo, ale dzięki niemu kupowała sobie trochę czasu.

– Czy jeszcze coś podać? – zapytała kelnerka. Na plakietce widniało jej imię „Gloria”. Z jakiegoś powodu wyglądała na zmartwioną, miała ściągnięte brwi i usta wygięte w podkówkę. Nie było to dobrą wizytówką restauracji, pomyślała Jade.

– Nie dzięki – odparła.

– Cóż, wobec tego dziękuję – powiedziała Gloria i zacerpnęła powietrza, jakby jeszcze chciała coś dodać, po czym uśmiechnęła się nieprzekonująco i wróciła za ladę, przy której mężczyzna w kapeluszu wkładał już kurtkę.

Jade pociągnęła duży łyk napoju i wyjrzała na zewnątrz. Przez długi rząd okien wychodzących na parking, z których rozciągał się widok na trasę międzystanową, widziała zamglone przednie światła samochodów i szybko oddalające się tyłne.

Zobaczyła też własne odbicie, blade i niewyraźne. Wyglądała jak cholerny duch Gracie. Naprawdę wyglądała na smutną, zmartwioną, a nawet nawiedzoną, Boże, to niedorzeczne.

Nie chciała, by ktokolwiek, w tym Cody Russell, wprawiał ją w taki żalostny nastrój.

Uznała, że żaden chłopak nie jest wart tylu zmartwień.

Skończyła z nim.

Ale nie zerwie z nim przez esemesa. Następnym razem, gdy zadzwoni, powie mu, że to koniec.

A jeśli do niej nie zadzwoni?

Jego strata.

ROZDZIAŁ 33

– Uspokójcie się! Spokój! – Rosalie znowu krzyczała, miała zdarty głos od przekrzykiwania wrzasków, krzyków i pisków, które dochodziły z pobliskich bok-sów. – Zamknijcie się wreszcie!

Cisza. Dziewczyny naprawdę przestały hałasować i słuchały.

– No dobrze – rzuciła desperacko, opierając dłonie o ścianę. – Musicie wszystkim się wziąć w garść. Nie mamy zbyt wiele czasu. Musimy spróbować się stąd wydostać!

– Jak? – zapytała dziewczyna w sąsiednim boksie.

– Nie wiem jeszcze, ale musimy coś wymyślić!

– Pytam ponownie: jak? – Chyba była trochę zarozumiała. Trudno. – Kim jesteś?

– Mam na imię Rosalie. To mnie nazywa Gwiazdeczką.

– Wiedziałam! – powiedziała triumfalnie dziewczyna obok. – Rosalie Jamison. Myślałam, że nie żyjesz!

– Czy wszyscy tak sądzą? – zapytała Rosalie z duszą na ramieniu. Czy matka już się poddała? Candice, oczywiście, znowu zaczęła płakać.

– Mnie też już uznali za martwą? – zapytała Candice. – Jestem Candice... Candice Fowler.

– Nie wszyscy – sprecyzowała Księżniczka. – Chodzi o to, że zniknęłaś dość dawno, więc wydawało się to prawdopodobne. Przynajmniej mnie. Nie mam pojęcia, co o tobie myślą, Candice.

– Chcę wrócić do domu. – Dziewczyna znowu szlochała.

– O Boże! Jak ty to znosisz? – zapytała Księżniczka. – Czy możesz w końcu przestać wyc?

Nigdy, pomyślała Rosalie, ale krzyknęła w stronę boksu Candice:

– Przestań płakać, do cholery! Nie mamy czasu, weź się w garść.

Płacz zmienił się we irytujące pociąganie nosem, ale przynajmniej Rosalie w końcu mogła usłyszeć swoje myśli. Co ważniejsze, mogła porozmawiać z innymi dziewczynami.

– Okej, skoro nie musimy krzyczeć, kim jesteście? – zapytała, kierując pytanie do obu dziewczyn.

Zaczęły mówić w tej samej chwili.

– Czekajcie. Nie obie naraz. Najpierw ty, Księżniczko.

– Nie mów tak na mnie. To uwłaczające – warknęła, a Rosalie pomyślała, że w przypadku tej wywyższającej się dziewczyny imię pasuje jak ulał. – Nazywam się Mary-Alice Eklund. – Zamilkła na moment, jakby jej nazwisko miało się z czymś kojarzyć. Kiedy Rosalie nic nie odpowiedziała, Mary-Alice nieco urażona, jak się jej wydawało, wyjaśniła, że chodzi do prywatnej katolickiej szkoły w mieście, a jej ojciec jest jakąś szycią i że została porwana, ponieważ wywieziona w pole uważała, że ma spotkać się ze swoim chłopakiem. Sądząc po tonie, wydawało się, że dziewczyna jakoś się trzyma, chociaż czasami słychać było drżenie w jej głosie. Rosalie słyszała, że jest wystraszona, ale nie zdruzgotana, jak Candice. – Koło szkoły, gdzie mnie zaatakowali, spacerowała jakaś pani z psem. Miałam nadzieję, że mi pomoże. Może to zrobiła, może zadzwoniła na policję, ale nie jestem pewna. W jednej chwili tam była, w kolejnej już zniknęła. Podobnie jak ten facet, który siedział na trybunach. O, Boże, a jeśli oni wszyscy byli w spisku?

Może, pomyślała Rosalie. Widziała, że w tle ktoś pociągał za sznurki.

– Może kobieta zadzwoni na policję, może spisała numery rejestracyjne samochodu – wtrąciła Candice, która chociaż raz zainteresowała się czymś poza swoim własnym smutkiem. Boże, czyżby była dla niej jakaś nadzieja?

Mary-Alice kontynuowała:

– Ale moi rodzice mnie znajdą.

Ciekawe jak, pomyślała Rosalie, ale nic nie powiedziała. Tymczasem druga dziewczyna, Whisky, opowiedziała o sobie. Nazywała się Dana Rickert i także chodziła do Our Lady of the River. Historia Dany była nieco inna. Została złapana przy centrum handlowym i sądziła, że to jednostkowy przypadek, dopóki nie została zawieziona pod szkołę, gdzie przestępcy pojмали Mary-Alice.

– Czy ktokolwiek widział, jak zostałam zaciągnięta do ciężarówki na parkingu przed centrum handlowym? – zapytała Rosalie, żywiąc bezzasadną nadzieję.

– Byli tam jacyś ludzie – odparła, pociągając nosem, jakby próbowała powstrzymać łzy. – Ale nikt nie stał w pobliżu.

– A mają tam jakieś kamery? Na przykład w szkole? Na pewno jakieś mają. A przy outlecie? – Rosalie szybko myślała. Istniała szansa, że ktoś widział te zdarzenia, mógł zidentyfikować porywaczy i zadzwonić na policję.

– Tak sądzę – stwierdziła Dana.

Mary-Alice nie była taka pewna.

– Wiem, że przynajmniej jedna z kamer jest zepsuta. To dlatego Liam i ja spotykamy się... a raczej spotykaliśmy się... – W jej głosie pojawił się smutek, ale Rosalie to zignorowała. Obie dziewczyny przynajmniej przejawiały chęć współpracy i chociaż słyszała przerażenie w ich głosach, żadna z nich nie użalała się nad sobą, jak Candice.

Rosalie zadawała kolejne pytania, próbując wpaść na takie, które mogłyby im pomóc.

Żadna z dziewczyn nie potrafiła zidentyfikować porywaczy. Rosalie miała najbardziej osobisty kontakt z wyższym facetem, chociaż Dana, która pracowała na pół etatu w miejscowej aptece, twierdziła, że od czasu do czasu widywała porywaczy, ale nie wiedziała, jak się nazywają.

Żadna z nich nie usłyszała, co dla nich planowali, ale obie wiedziały o zaginięciu Rosalie. Przez cały czas mówiono o tym w telewizji. Imienia Candice nie wspomniano. O ile było im wiadomo, prawdopodobnie dlatego, że została porwana całkiem niedawno, a żadna z dziewczyn nie śledziła wiadomości ani nie czytała na ten temat na Facebooku czy Twitterze. Ta informacja oczywiście sprawiła, że Candice ponownie zaczęła szlochać.

Doskonale, pomyślała Rosalie. Nie przywoływała jej do porządku, ponieważ tym razem płakała cicho.

Gdy dziewczyny wyprowadzono z ciężarówki, widziały stajnię, przybudówkę z zaparkowanym pod nią samochodem oraz mały domek. Ale była wtedy mgła. Prawdopodobnie były tu jakieś pola, ale nie widziały żadnych zwierząt. I obie twierdziły, że wieziono je przez las.

– Jesteśmy gdzieś na wzgórzach nad rzeką – powiedziała Mary-Alice. – Wydaje mi się, że mijaliśmy tę starą tawernę The Elbow Room.

Rosalie przeoczyła to miejsce, kiedy tu jechała.

– Nie widziałam jej – rzuciła Dana. – Ale byłam przerażona.

Mary-Alice zawahała się.

– Ja też, ale... Ale mój wujek przyjeżdżał tu kilka lat temu, kiedy jeszcze żył dziadek. Obaj pracowali w lesie. A mama mówiła, że przesiadywali tam po pracy. To niedaleko tego starego domu. Wiecie, tego sławnego, Posiadłości pod Niebieskim Pawiem, czy jak mu tam. Tam, gdzie mieszka ta nowa dziewczyna. – Znowu dało się słyszeć pogardę w jej głosie. – Jade McAdams.

– Jesteśmy blisko jej domu? – zapytała Dana. Rosalie była zdezorientowana. Te nowe dziewczyny mieszkały tu przez większość swojego życia, więc to mogło zadziałać na ich korzyść. Rosalie przybyła tu niedawno i nie знаła wielu miejsc.

– Tak, jesteśmy w pobliżu – potwierdziła Mary-Alice.

– Jak daleko od miasta? – zapytała Rosalie. – Albo tej tawerny lub innego zamieszkanego domu?

Żadna z dziewczyn nie miała pewności, ale informacje, które podały, i tak były ważne. Przynajmniej miały pojęcie, gdzie szukać najbliższej drogi, a to już było coś. Na kilka sekund Rosalie poczuła przypływ nadziei. Dopóki nie przypomniała sobie, że jedynym powodem, dla którego porwane mogły rozejrzeć się wkoło, a także zobaczyć twarze porywaczy, było to, że ich pobyt w stajni był tymczasowy. Wkrótce zostaną zabrane w jakieś inne miejsce, prawdopodobnie gdzieś daleko, albo zostaną zabite.

Przeszedł ją zimny dreszcz, ale z całych sił próbowała wyrwać się z jego objęć. Musiała walczyć, aby zapobiec losowi, jaki zaplanowali dla niej porywacze.

Kiedy dowiedziała się już tyle, ile mogła, a dziewczyny zaczęły się powtarzać i zamartwiać na głos, powiedziała:

– Musimy się uwijać. – Nabrała otuchy na myśl, że obie, Mary-Alice i Dana, mają więcej odwagi niż Candice. Podobnie jak wcześniej Candice, Rosalie poinstruowała nowe dziewczyny, żeby centymetr po centymetrze obszukały swoje boksy i rozejrzały się za czymś, co mogłyby wykorzystać jako broń. Zaskoczyła ją Mary-Alice, ponieważ wymyśliła, że przydadzą się do tego wiadra, które używały zamiast toalety.

– Walnę nim w jego paskudny łeb – oznajmiła.

– Ja też, ale najpierw je napełnię – dodała Dana z przekąsem, odchrząknąwszy. Chociaż była śmiertelnie przerażona i przelykała lzy, chętnie brała udział w obmyślaniu planu ucieczki. Dana oświadczyła, że do zeszłego roku, kiedy nabawiła się kontuzji kostki, trenowała gimnastykę. Teraz przyznała, że przytyła i wyszła z wprawy, ale chciała spróbować wspiąć się na ścianę. Jeszcze lepszą informacją było to, że Mary-Alice była cheerleaderką i potrafiła robić ludzkie piramidy, bywała podrzucana wysoko w powietrze i lądowała na dwóch nogach. Poza tym jest w świetnej kondycji fizycznej. Bufonowata dziewczyna przynajmniej miała dobre chęci.

– No więc próbujcie – zachęciła je Rosalie. – Ale nasłuchujcie. Nie żartowałam, kiedy mówiłam, że kończy nam się czas. Nie panikujcie, ale jutro wieczorem sprawy prawdopodobnie się pogorszą.

– Jak? – zapytała Dana, a Rosalie opowiedziała im wszystko, co podsłuchała, niczego nie opuszczając.

– Aukcja? – wyszeptała Mary-Alice z przerażeniem.

– Nie jestem pewna. Ale cokolwiek nas czeka, nie będzie to nic dobrego.

– Pojebym! – rzuciła Dana, przekrzykując chlipanie Candice.

Zarozumiała Mary-Alice zeszła na ziemię.

– Spadajmy stąd. I to już!

W końcu, pomyślała Rosalie, ktoś, kto rozumie, jakie to ważne, i chce pomóc w uwolnieniu.

Teraz może, ale tylko może, miały prawdziwą szansę na ucieczkę.

Przejechał obok restauracji, wciąż nie wierząc w swoje szczęście.

Dwadzieścia minut wcześniej zaparkował w bocznej ulicy w pobliżu warsztatu Hala, wiedząc, że niedługo będą zamykać. Postanowił poczekać, dopóki nie odjedzie ostatni mechanik, po czym przeskoczył przez płot i zwrócił magnetyczne logo, które „pożyczył” sobie z furgonetki należącej do Longstreeta. Hal był biznesmenem ze starej szkoły. Facetem, który przez całe swoje niemal osiemdziesięcioletnie życie mieszkał i pracował w Stewart’s Crossing. Facetem, którego słowo znaczyło więcej niż umowa na piśmie. Facetem, który unikał komputerów i wszystkiego, co uważał za zbyt nowoczesne, włącznie z kamerami.

Wobec tego on czuł się bezpiecznie, przeskakując przez płot i zwracając tabliczkę.

Zmienił plany, w chwili gdy zauważył wyjeżdżającą z parkingu hondę civic prowadzoną przez Jade McAdams we własnej osobie.

Wsiadł do ciężarówki i jechał za nią w bezpiecznej odległości, gdy jeździła wkoło miasta i wreszcie zatrzymała się w Columbia Diner, gdzie po raz pierwszy ujrzał Gwiazdeczkę i skąd później ją porwał. Wprost fantastycznie. Pomyślał, jak łatwo zapamiętał nowe imiona dziewczyn. Kiedy dostarczał je na miejsce i zamykał w boksach, natychmiast zmieniał im imiona, przez co dosłownie traciły własną tożsamość i stawały się niczym więcej niż towarem na sprzedaż. Uśmiechnął się na tę myśl, marząc o pieniądzach, które mu przyniosą. Licytacja, jeśli dobrze ją rozegra, przyniesie dziesiątki tysięcy za każdą dojrzałą młodą kobietę. Właśnie dlatego sam ich nie tykał. Nawet nie głaskał ich po gładkich policzkach. Nie zdejmował im staników, żeby obmacać cycki. Nie chciał zniszczyć towaru, chociaż z największą przyjemnością poczułby przynajmniej jedną z tych ciasnych, małych cipek na swoim kutasie. Albo zmusiłby jedną z nich, żeby mu obciągnęła. Byłoby przyjemnie. Gorące, mokre usta, śliski język i... cholera. Poczul, jak jego cholerne ciało reaguje na fantazję. Kutas wypycha mu spodnie w kroku.

Tak nie można.

Jeszcze nie.

Patrząc, jak Jade wchodzi do restauracji, zastanawiał się, czy wejść tam za nią. Nie chciał jednak ryzykować, więc wjechał na puste, szerokie miejsce na drodze,

nie odrywając oczu od wstecznego lusterka. We mgle niewiele było widać, ale na drodze było luźno, więc mógł tu poczekać, siedząc w aucie stojącym na jałowym biegu.

Teraz, wypaliwszy dwa papierosy, zaczynał się niecierpliwić. Co, do cholery, tam robi? Domyślał się, że matka Jade nie pozwoliła jej oddalać się na zbyt długo, więc postanowił jeszcze poczekać. Mgła jednak robiła się coraz gęstsza, więc nie był w stanie odróżnić jej samochodu od pozostałych na parkingu przed restauracją.

To go martwiło.

Nie mógł spieszyć okazji zesłanej mu przez Boga.

Sięgając po trzeciego papierosa, w coraz większej ciemności zauważył czerwone tylne światła samochodu, gdy jakiś pojazd cofał z parkingu.

Samochód skręcił i ruszył w jego stronę, oświetlając jego boczne lusterko.

Począł, aż go wyminie, nie chciał włączać świateł, żeby nie zaalarmować kierowcy.

Ale był to tylko powolny, stary cadillac, prowadzony przez starszego mężczyznę w kapeluszu.

Szlag. Patrzył, jak staruszek się oddala, czerwone światła wyraźnie odcinały się w ciemności, gdy się zatrzymał przy wjeździe w boczną ulicę prowadzącą do miasta.

– Sukinsyn. – Nie mógł dłużej czekać. Był umówiony, a jeśli się nie zjawi, wzbudzi podejrzenia. A nie mógł sobie na to pozwolić, podobnie jak nie mógł sobie pozwolić na to, że nie porwie Jade McAdams. Musiał sobie przypomnieć, że za jakieś trzydzieści godzin jego misja dobiegnie końca. Transakcja zostanie zakończona, a on wyjedzie z tego miasteczka z jego małostkowymi mieszkańcami i znajdzie się z dala od szponów Stewart's Crossing. Już sama nazwa miasta sprawiała, że robiło mu się niedobrze. Ale już niedługo. Plan ucieczki miał zapięty na ostatni guzik, włącznie z nowym dowodem tożsamości i nowym życiem o kilka godzin stąd. Planował, że pojedzie do Kanady przy użyciu obecnego dowodu tożsamości, następnie w Vancouver wsiądzie do samolotu lecącego do Meksyku, ale spędzi tam tylko kilka dni. Potem zapłaci jakiemuś miejscowemu rybakowi, żeby zawiózł go łodzią z Cabo do Mazatlán, skąd polecą na południe do São Paulo. Zniknie w Brazylii, znajdzie tam sobie jakąś małą wioskę, gdzie, miał nadzieję, będzie żył jak król.

I nigdy więcej nie wróci myślami do Stewart's Jebanego Crossing.

Kolejny rzut oka w lusterko, ponieważ zauważył za sobą światła samochodu.

– No dalej, skarbie – wyszeptał i tym razem mu się poszczęściło. Rozpoznał hondę Jade. Wrzucił bieg w ciężarówce, gdy go minęła, ale nie włączył świateł, gdy wcisnął pedał gazu. Kłopot w tym, że przemknęła obok niego sześćdziesiąt na godzinę przy ograniczeniu do czterdziestu. Co ona miała w głowie? Nie zauważyła znaków w tej cholernej mgle? Jeśli zwróci na siebie uwagę policji, to znajdzie się głęboko w dupie.

– Zwolnij – powiedział na głos, patrząc, jak dziewczyna skręca z nadmierną prędkością. Honda wpadła w mały poślizg. Dodał gazu. Gdy wjechał na bardziej ruchliwą ulicę, włączył światła i spróbował ją dogonić, ale to okazało się niemożliwe, bo praktycznie w ogóle nie zwolniła przed znakiem stopu. Po czym jeszcze dodała gazu i przemknęła przez skrzyżowanie, zmuszając go do zrobienia tego samego. Jakiś volkswagen prawie wjechał w tył jego ciężarówki, ale kierowca w ostatniej chwili skręcił i głośno zatrąbił. W lusterku zobaczył, że facet pokazuje mu środkowy palec.

– Pierdol się!

Co jej odbiło, że jechała jak wariatka?

Przez chwilę sądził, że go zauważyła, więc pędziła, żeby pozbyć się ogona, ale chwilę później uznał, że przypisuje jej zbyt wiele inteligencji.

Po prostu była nastolatką, która się spieszyła.

Musiał podążać za nią i uważać, żeby nie dostać mandatu.

Na szczęście Stewart's Crossing było małym miastem, więc nie minęły trzy minuty, a już znaleźli się poza ścisłym centrum, gdzie ruch był niewielki, więc widział przed sobą tylne światła jej samochodu. Jechał za nią, gdy kierowała się pod górę, nie mając pojęcia, że jedzie dokładnie tam, gdzie chciał, żeby jechała. Coraz bliżej miejsca, gdzie ukrył pozostałe. Do Stajni, która stanie się jej nowym, tymczasowym domem. Miejsca znajdującego się tak blisko cholernej Posiadłości pod Niebieskim Pawiem.

Bellisario utknęła na posterunku. Najpierw zadzwoniła jej siostra z nowymi doniesieniami na temat mamy, a potem przyszło nagranie z kamery przed centrum handlowym, gdzie ostatnio widziano Danę Rickert, więc je obejrzała. Oglądając, poczuła mdłości. Jak nic dwóch mężczyzn zbliżyło się do Dany, gdy wsiadała do samochodu. W rękach miała pełno toreb z zakupami. Jeden z nich coś do niej mówił, a ten drugi popychał ją do przodu, bez wątplenia grożąc jej jakąś małą, ukrytą bronią, prawdopodobnie pistoletem lub nożem, chociaż broń nie była widoczna na nagraniu. Twarze mężczyzn były zasłonięte przez mgłę, ale wyraźnie widać było pojazd, którym przyjechali, na waszyngtońskich tablicach rejestracyjnych. Tablice spoza stanu nie były niczym szczególnym. Każdego dnia ty-

siące mieszkańców Waszyngtonu przejeżdżało przez mosty do stanu Oregon, gdzie pracowali bądź robili zakupy. Jako że Waszyngton miał podatek stanowy od zakupów, a Oregon nie, wzdłuż południowego brzegu Kolumbii jak grzyby po deszczu wyrosły centra handlowe i supermarkety, żeby przyciągnąć klientów spoza stanu i ich dolary.

Bellisario sprawdziła tablice rejestracyjne w bazie danych i okazało się, że pojazd nagrany na kamerze został zarejestrowany na Evana Tollivera, tego samego mężczyznę, którego komórka została użyta do napisania wiadomości do Mary-Alice Eklund.

Na domiar złego odkryła, że sam Tolliver także zaginął.

Jego ojciec zgłosił jego zaginięcie w Vancouver. Został przesłuchany przez policję i zeznał, że syn zamierzał udać się do ich letniego domu w Sun River w Oregonie. Według kierownictwa firmy zajmującej się utrzymaniem domu nigdy tam nie dojechał. Nie zjawił się też na spotkaniu z klientem w The Dalles.

Kolejną zagwozdką w historii, którą opowiedział starszy Tolliver waszyngtońskiej policji, było to, że jego syn był zauroczony Sarah McAdams, ale ich związek umarł, zanim w ogóle się rozpoczęła. Podejrzewał nawet, że zwolnienie Sarah z Tolliver Construction, a także wyprowadzka z Vancouver zostały spowodowane zalotami Evana.

– Chłopak ugania się za nią jak pies z kością – powiedział ojciec. – Nie podda się, dopóki jej nie dopadnie.

– Sprawdźmy to – mruknęła do siebie, kiedy już porozmawiała z policjantami, którzy przesłuchali starego Tollivera. Czy Evan Tolliver był porywaczem? Czy mu odbiło i zaczął porywać dziewczyny z ulic miasta, w którym zamieszkała kobieta, która go odrzuciła? To nie miało żadnego sensu, ale ludzie potrafią być dziwni. Nagrania z kamery nie były wyraźne, ale Bellisario i tak porównała je ze zdjęciami Evana Tollivera i innych znanych kryminalistów. Nie miała pewności, ale mniejszy facet przypominał jej Hardy'ego Jonesa. Już nawet wystawiła nakaz stawienia się na komendzie, ponieważ chciała sprawdzić, co będzie miał do powiedzenia. Musiała się dowiedzieć, czy znał Tollivera, i trochę nim wstrząsnąć.

Wkładając ręce do rękawów kurtki, przeszła przez posterunek i ramieniem pchnęła tylne drzwi. Na zewnątrz poczuła, że powinna się spieszyć, więc podbiegła do jeepa.

Co Evan Tolliver, mężczyzna, który nigdy w życiu nie był aresztowany, miał wspólnego z dziewczynami znikającymi ze Stewart's Crossing?

Próbowała się tego dowiedzieć i wiedziała, gdzie powinna zacząć poszukiwania. W Posiadłości pod Niebieskim Pawiem.

W domu było zimno.

Na zewnątrz zapadała noc, ale mgła wciąż unosiła się nad ziemią.

Sarah nadal coś dręczyło, coś ją irytowało, coś, co powinna już sobie przypomnieć. Położyła kluczyki na stole w jadalni, spadły na rozłożony plan architektoniczny domu z kółkami po kubkach z kawą. Kolejne pięć minut spędziła, dokładając do ognia i próbując ogrzać parter. Pogrzebaczem przesuwiała osmolone kawałki drewna, odsłaniając żar na spodzie, po czym położyła na nim szczapę omszałego drewna. Gdy rozżarzony węgiel w kominku dotknął suchego polana, szybko pojawił się trzaskający ogień, wydzielając ciepło i rzucając migoczące cienie na ścianę.

O co chodziło?

Kołysząc się na piętach, przyglądała się płomieniom, ale myślami krążyła gdzieś daleko. Poza Clintem Walshem i tym, co z nim zrobić, poza niekończącą się troską o córki. Chodziło o coś innego. O coś, co nie dawało jej spokoju.

Chociaż się starała, nie była w stanie dotrzeć do tej myśli, ukrytej głęboko w jej mózgu.

Wyprostowała się, włożyła pogrzebacz do stojaka, po czym wróciła do jadalni, gdzie Gracie z iPadem pod ręką ponownie przeglądała strony dziennika Helen. Tablet oparła o rodzinną Biblię, znowu otwartą na drzewie genealogicznym Stewartów.

W wyobraźni Sarah widziała bezlistne drzewo z nagimi gałęziami, powykręcany i powyginany na skutek kłamstw poprzednich pokoleń.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego babcia cię pominęła – westchnęła Gracie.

– Ja także.

– Tak, jakbyś nie istniała. Podobnie ja i Jade.

– Wiem. – Koniec z kłamstwami. Koniec z wymówkami. Może Arlene była zajęta, kiedy Sarah się urodziła, może nie wiedziała, w co najpierw wsadzić ręce. Ale na przestrzeni ponad trzydziestu lat na pewno znalazłaby dość czasu, żeby zapisać imiona i daty urodzenia córki i swoich wnuczek, chyba że...

Chyba że nie jesteś dzieckiem Arlene i Franklina.

– Nie – powiedziała na głos.

– Co nie? – zapytała Gracie.

– Nic – odpowiedziała Sarah. Kręciło jej się w głowie. Tak nie mogło być. Została wychowana przez matkę i ojca i wyglądała jak swoje rodzeństwo...

Tylko że pomyliła cię z Theresą, kiedy ją odwiedziłaś, nieprawdaż? A co, jeśli całe twoje życie było kłamstwem, Sarah? Co, jeśli nie jesteś tym, za kogo się masz?

- Mamo? – Gracie patrzyła na nią szeroko otwartymi, zmartwionymi oczami.
- W porządku, kochanie. To po prostu trochę dziwne.
- Wiem.

Wciąż czuła niepokój, chociaż próbowała się skupić. Żeby się uspokoić, niespiesznie poszła do kuchni podgrzać kubek z kawą w mikrofalówce. Następnie zniosła go do jadalni, gdzie zostawiła nietknięty napój na stole. Jak mogłaby się dowiedzieć prawdy, jakakolwiek jest? I czy tak naprawdę chciała ją znać? Zerknęła na plany domu, powód, dla którego tu przyjechała. Oczywiście w starych planach nie znajdzie odpowiedzi, tam nie mogło ich być, ale przesunęła klucze i rozłożyła zwój na płasko, po czym po kolei przeglądała mapę za mapą, szukając na nich czegoś, choć nie do końca wiedziała czego. Strony miały różne daty, którymi oznaczono zmiany zachodzące w posiadłości, na przykład dodatkowe pokoje, o których wspominała braciom ostatnim razem, gdy przyjechali. Miała tu rzuty dachu i fundamentów, ścian z zaznaczoną instalacją hydrauliczną, a także plany pokoi i ścian działowych. Na ostatniej stronie była mapa oryginalnego domostwa, na której zaznaczono przylegające do niego tereny, włącznie z podaniem danych właściciela.

Przez posiadłość płynął strumień, na ziemi Stewartów w pobliżu granicy z posiadłością Walshów znajdował się staw. Gdzieś wzdłuż tej linii ktoś wyrysował ołówkiem wszystkie istniejące budynki i charakterystyczne punkty, w tym: dom, przepompownię, szopę na maszyny oraz stodoły. Wszędzie były notatki. Zaznaczono miejsce, gdzie znajdował się stary dom dla pracowników oraz stajnia w jego pobliżu; tuż przy granicy z ziemią Walshów i strumieniu był stary cmentarz.

Na miłość boską, czym ona się zajmowała? Przeszukiwała plany, żeby odkryć tajemnicę swojej tożsamości? Zmarszczyła brwi, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Gdzie, do cholery, jest Jade? Napisała do niej pół godziny temu. Zdeenerwowana postanowiła do niej zadzwonić. Jeśli mają zdążyć na przyjęcie, będą musiały zaraz wyruszyć, a...

Łup!

Dźwięk odbił się echem w uszach Sarah. Odbił się echem w jej sercu. Spojrzała w górę na sufit, ponieważ dźwięk dobiegał z wyższego piętra.

Z pokoju Theresy.

Gracie nie podniosła wzroku. Pies leżący na podłodze u jej stóp nawet nie drgnął.

– Słyszałaś to? – zapytała Sarah, czując, jak podnoszą się włoski na jej karku. Nikogo innego nie było w domu. Przynajmniej nikogo nie powinno tu być.

Gracie położyła palec na otwartej stronie dziennika Helen, zaznaczając miejsce, które czytała, i pokręciła głową.

– Nie.

– Pewnie to nic takiego – rzuciła Sarah, żeby nie niepokoić dziecka, chociaż nie wyobrażała sobie, jak Gracie i Xena mogły tego nie usłyszeć. – Ale i tak sprawdzę.

Gracie z powrotem skupiła się na dzienniku.

Sarah wchodziła po schodach, po dwa stopnie naraz, i nie zatrzymała się na pierwszym piętrze. Skierowała się prosto do pokoju Teresy, pomimo niepokoju, który zawsze ją ogarniał, kiedy znajdowała się w pobliżu tej części domu, którą kiedyś zajmowała jej siostra. Otworzyła drzwi.

Oczywiście posążek Madonny leżał na podłodze. Nie wiadomo, jak spadł z półki i potoczył się pod okno, przez które wdzierało się zimne powietrze.

– A to co? – powiedziała Sarah na głos. Ale zanim podniosła ceramiczną statuetkę, powoli rozejrzała się po pokoju. – Jesteś tutaj? – zapytała cicho. – Angélique? Wiemy, co ci się przydarzyło, więc proszę... po prostu odejdz. Przejdź na drugą stronę. Zrób cokolwiek trzeba, żebyś odnalazła spokój.

Brzmiała jak wariatka, a widząc swoje odbicie w popękany lustrze nad kominkiem, pomyślała, że jej wygląd także to potwierdza.

W jednej chwili poczuła, że temperatura w pokoju spada.

Sarah zamarła, zaschło jej w ustach.

O, Jezu...

Pokryła się gęsią skórką. Wokół niej wirowały jakieś ciche głosy, coś szeptały, padały krótkie, szybkie zdania, więc nie mogła ich zrozumieć. Nie. Ten dźwięk to tylko wiatr wpadający przez okno, którego nie mogła zamknąć, albo przeciąg z niedomkniętego szybra w kominie.

Nieprawdaż?

To wszystko tylko ci wydaje. To jakieś szaleństwo...

Powietrze wciąż wirowało wokół niej.

Co, do cholery?

Przypomniała sobie, że mama nie pozwalała jej wchodzić do tego pokoju, mówiła, że nadal należy do Teresy i że wszystkie rzeczy, które się tu znajdują, są jej własnością. *Ani mi się waży tam wchodzić, Sarah. Nie dotykaj żadnych rzeczy Teresy. I tak już dużo narozrabiałaś. Nie pozwolę, żebyś psuła jej rzeczy.*

Co narozrabiała?

Dlaczego matka obwiniała ją o coś, czego nie pamiętała? Odwróciła się i spojrzała na statuetkę. Co ostatnio powiedziała matka, kiedy Sarah z córkami odwiedziła Arlene w Sosnowym Zakątku?

Nie wiesz, że Madonna jest kluczem do zbawienia? Matka Święta, ona jest kluczem. Czy jesteś poganką?

Wówczas wydawało jej się, że to jakaś niezrozumiała paplanina, że demencja w połączeniu z głęboką wiarą wzięły w posiadanie jej język. Ale teraz mała figurka Maryi była tak blisko, patrzyła na nią i uśmiechała się ironicznie. Sarah miała wrażenie, że posążek z niej kpi.

Bez namysłu odwróciła się i go podniosła. Zacisnęła palce wokół zimnej ceramiki, jakby trzymała w dłoni mały wizerunek świętego patrona... czego? Siły? Przewodnictwa? Spokoju? Odnowionej wiary?

Lub odpowiedzi?

– O co chodzi? – zapytała, zwracając się do figurki, jakby Madonna mogła ją słyszeć i udzielić jej odpowiedzi. – Jeśli ty jesteś kluczem, to... – Ponownie zerknęła na swoje odbicie w lustrze, skończona wariatka rozmawiająca z przedmiotem. – Na miłość boską! – krzyknęła i rzuciła statuetką w lustro, w wariatkę, którą nagle się stała.

Trzask!

Lustro rozbiło się na tysiąc odłamków, które rozprysnęły się w powietrzu.

Instynktownie się odwróciła, podniosła rękę, chcąc osłonić głowę i twarz. Odłamki opadły na nią, wplątały się w jej włosy, cięły skórę na przedramionach i spadały na podłogę.

Sarah drżała, oddychała szybko, próbując wziąć się w garść. Co jej przyszło do głowy? Co, do cholery, zrobiła?

W pokoju zaległa dziwna cisza. Słyszać było tylko jej urywany oddech i paniczne bicie serca. Powoli się odwróciła, szkło spadało z jej ramion.

Na półce, przed tym, co pozostało z lustra, stała mała figurka.

Prawie stanęło jej serce. Posążek po prostu nie mógł się nie rozbić. A mimo to stał pionowo i patrzył na nią, błogo się uśmiechając.

O Boże. O Boże. O Boże!

Ścisnęła ją w sercu.

O co chodziło? O co tu chodziło?

Posążek powinien był uderzyć w lustro i się rozpaść albo spaść na podłogę. Przyciąganie powinno ściągnąć go na dół i rozbić o podłogę. Ale nie, stał nienaruszony na półce.

Przełknęła ślinę, żeby opanować przerażenie, oddychała szybko i płytko, cofnęła się o krok. Ponownie usłyszała znajomy hałas wirujących wokół niej szepców. Z trudem rozróżniła pojedyncze słowa...

– ...córka... dziecko... mama... nie, nie!... ojciec... nie... zabijaj.

– Kim jesteś? – wyszeptala z głośno walącym sercem. Miała wrażenie, że ściany pokoju się do niej zbliżają. Jest zimno, ciasno, atmosfera się zagęszcza. – Czego ode mnie chcesz? – Jej oddech zmienił się w parę, gdy zaczęła się cofać w stronę drzwi, butami miażdżąc szkło, z wzrokiem utkwionym w małej figurce.

– Nie wyjadę – wyszeptala, podczas gdy tak naprawdę pragnęła uciekać ile sił w nogach. – Zostajemy – mówiła jak wariatka. – A więc... A więc musisz się z tym pogodzić.

W tej chwili statuetka zadrżała, zatrzęsła się na skraju kominka, po czym jakby w zwolnionym tempie przechyliła się i uderzyła w podłogę z takim samym głośnym hukem, który dało się słyszeć wcześniej.

Sarah gwałtownie wciągnęła powietrze, patrząc, jak posążek toczy się po podłodze, aż wreszcie się zatrzymuje. *Traaaach!* Wydając odgłos równie niepokojący jak syk demona, ceramiczna Madonna powoli rozpadła się na dwie części.

Sarah z przerażeniem patrzyła, jak przednia połówka małej Madonny odrywa się od tylnej, obraca się, tocząc się po odłamkach szkła, po czym zatrzymuje bez żadnego uszczerbku twarzą do góry, z szeroko otwartymi oczami i spokojnym wyrazem twarzy.

Sarah zrobiła krok w tył. To nie mogło się dziać. Nie mogło. To wszystko było jakimś dziwnym snem, dziwną halucynacją. Na pewno.

Spojrzała na tylną część figurki, która leżała w pobliżu okna tak, jak upadła, pomalowaną częścią do dołu. Widoczne było wnętrze figurki, ta doskonała połowa repliki dziewicy.

Wewnątrz pustej w środku Madonny na kawałku bawełny spoczywał stary klucz. Był zaśnieżony, z całą pewnością wykonany dawno temu. Zalśnił mimo słabego światła w pokoju.

W jednej chwili Sarah przypomniała sobie kluczyki lśniące w dłoni Jade, obraz, który prześladował ją od dłuższego czasu.

Z głośno bijącym sercem i potem nagle zalewającym jej twarz, zmusiła się, by pozostać na górze, by nie zbiec na dół, nie zabrać dziecka i nie wskoczyć do SUV-a, żeby odjechać jak najdalej stąd. Zamiast tego podeszła bliżej do potłuczonej statuetki.

Nic się nie wydarzyło.

Nie rzuciła się na nią z krzykiem żadna zjawa.

Podnosząc klucz, w gardle czuła suchość. Szybko wycofała się tyłem w stronę drzwi.

Ciężki, rzeźbiony klucz był zimny w dotyku. Wiedziała, że nigdy wcześniej go nie widziała. Mrużąc oczy, odczytała imiona wyryte w metalu.

Mateusz, Marek, Łukasz i Jan.

Ewangelści z Nowego Testamentu.

W jednej chwili wiedziała, które drzwi otworzy.

Stała w ciszy, sparaliżowana ze strachu.

ROZDZIAŁ 34

Jadąc do domu przy dźwiękach głośno grającego radia, w którym leciała cały czas katowana piosenka o miłości wykonaniu Adele, Jade przez chwilę myślała o Codym, po czym przypomniała sobie, że to już skończone, że powinna skupić się na Liamie Longstreecie. Był dla niej miły, chociaż ona zachowywała się w stosunku do niego paskudnie. Co prawda, zadawał się z tym okropnym Milesem Prentice'em i Mary-Alice Eklund, ale chyba mogłaby mu zaufać. A nawet temu Samowi z algebry. Podczas gdy Liam był poważny, Sam zabawnie błaznował.

No i co?

W tej chwili obaj mieli ogromną przewagę nad Codym Russellem.

Wyteżała wzrok i włączyła długie światła. Nic nie pomogło. Mgła zgęstniała, ale ona była już blisko domu. Miała tylko nadzieję, że nie minie właściwego skrzyżowania. Musiała już być blisko. Tak przynajmniej jej się wydawało, bo właśnie minęła skrzynkę pocztową stojącą przed ziemią Walshów, którą pokazała jej mama, kiedy po raz pierwszy tu przyjechały. Wydawało jej się, że minęło mnóstwo czasu, odkąd dowiedziała się, że Clint Walsh jest jej ojcem. Wciąż nie wiedziała, jak ma się z tym czuć. „Skonfliktowana” wydawało się właściwym słowem. Skoro walczyły w niej różne emocje, słowo „skonfliktowana” się nada. Choć ta wiedza nie wprawiała jej w euforię, nie mogłaby powiedzieć, że wzdryga się na samą myśl o ojcu. Czas pokaże, jak Clint poradzi sobie w tej roli.

Będzie miała coś do powiedzenia w tej kwestii, bo przecież nie jest dzieckiem. Na litość boską, Walsh powinien wziąć pod uwagę jej relacje z adopcyjnym ojcem. A jeśli nie weźmie? Tym gorzej dla niego. Przez większość jej życia Noel McAdams był jedynym ojcem, którego znała. Była przekonana, że ze spokojem przyjmie fakt, że Jade zna już swojego biologicznego ojca, a przynajmniej jakoś to przełknie. W końcu to on opuścił rodzinę, nawet jeśli mama odstraszyła go do siebie nieprzewidywalnym zachowaniem, to on nie ubiegał się o opiekę nad dziećmi.

To wiele mówiło.

A więc teraz wszystko zależało od Walsh, czy był w stanie wznieść się ponad to, że Jade ma już innego ojca, który, chociaż nie jest nią związany krwią, związany jest wspólnie przeżyтыми latami. Zerkając we wsteczne lustro, zobaczyła

światła szybko zbliżającego się pojazdu, niczym lśniące oczy jakiejś wielkiej bestii wyłaniającej się z mgły.

Rozległ się sygnał jej komórki informujący o nadejściu wiadomości. To ją rozproszyło, ponieważ teraz całą uwagę skupiała na uchwycie do kubków, gdzie odłożyła telefon.

Bez namysłu zerknęła na ekran i zauważyła, że dostała wiadomość od Cody'ego. Poczula satysfakcję.

– Najwyższy czas – powiedziała, przypominając sobie, że już nim skończyła. Zerknęła przez przednią szybę, poszukując wjazdu w boczną ścieżkę. Czyż to nie gdzieś tutaj? Zwolniła trochę i rozejrzała się, myślami wciąż będąc przy wiadomości od Cody'ego. Co napisał? Czy było mu przykro? A może to on chciał z nią zerwać?

Aż ją korciło, żeby podnieść komórkę.

On cię nie kocha, nie kocha. To już koniec.

Starając się o nim nie myśleć, zacisnęła palce na kierownicy i próbowała znaleźć zjazd. *On nie jest tego wart, Jade, wiesz o tym. Tak naprawdę zawsze o tym wiedziałś. To dlatego czułaś się tak niepewnie.* Zaciskając zęby, z całych sił powstrzymywała się, żeby nie podnieść telefonu. Ale nie mogła dłużej wytrzymać. Ciekawość wzięła nad nią górę. Sięgnęła po niego, wyświetliła wiadomość i...

Łup!

Całe auto zadrżało.

Komórka wypadła jej z ręki i uderzyła w przednią szybę.

Jej ciało poleciało do przodu, ale zadziałał pas bezpieczeństwa.

Co, do cholery?

Instynktownie wcisnęła hamulec i zerknęła we wsteczne lustro, gdzie pojawiły się światła dużego auta. Idiota za nią wjechał jej w tył!

– Co za skurwysyn! – powiedziała, wstrząśnięta i wściekła. Zapomniała już o Codym. Przeklinając, odzyskała kontrolę nad samochodem, zjechała na pobocze drogi, opony wpadły w lekki poślizg na żwirze. Na miłość boską, honda niecałą godzinę temu opuściła warsztat, a teraz... znowu jest uszkodzona przez tego głupiego kierowcę!

Co za idiota siedzi na ogonie we mgle?

Zerknęła na pojazd, który także się zatrzymywał. Mgła spowijała ciężarówkę. Facet siedzący za kółkiem pick-upa przynajmniej miał tyle przyzwoitości, żeby zjechać na pobocze. Ale było to niewielkie pocieszenie.

Tylko tego jej teraz brakowało! Prawdopodobnie zniszczył jej zderzak. Może także wgniótł bagażnik! Albo zniszczył całą karoserię z tyłu auta. Co za dupek!

Otworzyła drzwi i była gotowa, żeby zrobić awanturę temu durniowi. On wysiadł z kabiny swojego auta, ale w ciemności wciąż nie widziała jego twarzy.

– Jesteś ślepy czy co? – zapytała. – Nie widziałeś, że zwalniam?

Nic nie odpowiedział, podszedł tylko na przód swojego pojazdu z nadal wyłączonym silnikiem. Macki mgły wiły się w blasku jego przednich świateł.

– Słyszałeś mnie? – zaczęła i ruszyła w jego stronę. Po chwili jednak jej wściekłość zaczęła zmieniać się w pierwsze objawy strachu. Czyż mama nie mówiła o tym jak ludzie drapieżcy polują na swoje ofiary? Jednym ze sposobów było oszustwo na zagubionego pieska, innym pytanie o drogę, a kolejnym celowe wjechanie w tył samochodu ofiary, żeby zmusić ją do wyjścia z pojazdu. Poza tym w Stewart's Crossing znikwały dziewczyny.

Zwolniła.

– Masz... masz ubezpieczenie? – zapytała i żałowała, że nie wzięła ze sobą komórki. – Co to jest?

– Najlepszy dzień twojego życia – odparł, po czym uniósł rękę i zobaczyła broń, gładki pistolet dobrze widoczny w świetle reflektorów.

O, cholera! Za nic w świecie nie pozwoli, żeby to się stało. Odwróciła się na pięcie i ruszyła do samochodu, w którym zostawiła otwarte drzwi. W środku świeciła się lampka i słychać było sygnał informujący o niezamkniętych drzwiach.

Zrobiła jeden krok, kiedy ją zaatakował. Rzucił się na nią od tyłu, aż oboje upadli twarzami w dół na drogę. Brodą uderzyła w asfalt, przecięła skórę, więc z rany pociekła krew. Wiła się i szarpała, walczyła, próbując zrzucić go z siebie. Mocno przygniatał ją do ziemi i nawet już nie próbował zastraszać jej bronią. Przełożył jej jedną rękę pod plecy, potem zrobił to samo z drugą i skuł jej nadgarstki.

Krzyknęła najgłośniej, jak potrafiła, cały czas kopiąc i walcząc. Poderwał ją na nogi i przyłożył pistolet do jej skroni.

– Chodźmy – rozkazał, chociaż się wzbraniała i piszczała głośno, żeby ktoś ją usłyszał.

– Ty mała suko. – Szarpnął ją w stronę samochodu, a ona go kopnęła, trafiając butem w goleń. Wykręcił jej rękę i zmusił, żeby ukłękła, po czym wycelował broń w jej czoło.

– Nie zabijesz mnie – rzuciła, udając odwagę.

– Masz rację. – Jego oczy zaślniły we mgle. – Ale i tak cię skrzywdzę, Jade. – Powiedział to w wulgarny sposób, jednocześnie pochyłając się i przyciągając jej twarz tak blisko swojej, że prawie stykali się nosami. – Skrzywdzę cię na różne sposoby, które zabierzesz ze sobą do grobu – zagroził.

Zanim odpowiedziała, wyjął knebel, zawiązał gumowany kawałek materiału tak ciasno na jej ustach, że prawie zwymiotowała. Potem ją podniósł, jakby nic nie ważyła, i wrzucił ją na tylne siedzenie swojego samochodu.

Kilka sekund później siedział już za kółkiem i dodawał gazu. Ciężarówka ruszyła, rozpryskując kamienie, minęła jej uszkodzony samochód i popędziła w noc.

– Chodźmy! – powiedziała Sarah, zbiegając ze schodów. Znalazła Gracie w salonie z telefonem przy uchu. Xena leżała na otwartym śpiworze koło kominka.

– Dokąd? – zapytała Gracie, ale mama była zbyt poruszona, by cokolwiek wyjaśnić. Czy naprawdę objawił jej się duch albo jakiś inny niewidzialny byt, który poruszał figurką i obniżał temperaturę w pokoju?

– Na zewnątrz. – Złapała dziecko za rękę i pociągnęła Gracie. – Zabierz telefon.

– Mamo, przestań. Zachowujesz się jak szalona! – oświadczyła Gracie. – Scotie, oddzwonię do ciebie – rzuciła do telefonu, a Sarah, wciąż sapiąc, próbowała się uspokoić. Dziewczynka wsadziła telefon do kieszeni, na chwilę jej strach zelżał.

– Wydaje mi się... Wydaje mi się, o Boże, nie umiem tego... wyjaśnić.

– Spróbuj. – Gracie się nie ruszyła, tylko wbijała wzrok w Sarah, podczas gdy ta nie umiała opanować paniki. A potem stwierdziła: – Widziałas ją, prawda? Angélique?

– Nie, nie. Niczego nie widziałam. – I to właśnie dało jej do myślenia. Gracie widziała ducha Angelique le Duc, Sarah nie. A duch, którego widziała, kiedy była mała, nie był tą samą kobietą, którą Gracie pokazała jej na zdjęciu. Z niepokojem zerknęła na schody. – Nie słyszałaś jak pękło lustro? – O Boże, czy tylko to sobie wyobraziła? Ale nie, przecież miała klucz. Zimny metal wciąż spoczywał w jej ściśniętej dłoni.

– Coś słyszałam – przyznała Gracie, cedząc słowa. – Ale rozmawiałam ze Scotie i sądziłam, że straciłaś jakiś wazon albo coś w tym stylu.

– To było coś więcej niż wazon – odparła Sarah, rozglądając się za psem. Nadal czuła panikę. – Xena! Chodź!

– Czekał, mamo – poprosiła Gracie. Stały pomiędzy kolumnami strzegącymi salonu – Boisz się?

– Jestem przerażona! No dalej. – Ciągnąc córkę za rękę, ruszyła do kuchni.

– Ona cię nie skrzywdzi. – Gracie podążała za nią, ale nie szła tak szybko, jak by chciała.

– Angeliqne? – upewniła się Sarah, pytając przez ściśnięte gardło. Czuła nieodparte pragnienie wyjścia z tego domu. – Skąd wiesz?

– Bo to tak nie działa – powiedziała po prostu, jakby każdy rozumiał zasady rządzące relacjami pomiędzy tym a innym światem.

– A więc teraz wiesz, jak zachowują się duchy? Po tym, jak znalazłam cię w nocy drżącą na schodach?

– Wtedy jeszcze tego nie rozumiałam – przyznała Gracie.

– Ale teraz rozumiesz? Ja wciąż nie.

Dotarły do kuchni, gdzie Sarah szybko przeszukała szuflady, bo chciała zabrać latarkę. Poklepała się po kieszeniach, żeby upewnić się, że ma telefon, i po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie posiada broni. Zdecydowała się na scyzoryk, który leżał w tej samej szufladzie, gdzie w końcu znalazła latarkę.

– Jeśli chciałaby nas skrzywdzić, chyba już by to zrobiła? Mieszkamy tu na tyle długo, że gdyby chciała unieść nóż i podciąć nam gardła albo porazić nas prądem, gdy bierzemy prysznic, lub dosypać nam do picia tej starej trucizny na szczury, to już by to zrobiła, nie sądzisz?

– Nóż? Trucizna na szczury? Porażenie prądem? – Sarah pokręciła głową i odechnęła głęboko. Widziała teraz, że jej panika może udzielić się dziecku, więc z całych sił próbowała zachowywać się racjonalnie. – Naprawdę nie wiem, jak to działa, ale widzisz to? – Podniosła klucz. – Był ukryty w statuetce na górze. W tej małej Madonnie. I w jakiś sposób ta nieożywiona figurka tak po prostu sama siebie spadła z półki i rozpadła się na dwie idealnie równe części, jakby przeciął ją jakiś niewidzialny... – Słodki Jezu, brzmiała jak totalna wariatka. – Chodź. – Wyszła z kuchni.

– Chciała, żebyś go znalazła – zawyrokowała Gracie, podążając za Sarah. – Nie rozumiesz tego?

Nie, Sarah nie rozumiała. W ogóle tego nie rozumiała.

– A co on otwiera? – zapytała dziewczynka. – Ten klucz?

– Domyślam się, że grobowiec Angeliqne le Duc – odparła, czując puls dudniący w jej skroniach.

Gracie stłumiła okrzyk.

– Chyba żartujesz.

– Nie.

– A skąd wiesz?

– Nie wiem.

– Ale zamierzasz go teraz otworzyć?

– Zamierzam spróbować – przyznała pełnym napięcia tonem.

– Naprawdę? – zapytała Gracie z podziwem, wyminęła Sarah i wybiegła frontowymi drzwiami przed matką. Sarah przeszło przez myśl, czy powinna wtajemniczać Gracie w szalony plan otworzenia krypty, ale, do licha, nie zamierzała zostawiać córki samej w domu ze złą, zrzucającą statuetki zjawą.

– Przyjechał! – ostrzegła Rosalie, gdy usłyszała ryk silnika szybko zbliżającej się ciężarówki. Nigdy wcześniej nie wrócił zaledwie kilka godzin po wyjeździe. Ale stało się to prawdopodobnie dlatego, że szykowali się na jutrzejszy wieczór. – Cii. Nic się nie odzywajcie. Nie zdradźcie, że mamy plan.

Jak dotąd nie za wiele wymyśliły. Mary-Alice bez przekonania próbowała wspiąć się po ścianie boksu, ale połowe łóżko składało się pod nią, podobnie jak pod Rosalie, więc nie była w stanie dosięgnąć góry. Dana nie osiągnęła wiele więcej. Rosalie słyszała, że próbowała podskakiwać, ale po chwili spadała i głośno klęła. Candice... tam nie zaszła żadna zmiana.

Rosalie wymyśliła, że mają szansę pokonania jednego z porywaczy, może dwóch, tylko dzięki przewadze liczebnej. Jedna dziewczyna mogłaby go czymś zająć, a druga by zaatakowała. Gdyby tylko dostały taką szansę. Gdyby wszystkie były wolne. Gdyby zjebły, które ich przetrzymywały, nie miały broni.

Mnóstwo gdybania.

Mary-Alice znalazła gwóźdź do podkowy w swoim boksie, podczas gdy Dana nie miała zupełnie niczego. Jednakże musiały uciec, zanim ten inny mężczyzna lub mężczyźni zjawią się na spotkanie, na które zaprosił ich porywacz. W wyobraźni Rosalie zobaczyła ogromną orgię, podczas której mężczyźni, pijani bądź naćpani, na zmianę gwałcą dziewczyny. Skręcało ją w środku. Nie chciała o tym myśleć, nie chciała popuszczać wódzów swojej wyobraźni.

Później będzie miała na to dość czasu.

Na razie, od chwili, gdy zamknął ją w swojej ciężarówce, kiedy idiotycznie szła sama nocą do domu, jej misją była ucieczka. A skoro już przy tym była, to przy okazji chciała jak najbardziej zmasakrować skurwysyna, który ją oszukał. Gdyby jej się udało, chociaż raz wzięłaby nad nim górę.

Silnik zgasł i dziewczyny ucichły.

Po kilku chwilach pojawił się ten większy, drzwi się otworzyły, światło zalało całą stajnię, jasność sprawiła, że Rosalie musiała zmrużyć oczy.

Proszę, spieprz to. Choć raz to spieprz, pomyślała, ściskając cążki.

– Okej, dość tego! – powiedział. Ciężko oddychał, szurał nogami, jakby coś ciągnął. – Wchodzisz tam.

A więc miał jeszcze jedną!

Rosalie usłyszała, że dziewczyna próbuje krzyczeć mimo knebla. Wywnioskowała, że się szarpie, walczy i zapiera się nogami.

To dobrze. Jeśli jest sprytna i domyśliła się, że reszta z nich siedzi w pobliskich boksach, może wpaść na to, jak je uwolnić.

– Hej! – zawołała Rosalie. – Co się dzieje?

W tej samej chwili zaszlochała Candice.

– Masz kolejną dziewczynę? – podpuszczała go Rosalie.

– Stul pysk, Gwiazdeczko!

– Mam na imię Rosalie!

– Dość. *Ufff!* – Znowu odgłosy walki. – Ty mała suko! – *Łup!* Rozległ się dźwięk uderzonego ciała, a dziewczyna chyba krzyknęła, bo dało się słyszeć stłumiony kneblem dźwięk. – Przestań walczyć, Buntowniczo – powiedział. – Albo nie dostaniesz jedzenia, wody i wiadra. Możesz sobie głodować, umierać z pragnienia i srać po nogach, jeśli o mnie chodzi!

Kolejne stłumione krzyki.

Łup!

Boże, bił ją. Nie powstrzymywało go to, że nie powinien zostawiać śladów. Nigdy wcześniej nie był tak wściekły. Nigdy nie tracił nad sobą kontroli, a przynajmniej nie zdarzyło się to od nieudanej próby ucieczki Rosalie.

– Rozumiesz, kumaszu, Buntowniczo? – wrzeszczał. – Nie, nie mówię o moim kutasie, ty mała zdziro, ale o tym pasku. Zaraz cię nim wychłoszczę. Nie żartuję. Zapytaj Gwiazdeczkę, może to potwierdzić.

Jakaś inna dziewczyna, chyba Dana, stłumiła krzyk, a Candice całkowicie się rozsypała. Z jej boksu dobiegał cichy szloch.

Nowa dziewczyna zamilkła, co prawdopodobnie było rozsądnym posunięciem, ale Rosalie zmartwiło to, że poddała się tak szybko. Owszem, drań, który je tu przetrzymywał, dzierżył całą władzę, ale Rosalie wołałaby, żeby ich nowa koleżanka była bardziej waleczna. Żeby ich plan mógł zadziałać, musiały być silne, zjednoczone i zdeterminowane, by zrobić wszystko, co trzeba, żeby się uwolnić.

Z boksu obok dobiegły znajome odgłosy, gdy wstawiał wiadro i butelki z wodą.

W końcu wszystko ucichło, a Rosalie wyobraziła sobie, że łotr wyrównuje rachunki ze swoją nową ofiarą. Mijały pełne napięcia sekundy, usłyszała lecącego

nad głową nietoperza. Mary-Alice w boksie obok aż pisnęła, a potem w stajni zrobiło się znowu cicho.

Musiał usunąć knebel nowej dziewczynie, ponieważ nagle rozległ się nowy głos.

– Co, do cholery, robisz? – wrzasnęła. – Ty pojebie! Wypuść mnie!

Łup!

Trzasnęły zamykane drzwi do boksu, a przekręcanie kluczyka w zamku uwięziło w środku najnowszą ofiarę.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyczała. W całej stajni słyhać było, jak rzucała się całym ciałem na drzwi.

Nie tracił czasu. Wyłączył światło, trzasnął drzwiami i przekręcił klucz w zamku.

– Ty cholerny pojebie! Wypuść mnie! – Nowa dziewczyna krzyczała ze wszystkich sił. – Nie możesz tego zrobić! – Waliła w drzwi, jakby sądziła, że uda jej się je wyłamać siłą swoich pięści.

Usłyszały, jak odpala ciężarówkę.

– Nie! – krzyczała, ale warkot silnika robił się coraz cichszy, gdy porywacz oddalał się od stajni. – O Boże, nie...

– Hej! – powiedziała Rosalie.

– Co? – Nowa dziewczyna była zaskoczona.

– Oprócz ciebie są tutaj jeszcze cztery dziewczyny.

– Co to jest? Co się tutaj dzieje, do cholery?

Nic dziwnego, że była zdezorientowana. Kiedy ją porwano, doznała traumy, a potem chyba jeszcze została pobita,

– Jestem Rosalie Jamison. To na mnie mówi Gwiazdeczka.

– O, Boże, tego się obawiałam. Nie chciałam w to wierzyć – przyznała.

– To uwierz.

– Kto tu jeszcze jest?

– Candice, mówią na nią Szczęściara.

– Candice... czekaj. Mówią? – zapytała nowa.

– Jest ich więcej – wyjaśniła Rosalie i opowiedziała o Rozczochronym, po czym przedstawiła Danę jako Whisky. – Ostatnia to Mary-Alice, czyli Księżniczka.

Dziewczyna jęknęła.

– Jezu, jest gorzej, niż sądziłam.

– Jade – rzuciła zarozumiała dziewczyna, jakby to słowo miało cierpki smak.

– Mary-A – rzuciła ponuro Jade.

– Przestańcie – warknęła Rosalie, wyczuwając klótnię. – Nie wiem, co jest między wami, czy się znacie czy nie, ale naprawdę nie mamy czasu na takie pierdoły.

Dzięki Bogu, dziewczyny przestały się do siebie odzywać. Następnie Rosalie wyłożyła wszystko Jade, opowiedziała o ich trudnym położeniu, o spotkaniu zaplanowanym na następny wieczór i o swoich obawach związanych z przyszłością.

– Te dranie nie lecą w kulki – zauważyła. – Więc najlepiej by było, gdybyśmy przysnęły stąd, zanim zjawi się tu cała grupa zboków.

Przez kilka sekund żadna nie powiedziała ani słowa, tylko nietoperz ponownie obleciał stajnię.

– W porządku – przemówiła w końcu Jade. – Jak?

– Najpierw sprawdź, czy nie masz czegoś przy sobie, albo czy coś przeoczyli w boksie. Szukaj rzeczy, które mogłyby ci pomóc. Potrzebujemy broni. Pewnie niewiele teraz widzisz, ale w chwili gdy zacznie świtać albo kiedy wróci i włączy światło, rozejrzyj się wokół. Sprawdź, co tam masz, i przygotuj się do użycia tej broni.

– Jak możesz być tak spokojna? – zapytała.

Rosalie nie była spokojna, na pewno nie w środku. Była przestraszona, zła i czuła cholernie dużo różnych emocji, które mogłyby tylko zaszkodzić jej sytuacji.

– Nie wiem jak tobie, ale nie podoba mi się, że nazywa mnie imieniem konia. Nie podoba mi się to, że jakiś dureń mnie porywa i chce sprzedać do burdelu czy gdzie indziej, więc zamierzam stąd spieprzyć przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Wchodzę w to – oznajmiła stanowczo Jade.

ROZDZIAŁ 35

Sarah potruchtała ścieżką prowadzącą na cmentarz. Gracie biegła obok niej, a pies wyrwał się gdzieś na pobliskie pole. Oświetlała sobie drogę słabym, podskakującym światłem latarki. Noc zapadała szybko, a snop światła niezbyt skutecznie rozpraszał mrok.

Lata wcześniej chodziła tą samą ścieżką. Najpierw ukradkiem wymykała się z domu, potem biegła po polach z lekkim sercem i prędkimi stopami, za przewodnika mając światło księżyca, gdy spieszyła się na spotkanie z Clintem koło stawu.

Och, to było tak dawno. Gorące letnie dni, namiętne noce, słońce, pływanie i seks.

Teraz zamiast radości czuła coraz większe przerażenie. Tym razem nie skręciła w prawo, żeby obejść staw, tylko w lewo, kierując się w stronę cmentarza, który eksplorowała, będąc dzieckiem, i którego unikała w latach nastoletnich, kiedy zaczęła rozumieć złe zamiary nieumarłych. Wiedzę tę wpoił jej bracia, którzy z rozkoszą opowiadali jej historie o duchach, żeby napędzić jej strachu. Oczywiście te opowieści były jedynie niemądrymi próbami przestraszenia młodszej siostry. Wyobrażnia jej braci, chociaż żywa, nie była w stanie stworzyć niczego porównywalnego do koszmaru, którym żyła dzisiaj.

Gdy weszły na niewielkie wzgórze, przed nimi pojawił się cmentarz. Nagrobki wystawały ponad wszechobecną mgłę i krzaki jeżyn, górowały nad rozpadającym się płotem, który niegdyś okalał cały cmentarz. Grobowiec Angélique le Duc był wyższy niż wszystkie pozostałe nagrobki.

– Wow – westchnęła Gracie, nie kryjąc zachwytu.

Sarah odnalazła bramę, która przewróciła się do środka, gdzie widoczne były kamienie nagrobne wznoszące się ponad wysoką trawę i chwasty.

Nie czekała, od razu przeszła przez cmentarz do grobowca zbudowanego na samym środku. Był to duży marmurowy gmach, na którym wryto postacie aniołów i fragmenty Biblii. Niegdyś otaczał go różany ogród, ale teraz, kiedy omiotła okolicę latarką, pozostałe rośliny były wątłe, pozbawione liści i zupełnie suche.

Podeszła do grobowca i oświetliła drzwi oraz miejsce pod wyrzeźbionymi aniołami, gdzie znajdował się fragment Ewangelii według Świętego Mateusza.

Podeszła do jednego boku i oświetliła latarką długą ścianę od południa, gdzie wyryto słowa Ewangelii według Świętego Marka.

– Co robisz? – zapytała Gracie, gdy pies przeskoczył przez płot i zaczął obwąchiwać nagrobki. – Wejdźmy do środka.

– Wejdziemy. – *Albo ja wejde*, uściśliła w myślach, ponieważ nie była pewna, czy pozwoli Gracie wejść do środka grobowca, jeśli uda jej się go otworzyć. Najpierw wolałaby obejrzeć go sama.

Podeszła do tylnej ściany i natknęła się na kolejny fragment, tym razem z Ewangelii Świętego Łukasza. A na ostatniej ścianie znajdowały się słowa napisane przez Świętego Jana.

Poczuła ciarki na plecach.

Co mówiła jej matka? Że Theresa jest bezpieczna z Mateuszem i Janem, a potem, innym razem, wspomniała, że najstarsza córka jest bezpieczna z Łukaszem. Dee Linn nawet żartowała, że gdzieś zapodziała Marka.

– Właśnie tutaj – wyszeptala Sarah i zastanawiała się nad tym, co znajdzie w środku. Zakurzoną pustą kryptę? A może miejsce wiecznego odpoczynku siostry, której nigdy nie poznała?

Serce Sarah zabiło szybciej. Czy to możliwe? Czy znajdzie Theresę w tym grobowcu? Nie... gdyby matka wiedziała, gdzie jest Theresa, zachowałaby się inaczej, nie żywiłaby nadziei, że córka kiedyś wróci. Ale ten tajemniczy fragment rozmowy, który ona i jej rodzeństwo uznali za wynik demencji matki... Co on mógł znaczyć?

Pojawił się wiatr, rozwiął mgłę i przyniósł ze sobą chłód.

Skręciła po raz ostatni, znowu znalazła się przed grobowcem i jeszcze raz omiotła światłem anioły wyrzeźbione nad drzwiami. Twarze cherubinów były brudne, po ich policzkach spływał brud niczym czarne łzy.

– No dobrze, zróbmy to, Gracie, ale ja wejde pierwsza. Jeśli stwierdzą, że w środku jest bezpiecznie, też będziesz mogła zejść po schodach. – Zerknęła na córkę. – Nie wiem, co tam znajde, czy tam są jakieś ciała...

– Dam radę, mamo. A co innego spodziewasz się znaleźć w grobie?

Tylko Bóg wie, pomyślała Sarah, oświetlając sobie latarką zamek i wsuwając do niego klucz.

– Zaraz wracam.

Niech to szlag z tym przyjęciem. Clint miał w nosie Dee Linn i Waltera Bigelowa oraz wydarzenie, na które zamierzał się udać. Przyjął to zaproszenie tylko dlatego, że wiedział, że będzie tam Sarah, a chciał ją znów zobaczyć. Oczywiście

wmówił sobie, że chodzi o przełamanie lodów, ponieważ byli sąsiadami, a on będzie nadzorował pracę w jej domu... Cóż, to wszystko były bzdury. Poszedł do samochodu i jako że Tex ekscytował się wycieczką, zagwizdał i otworzył drzwi od strony kierowcy. Czarno-biały pies błyskawicznie wskoczył do środka i jak zawsze cieszył się na przygodę, nawet jeśli chodziło tylko o wyjazd do sklepu po opakowanie baterii. Każdy wyjazd był okazją, żeby stanąć łapami na podłokietniku i wystawić nos na wiatr, kiedy Clint uchylał szybę, a robił to zawsze, zanim odpałał Bestię. Nie wiedział, jak wyjaśni swoją obecność Sarah, ale na razie się tym nie przejmował.

Był częścią jej rodziny, czy jej się to podobało czy nie. Minęło trochę czasu i zdołał już pogodzić się z faktem, że jest ojcem Jade. Uznał, że przestanie zachowywać się jak głupek i przejmie kontrolę nad sytuacją, nie tylko poprzez prawnika, ale także samodzielnie. Byli sąsiadami, na miłość boską. Jakoś im się uda.

Przed nimi był trudny okres, rozumiał to, ale jeśli nauczył się czegoś z poprzednich kilku lat, to wiedział, że życie jest krótkie, a człowiek musi robić to, na co ma ochotę albo bezpowrotnie traci okazję. Sarah złapała byka za rogi i wróciła do Stewart's Crossing, a nawet zamieszkała w tym starym, zrujnowanym domu, chociaż zarzekała się, że go nienawidzi. No cóż, skoro ona potrafiła pokonać swoje strachy i wewnętrzne demony, on także spróbuje. Niepodważalnym faktem było to, że to on zostawił Sarah, ponieważ była skomplikowaną, inną od pozostałych, intrygującą kobietą. Wiedział, że straci dla niej serce i duszę. Kochanie jej wtedy nie było łatwe. I z całą pewnością teraz także takie nie będzie.

Kochanie?

Zerknął w lusterko, żeby spojrzeć sobie w oczy.

Zwolnij, koleś. Jest o wiele za wcześnie, żeby o tym myśleć.

Ale, do cholery, co mu da czekanie? Wiedział o tym już wtedy i wiedział teraz. Sarah Stewart McAdams była najbardziej fascynującą kobietą, jaką kiedykolwiek poznał.

Na wiejskiej drodze dodał gazu, złapał mocniej za kierownicę i ruszył szybciej. Chciał zobaczyć Sarah i Jade, a nawet tę małą Gracie. Dziwne? Prawdopodobnie. Ale teraz, gdy już się zdecydował, że naprawi relacje z Sarah, nie chciał dłużej czekać.

Miał przeczucie, że musi się spieszyć, co zupełnie nie pasowało do tej chwili, ale nie wiedział, co ma o tym sądzić.

Skręcił, szukając ścieżki prowadzącej do Posiadłości pod Niebieskim Pawiem, kiedy zobaczył wycelowane w niego przednie światła samochodu. Zwolnił i czekał, aż samochód przejedzie. Zmrużył oczy, żeby zobaczyć coś we mgle, i wyczuł,

że jest coś nie tak z tym pojazdem. Nie stał na drodze i miał otwarte drzwi od strony kierowcy.

Zmarszczył brwi i zwolnił jeszcze bardziej, wyglądało na to, że ktoś zjechał z drogi we mgle, może złapał gumę. Kimkolwiek była ta osoba, nie miała dość rozsądku, żeby zamknąć drzwi. Minął wjazd na teren Sarah i przejechał dodatkowe sto metrów w stronę tego samochodu, który wyglądał jak porzucony. Choć w tej mgle niewiele było widać, stanął tuż przy nim, włączył światła awaryjne i zgasił silnik.

– Zostań – rozkazał skamlącemu Textowi. We mgle było zbyt niebezpiecznie, by wypuszczać psa.

Wysiadł, jego buty zetknęły się ze zwirem na poboczu, gdy ogarnęło go złe przecucie. W środku świeciło się światło, ale wewnątrz auta było puste, choć silnik był włączony.

– Hej! – zawołał. – Potrzebujesz pomocy? – Ale usłyszał tylko ciszę. – Halo? – zapytał ponownie. Odwrócił się powoli i wyteżył wzrok, wpatrywał się w las rosnący po stronie Sarah i duże pole po drugiej stronie drogi. Obszedł samochód i zobaczył, że ma wgnieciony zderzak na tyle mocno, że oberwał też bagażnik. Ale nikogo nie było wokół. Pomyślał, że wezwie pomoc, kiedy zauważył, że tablice rejestracyjne są z Waszyngtonu.

Sarah jeździła exploerem, wobec tego auto nie należało do niej, ale...

Na sekundę świat się zatrzymał. Czy Jade nie mówiła czegoś o samochodzie, o hondzie, która stoi w warsztacie? Zabrakło mu tchu w piersiach. Przerazenie ogarnęło całe jego ciało. Przez chwilę przed oczami stanęła mu scena wypadku, w którym życie stracił jego syn. Zgnieciony samochód, jego żona za kółkiem... Ale tym razem było inaczej. Co, do cholery, się tutaj stało? Samochód wciąż był na biegu, więc Jade na pewno nie zostawiła go przy drodze i nie wróciła na piechotę do domu. Sprawdził, co jest w środku. Na podłodze przy siedzeniu pasażera leżał jej telefon, obok niego torebka. Poszukał w niej portfela i znalazł gotówkę, kartę kredytową i prawo jazdy wystawione w stanie Waszyngton... Wszystko to zostało w samochodzie.

Ścisnęło go w sercu.

Żadna kobieta nie zostawia tak torebki.

Żadna nastolatka nie oddała się nigdzie bez telefonu.

O, słodki Jezu.

Pojawiły się czarne myśli. Słyszał już o celowo spowodowanych stłuczkach, kiedy przestępca wjeżdżał komuś w tył samochodu, żeby wywabić ofiarę z pojazdu.

Zobaczył krew. Ciemnoczerwoną niewielką plamę przy poboczu, na skraju asfaltu. *Boże, proszę, niech to nie będzie Jade*, myślał panicznie, wiedząc, że jego modlitwa nic nie zmieni. To był samochód Jade, czerwona plama na czarnym asfalcie bez wątplenia była jej krwią.

Wyjął z kieszeni komórkę, żeby zadzwonić do Sarah... Może Jade była tylko ranna i została zabrana do szpitala. Jeśli nie, zadzwoni na policję. Nie po to odzyskał córkę, żeby ją ponownie stracić.

Zaczął wybierać numer Sarah, kiedy usłyszał warkot silnika samochodu wyjeżdżającego z zakrętu. Po chwili pojawiły się niebieskie i czerwone światła.

Policja sama przyjechała.

Miał tylko nadzieję, że nie za późno.

Bellisario wcisnęła hamulec. Co to było, do cholery? Wypadek? Na poboczu stały jakieś samochody z włączonymi światłami i otwartymi drzwiami. Widziała mężczyznę opierającego się o hondę.

– Słuchaj, muszę kończyć – powiedziała do zestawu głośnomówiącego. – Coś tu się stało. Ale sprowadź Hardy'ego Jonesa. Jeśli to nie jest jego paskudna gęba na ujęciu z porwania Dany Rickert, to już sama nie wiem.

– Jasne – odparł Mendoza. – A przy okazji, zapytam go o jego związek z naszym przyjacielem, Joshem Doddsem, skoro przyskrzyniliśmy go za skrytkę z nielegalną bronią. FBI już go przycisnęła i wygląda na to, że facet może wiedzieć więcej na temat zaginionych dziewczyn, niż sądziliśmy.

– Mówisz serio?

Facet stojący przy hondzie ruszył biegiem w stronę jej radiowozu, wymachując rękami.

– Tak twierdzi, ale chce prawnika. Próbuje coś dla siebie ugrać. Jeśli Dodds jest w to zamieszany, rozegramy ich przeciwko sobie.

– A gdzie do tego pasuje Roger Anderson?

– Właśnie tego zamierzam się dowiedzieć.

– Sprawdź, czy Jones i Dodds sypną Andersona. To on musi być tym facetem na nagraniu z kamer koło Hardy'ego. Wzrost by się zgadzał. – Coś jednak jej nie pasowało, nie wszystko grało. Chodziło o tego drugiego faceta na zdjęciu. – Mam tu wypadek. Wyślij wsparcie na zakręt tuż przed Rocky Point, jakieś półtora kilometra na południe od The Elbow Room. Tuż przy skrócie do Posiadłości pod Niebieskim Pawiem. W tej mgle będziemy potrzebowali policjantów z drogówki i pewnie jeszcze kogoś.

– Robi się.

Rozłączył się, a Bellisario zatrzymała się na poboczu, i wyjęła broń.

– Do tyłu! – rozkazała, otwierając drzwi samochodu. – Ręce nad głowę! – Nie podobało jej się, że ktoś biegł w jej stronę.

Mężczyzna spełnił jej polecenie.

– Musi pani pomóc – powiedział. – Nazywam się Clint Walsh i właśnie znalazłem samochód mojej córki, ale nie ma jej w środku. – Stał pośrodku drogi. Bellisario podeszła i zobaczyła panikę na jego twarzy i smutek w oczach. Wyglądał znajomo, ale go nie kojarzyła.

– Co się stało?

– Jechałem do domu sąsiadki, żeby spotkać się z córką.

– Przyjechała w odwiedziny?

– Ona tam mieszka – wyjaśnił. – Moją córką jest Jade McAdams, a to jej auto. Znalazłem je tu na poboczu. W środku jest jej torebka, dowód i komórka. A na asfalcie widać krew. – Jakiś mięsień pulsował w jego szczęce. – Musimy skontaktować się z Sarah Stewart, jej matką. Sprawdzić, czy Jade jest w domu i czy sama zostawiła tutaj samochód – ciągnął, ale Bellisario, nadal celując w niego z broni, wiedziała, że mężczyzna nie wierzy w tę wersję zdarzeń.

– Sądzę, że moja córka została porwana – dodał. – Musimy ją odnaleźć. Nie ma na co czekać!

Jade czuła strach i wściekłość, nie mogła uwierzyć, że została porwana i zamknięta w ciemnej, śmierdzącej stajni razem z innymi dziewczynami, żeby, jak twierdziła Rosalie, te złamasy mogły później sprzedać je na aukcji. W jakim celu? Rosalie podejrzewała, że chcą zrobić z nich prostytutki, ale Jade wołała nie myśleć o tym, co może się zdarzyć.

Jeśli tylko któryś z nich jej dotknie, pierwsza go zabije.

Potarła ramiona. Pełna przeciągów stajnia nie była ocieplona, miała wrażenie, że zimna mgła wsącza się przez drewniane ściany, tak stare, że sęki powypadały z desek, przez co było tu jeszcze zimniej.

Rosalie wspomniała, żeby rozejrzała się za bronią. Kiedy były włączone światła, Jade chyba coś zobaczyła – podkowę zawieszoną nad drzwiami jej celi. Była wysoko nad jej głową, ale miała nadzieję, że jej dosięgnie.

Do licha, to nie było dużo, ale już coś. Gdyby udało jej się zdzielić w łeb tego ćwoka, który ją tu przyciągnął, zrobiłaby to bez mrugnienia okiem. Oglądała wiele różnych programów o przestępcach i w teorii wiedziała, jak zabić człowieka. Trzeba celować w gardło, uderzać w jabłko Adama, kantem dłoni wbić przeciwnikowi nos do mózgu albo mierzyć w oczy lub jaja.

Przetestuje wszystkie te sposoby.

Plan Rosalie był jasny, musiały spróbować zaatakować każdego, kto się zjawi. Należało zwabić faceta do boksu, a potem zwać i zamknąć go we własnym więzieniu. Następnie ta wolna otworzy wszystkie pozostałe klatki, wsiądą do auta zaparkowanego na zewnątrz albo pobiegną przez las na spotkanie wolności.

Proste.

Pomysłowe.

Ale prawdopodobnie nie wypali.

Potarła policzek w miejscu, gdzie ten palant ją uderzył. Dwa razy. Mogła się założyć, że gdyby miała lusterko i mogła się przejrzeć, zauważyłaby tam obrzęk.

– Chyba wiem, gdzie jesteśmy – powiedziała Jade, wysłuchawszy wszystkich pozostałych historii i poskładawszy do kupy zdobyte informacje.

– Gdzie? – zapytała Mary-Alice, a Jade aż ścisnęło w żołądku. Ze wszystkich ludzi, z którymi nie chciałyby dzielić losu, najgorszą była ta wyniosła, pyszałkowa Mary-Alice. *Ona też jest ofiarą. Stoi po twojej stronie.* Aż ją skręcało, kiedy tak o tym myślała. Niech będzie.

– Wydaje mi się, że jesteśmy na terenie naszej posiadłości.

– „Naszej” posiadłości? – zapytała Dana.

– Należącej do mamy i do jej rodziny. – Przypomniała sobie mapy i plany, które mama rozłożyła na stole, kiedy przyjechali jej wujkowie. Wówczas Jade interesowało jedynie, jak opuścić tę cholerną Posiadłość pod Niebieskim Pawiem albo jak skłonić Cody’ego do odwiedzin. Szukała więc miejsc, gdzie mogłyby się z nim zaszyć. – Jeśli się nie mylę, jesteśmy w starej stajni w pobliżu domu dla pracowników na wschodnim końcu posiadłości. Niedaleko stoi dom. Znajduje się na zachód stąd, koło rzeki.

– Czyż nie jest to, sama nie wiem, dziwne? – Mary-Alice tego nie kupowała. – To, że jesteśmy na tej samej ziemi, na której stoi Niebieski Gołąb czy jak mu tam.

Jade jej nie poprawiła. Co za różnica? Rosalie miała rację. Czy jej się to podobało czy nie, Mary-Alice stała po tej samej stronie. *Nasz siła bierze się z przewagi liczebnej. Pamiętaj, im jest nas więcej, tym większe szanse mamy na ucieczkę.*

– Wygląda to na zbieg okoliczności, ale może nim nie jest. Może ci faceci są jakoś związani z Posiadłością pod Niebieskim Pawiem.

– Jak? – Znowu Mary-Alice.

– Nie wiem. – Do głowy przyszło jej drzewo genealogiczne rodziny, które niedawno uległo zmianie. Jeśli można wierzyć dawno nieżyjącej Helen, Angelique urodziła dziecko swojemu przybranemu synowi, który z kolei okazał się jej za-

bójcą. Ale była jeszcze ta sprawa z Theresą i Rogerem, dwojgiem ludzi, którzy byli spokrewnieni z Jade od strony matki, lecz nie byli Stewartami. A co z nią? Dziewczyną, która przez większość życia nie знаła nawet imienia swojego ojca. – Słuchajcie, chodzi o to, że według mnie teren należy do mojej mamy i jeśli się stąd wydostaniemy...

– Kiedy się stąd wydostaniemy – poprawiła Rosalie.

– Kiedy się stąd wydostaniemy, musimy udać się na zachód w stronę domu. Tam jest najbliżej.

– Wobec tego mamy plan – skwitowała Rosalie. – Jest ciemno, rozdzielimy się i pobiegniemy w kierunku rzeki.

– A skąd będziemy wiedziały gdzie? – zapytała Candice.

– Musisz iść tak, aby mieć rzekę z prawej strony. Wtedy będziesz kierowała się na zachód, w stronę domu – wytłumaczyła jej Jade. Nie dodała jednak, że to miejsce uważa się za nawiedzone. Niezależnie od tego, czy duchy w domu były prawdziwe, czy tylko żyły w wyobraźni matki i Gracie, i tak były o wiele lepsze niż przestępcy z krwi i kości, którzy chcieli sprzedać je temu, kto zapłaci najwięcej.

Czy drzwi naprawdę się otworzą? Wstrzymując oddech, Sarah przekręciła długi klucz.

Ani drgnął.

Spróbowała ponownie.

Nic.

Nie kliknęła żadna zapadka, klucz się nie przekręcił, panowała zupełna cisza.

– Nie wygląda to najlepiej – zwróciła się do córki.

Z Gracie szło powietrze.

– Skoro nie otwiera tego zamka, to co otwiera?

Dobre pytanie, pomyślała Sarah, bo sama nie знаła żadnych miejsc na terenie posiadłości, które były tak stare, by pasował do nich ten klucz. Przejrzała każdy pokój w domu, włącznie z piwnicą i strychem. Nie było żadnych innych zamkniętych pokoi.

To nie miało sensu. Cóż, tak naprawdę nic nie miało. *Nie, kiedy duchy wyganają cię z własnego domu, na litość boską.*

– A gdzie pies?

– Gdzieś tutaj. – Gracie odwróciła głowę i zagwizdała. Xena jednak nie wybiegła z cienia.

– Potrzymaj. – Wręczyła latarkę córce i ponownie spróbowała przekręcić klucz. Tym razem użyła więcej siły i...

Klik!

Klucz nagle przekręcił się w jej dłoni, jakby został naoliwiony. Wstrzymała oddech. Drzwi zaskrzypiały i otwały się do środka.

Ze strachu załomotało jej serce. *Ta dam!*, pomyślała. Mgła podeszła bliżej, osnuła grobowiec, w którym powinna spoczywać Angeliqve le Duc, gdyby jej życie i śmierć przebiegły zgodnie z planem.

Ale czy ktokolwiek mógł na to liczyć?

Wzięła z powrotem latarkę i oświetliła wnętrze, po czym opuściła wąty spop światła na krótkie kamienne schodki prowadzące w głąb ciemnej krypty.

– Zostań tutaj, Gracie – powtórzyła. – Nigdzie się nie ruszaj. – Wskazała miejsce przed grobowcem. – I trzymaj Xenę przy sobie.

– Nic mi nie będzie, mam0. To, że ty się boisz...

– Pies. Ma tu przyjść. Natychmiast. – Sarah nie tolerowała żadnego sprzeciwu. Gracie zrozumiała, że nie ma co naciskać.

– Dobrze. – Cicho zagwizdała i kilka sekund później pojawił się duży, jasny pies. Wyskoczył z ciemności i usiadł, cały czas merdając ogonem. – Zostań. – Xena zaskamlała, ale Gracie była nieugięta. – Leżeć. – Xena się nie położyła, bo słuchała komend wybiórczo, lecz Sarah wystarczyło to, że pies pilnował jej córki.

Głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić, mocno zacisnęła palce na latarce i ruszyła w dół schodów.

Z zasznurowanym gardłem i mięśniami karku tak spiętymi, że aż bolały, przypomniała sobie każdy horror, jaki kiedykolwiek obejrzała. Ruszyła za słabym światłem latarki. *To jest chore. Bardziej szalone niż cokolwiek, co w życiu zrobiłaś. Roztrzaskane lustro, terroryzująca cię statuetka, a teraz jeszcze to: wchodzisz do ciemnego grobowca.*

Dotarła na ostatni schodek. W środku powietrze było rozrzedzone i suche. Do jej nozdrzy dotarł zapach kurzu i jeszcze czegoś, czego wołała nawet nie nazywać.

Grobowiec był dziwnie cichy w środku i większy, niż się spodziewała, całkowicie odseparowany od reszty świata.

– Gracie! – zawołała przez ramię. Jej głos odbijał się echem od ścian.

– Jestem tutaj, mam0.

Dobrze.

Powoli, nerwy mając napięte jak struny, omiotła słabnącym światłem podłogę. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Cały czas próbowała wmawiać sobie, że w krypcie nikogo nie ma. Nikogo prócz niej i jej własnego dudniącego pulsu.

Myliła się.

Na kamiennej płycie leżał szkielet. Domyśliła się, że należał do kobiety, bo był niewielki i oprócz niego była tam rozkładająca się koszula nocna oraz zmatowiałe włosy.

– O, dobry Boże. – Ciało leżało tu od dłuższego czasu, od razu zobaczyła długie zęby, puste oczodoły i kości rąk założone na pustej piersi.

Zakręciło jej się w głowie, jakby miała zemdleć.

Po tych wszystkich latach tajemnica została rozwiązana. Sarah była przekonana, że znalazła swoją siostrę.

Ale Theresa nie była sama.

ROZDZIAŁ 36

– Boże Święty – powiedziała Sarah. Prawie stanęło jej serce, skóra lepiała się od potu, grube ściany pograżonej w ciemności krypty zdawały się do niej zbliżać. Drżącymi rękami poświeciła latarką w kącie pomieszczenia, gdzie żółty snop światła zatrzymał się na kolejnej martwej osobie, jak uznała, mężczyźnie, po czym cofnęła się o krok. Był ubrany w odzież z innej epoki, w koszulę i spodnie, które się na nim rozpadały. Siedział w kącie, na jego twarzy nie było już skóry, tylko białe kości, zęby układały się w groteskowy uśmiech. Brakowało kilku z nich, a nad pustym oczodołem znajdowała się duża dziura, w miejscu, gdzie pękła czaszka, głębokie zagłębienie w kości ziejące czernią.

Dawno temu ten mężczyzna został zamordowany. Roztrzaskano mu czaszkę jakimś ciężkim i ostrym narzędziem...

Przełknęła ślinę i usłyszała w uszach dudnienie serca. Pokryła się gęsią skórką. Tym mężczyzną musiał być Maxim Stewart, pierwszy właściciel tej posiadłości, zdradzany mąż Angeliqne le Duc.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie – wyszeptala Sarah, przypominając sobie relację Helen z nocy, kiedy zaginęli Maxim, Angeliqne i George. Ujrzała wyraźną wizję, w której zobaczyła zakrwawioną siekierę zawieszoną wysoko nad głową Angeliqne, kiedy szarpali się na trasie.

Czy Maxim już wtedy nie żył, a jego ciało było ukryte w krypcie przeznaczonej dla jego żony? Czy zamordował go własny syn? W przypiływie zazdrości o kobietę w ich tragicznym trójkącie? Czy George po zamknięciu martwego bądź umierającego ojca w krypcie zabrał zakrwawioną broń i ruszył przez pole do domu, przemierzając tę samą ścieżkę, po której Sarah nieustannie chodziła, kiedy spotykała się z Clintem, i którą teraz przybiegła do grobowca?

Na podłodze, pod tym, co zostało z mężczyzny, była ciemna plama, gdzie, jak podejrzewała, wcześniej zebrała się kałuża krwi. Co oznaczało, że jego serce wciąż biło, kiedy został tu zamknięty.

Wyobraziła sobie pełną grozy noc sprzed wielu lat, a potem ponownie spojrziała na Theresę. Jeśli to naprawdę była ona, to jak umarła? Czy umarła tutaj, leżąc jak w trumnie z rękami skromnie złożonymi na piersi?

Wpatrywała się w szczątki, które niegdyś były pełnym życia człowiekiem.

Ktoś wiedział, że Theresa tu jest.

Ktoś przyniósł ją do tej krypty i zamknął za nią drzwi, a następnie ukrył klucz w małym posążku Madonny.

Kto? I dlaczego?

Na zewnątrz Gracie przestępowała z nogi na nogę. Wkurzało ją, że mama nie pozwoliła jej wejść do krypty. W końcu to ona pierwsza wpadła na pomysł sprawdzenia cmentarza i o wiele lepiej radziła sobie z duchami niż matka.

Na potwierdzenie mogła przytoczyć reakcję Sarah, gdy dzisiaj wieczorem zobaczyła ducha Angelique le Duc w pokoju Theresy.

To niesprawiedliwe, pomyślała, obejmując się ramionami. Zauważyła, że Xena zaczyna się niepokoić, skamle, podnosi uszy i ogon, jakby chciała popędzić za oposem lub szopem albo, co gorsza, za skunksem. Gracie nie chciała zostać przez niego spryskana i niepokoiło ją to, jak Xena wpatrywała się w ciemność, jak drżała jej skóra, a wieczorną ciszę zakłócało jej natarczywe skomlenie.

– Cicho! – rozkazała jej Gracie. – No dobrze, już dobrze. Pokaż mi. – Włączyła latarkę w telefonie i oświetliła teren wokół swoich stóp, odeszła kawałek od grobowca w ciemność. Miała tylko nadzieję, że to, co przykuło uwagę psa, nie było żadnym drapieźnikiem, który się na nie rzuci. Okoliczne lasy zamieszkiwały pумы i kojoty. Gracie trochę się bała, ale stłumiła swoje obawy. Cmentarze jej nie przerażały, nie wywoływały u niej paniki.

Mimo to... Nie podobało jej się, co wyczyniała Xena, która wyrwała się do przodu, rzuciła się w ciemność i znikła we mgle. Szczekała głośno i ostro. *Nie pozwól, żeby sparaliżowała cię jakaś historia o duchach, którą kiedyś słyszałaś.*

Gdzie, do licha, podział się pies?

Szła ostrożnie, oświetlając nierówną ziemię, na której rosła długa trawa i wznosiły się kopczyki kretów. *To jest niedorzeczne. Przecież niczego tutaj nie ma.* Ale i tak się denerwowała, mijając mały, porośnięty winoroślą nagrobek, stary grób dawno pochowanego dziecka.

Ścisnęła ją w żołądku, gdy się rozglądała dokoła. Wszyscy ci martwi ludzie byli z nią spokrewnieni, a teraz są pochowani pod jej stopami.

Gdzie jest pies?

Odwróciła się w stronę, z której dobiegało szczekanie. We mgle i mroku nie widziała Xeny.

– Chodź tutaj! – zawołała, ignorując lęk objawiający się dreszczem, który przeszedł jej po plecach, kiedy oświetliła nierówne podłoże, zarośnięte trawą i chwa-

stami, paprociami i pokryte kretowiskami. – A co to? – zapytała, gdy pies nagle przestał szczekać. – Xena...?

Rozległ się niski pomruk.

To jej pies?

Albo?

Wytrącona z równowagi Gracie odwróciła się i wycelowała latarkę we mgłę. Cały czas była na tyle blisko grobowca, żeby zawołać mamę, gdyby coś się wydarzyło...

Pies znowu zawarczał. W tej samej chwili promień latarki padł na coś lśniącego i metalicznego. Zegarek? Tutaj? Pochyliła się i aż ją zmroziło. Zegarek był na nadgarstku nieruchomej ręki z szeroko rozstawionymi palcami.

Co?

Z sercem w gardle omiotła latarką rękę aż do ramienia, następnie ujrzała kurtkę z ciemną plamą.

– O, Boże – wyszeptała, cofając się. Wtedy snop światła padł na szyję mężczyzny, a następnie na jego siną, martwą twarz. Evan Tolliver.

O Boże, o Boże, o Boże.

Ogarnęło ją przerażenie. Nie mogła ruszyć nogami, gdy usłyszała niskie, ostrzegawcze szczeknięcie. Odwróciła się i zobaczyła Xenę z nastroszoną sierścią, nisko pochyloną głową i wzrokiem wbitym... nie w martwego mężczyznę, ale w samą Gracie. Nie, coś tutaj się nie zgadzało. Xena patrzyła na coś, co znajdowało się za nią, spoglądała ponad ramieniem Gracie.

W ułamku sekundy poczuła na sobie duże ręce, które ją uniosły.

Krzyknęła!

– Przestań! – warknął niski, męski głos. Poczuela jego gorący, śmierdzący oddech koło ucha. – Ani mru-mru. – Otoczyły ją silne jak stal ręce, uniosły ją, chociaż krzyczała i piszczala, i zabrały dalej od martwego ciała Tollivera.

– Cicho! – ostrzegł. – Ochronię cię, będziesz bezpieczna. Obiecuję.

Już to widzę! Z całej siły zamachnęła się nogą i kopnęła go piętą w goleń. Ale on tylko wciągnął powietrze przez zęby.

Kątem oka zobaczyła Xenę szykującą się do skoku.

Pies skoczył w chwili, gdy Gracie ponownie wrzasnęła ile sił w płucach.

Gdy Sarah dotknęła stopą najniższego stopnia, w grobowcu rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk.

Gracie!

Wbiegła po nierównych stopniach, wołając imię córki.

Łup!

Drzwi do krypty się zatrzasnęły.

Nie!

Sarah rzuciła się na stare, drewniane wrota, krzycząc, pchając, próbując się wydostać, żeby ratować dziecko.

Przekłète drzwi ani drgnęły.

Odłożyła latarkę i spróbowała ponownie, krzycząc, pchając i waląc w szorstkie deski.

– Gracie! – wołała.

Drzwi ani drgnęły.

Spróbowała ponownie, całym ciężarem ciała rzuciła się na drzwi, ale dokładnie w tej chwili usłyszała znajomy dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

– Powtarzam, Jade jest moją córką – upierał się sfrustrowany i potwornie zmartwiony Clint, czując, jak szybko ulatują cenne sekundy. – Może jest w domu. Może doszło do stłuczki i poszła do domu.

– Ale samochód ma włączony silnik – powiedziała Bellisario, patrząc na niego, jakby w najlepszym wypadku był mającym szaleńcem lub przestępcą w najgorszym. – Przecież mogła odjechać.

– Zadzwońmy do Sarah. – Wyjął telefon, kiedy z pobliskich pól dobiegł przeraźliwy krzyk. Instynktownie odwrócił się w tamtą stronę, na zachód, gdzie znajdowały się tereny należące do Stewartów. Stary dom leżał koło rzeki jakieś czterysta metrów stąd.

Ponownie rozległ się krzyk. Krzyczała jakaś przerażona kobieta.

– No nie wiem – rzuciła Bellisario i spojrzała w kierunku domu, jedną rękę kładąc na pistolecie i wpatrując się w ponury krajobraz. – Nie podoba mi się to.

On już biegł do swojego auta, nie miał zamiaru czekać na wsparcie. Ktoś, prawdopodobnie jakaś kobieta, potrzebowała pomocy. Napędzał go strach, a jeśli policjantka nie miała zamiaru się przyłączyć, to tym gorzej.

Wskoczył do kabiny, a Tex, wyczuwając jego niepokój, szybko przeskoczył na miejsce pasażera.

– Zaczekaj! – wołała za nim policjantka, ale zignorował ją, trzasnął drzwiami i ruszył z piskiem opon. Już wszystko jej wyjaśnił o Jade i jej porzuconym samochodzie. Powiedział jej też, że niedawno dowiedział się, że jest jej ojcem. Teraz Bellisario musiała się tym zająć. We wstecznym lusterku widział, że detektyw szybko mówi coś do telefonu, jednocześnie biegnąc do swojego auta.

Opuściwszy szybę, wpatrywał się w nadchodzącą ciemność. Nasłuchiwał kolejnego krzyku, ale do jego uszu dochodziło tylko odległe zawodzenie syren. Ścisnąc mocno kierownicę, modlił się, żeby to byli policjanci wezwani przez Bellisario.

Nieco zbyt szybko skręcił w ścieżkę prowadzącą do Posiadłości pod Niebieskim Pawiem i zarzuciło paką jego samochodu.

– Na ziemię! – rozkazał psu i zdjął nogę z gazu. Tex zeskoczył na podłogę pod siedzeniem pasażera. A gdy koła odzyskały przyczepność, Clint znowu przyspieszył.

Co się tam, do cholery, działo?

Serce biło mu jak szalone, w głowie miał mętlik.

Wyglądało na to, że Jade znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie.

Czy to ona krzyczała? A może Sarah lub Gracie?

– Niech to szlag – zaklął, gdy ciężarówka podskoczyła na wybojach, po czym znowu nią zarzuciło. Mgła wiła się w światłach przednich reflektorów, w lesie skrył się jakiś wystraszony jeleni.

Syreny były coraz bliżej.

– No dalej! Dojedźcie wreszcie! – krzyknął, jakby ta przeklęta policja mogła go usłyszeć. Z całych sił ścisnął kierownicę, aż zbieła mu knykcie. Napinał wszystkie mięśnie. Usilnie próbował myśleć racjonalnie, ale cały czas słyszał ten przerażony krzyk, na co nakładał mu się jeszcze widok porzuconego samochodu Jade z otwartymi drzwiami.

Zagajniki sosen i jodeł rozstały się, gdy wjechał na ostatni zakręt, za którym rozciągała się polana ze starym domem. W to ponure popołudnie, przy szybko zapadającym zmroku niegdyś wspaniała rezydencja wyglądała złowieszczo i surowo. Mgła zasłaniała wieżyczkę i dach.

Wcisnął hamulec i zatrzymał się na podwórzu. Nikt już nie krzyczał, panowała cisza i to wydawało mu się jeszcze gorsze. Explorer Sarah stał zaparkowany na swoim miejscu. Nie było żadnego innego pojazdu. To dobrze czy źle? Na parterze świeciły się nieliczne światła.

– Bądź w domu – wyszeptał, wypadając z kabiny. – Bądź w domu.

Przebiegł odległość dzielącą go od ganku, wbiegł po schodach i dopadł frontowych drzwi. Były uchylone, jakby ktoś wychodził w pośpiechu.

– Sarah! – krzyknął ile tchu w piersiach, wbiegając do korytarza. – Jade! – Przebiegł przez pokoje. Jego buty głośno uderzały w drewniane podłogi. Ogarniał go coraz większy strach.

W kominku płonął ogień, kubek z kawą stał na stole w jadalni razem z kluczami Sarah. Dotknął kubka – był wciąż ciepły – po czym zobaczył jej torebkę leżącą na krześle. Na stosie śpiworów znalazł plecak należący do dziecka. – Sarah! – krzyknął ponownie. Jego głos odbijał się echem od ścian.

Żadnej odpowiedzi.

Ale jeszcze tu nie skończył. Wbiegł na pierwsze piętro, otwierał drzwi i wołał je po imieniu:

– Sarah!! Jade! Gracie!

Witały go puste pokoje, ciche komnaty pozbawione mebli i życia.

Na miłość boską, gdzie one były?

I gdzie, do cholery, podział się pies?

Zostawiając otwarte drzwi, wybrał w telefonie numer Sarah i wbiegł jeszcze wyżej z telefonem przy uchu.

Usłyszał sygnał, ale nagle połączenie się przerwało.

Nieudane połączenie, pojawiło się na ekranie.

– Cholera!

Dotarł na drugie piętro, ciężko oddychając, zajrzał do każdego pokoju, cały czas wołając mieszkanki po imieniu. Ogarniało go coraz większe przerażenie. Błyskawicznie sprawdził apartament zajmowany przez jej rodziców, ogromną garderobę, dwie łazienki, a potem udał się do pokoju w rogu, gdzie był kominek, tego należącego do zaginionej starszej siostry. Drzwi były otwarte, a kiedy zajrzał do środka, ujrzał ślady jakiejś szarpaniny. Gdy przyglądał się temu miejscu, pojawiła się kolejna fala strachu. Na podłodze leżało mnóstwo odłamków szkła. Z lustra wiszącego nad kominkiem pozostała tylko tylna płyta i kilka ostatnich odłamków, które wyglądały jak zęby zwisające w ziejącej dziurze. W pobliżu kominka leżała połówka małej statuetki Maryi Dziewicy. Była odwrócona w górę, a jej błogi uśmiech kontrastował z chaosem w tym pokoju.

Co się tutaj, na miłość boską, stało?

Szkło, powiedział sobie. Brak krwi. I oczywiście ani żywego ducha.

Gdzie, do licha, były?

Zaciskając zęby, ponownie wybrał numer Sarah. Czekał.

Połączenie nieudane.

– Pieprzyć to wszystko!

Gdzie byli policjanci?

Wycofał się z pustego pokoju i otworzył ostatnie drzwi na tym piętrze, prowadzące na strych. Bez zastanowienia wbiegł na górę wąską, ciemną klatką schodową.

– Jade! – krzyczał. Jego głos odbijał się echem. – Sarah!

Obudzone nietoperze zapiszczały i zatrzepotały skrzydłami. Z sercem w gardle oświetlił wnętrze światłem z latarki w telefonie. Pod spadzistym dachem zobaczył jedynie zbierane przez lata meble, kartony, skrzynie i koszyki, pokryte kurzem i dawno zapomniane, należące do poprzednich pokoleń skarby.

Tak, jak podejrzewał, nikogo tu nie było, podobnie jak na dachu, ale i tak wszedł po kręconych schodach i otworzył drzwi szklanej wieżyczki, żeby stanąć na tarasie. Oczywiście już wcześniej tu bywał. Sarah pokazała mu wszystkie zakamarki starego domu. Oprócz piwnicy. Kochali się nawet na tym dachu, chociaż tamtej nocy, o ile pamiętał, drżała w jego ramionach, jej nagie ciało reagowało na jego dotyk, ale było zimniejsze niż zwykle, przez cały czas nie zamykała oczu, kiedy ją całował, jakby coś ją niepokoiło, coś, o czym nie potrafiła lub nie chciała mówić.

Przebiegł przez dach i zajrzał za kominy, słyszał szum rzeki płynącej przez wąwóz w dole.

Próbował zadzwonić z tego miejsca, ale podobnie jak wcześniej komórka nie miała zasięgu.

Krzyknął ponownie, ale jego głos porwał szum rzeki i zagłuszyły syreny, które wreszcie znalazły się blisko. Ogarnął go paraliżujący strach. Zniknęły. Dom był pusty, tak, jak się obawiał. Przed oczami przewinął mu się kalejdoskop przerażająco szczegółowych obrazów. *Nie zagłębiaj się w to! Nie myśl o tym! Znajdź je, Walsh. Po prostu je znajdź.*

Złapał się za niską barierkę i przechylił do przodu, wpatrując się w okolicę już prawie pogrozoną w ciemności. Miał niczym nieograniczony widok na otaczające dom ziemie. Gdyby tylko mgła szybciej się podnosiła i nie było tak ciemno.

Gdzie jesteście?, pomyślał i w rzednącej mgle zauważył czerwone i niebieskie światła.

Policja.

Za mało was i za późno przyjechaliście, stwierdził. Ruszył z powrotem na parter, próbując ułożyć sobie to, co się tutaj stało. Nie chciał, żeby kontrolę nad nim przejęła panika.

Wiedział, że jeszcze niedawno Sarah tu była.

Ogień w kominku w salonie płonął jasno, niektóre polana dopiero się nadpaliły.

Koło garażu stał jej explorer. Przez ostatnie piętnaście minut żaden inny samochód ani ciężarówka nie wyjechały ze ścieżki prowadzącej z domu. Zobaczyłby światła i usłyszałyby warkot silnika.

Nie, była tutaj, wyczuwał to.

Pewnie w piwnicy.

Szybko dobiegł do drzwi prowadzących do piwnicy i je otworzył. Zbiegł po rozklekotanych schodach i znalazł się w podziemnym składowisku rupieci, które znoszono tam od lat. Rozejrzał się po półkach, zobaczył urządzenie do separacji mleka, zabytkową suszarkę do bielizny, wszystko to zbierało kurz.

Nie znalazł tutaj niczego, co pomogłoby mu namierzyć swoją rodzinę.

Nikt nie krył się w cieniu.

Kompletny niewypał.

Tutaj ich nie było. Tak, jak się obawiał. Z powrotem wbiegł na górę i wrócił do otwartych frontowych drzwi.

Ile czasu minęło, odkąd usłyszał ten przeraźliwy krzyk?

Pięć minut?

Dziesięć?

Za dużo.

Ponownie wybrał numer i zeskoczył ze stopni ganku. Zatrzymał się jak wryty, gdy usłyszał dochodzące z oddali ostre szczekanie. Pies wychodził z siebie.

Ciężko oddychając, Clint stwierdził, że ujadanie dochodzi od strony stawu. Z tego fragmentu posesji, który przylegał do linii granicznej. Na miłość boską, co one tam robiły?

Wbiegł do ciężarówki, otworzył drzwi, wyjął latarkę ze schowka na rękawiczki i zagwizdał na psa.

– Chodź, Tex – rozkazał, w chwili gdy pomiędzy drzewami rozległ się ryk silnika jepea należącego do Bellisario.

Nie czekał.

Tex wyskoczył z kabiny, a Clint już pędził w stronę, z której dobiegało szczekanie drugiego psa, wydając komendę:

– Szukaj!

Komórka znowu zgasła w jej ręce. Clint ponownie próbował się do niej dozwonić, za każdym razem jego numer wyświetlał się na ekranie telefonu, ale po chwili znikał.

– No dalej, dalej! – szlochała Sarah, waląc w drzwi. Miała wrażenie, że skóra jej się skurczyła i ściśle opina mięśnie, ilekroć przypominała sobie, że jest zamknięta w krypcie z dwoma trupami.

– Gracie! – krzyczała. Zdarła naskórek z pięści, którymi uderzała. Bolały ją ramiona, bo próbowała wyważać te cholerne drzwi. – Gracie! Otwórz drzwi!

Ogarnął ją strach. Co się wydarzyło? Dlaczego Gracie krzyczała? O Boże, czyżby porwał ją ten zboczeniec, który dopadł pozostałe dziewczyny? Czy to możliwe?

– Gracie! – wrzeszczała, uderzając w stare drewno.

Do jej uszu dobiegały stłumione dźwięki, szczekanie psa, syreny. Córki nie słyszała.

Proszę, proszę, proszę, Boże, jeśli mnie słyszysz, spraw, żeby była bezpieczna.

– Gracie!

– Walsh! Stój!

Ściągał go głos Bellisario.

– Wycofaj się!

Do diabła z nią. Biegł, ile sił w nogach, przemieszczał się znajomą ścieżką. Napędzał go strach. Boże, dlaczego nie zabrał swojej strzelby?

Miał nadzieję, że policja jest w gotowości i czeka z bronią. Ale w tej chwili nie mógł na nich liczyć. To on był na czele. Gnał przez suchą trawę i zarośla. W oddali dostrzegł ciemną wodę stawu. Za sobą słyszał biegnących ludzi.

Stracił z oczu Texa, ale słyszał szczekanie drugiego psa, który podnosił taki raban, jakby natknął się na niedźwiedzia. Dźwięk nie dochodził od stawu, nie... Skręcił w lewo i uświadomił sobie, że pies musiał być bliżej rzeki... O Jezu, na starym cmentarzu? W miejscu, gdzie wraz z chłopakami Stewartów strzelali z wiatrówek. Co, do cholery, tam robiły? Oddychając ciężko, przystanął na szczycie wzgórza, skąd widział cmentarz. Ujrzał to, co z niego pozostało: poszarzałe nagrobki, chylące się ku upadkowi i inne, już przewrócone. Przeskoczył przez płot i ruszył na środek cmentarza, do jedyne grobowca. Latarką oświetlił starą budowlę pokrytą dziwnymi płaskorzeźbami.

Pies zagonił coś albo kogoś do rogu. Warcząc i kłapiąc paszczą, Xena nie pozwalała uciec ciemnej, wijącej się postaci, stojącej przed grobowcem.

Zatrzymał snop latarki na tej sylwetce o nieokreślonym kształcie.

Wysoki mężczyzna trzymał wyrrywającą się, spanikowaną Gracie McAdams, uniósł ją na wysokość swojej piersi, jej szybko poruszająca się głowa zasłaniała jego twarz. Clint miał wrażenie, że używa jej jako żywej tarczy.

– Pomocy! – krzyczała przerażona Gracie. – Pomocy!

– Postaw ją na ziemię! – rozkazał Clint. Łotr zamrugał oczami, gdy oślepiło go światło latarki Clint, ale nie puścił dziecka.

W tej chwili Clint rozpoznał mężczyznę i aż go ścisnęło w środku.

– Policja! Puść ją! – rozkazał głos policjantki Bellisario, dobiegający gdzieś zza pleców Clint, w chwili gdy rzucił się do przodu. – Walsh! Cofnij się, do diaska!

Kątem oka Clint zobaczył detektyw z wyciągniętą bronią, zbliżającą się do porywacza i jego wijącej się, przestraszonej ofiary.

– Policja! – warknęła głośno Bellisario. – Rogerze Anderson, puść dziewczynkę i podnieś ręce.

ROZDZIAŁ 37

Niespodziewanie otworzyły się drzwi i do krypty wdarł się powiew świeżego powietrza.

– Sarah! – rozległ się zaniepokojony głos Clinta.

Rzuciła się do wyjścia, przekroczyła próg grobowca i wpadła w jego ramiona, przewracając się wraz z nim na ziemię przed wejściem.

– Dzięki Bogu, jesteś bezpieczna! Nic ci nie jest? – zapytał załamującym się głosem i pocałował ją w czoło. Poczowała jego zapach i dotyk, ciepły i otulający. Odsunęła się jednak.

– Gracie?

– Już bezpieczna. Jest tutaj – wyjaśnił.

Zrobiło jej się słabo. Po policzkach popłynęły jej łzy, gdy zobaczyła młodszą córkę biegnącą w jej stronę. Wciąż w objęciach Clinta, przytuliła dziewczynkę.

– Dzięki Bogu, nic ci nie jest – wyszeptwała, pociągając nosem. – Zostałam uwięziona. Drzwi... – I wtedy zauważyła tłum, który zebrał się na cmentarzu, trzech mężczyzn, Bellisario i...

– On to zrobił! – powiedziała Gracie, wskazując na wysokiego mężczyznę stojącego koło policjantów. Dolną część jego twarzy pokrywała broda. Ręce miał skute za plecami, a kiedy na nią spojrział, jego oczy wyglądały znajomo.

– Roger – szepnęła Sarah. Mieszane emocje ścisnęły ją za gardło, gdy patrzyła na ostre rysy swojego przyrodniego brata, Rogera Andersona. – Co...? – Przyciągnęła córkę bliżej siebie i wtedy coś kliknęło jej w głowie, jakby zapadki starego zepsutego zamka wreszcie znalazły się na swoim miejscu.

Przypomniała sobie noc, gdy znalazła się z nim na dachu podczas burzy. Trzymał ją przy sobie. Jego ciało przy jej mokrej, drżącej skórze.

– Będiesz ze mną bezpieczna – zarzekał się, a woda kapała z jego twarzy na jej gołą skórę, gdy ulewny deszcz zalewał taras. Ostrożnie zaniósł ją do niewielkiego, przeszklonego pomieszczenia na szczycie kręconych schodów.

Serce o mało nie wyrwało się z jej piersi, czuła wstyd i wstręt, gdy patrzyła ponad jego ramieniem przez zachlapane deszczem szyby wieżyczki na taras, gdzie stał inny mężczyzna. Już dłużej nie mogła się powstrzymać i na widok ojca

zwymiotowała przez ramię Rogera. Deszcz. Zmoczył jego marynarkę, na zwieszonych ramionach pojawiły się ciemne plamy, miał rozpięty pasek.

– Tatuś? – wyszeptała, przypominając sobie, jak ją zabiera na dach, trzymając się blisko siebie, przekłada guziki jej koszuli nocnej przez małe dziurki.

– Kocham cię, Sarah – mówił, unosząc skraj koszuli i zdejmując ją z niej przez głowę. – Chcę cię tylko trochę podotykać, kochanie, ponieważ tak bardzo cię kocham. – Jego oddech był płytki i szybki. Próbowala mu się wyrwać. – To będzie nasz sekret. Nasza kryjówka. – A potem duża szorstka dłoń ześlizgnęła się z jej ramienia i znalazła się na jej płaskiej, nierozwiniętej piersi.

– O Boże – wyszeptała teraz. Poczula skurcze żołądka, chociaż cały czas była w ramionach Clintona i trzymała przy sobie córkę. Wyswobodziła się z ich objęć, pochyliła do przodu, położyła ręce na ziemi i zwymiotowała. Wstrząsały ją gwałtowne torsje. Poczula się zhańbiona i zawstydzona, jakby wciąż pochyłał się nad nią ojciec, jakby wciąż groziło jej niebezpieczeństwo z jego strony. – Przestań – wyszeptała. – Nigdy więcej mnie nie dotykaj! – Ponownie zwymiotowała, splunęła i zamrugała, wracając do chwili obecnej i uświadamiając sobie, gdzie się teraz znajduje: na cmentarzu z Clintem, Gracie i...

Rogerem. Spojrzała na niego. Kiedy się podniosła, wspomnienie wciąż było świeże i jasne.

– Okej, Anderson – powiedziała Bellisario. – Chodźmy.

– Nie... To nie... On nie... – Musiała wziąć się w garść, bo uświadomiła sobie, że Roger został zatrzymany i że policja uważa, że stał za ostatnimi atakami. – Nie, czekaj. Aresztujecie go? – zapytała Bellisario, czując, że stojący obok Clint napina mięśnie, a Gracie ponownie się do niej przytula. – Nie... On nie... – Z trudem łapała oddech, ale w końcu wyrzuciła z siebie: – Theresa, moja siostra, ona tam jest. – Wskazała na grobowiec. – To znaczy jest tam jej ciało.

Gracie spojrzała na nią.

– Naprawdę?

– Roger. – Sarah zwróciła się do brata. – To ty ją tam zostawiłeś? Wiedziałeś?

Zmarszczył brwi, ale widziała, że zaczyna schodzić z niego napięcie. Mężczyzna potaknął. Stojący obok niego policjant spojrzał na niego, jakby się obawiał, że aresztowany ucieknie.

– Zawiodłem ją. – Głos Rogera był chropowaty, z powodu odczuwanych emocji i poczucia winy. – Zawiodłem moją siostrę.

Sara próbowała zrozumieć. Miała wrażenie, że Roger się skulił, gdy to wyznał.

– Jak? – zapytała.

– Ten mężczyzna próbował porwać twoją córkę – wtrąciła Bellisario.

– Nie – zaprzeczyli równocześnie Sarah i Roger.

Następnie Roger zwrócił się do Sarah.

– To był twój ojciec. On... on i Theresa. Nie dawał jej spokoju. O Jezu! Powinienem być coś zrobić.

Policjanci, Clint i Gracie milczeli i słuchali, patrząc, jak zmienia się wyraz jego twarzy z nienawiści do mężczyzny, który spłodził Sarah.

Wstrząśnięta Sarah musiała się upewnić, że dobrze zrozumiała.

– Czy mój ojciec zabił Theresę? – Ta myśl była jak zimny kołek w jej sercu.

– To była jego wina. To przez to, co jej zrobił. Ponieważ... Ponieważ po urodzeniu dziecka Theresa nigdy już nie była taka jak wcześniej. Umarła przez niego.

– Przez niego? – powtórzyła. Cała drżała, chociaż wciąż coś jeszcze nie pasowało jej w tej historii. Clint objął ją ramieniem, z wąwozu wiał zimny wiatr, który przeganiał mgłę.

– Chodźmy. – Bellisario usłyszała już dość.

– Nie, czekajcie – powstrzymała ich Sarah, patrząc bratu w oczy. – Jak ona umarła?

– Skończyła z tym – powiedział, a jego grdyka podskakiwała pod skórą szyi. – Odebrała sobie życie. Żeby skończyć te tortury. Powiesiła się w domu gościnnym.

Sarah miała wrażenie, jakby całe życie przeżyła na ruchomych piaskach. Prawda i kłamstwa wciąż się przemieszczały. Nigdy tak naprawdę nie wiedziała, kiedy to nastąpi, co było niepodważalną prawdą, a co było ciemnym, strzeżonym sekretem.

– Znalazłem ją i odciąłem. – Miał udręczoną minę, zdjęty poczuciem winy. – I posprzątałem cały bałagan. Jedyne to mogłem zrobić. A potem... potem przyniosłem ją tutaj, żeby spoczywała w pokoju.

Jedna przerażająca nić prawdy biegła przez tkaninę uplecioną z kłamstw, na którą składało się jej życie, a raczej to, co uważała za swoje życie.

– I nie powiedziałaś matce?

– Nie musiałem. Wiedziała – odparł z przekonaniem, a Sarah przypomniała sobie przesycony bólem płacz, który niósł się w górę schodów, gdy Roger znosił ją ze strychu. Bardzo wyraźnie przypomniała sobie białą, spanikowaną twarz matki i to, jak załamały się pod nią kolana w korytarzu.

– Łotr! Nie, nie, nie! – płakała, ściskając w dłoni małą statuetkę Madonny, którą uderzyła w podłogę. Uśmiechnięty błogo posążek nie rozpadł się, pozostał nietknięty, chociaż Arlene się rozsypała, płakała, przeklinała, z jej oczu płynęły

ły. – Przepraszam cię – rzuciła do Sarah, ale nie wzięła jej w ramiona, tylko ścisnęła mały posążek należący do Theresy, jakby od niego zależało to, czy nie straci rozumu.

– Mama zajęła się problemem.

Sarah poczuła ucisk w piersi. Zalała ją fala wspomnień. Różne fragmenty jej życia zaczęły szybko wpasowywać się w swoje miejsca, podczas gdy zimny kanadyjski wiatr ze wschodu rozpraszał mgłę. Sarah Stewart McAdams wyraźnie ujrzała swoją przeszłość.

– A dziecko... czy ono było problemem? – zapytała, ale знаła odpowiedź, zanim zadała pytanie.

– Nie, Sarah. Tym dzieckiem byłeś ty.

Cofnęła się, chciała zaprzeczyć, ale przypomniała sobie reakcję matki w domu opieki, kiedy pani Malone przedstawiła ją matce, pomagając pamięci starszej pani. Ale Arlene nie dała się oszukać: „Moją córką jest Theresa”, zarzekała się, biorąc Sarah za kobietę, która według Sarah była jej starszą przyrodnią siostrą. Jeśli to, co mówił Roger, było prawdą, ten prosty fakt także był kłamstwem, tajemnicą, którą Arlene ukrywała przez ponad trzydzieści lat.

– Theresa była moją matką – powiedziała Sarah z niedowierzaniem, ale uświadomiła sobie, że to wyjaśnia wiele jej wątpliwości.

Roger nie potraktował tego jak pytania.

– A moim ojcem...? – wyszeptowała. W jednej potwornej chwili zrozumiała okropną prawdę. Wszystko było już jasne. Sarah była dzieckiem mężczyzny, o którym zawsze sądziła, że jest jej ojcem, Franklina Stewarta, ale matką była Theresa. Arlene wychowała Sarah jak własne dziecko. W jakiś sposób udało jej się przekonać rodzinę i przyjaciół, że była w ciąży, być może wycofując się z życia towarzyskiego. Kto wie? Potem, wiele lat później, kiedy ten sam zboczony mężczyzna, który ją spłodził, próbował molestować seksualnie dziecko z własnej krwi i kości, zainterweniował Roger. Oddychała płytko, miała nierówny puls, w jej żołądku zbierała się żółć i nienawiść.

– Sarah – szepnęła Clint wzburzonym tonem i ponownie ją objął. – Kochanie, już w porządku...

– Nie! – Rozplakała się. – Nic nie jest w porządku. – Zwróciła się do Rogera: – Jak mama postanowiła to naprawić? Adoptując mnie? Ale chyba jest jeszcze coś, prawda? Powiedziałeś, że zajęła się problemem – powtórzyła, zbliżając się do kręgu, w którym stał jej przyrodni brat. Spojrzała mu w oczy. – Co to znaczy?

– Że go zabiła, Sarah.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Wyjaśnij to. – Tym razem odezwał się Clint.

– Moja matka zabiła swoich mężów – oświadczył Roger. – Obu. Najpierw mojego ojca, żeby móc wyjść za Franklina, a kiedy nie mogła znieść zбочzonych skłonności Franklina, kiedy zrozumiała, że on nigdy się nie zmieni, zaczęła go podtruwać, podobnie jak mojego ojca. Każdego dnia patrzyła, jak powoli umiera.

– A ty skąd o tym wiesz? – zapytała Bellisario.

– Kupowałem dla niej trutkę na szczury. Oczywiście nie dla swojego ojca, wtedy nie rozumiałem jeszcze, co zrobiła. Ale kiedy poprosiła mnie, żebym ją kupił, spełniłem jej życzenie i wtedy rozumiałem, że jest przeznaczona dla Franklina. Pozwoliłem jej to zrobić. – Wpatrywał się gdzieś w dal, nie zdradzając żadnych emocji. – To była sprawiedliwość. Za Theresę.

– Sarah, słyszałam już wiele bzdurnych opowieści od aresztowanych – zaczęła Bellisario.

– Nie – przerwała jej Sarah. Pamiętała satysfakcję matki, gdy prawie wypięła muchę znajdującą się w mleku. A ostatnio w domu opieki Arlene została oskarżona o dosypywanie cukru do picia mężczyźnie z cukrzycą. – Wierzę mu. – Matka Sarah tak naprawdę była jej babcią, morderczynią, a jej ojciec drapieżcą seksualnym, który zgwałcił jej starszą siostrę i zamierzał uczynić to samo z nią.

– To tylko jakaś wymyślona historyjka – zaoponowała nieprzekonana Bellisario, po czym dała znak zastępcy, żeby odprowadził Rogera. – Dlaczego, do cholery, złapałeś to dziecko?

– Już tłumaczyłem – powiedział Roger. – Próbowałem ją uratować.

– Przed czym albo przed kim? – dopytywała Sarah. A następnie omiotła wzrokiem poważne twarze wszystkich, którzy zgromadzili się na starym cmentarzu w pobliżu otwartych drzwi grobowca Angeliqne le Duc. Znowu poczuła strach. Dlaczego tutaj przyszli? Skąd wiedzieli, że mają przyjść i ją ratować, skoro powinni zajmować się szukaniem szaleńca, który porywa dziewczyny z ulic Stewart's Crossing.

Nie!

– Gdzie ona jest? – zapytała, zwracając się do Clinta. Kiedy zobaczyła ból w jego oczach, potwierdziły się jej najgorsze obawy. – O Boże! Gdzie jest Jade?

W pokoju przesłuchań Bellisario patrzyła ponad stołem na Rogera Andersona. Był blady, miał jasne oczy, niewypielegnowaną brodę, wysokie czoło i ubranie, które od miesiąca nie widziało pralki. Miał skute nogi, a jego skute ręce spoczywały na blacie stołu, jakby zamierzał się modlić. Nad ich głowami świeciły silne lampy jarzeniowe, które sprawiały, że wyglądał na chorego i udręczonego,

– Zaczniemy od początku – zaproponowała, jako że przesłuchanie trwało już od prawie godziny, a ona wciąż nie była przekonana do jego wersji. – Gdzie jest Jade McAdams?

– Już mówiłem, że nie wiem. Zapytajcie Hardy’ego Jonesa.

– Zapytaliśmy, mówi, że o niczym nie wie.

– Kłamie.

– To samo mówi o tobie – powiedziała Bellisario, wiedząc, że tę rozmowę oglądają inni przez „lustro” na ścianie. Ponadto każde słowo i gest były nagrywane.

– Byłem tam, żeby je ochronić.

– Sarah i jej córki? Podobnie jak ochroniłeś Rosalie Jamison?

– Nie znam jej.

– A Candice Fowler?

– Już mówiłem, nie. – Był spokojny. Zbyt spokojny. – Zawiodłem Sarah – powiedział po raz czwarty – ale chciałem pomóc jej córkom. Zadbać o ich bezpieczeństwo.

– Ale Franklin Stewart już dawno nie żyje. Według ciebie zatroszczyła się o to wasza matka.

– To fakt.

– Więc dlaczego uważałeś, że dziewczyny McAdamsów są w niebezpieczeństwie?

– Zawsze były – odparł, a Bellisario stłumiła w sobie chęć potrząśnięcia nim za jego tajemnicze odpowiedzi. To wszystko było dziwne, niemal surrealistyczne. Odnalezienie Andersona przy grobowcu stanowiło pierwszą niespodziankę, drugą było to, że w środku znajdowała się Sarah McAdams i martwe ciała. Anderson zaklinał się, że nic nie wiedział o szkielecie mężczyzny, chociaż Sarah była przekonana, że to ciało Maxima Stewarta, założyciela rodu i człowieka, który wybudował Posiadłość pod Niebieskim Pawiem dla swojej żony Angeliqne le Duc, kobiety, która najwyraźniej zdradzała go z jego synem, swoim pasierbem. Anderson przyznał się, że zamknął Sarah w krypcie, żeby była bezpieczna, że zamierzał umieścić ją i jej córki gdzieś poza zasięgiem porywacza. Sarah jednak odnalazła klucz do grobowca. Zobaczył, jak wychodzi z domu, bo obserwował je, odkąd powróciły, więc poszedł za nią na cmentarz. W swoim chorym umyśle ubzdurał sobie, że krypta może być takim bezpiecznym miejscem. Wszystko to wydawało się zbyt do siebie pasujące. W opinii Bellisario stanowiło kolejną zagadkę związaną z rodziną Stewartów.

Niespodzianką było to, że drugie ciało, to należące do kobiety, najprawdopodobniej było Theresą Anderson, siostrą Rogera, popchniętą do desperackiego czynu na skutek gwałtów, których dopuszczał się jej ojczym. W tej chwili dysponowali tylko domysłami. Czas miał pokazać, jak było naprawdę. Anderson także zarzekał się, że unikał swojej kuratorki, ponieważ wyczuwał, że szykuje się coś złego. Hardy Jones, wypiwszy zbyt dużo w The Cavern po swojej zmianie, przechwalał się przed Rogerem, że wszedł w jakiś grubszy przekręt. Chociaż Hardy nie powiedział dokładnie, o co chodzi, wspominał, jak cenne są dziewczyny i że mężczyźni płacą za nie grube pieniądze. Używają ich jako niewolnic, kurew lub biorą za żony, jeśli sytuacja na to pozwala. Anderson stał się czujny, wiedząc, że Sarah z dziewczynkami mają przeprowadzić się do Stewart's Crossing. Przysiąął sobie, że będzie je chronił, ponieważ nie udało mu się dotrzymać obietnicy złożonej Theresie, że ochroni Sarah, jej dziecko. Postanowił objąć ochroną także dzieci Sarah, czyli wnuczki Theresy. Od powrotu do Stewart's Crossing mieszkał w lesie, co kilka nocy przenosił swoje obozowisko, ale trzymał się w pobliżu domu.

Bellisario nie wierzyła w historię, którą opowiadał jej Anderson, ale musiało w niej tkwić ziarno prawdy. Po prostu nie była pewna, co jest faktem, a co fikcją. Kłopot polegał na tym, że jeśli Roger Anderson nie był w zмовie z Hardym Jonesem, to kto, do cholery, był?

Wydarzenia nabrały tempa.

Spocony, zaparkował na pustym parkingu w pobliżu centrum miasta. Wiedział, że musi zachować spokój, nie okazywać zdenerwowania, żeby nikt nie domyślił się jego tajemnicy.

Słyszał, że Dodds znalazł się w areszcie, a Hardy Jones był już przesłuchiwany na komisariacie. Obaj mężczyźni wiedzieli, co i jak, i powinni trzymać się planu. Dodds był solidną firmą, Hardy Jones nie był tak pewny. Żałował, że zaprowadził Jonesa na pierwsze poważne spotkanie z „ludźmi gór”, jak siebie nazywali, do grupki wyrzutków, którzy na stałe mieszkali w Idaho, kierowali się własnymi zasadami i negowali rząd. Ich domy były fortcami wyposażonymi w podziemne schrony, zapasy jedzenia, wody i broni oraz zabezpieczone pułapkami, gdyby ktoś przypadkowo lub we wrogich zamiarach wkroczył na ich ziemię.

Lubili silne kobiety, piękne, może odrobinę pyskate, a jednocześnie posłuszne swoim „mężom”.

Na szczęście chętnie za nie płacili. Handel bronią przynosił duże dochody, a oni bez wahania akceptowali wysokie ceny za odpowiednie „żony”, jak je nazy-

wali. Poślubiali je przed własnymi duszpasterzami w swojej małej sekcji fundamentalistów.

Umowa była niebezpieczna, ale jakże dochodowa.

Będzie musiał właściwie to rozegrać przez te ostatnie kilka godzin.

Wykonał jeden szybki telefon, usłyszał sygnał, a potem wyraźne kliknięcie, kiedy ktoś odebrał. Zanim człowiek z gór wymówił choćby słowo, powiedział:

– Przyspieszamy naszą operację o dwadzieścia cztery godziny. Dziś o północy. Nie będzie siedmiu, lecz pięć dziewczyn, musimy je jak najszybciej przemieścić.

Człowiek po drugiej stronie się zawahał. On miał ochotę wrzasnąć na swojego rozmówcę. *Teraz lub nigdy, złamasie.* Ale najwyraźniej facet zrozumiał.

– W porządku. Będziemy – oznajmił.

– Z gotówką – przypomniał klientowi.

– Oczywiście – odpowiedział mężczyzna, po czym się rozłączył.

Uwolnił wstrzymywany oddech, zapalił papierosa, opuścił szybę w samochodzie i przejechał przez miasto, kierując się w stronę stojącego wysoko nad miastem domu, w którym mieszkał doktor Bigelow i jego żona. Dom, który wyglądał tak, jakby wypinał się na małe miasteczko, był dopieszczony w każdym szczególe i nowoczesny, miał szklane ściany oraz duże otwarte przestrzenie, które ostatnio były w modzie. Wzniesiono go wysoko na stoku, gdzie górował nad położonymi niżej domami w stylu rustykalnym i westernowym. Rozciągał się z niego niesamowity widok na rzekę, jej brzeg od strony Waszyngtonu. Był to najdroższy adres w Stewart's Crossing. Doktor Bigelow i jego rozplotkowana żona i ich przekłute pieniądze, które w większości odziedziczyli... co za pieprzona niesprawiedliwość.

Z liczby pojazdów stojących przy podjeździe i zaparkowanych na ulicy wnioskuje, że przyjęcie już trwa.

Dobrze. Nie włożył żadnego kostiumu, ponieważ chciał, żeby wszyscy na imprezie go zobaczyli. Za dwadzieścia cztery godziny nie będzie to miało żadnego znaczenia. Na razie jednak potrzebował publiczności i alibi, które przynajmniej na pierwszy rzut oka nie będzie wyglądało podejrzanie. Ponadto chciał się upewnić, że konsekwencje jego operacji spadły na kogoś innego i policja podejrzewa osobę bardziej skłoną do takich czynów. Potem ruszy w drogę.

Wyrzucił do połowy wypalonego papierosa z filtrem przez okno, z przedniego siedzenia zabrał butelkę merlota i przemierzył ścieżkę prowadzącą do dużych, szklanych drzwi. Lekko zapukał, przywitała go Dee Linn we własnej osobie, ale przebrana za Marię Antoninę z białą, wysoką peruką.

– Ojej – powiedziała, zawiedziona, że kolejna osoba przyszła w zwykłych ubraniach. – Chyba nie dotarła do ciebie informacja, że to ma być przyjęcie kostiumowe.

– Przepraszam – rzucił i wręczył jej butelkę wina. – Byłem zajęty.

– Hmm. – Spojrzała na etykietkę i uniosła brew. – O, dziękuję.

Walter Bigelow, doktor stomatolog, dołączył do swojej żony przy drzwiach. Pomimo „informacji” był ubrany w strój, który nosił w gabinecie, fartuch oraz wyniosłe spojrzenie.

– Cieszę się, że przyszedłeś. Twoja mama i siostra już tu są. Sam wiesz, że Marge jest do bólu punktualna.

– Fakt – zgodził się, unosząc rękę, żeby przywitać się na odległość z Josephem, który, w dżinsach i koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, z drinkiem w ręce przyglądał się stołowi z przekąskami, udekorowanemu dyniami, czarnymi kotami i kapeluszem wiedźmy. Obsługa była w kuchni, wszyscy byli ubrani w białe koszule, czarne spodnie i długie, pomarańczowe fartuchy. Dołączył do osób w zwykłych ubraniach stojących razem z trzema kobietami przebranymi za kotki, jedną czarownicą, a także parą, która przywdziała stroje starożytnych Egipcjan, Rambo i Indianą Jonesem.

Nie spoglądał na zegarek, miał nadzieję, że wygląda na zrelaksowanego, ale czuł sekundy upływające w spowolnionym tempie.

Jeszcze tylko kilka godzin, przypomniał sobie, częstując się piwem z tacy przechodzącego obok kelnera. A potem w końcu wolność.

Jade miała krwawiące, zdarte ręce, nie widziała ich, bo było zbyt ciemno, ale czuła, jak pulsują bólem. Wiedziała, że ma połamane paznokcie i świeże rany na palcach i wnętrzu dłoni. Słyszała pozostałe dziewczyny, jak przemieszczają się w swoich boksach, kładą na skrzypiących pryzkach, piją wodę lub czasem sikają, dźwięk moczu uderzającego w dno wiadra.

Boże, jakie to żałosne.

Jakie cholernie nieludzkie.

Przez cały dzień, gdy było jasno, próbowała wspiąć się na cholerną ścianę boksu, żeby następnie przez nią przeskoczyć i znaleźć sposób ucieczki. Wszystko na próżno. Raz za razem wskakiwała na szorstką ścianę, palce stóp wkładała w dziury po sękach lub w szpary między deskami. Ilekroć docierała do góry, traciła równowagę albo nie mogła znaleźć oparcia dla nogi, zsuwała się na dół i spadała na podłogę. Jej jedynym sukcesem było strącenie podkowy i złapanie jej w locie.

Pozostałym dziewczynom nie poszło lepiej. Dana, która twierdziła, że jest gimnastyczką, nie była w stanie przeskoczyć przez drzwi. Nie było to żadnym zaskoczeniem, bo dziewczyna była samochwałą, a Mary-A, upierdliwa jak zawsze, oświadczyła, że znalazła jakieś narzędzie tkwiące w kącie boksu. Coś, co według niej służyło do czyszczenia końskich kopyt. Jade jej nie wierzyła, prawdopodobnie nawet teraz kłamała. Candice nie miała żadnej broni, ale Rosalie powiedziała, że znalazła coś, co może jej się przydać, fragment cążków do paznokci lub coś w tym stylu. W każdym razie było to coś niewiarygodnie małego i bezużytecznego. Nie, jej podkowa była jedyną bronią, której mogła zaufać.

Mogła mieć tylko nadzieję, że następnego dnia, przed aukcją niewolnic, znajdzie ich policja albo rodzice, albo cholerne FBI. Jade upewniła się, że żadna z nich nie ma przy sobie telefonu. Porywacze też ich nie zatrzymali. Żadnych elektronicznych gadżetów, żadnych dowodów tożsamości.

Ścisnęło ją w żołądku na myśl o tym, co porywacze zamierzali jej zrobić, ale wiedziała, że nie podda się bez walki. Plan Rosalie nie był wybitny, ale był jedyny, jaki miały i zależał od tego, czy ta płaczka Candice odegra swoją rolę. Uda im się, tylko jeśli zdoła przekonać tych palantów, że jest chora, i uśpi ich czujność. Wtedy będą miały jakąkolwiek szansę.

Jade wolałaby tak nie ryzykować. Krążyła po boksie, w którym wciąż unosił się smród konia i moczu, i żałowała, że nie ma choćby jednego gwoźdźca, czegoś, na co mogłaby nastąpić, żeby wspiąć się odrobinę wyżej. Potrzebowała kawałka drewna lub metalu, który mogłaby włożyć pomiędzy deski, na tyle mocnego, żeby unioś jej ciężar przez chwilę potrzebną, by podciągnęła się w górę i przerzuciła ciało na drugą stronę. Otworzyłyby wtedy wszystkie boksy i mogłyby uciec. Biegłyby na zachód, gdzie znajdował się dom i jej matka.

Serce jej pękało na myśl o Sarah i Gracie. Były tak blisko, ale tak cholernie daleko. Czy kiedykolwiek jeszcze je zobaczy? A co z ojcem, którego dopiero poznała? Czy kiedykolwiek będzie miała szansę, by poznać go lepiej?

Nie, jeśli oddasz swój los w ręce tych zboczeńców!

Przysiadła na skraju pryczy.

Ktoś na pewno je uratuje. Przecież nie znajdowały się z dala od cywilizacji. Czy FBI nie miało helikopterów i oddziałów zdolnych do odbicia jeńców? W telewizji zawsze pokazywali ubranych na czarno snajperów w hełmach i bronią gotową do strzału.

Ale to było w mieście.

Nie, przypomniała sobie, to było w Hollywood.

– Hej! – krzyknęła Rosalie. – Słyszycie to? Ktoś się zbliża. – W stajni zapadła cisza. Jade bała się oddychać i rzeczywiście usłyszała dźwięk silnika auta wjeżdżającego na wzgórze. Spięła mięśnie. Czy przywieźli kolejną dziewczynę? A może więcej niż jedną? A może przyjechał, żeby sprawdzić, co u nich?

– Pamiętajcie, jaki jest plan! – krzyknęła Rosalie, kiedy silnik, prawdopodobnie ciężarówki, znalazł się bliżej. – Jeśli się uda, dopadniemy go dzisiaj, zanim zjawią się inni. Nawet jeśli jest ich dwóch. Musimy spróbować. Candice, słyszysz mnie?

– Tak – odpowiedziała ze smutkiem. Jade się podłamała. Cały plan opierał się na ramionach dziewczyny, która była z nich wszystkich najsłabszym ogniwem. Ale przynajmniej Candice przestała płakać, szlochać i jęczeć. To już coś. Czy zdoła to zrobić? Jade wątpiła. Nie mogła składać swojego losu w ręce Candice Fowler.

– Pozwól, że ja to zrobię! – krzyknęła Jade. – Będę udawała, że jestem chora. Dam radę. Wiem, że dam.

– Nie. Trzymaj się planu – syknęła Rosalie.

– Tak, Jade, niczego nie spieprz. – Oczywiście Mary-Alice.

– Ale ona nie... – zamilkła, nie chcąc umniejszać dziewczynie. Po chwili pomyślała: Och, do cholery z uczuciami Candice. To było życie Jade, a one je narażały. – Jest zbyt słaba. Nigdy nie uda jej się ich nabrać. Ja to zrobię!

– Nie uwierzysz ci. Będzie się spodziewał pułapki – tłumaczyła Rosalie. – Już wcześniej mu się postawiłaś i cię uderzył, prawda? Nie nabierze się. To, co ustaliśmy, może się udać. A więc trzymajmy się planu. – Zazwyczaj spokojna Rosalie zaczynała się denerwować. Jej głos stał się wyższy o oktawę. – Może nie dostaniemy szansy, ale musimy spróbować. Nieważne, kto wejdzie przez te drzwi, Candice, wkraczasz do akcji!

Sfrustrowana Jade walnęła pięścią w ścianę i przekleła.

– W porządku – powiedziała, po czym zamilkła i zacisnęła palce na podkowie.

– Zrobię to – wyszeptła Candice głosem Myszki Minnie.

Jade zamknęła oczy. *Boże, dopomóż nam.*

ROZDZIAŁ 38

Hardy Jones z szopą rozczochranych, rzadkich włosów i nieodłącznym ironicznym uśmiezkiem zachowywał się prowokująco, wręcz bezczelnie, gdy siedział w pokoju przesłuchań. Bellisario czuła do niego antypatię. Robał, pomyślała. Bezużyteczny kawał ludzkiego mięsa w zszarganej dżinsowej kurtce i znoszonych lewisach.

Była zmęczona, przesłuchania się wlekły, zegar na ścianie mówił, że jest już wpół do dwunastej. Wszystko trwało od wielu godzin.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – upierał się, siedząc na krześle niedawno zwolnionym przez Rogera Andersona.

– Mówię o twoim życiu, o twojej wolności – wyjaśniła Bellisario z przekorą. – Albo powiesz nam, co wiesz, gdzie są dziewczyny, albo posiedzisz sobie przez długie lata.

– Nic nie wiem o żadnych dziewczynach. – Ale w jego oku pojawił się błysk, jakby coś jednak wiedział.

– Roger Anderson twierdzi coś wręcz przeciwnego.

– To kłamca. Recydywista.

– Podobnie jak ty.

– Ale ja nigdy niczego nie zrobiłem żadnej kobiecie. To jego działka. Nie moja.

Hardy miał rację, a mimo to...

– No cóż, spójrzmy na to z tej strony – rzuciła spokojnie, mając nadzieję, że robal wkrótce zacznie się wić. – Dodds również mówi co innego.

– Kto?

– Joss Dodds. Znasz go.

– Nie. – Poruszyło się jego jabłko Adama, a nad bakami pojawił się pot.

– Ależ tak. To facet, który mieszka w górach w Idaho. Tuż za granicą. Typ antyrządowca, który ciągle pakuje się w kłopoty. Spotkałeś go kilka razy w The Cavern. – Blefowała teraz, ale chciała go przycisnąć, widząc, że w końcu starła uśmiezek z jego zarośniętej twarzy. – Czekamy tylko na nagrania z monitoringu, ale Dodds twierdzi, że cię zna.

– Kłamlivy sukinsyn! – Rozparł się na krześle i założył ręce na wątlej piersi. – Już mówiłem, że go nie znam. Poza tym, nie handluje bronią ani amun... – Zamknął się i ugryzł się w język.

– Nie powiedziałaś, że handluje bronią.

– Powiedziała pani, że jest antyrządowcem, więc czym miałby się zajmować?

– Wieloma rzeczami, w większości nielegalnymi – rzuciła z uśmiechem. – A niektórzy z nich nie są zbyt mili dla swoich kobiet. Szukają takich, które mogłyby zostać ich służącymi. Albo niewolnicami. – Zaryzykowała to stwierdzenie, przypominając sobie coś, co kiedyś czytała. – A może nawet żonami. Kolejnymi.

Hardy Jones prychnął, ale Bellisario wiedziała, że kombinuje, jak wyplątać się z tej sytuacji. W przeszłości szybko zaczynał sypać i zrzucić winę na innych.

– Roger Anderson mówi, że według niego trzymasz dziewczyny gdzieś w pobliżu. Dzięki temu możesz je porywać i szybko odstawić do kryjówki. Wiemy, że nie chodzi o twoje mieszkanie, bo już je sprawdziliśmy, więc sądzę, że to miejsce znajduje się gdzieś na wzgórzach. W jakimś odludnym miejscu. Gdyby porwane dziewczyny krzyczały...

– Nie mam żadnych porwanych dziewczyn! Żadnych dziewczyn!

– Nikt by ich nie słyszał.

Jego grdyka cały czas drgała pod skórą, ale Hardy zamilkł na dobre. I to był problem. Trafiła w czuły punkt, mówiąc o ukrywaniu dziewcząt w pobliżu. Ale to niewiele pomogło. Miasto było małe, ale okolica wokół Stewart's Crossing rozlegała, dzika i górzysta, płynęła tu rzeka. Domyśliła się, że musiał za tym stać ktoś inny. Jones nie był tak bystry, by zostać mózgiem operacji. Więc musiał być to ktoś bardziej ogarnięty, ktoś, kto znał ten teren. Ktoś, komu mogły zaufać dziewczyny. Ktoś, kogo znała Rosalie Jamison. A jeśli Bellisario dobrze go rozumiała, Hardy próbował przypisać winę swojemu kumpłowi spod celi, Rogerowi Andersonowi.

Czy sam wpadł na ten pomysł? Uważnie na niego patrzyła. Prawdopodobnie nie. Ten mężczyzna był żołnierzem, a nie przywódcą. A i żołnierzem był kiepskim.

A więc kto za tym stał?

Pomyślała, że może ktoś na tyle bliski Rogerowi Andersonowi, żeby wiedzieć, jak przypiąć mu łatkę kryminalisty. Ktoś, kto go znał. Może ktoś, komu ufał i z kim się zadawał? Do głowy przyszło jej kilka nazwisk, w szczególności tych, którzy odwiedzali Andersona. Czy to możliwe, że mężczyzna, o którym myślała, odwiedzał nie tylko Rogera Andersona, ale także Hardy'ego Jonesa?

Już miała rzucić nazwiskiem, kiedy, na jej szczęście, Jones przerwał jej rozmyślanie.

– Proszę posłuchać, mam alibi – powiedział pospiesznie. – Na czas, gdy zniknęła każda z tych dziewczyn. A... jeśli mi nie wierzycie, zapytajcie Clarka Valentego, on potwierdzi, że z nim byłem. Wydaje mi się, że miał jechać na imprezę do tego dentysty i jego żony. Doktora Bigelowa.

– Do szwagra Rogera? – zapytała i poczuła znajomy dreszcz, sygnalizujący jej, że trafiła na coś ważnego. – Wiesz, co, chyba tam pojedę. – *I to szybko*, dodała w duchu, wychodząc z pokoju.

– Hej! – krzyknął Hardy. – Proszę mnie tu nie zostawiać.

Oczywiście, że go zostawiła. W korytarzu stał zastępca.

– Zatrzymajcie go. – Wskazała na pokój przesłuchań. – I niech się nie zbliża do telefonu. – A potem ruszyła biegiem.

Sarah krążyła po salonie. Była zmęczona po przeżyciach w grobowcu, a potem składaniu zeznań na policji. Ale była też zbyt nakręcona, żeby spać. Otuliła się kocem. Clint dodawał dREW do ognia, a Gracie i psy tuliły się do siebie na kanapie. Sarah była zdruzgotana i niespokojna. Zastanawiała się, co powinna zrobić. Porozmawiała z Clintem, a nawet opowiedziała mu o statuetce Madonny i cholernym duchu, ale przez cały czas, nieważne, o czym rozmawiali, oboje myśleli o Jade, o tym, gdzie jest, z kim jest i czy... czy... O Boże, czy wciąż żyje.

– Znajdziemy ją – powiedział Clint, ale jego słowa brzmiały pusto. Bardziej puisto niż pocieszająco.

– Jak?

– Dzięki policji, Bellisario.

Z desperacją pokręciła głową.

– FBI.

– Musimy coś zrobić – rzuciła, a on potaknął, ponieważ podzielał jej uczucia. Dostrzegła w nim niespokojną energię, wiedziała, że zachowywał spokój ze względu na nią. – W porządku. Nie zniosę tego ani sekundy dłużej. – Czowała się uwięziona w domu. Jakby stare ściany napierały na nią. – Idę na dach.

– Po co?

– Ponieważ w domu się duszę.

Zerknął na zegarek, ale nie powiedział jej, że już prawie północ. Wiedziała o tym. Odczuwała każdą sekundę nieobecności Jade.

– Pójdę z tobą.

– Ja też – dodała Gracie.

Była jej za to wdzięczna. Nie chciała, aby jej młodsza córka znalazła się poza zasięgiem jej wzroku, choćby na chwilę, i ciągle obwiniała się, że pozwoliła Jade jechać samej do domu. To był jej błąd, którego Clint jej nie wytknął. Za bardzo obwinił siebie.

Musiała wyjść, odetchnąć, pomyśleć i oczyścić umysł, więc ruszyła w stronę schodów.

Wchodząc na górę, trzymała rękę na poręczy, chociaż nie czuła wahania. Do góry pchała ją wiedza, którą teraz posiadała, prawda, którą usłyszała od Rogera Andersona. Chciała wyrównać stare rachunki z ojcem. Wyjdzie na taras i nigdy więcej nie będzie się bała ciemności ani tamtej nocy sprzed lat. Mając ze sobą Clintą i Gracie, weszła już na drugie piętro i zatrzymała się przy pokoju, gdzie spali i kłócili się jej rodzice. Teraz rozumiała dlaczego. *Nie rodzice*, przypomniała sobie. *Twój ojciec i babcia*.

Bolała ją głowa od tego, czego się dowiedziała. Od wszystkich sekretów, których strzegł Roger. Przysiągł, że ochroni także swoją matkę, mimo że Arlene była morderczynią. Mijając pokój Theresy, powstrzymywała się, żeby nie zajrzeć do środka, żeby nie rzucić okiem na rozbitą statuetkę i roztrzaskane lustro. Przeszli przez drzwi prowadzące na strych. Weszli po schodach na ostatnią klatkę schodową, która skręcała i kończyła się w wieżyczce. Czuła tę samą lepkość na skórze, ten sam strach, który przejmował panowanie nad jej umysłem. Teraz jednak pamiętała, jakie było jego źródło, i przynajmniej mogła spróbować pozbyć się go raz na zawsze.

Znalazłszy się na tarasie, głęboko odetchnęła. Mgła w końcu się podniosła. Księżyc w pełni wychynął na niebo i rzucał srebrny blask na ziemię. Noc była spokojna, nawet rzeka ucichła. Z okolicznych lasów nie dobiegały odgłosy przejeżdżających pociągów, ciężarówek, pohukujących sów.

Zadrżała, a Clint objął ją silnym ramieniem. Trzymał mocno, podczas gdy ona obejmowała drobne ciało Gracie, która się o nią opierała. Trzyosobowa rodzina wpatrująca się w noc i myśląca o Jade.

– Znajdziemy ją – obiecał Clint, opierając policzek o czubek jej głowy.

– Boże, mam taką nadzieję. – Starła się nie tracić panowania nad sobą, ale gdy patrzyła na wschód w górę rzeki, zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy swoją córkę.

Clint mocniej ją uścisnął, gdy zauważyła błysk w oddali. Światła samochodów, uświadomiła sobie i odwróciła wzrok, ale po chwili ujrzała więcej świateł. Cały sznur pojazdów. W zasadzie nic szczególnego, ale wydawało jej się, że pojazdy znajdują się bliżej, niż powinny. Jechały wiejską drogą, wiły się pomiędzy drze-

wami... Dokąd się kierowały? Przypomniała sobie mapę posiadłości i charakterystyczne punkty, starą drogę wykorzystywaną przez drwali...

– Clint? – powiedziała, czując, że w środku ją coś ściska. – Po co ktoś miałby teraz jechać do tego starego domku?

– Nie wiem – odparł, odwracając głowę w tamtą stronę.

– A co tam jeszcze jest?

– Tylko domek, jeśli jeszcze stoi, i stajnia, o ile dobrze pamiętam.

– Nikt tam nie chodził od lat – zauważyła. Aż do teraz. – Jacyś intruzi?

– Nie wiem. – Spojrzeli na siebie, a Clint powiedział ponuro: – Sprawdźmy to.

Drzwi otworzyły się z hukiem, ktoś włączył światło.

Zaczyna się, pomyślała Jade nerwowo.

– No dobrze, dziewczyny. Nadeszła ta noc – oświadczył.

– Dzisiaj? – zapytała zaniepokojona Rosalie.

Jak dotąd był sam. Mniejszy facet, który pomagał mu w przestępstwie, ten, o którym mówiły pozostałe dziewczyny, nie przyszedł z nim, a przynajmniej nie wszedł do stajni. Może pilnuje na zewnątrz, pomyślała Jade i włożyła podkowę pod bluzę.

– Jada wasi nowi mężowie, więc macie się zachowywać – powiedział porywacz.

– Mężowie? – powtórzyła Mary-Alice.

– Dokładnie tak, Księżniczko. Mężczyźni, którzy szukają posłusznych żon.

– Słucham? – znowu powtórzyła przerażona Mary-Alice.

Zamknij się i trzymaj się scenariusza, pomyślała Jade. To tobie zależało na tym, abyśmy oparły plan na Candice.

Wstrząśnięta Mary-Alice mruknęła:

– Jezu. O czym, do cholery, mówisz?

– Nie używaj Jego imienia nadaremno! – warknął podniesionym tonem. I tak, macie być posłuszne.

– Sprzedajesz nas, żebyśmy zostały żonami? – wtrąciła Dana, okazując niesmak. – Według mnie to nielegalne. – A potem ugryzła się w język, gdy uświadomiła sobie, że wszystko, co ten zwyrol robił, było niezgodne z prawem.

– Sądziłam, że ma się to odbyć jutro wieczorem – odezwała się Rosalie.

– To uległo zmianie, więc weźcie się w garść.

Jasny szlag!

– Uwierzcie mi, pójdzie lepiej dla was wszystkich, jeśli będziecie się dobrze zachowywać. Chłopcy lubią ogień, ale chcą żon, które będą im służyć. Im miłsze dla

nich będziecie, tym lepsze życie was czeka.

Ni chuja, pomyślała Jade, pragnąc skopać zbokowi jaja, ale właśnie wtedy usłyszała kolejny silnik, drugi pojazd szybko się zbliżał. Jechali mężczyźni, którzy zamierzali je kupić. To koniec!

No dalej, Candice, pomyślała. *Czas na ciebie.*

Ale dziewczyna w boksie Szczęściarza nic nie zrobiła. Jade się pocila, krążyła po celi, próbując nie panikować, ale zupełnie jej się to nie udawało. Czy ta idiotka ich nie słyszała? Drogi Boże. Słyszać było drugi samochód, a może nawet i trzeci.

W innym boksie Rosalie odchrząknęła, co było oczywistą próbą zasygnalizowania Candice, żeby rozpoczęła przedstawienie.

Dalej nic.

No już!

Spanikowana Jade postanowiła wziąć byka za rogi i sama udawać, że jest chora. Candice nie reagowała, nic nie zrobiła. Jade otworzyła usta, żeby zajęczeć, kiedy usłyszała pierwsze stęknienie. Ciche i niskie.

– Ooochhh. – A następnie kaszel. – Chyba.... chyba się rozchoruję – jęknęła Candice, jakby naprawdę czuła ból. Była tak przekonywająca, że Jade była pewna, że to nie jest udawane.

– Nic ci nie jest – powiedział porywacz.

– Nie.... Nie... Tak mi przykro – zapiszczała swoim mysim głosem. – Oooch, Boże. – Candice zaczęła udawać, że zbiera jej się na wymioty. Robiła to tak głośno, że Jade uznała, że za chwilę naprawdę pozbędzie się zawartości żołądka.

– Przestań! – warknął, tracąc kontrolę.

Kolejne odgłosy zbliżających się torsji, a następnie odgłos wymiocin spadających na dno wiadra.

– Kurwa, jebana mać. Nie teraz! – wrzasnął z furią. A potem, jakby usłyszał zbliżające się pojazdy, dodał szybko: – Słuchaj, Szczęściaro, musisz się obmyć. I wy też... pozostałe dziewczyny.

– Oooooohhhh. – Candice się nie poddawała. Jej jęk był głośniejszy, wznosił się do sufitu. Jade wstrzymała oddech, przygryzając dolną wargę.

– Cholera! – Kliknął zamek i rozległo się skrzypienie otwieranych drzwi. – W porządku, Szczęściaro – powiedział ze złością. – Co ci dole...

Łup!

Odgłos wiadra uderzającego w czaszkę i wylewającej się ze środka cieczy. Krzyknął głośno i w tej samej chwili rozległy się szybkie kroki.

– Ty suko! – warknął, ale wyglądało na to, że Candice uciekła.

Podbiegła do kolejnego boksu i odsunęła zasuwę.

Łup!

Kolejne uderzenie, prawdopodobnie to Dana zdzieliła go drzwiami boksu. Rozległ się jego stłumiony krzyk, ale nadal biegł, słychać było jego ciężkie kroki na drewnianej podłodze. Dana zapiszczała, a następnie dał się słyszeć odgłos szarpaniny. Dana krzyczała, a on przeklinał.

– Wracaj tam, ty cipo! – wrzasnął i zamknęły się drzwi boksu. Słychać było dźwięk zasuw.

Jade o mało nie pękło serce.

Candice nie była w stanie walczyć z nim sama. Poza tym za chwilę mieli dołączyć do niego pozostali. Słychać było warkot silników, były blisko, tak cholernie blisko. O Boże.

Usłyszała odgłos opon wjeżdżających na żwir, męskie głosy i warkot silników stojących pojazdów.

– Wypuść mnie! – awanturowała się ponownie zamknięta Dana i rzuciła się na drzwi.

Niech to szlag.

– Chodź no tutaj! – krzyknął, a Candice cicho załkała.

Nie!

Zasuwka w boksie Jade się poruszyła. Drzwi się otworzyły i zobaczyła przestraszoną Candice, która wyglądała, jakby ze strachu mogła posikać się w majtki. Spojrzała na Jade, a po czym pobiegła dalej. Jade wybiegła na otwartą przestrzeń stajni.

Był tam. W ułamku sekundy złapał ją za gardło i podniósł do góry. Szlag!

– Wracaj tam! – rozkazał. Miał dzikie spojrzenie i twarz w kolorze czerwieni. Nie namyślając się długo, sięgnęła pod bluzę i wyjęła podkowę. Zamachnęła się nią i uderzyła go w czaszkę.

Ugięły się pod nim nogi i ją puścił. W tym czasie Candice otworzyła kolejne drzwi. Wybiegła Rosalie i nie traciła czasu. Gdy Jade walczyła z porywaczem, do jej uszu dotarły odgłosy kolejnych przyjeżdżających samochodów. Rosalie otworzyła następne drzwi, wypuszczając dziewczyny. Boże, ilu facetów się zjawilo, żeby je licytować? To jest chore, chore, chore!

– Co się dzieje? – zapytał jakiś mężczyzna, stojący na zewnątrz. – Valente!

Jade już wcześniej słyszała to imię. O, cholera. Ten palant był jej krewnym. Próbowwała mu się wyrwać, ale chociaż był zamroczony, rzucił się na nią, gdy usi-

łowała się uwolnić, Upadła, uderzając brodą w podłogę. Poczwała, że znowu rozciąła skórę.

Z rany płynęła krew.

Kopnęła go, ale on pociągnął ją do tyłu. Wykręciła się i wyrwała z jego uścisku kilkoma mocnymi kopniakami. Stała na nogi. On też, ale chwiał się do tyłu. Zobaczyła jego telefon wystający z kieszeni spodni. Rzuciła się i go wyjęła, w chwili gdy Rosalie skoczyła mu na plecy i jedną rękę okręciła wokół jego szyi. Odwrócił się, próbując ją zrzucić, podczas gdy Jade wybierała numer alarmowy.

– Pomocy! – krzyknęła, gdy na linii pojawił się operator. Rosalie zamachnęła się z całych sił i wbiła niewielką broń, którą trzymała w pięści, w oko potwora. Trysnęła krew. Zawył z bólu i padł na kolana, podczas gdy ona cały czas wisiała na jego plecach, niczym rzep. Cofnęła zakrwawioną pięść i dźgnęła go jeszcze mocniej, ponownie w to samo oko. Jego wrzask mroził krew w żyłach i wznosił się do niebios. Ogarnięty szaleństwem, odwrócił się i wyjął, próbował się jej pozbyć, ale Rosalie wisiała na nim napędzana żądzą zemsty.

Na zewnątrz rozległ się tupot. Mężczyźni krzyczeli coś do siebie.

– Co, się do cholery, dzieje?

– Spadajmy stąd! – rozkazał spanikowany męski głos. Zachrzęścił żwir, w samochodach odpalono silniki. Za późno!

Nagle usłyszeli głośnie wycie syren, a wreszcie wewnątrz stajni rozbłysło czerwonymi i niebieskimi światłami.

– O, cholera, gliny! – wrzasnął jeden z mężczyzn.

Przyjechała policja? *Dzięki Bogu!*

Na zewnątrz rozległy się czyjeś krzyki i odgłosy bieganiny.

W końcu, przeklinając, drań zrzucił z siebie Rosalie. Z jego oka płynęła krew. Wrzeszczał desperacko, wzywał pomocy, ale Rosalie nie miała na co czekać.

– Zdychaj, skurwielu – powiedziała i wbiła mu w gardło przedmiot trzymany w garści. W tej chwili do stajni wbiegli policjanci z bronią gotową do strzału.

– Cofnąć się! – krzyknęła dowodząca nimi kobieta. Ale jeden z biegnących za nią mężczyzn nie posłuchał polecenia. Do środka, o krok za Bellisario, wbiegł Clint Walsh. Miał strach w oczach, dopóki jego wzrok nie padł na Jade.

Potem, nie mówiąc ani słowa, podbiegł do niej i wziął ją w ramiona, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić.

– O Boże, wszystko w porządku? Wszystko dobrze? – pytał łamiącym się głosem.

Potaknęła, bo nie była w stanie mówić. Przyłgnęła do niego, wtulając nos w jego ramię.

– Och, skarbie – powiedział.

Wtedy Jade się rozplakała. Łzy wypełniły jej oczy, ale kiedy zerknęła ponad jego ramieniem, zobaczyła mamę i Gracie tulące się do siebie w wejściu do stajni. Miały okrągłe ze strachu oczy i ulgę malującą się twarzach.

Jade zaszlochała i ukryła twarz w ciepłe jego szyi, uświadamiając sobie, że w końcu jest bezpieczna.

EPILOG

Następne lato

Posiadłość pod Niebieskim Pawiem

Rozległ się przeraźliwy krzyk, a stojąca na tarasie Sarah spojrzała w dół na podwórze, gdzie zobaczyła nowego pawia popisującego się przed otaczającymi go kurami. Uśmiechnęła się i pomyślała o ostatnich dziewięciu miesiącach i wszystkich zmianach, które zaszły w jej życiu.

Słońce odbijające się od wód Kolumbii płynącej poniżej niosło obietnicę kolejnego ciepłego dnia. Jej życie w końcu się ustabilizowało, po raz pierwszy od lat była szczęśliwa. Na dźwięk silnika ciężarówki podniosła wzrok i uśmiechnęła się, patrząc, jak Clint jedzie w stronę domu tym swoim straszynym, starym pick-upem.

Postanowili zamieszkać razem, a nawet zastanawiali się nad ślubem i powiększeniem rodziny. Ale nie chcieli się spieszyć ze względu na dziewczyny. Gracie rozkwitła w ostatnim roku. Nie wyglądała już jak dziewczynka, bardziej przypominała nastolatkę, którą interesowali chłopcy i makijaż. Oprócz duchów oczywiście, a teraz jeszcze po trudach poprzedniej jesieni zaciekała ją praca policyjna.

Sarah przeszła przez wieżyczkę, ciesząc się, że nie boi się już najwyższego piętra budynku. A nawet piwnicy. Chociaż wciąż nie było to jej ulubione miejsce w domu.

Clint powoli się przeprowadzał, dom był już prawie ukończony. Naprawiono hydraulikę i poprowadzono nową instalację elektryczną, usunięto stare płyty zewnętrzne i spróchniałe deski. W ich miejsca pojawiły się nowe ściany. W kuchni wciąż panował bałagan, ale dało się z niej korzystać. Wyremontowali już wszystkie łazienki. Razem z dziewczynkami zadomowili się już w swoich pokojach. Ona razem z Clintem w głównej sypialni, Jade w starym pokoju Dee Linn, a Gracie, jak można się było domyślić, upierała się, że zajmie sypialnię w rogu, która kiedyś należała do Theresy. Gracie wciąż wierzyła, że mieszka tak duch, którego widziała Sarah. Była jednak pewna, że duch Angélique le Duc już nie mieszka w domu.

– Przeszła na drugą stronę, mam – poinformowała ją córka.

Być może.

Przeprowadzili się do domu gościnnego wkrótce po okropnych wydarzeniach, które zakończyło uratowanie Jade z rąk Clarka. Najwyraźniej zawsze zazdrościł rodzinie ze strony Stewartów. Sam nigdy nie zrobił niczego wartościowego, nigdy się nie ożenił, aż wreszcie wymyślił wspaniały plan wyszukiwania dziewczyn, które mogłyby zostać potencjalnymi „żonami” dla mężczyzn bez szacunku dla kobiet i prawa. Plan był przedziwny, ale prawdopodobnie miał przynieść Clarkowi dużo pieniędzy. Mężczyzna stracił oko z rąk Rosalie Jamison i czekał go proces, podobnie jak ludzi gór. Jak na ironię, wiele wskazywało na to, że Clark może dorobić się dużych pieniędzy, sprzedając swoją historię w Hollywood. Trwały negocjacje, ale transakcja musiała zostać zaaprobowana w sądzie, co jeszcze stało pod znakiem zapytania.

Według Sarah powinien siedzieć do końca życia i nie dostać grosza za horror i ból, którego przysporzył dziewczętom. Chociaż wiedziała, że mógł spotkać je jeszcze gorszy los, nigdy nie wybaczy Clarkowi. Przenigdy. Miała nadzieję, że będzie żył długo i żałośnie za murami więzienia.

Na szczęście Jade wyszła z tego bez większego szwanku. Była jedynie lekko wstrząśnięta i chociaż zarzekała się, że nienawidzi chodzić do szkoły w Our Lady of the River, zaczęła umawiać się z Liamem Longstreetem, który często kręcił się koło ich domu, pomagając ojcu w pracy. Cody Russell nigdy nie zjawił się w Stewart's Crossing, a ich związek się rozpadł. Mary-Alice Eklund wciąż była uznawana za śmiertelnego wroga, mimo, że obie zostały porwane. Kto wie, jak to się skończy, jako że według Liama Mary-Alice wybierała się na studia gdzieś na wschód. On sam zamierzał kontynuować naukę w college'u stanowym.

Sarah pogodziła się z rolą, jaką odegrali rodzice w jej wychowaniu. Jej ojciec, który był draniem, zasłużył sobie na jeszcze gorszy los, niż ten, który zgotowała mu Arlene. Arlene, krucha i zdezorientowana, czekała w więzieniu na proces, którego nawet nie zrozumie. Zamordowała dwóch mężczyzn i niczego nie żałowała. Chociaż trudno było cokolwiek stwierdzić, skoro była w takim stanie. Cio-cia Marge była zdruzgotana i przysięgała, że już nigdy nie odezwie się do Sarah. Po Caroline spłynęło to jak po gęsi, bo nigdy nie była blisko z bratem.

Clark zajmował małe mieszkanie niedaleko matki i zarabiał na życie, kupując i sprzedając rzeczy przez Internet. Nigdy nie dorobił się żadnych pieniędzy. Kiedy zaczął handlować bronią, poznał Josha Doddsa i ludzi gór. Rosalie Jamison poznał w restauracji, w której pracowała. Dziewczyna stała się jego pierwszą ofiarą. Sarah słyszała, że Rosalie przeprowadziła się do Denver, zamieszkała z ojcem i miała zamiar zapisać się do college'u w Kolorado. Według matki dziewcz-

czyna w końcu wróciła na właściwą ścieżkę, była gotowa pozostawić za sobą horror i zacząć życie od nowa.

A więc nadeszła pora na nowe początki dla każdego.

Zeszła na parter domu. Wciąż się cieszyła, że jej rodzeństwo, po wielu perturbacjach, postanowiło sprzedać jej dom. Oczywiście sama nie była w stanie pokryć kosztów, ale Clint zaproponował, że sprzeda swój dom i zamieszka u niej. Dobili targu, a teraz zaczął przebąkiwać, żeby przekształcić Posiadłość pod Niebieskim Pawiem w pensjonat. Sarah nie była przekonana, czy tego chce.

Wyszła na zewnątrz i patrzyła na parkującego Clint'a. Kiedy otworzył drzwi ciężarówki, ze środka wypadły dwa psy i pobiegły do pawia. Ten gniewnie na nie spojrzął i znowu wydał mrożący krew w żyłach krzyk. Tex i Xena stracili nim zainteresowanie, a Clint obszedł ptaki szerokim łukiem i wszedł na schody.

– Nie jest to najlepszy pomysł – stwierdził, patrząc na pawia.

– Powiedz to Grace.

– Wiem, ale... – Wzruszył ramionami, po czym wziął ją w ramiona. – Tęsknięm za tobą.

– Nie było cię trzy godziny.

– Wiem, próbuję być romantyczny.

– Spróbuj jeszcze raz – zaproponowała, na co w jego oczach pojawił się figlarny błysk.

– Dobrze. – Objął ją i mocno pocałował, przechylając ją do tyłu, aż jedna z jej nóg oderwała się od podłogi. Objęła go mocno i rozplywała się w jego ramionach. Czowała wokół siebie ten sam bezpieczny kokon, który zawsze się pojawiał, kiedy Clint był w pobliżu. Obiecująco musnął jej język swoim językiem. – I jak? – zapytał, podnosząc w końcu głowę, ale wciąż trzymając ją w objęciach.

– Lepiej. – Roześmiała się.

– Jesteś niemożliwa. – Postawił ją na nogi i się uśmiechnął.

– Próbuję być.

Śmiejąc się, zapytał:

– A gdzie są dziewczyny?

– Gracie jest u Scottie, a Jade...

– Z Liamem.

– Właśnie.

– A więc jesteśmy sami.

– Jakkolwiek na to patrzeć.

– To dobrze – powiedział z szelmowskim błyskiem oczu. Wziął ją na ręce, a ona pisnęła ze strachu i przywarła do niego, gdy niósł ją do domu, mówiąc: – To spróbujmy jeszcze raz z tym romantyzmem.

W odpowiedzi mocno go pocałowała. A on przeszedł przez próg, zamknął za sobą drzwi i zaniósł ją na górę.